

Ivo Andrić

Most na Drinie

Przekład Halina Kalita

I

Rzeka Drina na znacznej przestrzeni swego biegu przedziera się przez ciasne wąwozy pośród stromych gór lub głębokimi jarami wrzyna się w prostopadłe brzegi. Zaledwie w kilku miejscach rozwierają się one w doliny tworzące po jednej lub po obu stronach skąpane w słońcu bądź równe, bądź faliste, dogodnie pod uprawę i na osiedla obszary. Takie rozwarcie powstaje tu - koło Wyszegradu - w miejscu, gdzie Drina wypada z ostrego zakrętu z przepastnej, wąskiej gardzieli Butkowych Turni i Gór Uzawnickich. Przełom Driny jest tu niezmiernie gwałtowny, a skały na obu brzegach tak spiętrzone i urwiste, że zda się jest to lity masyw, z którego wnętrza wytryska rzeka, jakby prosto z szarej ściany. Ale góry rozstępują się z nagłą na kształt niesymetrycznego amfiteatru o średnicy w najszerszym miejscu nie przekraczającej piętnastu kilometrów w linii prostej.

Tu więc, gdzie Drina wypada całym ogromem swych spienionych zielonych wód z pozornie litej ściany czarnych stromych gór, stoi duży, misternie w kamieniu wykuty most o jedenastu szeroko rozpiętych przęsłach. Od tego mostu jakby od podstawy wachlarzowato otwiera się pofałdowana dolina z wyszegradzką kasabą i jej okolicą, wtulonymi między wzgórzami przysiółkami, pokryta szachownicą pól i łąk, pełna śliwowych sadów, miedzami i opłotkami pocięta, a nakrapiana plamami zagajników i rzadkimi kępami świerków. Patrzącemu z przeciwległej strony zda się, że spod rozłożystych łuków białego mostu wypływa i rozlewa się nie tylko szmaragdowa toń rzeki, ale i cała ta rozsloneczniona, zaciszna przestrzeń z kopułą południowego nieba i ze wszystkim, co na sobie dźwiga.

Na prawym brzegu tuż przy moście rozsiadła się już to w dolinie, już to na stokach wzgórz lwia część kasaby¹ wraz z czarszija². Po drugiej stronie mostu, na lewym brzegu, rozciąga się wzdłuż sarajewskiego traktu przedmieście Maluhowe Pole. Tak więc most, wiążąc oba końce traktu, łączy kasabę z przedmieściem.

Właściwie gdy mówi się: łączy, pojęcie to jest tak samo słuszne jak wtedy, gdy mówi się: słońce wschodzi rano, abyśmy my, ludzie, mogli widzieć, co się dokoła nas dzieje, i załatwiać niezbędne sprawy, a zachodzi o zmierzchu, abyśmy mogli kłaść się do snu, na spoczynek po całodziennym trudzie. Ten wielki kamienny most, wyjątkowo piękna, bezcenna budowla, jaką nie mogą się poszczycić nawet znacznie bogatsze i ruchliwsze miasta („Jeno dwa takie są w całym Imperium” - mawiano w dawniejszych czasach), jest jedynym stałym i niezawodnym przejściem

¹ Kasaba - miasteczko.

² Czarszija - dzielnica handlowa.

przez Drinę w całym jej średnim i górnym biegu i niezbędną klamrą traktu, który łączy Bośnię z Serbią, a poprzez Serbię z pozostałymi prowincjami państwa otomańskiego, hen aż po Stambuł. Kasaba i jej przedmieścia są zwykłymi osadami, jakie zawsze powstają przy węzłowych punktach komunikacyjnych, po obu stronach dużych, ważnych mostów.

Tak więc i tutaj z czasem wyrosły się domy i namnożyły osady. Kasaba żyła, czerpiąc soki żywotne z mostu jak ze swego niezniszczalnego korzenia.

(Aby mieć jasny obraz kasaby i w pełni rozumieć jej stosunek do mostu, trzeba wiedzieć, że w mieście jest jeszcze jeden most, tak samo jak jest jeszcze jedna rzeka. To Rzaw ze swoim drewnianym mostem. Na skraju miasta Rzaw wpada do Driny, tak że centrum kasaby i jednocześnie jej główna część znajdują się na piaszczystym cyplu między obu rzekami, dużą i małą, które w tym miejscu się spotykają, rozproszone przedmieścia zaś ciągną się po drugiej stronie mostów, na lewym brzegu Driny i prawym Rzawu. Miasto na wodzie. Chociaż istnieje jeszcze jedna rzeka i jeszcze jeden most, słowa „na moście” nigdy nie oznaczają tego rzawskiego, prostej, drewnianej kładki bez piękna, bez przeszłości, bez innego znaczenia prócz tego, że służy mieszkańcom i ich bydłu do przechodzenia, lecz zawsze i wyłącznie kamienny most na Drinie).

Długość tego mostu wynosi około dwieście pięćdziesiąt kroków, a szerokość prawie dziesięć, z tym że pośrodku, gdzie rozszerzają go dwa jednakowe tarasy po obu stronach, osiąga podwójną szerokość. Ta część mostu zwie się kapija³, tu bowiem na środkowym, u góry rozszerzonym filarze wsparte są po lewej i prawej stronie jezdni dwa wykusze, dwa balkony śmiało i wdzięcznie wychylające się z prostej linii mostu w przepaść nad spienionymi zielonymi wodami. Balkony te - otwarte i nie nakryte - mają około pięciu kroków długości i tyleż szerokości, a ogrodzone są kamienną balustradą podobnie jak i cały most. Balkon po lewej ręce, gdy idzie się z miasta, zwie się sofą. Znajduje się ona na podwyższeniu, wiodą do niej dwa stopnie, a okala ława, której oparcie jest jednocześnie balustradą; zarówno stopnie, jak ława i ogrodzenie są jakby wykute z jednego bloku kamienia. Prawy taras po przeciwnej stronie niczym się nie różni od sofy, tyle tylko, że jest pusty, bez siedzenia. Pośrodku ogrodzenia mur jest wyższy od człowieka; u góry znajduje się wmurowana tablica z białego marmuru, a na niej wryty bogaty napis turecki - tarih - z chronogramem, który w trzynastu wierszach sławi imię tego, co własnym sumptem wznosił most, oraz głosi datę powstania tej budowli. U dołu zaś wąski strumyczek wody sączy się z paszczy kamiennego smoka. Na tym balkonie rozgościł się sprzedawca kawy ze swymi

³ Kapija - dosł.: brama; tu: wnęka, wykusz.

dżezwami⁴, filiżankami, wiecznie rozżarzonymi mangalami⁵ i chłopcem, który zanoszą kawę rozpartym na sofie po przeciwnej stronie gościom. Taka jest ta kapija.

Na moście i na jego kapii, dokoła niego lub w związku z nim, jak to zobaczymy, pędzą życie mieszkańcy kasaby. We wszystkich gawędach o osobistych, rodzinnych czy ogólnych sprawach zawsze powtarzają się słowa „na moście”. Bo rzeczywiście każde dziecko stawia pierwsze kroki na drińskim moście i tu spędza czas na chłopięcych zabawach. Dzieci chrześcijańskie zrodzone w lewobrzeżnej kasabie, w zaraniu życia przechodzą most, gdyż zaraz w pierwszym tygodniu zanoszą się do cerkwi na chrzest. Ale wszystkie dzieci, zarówno te z prawego brzegu, jak i muzułmańskie, których w ogóle się nie chrzci, spędzają niemal całe dzieciństwo w cieniu mostu, podobnie jak niegdyś ich ojcowie i dziadowie. Łowią w pobliżu ryby albo łapią gołębie pod jego łukami. Od najwcześniejszych lat oczy ich przywykły do smukłej sylwetki tej wspaniałej budowli z jasnego, porowatego, równiutko i nienagannie ciosanego kamienia. Znały wszystkie misternej roboty wgłębienia i wypukłości, a także wszystkie opowiadania i legendy związane z powstaniem i budową mostu, w którym przedziwnie się splata i miesza fantazja i rzeczywistość, sen i jawa. Znały je od dawna, podświadomie, jakby je ze sobą przyniosły na świat, podobnie jak zna się modlitwy, nie pomnąc, od kogo się ich nauczyło ani kiedy się je po raz pierwszy zasłyszało.

Dzieci wiedziały, że most kazał wznieść wielki wezyr Mehmedpasza, którego wioska rodzinna Sokolowici leży ot tam, za jedną z tych gór, wieńcem otaczających most i kasabę. Jedynie wezyr był mocen dać wszystko, co było potrzebne na utrwalenie w kamieniu tego cudu. (Wezyr zaś to w pojęciu chłopców coś wspaniałego, potężnego, strasznego i niepojętego zarazem.)

Budował go Rade-Neimar1, który musiał żyć chyba kilkaset lat, skoro zdołał wznieść na serbskich ziemiach wszystko, co piękne i trwałe; legendarny, a właściwie bezimienny budowniczy, którego każdy naród wyobraża sobie i chce mieć, gdyż nie lubi zbyt wiele pamiętać ani dla zbyt wielu choćby we wspomnieniu chować wdzięczność. Wiedziały też dzieci, że w budowie przeszkadzała (z dawien dawna zawsze i wszędzie ktoś przeszkadza każdemu przedsięwzięciu) wila brodarica⁶, która w nocy burzyła to, co zbudowano za dnia. Aż „coś” przemówiło z toni i doradziło Radzie-Neimarowi, żeby wyszukał dwoje maleńkich dzieci, parkę bliźniąt, brata i siostrę imieniem Stoja i Ostoja i zamurował w środkowych filarach mostu.

⁴ Dżezwa - mosiężne lub blaszane naczynie do gotowania kawy.

⁵ Mangal - rodzaj piecyka.

⁶ Wila Brodarica - w mitologii Słowian południowych nimfa wodna.

Natychmiast zabrano się do poszukiwań po całej Bośni. Wyznaczono nagrodę dla tego, kto znajdzie je i sprowadzi.

W końcu sejmeni⁷ znaleźli w jakiejś odległej wsi bliźnięta jeszcze przy piersi i uprowadzili je na mocy rozkazu wezyra; ale gdy je zabierali, matka nie chciała porzucić dzieci, lecz zawodząc i lamentując, nieczuła na przekleństwa i razy powlokła się za nimi do Wyszegradu. Tu udało jej się dostać przed oblicze Neimara.

Dzieci zamurowano, cóż, nie było innej rady, ale Budowniczy, jak wieść niesie, ulitował się nad nieszczęsną matką i zostawił w murze otwory, tak że mogła karmić niemowlęta.

W owych dołkach okrągłych, szerokich i głębokich jak pokaźne misy, długo po deszczu stoi woda niby w kamiennych czarach. Jamki te, wypełnione letnią deszczówką, chłopcy nazywają studniami i tak jedni, jak i drudzy, bez względu na wyznanie, trzymają w nich złowione na wędki drobne rybki, brzany i płocie.

Na lewym brzegu tuż nad traktem, na uboczu, znajduje się znacznych rozmiarów mogiła usypana z twardej, szarej i skamieniałej ziemi. Nic na niej nie rośnie ani nie kwitnie, prócz drobnej trawy ostrej i kłującej jak drut ze stali.

Kopiec ten jest metą i na nim kończą się wszelkie zabawy dzieci dokoła mostu. Miejsce to z dawna zwano kurhanem Radisawa. Jak wieść niesie, miał to być jakiś serbski przywódca, mocarny człek. Gdy wezyr Mehmedpasza postanowił wznieść most na Drinie i posłał swych ludzi, wszyscy ulegli jego woli i odrabiali pańszczyznę, jedynie ów Radisaw zbuntował się i podburzył naród, żądając od wezyra, aby poniechał tego przedsięwzięcia, bo - żarty na bok - mostu nie wzniesie.

Wezyr miał sporo kłopotów, zanim pokonał Radisawa, gdyż był to zuch nie lada, kule ni miecz nie imają go się ani nie było postronka ni łańcucha, z których można by mu nałożyć pęta; zrywał wszystko jak nici. Jakiś talizman miał przy sobie. Kto wie, co by się stało i czy wezyr zdołałby wybudować most, gdyby się nie znalazł pośród jego ludzi mądry i chytry człowiek, który przekupił i pociągnął za język pacholka Radisawa.

Tak więc zniecka zaszli Radisawa we śnie i udusili, związawszy jedwabnym sznurem, gdyż tylko wobec jedwabiu amulet traci swą moc. Nasze kobiety wierzą, że jest taka noc w roku, kiedy można zobaczyć spływającą prosto z nieba jasność na tę mogiłę. Zwykle jakoś na jesieni, koło świąt Matki Boskiej.

Ale chłopcom, którzy wierząc i nie dowierzając, czuwali przy okienkach wychodzących na grób Radisawa, nigdy nie udało się dostrzec ognia niebieskiego, bo jeszcze przed północą morzył

⁷ Sejmen - strażnik, dozorca.

ich zazwyczaj sen. Za to wracający nocą do kasaby podróżni, którym nie zależało na tym, widywali jakiś silny blask na kopcu powyżej mostu.

Turcy z kasaby natomiast opowiadają, że w niepamiętnych czasach na tym miejscu poległ śmiercią męczeńską pewien derwisz, imieniem szeh-Turhanija, wielki bohater, który tu bronił przed jakimś giaurskim wojskiem przeprawy na Drinie.

A to, że na tej mogile nie ma niszanu⁸ ani pomnika, zgodne jest z jego ostatnią wolą, gdyż chciał być pochowany bez śladu i znaku, aby nikt nie znał miejsca jego wiecznego spoczynku.

Bo gdy kiedyś znów uderzą wojska niewiernych, on wstanie spod wzgórzka i powstrzyma je, podobnie jak ongiś to uczynił, tak że nie przekroczą mostu wyszegradzkiego. Dlatego niekiedy mogiłę jego niebo oświetla swym blaskiem.

Tak więc życie chłopców kasaby upływa pod mostem i dokoła niego na czczych zabawach lub na dziecinnych rojeniach.

Z nadejściem lat męskich przenosi się na most, właściwie na kapiję, gdzie wyobraźnia młodzieńcza znajduje inne pragnienia i tęsknoty, ale gdzie zaczynają się już życiowe sprawy, troski i zmagania.

Kapija i jej najbliższe otoczenie to miejsce pierwszych marzeń miłosnych, pierwszych spojrzeń przelotnych, zaczepek i szeptów. Jest to miejsce pierwszych interesów i zakupów, sporów i porozumień, spotkań i wyczekiwań. Tu na parapecie mostu przekupnie wystawiają na sprzedaż pierwsze czereśnie i arbuzy, poranny salep⁹ i gorące symity¹⁰. Tutaj ściągają żebracy, kalecy i trędowaci, a także młodzi i zdrowi, którzy sami chcą się pokazać lub innych zobaczyć, wreszcie ci wszyscy, co mają do zaprezentowania jakieś szczególne owoce, ubiory lub broń. Przesiadują tu często starsi, poważni ludzie, gwarzący o sprawach publicznych i wspólnych troskach, częściej jednak młódź, której tylko śpiewki i figle w głowie. Czasu wielkich wydarzeń i przemian dziejowych rozlepią się tutaj proklamacje i odezwy (na owym wyniosłym murze pod marmurową płytą z tureckim napisem, a nad kurkiem), tutaj także aż po rok 1878 wieszano i wbijano na pal głowy tych, których z jakichkolwiek powodów skazano na śmierć, a kara śmierci w tej pogranicznej kasabie, zwłaszcza w niespokojnych czasach, była rzeczą częstą, niekiedy nawet, jak to zobaczymy, codzienną.

Nie było wesela ani pogrzebu, żeby idąc przez most, nie zatrzymały się na kapii. Tu zwykle swatowie szykują się i ustawiają w orszak przed wejściem do czarszii. Jeśli lata są spokojne,

⁸ Niszana - znak.

⁹ Salep - gorący, słodki napój sprzedawany na ulicach miast i miasteczek Serbii.

¹⁰ Symit - rodzaj bułki.

beztroskie, uraczą się wódką, zaśpiewają, koło¹¹ zatańczą i spędzą tu nieraz więcej czasu, niż zamierzali. A podczas pogrzebu niosący nieboszczyka położą go na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu, zazwyczaj na kapii, gdzie i tak spędził znaczną część swego żywota.

Kapija jest najważniejszym punktem mostu, podobnie jak most jest najważniejszą częścią miasta. Pewien turecki podróżnik, gościnnie podejmowany w Wyszegradzie, powiada w swym dziele: „Kapija ich jest sercem mostu, a most jest sercem tej kasaby, która musi każdemu wryć się głęboko w serce”. Kapija ta jest dowodem, że dawni budowniczości, o których opowieści mówią, że zmagali się z wilami i wszelkimi dziwami i musieli żywcem zamuroвывать niemowlęta, umieli nie tylko wznieść trwałe i piękne budowle, ale pamiętali też o ich użyteczności oraz wygodzie przyszłych, nawet najdalszych pokoleń. Gdy pozna się tutejszy żywot, po dłuższej chwili zastanowienia musi się dojść do wniosku, że doprawdy niewielu ludziom w Bośni dane jest mieć taką wygodę i tyle zaznać przyjemności na kapii, co każdemu, nawet najlichszemu mieszkańcowi kasaby.

Oczywista nie liczy się zimy, gdyż wtedy przechodzi przez most tylko kto musi, a i ten, zwiesiwszy głowę, porządnie wyciąga nogi, smagany mroźnym wichrem wiecznie hulającym nad rzeką. Wtedy, rzecz jasna, nie ma mowy o zatrzymywaniu się na otwartych tarasach. Ale kiedy indziej kapija jest istnym dobrodziejstwem dla młodych i starych. Wówczas niejedyn tubylec może o każdej porze dnia i nocy wyjść na kapiję i spocząć na sofie albo przystanąć opodal na pogawędkę czy dla załatwienia jakiegoś interesu. Wychylona, zawieszona na wysokości kilkunastu metrów nad zieloną, rozhukaną rzeką ta sofa z kamienia sterczy nad wodą okoloną z trzech stron ciemnozielonymi szczytami, z kopułą nieba, chmurami lub gwiazdami nad sobą i z otwartym widokiem w dół rzeki jakby na mały amfiteatr, który w głębi zamyka pasmo sinych gór.

Iluż jest na świecie wezyrów czy bogaczy, którzy mogliby swą radość lub swój kaprys lub zabawę przenieść na takie miejsce? Niewielu, doprawdy niewielu. A ilu naszych ludzi w ciągu stuleci z pokolenia na pokolenie, przesiadziało tu akszam¹² lub nocne godziny aż do świtu, kiedy niepostrzeżenie przesuwa się nad głową cały gwiazdzisty strop! Wielu, jakże wielu z nas tu dumało, wsparłszy się o ciosany, gładki kamień; wpatrując się w odwieczną grę światła na szczytach i obłoków na niebie usiłowało rozwikłać wiecznie te same, a zawsze jakoś inaczej zagmatwane losy naszej kasaby. Dawno temu ktoś powiedział (co prawda był to przybysz i żartowniś), że kapija ta wywarła wpływ na kasabę i na charakter jej mieszkańców.

¹¹ Koło - serbski taniec ludowy.

¹² Akszam - wieczór; czwarta modlitwa wieczorna u muzułmanów.

W tym wiecznym przesiadywaniu - utrzymywał obcy - należy dopatrywać się skłonności do kontemplacji i marzeń, a także jednej z głównych przyczyn owej melancholijnej beztroski, z której słyną mieszkańcy kasaby.

W każdym razie trzeba przyznać, że wyszegradzianie z dawien dawna - w porównaniu z mieszkańcami innych miejscowości - uchodzili za ludzi lekkomyślnych, rozrzutnych i skłonnych do używania życia. Miasto leży w dogodnym miejscu, bogate są okoliczne wsie i urodzajne pola, toteż prawdę powiedziawszy, pieniądź płynie obfitą strugą przez Wyszegrad, ale długo w nim miejsca nie zagrzeje. Jeśli nawet znajdzie się pozbawiony namiętności, oszczędny i zapobiegliwy gospodarz, zazwyczaj jest to jakiś przybysz; ale wyszegradzka woda i powietrze mają to do siebie, że już jego dzieci przychodzą na świat z szerokim gestem i ulegają powszechnej zarazie rozrzutności i beztroski, a przyświeca im dewiza: „Inny dzień, a więc inne też wydatki”.

Fama głosi, że Starina Nowak, gdy zaniemógł i wypadło mu porzucić rzemiosło hajducze i Romanie, tak pouczał swego następcę, Dziecinę Grujicę:

- Gdy czatujesz w zasadzce, pilnie przyjrzyj się nadciągającemu podróżnemu. Jeśli zoczysz, że dumnie trzyma się w siodle, czerwony na nim serdak, srebrne guzy i białe skarpety, ani chybi z Foczy jest rodem. Bij zabij, bo ten ma i na sobie, i w biesagach. A gdy ujrzysz nędznie odzianego wędrowca, ze zwieszoną głową, zgiętego w kabłąk na koniu, jakby się wybrał po prośbie, śmiało nań uderz, bo ten jest z Rogatnicy. Obaj jednacy: sknery i kutwy, a pieniędzy mają w bród. Ale gdy spostrzeżesz jakiegoś dziwaka siedzącego na siodle ze skrzyżowanymi nogami, brzdąkającego na szargii¹³ i głośno się wydzierającego, daj spokój, nie warto rąk kalać, przepuść ladaco, to wyszegradzianin, a ten ci jest goły jak święty turecki, pieniądź go się nie trzyma.

To wszystko potwierdzałoby tylko opinię owego przybysza. A jednak trudno powiedzieć, co w tym zdaniu jest słuszne, a co nie. Podobnie jak w tylu innych rzeczach, tak samo i tutaj niełatwo dociec, co jest przyczyną, a co skutkiem. Czy to kapija zrobiła mieszkańców kasaby tym, czym są, czy też na odwrót - została pomyślana w duchu ich pojęć i wzniesiona podług ich upodobań, potrzeb i nawyków. Zbędne i daremne pytanie. Nie ma bowiem przypadkowych budowli, nieodpowiadających ludzkiej społeczności, wśród której powstały, jej potrzebom, tęsknotom i pojęciom, tak samo jak nie ma dowolnych linii i nieusprawiedliwionych kształtów w architekturze.

A powstanie i istnienie każdej monumentalnej, pięknej, pożytecznej budowli, tak samo jak i jej stosunek do osiedla, w którym została wzniesiona, często kryją w sobie skomplikowane i tajemnicze dramaty i dzieje. W każdym razie jedno jest pewne: istnieje głęboka więź pomiędzy

¹³ Szargija - instrument strunowy, przypominający mandolinę.

tym mostem a życiem mieszkańców kasaby. Losy ich tak się splatają, że oddzielnie nie sposób ich sobie ani wyobrazić, ani opisać. Dlatego też opowieść o powstaniu i losach mostu na Drinie jest jednocześnie opowieścią o życiu kasaby i całych pokoleń jej mieszkańców, podobnie jak w każdej gawędzie o kasabie przewija się sylwetka kamiennego mostu o jedenastu przęsłach z kapiją niby koroną pośrodku.

II

A teraz wypada nam cofnąć się w owe odległe czasy, kiedy nie powstała nawet myśl o moście w tym miejscu, zwłaszcza o takim jak ten.

Może zresztą już i w owych zamierzchłych czasach niejeden strudzony i przemoczony do nitki wędrowiec pragnął, przechodząc tędy, by jakimś cudem przerzucono most nad szeroką, huczącą rzeką, co ułatwiłoby szybsze dotarcie do celu. Niewątpliwie ludzie, podróżując tędy i pokonując w drodze przeszkody, od dawna zastanawiali się, jakby tu uprzystępnić przeprawę, podobnie jak wszyscy podróżni zawsze marzą o bitym trakcie, zacnej kompanii i ciepłym noclegu. Jeno że nie wszystkie życzenia są owocne ani nie każdemu pomysłowi towarzyszy wola i moc zdolne go ziszczyć.

Pierwszy obraz mostu, któremu sądzone było przyoblec się w kształt realny, zamajaczył, oczywiście jeszcze niejasno i mgliście, w wyobraźni dziesięcioletniego chłopca z pobliskiej wsi Sokolowici pewnego ranka 1516 roku, kiedy wywożono go tędy z rodzinnej wioski do dalekiego, wspaniałego i straszego Stambułu.

Wtedy ta sama Drina, zielona i rwąca górską rzeką, „co często zmacone ma wody”, przedzierała się tędy pośród nagich i pustych, to skalistych, to znów piaszczystych brzegów. Już wtedy istniała tu kasaba, lecz innych rozmiarów i kształtu. Na prawym brzegu, u szczytu stromego wzgórza, gdzie teraz szczybią się ruiny, stał dobrze zachowany Stary Zamek, przestronne, pamiętające jeszcze czasy rozkwitu królestwa bośniackiego zamczysko z basztami, lochami i murami, dzieło potężnego wielmoży Pawłowicia. Na zboczach u podnóża tego zamku i pod jego osłoną rozsiadły się chrześcijańskie osady Mejdani i Bikawac oraz niedawno sturczony przysiółek Duszcze. W dole na równinie między Driną i Rzawem, gdzie później powstała właściwa kasaba, były tylko pola miejskie przecięte traktem, przy którym stał drewniany, stary zajazd, kilka chałup i młynów.

W miejscu, gdzie Drina przecina gościniec, znajdował się słynny „prom pod Wyszegradem”. Był to czarny, starodawny prom, a na nim ponury, ociążały przewoźnik imieniem Jamak, którego trudniej było przywołać, niż zbudzić kogoś z najtwardszego snu. Był to chłop olbrzymiego wzrostu i niezwykłej siły, ale wyniszczony w wielu wojnach, w których okrył się sławą. Miał

tylko jedno oko, jedno ucho i jedną nogę (druga była drewniana). Bez pozdrowienia i bez uśmiechu przewoził towary i ludzi, w milczeniu, samowolnie, powoli i nieregularnie, ale uczciwie i bezpiecznie, tak że jego uczciwość i prawość stały się przysłowiowe, podobnie jak powolność i samowola.

Z podróznymi nie chciał mieć nic wspólnego ani wdawać się w żadne rozmowy. Miedziaki za przewóz podróźni rzucali na dno czarnego promu, gdzie cały dzień leżały w piasku i wodzie, a dopiero o zmierzchu przewoźnik zgarniał je niedbale drewnianym czerpakiem i zanosił do chaty na brzegu.

Prom kursował jedynie wówczas, gdy prąd i stan wody był normalny albo tylko trochę wyższy; lecz wystarczyło, by fale nieco się zmaciły i wylały poza pewną granicę, a Jamak wyciągał swój niezgrabny prom, umocowywał w jakiejś zatoczce i Drina stawała się nieprzebyta jak największe morze. Wtedy Jamak głuchł i na zdrowe ucho albo po prostu szedł na swoje pole na podzamczu. Wówczas przez cały dzień widać było na przeciwległym brzegu przybywających z Bośni podróźnych, którzy zdesperowani stali na skalistym wybrzeżu, skąd zziębnięci i przemoczeni daremnie wyglądali promu i przewoźnika, od czasu do czasu pokrzykując przeciągle nad mętłą, rozszalałą rzeką:

- Ooooo, Jamaaak!

Nikt nie odpowiada i nikt się nie zjawia, póki woda nie opadnie, a chwilę tę określa sam Jamak ponuro, nieubłaganie, bez jednego słowa wyjaśnienia.

Miasto, wtedy właściwie jeszcze gęsto zabudowana nieduża osada, uczezione było prawobrzeżnego stoku stromego wzgórza, u stóp ruin starego zamczyska, gdyż nie istniała wówczas kasaba w zasięgu i kształcie, jaki później przybrała, kiedy most wybudowano, a handel i komunikacja się rozwinęły.

Owego dnia listopadowego przybyła na lewy brzeg rzeki długa karawana jucznych koni i zatrzymała się tu na popas.

Aga z poczem zbrojnych janczarów wracał do Stambułu, uwożąc ze wschodniej Bośni pewną liczbę chrześcijańskich dzieci jako adżami-oglan¹⁴.

Szósty rok już minął od ostatniego poboru owej daniny krwi, nie dziw więc, że tym razem wybór był łatwy i bogaty; bez trudu znaleziono odpowiednią ilość zdrowych, urodziwych i bystrych chłopaków w wieku od dziesięciu do piętnastu lat, mimo że wielu było rodziców, którzy ukrywali dzieci po lasach, kazali im udawać pomylnych albo kulawych, odziewali w łachmany i

¹⁴ Adżami-oglan - chłopcy, których Turcy uprowadzali z podbitych krajów chrześcijańskich jako daninę krwi i tworzyli z nich oddziały janczarów.

pozwalali obrosnąć brudem, byleby nie padł na nie wybór agi. Niektórzy kaleczyli nawet rodzone dzieci, obcinając im palec u ręki.

Wybranych chłopców wywoziła długa karawana małych bośniackich koników. Do każdego konia przytraczano po obu jego bokach dwa sepety plecione jak kosze na owoce, a w każdym siedział chłopiec z małym węzełkiem i kołaczem, ostatnimi rzeczami wyniesionymi z ojcowskiej chaty. Z miarowo chwiejących się i trzeszczących koszy wyzierały przestraszone twarzyczki uprowadzonych chłopców. Jedni zapuszczali nieruchomy wzrok ponad końskimi zadami jak najdalej w głąb rodzinnego krajobrazu, inni jedli, pochlipując, a jeszcze inni spali, wsparłszy główki na kulbakach.

W pewnej odległości za ostatnimi końmi tego niezwykłego orszaku podążali rozproszeni i zdyszani rodzice lub krewni wywożonych na zawsze chłopców, którzy wśród obcych - obrzezani, sturczeni i niepomini swej wiary, pochodzenia i ojczyzny - pędzić będą żywot w janczarskich oddziałach lub na jakimś wyższym stanowisku w służbie Imperium. Przeważnie były to kobiety, zwłaszcza matki, babki i siostry. Kiedy zanadto się zbliżały, jeźdźcy agi rozpędzali je batami, najeżdżając na nie końmi i wrzeszcząc niesamowicie. Rozbiegały się wtedy i kryły w przydrożnym lesie, lecz wkrótce znów się gromadziły za karawaną i wyteżały załzawione oczy, by jeszcze raz ujrzeć nad koszem główkę dziecka. Szczególnie nieustępliwe i wytrwałe były matki. Biegły co tchu, nie patrząc pod nogi, w rozchełstanych koszulach, z włosom rozwianym, na nic niebaczne, zawodziły i lamentowały jak za zmarłymi, inne jęczały i wyły nieprzytomnie jakby w bólach rodzenia i oślepię od łez wpadały prosto pod baty jeźdźców. Inne wołały do synów, by na drogę przekazać im jeszcze coś od siebie, tyle, ile zawrzeć można w dwóch słowach - jakieś ostatnie polecenie lub przestrogę.

- Rade, synku, nie zapomnij o matce...

- Ilija! Ilija! Ilija! - wołała inna, szukając rozpaczliwie wzrokiem znanej, drogiej główki, powtarzając w kółko, jakby chciała dziecku wryć w pamięć to imię, które mu za kilka dni na zawsze odbiorą.

Ale droga jest daleka, ziemia twarda, ciało słabe, a jeźdźcy tureccy potężni i okrutni. Powoli kobiety zostawały w tyle i zmęczone marszem, odpędzane razami, prędzej lub później zaprzestawały bezowocnych wysiłków. Przy wyszegradzkim promie musiały zatrzymać się nawet najwytrwalsze, gdyż na prom ich nie wpuszczano, a brodu na rzece nie było. Mogły tu spokojnie siedzieć na brzegu i płakać do woli, bo nikt już ich nie odpędzał. Czekały jak skamieniałe, nieczułe na głód, pragnienie i ziąb, póki po drugiej stronie jeszcze raz nie ujrzały wyciągniętego orszaku koni i jeźdźców skręcających na Dobrun, a wśród nich znikającego z oczu dziecka.

Owego dnia listopadowego w jednym z licznych koszy siedział, milcząc i suchymi oczami wodząc dokoła śniady dziesięcioletni chłopak z wysoko w górach położonej wioski Sokolowici. W zziębniętej, zaczerwienionej ręce trzymał kozik i z roztargnieniem strugał obrzeże kosza, bacząc na wszystko wokół. Zapamiętał skalisty brzeg, z rzadka porosły ogołoconą z liści, szarą wikliną, szkaradnego przewoźnika i walący się, pełen pajęczyny młyn na wydmuchowie, gdzie musieli nocować, zanim udało się wszystkim przepawić przez mętłą Drinę, nad którą, kracząc, unosiły się wrony. Wspomnienie tego miejsca, gdzie droga się urywa, a beznadziejna i przygnębiająca nędra piętrzy się i narasta na skalistych brzegach rzeki, przez którą przeprawa jest trudna, niebezpieczna i kosztowna, chłopak uniósł ze sobą niby stały ból fizyczny tkwiący gdzieś w głębi duszy, wzmagający się niekiedy tak, iż zda się, że serce pęknie.

Było to jedno z najsmutniejszych miejsc tej ubogiej i górzystej krainy, gdzie bieda jest jawna i oczywista, a człowiek ograniczony potęgą żywiołu i zawstydzony własną niemocą musi lepiej się przyjrzeć własnej i cudzej niedoli i zacołaniu.

To wszystko zapadło w ów ból fizyczny, który ogarnął serce chłopca tego dnia listopadowego i nigdy nie miał go opuścić, chociaż zmienił tryb życia, wiarę, imię i ojczyznę.

O dalszych losach tego chłopca wywiezionego z rodzinnej wsi mówią wszystkie historie we wszystkich językach; i lepiej wiedzą o tym w szerokim świecie niż u nas. Z czasem wyrósł z niego młody, dzielny dostojnik na dworze sułtana, kapudan-pasza¹⁵, zięć sułtana, wódz i mąż stanu o sławie światowej.

Był to ów Mehmedpasza Sokoli, który na trzech kontynentach toczył zwycięskie przeważnie wojny, rozszerzył granice Imperium Otomańskiego, zabezpieczył je z zewnątrz i rozumnymi rządami umocnił od wewnątrz. W ciągu sześćdziesięciu kilku lat życia służył trzem sułtanom, przeżył rzeczy dobre i złe, które tylko nielicznych wybrańców są udziałem, osiągnął niedostępne nam szczyty potęgi i władzy, gdzie tylko niewielu potrafi się wspiąć i utrzymać. Ten nowy człowiek, wrósłszy w obce środowisko, w którym nawet myślą nie sposób mu towarzyszyć, musiał zapomnieć o wszystkim, co przed laty zostawił w ziemi ojczystej. Niewątpliwie zapomniał o przeprawie przez Drinę pod Wyszegradem, o pustym brzegu, na którym podróżni drżą z zimna i niepewności, o powolnym, toczonym przez robactwo promie, okropnym przewoźniku i chmarach głodnych wron nad spienioną wodą. Ale uczucie bólu, pozostałe po tym wszystkim, nigdy zupełnie nie znikło.

Przeciwnie, z biegiem lat i z nadchodzącą starością pojawiała się coraz częściej: zawsze ten sam straszliwy cios, który przeszywa pierś ostrym, znajomym bólem z dzieciństwa, wyraźnie

¹⁵ Kapudan-pasza - naczelny dowódca floty.

innym niż wszystkie strapienia i dolegliwości, jakie późniejszy żywot przynosił. Wtedy z przymkniętymi powiekami wezyr czekał, aż czarne ostrze przejdzie i ból minie. W jednej z takich chwil pomyślał, że uwolniłby się może od tego nieprzyjemnego uczucia, gdyby zniósł ów prom na dalekiej Drinie, przy którym bez ustanku gromadzi się i narasta wielka bieda i nędza, spajając strome brzegi i moszcząc złą pośród nich wodę; związawszy oba końce urwanego tu traktu, po wieczne czasy złączyłby Bośnię ze Wschodem, miejsce swego urodzenia z miejscem swego życia. Tak więc był on pierwszym, który w pewnej chwili pod przymkniętymi powiekami dostrzegł mocną, smukłą sylwetkę wielkiego kamiennego mostu, co miał stanąć w tym miejscu.

Jeszcze w tym samym roku z rozkazu wezyra przystąpiono do budowy na jego koszt dużego mostu na Drinie. Budowa trwała pięć lat. Musiał to być wyjątkowo ważny i pamiętny dla kasaby i całej okolicy okres, pełen przemian, drobnych i wielkich przeżyć. Ale o dziwo, kasaba, która setki lat pamiętała i z ust do ust podawała najrozmaitsze wypadki, nawet tylko pośrednio łączące się z mostem, o samych robotach zachowała jeno garść szczegółów.

Lud bowiem pamięta i przekazuje to, co może pojąć i co potrafi przetworzyć w legendę. Reszta przechodzi mimo niego, nie zostawiając głębszych śladów, z niemą obojętnością bezimiennych zjawisk natury, nie poruszając jego wyobraźni i nie utrwalając się w pamięci. Ta długotrwała i żmudna budowa była dlań cudzą pracą na cudzy koszt. Dopiero gdy z tego trudu wyrósł wielki most, zaczęli ludzie przypominać sobie szczegóły i powstanie rzeczywistego, kunsztownie zbudowanego, trwałego mostu przyoblekać w fantastyczne legendy, które oni znów umieli zręcznie snuć i długo zachowywać w pamięci.

III

Wiosną tego roku, kiedy zapadła decyzja wezyra, zjechali do kasaby jego ludzie, aby poczynić przygotowania do budowy. Poczët był liczny, na koniach i wozach, z narzędziami różnymi i namiotami. To wszystko wywołało strach i zamęt w małej mieścinie i po okolicznych wsiach, osobliwie wśród ludności chrześcijańskiej.

Na czele oddziału stał Abidaga, główny pełnomocnik wezyra do spraw budowy mostu, mając przy boku budowniczego Tosun efendiego. (O Abidadze owym krążyły wieści, że to człowiek nad wyraz bezwzględny, okrutny i surowy). Ledwo ludzie wezyra rozbili namioty u stóp Mejdanu, Abidaga zwołał na naradę przedstawicieli władz i co znamienitszych Turków. Ale nie było co radzić, jako że zabierał głos tylko jeden człowiek, to jest Abidaga. Zebrani znaleźli się przed obliczem rosłego mężczyzny o niezdrowej czerwonej cerze i zielonych oczach, krótką rudą bródką i wąsami dziwacznie podkreconymi na modłę węgierską, odzianego w bogatą carogrodzką szatę. Słowa owego gwałtownego człowieka zaskoczyły ich bardziej niż sam jego wygląd.

- Jak się zdaje, wieści o mnie dotarły do was już przede mną, a o ile wiem, nie mogły być one ani dobre, ani przyjemne.

Zapewne słyszeliście, że od każdego wymagam pracy i posłuszeństwa, że potrafię zbić, a nawet ubić każdego, kto nie pracuje należycie i nie spełnia rozkazów bez szemrania, że ja nie wiem, co to „nie można” i „nie ma”, że u mnie nawet błahostkę łącznie można przypłacić głową, krótko mówiąc - że jestem krwawym i złym człowiekiem. Mogę was zapewnić, że pogłoski te ani trochę nie są zmyślane czy przesadzone. Pod moją lipą zaiste nie ma cienia! Taką sławę zdobyłem w długoletniej służbie, ofiarnie spełniając rozkazy wielkiego wezyra. Ufam Bogu, że wykonam i to zadanie, dla którego mnie tu posłano, a gdy po zakończeniu robót wyjadę stąd, nie wątpię, że wyprzedzą mnie jeszcze gorsze i bardziej ponure wieści niż te, jakie do was dotarły.

Po tym niezwykłym wstępie, którego wszyscy wysłuchali w milczeniu, ze spuszczonej oczami, Abidaga wyjaśnił, że chodzi o monumentalną budowlę, jakiej nie mają nawet bogatsze kraje, że roboty trwać będą pięć, a może nawet i sześć lat, ale wola wezyra zostanie wykonana wiernie co do joty i punktualnie co do minuty. Następnie wyłożył, co jest najpilniejsze, jakie będą początkowe prace i czego będzie wymagać od tutejszych Turków, a czego od rai¹⁶, chrześcijan.

Obok niego siedział Tosun efendi, drobny, bladej, żółty poturczeniec, rodem z wysp greckich, neimar, który wznosił liczne budowle dla Mehmedpaszy w Carogrodzie. Był spokojny i obojętny, jakby nie słyszał czy też nie rozumiał słów Abidagi.

Patrzył na swoje ręce i tylko od czasu do czasu podnosił wzrok.

Wtedy można było ujrzyć jego duże, czarne, piękne o aksamitnym blasku oczy krótkowidza, który prócz swojej roboty nie widzi, nie czuje i nie pojmuje nic z otaczającego życia i świata.

Ludzie wyszli z ciasnego i dusznego namiotu zmieszani i strapieni. Czuli, jak pot oblewa ich pod nowymi, odświętnymi szatami, i każdego z nich zniechęca ogarnął przemożny strach i niepokój.

To, co teraz spadło na kasabę i okoliczne ziemie, było strasznym, niepojętym dopustem, którego kresu nie sposób było dojrzeć.

Najpierw przystąpiono do wyrębu lasu i zwózki drzewa.

Tyle budulca zwieziono na oba brzegi Driny, że ludzie długo przypuszczali, iż most będzie drewniany. Potem zabrano się do robót ziemnych, rozkopywania, rycia skalistego pobrzeża.

Roboty te wykonywano przeważnie szarwarkiem, i to do późnej jesieni, kiedy zawieszono je tymczasowo i zakończona została pierwsza część przedsięwzięcia.

¹⁶ Raja - pogardliwa nazwa nadawana przez Turków poddanym tureckim - chrześcijanom.

Dozór nad wszystkim miał Abidaga i jego zielona, długa, w pieśniach uwieczniona laska. Na kogo bowiem nią wskazał, spostrzegłszy, że się leni lub nie pracuje należycie, tego od razu porywali sejmeni, odliczali baty na miejscu, a potem zbroszonego krwią i nieprzytomnego polewali wodą i z powrotem zapędzali do roboty. Gdy późną jesienią Abidaga opuszczał miasto, ponownie zwołał starszyznę i znamienitszych ludzi, oznajmiając im, że na zimę wybiera się gdzie indziej, ale oko jego czuwać będzie nadal. Wszyscy odpowiadają za wszystko. Jeśli się okaże, że cokolwiek zniszczono, albo jeśli zabraknie choćby jednej jedynej belki z nagromadzonego budulca, na całe miasto nałoży grzywnę. Na uwagę, że szkody mogłaby również wyrządzić powódź, odpowiedział zimno, bezzwłocznie, że to jest ich ziemia, a więc i ich rzeka, zatem i odpowiedzialność za szkody, jakie ona wyrządzi, spadnie na nich.

Całą zimę ludziska strzegli budulca i pilnowali robót jak oka w głowie. Z nastaniem wiosny pojawił się Abidaga z Tosun efendim, a także dalmatyńscy kamieniarze, których lud nazywał „rzymskimi majstrami”. Z początku było ich ze trzydziestu. Na czele ich stał niejaki majster Antonije, chrześcijanin z Ulcinja. Był to wysoki, urodziwy mężczyzna o dużych oczach, śmiałym wejrzeniu, orlim nosie, ciemnych włosach spływających na ramiona, ubrany z pańska, podług mody zachodniej. Pomocnikiem jego był Murzyn, najprawdziwszy Murzyn, wesoły młody człowiek, którego całe miasto i robotnicy nazywali Arabem.

Podczas gdy w zeszłym roku, sądząc po stertach drzewa, wydawało się, że Abidaga zamierza wznieść most drewniany, teraz ludzie pomyśleli, że chce zbudować nad Driną nowy Sambuł. Zaczęto zwozić głązy z kamieniołomów położonych o godzinę drogi od kasaby w górach koło Banji.

Następnego roku rozkwitła pod bokiem wyszegradzkiego promu jakaś niezwykła wiosna. Prócz tego, co kielkuje i kwitnie zawsze o tej porze, wyrosło tu całe osiedle; wytyczono nowe drogi i nowe znaleziono brody; rozpełzły się nieprzeliczone podwody zaprzężone w woły i konie. Mieszkańcy Mejdanu i Okolizta patrzyli, jak z każdym dniem niby grzyby po deszczu rośnie w dole nad rzeką niespokojna ciżba ludzi i bydła oraz nagromadzenie wszelakiego budulca.

Na stromym brzegu pracowali kamieniarze. Cały ten teren przybrał żółtawą barwę kamiennego pyłu. Opodal na piaszczystej równinie gasili wapno miejscowi robotnicy, snując się obdarci i biali w bijących w górę znad wapiennicy białych oparach. Drogi są rozjeżdżone przeładowanymi wozami. Prom kursuje od świtu do zmroku, przewożąc z jednego brzegu na drugi budulec, dozorców i robotników. Zanurzeni po pas w mętnej, wiosennej wodzie specjaliści robotnicy wbijają pale i bierwiona, splatają i wiążą wiklinowe pręty, ubijają groble mające zmienić nurt rzeki.

Tej krzątaninie przyglądają się ludzie, którzy dotąd wiedli spokojny żywot w kasabie rozsiadłej po zboczach i u promu nad Driną. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby mogli tylko się przyglądać; ale roboty rozrastają się, i to w takim tempie, że wciągają w swój wir wszystko, co żyje nie tylko w kasabie, ale i szeroko wokół niej. Z nastaniem drugiego roku liczba robotników zwiększyła się tak bardzo, że równała się liczbie męskich mieszkańców kasaby. Wszystkie podwozy, wszystkie konie i woły pracują tylko dla mostu. Wszystko, co może poruszać się i toczyć, jest zabierane i zaprzęgane do roboty, już to za wynagrodzeniem, już to przemocą. W obiegu jest więcej pieniędzy niż dawniej, ale drożyzna i niedostatek rosną szybciej niż ich przypływ; toteż gdy pieniądze dostaną się do ręki, są już na wpół przejedzone. Ale przykrzejsze od drożyzny i biedy są dla tutejszych ludzi niepokój, zamęt i niepewność, które zwały się na kasabę na skutek nagromadzenia tylu robotników przybyłych z całego świata. Mimo surowości Abidagi często zdarzają się bójki pomiędzy robotnikami i kradzieże po ogrodach i podwórzach. Muzułmanki muszą zasłaniać twarze nawet wtedy, gdy wychodzą na podwórko, zewsząd bowiem mogą je wypatrzeć spojrzenia nieprzeliczonych obcych i miejscowych; a Turcy z kasaby pilnie przestrzegają przepisów Koranu, tym bardziej że dopiero od niedawna są Turkami i nie ma chyba ani jednego, który by nie pamiętał ojca lub dziada jako chrześcijanina albo świeżo upieczonego poturczeńca. Nie dziw więc, że starsi ludzie wyznania mahometańskiego otwarcie sarkają, odwracają się od tego natłoku robotników, bydła, drzewa, zwałów ziemi i kamieni, który coraz bardziej rośnie, przewala się po obu stronach promu i w swej nieposkromionej chciwości sięga po ich uliczki, podwórka i ogrody.

Początkowo wszyscy byli dumni z wielkiej budowli, którą zamierza wznieść wezyr pochodzący z ich rodzinnych stron.

Wtedy nie mieli jeszcze pojęcia o tym, co teraz wiedzą; że takie wspaniałe budowle potrzebują tyle kamienia i nieładu, mozołu i kosztów. Pięknie to, medytują, należeć do panującego wyznania, piękna to rzecz mieć ziomka wezyrem w Stambule, a jeszcze piękniejsza wyobrazić sobie trwały, kosztowny most na rzece, ale co się teraz wyrabia, to niepodobne do niczego. Ich miasto zmieniło się w istne piekło, jakieś błędne koło niepojętych robót, dymu, kurzu, zgiełku i zamętu. Lata mijają, roboty narastają i szerzą się, ale kresu ich i sensu nie widać. To przypomina wszystko, jeno nie most.

Tak myślą tutejsi poturczeńcy, przyznając w cztery oczy, że mają już tego dość i że bokiem im wyłazi i pańskość, i duma, i przyszła sława; wyrzekają się mostu i wezyra, błagają Boga, żeby ich uwolnił od tej zmory i przywrócił im oraz ich domostwom dawny spokój i ciszę skromnego bytowania u starodawnego promu na rzece.

Dopiekło Turkom, ale jeszcze bardziej dogryzło chrześcijańskiej rai w całej ziemi wyszegradzkiej, jeno że nikt jej o nic nie pyta ani ona nie śmie okazać swego niezadowolenia.

Już trzeci rok odrabiają pańszczyznę na tej budowie własną pracą i podwodami. I to nie tylko tutejsza raja, ale i ta z trzech sąsiednich powiatów. Wszędzie konni sejmeni Abidagi chwytają chłopską, a nawet i miejską raję i spędzają do roboty przy moście. Zazwyczaj zaskakują ludzi podczas snu i wyłapują jak kurczaki. Jak Bośnia długa i szeroka wędrowiec ostrzega wędrowca, by się nie wybierał nad Drinę, bo każdego, kto tam trafi, porwą, nie pytając, kto zacz i dokąd się udaje, i zmuszą do odrobienia przynajmniej kilku dni. Miejscowi chrześcijanie wykupują się łapówkami. Większy młodzieńcy próbowali uciekać do lasu, ale w takim wypadku sejmeni miast zbiegów uprowadzają z domów zakładników, często nawet kobiety.

Już trzecią jesień ludziska harują na moście, a nic nie wskazuje, żeby roboty ubywało i bliski był kres ich niedoli.

Jesień w pełni; opadły liście, nastały roztopy, wezbrały i zmętniały wody Driny, a ścierniska pełne są ospałych wron. Ale Abidaga nie wstrzymuje pracy. W skąpym słońcu listopadowym chłopci zwożą drzewo i głazy, człapią boso albo w kierpcach z niewyprawionej skóry po rozmokłej drodze, pocą się z wysiłku i ziębną na wietrze, mocniej zaciskają szarawary pełne nowych dziur i starych łat, wiążą podarte końce jedynej zgrzebnej koszuli czarnej od deszczu, błota i dymu, ale nie mają odwagi jej wyprać, bo zostałyby same strzępy. Nad wszystkimi wisi zielona laska Abidagi, gdyż Abidaga sam dogląda wszystkiego - i kamieniołomów w Banji, i robót na moście, i to kilka razy dziennie. Wścieka się i złości na cały świat, że dni są krótsze, a roboty nie posuwają się tak szybko, jakby chciał.

W ciężkiej sobolej szubie i butach z cholewami, czerwony z pasji, wspina się na rusztowania filarów wyłaniających się z wody, zagląda do kuźni, składów i szałasów robotniczych i po kolei rzuca się na wszystkich - dozorców i przedsiębiorców.

- Dni są krótkie! Coraz krótsze! Ach, wy sukinsyny, darmozjady!

Wrzeszczy tak, jakby to z ich winy późno świtało i wcześniej zmierzch zapadał. Przed zmrokiem, nieubłaganym, beznadziejnym wyszegradzkim zmrokiem, gdy strome góry zaciskają obręcz wokół kasaby i szybko zstępuje noc, ciężka i głucha, jakby ostatnia, wściekłość Abidagi dochodzi do szczytu; nie mając już na kim jej wyładować, gryzie się w bezsilnej pasji i nie może oka zmrużyć na myśl o tylu niewykonanych pracach i mrowiu ludzkim, które marnuje i mitręży czas. Zgrzyta zębami. Wzywa dozorców i oblicza, jakby od jutra lepiej dzień zużytkować i siłę roboczą wykorzystać.

A ludziska tymczasem śpią po szałasach i chatach, odpoczywają i zbierają siły. Ale nie wszyscy śpią; oni także umieją czuć, na swój sposób i dla swoich celów. W jakiejś obszernej,

suchej izbie płonie pośrodku ognisko, właściwie dogorywa, gdyż została tylko garść tlejącego w półmroku żaru. Chata pełna jest dymu i kwaskowatego, przykrego odoru mokrej odzieży, kierpców i potu kilkudziesięciu ciał ludzkich. Są to okoliczni wyrobnicy, biedota wiejska, chrześcijanie. Wszyscy brudni, przemoknięci, zmordowani i zafrasowani. Zżera ich ta bezpłatna i beznadziejna robota, podczas gdy ich pola w górskich wsiach na próżno czekają na jesienną orkę. Większość nie śpi.

Suszą onuce przy ogniu, łatają kierpce albo po prostu gapią się w żar. Nie wiadomo skąd wziął się pośród nich jakiś Czarnogórzec; złapali go sejmeni na drodze i już od kilku dni haruje, choć wciąż rozpowiada i dowodzi, jak mu jest ciężko, że jego honor nie pozwala na tę pańszczyznę i że mu ona nie przystoi.

Zebrało się teraz dokoła niego sporo chłopów, osobliwie młodszych. Z przepaścistej kieszeni swej szarej guni Czarnogórzec wydobył niepozorne, małe jak dłoń gęśle i krótki smyczek. Jakiś chłop wyszedł przed chatę i pilnuje, żeby nie nadszedł któryś z Turków. Wszyscy wlepili oczy w Czarnogórca, jakby dopiero teraz pierwszy raz go ujrzeli, i w gęśle, które znikają w jego ogromnych łapach. Nachyla się; gęśle położył na kolanach, gryf przyciska brodą, strunę pociera smołą i chucha na smyczek; wszystko zmokło i nasiąkło wilgocią. Podczas gdy on czyni te drobiazgowo przygotowania z powagą i spokojnie, jakby sam był na świecie, oni wpatrują się weń bez zmrużenia powiek.

Wreszcie rozlega się pierwszy dźwięk, ostry, nierówny. Wzruszenie narasta. A Czarnogórzec stroi gęśliki i poczyną mrużyć do wtóru. Wszystko się nastraja i zapowiada przedziwną opowieść. Aż w pewnej chwili grajek, jako tako zestroiwszy głos z gęslami, odrzucił nagle głowę do tyłu dumnie i tak gwałtownie, że grdyka mu wyskoczyła na chudej szyi, a ostry profil zarysował się na tle ognia, wydał przytłumiony, przeciągły głos:

- Aaa-aaaa! - po czym ciągnął wyraźnie i przejmująco:

*Wino pije nasz serbski car Stefan
W pięknym mieście, prześlicznym Prizrenie,
Z nim też siedzi czterech patriarchów,
Patriarchów, mężów siwowłosych,
Przy ich boku dziewięciu władyków.
Z buńczukami wezyrów dwudziestu,
Dalej siedzą serbskie zacne pany,
Wino leje Mijajlo podczaszy,
A siostra Kandosija oślepia
Drogimi kamieniami u piersi...*

Chłopi coraz bardziej, bezszelestnie zacieśniają krąg wokół gęślarza. Wszyscy mrugają oczami, zdumieni i olśnieni. Mrowie ich przechodzi, grzbiety się prostują, piersi nadymają, oczy błyszczą, palce się rozwierają i kurczą, szczęki zaciskają.

Czarnogórzec snuje opowieść coraz szybciej i szybciej, coraz piękniej i śmieiej, a przemoczeni i wybici ze snu, zachwyceni i obojętni na wszystko chłopi wsłuchują się w pieśń, jakby swoją własną, piękniejszą i jaśniejszą dolę.

Pośród wyrobników był także niejaki Radisaw z Uniszta, niedużego przysiółka tuż nad kasabą. Niski, smagły, o rozbieganych oczach, zgięty w krzyżu, chodził prędko, wyrzucając nogi i potrząsając głową i ramionami w lewo i w prawo, jakby przesiewał mąkę. Mimo wyglądu i pozoru nie był ani biedakiem, ani prostakiem. Wywodził się z Heraków; mieli dobrą ziemię i dużo było u nich mężczyzn, ale w ciągu ostatnich czterdziestu lat bez mała cała ich wieś sturczyła się, tak że chrześcijanie byli bardzo osamotnieni. Mały, zgarbiony i żwawy Radisaw „siał” w owe jesienne noce z jednej chałupy do drugiej, jak szydło wciskał się między chłopów i szeptem zmawiał się z poniektórymi. Głównie taka była treść jego słów:

- Bracia, zalazło nam za skórę, to i pora się bronić. Sami widzicie, że budowa ta nas zadręczy i zeżre. Nawet dzieci nasze, gdy nas nie stanie, będą na niej harować. O nic innego też nie idzie, jeno o naszą zgubę. Biedocie i rai mosty nie są potrzebne, jeno Turkom; a my ani w wojsku nie służymy, ani handlu imać się nie możemy; prom aż nadto dla nas. A więc zmówiliśmy się, że w kilku wybierzemy się późną nocą burzyć i psuć, ile się da, to co zrobiono i zbudowano, szerząc wieści o wili, która niszczy pracę i nie chce, by most stanął na Drinie.

Zobaczymy, czy to co pomoże. Nie mamy innego wyjścia, a przecie coś trzeba zrobić.

Znaleźli się, jak zwykle, małoduszni i nieufni, którzy uważali, że nic z tego nie wyjdzie, bo silnych i chytrych Turków nie da się odciągnąć od ich zamysłów, trzeba więc zdać się na wolę Bożą i dalej odrabiać pańszczyznę, a nie pogarszać nieszczęścia. Znaleźli się jednak tacy, co mniemali, że lepsze wszystko inne niż taka harówka i czekanie, aż ostatni łachman spadnie z grzbietu, a wskutek ciężkiej pracy i marnego wyżywienia Abidagi opuszczą ich resztki sił; trzeba iść za każdym, komu jakiś cel przyświeca. Przeważnie byli to młodzieńcy, chociaż trafiali się też poważniejsi, żonaci ludzie, gospodarze, którzy przystali do nich bez zapału i rozgorączkowania, prawiając trwożnie:

- Ano zrywajmy, lepiej my jego wykończmy, niżby on miał nas. A jeśli i to na nic się zda...

Tu machali rękami z rozpaczliwą stanowczością.

Tak więc z nastaniem pierwszych jesiennych dni gruchnęła wieść, najpierw pośród wyrobników, a potem w całej kasabie, że wila brodarica wmieszała się w budowę mostu, burzy i niszczy w nocy, co za dnia zbudują, i że z mostu nic nie będzie.

Jednocześnie podczas nocy wyrządzono zagadkowe szkody na groblach, a także i na samej budowie. Narzędzia, które dotąd murarze zostawiali na rozpoczętych ostatnich filarach, zaczęły nagle ginąć i gdzieś się zapodziać, roboty ziemne psuć się i osypywać.

Daleko rozeszła się wieść, że nie będzie można zbudować mostu; szerzyli ją zarówno Turcy, jak chrześcijanie, coraz bardziej miała pozór głębokiej pewności. Chrześcijańska raju triumfowała, co prawda szeptem, co prawda po cichu i skrycie, ale z całego serca. Miejscowi Turcy, dawniej z dumą przyglądający się budowli wezyra, zaczęli lekceważąco mrugać i machać rękami. Wielu serbskich poturczeńców, którzy zmieniwszy wiarę, zawiedli się w swych oczekiwaniach i po dawnemu zasiadali do skromnej wieczerzy i świecili łokciami, słuchali i powtarzali ochotczo wieści o wielkim niepowodzeniu, z gorzkim zadowoleniem stwierdzając, że nawet wezyrom nie udaje się osiągnąć i wykonać wszystkiego, co zamysła. Zaczęto już przebąkiwać, że cudzoziemscy majstrowie szykują się do odjazdu i że most nie stanie tam, gdzie go nigdy nie było i gdzie w ogóle nie trzeba było go zaczynać wznosić. Pogłoskom tym szybko dawano posłuch.

Ludzie bowiem łatwo zmyślają historie i prędko je roznoszą, a rzeczywistość przedziwnie i nierozłącznie miesza się i splata z legendami. Chłopi, którzy w nocy słuchali gęślarza, opowiadali, że wiała burza most, że zapowiedziała Abidadze, iż nie spocznie, póki nie zamurują w fundamentach bliźniąt, brata i siostry, imieniem Stoja i Ostoja. Wielu zaklinało się, że widziało sejmików wałęsających się po wsiach w poszukiwaniu takich dzieci. (Sejmeni istotnie zaglądali do wsi, nie szukali jednak dzieci, lecz z rozkazu Abidagi węszyli i zasięgali języka wśród ludu, żeby się dowiedzieć, co to za jedni owi nieznani sprawcy, co burzą most).

W owym czasie w pewnej wiosce powyżej Wyszegradu zaszła w ciążę jakaś niespełna rozumu biedna dziewczyna, niemowa, która służyła u obcych; nie chciała, a może nie umiała powiedzieć, kto był przyczyną jej nieszczęścia. Był to rzadki i niepamiętny wypadek, żeby dziewczyna, i to taka, poczuła się matką, a ojciec pozostał w dodatku nieznanym. Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się daleko. Akurat niedawno biedaczka wydała na świat w jakiejś chałupie nieżywe bliźnięta. Baby ze wsi pomogły jej przy porodzie, który był niesłychanie ciężki, i od razu pochowały niemowlęta w jakimś sadzie pod śliwą.

Nieszczęśliwa matka na trzeci dzień zwlokła się i poczęła szukać ich po wsi. Daremnie jej tłumaczyli, że niebożęta urodziły się martwe i zostały pochowane. Dla pozbycia się natrętnej kobiety powiedzieli jej, a raczej wyjaśnili na migi, że dzieci zabrano do kasaby, tam gdzie Turcy budują most. Osłabiona i w rozpacz pogrążona dziewczyna powlokła się do miasta i poczęła krążyć wokół promu i rusztowań, zaglądać z lękiem ludziom w oczy i niezrozumiałym bełkotem pytać o dzieci.

Ludzie przyglądali się jej w zdumieniu albo odpędzali, żeby nie przeszkadzała w robocie. Widząc, że nie rozumieją jej, rozpięła zgrzebną koszulę i pokazywała nabrzmiałe chore piersi i brodawki popękane i skrwawione z nadmiaru wciąż napływającego mleka. Nikt nie umiał jej pomóc ani wyjaśnić, że dzieci zamurowano na moście, gdyż na wszystkie życzliwe słowa i zapewnienia, wyzwiska i pogrożki ona tylko załośnie bełkotała i ostrym, nieufnym spojrzeniem wodziła po kątach. W końcu przestano ją odpędzać, pozwalano wałęsać się dokoła budowy, omijając ją z daleka ze współczuciem. Kucharze dawali jej z ilasi kotła resztki przypalonej robociarskiej mamałgi. Nazywali ją głupią llinką, a za ich przykładem czyniła to cała kanalia. Sam Abidaga przechodził bez słowa obok niej, przesądnie odwracał głowę w inną stronę i kazał dawać jałmużnę.

Tym sposobem żyła przy budowie jako nieszkodliwa wariatka.

Razem z nią krążyła opowieść o dzieciach zamurowanych przez Turków w moście. Jedni wierzyli, inni nie, ale wszyscy historię tę powtarzali i rozsiewali.

A szkody, to mniejsze, to większe, nie ustawały. Wraz z nimi szerzyły się coraz uporczywsze wieści, że to wiła nie chce mostu na Drinie.

Abidaga odchodził od zmysłów. Szalał na myśl, że znalazł się śmiałek, co ważył się mimo jego przysłowiowej surowości, którą się szczycił, działać wbrew jemu i jego zamiarom. Czuł też odrazę do tego ludu, tak do muzułmanów, jak do chrześcijan, którzy są ślamazarni i nie znają się na robocie, ale w mig umieją wykpić, zlekceważyć i znaleźć trafne szyderstwo i drwinę na wszystko, czego nie rozumieją albo nie potrafią zrobić. Rozstawił strażę po obu brzegach. Przestano wtedy niszczyć roboty ziemne, ale groble na wodzie nadal się waliły. Jedynie noce księżycowe nie przynosiły szkód. Fakt ten umocnił Abidagę, który w wiłę nie wierzył, w przekonaniu, że wiła ta, nie jest niewidzialna, i że nie zstępuje z nieba. Długo nie chciał, po prostu nie mógł wierzyć tym, którzy mu mówili, że to robota chłopów, ale teraz coraz bardziej upewniał się, że jednak tak jest. Świadomość ta wprawiała go w jeszcze większą wściekłość. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że musi zachować spokój i ukrywać gniew, jeśli chce złapać szkodnika tudzież jak najprędzej i skutecznie położyć kres bajdom o wiłach i zaprzestaniu budowy mostu, które mogą stać się niebezpieczne. Przywołał dowódcę sejmenów, bladego i chorowitego Plewjlaka, wychowanego w Carogrodzie.

Tych dwóch ludzi instynktownie się nie znosiło i jednocześnie nieustannie się przyciągało i ścierało, gdyż między nimi stale snuły się i wibrowały niepojęte uczucia nienawiści, odrazy, strachu i nieufności. Abidaga, który dla nikogo nie był łagodny ani miły, nie ukrywał wstrętu na widok tego wymocзка poturczeńca. Wszystko, cokolwiek on czynił lub mówił, drażniło Abidagę, tak że wciąż mu wymyślał i upokarzał go. Im bardziej Plewjlak płaszczył się, im bardziej był

usłużny, tym bardziej rosła odraza Abidagi. A dowódca sejmenów od pierwszej chwili zabobonnie, przeraźliwie bał się Abidagi. Strach ten z biegiem czasu zamienił się w straszliwą zmore, która mu nie dawała spokoju. Przy każdym kroku i geście, często nawet podczas snu trapiło go: co też powie na to Abidaga? Daremnie usiłował mu się przypodobać i dogodzić. Wszystko, co pochodziło od niego, Abidaga przyjmował niechętnie. A ta niepojęta nienawiść paraliżowała i drażniła Plewłjaka, sprawiając, że stawał się jeszcze bardziej sztywny i niezręczny. Wbił sobie do mózgowicy, że pewnego dnia przez Abidagę straci nie tylko chleb i stanowisko, ale i głowę. Dlatego wiecznie był podniecony i ze śmiertelnego przygnębienia wpadał w gorączkową i okrutną gorliwość. Gdy teraz błądy przeżył się przed Abidagą, ten rzekł głosem przytłumionym z gniewu:

- Słuchaj no, zakuta pało! Znasz tych świniopasów, znasz ich mowę i szalbierstwa, a mimo to nie umiesz wykryć tego łotra, który się porwał na budowlę wezyra. A to dlatego, że ty też jesteś takim samym wisielcem jak oni, tylko że znalazł się większy hultaj niż ty, co zrobił ciebie dowódcą i przełożonym, a nie znalazł się jeszcze nikt, kto by cię stosownie do twoich zasług nagroził. Wszelako ja to uczynię, skoro nikt inny nie chce. Wiedz, że zmiotę cię z powierzchni ziemi, aby nie został po tobie nawet taki cień na słońcu, jak rzuca najdrobniejsza trawka. Jeśli za trzy dni nie skończą się szkody i psucie roboty, jeśli nie schwytasz szkodnika i nie zamkniesz gęby rozsiewaczom plotek o włach i rzekomym zaniechaniu budowy, żywcem wbiję cię na pal i wystawię na widok publiczny na najwyższym rusztowaniu dla postrachu i przestrogi wszystkich. Przysięgam na życie i wiarę, na którą nikt pochopnie się nie zaklina. Dziś jest czwartek, zostawiam ci czas do niedzieli. A teraz idź do diabła, który cię tu sprowadził. Precz!

Plewłjak i bez przysięgi uwierzyłby groźbie, gdyż nawet we śnie drżał na dźwięk głosu Abidagi czy pod jego spojrzeniem. Teraz wyszedł w jednym z owych spazmatycznych, panicznych napadów strachu i od razu zabrał się gorliwie do roboty. Skrzyknął wszystkich swych ludzi i wpadłszy nagle ze śmiertelnej drętwoty w szaloną wściekłość, począł na nich wrzeszczeć.

- Ciemięgi! Darmozjady! - miotał się, jakby już nawlekany na pal, zaglądając każdemu sejmenowi w oczy. - Więc to tak stoicie na straży i pilnujecie mienia sultańskiego! Jak trzeba iść po strawę, wszyscy umiecie pędzić do kotła, a gdy na służbie trzeba się ruszyć, nogi wtedy macie związane i mózgu wam nie dostaje. A ja muszę za was oczami świecić. Ale skończyły się dobre czasy! Wiedźcie, że na tych rusztowaniach urządzę wam rzeź! Ani jeden nie wyniesie głowy, jeśli za dwa dni nie ustaną te szkody i jeśli nie przyprowadzicie mi zbójców żywych czy umarłych. Zostawiam wam dwa dni życia, przysięgam na wiarę i Koran!

Jeszcze długo tak grzmiał. W końcu sam nie wiedząc, co tu powiedzieć i czym zagrozić, pluł każdemu w twarz. A gdy się wyparskał i wyzbył lęku, który go opuszczał w paroksyzmach gniewu, z rozpaczliwą energią zabrał się do roboty.

Całą noc spędził ze swymi ludźmi na patrolowaniu brzegu.

W pewnej chwili wydało im się, że słyszą jakiś stukot w tej części rusztowania, która jest wysunięta najdalej w głąb rzeki, i pobiegli tam co tchu. Słyszeli jeszcze odbijanie desek, osypywanie się kamieni i plusk wody, a gdy znaleźli się na miejscu, rzeczywiście zastali rusztowanie połamane i mur rozwalony, ale ani śladu sprawcy. W upiornej pustce sejmeni drżeli z nocnego ziąbu i przesadnego strachu. Nawoływali się, wpatrywali w ciemność, wymachiwali zapalonymi łuczywami, ale na próżno. Znowu wyrządzono szkodę, a sprawcy nie zostali ujęci ani zabici, jakby naprawdę byli istotami niewidzialnymi.

Następną noc Plewłjak lepiej przygotował zasadzkę.

Przerzucił kilku ludzi na drugi brzeg. Z nastaniem mroku ukrył sejmenów pośród rusztowań, a sam z dwoma ludźmi wsiadł do łodzi, na której w ciemności niepostrzeżenie podpłynął do lewego brzegu. Wystarczyło kilka uderzeń wiosła, by znaleźli się u jednego z rozpoczętych filarów. Tym sposobem mogli zejść przestępcę z dwóch stron, tak że nie mógłby się wymknąć, jeśli nie był skrzydlatą lub podwodną istotą.

Całą długą, zimną noc Plewłjak przeleżał na dnie łodzi, nakryty kożuchami i trawiony czarnymi myślami, wciąż zachodząc w głowę: czy Abidaga naprawdę dotrzyma groźby i pozbawi go życia, które zresztą przy boku takiego przełożonego i tak nie jest żadnym życiem, tylko strachem i wieczną udręką. Ale wzdłuż całej budowy nie było słyhać najmniejszego szmeru prócz monotonnego plusku i szemrania niewidzialnej wody. Dniało, a Plewłjak czuł każdą cząsteczką skostniałego ciała, jak zbliża się jego kres.

Następną, trzecią i ostatnią noc to samo czuwanie, to samo rozstawienie ludzi, to samo bojaźliwe nasłuchiwanie.

Minęła już północ. Plewłjaka ogarnęła śmiertelna apatia. Wtem doleciał ich lekki plusk, a potem silniejsze, tępe uderzenie o dębowe, wbite w rzekę pale, na których spoczywały rusztowania. Rozległ się stamtąd ostry gwizd. Ale łódź Plewłjaka już płynęła. Stojąc, wpatrywał się w ciemności, wymachiwał rękami i krzyczał ochrypłym głosem:

- Wiosłować! Wiosłować! Naprzód!

Rozbudzeni ludzie wiosłowali szparko, ale silny prąd porwał ich przedwcześnie. Miast przybić do rusztowań, popłynęli z prądem, któremu nie mogli się oprzeć, a woda zniosłaby łódź daleko, gdyby coś nieoczekiwanego jej nie zatrzymało.

Tu, pośrodku wartkiego nurtu, gdzie nie było pali ani wiązań, uderzyła o coś drewnianego i ciężkiego, aż się rozległo. To ich zatrzymało. Dopiero wtedy pojęli, że w górze na rusztowaniach sejmeni z kimś się szamocą. Sejmeni, sami synowie poturczeńców z naszych stron, krzyczeli wszyscy naraz; w ciemności krzyżowały się ich urywane, niezrozumiałe okrzyki:

- Trzymaj! Nie puszczaj!
- Kahriman, do mnie!
- Jestem! Jestem!

Pośród wrzawy i nawoływań słychać było, jak jakiś ciężki przedmiot czy ciało ludzkie plusnęło do wody.

Plewljak przez chwilę zupełnie nie mógł zdać sobie sprawy, gdzie jest i co się dzieje, ale ledwo trochę się opamiętał, zaczepił bosakiem o pale, na które natrafił, i zaczął ciągnąć łódź pod prąd, coraz bliżej rusztowań. Teraz był już przy słupach dębowych i, ośmielony, zaczął krzyczeć na całe gardło:

- Łuczywo! Zapalić łuczywo! Linę mi dajcie!

Początkowo nikt mu nie odpowiadał. W końcu po długich nawoływaniach, kiedy nikt go nie słuchał ani nie mógł zrozumieć, zapłonęła w górze niepewnie i lęklonie cienka pochodnia.

To pierwsze światło poraziło oczy i zmieszało w niespokojną kotłowaną ludzi i przedmioty wraz z ich cieniami i czerwoną łuną na wodzie. W czyjejś ręce zapłonęło jeszcze jedno łuczywo.

Teraz światło przestało drgać i ludzie zaczęli się uspokajać i rozpoznawać. Wszystko wkrótce się wyjaśniło.

Między łodzią Plewljaka a rusztowaniami znajdowała się nieduża tratwa zbita z trzech zaledwie bierwion; na przodzie było tylko wiosło, prawdziwe wiosło flisacze, jeno krótsze i cieńsze. Tratwa była uwiązana leszczynowym powrosłem do dębowego pala pod rusztowaniami i utrzymywała się pod prąd, który ją zalewał i znosił. Sejmeni pomogli swemu dowódcy przejść po tratwie i wdrapać się na rusztowanie. Wszyscy byli zadyszani i wzburzeni. Na deskach leżał związany chłop-chrześcijanin. Piersi jego szybko i silnie się podnosiły, a rozbiegane oczy strasznie błyskały.

Najstarszy z czterech sejmenów opowiadał z zapalem Plewljakowi, jak przyczaili się w różnych miejscach na rusztowaniu.

Gdy w ciemności usłyszeli uderzenie wiosła, pomyśleli, że to łódź dowódcy, ale na tyle byli przezorni, że siedzieli cicho i czekali. Wtem ujrzeli dwóch chłopów, którzy przybili do słupów i z trudem przywiązali tratwę. Pozwolili im wdrapać się na górę, a potem rzucili się na nich z

osękami, powalili i skrępowali. Tego, nieprzytomnego od uderzeń po głowie, spętali z łatwością, ale tamten, który udawał martwego, wywinął się jak ryba i między deskami dał nura w wodę.

Tu sejmeni umilkli załknieni, a Plewłjak począł wrzeszczeć:

- Kto go wypuścił? Mówcie, kto go wypuścił, bo was wszystkich zasiekę, co do jednego!

Ludzie milczeli i mrugali oczami w migotliwym czerwonym blasku, a Plewłjak rzucał się dokoła, jakby szukając uciekiniera w ciemności, i kłął tak, jak nawet w dzień nigdy tego nie robił.

Aż nagle się opamiętał, nachylił się nad więźniem niby nad cennym skarbem i drżąc, zaczął skowyczeć jakimś cienkim, płaczącym głosem:

- Pilnujcie go, dobrze pilnujcie! Ach, skurwysyny, jeśli drapnie, wasze głowy polecą!

Sejmeni poczęli kręcić się niespokojnie dokoła chłopca; po rusztowaniu nadbiegało jeszcze dwóch. Plewłjak wydawał rozkazy, upominał, żeby go lepiej związali i mocniej trzymali.

Jak trupa przenieśli chłopca wolno i ostrożnie na brzeg. Plewłjak szedł za nimi, nie bacząc, gdzie stąpa, i nie spuszczać wzroku z więźnia. A za każdym krokiem zdawało mu się, że rośnie, że dopiero teraz zaczyna żyć.

Na brzegu zaczęły zapalać się i migotać nowe luczywa.

Pojmanego wniesiono do jakiejś chałupy, gdzie rozpalono ogień, i przywiązano do belki sznurem i łańcuchami zdjętymi z ogniska.

Był to Radisaw z Uniszta.

Plewłjak nieco przycichł, nie krzyczał już i nie kłął, ale nigdzie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wysłał sejmenów w dół rzeki na poszukiwanie tamtego, co skoczył do wody, chociaż było jasne, że w taką noc, jeśli nie utonął, nikt nie dogoni go ani nie schwyta. Wydawał przeróżne rozkazy, wchodził, wychodził, wracał, nieprzytomny z podniecenia. Zaczął nawet wypytować więźnia, ale wnet zaprzestał. Wszystko to czynił, aby się uspokoić i pokryć niepokój, bo właściwie robił tylko jedno: czekał na Abidagę. A czekać nie musiał długo.

Abidaga swoim zwyczajem zbudził się z pierwszego snu zaraz po północy i nie mogąc już zasnąć, stanął przy oknie i wpatrywał się w ciemność. Za dnia z jego balkonu na Bikawcu widać było dolinę rzeki i budowę wraz z chałupami, szałasami i całym przekopanym i zatarasowanym terenem dokoła niej.

Teraz w mroku wyobrażał sobie to wszystko, myśląc z goryczą, jak wolno i opieszale posuwają się roboty i jak fakt ten niechybnie pewnego dnia dotrze do uszu wezyra. O to już się ktoś postara! Jeśli nikt inny, to choćby gładki, zimny i chytry Tosun efendi. A wtedy mógłby popaść w niełaskę. Oto co spędza sen z powiek Abidagi, a gdy pogrąży się we śnie, nawet wtedy drży.

Jadło mu nie smakuje, ludzie mu obrzydli, nawet życie obmierzło na samą myśl o tym. Niełaska to tyle, co być z dala od wezyra, niełaska oznacza, że wrogowie drwią z ciebie (ach, tylko nie to!), że skończyłeś się, że jesteś niczym i hołyszem nie tylko w cudzych oczach, lecz i swoich własnych. Niełaska to tyle, co stracić z trudem zdobyte mienie, albo jeśli uda sieje zachować, ukradkiem, po trochu zjadać je z dala od Stambułu, zesłany na głuchą prowincję, zapomniany, niepotrzebny, śmieszny, żaloszny. Nie, tylko nie to! Raczej nie oglądać słońca i nie chłonać powietrza! Stokroć lepiej byłoby być niczym i nic nie mieć! Oto myśli, które nie dają mu spokoju i sprawiają, że po kilka razy dziennie krew boleśnie uderza mu do głowy i skroni; właściwie nigdy zupełnie nie znikają, lecz jak czarny osad leżą na dnie duszy. Oto czym byłaby niełaska dla niego, a niełaska jest możliwa codziennie, co godzinę, gdyż wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, a tylko on sam broni się; a więc on sam przeciwko wszystkim! Trwa to już piętnaście lat, odkąd doszedł do wpływów i znaczenia, odkąd wezyr powierza mu wielkie i ważne sprawy. Któż by to wytrzymał? Kto mógłby spać spokojnie?

Mimo że jesienna noc była chłodna i wilgotna, Abidaga otworzył okno i usiłował przeniknąć mrok, bo miał uczucie, że się dusi w zamkniętej izbie. Wtem spostrzegł na rusztowaniach i brzegu poruszające się światła. Gdy zauważył, że jest ich coraz więcej, domyślił się, iż stało się coś niezwykłego, ubrał się i zbudził pachołka. Stał przed oświetloną chatą w chwili, gdy Plewłjak sam nie wiedział, jak kląć, komu wydawać rozkazy i w ogóle co robić, by czas szybciej minął.

Niespodziewane przybycie Abidagi zbiło go z tropu. Niecierpliwie czekał na tę chwilę, a teraz, gdy nadeszła, nie umiał jej wykorzystać tak, jak sobie umyślił. Bełkotał w podnieceniu, zapomniawszy o związanym chłopie. Abidaga tylko pogardliwie spojrział ponad jego głową i od razu ruszył do pojmanego.

W chacie rozpalono silniejszy ogień, tak że nawet najdalsze kąty były oświetlone, mimo to sejmieni wciąż dorzucali głowni.

Abidaga stał przed skrępowanym chłopem, którego przewyższał wzrostem. Był spokojny i zamyślony. Wszyscy czekali na jego słowo, a on dumiał: oto z kim mi przyszło walczyć i zmagać się, oto od kogo zależy moje stanowisko i mój los, od tego nędznego, tępego poturczeńca Plewłjaka i od niepojętej, zawziętej nienawiści i uporu tej gnidy rajaskiej. Wreszcie ocknął się, począł wydawać rozkazy i badać chłopca.

Izba wypełniła się sejmenami, na dworze rozlegały się głosy rozbudzonych dozorców i robotników. Abidaga zadawał pytania za pośrednictwem Plewłjaka.

Radisaw najpierw utrzymywał, że wraz z jeszcze jednym młodzieńcem postanowili uciec i w tym celu zbili małą tratwę i ruszyli w dół rzeki. Gdy mu dowiedli całego bezsensu jego zeznań, bo

po ciemku nie można płynąć z prądem rozhukanej rzeki pełnej wirów, skał i mielizn, a ci, którzy zamierzają uciekać, nie wdrapują się na rusztowania i nic nie burzą, umilkł i rzekł tylko gniewnie:

- Wszystko jest w waszych rękach, róbcie, co chcecie.

- Zaraz to zobaczysz! - powiedział żywo Abidaga.

Sejmeni zdjęli zeń łańcuch i obnażyli klatkę piersiową.

Okowy wrzucili do ognia i czekali. Ponieważ łańcuch był okopcony, wszyscy mieli ręce zabrudzone, tak że na obnażonym chłopie i na samych sobie zostawiali czarne ślady. Gdy łańcuch był rozpalony do czerwoności, podszedł Cygan Merdżan i długimi kleszczami wyjął go za jeden koniec, a któryś sejmen w ten sam sposób przytrzymał za drugi koniec.

Plewljak tłumaczył słowa Abidagi.

- No, a teraz mów całą prawdę!

- Cóż mam powiedzieć! Wy wszystko możecie, więc i wszystko wiecie.

Tamci dwaj przynieśli łańcuch i opasali nim chłopą wokół szerokich, włochatych piersi. Poczęły skwierczeć osmalone włosy. Chłop zacisnął usta, nabrzmiały mu żyły, żebra wyprężyły się, mięśnie brzucha zaczęły się kurczyć i poruszać jak przy wymiotach. Stękał z bólu, na próżno wrywał się i usiłował zmniejszyć zetknięcie ciała z rozpalonym żelazem; tym sposobem tylko jeszcze bardziej zaciskał więzy. Mrugał powiekami i oczy zachodziły mu łzami. Odsunięto łańcuch.

- Tyle na początek. Nie lepiej mówić bez tego?

Chłop tylko głęboko odetchnął, ale milczał.

- Mów, kim jest ten drugi?

- Nazywał się Jowan, ale ja nie znam ani jego wsi, ani domu.

Znowu przyniesiono łańcuch, zaskwierczały przypalone włosy i skóra. Krztusząc się od dymu i kurcząc z bólu, począł chłop zeznawać urywanym głosem.

Tylko oni dwaj zmówili się, że będą burzyć most. Wydawało im się, że tak trzeba, tak też robili. Nikt inny nic nie wiedział i nie brał w tym udziału. Z początku podchodzili od brzegu i udawało się nieźle, ale gdy spostrzegli warty na rusztowaniach i wzdłuż wybrzeża, wpadli na pomysł zbiccia tratwy, by tym sposobem niepostrzeżenie zbliżyć się do mostu od rzeki. Było to trzy dni temu. O mało nie wpadli od razu pierwszej nocy.

Ledwo się wymknęli. Dlatego następnej nocy wcale nie wychodzili. A gdy dzisiaj próbowali podpłynąć na tratwie, stało się to, co się stało.

- To wszystko. Tak było i tak robiliśmy, a wy teraz róbcie swoje.

- O nie! My tak nie chcemy! Mów teraz, kto was namówił do tego! Bo niczym były te męki w porównaniu z tymi, jakie teraz nastąpią!

- Cóż, czyńcie swoją powinność.

Wtedy zbliżył się ów kowal Merdżan z kleszczami.

Uklęknął przy skrępowanym i począł wrywać mu paznokcie z bosych stóp. Chłop milczał z zaciśniętymi zębami, ale dziwne drżenie, wstrząsające jego ciałem do pasa, zdradzało wielki, straszliwy ból. W pewnej chwili wycedził przez zęby coś niezrozumiałego. Plewłjak, który czatował na jego słowa i śledził ruchy, chciwie czekając na jakiegokolwiek zeznania, dał znak ręką Cyganowi, żeby przestał, i zaraz przyskoczył:

- Jak? Co mówisz?

- Nic. Powiadam: czemu mnie na litość boską męczycie i po co czas mitrzyćcie.

- Mów, kto cię namówił!

- A któż by namawiał? Szejtan¹⁷!

- Szejtan?

- Szejtan, ma się rozumieć, ten sam, który i was podbechtał, żebyście tu przybyli budować most.

Chłop powiedział to głosem cichym, ale mocnym i stanowczym.

Szejtan! Dziwny wyraz, rzucony rozpaczliwie w tak niezwykłej chwili. Szejtan! Bywa i tak, myślał Plewłjak, stojąc teraz ze zwieszoną głową, jakby to więzień badał jego, a nie on więźnia. Ten jeden jedyny wyraz ugodził go w czułe miejsce i nagle rozpętał w jego sercu wszystkie obawy i troski z całą siłą i potęgą, jakby nie zatarło ich pojmanie szkodnika. Może naprawdę to wszystko wraz z Abidagą, budową mostu i tym szalonym chłopem jest tylko czarcią robotą. Szejtan! Może to jedyna istota, której należy się bać? Plewłjak zadrżał i ocknął się. Właściwie zbudził go gromki, gniewny głos Abidagi.

- Cóż to! Spać ci się zachciewa, łotrze? - grzmiał Abidaga, uderzając się nahajką po cholewach.

Cygan klęczał z kleszczami w rękach i czarnymi, lśnącymi oczami patrzył z przerażeniem i pokornie w górę na Abidagę.

Sejmeni podtrzymywali ogień, który i tak buchał płomieniem.

Cała izba tonęła w blasku, ogrzana i jakaś uroczysta. W ogóle to, co mrok osłaniał jako nędzną, niepokązną rudere, urosło nagle, zmieniło się i rozszerzyło. W chacie i dokoła niej panowało jakby odświętne podniecenie i wyjątkowa cisza, jaka zwykle bywa tam, gdzie dochodzi się prawdy, torturują człowieka albo dzieją się inne doniosłe rzeczy. Abidaga, Plewłjak i więzień poruszali się i mówili jak komedianci, a pozostali chodzili na palcach, ze spuszczonej oczami,

¹⁷ Szejtan - diabeł.

odzywali się jedynie w razie potrzeby, i to tylko szeptem. W głębi duszy każdy pragnął nie być tu ani przy tej robocie, ale ponieważ było to niemożliwością, więc zniżali głos i ograniczali ruchy, żeby przynajmniej o tyle być dalej od tego.

Widząc, że przesłuchanie przewleka się i nie wróży pomyślnych wyników, Abidaga wypadł z chałupy, klnąc na czym świat stoi. Za nim popędził Plewljak, a za Plewljakiem sejmem.

Świtało. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale cały widnokrąg był już jasny. W głębi pośród gór widać było chmury snujące się długimi ciemnogrnatowymi pasmami, a między nimi przeświecało jasne i czyste, prawie seledynowe niebo. Tuż nad wilgotną ziemią zwisały rozproszone zwoje mgieł, z których wyzierały czuby drzew o całkiem przerzedzonym i pożółkłym listowiu. Trzaskając wciąż nahajką o cholewy, Abidaga wydawał rozkazy: badać dalej złoczyńcę, osobliwie wypytywać o współników, ale nie męczyć zanadto, żeby przedwcześnie nie wyzionął ducha; wszystko przygotować, aby jeszcze w południe można było wbić go na pal, i to na ostatnim rusztowaniu na najbardziej wzniesionym miejscu, żeby z daleka widziała go cała kasaba i wszyscy robotnicy na obu brzegach rzeki; Merdżan ma wszystko przysposobić, a herold obwieścić wszem wobec: że w południe ludność zobaczy, jaki jest los tych, którzy utrudniają budowę mostu, i że na jednym lub drugim brzegu mają zebrać się wszyscy mieszkańcy płci męskiej, zarówno Turcy, jak raja, od dziecka do starca.

Była niedziela. W święto pracowało się jak w dzień powszedni, ale dzisiaj sami dozorczy byli roztargnieni. Ledwo się rozwidniło, gruchnęła wieść o schwytaniu przestępcy, o torturach i straceniu, które odbędzie się w południe. Ów przytłumiony i uroczysty nastrój z chaty przeniósł się na cały teren wokół budowy. Wyrobnicy pracują w milczeniu, każdy unika wzroku sąsiada i każdy zajęty jest własną robotą, jakby dokoła niej kręcił się cały świat.

Na godzinę przed oznaczonym terminem zebrał się mieszkańcy kasaby, przeważnie Turcy, na równinie przy moście.

Chłopcy wdrapali się na wysokie bloki leżących tu nieociosanych kamieni. Robotnicy kręcili się dokoła kotłów, nad którymi unosiła się para z ich codziennej stawy, żółtej, gorącej i twardej mamałygi; kucharz wydaje ją sprawnie i szybko, a oni odbierają do glinianego garnka, na kawałek deski albo po prostu do czapki. Żując, w milczeniu i trwożnie spoglądają dokoła siebie. Wkrótce zjawił się Abidaga w towarzystwie Tosun efendiego, majstra Antonije i kilku znamienitszych Turków. Wszyscy stali na stromej wyniosłości, między mostem a chatą, w której znajdował się skazaniec. Abidaga jeszcze raz poszedł do chałupy, gdzie mu oświadczone, że wszystko gotowe: leżał tu dębowy, długi blisko na cztery arszyny, cienki, należycie zaostrozony, a na czubku okuty blachą, starannie nasmarowany łożem pal; na rusztowaniach były umocowane belki, między które pal zostanie wbity, były też liny, drewniany młot i inne narzędzia.

Plewljaka trawił niepokój; twarz miał ziemistą i zaczerwienione oczy, teraz też nie mógł znieść pałającego wzroku Abidagi.

- Słuchaj no, jeżeli wszystko nie będzie jak trzeba i ośmieszysz mnie przed ludźmi, nie pokazuj mi się na oczy, ani ty, ani to cygańskie gówno! Potopię was w Drinie jak szczeniaki!

A zwracając się do drżącego Cygana, dodał spokojniejszym tonem:

- Sześć piastrów dostaniesz, jeśli gracko się spiszesz, a drugie tyle, jeżeli będzie żył do wieczora. Uważaj więc!

Z głównego meczetu w mieście odezwał się ostry, donośny głos muezina. Niepokój ogarnął zebranych, a wkrótce potem otworzyły się wrota. Dziesięciu sejmenów ustawiło się po pięciu w dwóch szeregach. Pośród nich ukazał się Radisaw, bosy i z gołą głową; żwawy i pochylony jak zawsze, ale już nie „sijeje” po swojemu, lecz drobno i jakoś dziwnie idzie, skacząc niemal na pokaleczonych nogach z krwawymi ranami miast paznokci; na ramieniu dźwiga długi, biały, zaostzony pal. Za nim postępuje Merdżan z dwoma Cyganami, którzy będą mu pomagać przy wykonaniu wyroku. Nagle nadjechał skądś Plewljak na swym kasztanku i ruszył na czele tego pochodu, mającego przejść zaledwie sto kroków do pierwszych rusztowań.

Ludzie wyciągali szyje i wspinali się na palce, żeby zobaczyć człowieka, któremu udało się uknuć spisek, stawić opór i burzyć most. Wszyscy byli zdumieni nędznym i żalonym jego wyglądem, gdyż wyobrażali go sobie zgoła inaczej. Oczywista nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego Radisaw tak śmiesznie podskakuje i kuśtyka z nogi na nogę, ani też nikt dobrze nie widział owych oparzelin, co niby szerokie pasy otaczały jego piersi, bo włożono mu parciankę i gunię. Dlatego wszystkim wydawał się zbyt lichy i niepozorny jak na czyn, za który wiodą go na stracenie. Tylko długi biały pal sprawiał wrażenie jakiegoś groźnego majestatu i przyciągał spojrzenia wszystkich.

Gdy przybyli do miejsca, gdzie zaczynały się roboty ziemne na brzegu, Plewljak zsiadł z konia i jakimś uroczystym, nienaturalnym gestem oddał uzdę pachołkowi, a sam wraz z innymi zniknął na spadzistej, błotnistej drodze wiodącej ku wodzie. Wkrótce zobaczono ich, posuwających się wolno i ostrożnie w tym samym porządku na rusztowaniu. Na wąskich kładkach z belek i desek sejmeni otaczali ciasnym kołem Radisawa, żeby nie rzucił się do rzeki. Przesuwali się powoli, wspinając się, aż doszli do końca.

Nad wodą zbudowano pomost wielkości średniej izby. Tutaj jak na scenie znajdował się Radisaw, Plewljak i trzech Cyganów, pozostali sejmeni rozstawieni byli dokoła rusztowania.

Ludzie na równinie poruszają się i przenoszą z miejsca na miejsce. Sto kroków dzieli ich od owych desek, tak że widać każdego i każdy ruch, ale nie można dosłyszeć słów ani pojąć szczegółów. Mieszkańców kasaby i robotników na lewym brzegu dzieli większa odległość od

widowiska, nie dziw więc, że wiercą się i wysilają, by jak najlepiej słyszeć i widzieć. Ale nic nie słysząc, a widok z początku zdaje się być zbyt jednostajny i nieciekawym, w końcu zaś stał się tak straszny, że wszyscy odwracali głowy i wielu spieszenie odchodziło do domów, żałując, że przyszli.

Kiedy kazali Radisawowi położyć się, ociągał się przez chwilę, a potem nie patrząc na Cyganów ani na sejmenów, jakby ich nie było, przysunął się do Plewljaka, niemal poufale jak do kogoś swojego, i szepnął mu głucho:

- Słuchaj, zaklinam cię na ten i tamten świat, zrób dobry uczynek i zabij mnie, żebym się nie męczył jak pies.

Plewljak uskoczył i wrzasnął nań, jakby odzegnując się od tego zbyt poufalego tonu:

- Marsz, Wlahu! Czyżbyś ty, taki chwyt do burzenia sultańskiego mienia, teraz żebrał jak baba?! Rozkaz zostanie wykonany co do joty, i to tak, jak na to zasłużyłeś!

Radisaw jeszcze niżej zwiesił głowę, a Cygan zbliżywszy się, począł ściągać z niego gunię i koszulę. Na piersiach ukazały się spękane i zaczerwienione rany. Chłop bez słowa położył się tak, jak mu kazano, zwrócony twarzą do ziemi. Cyganie najpierw skrupowali mu ręce na plecach, a potem do obu nóg wokół kostek przywiązali sznury. Wyprężyli liny i szeroko rozkraczyli mu nogi. Merdżan tymczasem położył pał na dwóch okrągłakach, tak że wierzchołek znalazł się między nogami skazańca. Potem wyjął z pasa kozik, przyklęknął i nachylił się nad nieszczęśnikiem, żeby rozciąć spodnie w kroczu i rozszerzyć otwór, przez który pał zagłębi się w ciało. Ta najokropniejsza część katowskiej roboty była, na szczęście, niedostępna oczom widzów. Widać było tylko, jak skrupowane ciało zadrżało pod wpływem krótkiego, niedostrzegalnego cięcia, jak się uniosło do pasa, jakby chciało wstać, ale zaraz opadło z głuchym uderzeniem na deski. Cygan zerwał się, uniosł z ziemi młot i zaczął nim uderzać w dolną, tępo zakończoną część powoli, miarowo. Pomiedzy uderzeniami czynił przerwy i przyglądał się ciału, które nawlekał na pał, a potem Cyganom, napominając, żeby ciągnęli powoli i równo. Ciało rozkraczonego chłopca kurczyło się, za każdym uderzeniem młota kręgosłup skręcał się i garbił, ale sznury go prostowały i przyciskały. Oba brzegi zaległa cisza tak wielka, że wyraźnie słysząc było każde uderzenie i echo odbijające się od ściany gór. Najbliżej stojący mogli słyszeć, jak człowiek uderza czołem o deski, a jednocześnie jakiś inny, niezwykle dźwięk; nie był to ni jęk, ni krzyk, ni charkot, ni żaden ludzki głos, lecz całe rozpięte, umęczone ciało wydawało jakiś zgrzyt i łoskot jak płot trzeszczący albo łamiące się drzewo. Po każdym drugim uderzeniu Cygan podchodził doń, nachylał się, sprawdzał, czy pał posuwa się we właściwym kierunku, a upewniwszy się, że nie uszkodził ani jednego ważniejszego wewnętrznego organu, wracał do przerwanej zajęcia.

To wszystko było słabo słyhać, a jeszcze mniej widać z brzegu, ale ludziom nogi drżały, twarze bladły i drętwiały palce u rąk.

W pewnej chwili ustał stukot młota. Merdżan spostrzegł, jak u góry prawej łopatki mięśnie się prężą i skóra podnosi. Spiesznie podszedł i przeciął na krzyż nabrzmiałe miejsce. Poczęła płynąć jasnoczerwona krew, najpierw skąpo, potem coraz obficie.

Jeszcze dwa albo trzy uderzenia, lekkie i ostrożne, a w przecięciu zaczął pokazywać się okuty wierzchołek. Jeszcze kilka uderzeń i pal sięgnął wysokości prawego ucha. Człowiek był wbity na pal jak jagnię na rożen, tylko że koniec nie wychodził ustami, lecz przez plecy, i nie uszkodził wątroby, serca ani płuc. Teraz Merdżan odrzucił młot i podszedł do skazańca, omijając kałuże krwi, tworzące się tam, gdzie pal wszedł i wyszedł. Przyglądał się zmartwialemu ciału. Dwóch Cyganów odwróciło zeszywniałe ciało na wznak; zaczęli przywiązywać mu nogi do pala. Merdżan tymczasem badał, czy człowiek żyje, uważnie wpatrując się w twarz, która nagle nabrzmiała, rozszerzyła się i powiększyła.

Oczy były szeroko rozwarte i rozbiegane, ale powieki nieruchome, usta rozdziawione i obie wargi zastygły w skurczu; bielily się zaciśnięte zęby. Niektórymi mięśniami człowiek już nie władał, toteż twarz wyglądała jak maska. Ale serce biło głucho i płuca pracowały urywanym, przyspieszonym oddechem. Obaj Cyganie poczęli go podnosić jak pieczone nadziane na rożen. Merdżan krzychał, żeby uważali i nie potrząsali ciałem; sam też pomagał.

Umocowali dolny, grubszy koniec pala między dwoma belkami i przybili wielkimi bretnalami, potem podparli z tyłu na tej samej wysokości krótkim drągiem, który także przykuli do pala i do rusztowania.

Uporawszy się z tym, Cyganie odeszli i przyłączyli się do sejmenów, a na pustym pomoście został tylko, wzniesiony do góry o całe dwa arszyne, prosty, wypięty, obnażony do pasa człowiek na palu. Z dala jedynie można było domyślać się, że przeszywa go pal, do którego przywiązano go za nogi wokół kostek, podczas gdy ręce skrępowane były na plecach. Stąd wyglądał jak posąg zawisły wysoko w powietrzu na skraju rusztowań nad rzeką.

Na obu brzegach zaszemrało i zakotłowało pospólstwo. Jedni spuścili oczy, inni ruszyli czym prędzej do domów, nie oglądając się za siebie. Większość niemo wpatrywała się w ludzką postać wychyloną w dal, nienaturalnie sztywną i prostą. Strach jeżył im włosy i podcinał nogi, ale nie mogli poruszyć się ani oderwać oczu od tego widoku. Pośród przerażonych ludzi snuła się głupia Ilinka, zaglądała każdemu w oczy, starając się uchwycić wzrok i wyczytać z niego, gdzie są pogrzebane jej dzieci.

Wtedy Plewłjak, Merdżan i dwóch sejmenów podeszło do skazańca i zaczęli przyglądać mu się z bliska. Po palu ściekała cienka strużka krwi. Człowiek żył jednak i był przytomny.

Napinał i wciągał brzuch, żyły na szyi mu pulsowały, toczył oczami wolno, ale nieustannie. Przez zaciśnięte zęby wychodził przeciągły zgrzyt, w którym z trudem można było rozeznąć poszczególne słowa:

- Turcy, Turcy... - jęczał człowiek na palu. - Turcy na moście... obyście skapieli jak psy... jak psy pozdychali!...

Cyganie pozbierali narzędzia i wraz z Plewljakiem i sejmenami ruszyli po rusztowaniach na brzeg. Ciżba rozstała się przed nimi i poczęła się rozchodzić. Tylko chłopcy na stertach kamieni i nagich drzewach spodziewali się jeszcze czegoś i nie mając poczucia kresu, czekali, co się stanie z dziwnym, jakby zastygłym człowiekiem zawieszonym nad wodą.

Plewljak zbliżył się do Abidagi i oznajmił, że wszystko dokładnie i należycie zostało wykonane, że skazaniec żyje i zdaje się żyć będzie, gdyż wnętrzości ma nieuszkodzone. Abidaga nie raczył odpowiedzieć nawet spojrzeniem, lecz machnął ręką na znak, żeby mu przyprowadzili konia, jął się żegnać z Tosun efendim i majstrem Antonije. Zaczęto się rozchodzić. Słychać było, jak herold obwieszcza w czarszii o wykonaniu wyroku i zapowiada taką samą, a nawet gorszą karę każdemu, kto waży się na coś podobnego.

Plewljak stał niepewnie na opustoszałej z nagła równinie.

Pachołek trzymał konia, a sejmeni czekali na rozkazy. Czuł, że należy coś powiedzieć, ale nie mógł słowa wykrztusić pod wpływem narastającego dopiero teraz silnego wzruszenia, rozpierającego go, jakby miał ulecieć. Dopiero teraz uświadomił sobie wszystko, czego nie mógł przemyśleć przedtem, zajęty przygotowaniem do egzekucji. Dopiero teraz przypomniał sobie groźby Abidagi, że go żywcem wbije na pał, jeśli nie zdoła schwycić przestępcy. O mały włos uniknął tej okropności, w ostatniej chwili. Tamten na rusztowaniu pracował usilnie, nocą, podstępnie na jego zgubę. Ale oto stało się inaczej. Samo spojrzenie na tego człowieka, który jeszcze dyszał nawleczony na pał i wyniesiony nad rzeką, przejmowało go grozą i jakąś bolesną radością, że to nie jego spotkał ten los i że jego ciało jest nietknięte, wolne i prężne. Na myśl o tym okropne ogniste ciarki poczęły przechodzić go od piersi do stóp i rąk, sprawiając, że kręcił się, chichotał i gadał, by upewnić się, że jest zdrow, że może swobodnie poruszać się, mówić i śmiać się rozgłośnie, śpiewać, jeśli mu przyjdzie ochota, a nie miotać z pała bezsilne przekleństwa, w oczekiwaniu śmierci, jak jedyne szczęścia, którego może jeszcze dostąpić. Ręce same się ruszają, nogi same podrygują, usta otwierają się, wykrzywione konwulsyjnym śmiechem, same płyną potoki słów:

Cha, cha, cha! Radisawie, górski wilo, cóżeś taki sztywny?

Czemuż nie zrywasz mostu? Czemu zgrzytasz zębami i jęczysz? Zaśpiewaj, wilo! Nuże, w tany, wilo!

Zdumieni i zmieszani sejmeni patrzyli, jak ich dowódca płsa z rozłożonymi rękami, podśpiewując i łkając, zanosi się śmiechem, zachłystuje dziwnymi słowami, tocząc z ust coraz obficie białą pianę. A jego kasztanek płochliwie patrzył nań z ukosa.

IV

Wszyscy, którzy z jednego lub z drugiego brzegu przyglądali się straceni, roznieśli straszliwe wieści po mieście i okolicy. Nieopisany strach ogarnął mieszczan i robotników.

Z wolna i stopniowo przenikało do świadomości ludzi to, co się zdarzyło w ich bliskości w ciągu krótkiego dnia listopadowego.

Wszystkie rozmowy toczyły się wokół człowieka, który tam ponad rusztowaniami żył jeszcze na palu. Każdy zarzekał się w duchu, iż nie będzie o nim mówił; ale cóż robić, skoro myśl uparcie wraca do niego i oczy biegną w tamtą stronę?

Chłopi z Banji, wiozący kamienie na wozach zaprzężonych w woły, spuszczały oczy i łagodnie przynaglali zwierzęta do pośpiechu. Pracujący u brzegu i na rusztowaniach robotnicy nawoływali się przytłumionymi głosami i tylko w razie potrzeby.

Nawet dozorczy z leszczynowymi prętami w rękach byli spokojniejsi i wyrozumialszy. Dalmatyńscy kamieniarze bladzi, z zaciśniętymi szczękami odwracali się tyłem do mostu i tak zapamiętale uderzali dłutami, że w powszechnej ciszy stukot ten przypominał kucie chmary dzieciółów.

Wkrótce zapadł zmrok i robotnicy pośpieszyli na nocleg, byle dalej od rusztowań. Zanim zupełnie się ściemniło, Merdżan wraz z zaufanym pachołkiem Abidagi wdrapał się do Radisawa, gdzie niezawodnie stwierdzili, że skazaniec jeszcze teraz, po czterech godzinach, żyje i nie stracił przytomności.

W gorączce, wolno, z trudem toczył oczami, a gdy spostrzegł u swych stóp Cygana, począł głośnie jęczeć. Poprzez jęki, z którymi dusza go opuszczała, można było rozróżnić tylko poszczególne słowa:

- Turcy... Turcy... most!

Zadowolony, wrócili do domu Abidagi na Bikawcu, rozpowiadając po drodze napotkanym przechodniom, że skazaniec jeszcze żyje; ponieważ zgrzyta zębami i mówi wyraźnie i dobrze, można się spodziewać, że doczeka nawet jutrzejszego południa. Zadowolony był także Abidaga, kazał więc wypłacić Merdżanowi przyobiecany nagrodę.

Tej nocy wszystko, co żyło w kasabie i dokoła mostu, kładło się w trwodze na spoczynek. Właściwie spali tylko ci, co mogli, wielu jednak sen opuścił zupełnie.

Nazajutrz zaświtał słoneczny listopadowy dzień. Ani dokoła budowy, ani w całej kasabie nie było istoty, która by nie spojrzała na ową misterną koronkę wiązań nad wodą, gdzie na samym końcu jak na dziobie okrętu przeżył się samotny człowiek na palu.

Niejednen, budząc się ze snu, myślał, że wczorajsze zdarzenie na moście w oczach wszystkich to tylko zmosfera senna; stał teraz nieruchomo, wpatrując się w swój męczący sen, który przewleka się i trwa w biały dzień.

Pośród robotników panuje ta sama wczorajsza cisza, pełna żalu i bólu; w mieście te same szept i przerażenie. Merdżan i ów pacholek Abidagi ponownie wdrapali się na rusztowania, chodzili wokół pala; mówili coś między sobą, zadzierali głowy i zaglądali w oczy skazańca; w pewnej chwili Merdżan pociągnął go za portki. Z zachowania ich, gdy wrócili na brzeg, i z milczenia, w jakim przeszli pośród zajętych pracą ludzi, wszyscy domyślili się, że chłop wyzionął ducha. Serbowie odetchnęli z ulgą, jakby odnieśli niewidoczne zwycięstwo.

Teraz wszyscy śmieiej spoglądali w górę na rusztowania i na skazańca. Wszyscy czuli, że w ich ustawicznych zmaganiach i borykaniu się z Turkami szala przechyliła się na ich stronę. Śmierć jest największą ręką. Zakneblowane dotąd strachem usta same się otwierały. Brudni, przemoczeni, zarośnięci i wymizerowani ludzie, tocząc na sosnowych bierwionach olbrzymie bloki bańskich kamieni, przystawali na chwilę, spluwali w dłonie i szeptem mówili do siebie:

- Niech Bóg mu odpuści i zmiłuje się nad nim!
- Oj, męczennik! Oj, doloż nasza, dolo!
- Czyż nie wiesz, że on się poświęcił? Święty, nieborak!

I każdy spod oka spogląda na nieboszczyka, który trzymał się prosto, jakby kroczył na czele drużyny. Ze swej wysokości nie wydawał się już ani straszny, ani żalony. Raczej teraz wszyscy pojęli, jak bardzo się oddalił i wywyższył. Nie stoi na ziemi, nie trzyma się rękami, nie płynie, nie leci; on ma własny ciężar w samym sobie, wyzwolony z ziemskich pęt i brzemienia nie męczy się; nikt mu nic nie może zrobić, ni strzelba, ni szabla, ni zła myśl, ni sąd turecki jego się nie ima. Obnażona do pasa, ze związanymi rękami i nogami, sztywna, z odrzuconą głową postać ta przypomina nie tyle ciało ludzkie, które rozwija się i rozpada, ile wysoko wzniesiony, twardy i nieprzemijający posąg, co stać tu będzie po wieczne czasy.

Wyrobownicy odwracali się i żegnali ukradkiem.

Na Mejdanie kobiety biegły przez podwórza do siebie na krótką pogawędkę i uzalenie i co tchu wracały z powrotem, żeby dopilnować obiadu. Któraś zapaliła wieczną lampkę. Wkrótce po wszystkich domach płonęły wtulone w kąciki izb lampki oliwne. Dzieci mrużąc oczy, w uroczystym nastroju wpatrywały się w ten blask i słuchając niezrozumiałych, urywanych zdań starszych („Broń, Panie Boże, i zachowaj!”, „Ach, męczennik, już jest u Boga, jakby największą

cerkiew zbudował!”), „Pomóż nam, Jedyny Boże, zniszcz wroga i nie daj mu długiego panowania!”), niestrudzenie zasypywały ich pytaniami, co to jest męczennik, kto cerkiew buduje i gdzie. Osobliwie ciekawi byli chłopcy. A matki ich mitygowały:

- Cicho bądź, serduszko! Cicho! Słuchaj mamy i póki życia strzeż się Turczyna, przeklętnika!

Zanim po raz drugi zapadł zmrok, Abidaga jeszcze raz obszedł budowę i zadowolony z działania straszliwego przykładu, kazał zdjąć trupa.

- Ścierwo rzucić psom!

W ten wieczór, który nagle zapadł, wilgotny i ciepły jakby wiosenny, panowało wśród robotników niepojęte wzburzenie i poruszenie. Nawet ci, co nie chcieli nic słyszeć o zrywaniu mostu i oporze, teraz byli gotowi na wszystko. Człowiek na palu stał się świętością i przedmiotem troski ogółu. Kilkuset zmordowanych ludzi, pod wpływem wrodzonego instynktu współczucia i starych obyczajów, nieświadomie rozruszało się i zjednoczyło, starając się odzyskać ciało męczennika, ocalić je przed zbezczeszczeniem i pochować po chrześcijańsku. Ostrożnie szepcząc i umawiając się po chatach i szałasach, robotnicy uzbierali między sobą znaczną sumę na przekupienie Merdżana. Wybrali w tym celu spośród siebie trzech najsprytniejszych; udało im się nawiązać kontakt z oprawcą. Utrudzeni i zmoczeni trzej chłopcy wchodzą teraz w układy powoli, chytrze, z daleka. Marszcząc się, drapiąc po głowie i umyślnie się jękając, najstarszy chłopak tak prawi do Cygana:

- Ano, i to się skończyło. Widać tak było sądzone. Ale wiesz, jak to bywa, przecież, jak to się mówi, jest insan, stworzenie Boże, a więc nie godzi się, żeby, na ten przykład, bestie go zjadły i psy rozwlekły.

Merdżan, który domyśla się, że chodzi tu o niezłą gratkę, wykręca się raczej załośnie niż stanowczo.

- Ajajok¹⁸! Szkoda gadać! Na wielkie niebezpieczeństwo chcecie mnie narazić. Nie macie pojęcia, jaki potwór z Abidagi!

Chłopak sumuje się, marszczy i medytuje: „Cóż, Cyganem jest, stworzeniem bez czci i wiary, nijak nie można kumać się z nim ani bratać, ani niczym przebłagać”, ale prawą ręką ściska w garści siedem piastrow w płytkiej kieszeni kapoty.

- Przecie wiemy, jak to jest. Wiemy, na ten przykład, że i tobie nie jest łatwo. Jeno nie chcemy twojej krzywdy. Ot, zebraliśmy cztery piastry, niech wyjdzie na zdrowie, powiadamy sobie, będzie dość.

¹⁸ Ależ nie! (tur.).

- Jok, jok¹⁹! Milsza mi własna skóra niż wszystkie skarby tego świata! Z rąk Abidagi nie wyszedłbym żywy, bo on widzi wszystko nawet we śnie. Och, na samą myśl ciarki mnie przechodzą!

- Cztery, ostatecznie pięć, jeśli coś z tego wyjdzie. Znalazłoby się przecie - ciągnie chłop, nie słuchając narzekań Cygana.

- Oj, boję się, boję!

- Dobrze, dostałeś rozkaz to... ciało rzucić, na ten przykład, jakby... psom i tyje rzucisz, a co potem się stanie, nie obchodzi cię ani nikt nie będzie ciebie o to pytał. Ano widzisz, my, na ten przykład, wzięlibyśmy to... ciało i pogrzebali wedle naszych obyczajów, ale ukradkiem, na ten przykład, żeby nikt nie widział. A ty, na ten przykład, powiesz na drugi dzień, że psy, na ten przykład, rozwlekły to... ciało. Jakby nigdy nic, a... ty swoje dostaniesz.

Chłop mówił ostrożnie i zmyślnie, tylko dziwnie urywał przed wyrazem ciało.

- Jakże to tak? Za marne pięć piastrów głowę mam nadstawiać? Nie, nie nieee!

- No to za sześć - dodał spokojnie chłop.

Wtedy Cygan wyprostował się, rozłożył ręce i z poważną miną, tchnącą rozbijającą szczerością, na jaką potrafią się zdobyć jedynie ludzie, którzy nie rozróżniają kłamstwa od prawdy, stanął przed chłopem, jakby to on był skazańcem, a chłop oprawcą:

- Niech stracę, skoro już taki mój los, i niech moja Cyganka będzie wdową, a moje dzieci sierotami! Dajcie siedem piastrów i bierzcie sobie umarlaka, żeby tylko nikt nie widział i nie dowiedział się.

Chłop kręcił głową, szczerze żałując, że musi temu łotrowi dać wszystko co do grosza. Jakby mu zajrzało do garści!

A potem omówili dokumentnie i szczegółowo, jak to Merdżan po zdjęciu z pała przeniesie trupa na lewy brzeg rzeki, i tu go o zmierzchu tak rzuci na skały przydrożne, aby to widzieli ludzie Abidagi i przechodnie. Oni będą czekać opodal w zaroślach. A gdy zmrok zapadnie, zabiorą trupa i pochowają, ale w ukrytym miejscu i bez widocznych śladów, tak że będzie całkiem prawdopodobne, że psy w nocy rozwlekły go i zjadły.

Trzy grosze zadatku, a reszta jutro po wszystkim.

Tejże nocy stało się zgodnie z umową.

O zmierzchu Merdżan przywlokł trupa i porzucił na brzegu poniżej drogi. (Trup już nie przypominał ciała, na które wszyscy patrzyli przez dwa dni, prostego, z wypiętą piersią,

¹⁹ Ależ nie! (tur.)

sterczącego na palu; był to znowu dawny Radisaw, drobny, skurczony, tylko bez kropli krwi i życia). Cygan wraz z pachółkami przeprowił się zaraz promem na drugi brzeg, do kasaby.

Chłopi czekali w zaroślach. Przemykali się jeszcze niektórzy zapóźnieni robotnicy albo wracający do domu Turcy. Wreszcie całą okolicę zaległa cisza zupełna i mrok. Zaczęły nadciągać psy, owe wielkie, wyleniałe kundły, trwożne i zgłodniałe, bezdomne i bezpańskie. Chłopi z ukrycia rzucali w nie kamieniami i odpędzali, a psy uciekały z podwiniętymi ogonami, ale tylko na kilkanaście kroków i znów patrzyły, co będzie dalej. W ciemnościach błyszczały ich ślepie jak węgielki. Gdy zapadła głęboka noc i nie zanosilo się, by ktoś jeszcze nadszedł, wyszli z kryjówek chłopi z kilofem i łopatą. Dwie deski, które mieli też ze sobą, położyli jedną na drugą i na nich przenieśli zmarłego na ubocze.

W jarze wyżłobionym przez wiosenne i jesienne spływające z gór ku Drinie wody zgarnęli żwir, leżący tu jakby na dnie wyschłego odwiecznego potoku, i wykopali głęboki dół sprawnie, cicho, w milczeniu i bezszelestnie. W grobie złożyli skostniałe ciało, zimne i skurczone. Najstarszy chłop wskoczył do dołu, ostrożnie skrzesał ognia i zapalił najpierw hubkę, a potem cienką świeczkę ze skręconego nawoskowanego knota, oburącz zasłaniając, potem zatknął ją powyżej głowy nieboszczyka i zamasyście i na głos przeżegnał się trzy razy. Znak krzyża uczynili także tamci w ciemności na górze. Potem chłop machnął dwakroć ręką, jakby z pustej dłoni polewał zmarłego niewidocznym winem, i dwakroć wymówił cicho, żałośnie:

- So swjatimi upokoj, Christe, duszu raba twojego.²⁰

Potem mamrotał jeszcze jakieś niezrozumiałe, modlitewne słowa, uroczyste i trudne, tak że tamci nad grobem wciąż się żegnali. A gdy umilkł, podali mu deski, które on złożył nad trupem, wzdłuż i ukośnie, tak że tworzyły rodzaj dachu. Jeszcze raz uczynił znak krzyża, zgasił świecę i wygramolił się z dołu.

Potem ostrożnie i powoli zaczęli wszyscy trzej jednocześnie sypać ziemię, ubijając ją dobrze, aby nie było śladu mogiły. Gdy uporali się z tą pracą, znów przysypali żwirem świeżo poruszoną ziemię, tworząc jakby potok, jeszcze raz przeżegnali się i ruszyli w drogę powrotną, klucząc, żeby wyjść na trakt jak najdalej od grobu.

Tejże nocy spadł rześisty, cichy deszcz bez wichru, a rano wstał pełen mlecznych oparów i ciężkiej, letniej wilgoci wypełniającej całą dolinę rzeki. Po białym blasku, który to rósł, to słabł, widać było, że słońce gdzieś się zmagają z mgłami, nie mogąc się przez nie przedrzeć. Wszystko przygasło, wyglądało jakoś upiornie, inaczej i dziwnie. Ludzie wyłaniali się nagle z mgły i tak samo nagle w niej przepadali. W taką pogodę przejechał wczesnym rankiem przez miasto prosty

²⁰ Tu w sensie: wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, (starocerk.-slow.).

wóz z dwoma sejmienami, którzy przytrzymywali skrępowanego Plewłjaka, swego niedawnego przełożonego.

Od przedwczoraj, kiedy to w przypiływie niespodziewanego zachwytu, że żyje, a nie tkwi na palu, zaczął płaszać przed wszystkimi, nie mógł się uspokoić. Wszystkie mięśnie w nim drgały, nigdzie miejsca nie mógł sobie znaleźć, wciąż go prześladowała nieokiełznana chęć osobistego przekonania się i udowodnienia innym, że on jest zdrowy, cały i żywy. Chwilami przypominał sobie Abidagę (to była ciemna strona jego radości!) i od razu pogrążał się w głębokiej zadumie. Ale nagromadzona nowa siła nieubłaganie podrywała go, tak że kręcił się jak opętany. Zrywał się i tańczył, rozkładając ręce, przytkając palcami i kołysząc się w biodrach jak tancerka. Dowodził coraz innymi żywymi i gwałtownymi ruchami, że nie jest na palu, dysząc w rytmie tańca:

- Otóż tak... i to mogę, ot, otóż tak... i tak! Nie chciał nic jeść, a każdą rozpoczętą rozmowę urywał nagle i znów zabierał się do płasów i dziecinnego przekonywania każdym gestem: „O, patrz, oto... tak, tak!”.

Gdy wreszcie wczorajszego wieczoru ważyli się powiedzieć Abidadze, co się dzieje z Plewłjakiem, on rzekł krótko i oschle:

- Odwieźcie wariata do Plewłja i niech go trzymają w domu, żeby nie szalał. Nie nadawał się do tej roboty.

Tak też zrobiono. Ale ponieważ dowódca nie mógł usiedzieć spokojnie, sejmieni musieli przywiązać go do wozu. Płakał i szamotał się, póki mógł poruszyć choćby palcem, wrywał się, wciąż wołając swoje: - Otóż tak! - W końcu zwiążali mu ręce i nogi, siedział więc na wozie niby wór żyta, cały skrępowany sznurami. Lecz teraz, kiedy nie mógł się ruszać, zaczął wyobrażać sobie, że go wbijają na pal, kurczył się i opierał z rozpaczliwym krzykiem:

- Nie mnie! Nie mnie! Wiłę chwytajcie! Abidaga, nie!

Z ostatnich domów na skraju miasta wybiegli ludzie, przerażeni wrzaskiem, ale wóz z sejmienami i chorym szybko zniknął na dobruńskim trakcie, w gęstej mgle, przez którą z trudem przedzierało się słońce.

Niespodziewane, tragiczne odejście Plewłjaka napędziło ludziom jeszcze większego strachu. Szeptano, że skazany chłop był niewinny i że Plewłjak ma go na sumieniu. Na Mejdanie wśród Serbów kobiety opowiadały, jak wile pogrzebały ciało nieszczęsnego Radisawa u stóp Butkowych Turni i jak nocą spływa z nieba światło na jego mogiłę: miliardy płonących świec, migocących w długim snopie od nieba do ziemi. Widziały je przez łzy.

W różności wierzone i różności szeptano, ale strach był silniejszy ponad wszystko. Robota na moście posuwała się szybko i gładko, bez przerwy i przeszkód. Trwałoby to tak Bóg wie

dokąd, gdyby z początkiem grudnia nie nastąpiły nadspodziewane silne mrozy, wobec których nawet Abidaga był bezsilny.

Były to niepamiętne o tej porze mrozy i zawieje. Kamienie przymarzały do ziemi i drzewa pękały. Drobnny kryształowy śnieg zawiał wszystko, narzędzia, a nawet chaty, a nazajutrz kapryśny wicher przenosił go gdzie indziej i śnieżnym tumanem pokrywał co innego. Robota sama przez się ustała i strach przed Abidagą zbladł, a nawet całkiem wygasł. Abidaga zawziął się przez kilka dni, ale w końcu musiał ustąpić. Rozpuścił robotników i wstrzymał roboty. Po największej zamieci odjechał wreszcie ze swoimi ludźmi. Tegoż dnia opuścił kasabę Tosun efendi na wiejskich saniach wymoszczonych słomą, opatulony derkami, a majster Antonije udał się w przeciwnym kierunku. Całe obozowisko rozproszyło się po wsiach i głębokich dolinach, zniknęło niepostrzeżenie i bez hałasu niby woda wsiąkająca w ziemię. Została budowa jak porzucona zabawka.

Przed odjazdem Abidaga znów zwołał co przedniejszych Turków. Był zgnębiony w swym bezsilnym gniewie, oświadczył im jak zeszłego roku, że wszystko zostawia na ich opiece i odpowiedzialności.

- Odjeżdżam, ale moje oko zostaje. Radzę wam dobrze: lepiej ściąć dwadzieścia krnąbrnych głów, aniżeli miałby zginąć choć jeden gwóźdź sułtański. Z wiosną znowu tu się pokażę i zażądam rachunku od każdego.

Znamienici ludzie przyobiecali podobnie jak zeszłego roku i rozeszli się do domów zatroskani, wtuleni w kapoty, serdaki i szale, w duchu dziękując za zimę i zamieć Bogu, który swoją potęgą ogranicza siły możnych tego świata.

A na wiosnę zjechał nie Abidaga, lecz Arif bej, nowy pełnomocnik wezyra, wraz z Tosun efendim. Abidadze przydarzyło się to, czego tak bardzo się obawiał. Ktoś (kto wszystko dobrze wiedział i z bliska podpatrzył) złożył wielkiemu wezyrowi dokładne i wyczerpujące dane o jego poczynaniach na moście wyszegradzkim. Wezyr był ściśle powiadomiony, że w ciągu dwóch lat codziennie około trzystu ludzi pracowało bez grosza wynagrodzenia, bardzo często o własnym wikcie, a pieniądze wezyra znikwały w kabzie Abidagi. (Wyliczono nawet sprzeniewierzoną sumę). Swoją nieuczciwość pokrywał, jak to często bywa w życiu, wielką gorliwością i przesadną surowością, tak że lud całej tej ziemi, nie tylko raja, ale i Turcy, miał błogosławić wspaniałą budowlę, przeklina godzinę jej powstania i jej twórcę.

Mehmedpasza, który całe życie zwalczał nadużycia i nieuczciwość swych urzędników, kazał złemu powiernikowi zwrócić całą sumę, a z resztą mienia i haremem wynieść się do małej miejsciny w Anatolii, aby wszelki słuch o nim zaginął, jeśli nie chce, by go coś gorszego spotkało.

W dwa dni po Arif beju przybył także z Dalmacji majster Antonije z pierwszymi robotnikami. Tosun efendi przedstawił go nowemu zwierzchnikowi. W pogodny, ciepły kwietniowy dzień obeszlą budowę i ustalili rozkład pierwszych zajęć. Gdy Arif bej odszedł, a oni dwaj zostali sami na brzegu, majster Antonije, patrząc uważnie w oczy Tosun efendiego, który mimo ciepła był skulony i zawinięty w obszerny czarny mintan²¹, rzekł:

- To jest zupełnie inny człowiek. Chwała Bogu! Zastanawia mnie tylko, kto miał tyle sprytu i odwagi, by donieść wielkiemu wezyrowi i wykończyć tę bestię.

Tosun efendi, patrząc przed siebie, rzekł spokojnie:

- Niewątpliwie ten jest lepszy.

- Musiał to być ktoś, kto dobrze znał sprawki Abidagi, a miał dostęp do wezyra i cieszył się jego zaufaniem.

- Oczywiście, ma się rozumieć, ten jest lepszy - odparł Tosun efendi, nie podnosząc wzroku i szczerze otulając się mintanem.

Tak więc budowę przejął nowy pełnomocnik, Arif bej.

W rzeczy samej był to zgoła inny człowiek. Niezwykle wysoki, pochylony, bez wąsów, o wystających kościach policzkowych i skośnych, czarnych, śmiejących się oczach. Ludzie od razu przezwali go Misirbabą²². Bez hałasu, bez kija, bez ordynarnych wyzwisk i specjalnego nacisku wydawał rozkazy i polecenia z uśmiechem i beztrąsko, jakby wyniosłe, ale nic nie pominął ani nie przeoczył. On także odznaczał się surową gorliwością wobec wszystkiego, co było wolą i rozkazem wezyra, tylko że był zrównoważonym, prawym i uczciwym człowiekiem, który nie miał czego się lękać ani co ukrywać, nie musiał więc innych straszyć ani prześladować. Roboty posuwały się w tym samym tempie (bo tempa wymagał wezyr), niedopatrzona karana była z tą samą surowością, ale bezpłatną robocizną zniesiono od pierwszego dnia. Wszyscy otrzymywali zapłatę i przydział żywności: mąkę i sól. Toteż wszystko szło szybciej i sprawniej niż za czasów Abidagi. Zniknęła też głupia Ilinka, przepadła gdzieś w zimie bez wieści.

Budowa rosła i rozszerzała się.

Teraz widać było, że budowa to nie tylko most, lecz także zajazd, karawan-seraj, w którym podróżni przybywający z daleka znajdą schronienie dla siebie, swych koni i towarów, gdy im tu nocować wypadnie. Podług wskazówek Arif beja zaczęto budowę zajazdu. U wejścia do miasta, na jakie dwieście kroków przed mostem, tam gdzie stromo zaczyna się wznosić wzgórze i droga na Mejdan, jest plac, na którym co środę odbywał się targ na bydło. Na tym miejscu zaczęto

²¹ Mintan - długa wierzchnia szata, chałat.

²² Misirbaba - gołowaś.

wznosić nowy zajazd. Roboty szły wolno, ale od razu było widać, że zamierzona budowla będzie masywna, bogata, w wielkim stylu. Ludzie nie dostrzegali nawet, jak z wolna, ale stale wyrastał wielki zajazd z kamienia, gdyż całą uwagę przykuwał most.

Roboty na Drinie były teraz tak skomplikowane, wszystkie prace tak złożone i zagmatwane, że mieszkańcy kasaby, którzy w wolnych chwilach przyglądali się z brzegu całemu przedsięwzięciu jak jakiemuś naturalnemu zjawisku, nie mogli już w tym wszystkim się połąpać. Sypano coraz to nowe wały i szańce w różnych kierunkach, podzielono rzekę groblami, tworząc odnogi i łachy i przetaczano jej wody z jednego koryta do innego. Majster Antonije sprowadził z Dalmacji fachowców powroźników i wykupił cały zapas konopi nawet z sąsiednich okręgów. Ludzie ci w specjalnie postawionych szopach skręcali liny niebywalej grubości i mocy. Grecy cieśle wedle jego i Tosun efendiego planów majstrowali wielkie drewniane dźwigi z kołem, ustawiali je na tratwach i podnosili na linach nawet najcięższe bloki kamienne, przenosząc je na filary, które jeden po drugim wyłaniały się z wody. Cztery dni trwało przenoszenie jednego bloku z brzegu na łożysko w fundamentach mostu.

Patrząc na to z dnia na dzień, z roku na rok, nasi ludzie poczęli zatracać poczucie czasu i rzeczywistych zamierzeń budowniczych. Wydawało im się, że budowa nie tylko nie posuwa się naprzód, lecz coraz bardziej się komplikuje i płacze w jakichś pomocniczych i drugorzędnych robotach; im dłużej trwa, tym mniej przypomina zamierzone dzieło. Ludzie, którzy sami nie pracują i nic nie podejmują w życiu, łatwo zwykli tracić cierpliwość i mylić się przy ocenie cudzej pracy. Wyszegradzcy Turcy znów poczęli wzruszać ramionami i machać rękami, gdy mowa była o moście. Chrześcijanie milczeli, ale przyglądali się budowie i złośliwie życzyli jej niepowodzenia, jak każdemu przedsięwzięciu tureckiemu. Jakoś w tym czasie ihumen monasteru Banje pod Pribojem zapisał na ostatniej wolnej karcie kroniki:

Gwoli wiadomości wszem i wobec i każdemu z osobna, kiedy Mehmedpasza most budował na Drinie wedle Wyszegradu. Wielkiego ucisku nad narodem chrześcijańskim dopuszczali się Turkowie i pańszczyzną ciężką gnębili. Znad morza majstrów sprowadzali.

Trzy roki budowali i ładny grosz wydali. Wodę groblami zastawili, ale mostu nijak postawić nie mogli.

Czas upływał, zmieniały się lata i jesienie, zimy i wiosny, odchodzili i wracali robotnicy i majstrowie. Teraz nad całą Driną były rozpięte łuki, ale nie mostu, lecz drewnianych wiązań, które przypominały bez składu i ładu połączony splot bierwion świerkowych i desek. Po obu brzegach rzeki chwiały się wysokie drewniane dźwigi na dobrze umocowanych tratwach, dymiły ogniska, w których topiono ołów. Zalewano nim dziury w płytach, a także spajano niewidocznie kamień z kamieniem.

Pod koniec trzeciego roku zdarzyła się jedna z tych katastrof, bez których rzadko mogą się obyć wielkie budowy.

Kończono akurat środkowy filar, nieco wyższy i szerszy u góry niż pozostałe, jako że na nim miała wspierać się kapija. Podczas przenoszenia ogromnego kamienia w bloku coś się zacięło. Robotnicy uwijali się dokoła czworograniastego głazu, który okręcony grubymi linami wisiał nad ich głowami. Dźwig nie mógł ustawić go dokładnie nad łożyskiem. Arab, pomocnik majstra Antonije, nadbiegł zniecierpliwiony i począł głośno, gniewnymi okrzykami (w owej dziwnej mowie, będącej mieszaniną różnych języków, którą w ciągu lat posługiwali się ludzie ze wszystkich stron świata) wydawać rozkazy tym, co na wodzie kierowali dźwigiem. W tej chwili w niepojęty sposób rozluźniły się liny i głaz osunął się, najpierw w jedną stronę, a potem całym ciężarem runął na rozdrażnionego Araba, który nie patrzył do góry, lecz na wodę. Dziwnym zbiegiem okoliczności kamień trafił na właściwe miejsce, ale zaczepił o Araba i przygniół mu dolną część ciała. Nastąpiło zamieszanie, bieżanina, nawoływania. Zaraz nadbiegł majster Antonije. Młody człowiek odzyskał przytomność; jęczał przez zaciśnięte zęby i żałośnie, trwożnie wpatrywał się w oczy majstra Antonije.

A ten blady, zafrasowany wydawał rozkazy robotnikom, kazał przynieść narzędzie i podważyć blok. Ale wszystko na próżno.

Uptyw krwi sprawiał, że Arab z trudem łapał dech, a wzrok zachodził mu mgłą. Po półgodzinie wyzionął ducha, kurczowo ściskając w swej dłoni rękę majstra Antonije.

Pogrzeb był uroczystym wydarzeniem, które długo wspominało. Wszyscy mężczyźni muzułmanie oddali mu ostatnią posługę, niosąc po kilka kroków trumnę z górną częścią jego młodego ciała, jako że reszta została pod głazem. Majster Antonije postawił na jego grobie piękny pomnik z kamienia, z którego most budowano. Wstrząsnęła nim śmierć tego młodego człowieka, którego jako chłopca przygarnął w Ulcinju, gdzie mieszkało kilka zabłąkanych rodzin murzyńskich. Ale robota nie ustawała ani na chwilę.

Tego i następnego roku zima była łagodna, tak że pracowano do połowy grudnia. Nadchodził piąty rok budowy. Teraz ów rozległy, nierówny teren zavalony drzewem, kamieniami, urządzeniami pomocniczymi i wszelkim budulcem począł się kurczyć.

Na placu przy drodze na Mejdan stał już nowy zajazd wyzwolony z rusztowań. Był to duży budynek piętrowy, wzniesiony z tego samego kamienia co most. Mimo że karawan-seraj jeszcze wykańczano od wewnątrz i z zewnątrz, już teraz można było z daleka ocenić, jak bardzo różni się rozmiarami, harmonią linii i solidnością roboty od wszystkiego, co kiedykolwiek wybudowano lub wyobrażano sobie w kasabie. Budynek ten z jasnożółtego kamienia, kryty ciemnoczerwoną dachówką, z rzędem okien misternej roboty był dla mieszkańców kasaby wspaniałym,

nieprawdopodobnym, odświętnym darem, który odtąd miał stanowić część składową ich codziennego życia.

Wzniesiony przez wezyra, zdawał się być tylko dla wezyrów przeznaczony na popas. Onieśmiał wielkością, smakiem i przepychem.

Jednocześnie ta niekształtna masa skrzyżowanych belek i desek nad rzeką poczęła się kurczyć i zmniejszać, a poprzez nie coraz lepiej i wyraźniej przeświecał most z pięknego bańskiego kamienia. Wciąż jeszcze niektórzy robotnicy i całe grupy wyrobników coś tam majstrowali, co wszystkim wydawało się pozbawione krzty sensu i niemające nic wspólnego z resztą, ale teraz nawet najbardziej nieufny mieszkaniec kasaby zdawał sobie sprawę, że wznoszą most podług jednolitego planu i bezbłędnych obliczeń, które stoją za tymi robotami. Najpierw wyłoniły się najmniejsze co do wysokości i rozpiętości łuki, najbliżej brzegów, a potem kolejno odsłaniano następne, aż wreszcie ostatni też otrząsnął się z wiązań i w całej okazałości ukazał się most o jedenastu potężnych przęsłach, wspaniały i przedziwny w swym pięknie, nowy, niecodzienny widok dla mieszkańców kasaby.

Skorzy do dobrego i złego wyszegradzianie wstydzili się swych wątpliwości i niedowierzania. Teraz nawet nie starali się ukrywać podziwu ani nie umieli opanować zachwytu. Wstęp na most był jeszcze wzbroniony, ale ludzie gromadzili się na obu brzegach, zwłaszcza na prawym, gdzie znajdowała się czarszija i większa część miasta, i gapili się na robotników, którzy chodzili po nim i szlifowali poręcze i ławy kapii. Wszegradzcy Turcy przyglądali się cudzej pracy wykonywanej cudzym kosztem, której w ciągu okrągłych pięciu lat nadawali przeróżne nazwy i wróżyli najgorszą przyszłość.

- Przecież ja zawsze mówiłem - powiada w radosnym ferworze jakiś poczciwy hodża z Duszcza - że sułtan nic nie straci, a owi mądrzy ludzie zbudują w końcu, co sobie zamierzili; ale wy wciąż swoje: nie i nie! A jednak widzicie, że wybudowali, i to jaki most, jaką wygodę i jakie cudo!

Wszyscy mu potakują, choć nikt właściwie nie pamięta, kiedy on to mówił, natomiast wszyscy wiedzą, że razem z nimi obszczekiwał budowę i psy wieszał na jej twórcy. Wszyscy szczerze uradowani, wciąż nadziwić się nie mogą:

- Oj, ludzie, ludzie, co też wyrosło w tej naszej kasabie!

- Patrzcie, co znaczy potęga i rozum wezyra, gdzie okiem rzucić - korzyść i szczęście!

- Ale to jeszcze nic - dodaje ów frymuśny hodża - będzie jeszcze ładniejszy. Widzicie, jak go czyszczą i pucują niby konia na jarmark!

Tak to prześcigają się w zachwytach, szukając coraz nowych, piękniejszych i wymyślniejszych pochwał. Tylko Ahmedaga Szeta, bogaty kupiec zbożowy, zrzęda i skąpiec,

drwiąco spogląda na budowę i na chwalców. Wysoki, chuderlawy, żółty, o ostrym spojrzeniu czarnych oczu, cienkich, jakby zlepionych wargach, mruży oczy rażone słońcem pięknego wrześnieowego dnia i jedynie on nie zmienia swego dawnego zdania. (Bywa bowiem w niektórych ludziach tyle nieuzasadnionej nienawiści i złości, że jest ona większa i silniejsza od wszystkiego, co inni zdołają stworzyć i wymyślić). Do chwalców wspaniałości solidności mostu, utrzymujących, że jest trwalszy od zamku, mówił z przekąsem:

- Niech no tylko przyjdzie powódź, ta nasza, prawdziwa, wyszegradzka! Zobaczymy wtedy, co z niego zostanie!

Wszyscy zakrzykują go i wynoszą pod niebiosa budowniczych, osobliwie Arif beja, który zawsze z pańska uśmiechnięty jakby dla igraszki wznosił tę potężną budowlę. Ale Szeta wziął się, żeby nikomu nic nie przyznać.

- Akurat, gdyby nie było Abidagi i jego zielonego kija, jego bezwzględności i ucisku, widzielibyśmy, czy ten wasz Gołowas potrafiłby swym uśmiechem i założonymi rękami dokończyć budowy!

Zirytowany ogólnymi zachwytnymi, jakby spotkała go osobista obraza, Szeta gniewnie ruszył do swego składu, gdzie zwykł przesiadywać zawsze na tym samym miejscu, skąd nie widać słońca ni mostu i nie słycać gwaru i hałasu.

Ale Szeta należał do odosobnionych wyjątków. Radość i podziw mieszczan rosły i ogarniały okoliczne wsie. W pierwszych dniach października Arif bej urządził wielką uroczystość dla uczczenia zakończenia budowy mostu. Człowiek ten o pańskich manierach, wymagający, rzadkiej uczciwości, który wydawał wszystkie powierzone sobie pieniądze na to, na co były przeznaczone, nie zatrzymując sobie ani grosza, był dla ludu główną osobistością w tym obchodzie. Mówiono o nim więcej niż o samym wezyrze. Nie dziw więc, że urządzona przez niego uroczystość była bogata i wspaniała.

Dozorcy i robotnicy otrzymali nagrody w gotówce i przyodziewku, a ogólna uczta, w której brał udział każdy, kto chciał, trwała dwa dni. Na cześć wezyra jadło się, piło, grało, tańczyło i śpiewało; urządzono turnieje i biegi; biedakom rozdawano mięsiwa i słodycze. Na placu łączącym most z czarszją gotowano w kotłach chałwę i jeszcze gorącą rozdawano między ludem.

Najadł się każdy do syta, nawet ten, kto na Bajram²³ nie ogląda frykasów. Aż do okolicznych wsi dotarła ta chałwa, a ktokolwiek jej próbował, życzył wezyrowi zdrowia, a jego budowlom długowieczności. Były dzieci, które ze czternaście razy podchodziły do kotła, aż

²³ Bajram - święto muzułmańskie, kończące długotrwały okres postu (Ramazan).

kucharze poznawszy je, odpędzali warząchwiami. Jakieś Cyganiątko umarło z przejedzenia się gorącą chałwą.

Te rzeczy długo pamiętano i wspomniano wraz z opowieściami o powstaniu mostu, tym bardziej że szczerzy wezyrowie i uczciwi pełnomocnicy w późniejszych stuleciach zdaje się wymarli, a takie święta były rzadkie, ba, nawet zgoła nieznane, aż w końcu dołączono je do legend o wilach, Stoi i Ostoi oraz podobnych cudach i dziwach.

Podczas samych uroczystości, a także w pierwszych dniach Po ukończeniu budowy ludzie przechodzili przez most niezliczoną ilość razy tam i z powrotem. Dzieci przebiegały, a starsi szli wolno, gawędząc albo co kilka kroków przystając i oglądając nowe widoki, otwierające się z mostu. Słabych, chromych i kaleki przynoszono na noszach, jako że nikt nie chciał pozostać w tyle i wyrzec się swego udziału w tym niezwykłym wydarzeniu. Każdy, nawet najskromniejszy mieszkaniec kasaby, miał uczucie, jakby jego możliwości i siły nagle wzrosły; jakby dokonano jakiegoś zdumiewającego, nadludzkiego wyczynu na miarę jego sił i w granicach codziennego życia; jakby prócz znanych dotąd żywiołów: ziemi, wody i nieba, odkryto nagle jeszcze jeden; jakby zostały naraz zniszczone wszystkie i każdego z osobna najskrytsze pragnienia, odwieczne marzenie ludzkości: możliwość przechodzenia ponad wodą i opanowania przestrzeni.

Młodzi Turcy wiodli korowody dokoła kotłów z chałwą, dalej przez most, bo zdało im się, że lecą, ziemi nie dotykając, a potem zataczali koło na kapii, tupiąc, jakby próbowali wytrzymałości nowych płyt. Dokoła zwarte go kręgu młodych, podskakujących niezmordowanie w jednostajnym rytmie ciał, płąsali chłopcy; przebiegali pośród ruchomego lasu roztańczonych nóg, stawali pośrodku koła, po raz pierwszy w życiu na moście, o którym od lat się mówi, i to na kapii, o której krążą słuchy, że zamknięty w niej jest ów nieszczęsny Arab ukazujący się w nocy. Rozkoszując się tańcem, chłopcy zamierali ze strachu, którym jeszcze za życia, gdy pracował na moście, Arab przejmował dzieci kasaby. Na tym wyniosłym, nowym, niezwykłym moście zdawało im się, że od dawna oderwali się od spódnic matczynych i opuścili domy rodzinne, zawędrowali do kraju czarnych, ojczyzny nadzwyczajnych tańców; drżeli ze strachu, ale nie mogli wyzbyć się myśli o Arabie ani wyrwać się z korowodu na przedziwnej, nowiutkiej kapii. Tylko jakieś nowe dziwy mogłyby odciągnąć ich uwagę.

Niejaki Murat, zwany Niemową, niedorozwinięty młodzik z rodziny agów Twrtkowiciów z Nezuke, z którego często w kasabie strojono sobie żarty, wdrapał się nagle na kamienną poręcz. Rozległy się piski dzieciarni, zdumione i przerażone okrzyki starszych, a głupi Murat jak urzeczony, z rozpostartymi ramionami i odrzuconą do tyłu głową szedł po wąskich płytach, stawiał stopę przed stopą, jakby nie wisiał nad wodą i przepaścią, lecz uczestniczył w

najpiękniejszym tańcu. Obok biegła czereda dzieci i próżniaków, zachęcając go. A na drugim końcu mostu czekał nań jego brat Aliaga i stłukł go jak małego brzdąca.

Wielu wybierało się na dalekie spacery w dół rzeki do Kalaty lub Mezalinu i dopiero stąd oglądało most; biały i lekki, o jedenastu nierównych łukach, rysował się jak przedziwna arabeska na tle zielonej wody i ciemnych gór.

W owych dniach przyniesiono dużą białą tablicę z napisem i wmurowano ją na kapii w ścianę z czerwonego kamienia, która wystaje o całe trzy arszyny nad poręcz mostu. Długo ludziska gromadzili się przed napisem i gapili, póki nie nadszedł jakiś softa²⁴ lub młody hafiz²⁵, który mniej lub bardziej wprawnie za filiżankę kawy, kawałek arbuza albo po prostu dla chwały Bożej odczytywał napis, jak mógł i umiał.

Setki razy sylabizowano wiersze owego napisu, ułożone przez niejakiego Badięgo, a głoszące imię, pochodzenie i stanowisko tego, który kazał wznieść tę budowlę, jak również szczęśny rok 979 po Hedżirze²⁶, to jest 1571 ery chrześcijańskiej, rok jej ukończenia. Ów Badi za sowite wynagrodzenie układał lekkie i dźwięczne strofy i umiał zręcznie wcisnąć je możliwym, którzy wznosili lub odnawiali wielkie budowle. Ci, co go znali (i po trochu zazdrościli), mówili złośliwie, że sklepienie nieba jest jedynym pomnikiem bez wiersza Badięgo. A on, mimo pięknych zarobków, był biednym głodomorem, wiecznie klepał przysłowiową biedę, która nieodstępnie towarzyszy wierszokletom jako osobliwe przekleństwo i której nie są w stanie usunąć żadne płace ni nagrody.

Wskutek słabej piśmienności, uporu i bujnej wyobraźni naszych ludzi każdy mędrzec z kasaby na swój sposób czytał i tłumaczył wyryty na kamiennej płycie wiersz Badięgo, jak każdy tekst raz napisany trwający tu wiecznie w odwiecznym kamieniu po wsze czasy, niezmiennie wystawiony na spojrzenia i osąd wszystkich ludzi, mądrych i głupich, złych i życliwych.

Każdy słuchacz utrwał w pamięci te wiersze, które jego uchu i usposobieniu najbardziej odpowiadały. Tym sposobem to, co tu było w oczach wszystkich wyryte w twardym kamieniu, podawano z ust do ust w różnych wersjach, często przekręcone i zmienione aż do bezsensu.

A na tablicy taki widniał napis:

OTO MEHMEDPASZA, NAJWIĘKSZY POŚRÓD MĄDRYCH I MOŻNYCH TEGO ŚWIATA, ZIŚCIŁ ŚLUB SERCA SWEGO. WŁASNYM STARANIEM I SUMPTEM WZNIÓŚŁ MOST NA RZECE DRINIE, NA OWEJ WODZIE GŁĘBOKIEJ I RWĄCEJ.

²⁴ Softa - słuchacz uczelni kształcącej muzułmańskich duchownych.

²⁵ Hafiz - uczony muzułmanin znający na pamięć Koran.

²⁶ Hedżtra a. Hegira - ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny (622 r.); data ta jest początkiem ery mahometańskiej.

POPZEDNICY JEGO NIC NIE POTRAFILI DOKONAĆ.

UFAM, ŻE Z ŁASKI NIEBA BUDOWLA JEGO TRWAĆ BĘDZIE, ŻYWOT MU W SZCZĘŚLIWOŚCI SCHODZIĆ, A TROSK ŻADNYCH NIGDY NIE ZAZNA.

ALBOWIEM ZA ŻYCIA ŁOŻYŁ NA BUDOWLE I ZŁOTO, I SREBRO;

WSZELAKO NIKT NIE POWIE, IŻ NA MARNE POSZŁO MIENIE NA TAK WZNIOSŁY CEL PRZEZNACZONE.

BADI, KTÓRY NAOCZNYM ŚWIADKIEM BYŁ ROBÓT UKOŃCZENIA, UŁOŻYŁ NAPIS:

„OBY ALLACH BŁOGOSŁAWIŁ TĘ BUDOWLĘ, TEN MOST PRZEDZIWNEJ PIĘKNOŚCI!”.

Wreszcie ludziska najedli się, nadziwili, nachodzili i nasłuchali wiersza do syta. Od pierwszych dni most wszedł do ich codziennego życia, tak że przechodzili przez niego w pośpiechu i obojętnie, zatroskani i roztargnieni jak szumiąca woda pod nim, jakby to była jedna z niezliczonych dróg wydeptanych ich nogami. A napis na murze tkwił w milczeniu jak każdy inny kamień.

Teraz lewobrzeżny trakt został związany bezpośrednio z gościńcem na równinie po przeciwnej stronie. Zniknął czarny, stoczony przez robaki prom i kapryśny przewoźnik. Pod ostatnimi łukami mostu pozostały piaszczyste piargi i strome brzegi, po których z trudem schodziło się i pięło i gdzie się tak niezdolnie długo wyczekiwało i daremnie nawoływało z brzegu na brzeg. Ponad tym wszystkim i ponad wartką rzeką jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powstał most. Szło się teraz wysoko, jak na skrzydłach, prościutko z jednego wyniosłego brzegu na drugi po szerokim, długim moście, mocnym i trwałym jak góra, a tętniącym pod kopytami, jakby był wykuty z litej cieniutkiej tafli kamiennej.

Zniknęły także drewniane młyny i chałupy, w których wędrowcy z musu zatrzymywali się na nocleg. Miast nich stoi trwałe i wspaniałe karawan-seraj i przyjmuje gościnnie podróżnych, których z każdym dniem coraz więcej przybywa. Do zajazdu wchodzi się przez obszerną, foremą bramę. Po obu jej stronach znajdują się dwa duże zakratowane okna, ale kraty nie są z żelaza., jeno wykute z marmuru, i to z jednego bloku. Na obszernym czworokątnym dziedzińcu jest dość miejsca na towary i toboły, a wokół wiodą drzwi do trzydziestu sześciu komnat.

W głębi u podnóża góry są stajnie; ku powszechnemu zdumieniu one także są z kamienia, jakby wzniesione dla stadniny sułtana.

Takiego zajazdu nie znajdziesz od Sarajewa po Adrianopol. Tu każdy podróżny może spędzić bezpłatnie dzień i noc jedną, znajdując nocleg, ogień i wodę dla siebie, sług i koni.

To wszystko, podobnie jak i most, jest darem wielkiego wezyra Mehmedpaszy, który przeszło sześćdziesiąt lat temu urodził się za tymi górami, w wysoko położonej wioszczynie Sokolowici i w dzieciństwie z gromadą serbskich chłopców został uprowadzony jako adżami-oglan do Stambułu. Środki na utrzymanie karawan-seraju płyną z fundacji, którą Mehmedpasza utworzył z ogromnych włości zdobytych na Węgrzech.

Tak więc wraz z wybudowaniem mostu i karawan-seraju zniknęło, jak widać, wiele trosk i kłopotów. Zniknąłby może i ów niezwykły ból, który z dziecinnych lat wezyr wyniósł z Bośni na wyszegradzkim promie: straszliwy, ostry ból, co od czasu do czasu przecina pierś na poły. Ale Mehmedpaszy nie było sązione żyć bez tego bólu ani długo cieszyć się wyszegradzką budowlą. Wkrótce po zakończeniu ostatnich robót, kiedy to karawan-seraj został oddany do użytku, a most zasłynął w świecie, Mehmedpasza jeszcze raz poczuł ból „czarnego ostrza” w piersi. I to po raz ostatni.

Pewnego piątku, gdy wstępował ze switą do meczetu, zbliżył się doń z wyciągniętą ręką po jałmużnę jakiś obdarty derwisz niespełna rozumu. Wezyr zwrócił się do dworaka, aby ten wręczył mu datek, gdy wtem derwisz dobył z prawego rękawa ciężki rzeźniczy nóż i pchnął dostojnika między żebra. Dworzanie zasiekli derwisza na miejscu. W jednej chwili wyzionął ducha wezyr i jego zabójca. Na szarych płytach przed meczetem leżeli tak czas jakiś obok siebie. Morderca rosły, zażywny, z rozłożonymi rękami i nogami, jakby jeszcze w gniewnym rozmachu swego szalonego ciosu. A obok niego wielki wezyr, z rozpiętą szatą na piersiach i daleko odrzuconym turbanem. W ostatnich latach życia schudł i przygarbił się, jakoś szerniała i obrzękła mu twarz.

Teraz taki rozchełstany i z gołą głową, zboczony krwią, skulony i jakby pograżony w zadumie przypominał raczej postarzałego, zatłuczonego chłopca z Sokolowici niż zamordowanego dostojnika, który jeszcze przed chwilą trząsł całym Imperium Otomańskim.

Długie miesiące minęły, zanim do kasaby nad Driną dotarła wieść o zabójstwie wezyra, i to niejako wyraźny i określony fakt, ale jego pogłoska, która może być, a może i nie być prawdziwa.

Albowiem w państwie tureckim nie wolno szerzyć plotek ani rozgłaszać wieści o nieszczęśliwych wydarzeniach nawet wówczas, jeśli przytrafią się w kraju ościennym, a cóż dopiero gdy dotyczy to własnej tragedii. Zresztą w tym wypadku nikomu nie zależało, aby długo i dużo mówić o śmierci wielkiego wezyra.

Jego przeciwnicy, którym w końcu udało się go obalić, usiłowali wraz z uroczystym pogrzebem pogrześć wszelkie żywsze o nim wspomnienie. A bliscy, współpracownicy i zwolennicy Mehmedpaszy w Stambule, nie mieli przeważnie nic przeciwko temu, żeby o dawnym wielkim wezyrze mówić jak najmniej, jako że tym sposobem rosły ich możliwości porozumienia się z nowymi władcami, a także darowania im przeszłości.

Ale dwie piękne budowle nad Driną poczęły już wywierać wpływ na ruch kołowy i towarowy oraz na wyszegradzką kasabę i całą okolicę i nadal wywierały bez względu na żywych i umarłych, bez względu na tych, co wspinają się albo upadają.

Miasto szybko poczęło zstępować z gór ku wodzie, rozrastać się i rozwijać, coraz bardziej skupiać wokół mostu i karawan-seraju, który lud zwał Kamiennym Zajazdem.

Tak to powstał most z kapiją i tak rozrosła się kasaba dokoła niego. Później w ciągu przeszło trzech stuleci jego miejsce w rozwoju kasaby i znaczenie w życiu jej mieszkańców były takie, jak to pokrótce zostało wyżej opisane. A sens i istota istnienia mostu polegała na jego niezmienności. Jego jasna sylwetka w panoramie kasaby nie zmieniła się, podobnie jak niezmiennie były zarysy okolicznych gór. W wirze przemian i szybkiego schodzenia do grobu całych pokoleń on był niezmienny jak woda, co pod nim przepływa. On, rzecz prosta, starzał się także, ale w skali czasu większej nie tylko niż wiek życia ludzkiego, lecz szeregu pokoleń, a procesu tego nie sposób było gołym okiem dostrzec. Wiek mostu, choć śmiertelny sam w sobie, przypominał wieczność, jako że kres jego dni był nieodgadniony.

V

Pierwsze stulecie, długie i śmiertelne dla ludzi i niejednego ich dzieła, minęło, nie zostawiając śladu na dobrze pomyślanych i na trwałych podstawach wspartych wielkich budowlach; most z kapiją i karawan-seraj stały i służyły jak w pierwszych dniach. Tak samo przeminął nad nimi wiek następny ze zmianą pór i pokoleń, a budowle trwały niewzruszenie. Lecz czego nie zdołał zrobić czas, sprawiły zmienne i nieprzewidziane koleje lat przyszłych.

W owych czasach pod koniec XVII wieku w Bośni dużo śpiewało się, mówiło i szeptało o Węgrzech, które wojska tureckie po stuletniej okupacji zaczynały opuszczać. Niejeden bośniacki pan w obronie swych madziarskich włości podczas cofania się zostawił swe kości na ziemi węgierskiej. Byli to właściwie szczęśliwcy, jako że niejeden wrócił goły jak palec do rodzinnej Bośni, gdzie czekała go licha ziemia, skromny i marny żywot po burzliwym życiu na wielkiej i pańskiej stopie w rozległych dobrach węgierskich. Dalekie, niejasne echa tych wydarzeń docierały i tu, nikomu jednak nie przychodziło do głowy, by Węgry, kraina z pieśni, mogły mieć jakiś związek z rzeczywistym, codziennym życiem kasaby. A jednak tak było. Wraz z wycofaniem się Turków z Węgier przepadły i pozostały poza granicami państwa otomańskiego także owe posiadłości, z których czerpał dochody wyszegradzki karawan-seraj.

Zarówno mieszkańcy kasaby, jak i podróżni, już sto lat korzystający z Kamiennego Zajazdu, przywykli do niego i nigdy nie zastanawiali się, kto łoży na jego utrzymanie, skąd biorą się środki i gdzie są ich źródła. Wszyscy korzystali z niego, ciągnęli soki jak z urodzajnego,

błogosławionego, przydrożnego drzewa, które jest wszystkich i niczyje; bezwiednie powtarzali „wieczne odpocznienie duszy wezyra”, ale jakoś uchodziło ich uwagi, że wezyr już w grobie od stu lat, ani też nie rozważali, kto pilnuje i broni sułtańskich ziem i posiadłości. Któż by przypuszczał, że na świecie wszystko jest w takiej wzajemnej zależności i nawet na odległość tak ze sobą powiązane? Nie dziw więc, że z początku nikt w kasabie nie spostrzegł, jak wyschły źródła. Służba pracowała i zajazd po dawnemu przyjmował podróżnych. Myślano, że przesyłki spóźniają się, jak to i dawnymi czasy nieraz się zdarzało. Tymczasem mijały miesiące i lata całe, a pieniędzy jak nie było, tak nie było. Pachołkowie opuścili zajazd. Ówczesny mutewelija²⁷ majątku, Daut-hodża Mutewelić (bo tak go ludzie przezwali i taki już zachował przydomek) kołatał na wszystkie strony, ale odpowiedzi nie było. Podróźni sami sobie usługiwali i sprząтали zajazd w miarę potrzeby, ale odjeżdżając, każdy zostawiał po sobie brud i śmietnik, żeby inni też mieli co robić.

A po każdym zostawał większy nieporządek, niż był.

Daut-hodża czynił wszystko, żeby ratować zajazd i utrzymać go w dawnej świetności. Najpierw łożył z własnej szkatuły, a potem jął zaciągać długi u krewnych. W ten sposób łątał z roku na rok i oporządzał zabytkową budowlę. Tym, którzy mu wytykali, że sam się gubi, pilnując, czego upilnować się nie da, odpowiadał, iż dobrze umieszcza swoje pieniądze, gdyż Bogu daje, a jako mutewelija ma obowiązek zejść ostatni z placówki, opuszczonej przez wszystkich.

Ów mądry i bogaty, uparty a przekorny człowiek, którego kasaba długo wspominała, w żaden sposób nie dał się odwieść od swego bezcelowego zamiaru. Pracując ofiarnie, już dawno pogodził się z myślą, że przeznaczenie człowieka na ziemi polega na walce z zepsuciem, zniszczeniem i śmiercią oraz że każdy powinien wytrwać w tej walce nawet wówczas, gdy jest ona zupełnie beznadziejna. Przesiadując przed niknącym w oczach budynkiem, odpowiadał tym, którzy doradzali mu opuścić zajazd albo biadali nad jego losem:

- Nie ma co mnie żałować. My wszyscy umieramy jeno raz, a wielcy ludzie dwakroć: raz, gdy sami odchodzą, a drugi, gdy puścizna po nich przepada.

Kiedy nie miał już na opłacanie robotników, sam mimo podeszłego wieku własnoręcznie plewił chwasty dokoła zajazdu i jak umiał tak naprawiał dom. Nie dziw więc, że pewnego dnia śmierć przydybała go na dachu, gdzie wdrapał się, żeby położyć dachówki. Było jasne, iż miejscowy hodża nie mógł utrzymać tego, co wielki wezyr stworzył, a bieg wydarzeń skazał na zagładę.

²⁷ Mutewelija - zarządca.

Po śmierci Daut-hodży zajazd począł gwałtownie podupadać. Wszędzie występowały ślady zniszczeń. Kanały pozatykały się i ziały smrodem, dach przeciekał, drzwiami i oknami wpaadał wicher, stajnie obrosłe chwastami grzęzły w gnoju. Z zewnątrz okazała kamienna budowla wciąż jeszcze była niezmienna, spokojna i niezniszczalna w swym pięknie. Ogromne łukowate okna na parterze, o kratkach wyciosanych w miękkim litym kamieniu jak delikatne, misterne koronki, spokojnie otwierały się na świat. Ale górne prostokątne okna już nosiły ślady ubóstwa, zaniedbania i bezładu. Z wolna zaczęto unikać noclegu w zajazdzie, a popasać w mieście za pieniądze u Ustamujicia. Coraz rzadziej zaglądali podróżni do karawan-seraju, mimo że tutaj miast zapłaty wystarczyło życzyć duszy wezyra wiecznego spoczynku. Wreszcie, gdy stało się to oczywiste, że pieniądze nie nadejdą i że nie ma nikogo, kto chciałby opiekować się puścizną po wezyrze, wszyscy, a więc i nowy mutewehja, przestali troszczyć się o budynek, tak że karawan-seraj, niemy i opuszczony począł niszczyć i podupadać jak każda niezamieszкана i opieki pozbawiona siedziba. Dokoła niego rosły rzepienie i szarłaty. Na dachu poczęły więc sobie gniazda i sejmikować czarnymi stadami garlate wrony i kawki.

Tym sposobem przedwcześnie i nagle opuszczony (wszystkie tego rodzaju rzeczy zdarzają się na pozór niespodziewanie!) Kamienny Zajazd wezyra zaczął się rozpadać i obracać w ruinę.

Ale chociaż karawan-seraj wskutek niezwykłych okoliczności musiał sprzeniewierzyć się swemu przeznaczeniu i przedwcześnie leć w gruzach, most, który nie potrzebował ani dozoru, ani funduszków, pozostał nienaruszony i niezmienny, łączył oba brzegi i przerzucał żywe i martwe ciężary tak samo jak na początku swego bytowania.

W jego murach gnieździły się ptaki, z niewidocznych szczelin wyrastały kępki mizernej trawy. Żółtawy, porowaty kamień, z którego most zbudowano, twardniał coraz bardziej pod wpływem działania na przemian wilgoci i ciepła; wiecznie smagany wichrami, hulającymi w dolinie rzeki, splukiwany deszczami i osuszany słonecznym żarem kamień ten z czasem bielić się zaczął bielą pergaminów i lśnił w ciemnościach jakby oświetlony od wewnątrz. Nic mu nie mogły zrobić wielkie i częste powodzie, które były ciężkim i stałym dopustem dla kasaby. Nadchodziły co roku, wiosną i jesienią, ale nie zawsze były jednakowo groźne i doniosłe dla miasta. Przynajmniej raz albo dwa razy na rok Drina wzbierała, a jej zmacone fale z łoskotem toczyły pod sklepieniem mostu zagrody, drzewa wyrwane z korzeniami i brunatny muł. W kasabie zazwyczaj ulegały zniszczeniu podwórza, ogrody i składy najbliższych domów. I na tym wszystko się kończyło. Ale co dwadzieścia albo trzydzieści lat zdarzały się wielkie powodzie, potem wspomniane tak samo jak powstania czy wojny; długo zastępowały one datę, od której oblicza się czas i wiek budowli i ludzi. („Na pięć-sześć lat przed wielką powodzią”, „Podczas wielkiej powodzi”).

Po tych nagłych wylewach niewiele zostawało z dobytku w większej części kasaby, położonej pośród równiny, na piaszczystym cyplu między Driną i Rzawem. Taka powódź cofa rozwój całej kasaby o kilka lat. Poszkodowanym reszta żywota schodzi na naprawie szkód i lizaniu się z ran zadanych przez „wielką powódź”. Do końca swych dni wspominają w gawędach okropności owej jesiennej nocy, kiedy to podczas lodowatej ulewy i piekielnej wichury w blasku niezliczonych latarni wyciągali ze sklepów towary i zanosili na Mejdan do obcych domów i składów. Nazajutrz w pochmurny ranek patrzyli z góry na kasabę, którą kochają podświadomie i serdecznie jak własną krew, na mętną, spienioną wodę, przewalającą się po ulicach na wysokości dachów, a nawet powyżej, odrywającą z hukiem deskę po desce, i zgadywali, czyj dom stoi jeszcze nietknięty.

Czasu sławy²⁸, na Gody albo w wieczory Ramazanu posiwiali, ociążali i zafrasowani gospodarze ożywiali się i stawali się skorzy do wynurzeń, gdy tylko rozmowa schodziła na powódź - największe i najokropniejsze ich przeżycie. Po piętnastu lub dwudziestu latach, kiedy zdołano się na nowo dorobić i zagospodarować, nadchodził wylew jak coś strasznego i ogromnego, drogiego i bliskiego; stanowił on w pewnym sensie ścisłą więź między żyjącymi jeszcze, ale coraz rzadszymi ludźmi jednego pokolenia, jako że nic tak ludzi nie łączy, jak wspólnie i szczęśliwie przeżyte nieszczęścia. Czuli się mocno zespoleni minioną katastrofą. Nie dziw więc, że lubią te obrazy z przeszłości, lubią mówić o najcięższym ciosie, jaki ich w życiu spotkał, i znajdują przyjemność w snuciu wspomnień niepojętych dla młodszych. Nieprzebrana jest ich skarbnica, a oni sami niestrudzeni w powtarzaniu; uzupełniają je w gawędach, odtwarzają we wspominkach, spoglądają sobie w starcze oczy o sklerotycznych, pożółkłych białkach i widzą to, czego młodszy nie potrafią nawet się domyślić; ponoszą ich własne słowa, topią swe codzienne troski we wspomnieniach o większych, dawno i szczęśliwie minionych.

Siedząc w swych przytulnych domach, nad którymi przewaliła się niegdyś powódź, z osobliwą rozkoszą po raz setny opowiadają poszczególne wzruszające lub tragiczne epizody.

Im przeżycia były cięższe i przykrzejsze, tym przyjemniej snuć wspomnienia o nich. Oglądane poprzez dym tytoniu lub kieliszek niezbyt mocnej wódki obrazy te fantazja i czas często zmieniały, wyolbrzymiały i upiększały, ale niepostrzeżenie, tak że każdy zaklinał się, iż tak właśnie było, jako że wszyscy podświadomie brali udział w owym bezwiednym upiększaniu przeszłości.

²⁸ Sława - święto rodzinne w Serbii - dzień patrona rodziny.

Zazwyczaj żyło jeszcze kilku starców, pamiętających ostatnią wielką powódź, o której wiecznie mogli gwarzyć między sobą, zapewniając młodych, że nie ma już dawnych klęsk ani też dawnych dobrych czasów.

Jeden z największych wylewów zdarzył się w ostatnim roku XVII wieku; pamiętano go i wspominano osobliwie długo.

W tym pokoleniu, jak później starcy opowiadali, nie było prawie nikogo, kto by dobrze pamiętał ostatnie wielkie powodzie. A jednak wszyscy w tych dniach czuwali, pomni, że „woda to wróg”. Opróżnili składy położone najbliżej rzeki, krążyli w nocy z latarniami po brzegu i nasłuchiwali huku wody, gdyż starzy ludzie utrzymywali, iż po jakimś osobliwym szumie można rozeznąć, czy będzie zwykła powódź, która co roku nawiedza kasabę, wyrządzając nieznaczne szkody, czy też będzie jedna z tych, na szczęście rzadkich, które zalewają most i miasto, porywając wszystko, co nie jest mocno zbudowane i nie wspiera się na trwałych fundamentach. Nazajutrz spostrzegli, że Drina nie wzbiera, więc kasaba tej nocy pograżyła się w głębokim śnie, bo ludzie byli pomęczeni czuwaniem i wrażeniami minionej nocy. A woda tymczasem zwiodła ich. W nocy wylał nagle Rzaw i zamulił Drinę przy ujściu. Obie rzeki zwały się po prostu nad kasabą.

Sulijaga Osmanagić, jeden z najbogatszych miejscowych Turków, posiadał rasowego araba, pięknego cennego kasztanka.

Jak tylko Drina poczęła wzbierać, na dwie godziny przed zalaniem ulic, koń jął kwiczeć i nie umilkł, póki nie zbudził parobków i gospodarza i póki go nie wyprowadzili ze stojącej tuż nad rzeką stajni. To zbudziło prawie całe miasto. W ciemną październikową noc poczęto uciekać, nie zważając na pluchę i wściekłą wichurę i ratować, co się dało. Na pół ubrani ludzie brodzili w wodzie po kolana, taszcząc na plecach rozespiane, zapłakane dzieci. Bydło ryczało przeraźliwie. Co chwilę słychać było głuchy trzask uderzających o filary kamiennego mostu bierwion i pni, które Drina porwała z zatopionych lasów.

Na Mejdanie, dokąd woda nigdy i w żadnym wypadku nie mogła dotrzeć, wszystkie okna są oświetlone, słabe światło latarni nieustannie migoce i snuje się w ciemności. Wszystkie domy stoją otworem na przyjęcie przemoczonych i przerażonych powodzian z dziećmi na rękach albo najniezbędniejszymi rzeczami. W chatach przy ogniskach suszą się ludzie, dla których zabrakło już miejsca gdzie indziej.

Co znamienitsi ludzie z czarszii, umieściwszy rodziny po domach, Turcy w tureckich, a chrześcijanie i Żydzi w chrześcijańskich, zebrali się w wielkiej parterowej izbie u Hadzi Ristana. Są tu wójtowie ze wszystkich części miasta; przemokli i utrudzili się, zanim zdołali zbudzić i ocalić współmieszkańców. Wszyscy są razem: Turcy, chrześcijanie i Żydzi. Potęga żywiołu i

wspólna dola zbliżyły tych ludzi i przynajmniej na dzisiejszy wieczór wyrównały przepaść dzielącą poszczególne wyznania, osobiwie raję od Turków. Sulijaga Osmanagic, gospodarz Petar Bogdanowic, Mordo Papo, rosly, malomowny, a dowcipny pop Mihailo, otyly i powazny mulła Ismet, wyszegradzki hodza, oraz Eliaz Lewi, zwany Hadzi Liaczo, rabin slynacy daleko poza granicami kasaby ze swej mardosci i szczerzej natury. Jest tu jeszcze kilkunastu gospodarzy, zmieszanych ze soba przedstawicielei trzech wyznań. Wszyscy sa przemoczeni, bladzi, o zaciśnitych szczekach, ale na oko spokojni; siedza, lulki palą i rozprawiają o tym, co juz uczyniono dla ratowania, a co jeszcze zrobic wypada. Co chwila wchodza ociekajacy woda mlodziency z wiadomoscia, ze wszystko, co zyje, znajduje sie na Mejdanie i na Zamku, rozmieszczone po tureckich i chrzescijańskich domach, a woda bez przerwy wzbiera i zalewa ulice za ulica.

W miare jak noc mija - a mija wolno i zda sie, ze jest ogromna i wzbiera nieustannie jak woda w dolinie - gospodarze i pierwsi ludzie w kasabie zaczynaja sie rozgrzewac przy kawie i wodce. Tworzy sie ciasny, przytulny krąg, jakby nowy, rzeczywisty, a jednak nierzeczywisty byt, który nie jest ani dniem wczorajszym, ani jutrem, lecz przemijajaca wysepka w powodzi czasu. Rozmowa ozywia sie i wzmaga i jakby w mysł cichego porozumienia schodzi na inne tory. Unikaja nawet wzmianek na temat dawnych, znanych tylko z opowiesci wylewow; mowia o innych rzeczach, które nie maja nic wspolnego z woda i z rozgrywajacym sie w tej chwili dramatem.

Zgnębieni ludzie czynia rozpaczliwe wysilki, aby zachowac spokój i obojetnosc, niemal beztroske. Na podstawie jakiegoś cichego, zabobonnego porozumienia i niepisanych, ale uswięconych zasad dobrego wychowania i ogłady obowiazujacej w czarszii od najdawniejszych czasow, kazdy uwazal za obowiazek ukrywac w tej chwili swe troski i obawy i w obliczu katastrofy, wobec ktorej byli bezsilni, mowic żartobliwym tonem o odleglych rzeczach.

Wlasnie gdy poczeli odzyskiwac rownowage, znajdowac chwile wytchnienia i zapomnienia oraz siły, które jutro beda im tak potrzebne, przyprowadzono Kostę Baranca. Ten jeszcze mlody gospodarz byl przemoczony do nitki, zablonony po kolana i bez pasa. Zmieszany swiatlem i obecnościa tylu osob, jakby przez sen patrzył przed siebie i dlonia ocieral wode z twarzy. Zrobiono mu miejsce i poczestowano wodka, ale nie byl w stanie nawet doniesc jej do ust. Dygotal. Poczetu szeptał, ze chcial rzucic sie w metne fale, toczace sie teraz piaszczystym korytem, akurat w tym miejscu, gdzie znajdowaly sie jego stodoły i gorzelnie.

Był to mlody jeszcze czlowiek z obcych stron, który dwadzieścia lat temu przywedrowal do kasaby wyuczyc sie rzemiosla, przyzenil sie potem do dobrego domu i wkrótce zostal panem cala gęba. Ten chlopski syn w ciagu kilku ostatnich lat dziki śmiałym i bezwzględnym pociagnięciom

wzbogacił się nagle i naraz prześcignął wiele zamożnych domów, nie przywykł jednak do strat, nie umiał znieść ciosu. Na jesieni zakontraktował poważne ilości śliw i orzechów, znacznie przewyższające jego możliwości, licząc, że w zimie on będzie dyktował ceny, tym sposobem spłaci długi i jeszcze niegorzej zarobi, jak to udało mu się łońskiego roku. Teraz był zrujnowany.

Znów trzeba było sporo czasu na zatarcie wrażenia, jakie na wszystkich wywarł widok tego biedaka. Wszyscy bowiem, jedni bardziej, inni mniej, byli dotknięci powodzią i tylko dzięki wrodzonemu poczuciu przyzwoitości lepiej panowali nad sobą niż ów dorobkiewicz.

Najstarsi i najznamienitsi ludzie znów skierowali rozmowę na błahe sprawy. Rozpoczęto snuć opowieść o dawnych czasach, która nie miała nic wspólnego z rujnąjącą ich i zewsząd otaczającą klęską.

Popijali grzaną wódkę. Wskrzeszali we wspomnieniach przedziwne postacie odległych czasów, dziwaków miejscowych, przeróżne śmieszne i niezwykle wydarzenia. Pop Mihailo i Hadzi Liaczo wiedli prym. A gdy rozmowa bezwiednie schodziła na dawne powodzie, wspominali tylko wypadki lekkie i wesołe albo przynajmniej takimi wydające się z perspektywy lat, jakby tym sposobem chcieli zrobić na przekór powodzi i odwrócić zły los. A więc opowiadano o popie Jowanie, który niegdyś był tu parochem i o którym parafianie mawiali, że był dobrym człowiekiem, jeno nie miał szczęśliwej ręki, tak że jego modły nie znajdowały posłuchu u Pana Boga.

Podczas letnich posuch, często niszczących plony do szczętu, pop Jowan na próżno prowadził procesje i odprawiał modły o deszcz, jako że zwykle potem przychodziła jeszcze większa spiekota i upał. A gdy po takim suchym lecie pewnej jesieni Drina zaczęła wzbierać i grozić wylewem, pop Jowan wyległ z ludem na brzeg i począł odmawiać modlitwę o wstrzymanie deszczu i zawrócenie rzeki do jej dawnego koryta. Wtedy niejaki Jokić, pijaczyna i próżniak, wiedząc, że Bóg zwykle zsyła odwrotnie do tego, o co pop prosi, zawołał:

- O nie, ojczy, nie tę modlitwę! Odmów tę z lata, o deszcze, może ona sprawi, że przestanie lać!

Gruby, opasły Ismet efendi opowiada znów o swoich przodkach i ich walce z powodzią. W czasie jednego z minionych wylewów wyszło dwóch wyszegradzkich hodźów odprawić modły przeciwko tej klęsce. Jeden miał dom w dolnej części kasaby, której zagrażała powódź, a drugi na górze, gdzie woda nie mogła dotrzeć. Najpierw odmawiał modlitwę ów hodź z góry, ale woda ani rusz nie chciała ustąpić. Wtedy zawołał jakiś biedny Cygan, którego dom pogrążał się już w wodzie:

- Ależ ludzie, dajcie tu hodźę z czarszii, którego dom jest pod wodą, jak i nasze. Czyż nie widzicie, że ten z góry modli się jeno półgębkiem?

Hadzi Liaczo, rumiany i uśmiechnięty, o bujnej, kędzierzawej, białej czuprynie wymykającej się spod płytkiego fezu, śmieje się z tego wszystkiego i rzuca pod adresem popa i hodzy.

- Nie wspominajcie zanadto modlitw związanych z powodzią, bo jeszcze naszym wyznawcom strzeli co do głowy i każą nam na tę pluchę wyjść, odmawiać modły i wodę cofać.

Tym sposobem snuły się opowieści, same przez się błahe i dla innych niezrozumiałe, a tylko dla nich i ich pokolenia mające pewne znaczenie; same jakieś proste, ale im znane i bliskie wspomnienia z jednostajnego, pięknego i ciężkiego życia w kasabie, ich życia; odległe i zmienione, w ścisłej łączności z nimi, a jednak dalekie od tego nocnego dramatu, który ich zamknął w owym fantastycznym kręgu.

Tak to znamienici ludzie, od dzieciństwa przywykli do wszelakich niepowodzeń, spędzali noc „czasu wielkiej powodzi” i znajdując siły na żarty, w obliczu nadchodzącego nieszczęścia usiłowali odwrócić nieuniknioną klęskę.

W głębi duszy wszyscy jednak byli mocno zatroskani i każdy pod tym żartem i uśmiechem jak pod maską bił się z myślami, nieustannie nasłuchiwał huku wody i wycia wichru od kasaby, gdzie zostawił całe mienie. A nazajutrz po tak spędzonej nocy mogli rano oglądać z Mejdanu swoje domy pod wodą, niektóre do połowy, inne po dachy zalane. Wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu widzieli swoją kasabę bez mostu.

Powierzchnia wody bowiem podniosła się o bez mała dziesięć metrów, tak że szeroko rozpięte łuki zatkały się i fale przelewały się przez most, który znikł pod nimi. Jedyne wzniesienie z kapiją wyłaniało się z gładkiej, mętnej toni i zalewane wodą wyglądało jak wodospad.

W dwa dni później woda nagle opadła, rozpogodziło się niebo i wyjrzało słońce ciepłe i szczodre, jakie w tej słonecznej krainie bywa niekiedy tylko w październiku. Mieścina tego pięknego dnia wyglądała strasznie i żałośnie. Rudery Cyganów i biedoty, kędy wezbrana rzeka wyżłobiła sobie koryto, były przekrzywione w kierunku prądu, wiele z nich miało pozrywane dachy, stały odrapane, z wystającymi czarnymi kikutami wikliny, tak że wyglądały jak szkielety. Z rozgrodzonych dziedzińców domy mieszczan ziały rozwalonymi oknami; na każdym pręga czerwonego mułu wskazywała, dokąd sięgała powódź.

Wiele chat porwał prąd, stodoły były poprzewracane. W niskich składach szlamu było po kolana, a w tym błocie tonęły towary, których w porę nie zdążono usunąć. Na ulicach leżały drzewa, naniesione skądś przez wodę, i wzdęta padlina.

Oto ich kasaba, gdzie teraz trzeba zejść i dalej żyć. A pośród zalanych brzegów, nad przelewającą się z łoskotem wciąż jeszcze mętłą i rwącą rzeką, stał w słońcu biały i nie

zmieniony most. Woda sięgała do połowy filarów, tak że wyglądał jakby zanurzony w jakiejś innej, głębszej rzece niż ta, co zwykle pod nim przepływa. Z wierzchu na poręczy zatrzymały się warstwy mułu, który wysychał, pękając na słońcu, a na kapii leżały sterty gałęzi i szlamu, co jednak ani trochę nie zmieniło wyglądu mostu - on jedyny przetrwał powódź bez szwanku i wyłonił się niezmienny.

Ludzie od razu rzucili się do roboty, do naprawiania szkód, tak że nikt nie miał czasu zastanawiać się nad sensem i znaczeniem zwycięskiego mostu, ale krzątając się w tej nieszczęsnej kasabie, gdzie woda wszystko bez wyjątku uszkodziła albo przynajmniej przeinaczyła, wszyscy wiedzieli, iż w ich życiu jest coś, co potrafi stawić czoło wszelkiemu żywiołowi i co dzięki niepojętej harmonii swych kształtów i niewidzialnej, mądrej sile swych podwalin wychodzi obronną ręką z każdej próby niezniszczalne i niezmiennie.

Zima, która potem nastąpiła, była ciężka. Wszystko, co już przyszykowano po zagrodach, podwórzach i stodołach, a więc drzewo, zboże, siano, zabrała powódź; trzeba było naprawić domy, stajnie i ogrodzenia, brać na kredyt nowe towary miast zniszczonych w składach i sklepach. Kosta Baranac, który najwięcej stracił wskutek swej zbyt ryzykownej spekulacji ze śliwkami, nie przetrzymał zimy; zmarł ze zgryzoty i wstydu.

Osierocił drobne dzieci i pozostawił nieduże, lecz rozproszone po wielu wsiach długi. Zostało także wspomnienie o nim jako o człowieku, który nie liczył się ze swymi możliwościami.

Ale już następnego roku w lecie pamięć o wielkiej powodzi zaczęła przesuwać się do wspomnień starych ludzi, w których żyć będzie jeszcze długo, młodzieży zaś czas schodził na pieśniach i gawędach na białej, gładkiej, kamiennej kapii nad wodą; płynąc w głębi, wtórowała ona swym szumem ich pieśniom. Zapomnienie bowiem wszystko leczy, a przy pieśni najłatwiej się zapomina, jako że każdemu przywodzi ona na myśl tylko to, co ukochał.

Tym sposobem na kapii między niebem a rzeką i górami pokolenie za pokoleniem uczyło się nie żałować zbytnio tego, co porywała mętna woda. Stąd podświadomie mieszkańcy kasaby czerpali swoją filozofię; żywot to dziw niepojęty, bo wciąż niszczy i szczybi się, a jednak trwa niezłomnie „jak most na Drinie”.

VI

Wśród powodzi bywały też i inne zakusy na most i jego kapiję; przynosił je rozwój wydarzeń i przebieg ludzkich zatargów; ale one jeszcze mniej krzywdy niż żywioł wodny mogły wyrządzić mostowi albo jakąkolwiek trwałą zaprowadzić na nim zmianę.

Na początku minionego stulecia wybuchło powstanie w Serbii. Ta kasaba na pograniczu Bośni i Serbii zawsze była bezpośrednio związana i w stałej łączności ze wszystkim, co się działo w Serbii, zrosła się z nią „jak paznokieć z palcem”.

Cokolwiek wydarzyło się w ziemi wyszegradzkiej - nieurodzaj, zaraza, gwałt albo powstanie - nie było obojętne dla mieszkańców okręgu užickiego i na odwrót. Tylko z początku sprawa wydawała się odległa i błaha; odległa, jako że działa się hen, na drugim krańcu belgradzkiej prowincji; błaha, jako że wieści powstańcze nie były żadną nowością. Odkąd bowiem istnieje państwo otomańskie, były powstania, gdyż nie ma władzy bez buntów i sprzysiężeń, podobnie jak nie ma skarbów bez trosk i strat. Ale z czasem powstanie serbskie poczęło coraz bardziej dawać się we znaki całej bośniackiej prowincji, osobliwie zaś położonej na godzinę marszu od granicy kasabie.

W miarę jak walki w Serbii przybierały na sile, coraz częściej żądano od Turków bośniackich, aby ludźmi zasilali wojsko i łożyli na jego utrzymanie i wyposażenie. Oddziały i tabory wysyłane do Serbii przeważnie przeciągały przez kasabę. Przemarsz wojsk sprowadzał wydatki, przykrości i niebezpieczeństwa na Turków, osobliwie jednak na Serbów, których podejrzewano i prześladowano, nakładając na nich w owych latach grzywny częściej niż przedtem. Wreszcie pewnego lata ogień powstańczy ogarnął i tę dzielnicę. Okrążywszy Užice, powstańcy zbliżyli się do kasaby na dwie godziny marszu.

W Weletowie zburzyli kulą armatnią basztę Lutwibeja, a w Crncziciach puścili z dymem domy tureckie.

Byli w kasabie tacy, Turcy i Serbowie, którzy przysięgali, że na własne uszy słyszeli huk „moździerza Karadziordzia”. (Oczywiście z wręcz sprzecznymi uczuciami). Ale jeśli mogło być rzeczą sporną, czy odgłos serbskiego działa powstańczego słyhać aż w kasabie, jako że ludzie często wyobrażają sobie, iż słyszą to, czego się boją lub czego się spodziewają, nie mogło być wątpliwości co do ognisk, palonych nocą przez powstańców na Panosie, stromym i nagim szczycie między Weletowem a Gostiljem, na którym z miasta można było gołym okiem dostrzec samotne olbrzymie świerki. Ognie te dobrze widzieli i uważnie im się przyglądali zarówno Turcy, jak i Serbowie, chociaż jedni i drudzy udawali, że ich nie dostrzegają. Przez zaciemnione okna lub pod osłoną ogrodowej gęstwiny jedni i drudzy śledzili ich rozpalenie i gaszenie. (Nasze kobiety zęgały się nabożnie w ciemności i płakały z niepojętego wzruszenia, a w ich łzach załamywał się blask ogni powstańczych jak ongiś owe upiorne płomienie spływające na grób Radisawa, które ich prababki bez mała trzysta lat temu tak samo przez łzy dostrzegały z tego samego Mejdanu).

Te migocące, nierówne ognie rozsiane na czarnym tle letniej nocy, w której niebo zlewało się z górami, wydawały się Serbom jakimś nowym gwiazdozbiorem; pożądliwie odczytywali z

nich śmiało wróżby i z drzeniem zgadywali losy i nadchodzące wydarzenia. Dla Turków były to pierwsze fale jakiegoś płonącego morza, które szaleje po Serbii i zalewa już szczyty wokół kasaby. W czasie tych letnich nocy pragnienia i modły jednych i drugich krążyły dokoła owych ogni, tylko w przeciwnych kierunkach. Serbowie błagali Boga, aby zbawczy pożar utożsamiający się z tym, jaki stale noszą i pilnie w sercach chowają, rozszerzył się i na nasze góry, a Turcy prosili Stwórcę, żeby go powstrzymał, zdusił i zagasił, żeby pokrzyżowane zostały zakusy wywrotowców i znów zapanował ład i błogi spokój prawowitej wiary. Noce były wtedy pełne oględnych i namiętnych szeptów, tchnących niewidzialnym falowaniem najśmielszych pragnień i marzeń, najbardziej nieprawdopodobnych zamysłów i planów, które krzyżowały się, przewyciężały i załamywały w granatowej ciemności nad kasabą. A nazajutrz z brzaskiem dnia i Turcy, i Serbowie szli do swych zajęć, spotykali się z przygasłymi twarzami bez wyrazu, pozdrawiali i rozmawiali za pomocą stu pospolitych słów uprzejmości, które zawsze krążyły po kasabie i toczyły od jednych do drugich jak fałszywa moneta, umożliwiającą jednak i ułatwiającą łączność pomiędzy ludźmi.

A gdy jakoś po św. Ilji nie stało ogni na Panosie, a powstanie oddaliło się od ziemi użickiej, znów ani jedni, ani drudzy nie okazywali swych uczuć. Zresztą trudno byłoby nawet określić, jakie one były naprawdę. Turcy byli zadowoleni, że powstanie odsunęło się, i żywili nadzieję, iż całkiem wygaśnie i zatraci tam, gdzie giną wszelkie bezbożne i złe zamiary. Zadowolenie to jednak było połowiczne i omroczone bliskością niebezpieczeństwa, które niełatwo przychodziło zapomnieć. Niejeden jeszcze długo potem widywał w snach fantastyczne ognie powstańcze, niby roje iskier po okolicznych górach wokół kasaby, albo słyszał moździerz Karadziordzia, ale nie jako głuchy, daleki pomruk, lecz wstrząsającą, morderczą kanonadę. Serbowie zaś, co było zgoła zrozumiałe, pozostali przygnębieni i rozczarowani po zniknięciu ogni z Panosu, lecz w głębi duszy, na samym jej dnie, którego nigdy i nikomu się nie odsłania, tkwiło wspomnienie minionych wydarzeń i świadomość, że co raz już się zaczęło, zawsze może powrócić; pozostała również nadzieja, szalona nadzieja, ta ogromna siła uciśnionych. Ci bowiem, co rządzą i muszą gnębić, aby utrzymać się przy władzy, skazani są na rozważne poczynania; ale jeśli uniesieni własną namiętnością albo zmuszeni przez przeciwnika wyjdą poza granice rozsądku, zstępują wtedy na śliską drogę, znacząc tym sposobem początek swego upadku. Natomiast gnębieni i wyzyskiwani łatwo kierują się i rozumem, i nierozważą, jako że są to tylko dwa różne rodzaje broni w ustawicznej to podjazdowej, to otwartej walce z ciemieźcą.

W owych czasach niepomiernie wzrosło znaczenie mostu jako jedyne pewnego łącznika pomiędzy prowincją bośniacką i Serbią. W kasabie przebywał teraz stale oddział żołnierzy, który nawet w czasie długich okresów spokoju nie opuszczał miasta. Pilnował mostu na Drinie. Dla

lepszego i łatwiejszego pełnienia swych obowiązków wojsko zaczęło wznosić pośrodku miasta drewnianą strażnicę, istne uosobienie brzydoty, jeśli chodzi o kształt, położenie i budulec. (Ale wszystkie armie na całym świecie kładą dla swych wyłącznie celów i chwilowych potrzeb takie budynki, które potem z punktu widzenia życia cywilnego i potrzeb pokojowych wydają się absurdalne i niezrozumiałe). Właściwie był to dom piętrowy, niezgrabny, zbity z bierwion i grubych desek, a wolne przejście pod nim tworzyło rodzaj tunelu. Strażnica była wysoka i spoczywała na potężnych palach, tak że tkwiła jakby okraciem na moście i tylko z dwóch stron wspierała się na kapii, na jej lewym i prawym tarasie. Pod nią przechodziła wolna droga dla wozów, koni i pieszych, ale z góry, z piętra, gdzie miały spać straże i dokąd wiodły odkryte schody sosnowe, można było widzieć każdego przechodnia, sprawdzać dokumenty i rewidować bagaż, a także w każdej chwili, w razie potrzeby, wstrzymać ruch.

To doprawdy zmieniło wygląd mostu. Przytulna kapija zniknęła pod drewnianą budowlą, która przykucnęła nad nią na słupach niby jakieś olbrzymie, szkaradne ptaszysko.

Tego dnia, gdy strażnica była gotowa i pachniała jeszcze ostrą wonią świerków, a w pustych izbach rozlegał się tupot nóg, od razu wprowadzili się tutaj żołnierze. Nazajutrz skoro świt strażnica, niby jakaś zasadzka, schwytała pierwsze ofiary.

Wczesnym rankiem w zarumienionym, nisko nad ziemią wylaniającym się słońcu zebrali się pod nią żołnierze i zbrojni cywile, Turcy, którzy w nocy stoją na warcie wokół kasaby, tym sposobem pomagając wojsku. Pośród tej zgrai siedział na belce dowódca, a przed nim stał jakiś staruszek, włóczęga i człek nabożny, ni to mnich, ni żebrak, ale gołębiego serca, jakiś chędogi i miły w swej biedzie, zwawy i pogodny mimo siwych włosów i pomarszczonej twarzy. Był to osobliwy poczciwina, Jelisije z Czajnicza. Od lat, zawsze rześki, uroczysty i wesół, wędruje od cerkwi do cerkwi, od monasteru do monasteru, z odpustu na odpust i ze sławy na sławę; modli się, wybija pokłony i pości.

Dawniej władze tureckie nie zwracały na niego uwagi i pozwalały mu jako człowiekowi świątobliwemu i niespełna rozumu chodzić, gdzie mu się podoba, i mówić, co mu ślina na język przyniesie.

Ale teraz wskutek powstania w Serbii nastąpiły inne czasy i surowsze zarządzenia. Z Serbii przybyło do kasaby kilka rodzin tureckich, którym powstańcy wszystko spalili; pogorzelnicy zięją więc nienawiścią i żądzą odwetu. Wszędzie wystawiono warty i wzmocniono straże, a miejscowi Turcy są zatroskani, źli i posepni, nie dziw, że wszystkiemu przyglądają się podejrzliwie i zbójcecko.

Dziadek nadszedł drogą od Rogaticy, a na swoje nieszczęście był pierwszym wędrowcem tego dnia, kiedy ukończono strażnicę i wprowadzili się tam żołnierze. Wprawdzie nadszedł w zły

czas, kiedy jeszcze dobrze się nie rozwidniło, a niósł przed sobą, niby zapaloną świecę, jakiś gruby kij poznaczony dziwnymi karbami i słowami. Strażnica połknęła go jak pająk muchę.

Badali go krótko. Żądali, aby wyznał, kim jest, co robi i skąd pochodzi, a także wyjaśnił owe znaki i gryzmoły na kiju; on mówił i o tym, o co go nie pytali, swobodnie i otwarcie, jakby był na Sądzie Ostatecznym, a nie przed obliczem złych Turków. Powiedział, że jest chudopachołkiem, pątnikiem, przechodniem w owym przemijającym czasie na ziemi, cieniem, a krótkie i nieliczne dni swego żywota spędza na modłach, wędruje od furty klasztornej do furty, aż odwiedzi wszystkie święte miejsca, pomniki i groby serbskich królów i wielmożów. A karby i słowa na kiju oznaczają poszczególne okresy niepodległości serbskiej i jej potęgi, minionej i przyszłej. - Albowiem - rzekł starzec, uśmiechając się łagodnym, pełnym zakłopotania uśmiechem - sądząc po tym, co w księgach napisano, tudzież po wszelkich znakach na niebie i ziemi, zmartwychwstanie jest już niedalekie. Królestwo z martwych powstaje, okupione próbami, a na sprawiedliwości oparte.

- Wiem, że wam nie w smak, panowie, moje słowa i że nie powinienem o tym prawić, ale zatrzymaliście mnie i żądacie wyznania całej prawdy, a więc nie ma innej rady. Bóg jest prawdą, a Bóg jest jeden! A teraz, proszę, puśćcie mnie, jako że jeszcze dziś muszę stanąć na Banji w monasterze Świętej Trójcy.

Tłumacz Szeferko na próżno wysilał się, żeby w swej skąpej znajomości języka tureckiego znaleźć wyrazy określające pojęcia abstrakcyjne. Dowódca straży, chorowity Anatolczyk, słuchał rozespany niejasnych i niezbyt powiązanych słów tłumacza, raz po raz rzucał okiem na starca, który bez lęku i nic nie podejrzewając, wpatrywał się weń i oczami potakiwał wywodom Szeferki, chociaż ani w ząb nie umiał po turecku. Dowódca jakoś podświadomie zdawał sobie sprawę, że jest to zbzikowany giaurski derwisz, prostoduszny i niegroźny wariat. A w dziwnej lasce, którą od razu pocięli na kawałki, myśląc, że jest wydrążona i kryje tajne pisma, nic nie znaleziono. Lecz w tłumaczeniu Szeferki słowa starca wydają się podejrzanym, trącą polityką i niebezpiecznymi zakusami. Dowódca, gdyby chodziło o niego, puściłby tego biedaka niespełna rozumu, niechby szedł swoją drogą, ale są tu zebrani jego podwładni i przysłuchują się badaniu. Jest sierżant Tahir o zaropiałych oczach, podstępny złośliwiec; już kilka razy oczernił go u przełożonych, oskarżając o brak czujności i surowości. A i ten Szeferko, który tłumacząc, najwyraźniej przekręca słowa jak najbardziej na niekorzyść starca, a lubi węszyć i donosić nawet wtedy, gdy nic mu z tego nie przyjdzie, gotów jest powiedzieć lub potwierdzić złe słowo. Są tu też owi miejscowi Turcy, ochotnicy, którzy z ponurymi i ważnymi minami krążą po mieście, wyłapują podejrzanych podróżnych i wtrącają się bez potrzeby do służby straży. Wszystko się zbiegło. Ludzie są teraz jakby pijani rozgoryczeniem, żądzą odwetu, karania i zabijania każdego, kto nawinie się pod rękę,

skoro nie mogą osiągnąć tych, na których mieliby ochotę. On ich nie rozumie i nie zgadza się z nimi, ale widzi, że wszyscy tylko czyhają, aby strażnica już pierwszego dnia otrzymała swoją ofiarę, i lęka się, że wskutek ich szaleńczego rozżalenia może i jemu się dostać, gdyby się sprzeciwiał. Myśl, że przez tego głupiego dziada mógłby mieć przykrości, wydała mu się nieznośna. A starowina ze swoją gadką o królestwie serbskim i tak daleko nie zajdzie w tej krainie pośród Turków, którzy w owych dniach rzucają się jak osy. A więc niech go poniosą mętne fale, co go przyniosły.

Ledwo związali starca i dowódca zbierał się do miasta, żeby nie patrzeć na jego stracenie, kiedy nadeszli strażnicy i jacyś Turcy, prowadząc nędznie przyodzianego młodego Serba.

Ubiór miał podarty, a twarz i ręce podrapane. Był to niejaki Mile, wyrobnik z Lijeski, służący u młynarza w Osojnicy.

Mógł mieć nie więcej niż dziewiętnaście lat, był rośłym, zdrowym i mocnym chłopakiem.

Jeszcze przed świtem nasypał do kosza jęczmienia, podniósł stawidła i poszedł do gęstego zagajnika wyżej młyna naciąć drzewa. Wymachiwał siekierą i ścinał jak słomki miękkie olchowe gałęzie. Rozkoszował się świeżością poranku i łatwością, z jaką padało drzewo pod jego ciosem. Radość mu sprawiały jego własne ruchy. Topór jest ostry, a cienkie drzewo za słabe wobec rozpierającej ciała siły. Coś przepęniało go i pobudzało do wykrzykiwania za każdym poruszeniem.

Okrzyki te wydawał coraz częściej, aż się zaczęły zlewać w pieśń. Mile, który jak wszyscy lijesczanie nie miał słuchu i nie umiał śpiewać, wydierał się na całe gardło w gęstym, cieniastym borze. Bezmyślnie, niepomny miejsca, wyśpiewywał zasłyszane od innych pieśni.

W owym czasie, kiedy „zerwała się” Serbia, naród starą śpiewkę:

Kiedy Alibej młodym bejem był, Sztandar dziewczę mu nosiło tak oto przerobił:

Kiedy Karadziordzie młodym bejem był, Sztandar dziewczę mu nosiło.

W tych wielkich i przedziwnych bojach, jakie od wieków toczyły w Bośni między sobą dwa wyznania pod płaszczykiem wiary o ziemię i władzę, o własny styl życia i ład na świecie wedle swego rozumienia, przeciwnicy nie tylko porywali sobie kobiety, konie i broń, ale kradli też pieśni. Tym sposobem niejedna pieśń jak cenny łup przechodziła z rąk do rąk.

Była to więc pieśń, którą w ostatnich czasach śpiewali Serbowie, ale ostrożnie i ukradkiem, z dala od uszu tureckich za zamkniętymi drzwiami, podczas sław albo na wysokich halach, kędy nawet raz w roku żaden Turek nie zagląda, a gdzie za cenę samotności i nędzy w dzikiej krainie żyje się, jak chce, i śpiewa się, co chce. Właśnie tę pieśń ośmielił się śpiewać młynarczyk Mile w zagajniku tuż przy gościńcu, którym jeżdżą na jarmark do kasaby Turcy z Olujca i Orachowicy.

Zorza ledwo majaczy na szczytach gór, dokoła młodzieńca w głębokiej dolinie jest prawie ciemno. Cały jest mokry od rosy, a rozgrzany zdrowym snem, ciepłym chlebem i żwawą robotą.

Co się zamachnie, podcina wiotką olchę u korzenia, a ona chyli się i zgina niczym panna młoda do ręki kuma: osypuje go drobnym deszczykiem zimnej rosy i pozostaje już tak pochylona, gdyż gęstwina nie pozwala jej runąć na ziemię. A potem jedną ręką jakby od niechcenia obcina Mile zielone gałęzie.

Wydzierając się na całe gardło, powtarza z lubością poszczególne słowa. „Karadziordzie” to coś niejasnego, lecz wielkiego i śmiałego. „Dziewczę” i „sztandar” to także nieznanne mu rzeczy, ale jakoś najbardziej odpowiadające jego największym marzeniom: mieć dziewczynę i sztandar nosić. Niechybnie jest jakaś rozkosz w wymawianiu tych słów. Wszystkie siły w nie wkłada, powtarza głośno niezliczoną ilość razy, a od słów rośnie w nim moc, sprawiając, że powtarza je jeszcze głośniej.

Tak to o brzasku dnia śpiewał Mile, póki nie naciął gałęzi, po które wdrapał się do zagajnika, a potem spuścił się po stromym zboczu, wlokąc za sobą wiązkę. Przed młynem stali jacyś Turcy. Spętali konie i na coś czekają. Jest ich kilkunastu.

Znów był takim, jakim wybrał się po drzewo, niemrawym, obdartym i zakłopotanym, bez Karadziordzia przed oczami, bez dziewczyny i sztandaru. Turcy odczekali, aż położył siekiere, i obskoczyli go ze wszystkich stron, a po krótkiej walce spętali powrozem i pognali do miasta. Po drodze okładali go kijem i nie żalowali kopniaków, pytając, gdzie jest teraz jego Karadziordzie, klnąc jego sztandar i dziewczynę.

Na kapii pod strażnicą, gdzie akurat związano owego pomyłonego starca, zebrała się już obok żołnierzy gromada gapiów, chociaż dopiero dniało. Pośród nich znajdują się też Turcy, pogorzelnicy zbiegli z Serbii. Wszyscy są zbrojni i poważni, jakby chodziło o wielkie wydarzenie i decydującą bitwę. Wzburzenie ich rośnie wraz z wyłaniającym się na wschodzie słońcem. A słońce spowite w jasne, różowe mgiełki, szybko podnosi się w głębi widnokregu, hen nad Gole szem.

Oślupiałego młynarczyka przyjęto jak wodza powstańców, chociaż był obdarty i wynędzniały, a przywiedli go z lewego brzegu Driny, gdzie nie śniło się o powstaniu.

Owi Turcy z Orachowicy i Olujca, rozwścieczeni jego, jak przypuszczali, umyślną zuchwałością, poświadczili, że chłopak śpiewał tuż przy gościńcu oburzające pieśni o Karadziordziu i giaurskich bojownikach. Młodzieniec zaiste ani trochę nie przypominał bohatera i groźnego wodza. Przerażony, w mokrych łachmanach, podrapany i obity pobladł i z podniecenia zezował w stronę dowódcy, jakby od niego wyglądając ratunku.

Jako że z rzadka schodził do miasta, nawet nie wiedział, iż na kapii wzniesiono strażnicę; nie dziw więc, że wszystko wydawało mu się jeszcze bardziej niezwykle i nierealne, jakby we śnie zbłądził do obcego miasta, między złych, groźnych ludzi. Jąkając się i spuszczać oczy ku ziemi, zapewniał, że nic nie śpiewał i nigdy nie spotwarzał Turków, że jest biednym młynarczykiem, że ścinał drzewo i sam nie wie, za co go tu przyprowadzono.

Trząsł się ze strachu i ani rusz nie mógł pojąć, co się stało i jakim sposobem z tego uroczystego nastroju w chłodnym parowie znalazł się nagle związany i obity na kapii, ściągając na siebie uwagę tylu ludzi, którym teraz ma odpowiadać. Całkiem wyleciało mu z pamięci, że śpiewał kiedykolwiek nawet najniewinniejszą pieśń.

Ale Turcy obstawali przy swoim: śpiewał pieśni buntownicze, akurat wtedy, gdy przejeżdżali, i stawiał opór, kiedy chcieli go pojmać. Każdy to potwierdzał przysięgą składaną dowódcy.

- Walahil! Walahil! Walahil!²⁹

- Bilahi!³⁰

- I tak po trzykroć. Wtedy postawili młynarczyka obok Jelisija, a sami poszli budzić kata, który zdaje się miał bardzo twardy sen. Starzec przyglądał się młodzieńcowi; w zakłopotaniu trzepał powiekami, zmieszany i zawstydzony, nie przywykły stać w biały dzień pośrodku mostu wobec tylu ludzi.

- Jak ci na imię? - zapytał dziadek.

- Mile - odparł młynarczyk pokornie, jakby jeszcze odpowiadając Turkom na pytania.

- Mile, synu, ucałujmy się. - I starowina wsparł swą siwą głowę na jego ramieniu. - Ucałujmy się i pożegnajmy. Wo imja Oca i Sina i Swjatago Ducha. Wo imja Oca i Sina i Swjatego Ducha. Amin³¹.

zegnał siebie i młodzieńca jeno słowami, jako że ręce mieli skrępowane, i szybko, bo kat już się do nich zbliżał.

Oprawca, którym był jeden z żołnierzy, uwinął się gracko z robotą, tak że pierwsi przechodnie, idący z gór na targ, mijając most, mogli widzieć dwie głowy na nowych, sękatych palach koło strażnicy, a zbroszone krwią miejsce, gdzie ich ścięto, posypane żwirem i udeptane.

Tym sposobem strażnica zaczęła „pracować”.

Od owego dnia sprowadzono na kapiję tych wszystkich, których bądź jako podejrzanych, bądź jako zamieszanych w powstanie schwymano na samym moście albo gdzieś na granicy. A raz

²⁹ Przysięgasz na Boga? (tur.).

³⁰ Zaprawdę? (tur.).

³¹ W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. (starocerk.-słow.).

sprowadzeni w pętach na przesłuchanie pod strażnicę, rzadko uchodzili z życiem spod niej. Tutaj odrąbywano ich szalone czy po prostu nieszczęśliwe głowy i nabijano na zatknięte dokoła pale, a ciała rzucano z mostu do Driny, o ile nie było komu wykupić ich i pochować.

Powstanie z krótszymi albo dłuższymi okresami spokoju trwało latami i liczba tych, których puszczano z prądem rzeki „na poszukiwanie innej, lepszej i mądrzejszej głowy”, stała się z czasem bardzo duża. Traf chciał, traf, co miażdży słabych i nieostrożnych, że poczet ten otworzyli ci dwaj prości ludzie z tłumu nieuczonych, biednych i niewinnych, jako że tacy często bywają pierwszymi, którzy tracą przytomność umysłu w wirze wielkich wydarzeń, a wir ten nieprzepracuje ich wciąga i pochłania. Tym sposobem młodzieniec Mila i dziadek Jelisije, ścięci w tej samej chwili na tym samym miejscu, złączeni jak bracia, pierwsi przyozdobili swymi głowami żołnierską strażnicę na kapii, która póki trwały powstania, prawie nigdy nie miała być bez takich ozdób. Tak to ci dwaj, choć przedtem nigdy się nie widzieli i nie znali, razem utrwaliли się w pamięci mieszkańców kasaby i wspomniani byli lepiej i dłużej niż tyle innych znaczniejszych ofiar.

Pod krwawą, złowieszczą strażnicą zniknęła kapija, a wraz z nią spotkania, gawędy, piosenki i wybryki fantazji. Nawet Turcy przechodzili tędy niechętnie, a z Serbów jeno kto musiał, i to spiesznie, ze zwieszoną głową.

Wokół drewnianej strażnicy, która z czasem poszarzała, a potem szerniała, wkrótce wytworzyła się atmosfera zwykle otaczająca budynki, gdzie wojsko stale przebywa. Na belkach suszyła się bielizna żołnierska, przez okna wyrzucano do rzeki śmieci, pomyje oraz wszelkie odpadki i nieczystości życia koszarowego. Na środkowym filarze zostawały długie, brudne, z daleka widoczne smugi.

Rzemiosłem katowskim przez długie lata parął się ten sam żołnierz. Był to opasły, smagły Anatolczyk o żółtych, mętnych oczach i murzyńskich wargach, tłustej, nalanej, ziemistej twarzy, na której zawsze błąkał się uśmiech tak charakterystyczny dla poczciwych grubasów. Nazywał się Hajrudin i wnet zasłynął w mieście i daleko wzdłuż granicy. Powinność swą pełnił z zadowoleniem i godnie; zmyślny był i chybki. Mieszkańcy kasaby mawiali o nim, że ma lżejszą rękę od miejscowego balwierza Muszana. Tak starzy, jak i młodzi znali go przynajmniej z imienia, a imię jego budziło jednocześnie grozę i ciekawość. W słoneczne dni od rana do wieczora przesiadywał albo wylegiwał się na moście, w cieniu drewnianej strażnicy. Od czasu do czasu obchodził głowy na tykach jak ogrodnik arbuzy, a potem znów kładł się w cieniu, ziewając i przeciągając się, - ociężały, kaprawy i dobroduszny jak stary, kudłaty owczarek.

Na końcu mostu gromadziły się ciekawskie dzieci, lękliwie mu się przyglądając zza muru.

Przy robocie Hajrudin był zręczny i sumienny aż do przesady. Nie lubił jednak, żeby ktokolwiek wtrącał się do niego.

A to zdarzało się coraz częściej, jako że powstanie coraz bardziej przybierało na sile. Gdy powstańcy puścili z dymem okoliczne wsie, wściekłość Turków nie miała granic. Nie tylko że wszyscy wylapywali powstańców i szpiegów albo tych, których za takich uważali, i prowadzili ich do dowódcy na moście, ale w swym zapamiętaniu własnoręcznie chcieli uczestniczyć w wykonaniu kary.

Pewnego dnia pojawiła się tu głowa wyszegradzkiego parocha, tegoż popa Mihaila, który potrafił znęcić dość sił, aby żartować z hodżą i rabinem czasu wielkiej powodzi. W powszechnej złości na Serbów został niewinnie stracony, a Cyganięta wsadziły mu skręcony papieros w martwe usta.

Takie rzeczy Hajrudin ostro piętnował i udaremniał, jak tylko nadarzyła się okazja.

Gdy gruby Anatolczyk nagle umarł na czarną ospę, nowy kat, co prawda znacznie mniej wprawny, dalej uprawiał jego rzemiosło; jeszcze przez kilka lat, póki powstanie w Serbii nie wygasło, sterczały po dwie - trzy głowy na kapii. Ludzie, którzy w takich czasach szybko tępieją i stają się nieczuli, tak przyzwyczaili się do tego widoku, że przechodzili obojętnie, nie zwracając na nic uwagi, i nie od razu spostrzegli, kiedy przestano je wystawiać.

A gdy uspokoiło się w Serbii i na pograniczu, strażnica straciła swoje znaczenie i rację bytu. Nadal jednak mieściła się w niej straż, chociaż przejście przez most od dawna było wolne i bez dozoru. W każdym wojsku zmiany zachodzą powoli, a w tureckim wolniej niż w jakimkolwiek innym. I stan ten trwałby Bóg raczy wiedzieć jak długo, gdyby pewnej nocy od zapomnianej świecy nie wybuchł pożar. Strażnica, sklecona ze smolnych desek, jeszcze gorących po całodziennym upale, spłonęła do szczytu, to jest do kamiennych płyt mostu i kapii.

Przejęci mieszkańcy kasaby przyglądali się olbrzymim płomieniom, które oświetlały jasno nie tylko biały most, lecz także okoliczne góry i odbijały się niespokojną, ognistą łuną w powierzchni rzeki. Z nastaniem dnia wyłonił się most w dawnym, pierwotnym kształcie, otrząsnąwszy się z drewnianej, ciężkiej budowli, która latami całymi kryła jego kapiję. Białe płyty były osmalone i czarne od sadzy, ale deszcze i śniegi wnet je obmyły.

Tym sposobem ze strażnicy i krwawych, związanych z nią wydarzeń nie pozostał inny ślad prócz kilku smutnych wspomnień, które coraz bardziej zacierały się i znikwały wraz z pokoleniem, oraz jednej dębowej belki, ocalałej z pożaru, jako że była wkopana między stopnie na kapii.

Kapija znów była dla kasaby tym, czym zawsze. Na jej lewym tarasie sprzedawca kawy znowu rozpalał mangale i rozkładał swoje przybory. Uszkodzony był tylko wodotrysk, gdyż rozbita została smocza paszcza, z której sączyła się woda. Ludzie znów jęli zatrzymywać się na

sofie i tu spędzać czas, gawędząc, załatwiając interesy albo drzemiąc. W letnie wieczory młodzieńcy zbierali się w gromadki i śpiewali albo w samotności rozpamiętywali swe zawody miłosne lub bolesne tęsknoty, spragnieni dalekich podróży i przestrzeni, żądni wielkich czynów i niezwykłych przygód, które często marzą się młodym ludziom w ciasnych środowiskach. A po dwudziestu latach znowu tutaj śpiewało i bawiło się nowe pokolenie; nawet nie pamiętało niezgrabnego cielska drewnianej strażnicy ani głuchych nocnych nawoływań straży, zatrzymującej podróżnych, ani Hajrudina, ani głów, które odrąbywał z przysłowiową zręcznością. Tylko jeszcze staruszki, opędzając się dzieciom, wykradającym im brzoskwinie, piskliwie i gniewnie wykrzykiwały przekleństwa:

- Bodaj cię Hajrudin skrócił o głowę! Bodaj cię matka na kapii ujrzała!

Ale chłopcy, zmykający przez płoty, nie mogli rozumieć prawdziwego znaczenia tych przekleństw. Wiedzieli tylko, że nie wróżą one nic dobrego ani miłego.

Tym sposobem rosły nowe pokolenia w cieniu mostu, a on niby pył otrząsał z siebie wszelkie ślady, jakie pozostawiały na nim przemijające kaprysy albo potrzeby ludzkie, i zawsze ten sam - trwał niezmiennie.

VII

Mijały lata ponad mostem i kasabą, lata, dziesiątki lat.

Były to owe dziesięciolecia z połowy XIX wieku, kiedy państwo otomańskie dogorywało w lekkich wstrząsach. W oczach współczesnych wydawały się względnie spokojne i pomyślne, chociaż nie brak było przyczyn do trosk i obaw, chociaż zdarzały się susze i powodzie, groźne zarazy i wszelkiego rodzaju wstrząsające wydarzenia. Tylko działo się to powoli, stopniowo, w krótkotrwałych drgawkach pośród długich okresów spokoju.

Linia dzieląca dwie prowincje, bośniacką i belgradzką, przebiegająca tuż nad kasabą, jęła w tych latach coraz wyraźniej się zarysowywać i nabierać wyglądu i znaczenia granicy państwowej. Zmieniało to warunki bytowania całej krainy, a więc i kasaby, wywierało wpływ na handel, na komunikację, na ogólne nastroje ludności, jak również na wzajemne stosunki Turków i Serbów.

Starzy Turcy marszczyli brwi, mrugali oczami niedowierzająco, jakby chcąc rozproszyć niemile przywidzenie, sarkali, grozili, naradzali się, a potem miesiącami zapominali o tym, póki przykra rzeczywistość znów im nie przypominała i ponownie nie zaczęła psuć krwi.

Na granicy, puściły korzenie, przyjęły się i wydały powolny, dla Turków gorzki owoc: musieli opuścić ostatnie miasta w Serbii. I pewnego letniego dnia zwałił się na wyszegradzki most żalosny pochód wysiedleńców z Uzic.

Były to owe ciepłe dni o długich przyjemnych zmierzchach na kapii, kiedy Turcy z czarszii rozsiadali się na obu tarasach nad wodą. W takie dni zwozi się tutaj melony i arbuzy. Dojrzałe owoce chłodzi się cały dzień, a o zmroku sprzedaje ludziom odpoczywającym na sofie. Zwykle dwóch się zakłada, czy arbuz jest wewnątrz czerwony, czy żółty. Potem rozcinają go i kto przegrał zakład, płaci, a wszyscy jedzą, gawędząc i dowcipkując.

Z kamiennych tarasów bije jeszcze dzienny upał, a od wody wraz z ciemnością dolatuje już świeże tchnienie. Rzeka lśni pośrodku, a ciemnozielona jest przy brzegach, pod wierzbami i wikliną. Okoliczne szczyty stoją w blaskach zachodzącego słońca, jedne ogniste, a inne ledwo zaróżowione. Nad nimi zaś w południowo-zachodniej stronie otwartego przed kapiją amfiteatru nieustannie mienia się barwami letnie obłoki.

Chmurki te to jeden ze wspaniałych widoków, jakie roztaczają się w lecie z kapii. Zaledwie dnieje i słońce wzbija się do góry, pojawiają się nad nimi gęste, białe, srebrzyste i szare zwały, fantastyczne krajobrazy, liczne i niesymetryczne kopuły okazałych budowli. A rozrósłszy się, wiszą tak cały dzień nieruchomo i ciężko nad górami wokół spalonego słońcem miasta.

Turcy, którzy o zmierzchu zwykli odpoczywać na kapii, stale mają przed oczami te obłoki niby białe, jedwabiste namioty sułtańskie; w ich wyobraźni budzą one mgliste wizje pochodów i wojen, obrazy jakiejś dziwnej bezmiernej potęgi i wspaniałości. Dopiero zmierzch gasi i rozprasza letnie chmurki wokół kasaby, a na niebie pojawiają się nowe cuda w poświęcie gwiazd i księżyca.

Przedziwnego i wyjątkowego piękna kapii nie można lepiej chłonać niż w letnie dnie o szarej godzinie. Człowiek czuje się tu jak na czarownej huśtawce: stąpa po ziemi, żegluje po wodzie, w przestrzeń leci i znów mocno i pewnie związany jest z kasabą i swoim białym domem w pobliżu, otoczonym ogrodem i sadem. Pałac i popijając kawę niejeden z tych skromnych mieszczan, nie mający wiele więcej prócz domu i sklepu w czarszii, odczuwa o tej porze bogactwo świata i bezmiar darów Bożych. To wszystko może dać ludziom i poprzez wieki daje jakaś budowla, gdy jest piękna i trwała, w odpowiedniej chwili pomyślana, we właściwym miejscu wzniesiona i szczęśliwie ukończona.

Był jeden z takich zmierzchów; pełno rozmów, śmiechów i żartów, jakie mieszczanie wymieniają między sobą albo rzucają pod adresem przechodniów.

Najgłośniejsze i najbardziej niewybredne żarty stroją sobie z pewnego niskiego, krępego młodego człowieka o dziwnym wyglądzie. Jest to Salko Ciorkan³².

Ciorkan jest synem Cyganki i jakiegoś żołnierza albo oficera Anatolczyka, który niegdyś służył w kasabie i opuścił ją przed przyjściem na świat niepożądanego dziecka. Wkrótce umarła

³² Ślepiec (serb.).

matka, tak że malec rósł wśród obcych. Karmiła go cała kasaba; należał do wszystkich i do nikogo. Posługiwał po sklepach i domach, wykonywał prace, których nikt nie chciał się podjąć, czyścił doły i kanały, grzebał wszystko, co padło albo woda zatopiła. Nigdy nie miał własnego dachu nad głową, nazwiska ani określonego zajęcia. Jadł, gdzie popadło, na stojąco albo po drodze, sypiał na strychach, okrywał się darowanymi pstrymi łachmanami. Jeszcze w dzieciństwie stracił lewe oko. Prostoduszny dziwak, wesołek i pijak był przedmiotem żartów i drwin, jak również siłą roboczą mieszkańców kasaby.

Wokół Ciorkana zebrało się kilku młodzieńców z rodzin kupieckich, śmieją się zeń i szydzą.

Powietrze przepojone jest zapachem dojrzałych melonów, arbuzów i palonej kawy. Z wielkich kamiennych płyt, jeszcze ciepłych od dziennego skwaru, a skropionych wodą i starannie zamiecionych, unosi się osobliwe, wonne, letnie tchnienie kapii, które zaraża beczynnością i skłania do beztróskich marzeń.

Chwila między dniem a nocą. Słońce już zaszło, a jeszcze nie pojawiła się owa wielka kula nad Moljwnikiem. O tej porze, kiedy nawet najpospolitsze rzeczy mogą przybrać kształt przywidzeń pełnych ogromu, lęku i osobliwego znaczenia, pojawili się na moście pierwsi uciekinierzy z Użic.

Mężczyźni przeważnie szli pieszo, zakurzeni i zgnębieni, a na małych konikach kiwały się opatulone i zakwefione kobiety albo drobne dzieci przytroczone między tobołami lub skrzyniami. Poniektóry co znaczniejszy użiczanie jedzie na lepszym wierzchowcu, ale jakimś pogrzebowym klusem, ze zwieszoną głową, tak że jest żywym uosobieniem nieszczęścia, które ich tu sprowadziło. Są i tacy, co prowadzą kozę na postronku. Niektórzy niosą jagnięta na rękę. Wszyscy milczą, nawet dzieci nie kwilą. Słyszą tylko tętent kopyt końskich, tupot nóg ludzkich i jednostajne pobrękiwanie miedzianych i drewnianych przedmiotów na objuczonych koniach.

Ukazanie się tych przemęczonych, bezdomnych ludzi od razu zwarzyło wesoły nastrój na kapii. Starsi pozostali na kamiennych ławkach. Młodzi zerwali się i utworzyli po obu stronach kapii szpaler; pomiędzy nimi przesuwał się pochód.

Niektórzy mieszkańcy kasaby tylko ze współczuciem i w milczeniu spoglądali na wychodźców, inni witali ich, próbowali zatrzymać i czymkolwiek ugościć, ale oni nawet nie zwracali uwagi na poczęstunek, ledwo odpowiadając na pozdrowienia.

Spieszno im było, żeby za dnia zdążyć na nocleg do Okolisza.

Ogółem było bez mała sto dwadzieścia rodzin. Przeszło sto rodzin udaje się do Sarajewa, gdzie są widoki na udzielenie im pomieszczeń, a piętnaście zostaje w kasabie; są to przeważnie ci, którzy mają tutaj kogoś bliskiego.

Tylko jeden z tych utrudzonych wędrowców, z wyglądu jakiś biedak samotny, przystanął na kapii, napił się wody do woli i przyjął ofiarowanego papierosa. Cały był biały od kurzu, oczy błyszczały mu jak w gorączce, a wzroku nie mógł zatrzymać na żadnym przedmiocie. Puszczając kłęby dymu, wodził dokoła lśnącymi, nieprzyjemnymi oczami, nie odpowiadając na bojaźliwe i uprzejme pytania niektórych. Otarł tylko sumiaste wąsy, krótko podziękował i z goryczą, jaką w człowieku pozostawia zmęczenie i uczucie opuszczenia, rzucił kilka słów, ogarniając wszystkich niewidzącym spojrzeniem:

- Wy tu wysiadujecie i bawicie się beztrzesko, a nie wiecie, co się dzieje za Staniszewcem. Uciekliśmy do ziemi tureckiej, ale dokąd wy będziecie pierzchać wraz z nami, kiedy na to przyjdzie czas? Nikt tego nie wie ani nikt o tym nie myśli.

Uciekinier nagle urwał. Co powiedział, było aż nadto dla tych do niedawna beztrzeskich ludzi, ale za mało dla jego żalu, który nie pozwolił mu zamilczeć ani jaśniej się wysłowić. Sam przerwał nieprzyjemną ciszę, żegnając się, dziękując i spiesząc, aby dogonić pochód. Wszyscy wykrzykiwali za nim życzenia pomyślności.

Przez cały ten wieczór panował na kapii pełen przygnębienia nastrój. Wszyscy są zasępieni i milczący. Nawet Ciorkan siedzi osowiały i nieruchomy na kamiennym stopniu. Wokół niego walają się rozrzucone skórki arbuźów, które zjadł zgodnie z zakładem. Podparłszy się na łokciach, ze spuszczonego wzrokiem pogrążył się w smutnej zadumie, jakby wpatrywał się nie w kamień przed sobą, lecz w beżmierną, nieograniczoną wzrokiem dal. Wcześniej niż zwykle ludzie jęli się rozchodzić.

Ale już nazajutrz wszystko było po dawnemu, jako że mieszkańcy kasaby nie lubią pamiętać złych rzeczy ani martwić się na zapas; we krwi mają poczucie, że prawdziwe życie polega na spokoju i że byłoby głupio i daremnie mącić te rzadkie chwile zacisza w pogoni za jakimś innym, trwalszym i pewniejszym bytem, którego nie ma.

W drugiej ćwierci XIX wieku dwukrotnie szalała w Sarajewie dżuma i raz cholera. Kasaba przestrzegała wówczas wskazówek, których według tradycji miał udzielić jeszcze Mahomet swym wiernym w razie zarazy: „Póki choroba panuje w jakiejś miejscowości, nie idźcie tam, jako że możecie zarazić się, a jeśli przebywacie w zakażonej miejscowości, nie ruszajcie się stamtąd, jako że możecie zarazić innych”. Ponieważ ludzie nie stosują się do najbardziej zbawiennych rad, nawet wówczas, gdy pochodzą od samego Proroka, jeśli nie są poparte rozkazem, władze były zmuszone każdorazowo podczas moru ograniczać albo całkowicie zamykać ruch drogowy i pocztowy. Wtedy życie na kapii zmieniło swój wygląd. Znikali mieszczanie, zajęci interesami i wypoczywający, zadumani albo rozśpiewani, a na pustej sofie znów przesiadywali jak w czasie powstań i wojen strażnicy. Zatrzymywali podróżnych nadciągających z Sarajewa i zawracali ich

wymachiwaniem karabinami i głośnymi okrzykami. Odbierali pocztę od kurierów, ale z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Na kapii paliło się wtedy nieduże ognisko, z „wonnego drzewa”, które rozwijało gęsty biały dym. Wartownicy brali szczypcami każde pismo i okadzali je nad dymem. Dopiero tym sposobem odkażone listy wysyłano dalej. Towarów w ogóle nie przyjmowano. Ale główne zajęcie to nie praca z listami, lecz z ludźmi. Codziennie przybywa po kilku podróżnych kupców, kurierów, łazików. U wejścia na most czeka na nich strażnik i już z daleka daje ręką znak, że dalej nie można iść. Podróżny zatrzymuje się, ale poczyna wchodzić w układy, usprawiedliwiać się i wyjaśniać swoją sprawę. A każdy z nich uważa, że jest rzeczą konieczną, aby go wpuszczono do miasta, i każdy zaklina się, że jest zdrow jak ryba i nie ma nic wspólnego z cholerą, która - „chwała Bogu” - szaleje gdzieś w Sarajewie.

W trakcie wyjaśnień podróżni podchodzą z wolna do połowy mostu i zbliżają się do kapii. Tu wtrącają się pozostali wartownicy, a ponieważ rozmowa odbywa się na odległość kilku kroków, wszyscy krzyczą i wymachują rękami. Krzyczą także dlatego, że przesiadując na kapii całymi dniami, popijają wódkę, którą zagryzają czosnkiem; służba pozwala im na to, jako że utrzymuje się mniemanie, iż obie te rzeczy są skuteczne przeciwko zarazie; nie dziw więc, że z tego prawa skwapliwie korzystają.

Niejedyn podróżny, zmęczony prośbami i przekonywaniem strażników, wraca zgnębiony gościńcem do Okolizta, nie załatwiwszy interesu. Ale bywają wytrwali i natrętni, którzy godzinami wystają na kapii i czatują na chwilę słabości albo nieuwagi lub też liczą na jakiś ślepy traf czy szczęśliwy zbieg okoliczności. Jeśli zdarzy się przypadkiem, że obecny jest dowódca miejscowych strażników Salko Hedo, wtedy nie ma widoków, aby cokolwiek wskórali. Hedo jest uosobieniem prawdziwej, uświęconej władzy, która ani dobrze nie widzi, ani nie słyszy tego, z kim rozmawia, i interesuje się nim tylko tyle, ile potrzeba, żeby mu wyznaczyć należne wedle istniejących przepisów i rozporządzeń miejsce. Podczas tej czynności jest ślepy i głuchy, a gdy skończy, wtedy staje się także niemy.

Daremne są wszelkie zaklęcia i pochlebstwa.

- Salihaga, zdrow jestem...

- No to wynoś się, skąd przybyłeś. Jazda, marsz!

Z Hedem szkoda gadać. Ale jeśli młodszy strażnik są sami, można czasami coś wskórać. Im dłużej podróżny stoi na moście, im bardziej krzyczy, sprzecza się i rozprawia o swoich kłopotach, które go tu sprowadzają, a także o innych troskach, tym bliższy jakoś im się staje, bardziej znajomy, coraz mniej przypominając zarażonego cholerą. W końcu któryś wartownik ofiarowuje się doręczyć list w kasabie. Jest to pierwszy krok na drodze ustępstw.

Podróżny jednak wie, że interesów nie załatwia się przez posłów i że strażnicy tacy, jacy są teraz, wiecznie zamroczeni albo na pół pijani wskutek „zażywania lekarstwa”, mają złą pamięć i źle wykonują polecenia. Nie dziw więc, że przewleka rozmowę, prosi, ofiarowując łapówkę, wzywając Boga na świadka i zaklinając się na zbawienie duszy. Czyni tak, póki upatrzony wartownik, najbardziej powolny, nie zostanie sam na kapii. Wtedy wszystko idzie jak po maśle. Poczciwy strażnik odwraca się do wysokiego muru, niby to czytając stary napis, a ręce zakłada do tyłu, wystawiając prawą dłoń. Wytrwały podróżny wsuwa mu umówioną sumę do ręki, ogląda się w lewo i prawo, przebiega drugą połowę mostu i znika w kasabie. Strażnik wraca na dawne miejsce, pałaszuje czosnek, zalewa go wódką. To mu dodaje jakiejś beztrioskiej i wesołej nieustępliwości oraz sił do czuwania i strzeżenia kasaby przed zarazą.

Jednakże kłopoty nie trwają wiecznie (i to jest ich wspólną cechą z radością), lecz mijają albo przynajmniej zmieniają się i giną w zapomnieniu. A życie na kapii odradza się zawsze i wbrew wszystkiemu, most nie zmienia się w ciągu lat ani w ciągu stuleci, ani nawet w czasie najboleśniejszych zmian stosunków pomiędzy ludźmi. Wszystko to przepływa mimo niego jak niespokojna woda pod gładkimi, pięknymi łukami.

VIII

Nie tylko wojny, dżuma i wędrówki ludów w owych czasach nawiedzały most i przerywały życie na kapii. Bywały też i inne, wyjątkowe zdarzenia, od których rok nazwę otrzymywał i długo był chowany w pamięci.

Z lewej i prawej strony kapii kamienna poręcz od dawna jest wygładzona i nieco ciemniejsza niż reszta ogrodzenia.

Setki lat chłopci kładą tu ciężary, kiedy chcą odsapnąć, albo ludzie opierają się plecami i łokciami gawędząc, czekając na kogoś lub w samotności wpatrując się w wodę, jak spieniona i wartka, wciąż inna, a zawsze ta sama przepływa pod nimi.

Ale nigdy jeszcze tylu ciekawych, co w ostatnich dniach sierpnia owego roku, nie opierało się w wolnych chwilach na poręczach i nie wpatrywało w powierzchnię rzeki, jakby chcąc coś z niej odczytać i odgadnąć. Drina toczyła swe zmacone deszczem wody, choć dopiero miało się ku końcowi lata. W wirach koło filarów tworzyła się biała piana, wciągana w leje wraz z drzazgami, gałęziami i źdźbłami słomy. Ale wsparci na łokciach mieszkańcy kasaby właściwie nie wpatrywali się w rzekę, którą znali od dawna, a która nie ma im nic do powiedzenia, lecz na jej powierzchni, podobnie jak w rozmowach, szukali wyjaśnienia i widomego śladu niezrozumiałego, ciężkiego losu, jaki ich w tych dniach zaskoczył i stropił.

Podówczas zdarzyło się na kapii coś zgoła wyjątkowego, coś niesłychanego, co nie powtórzy się pewnie nigdy, póki stać będzie most i kasaba nad Driną. Zdarzenie to poruszyło i wstrząsnęło mieścina, zawędrowało też dalej, do innych miejscowości i dzielnic niby snująca się po świecie legenda.

Właściwie jest to opowieść o dwóch wyszegradzkich przysiółkach, o Weljim Ługu i Nezuke. Przysiółki te leżą na dwóch przeciwległych krańcach owego amfiteatru, jaki wokół kasaby tworzą zielone wzgórza i szare turnie.

Najbliżej kasaby położona jest duża gmina Strażiszte w północno-wschodniej stronie doliny. Domy jej, pola i ogrody rozrzucone są na kilku wzgórzach i wtulone między nie. W zacisznej kotlinie kilkanaście domów tonie pośród śliw okolonych polami. Jest to przysiółek Welji Luga, uciepiona wyniosłości, spokojna, urocza i bogata osada turecka. Należy ona do gminy Strażiszte, ale bliżej jej do kasaby niż do gminy, jako że ludzie z Weljiego Ługu po półgodzinnym marszu są już w czarszii, gdzie mają swoje składy i kramy, podobnie jak pozostali mieszkańcy kasaby. Między nimi a mieszkańcami miasteczka nie ma zresztą żadnej różnicy, prócz jednej chyba, że włości ich są trwalsze i pewniejsze, bo znajdują się na urodzajnej, nasłonecznionej ziemi, niezagrożonej powodzią, a oni sami są skromniejsi i bardziej przezorni, bez złych miejskich nałogów. Welji Luga słynie z dobrej gleby, zdrowej wody i urodziwych ludzi.

Jest to siedziba odrośli wyszegradzkich Osmanagiców.

Chociaż ci z kasaby są liczniejsi i zamożniejsi, ludzie uważają, że „wyrodzili się”, a prawdziwymi Osmanagicami z dziada pradziada są ci z Weljiego Ługu, skąd wywodzi się ich ród. Są to ludzie dorodni, wrażliwi i dumni ze swego pochodzenia. Do nich należy największy dom, co bieleje z boku tuż pod samym szczytem, zwrócony frontem na południowy zachód, zawsze pobielony, z dachem krytym szerniałymi gontami, o czternastu szklanych oknach. Dom ten widać z daleka, on też pierwszy rzuca się w oczy każdemu, kto zdąży traktem do Wyszegradu lub ogląda się za siebie, opuszczając go. Ostatnie promienie słońca chowającego się za lijeskie zbocze kładą się i załamują zawsze na białym, lśniącym frontonie tego budynku. Mieszkańcy kasaby przywykli o zmroku patrzeć z kapii na złote szyby domu Osmanagicia, na gasnące jedne po drugich blaski i często po zachodzie słońca, gdy kasaba tonie w cieniu, na zapalający się w którymś oknie ostatni, zbląkany między chmurami promień, jaśniejący czas jakiś niby czerwona, duża gwiazda nad przyćmioną kasabą.

Podobnie znany jest i poważany w kasabie pan tego domu Awdaga Osmanagic, odważny i gwałtowny człowiek tak w życiu, jak i w interesach. Posiada skład w czarszii, niskie, ponure pomieszczenie, gdzie na deskach i matach leży kukurydza, suszone śliwki albo szyszki. Awdaga handluje tylko na wielką skalę, stąd magazyn jego jest niezmiennie otwarty tylko w dnie targowe,

a w ciągu tygodnia w zależności od potrzeb i interesów. W składzie zawsze przebywa któryś z synów Awdagi, podczas gdy on sam zwykł przesiadywać na ławie przed sklepem. Tu gawędzi z klientami albo ze znajomymi. Jest to rośli, zażywny mężczyzna o zupełnie siwej brodzie i wąsach. Głos ma gruby i chrapliwy. Od lat męczy go astma. Jak tylko zapali się w rozmowie i podniesie głos, co mu się często zdarza, natychmiast zaczyna go dusić ciężki kaszel, wydymają mu się żyły na szyi, twarz czerwienieje i oczy zachodzą łzami, a w piersiach charczy, gra i dudni jak grzmoty w górach. Po napadzie kaszlu od razu opanowuje się, głęboko wciąga powietrze i dalej gwarzy, kontynuując rozmowę od tego miejsca, gdzie urwał, tylko jakimś zmienionym, cieńszym głosem. W kasabie i okolicy uchodzi za człowieka o ostrym języku, szczodrej ręce i dzielnym sercu. Taki jest we wszystkim, a więc i w handlu, choć nieraz ze swoją szkodą. Często jednym śmiałym słowem obala lub winduje cenę śliwek suszonych albo kukurydzy, nawet wtedy, gdy to nie leży w jego interesie, jedynie na przekór jakiemuś wiejskiemu tchórzowi albo miejskiemu kutwie. Słowo jego znajduje na ogół w czarsziii posłuch i uznanie, chociaż wiadomo, że niejednokrotnie jest gwałtowny i stronniczy w swych wypowiedziach. Gdy Awdaga zszedłszy z Weljiego Ługu zasiada przed składem, rzadko bywa sam, jako że ludzie lubią gawędzić z nim i wysłuchiwać jego zdania. Jest on otwarty i żywy, zawsze skory do wygłaszania i bronięcia tego, co inni uważają za rozsądniejsze przemilczeć. Astma i napady kaszlu przerywają mu co chwila rozmowę, ale, o dziwo, nie psują wrażenia, lecz sprawiają, że słowa jego są bardziej przekonujące, a mowie przydają tonu ciężkiej i bolesnej godności, której niełatwo się oprzeć.

Awdaga ma pięciu dorosłych, żonatyh synów i córkę jedynaczkę, dopiero od niedawna pannę na wydaniu. Córka jego Fata, która pod każdym względem wdała się w ojca, słynie z niezwyklej urody. Sprawą jej zameścia zaprzęta sobie głowę cała kasaba, a także po trochu cała okolica. Z dawien dawna utarło się u nas, że któraś dziewczyna w każdym pokoleniu staje się bohaterką opowieści i pieśni dzięki swej urodzie, pracowitości i pańskim manierom. A wtedy przez kilka lat jest celem wszystkich westchnień i niedościgłym wzorem; imię jej pobudza do marzeń, wokół jej osoby krążą zachwyty mężczyzn i zawiść niewiast. Są to wyjątkowe istoty, wyróżnione przez naturę i wyniesione na niebezpieczne wyżyny.

Owa córka Awdagi była wykapanym ojcem nie tylko jeśli chodzi o urodę, ale też pod względem bystrości umysłu i obrotności języka. Najlepiej wiedzieli o tym młodzieńcy, którzy na weselach i wieczorynkach próbowali płaskimi pochlebstwami albo śmiałymi żartami pozyskać ją sobie lub wprawić w zakłopotanie. Dowcip jej w niczym nie ustępował urodzie. Nie dziw więc, że w pieśni o Fatimie Awdagi (o takich wyjątkowych istotach pieśni same skądś się biorą) śpiewało się:

Aleś mądra, aleś śliczna,

Nadobna Fato Awdagi!

Tak to śpiewano i mówiono w kasabie i wokół niej, ale niewielu było śmiałków, którzy wazyli się prosić o rękę dziewczyny z Weljkiego Ługu. A gdy i oni kolejno odchodzili z kwitkiem, dokoła Faty szybko wytworzyła się próżnia, ów krąg podziwu, nienawiści i zawiści, ukrytych pragnień i złośliwych wyczekiwań, zwykle otaczających istoty wyjątkowo obdarzone i o wyjątkowym przeznaczeniu. Takich ludzi, o których się mówi i pieśni układa, wnet porywa ich osobliwy los, a pozostaje jeno po nich pieśń albo legenda.

Często u nas się zdarza, że dziewczyna, zasłynąwszy z urody, właśnie przez to zostaje na koszu bez zalotników, podczas gdy szybko i łatwo wychodzą za mąż dziewczęta w niczym jej nie dorównujące. Taki los nie spotkał Faty, jako że znalazł się konkurent, który odważył się jej zapragnąć, a był dość sprytny i wytrwały, aby dopiąć swego.

W owym nierównym kole, jakie tworzy kotlina wyszegradzka, akurat po przeciwnej stronie Weljiego Ługu znajduje się przysiółek Nezuke.

Powyżej mostu, niecałą godzinę marszu w górę rzeki, u stóp stromych gór, z których jak z szarej ściany wypływa Drina zza ostrego zakrętu, leży na skalistym brzegu wąski szmat dobrej, żyznej ziemi. Jest to muł naniesiony przez potoki i wody spływające z Butkowych Turni. Są tu sady i pola, a na zboczach strome hale nędzną trawą porosłe, które znikają wyżej w kamienistych żlebach i pośród brunatnych kęp zarośli. Przysiółek ten jest własnością bejów Hamziciów, zwanych także Turkowiciami. Po jednej stronie mieszka pięć czy sześć rodzin dzierżawców, a po drugiej stoją domy braci Hamziciów, z siedzibą Mustajbeja Hamzicia na czele. Przysiółek jest zacieniony, bez słońca, ale i bez wiatrów, bardziej obfitujący w owoce i siano niż w zboże.

Osaczony zewsząd i wciśnięty między wysokie, strome skały, przez większość dnia jest pograżony w cieniu, a zawsze w ciszy, tak że wszelkie pokrzykiwania pasterzy i silniejsze pobrzękiwanie dzwonek odbijają się od gór całą gamą niemilkających odgłosów. Do Nezuke prowadzi tylko jedna jedyna droga z Wyszegradu. Minąwszy most, opuszczając kasabę i zszedłszy z głównego traktu skręcającego na prawo w dół rzeki, a spuściwszy się nad samą rzekę, napotyka się wąską kamienistą ścieżynę wijącą się w lewo od mostu w górę Driny tuż nad wodą niby biały rąbek u szarej stromizny nurzającej się w odmętach. Jeździec czy piechur widziany z mostu na tej drodze wygląda, jakby się posuwał po wąskiej kładce między wodą i skałami, przegładając się stale w spokojnej, zielonej toni.

Droga ta wiedzie z kasaby do Nezuke i tu się kończy, jako że nie ma dokąd dalej jechać ani komu podróżować. Tylko za domami w strome zbocze, porosłe rzadkim lasem, wrzynają się dwa białe żleby, po których wspinają się pasterze, gdy idą w góry do swych stad.

Tutaj znajduje się duży biały dom Mustajbeja, najstarszego Hamzicia. Dom jego wcale nie jest mniej obszerny od domu Osmanagicia na Weljim Ługu, ale w odróżnieniu od tamtego jest zupełnie niewidoczny w tej kotlinie i gęstwinie nad Driną.

Półkolem otacza go jedenaście wysokich topoli, które szumem i szelestem stale ożywiają ten ze wszystkich stron zamknięty i niedostępny zakątek. Poniżej stoją nieco mniejsze i skromniejsze domostwa pozostałych dwóch braci Hamziciów. Wszyscy mają dużo dzieci i wszyscy są szczupli, wysocy, bladolicy, milczący i mrukliwi, ale zgodni i pracowici, przywykli cenić swą własność i bronić swego stanu posiadania. Podobnie jak zamożniejsi ludzie z Weljiego Ługu, tak i oni mają w kasabie swoje składy, do których znoszą wszystko, co zdołają wytworzyć w Nezuke.

O każdej porze roku oni i ich dzierżawcy krzątają się i uwijają niby mrówki po tej wąskiej kamienistej ścieżce nad Driną; jedni dźwigają towary do miasta, a inni z pieniędzmi za pasem wracają z jarmarku do swej niewidocznej pośród gór wioski.

W tym białym i przestronnym domu, który wita przybysza jak miła niespodzianka na końcu, zda się, nigdzie niewiodącej ścieżki, mieszka Mustajbej Hamzić z czterema córkami i synem Nailiem. Owemu Nailowi z Nezuke, bejowskiemu jedynakowi, jako jednemu z pierwszych wpadła w oko Fatima z Weljiego Ługu. Na jakimś weselu napatrzeć się nie mógł jej urodzie przez uchylone drzwi, do których niby kiść winogrona uczepiła się gromada młodzieńców. Gdy następnym razem znów ją ujrzał w otoczeniu rówieśnic, rzucił jej zuchwały żart:

- Bogdaj Mustajbej z Nezuke nazwał cię swoją synową!

Fata zachichotała z cicha.

- Nie śmiej się - wionął przez szparę w drzwiach szept wzruszonego młodzieńca - pewnego dnia i to się ziści!

- Akurat! Jak Welji Ług zstąpi do Nezuke! - odcięła się dziewczyna z nowym chichotem i dumnym gestem, na jaki umieją się zdobyć tylko takie dziewczęta i w tym wieku, a który był bardziej wymowny niż jej słowa i śmiech.

Tym sposobem osobliwie hojnie obdarzone przez naturę istoty często śmiało i niebacznie wyzywają los. Odprawa dana młodemu Hamziciowi rozeszła się daleko i podawana była z ust do ust, podobnie jak wszystkie jej czyny i słowa.

Hamziciowie nie należą do ludzi zwykłych zatrzymywać się w pół drogi i upadać na duchu przy lada trudności. Nawet innych, mniej ważnych spraw nie załatwiają w pośpiechu i na chybił trafił, a cóż dopiero takiej jak ta. Zabiegi czynione za pośrednictwem jakichś krewniaków z kasaby spaliły na panewce. Ale wtedy stary Mustajbej Hamzić wziął sprawę ożenku syna w swoje ręce. Z Awdagą miał z dawien dawna wspólne interesy. Przez swą gwałtowną naturę i dumę Awdaga poniósł w ostatnich czasach znaczne straty; wpływały z nich zobowiązania, którym nie

mógł w porę sprostac. Mustajbej pomagał mu i ratował w opresji, jak tylko dobrzy ludzie interesu potrafia pomagac i ratowac sie wzajemnie w ciezkiej chwili, po prostu, naturalnie, bez wielu slow.

Po tych na pol mrocznych i chlodnych skladach i na gladkich kamiennych lawkach przed nimi rozstrzyga sie nie tylko sprawy pieniedzy i honoru kupieckiego, ale i losy ludzkie. Co zaszlo miedzy Awdaga Osmanagiciem i Mustajbejem, gdy ten ostatni poprosil o ruke Faty dla swego jedynaka, i jak to sie stalo, ze porywczy i dumny Awdaga „dal” mu dziewczynę?

Tego nikt nigdy sie nie dowie. Podobnie nikt wlasciwie nie wiedzial, co zaszlo na Weljim Ługu miedzy ojcem i jego piekna jedynaczką. O jakimkolwiek sprzeciwie z jej strony, oczywista, nie moglo byc mowy. Spojrzenie pelne bolesnego zdumienia i ow przekorny, jej tylko wlasciwy gest, a potem nieme i gluche podporzadkowanie sie woli ojcowskiej, jak to zawsze od niepamietnych czasow u nas bywalo i bywa. Jakby we snie jela wietrzyć, uzupelniac i skladac swoja wyprawe.

Z Nezuke nie przeniknelo tez ani jedno slowo do kasaby.

Przezorni Hamziciowie nie chcieli, by w czczej gadaninie potwierdzono ich sukces. Osiagneli swój cel i, jak zwykle, byli zadowoleni. Nie potrzebowali z nikim dzielic swej radości, podobnie jak nigdy nie pragneli wspolczucia w niepowodzeniach i klęskach.

A jednak ludzie, jak to ludzie, rozprawiali o tym wszystkim duzo, obszernie i bezwzględnie. Po całej kasabie i wokol niej opowiadano, jak to Hamziciowie dopieli swego; jak to piekna, zarozumiala i mądra córka Awdagi, dla której w całej Bośni nie bylo godnego zalotnika, natrafila na mądrzejszego i zostala poskromiona; jak to jednak „Welji Ług zejdzie do Nezuke”, chociaz Fata jawnie zarzekala sie, ze to nigdy nie nastapi.

Ludzie bowiem lubuja sie w takich pogaduszkach o upadku i ponizeniu tych, którzy zdołaja zbyt wysoko wznieśc sie i wzbić.

Okrągły miesiac ludziska omawiali to wydarzenie i wycierali sobie usta przyszlym ponizeniem Faty. Okrągły miesiac trwaly przygotowania i w Nezuke, i w Weljim Ługu.

Okrągły miesiac Fatima pracowala wraz z rowiesnicami krewniaczkami i wyrobnicami, szykujac wyprawe. Śpiewaly dziewczęta. Śpiewala i ona. Znajdowala siły i na to. I wsluchiwała sie w swój głos, snujac własne myśli. Bo za kazdym ukluciem igly wiedziala (i wciaz to sobie powtarzala), ze ani ona, ani jej hafty nigdy nie ujrza Nezuke. Nie zapominala o tym ani na chwile. Jeno gdy dzien schodzil na krzataninie i pieśniach, zdawalo jej sie, ze z Weljigo Ługu do Nezuke daleko, a miesiac to szmat czasu. To samo bylo w nocy. Wieczorem, gdy pod pretekstem ukończenia jakichs robót zostawala sama, otwieral sie przed nia swiat bogaty, niezmierny, pelen swiatla i radosnych przemian.

Noce w Weljim Ługu są ciepłe i świeże. Gwiazdy bliskie i niespokojne, wszystkie złączone jasnym migotliwym blaskiem. Stojąc przy oknie, Fatima wpatruje się w tę noc. Z całej postaci dziewczyny tchnie rozkosznie ją rozpierająca spokojna siła i każdą cząsteczkę swego ciała wyczuwa jako odrębne źródło mocy i radości; nogi, biodra, ramiona, szyję, a zwłaszcza piersi. Piersi jej bujne, jędrne a sterczące dotykają sutkami ramy okiennej. Wyczuwa, jak całe wzgórze ze wszystkim, co jest na nim, z domem, zabudowaniami, polami, dyszy ciepło, głęboko i miarowo, unosi się i opada wraz z jasnym niebem i mroczną dalą. Pod tym tchnieniem drewniana rama opada i rośnie, dotyka koniuszków jej piersi i cofa się, wraca i znów ich dotyka, opada i znów się oddala, wciąż tak na zmianę.

O tak! Świat jest wielki, ogromny jest świat za dnia, gdy wyszegradzka dolina drży w spiekocie, a rozpostarte na niej zboża dojrzewają bez mała dosłyszalnie, kiedy zamknięta składną linią mostu i czarnymi zarysami gór bieli się kasaba rozproszona wokół zielonej rzeki. Ale w nocy, dopiero w nocy, gdy ożyje i rozplomieni się niebo, otwiera się bezkres i potęga świata, w którym człowiek się zatracza niepomny własnej jaźni, nie umiając uświadomić sobie, dokąd zmierza, co chciałby ani co ma robić. Tylko tutaj żyje się prawdziwie, pogodnie i długo, tu nie ma słów obowiązujących przez całe życie, złowrogich obietnic ani sytuacji bez wyjścia, których czas nieubłagane mija i upływa, a które kończą się jedynie śmiercią i hańbą.

O tak, w pomroce nocnej nie jest jak w dziennym życiu, kiedy to nie sposób cofnąć danego słowa, a obietnicy nie dotrzymać.

Tu wszystko wolno, tu wszystko jest nieskończone, bezimienne, nieme.

Wtem skądś, jakby z daleka, rozlega się ciężki, głęboki, przytłumiony głos:

- Aaach chchch! Aaach, chchch!

To w izbie na dole Awdaga boryka się z nocnym napadem kaszlu.

Fata nie tylko poznaje głos, ale widzi ojca wyraźnie, jak siedzi i pali, nie mogąc zasnąć, zmęczony kaszlem. Zda się jej, że widzi jego duże brązowe oczy, znane jak drogi krajobraz, oczy zupełnie podobne do jej, tylko starością ocienione i pełne łzawego, uśmiechniętego blasku, oczy, w których po raz pierwszy wyczytała swój nieunikniony los owego dnia, kiedy dowiedziała się, że została przyobiecana Hamziciom i ma miesiąc na przygotowania.

- Kcha, kcha, kcha! Aaach!

Niedawny zachwyt nad pięknem nocy i ogromem świata niespodziewanie gaśnie. Rozkoszne tchnienie ziemi zamiera.

Dziewczęca pierś tężeje w lekkim skurczu. Giną gwiazdy i bezkres. Tylko los, jej los bez wyjścia, bliski, jutrzejszy dokonuje się i wypełnia równoległe z czasem, mijającym w ciszy, bezruchu i pochłaniającej wszystko pustce.

Głucho rozlega się kaszel z izby na parterze.

O tak! Słyszysz go i widzisz, jakby był tuż przed nią. Jest to jej ukochany, potężny rodzic, z którym łączy ją nierozzerwalna więź, z którym, jak daleko sięga pamięcią, tworzy jedną lubą istotę. Nawet jego ciężki, rozdzierający kaszel czuje w swych piersiach. Wprawdzie są to te usta, które powiedziały tak wtedy, gdy ona powiedziała nie. Ale mimo to ona w każdym calu stanowi jedność z nim, a więc nawet w tym. Toteż to jego tak ona wyczuwa jak swoje własne (podobnie jak i swoje nie). Nie dziw więc, że jej los jest niespodziewany, niezwykły, jutrzejszy, nie dziw więc, że nie widzi żadnego wyjścia, nie może zobaczyć, skoro go nie ma. Ona wie tylko jedno. Przez to ojcowskie tak, które ją obowiązuje tak samo jak jej nie, będzie musiała stanąć przed kadim z synem Mustajbeja, jako że nie sposób nawet wyobrazić sobie, żeby Awdaga Osmanagic nie dotrzymał słowa.

Ale tak samo wie, i to dobrze i pewnie, że potem jej noga nie może powstać w Nezuke, bo wówczas znów ona nie dotrzymałaby swojego słowa. A to jest, oczywista, niemożliwe, gdyż to jest także słowo Osmanagicia. Tu, w tym martwym punkcie, między swoim nie i ojcowskim tak, pomiędzy Weljim Ługiem a Nezuke, tu w tym najtragiczniejszym miejscu trzeba znaleźć wyjście. Tutaj więc krąży jej myśl. Już nie w bezmiarze wielkiego, bogatego świata ani nie na całej drodze z Wieljiego Ługu do Nezuke, lecz na owym krótkim, żalonym skrawku gościńca od meszciemy³³, w której kadi zaślubi ją synowi Mustajbeja, do zakończenia mostu, gdzie kamienna stromizna zstępuje ku wąskiej ścieżynie wiodącej do Nezuke, a na której nigdy, najzupełniej tego jest pewna, jej noga nie postanie. Ten odcinek drogi myślą przebiega nieustannie z końca na koniec jak czółenko osnowę. Od meszciemy, przez połowę miasta, przez rynek do końca mostu, ale stąd od razu zawraca jak od przepaści, przez most, rynek, miasto do meszciemy. I wciąż: tam i z powrotem, tam - i z powrotem! Tu snuła się nić jej losu.

I myśl ta, która nie umiała spocząć ani nie potrafiła znaleźć wyjścia, coraz częściej zatrzymywała się na kapii, na pięknej sofie z lśniącego kamienia, gdzie starsi spędzają czas na gawędach, a młodzieńcy na pieśniach, gdzie w dole z hukiem przewala się zielona, wartka, głęboka rzeka. A wtedy zdjęta przerażeniem leciała jak urzeczona znów z końca na koniec, aby nie znalazłszy innego rozwiązania stanąć na kapii. Co noc myśl jej coraz częściej krąży w tym miejscu i coraz dłużej tam przystaje. A sama myśl o tym dniu, kiedy rzeczywiście, a nie w wyobraźni będzie musiała przebyć tę drogę i jeszcze przed końcem mostu znaleźć wyjście, kryła

³³ Meszciema - siedziba muzułmańskiego sądu duchownego, gdzie kadi (sędzia) sądzi i udziela ślubów.

w sobie całą grozę śmierci i lęk przed życiem w hańbie. Zdawało się jej, takiej bezbronnej i opuszczonej, że myśl o tym powinna oddać albo przynajmniej odłożyć ten dzień.

Lecz dni mijały ni szybko, ni wolno, ale miarowo i tak, jak nakazywało przeznaczenie, a wreszcie nadszedł też dzień weselny.

W ostatni czwartek sierpniowy (to był ów przeznaczony dzień) Hamziciowie na koniach przybyli po dziewczynę.

W ciężkiej nowej feredży³⁴ niby w pancerzu posadzono Fatę na konia i zaprowadzono do kasaby. Jednocześnie na dziedzińcu juczono konie skrzyniami ze strojami dziewczyny. W meszcie przed kadim odbyły się zaślubiny. Tym sposobem Awdaga dotrzymał słowa, wydając jedynaczkę za syna Mustajbeja. Potem nieduży orszak ruszył ku Nezuke, gdzie szykowało się huczne wesele.

Przejechali już połowę miasta i rynek, część owej drogi bez wyjścia, którą Fata tyle razy w myślach przebywała. Wszystko było niezłomne, realne i zwykłe, niemal łatwiejsze niż w myślach. Ani gwiazd, ani bezkresu, ani ojcowego głuchego kaszlu, ani pragnienia, by czas szybciej lub wolniej mijał. Gdy przybyli na most, dziewczyna raz jeszcze odczuła silnie, jak w letnie wieczory przy oknie, każdą cząsteczkę swego ciała osobno, a zwłaszcza serce w lekkim skurczu niby w pancerzu. Są już na kapii. Podobnie jak to czyniła tyle razy w myślach w ciągu minionych nocy, schyliła się i szeptem poprosiła najmłodszego brata, jadącego obok, żeby skrócił jej nieco strzemiona, jako że teraz zbliżają się do owego stromego przejścia z mostu na kamienną ścieżkę, wiodącą do Nezuke. Przystanęli, najpierw oni dwoje, a opodal swatowie na koniach. Nie było w tym nic niezwykłego. Nie pierwszy to i nie ostatni raz swatowie zatrzymują się na kapii. Podczas gdy brat, zeskoczywszy na ziemię, obchodził konia i przekładał uzdę przez rękę, dziewczyna skierowała swego wierzchowca do samej krawędzi mostu, stanęła prawą nogą na kamiennej poręczy, uniosła się z siodła, jakby jej wyrosły skrzydła u ramion, wychyliła się i poleciała z wysoka w rozhukaną topiel. Brat, który rzucił się za nią i położył się prawie na ogrodzeniu, dotknął jeszcze ręką rozwianej feredży, ale nie mógł jej zatrzymać. Swatowie zeskoczyli z koni, przedziwnie wykrzykując i utknęli przy kamiennej poręczy w osobliwych pozach, jakby zamienili się w głazy.

Tegoż dnia przed wieczorem spadł ulewny, niezwykle zimny jak na tę porę roku deszcz. Drina wylała i zmaciły się jej fale. Nazajutrz wezbrana żółtawa woda wyrzuciła trupa Fatimy w płytkim zalewie koło Kalaty. Spozrzegł to jakiś rybak i zaraz doniósł mulazimowi³⁵. Wkrótce

³⁴ Feredża - długa zasłona na twarz noszona przez kobiety tureckie.

³⁵ Mulazim - komendant policji.

komendant przybył z wójtem, rybakiem i Salkiem Ciorkanem. Jako że bez Ciorkana nie mógł się obyć żaden taki wypadek.

Ciało leżało na miękkim, mokrym piasku. Fale opluskiwały je i od czasu do czasu zupełnie zalewały mętną wodą. Nowa feredża z czarnej materii, której woda nie zdołała zerwać, zawinęła się i przerzuciła przez głowę; splątana z długimi pasmami włosów stanowiła swoistą czarną plamę obok białych, bujnych kształtów dziewczęcych, z których wartki prąd zdarł i potargał na strzępy cienkie szaty weselne. Posępni, z zaciśniętymi szczękami, Ciorkan i rybak weszli do wody, ujęli nagą dziewczynę ostrożnie i w zakłopotaniu, jakby była żywa, wydobyli ją z mokrego piasku, w który poczęła zapadać, wynieśli na brzeg i tu nakryli mokrą, pełną mułu feredżą.

Tego samego dnia topielica została pochowana na najbliższym cmentarzu tureckim u podnóża stromego zbocza, na którym wznosi się Welji Ług. O zmierzchu zebrali się gapie w gospodzie wokół rybaka i Ciorkana z ową niezdrową i obrzydliwą ciekawością, cechującą szczególnie ludzi, których życie jest puste, pozbawione wszelkiego piękna i ubogie we wzruszenia i przeżycia. Stawiali im gorzałkę i częstowali tytoniem, żeby usłyszeć szczegóły o trupie i pogrzebie. Ale nic nie pomagało. Wódka też nie mogła rozwiązać ich języków. Nawet Ciorkan nic nie mówił. Ćmił bez przerwy i jedynym błyszczącym okiem śledził kłęby dymu. Od czasu do czasu spoglądali na siebie ci dwaj, Ciorkan i rybak, w milczeniu jednocześnie podnosili kieliszki, jakby niewidocznie trącali się i duszkiem je wychylali.

Taki był przebieg tego niezwykle, niepamiętnego zdarzenia na kapii. Welji Ług nie zszedł do Nezuke i Fata córka Awdagi nie wyszła za mąż za Hamzicia.

Awdaga Osmanagic nie zaglądał już do kasaby. Zmarł tejże zimy zaduszony kaszlem, z nikim nie zamieniwszy ani jednego słowa o strapieniu, które wpędziło go do grobu.

A następnej wiosny Mustajbej Hamzić ożenił jedynaka z inną dziewczyną - z Brankowic.

Ludziska w kasabie jeszcze jakiś czas opowiadali sobie o tym wydarzeniu, a potem z wolna jęli zapominać. Została tylko pieśń o dziewczynie, która urodą i mądrością przewyższała wszystko, jakby nieprzemijająca była.

IX

W siedemdziesiąt lat po powstaniu Karadziordzia znów wybuchła wojna w Serbii, a granica od razu odpowiedziała rozruchami. Znowu puszczano z dymem tureckie i serbskie domy po górach w Zlijebie, Gostilji, Crncziciach i Weletowie.

Po raz pierwszy od tylu lat znów pojawiły się na kapii głowy straconych Serbów. Były to chude, krótko strzyżone łby chłopów o spłaszczonych potylicach, kościstych twarzach i długich wąsiskach, jakby te same sprzed siedemdziesięciu lat. Ale to wszystko nie trwało długo. Ledwo

skończyła się wojna Turcji z Serbią, ludzie zaraz się uspokoili. Co prawda był to pozorny spokój, pod którym kryło się wiele strachu, podniecających wieści i frasobliwych szeptów. Coraz wyraźniej i jawniej mówiono o wkroczeniu wojsk austriackich do Bośni. Z początkiem lata 1878 roku przemaszerowały przez kasabę jednostki regularnego wojska tureckiego w drodze z Sarajewa do Priboju.

Utrzymywano, że sułtan oddaje Bośnię bez walki. Kilka rodzin zamierzało przenieść się do Sandzaku; wśród nich byli też tacy, którzy trzynaście lat temu zjechali z Użic, nie chcąc żyć pod panowaniem serbskim, a teraz znowu szykowali się do ucieczki przed innym, nowym chrześcijańskim panem. Większość jednak została, czekając na wypadki w przykrej niepewności i pozornej obojętności.

W pierwszych dniach lipca nadciągnął mufti z Plewlja na czele garstki ludzi, lecz z mocnym postanowieniem zorganizowania na terenie Bośni oporu przeciwko Austriakom. Poważny, jasnowłosy mężczyzna o spokojnym wejrzeniu, ale gorącym sercu, siedział na kapii, gdzie w piękny letni dzień zgromadził co znamienitszych Turków z kasaby i usiłował ich zagrać do walki z austriackim najeźdźcą. Zapewniał, iż większość regularnych wojsk wbrew oficjalnym rozkazom pozostanie, żeby wraz z narodem stawiać opór nowemu zaborcy, i wzywał, aby natychmiast przyłączyli się do niego wszyscy młodszy ludzie, a także aby mu posyłano żywność do Sarajewa. Mufti wiedział, iż wyszegradzianie nigdy nie cieszyli się opinią zapalonych wojowników i że wolą raczej szaleńczo żyć niż szaleńczo ginąć, mimo to zaskoczyła go powściągliwość i brak zapału, z jakim się spotkał. Nie mogąc dłużej tu pozostać, zagroził im sądem ludowym i gniewem Bożym i pozostawił swego zastępcę Osmana efendiego Karamanliję z zadaniem dalszego przekonywania wyszegradzkich Turków o konieczności ich udziału w ogólnonarodowym powstaniu.

Jeszcze podczas rozmów z muftim największy opór stawiał Alihodża Mutewelić. Ród jego był jednym z najstarszych i najznamienitszych w kasabie. Nigdy nie wyróżniał się wielkim majątkiem, ale za to uczciwością i szczerością. Z dawien dawna Muteweliciowie uchodzili za ludzi upartych, ale nieczułych na łapówki, pogróżki, pochlebstwa albo jakiegokolwiek inne niskie pobudki czy względy. Od przeszło dwustu lat najstarszy przedstawiciel ich rodu pełnił obowiązki mutewelii - stróża i zarządcy posiadłości Mehmedpaszy w kasabie. Opiekował się słynnym Kamiennym Zajazdem przy moście. Widzieliśmy, jak zbiegiem okoliczności Kamienny Zajazd stracił dochody płynące na jego utrzymanie i jak zrzędzeniem losu obrócił się w ruinę, a z puścizny wezyra został tylko most jako publiczne dobro niewymagające specjalnych kosztów, ale i nie przynoszące dochodu.

Pozostało także Muteweliciom w spadku ich nazwisko rodowe jako dumna pamiątka po urzędzie, który przez tyle lat zaszczytnie piastowali. Urząd właściwie przestał istnieć jeszcze w owych czasach, gdy Daut-hodża padł w walce o utrzymanie Kamiennego Zajazdu, ale została duma, a wraz z nią wrodzone przyzwyczajenie, że oni, Muteweliciowie, mimo wszystko uważają, iż są powołani opiekować się mostem i jakimś sposobem odpowiedzialni za jego losy, jako że most przynajmniej architektonicznie stanowił część składową wielkiego i pięknego majątku, którym oni zarządzali, a który tak żałośnie podupadł i w ruinę się zamienił. Przyjął się jeszcze jeden od niepamiętnych czasów zwyczaj w ich rodzie, a mianowicie, że przynajmniej jeden z każdego pokolenia Muteweliciów uczęszcza do szkół i jest duchownym. Teraz był nim Alihodża. Poza tym bardzo podupadli, tak pod względem liczebności, jak majątku. Zostało im jeszcze kilku dzierżawców i jeden sklep, który z dawien dawna mieli w czarszii, w najlepszym punkcie kasaby, na rynku opodal mostu. Dwaj starsi bracia Alihodży zginęli na wojnach, jeden poległ w Rosji, a drugi w Czarnogórze.

Alihodża jest jeszcze młodym mężczyzną, żywym, jowialnym, rasowym. Jako nieodrodny Mutewelić zawsze we wszystkich sprawach miał odrębne zdanie, zawzięcie go bronił i uparcie przy swoim obstawał. Wskutek swej prostolinijności i samodzielności w poglądach często popadał w zatarg z miejscowym duchowieństwem i starszyzną. Posiadał tytuł i stanowisko hodży, ale nie pełnił żadnych obowiązków ani nie miał żadnych dochodów z tej racji. Dla zachowania tym większej niezależności, osobiście prowadził sklep odziedziczony po ojcu.

Podobnie jak większość wyszegradzkich muzułmanów, Alihodża był przeciwny oporowi zbrojnemu. W jego wypadku nie mogło być mowy ani o tchórzostwie, ani o obojętności religijnej. Tak samo jak mufti czy którykolwiek z buntowników nienawdził wkraczającej obcej potęgi chrześcijańskiej i wszystkiego, co mogła z sobą przynieść. Ale widząc, że sułtan rzeczywiście wydał Bośnię na łup Szwabów, i znając swoich ziomków, sprzeciwiał się niezorganizowanej walce zbrojnej, która mogła pociągnąć za sobą porażkę i zło zamienić w większą klęskę. A gdy raz skryształizował się w jego umyśle taki pogląd, otwarcie wyznawał go i zapamiętale bronił. I tym razem również zadawał drastyczne pytania i czynił dowcipne uwagi, które w największe zakłopotanie wprawiały muftiego. Tym sposobem bezwiednie podtrzymał w sercach wyszegradzian, którzy i tak nie byli skorzy do walki ani zbyt skłonni do poświęceń, ducha jawnego oporu przeciwko wojowniczym planom muftiego.

Gdy Osman efendi Karamanlija pozostał, aby kontynuować rozmowy z mieszkańcami Wyszegradu, znalazł przeciwnika w osobie Alihodży. Kilku bejów i agów, którzy przeżuwali słowa i wazyli wypowiedzi, a w gruncie rzeczy całkowicie podzielali zdanie Alihodży, pozwalało, by otwarty i gwałtowny hodża zagalopowawszy się, ścierał się z Karamanliją.

O zmierzchu Turcy wyszegradzcy ze skrzyżowanymi nogami zasiedli wokół kapii podług starszeństwa. Wśród nich Osman efendi, wysoki, chudy, blady mężczyzna. Każdy mięsień na jego twarzy jest jakoś nienaturalnie napięty, oczy pałają gorączkowo, a czoło i policzki ma pokiereszowane bliznami.

Przed nim stał rumiany, niski, prawdomówny i przekorny Alihodża i swym piskliwym dyszkantem zadawał coraz to nowe pytania. Jakie są siły? Dokąd się idzie? Z jakimi środkami? W jaki sposób? Cel? A co w razie niepowodzenia?

Chłodna, prawie złośliwa drobiazgowość, z jaką hodża roztrząsał te kwestie, maskowała tylko jego zatroskanie i rozpacz z powodu chrześcijańskiej przewagi oraz oczywistej tureckiej niemocy i bezhołowania. Ale fanatyczny, zasepiony Osman efendi nie był człowiekiem, który by potrafił takie rzeczy spostrzec i zrozumieć. Gwałtowna i popędliwa natura, fanatyk o chorych nerwach, szybko tracił cierpliwość i równowagę, rzucając się na każdy przejaw wątpliwości i wahania, jakby chodziło o samych Szwabów. Drażnił go hodża, odpowiadał mu więc z hamowanym gniewem, zbywał ogólnikami i wielkimi słowami.

Idzie się, dokąd trzeba, i z tym, czym się rozporządza. Grunt, żeby kraju nie oddać wrogowi bez walki, a kto dużo pyta, utrudnia sprawę i pomaga nieprzyjacielowi. W końcu na każde pytanie hodży z ledwo ukrywaną pogardą rzucał zajadłe odpowiedzi: „Nadeszła pora, trzeba ginąć”, „Życie oddamy”, „Zginiemy wszyscy jak jeden mąż”.

- Ach tak! - przerywał hodża. - A ja myślałem, że wy chcecie wypędzić Szwabów z Bośni i po to nas werbujecie.

Jeśli chodzi o to, żeby ginąć, potrafimy to zrobić, efendi i bez ciebie. Nic łatwiejszego, jak zginąć.

- Ale widzę, że ty nie masz na to ochoty - przerwał mu surowo Karamanlija.

- A ja widzę, że ciebie świerzbi skóra - odciął ostro hodża - tylko nie wiem, na co ci kompania do tej chybionej imprezy.

Tu rozmowa zamieniła się w ordynarną kłótnię; Osman efendi nazwał Alihodżę Wlahem zdrajcą, jednym z owych zdrajców, których łby, podobnie jak wlaszkie czerepy, powinny sterczeć na tej kapii, a hodża wciąż nieustraszenie piłował go, zapamiętane doszukując się przyczyn i dowodów, jakby był głuchy na groźby i obelgi.

Doprawdy trudno było znaleźć dwóch gorszych rozmówców i bardziej nieodpowiednich ludzi. Nie można było spodziewać się po nich nic innego, tylko zwiększenia ogólnego zamętu i wywołania jeszcze jednego zatargu. Było to pożałowania godne, ale nie dało się zmienić, jako że czasu wstrząsów społecznych i wielkich, nieuniknionych przemian zwykle wypływają na

powierzchnię tacy ludzie i, słabego zdrowia czy jednostronni, prowadzą sprawy źle i manowcami. Jest to także jeden z objawów zamętu.

A jednak bejom i agom była na rękę ta czcza kłótnia, gdyż dzięki temu kwestia ich udziału w powstaniu została nierozstrzygnięta, a oni sami zwolnieni z obowiązku składania bezpośredniej deklaracji. Nazajutrz dygocąc z wściekłości i głośno się odgrając, Osman efendi pociągnął z kilkoma swymi ludźmi za muftim do Sarajewa.

Nadchodzące w ciągu tego miesiąca wieści coraz bardziej utwierdzały agów i bejów w ich oportunistycznym przekonaniu, że lepiej pilnować swej kasaby i domowych pieleszy. W połowie sierpnia Austriacy wkroczyli do Sarajewa. Wkrótce potem rozegrała się tragiczna bitwa na Glasincu. Był to jednocześnie kres wszelkiego oporu. Stromym gościńcem z Lijeski, poprzez Okolizte, zaczęły ścierać do kasaby niedobitki wojsk tureckich. Żołnierze armii regularnej, którzy wbrew rozkazowi sułtana przyłączyli się na własną rękę do powstańców, szli razem z tutejszymi ochotnikami. Żołnierze prosili tylko o chleb i wodę, rozpytując o drogę do Uwca, ale powstańcy byli rozgoryczeni i zaczepni, niezłamani porażką. Szerniali, zakurzeni, obdarci, gniewnie odpowiadali na pytania pokojowo usposobionych Turków wyszegradzkich i zabierali się do sypania szanów i obrony przeprawy na Drinie.

I znów wyróżnił się Alihodża; bezwzględnie i niezmordowanie dowodził, że tej kasaby nie można bronić i że obrona jej jest nonsensem, skoro „Szwab przeciął Bośnię od końca do końca”.

Powstańcy sami to widzieli, ale nie chcieli przyznać, gdyż drażnili ich i prowokowali ci czysto ubrani, dobrze odżywieni ludzie, którym ocalały domy i mienie, trzymający się przezornie i tchórzliwie z dala od powstania i walk. Wtem pojawił się znany już nam Osman efendi Karamanlija, nieprzytomny, bardziej jeszcze blady i chudy, jeszcze bardziej wojowniczy i zadyszany. Był to jeden z tych ludzi, dla których nie istnieją niepowodzenia. Mówił o oporze wszędzie i za wszelką cenę a także nieustannie powtarzał o konieczności umierania. Przed tym zapaleńcem wszyscy usuwali się i cofali, tylko nie Alihodża.

Dowodził napastliwemu Osman efendiemu bez cienia złości, kategorycznie i na zimno, że z powstaniem stało się to, co on mu przepowiedział na tej samej kopii przed miesiącem. Doradzał, aby wraz ze swymi ludźmi czym prędzej ruszył do Plevlji, z dwojga złego wybierając mniejsze. Hodża był teraz mniej gwałtowny, jakoś smętnie, współczująco uprzejmy dla Karamanlii jakby dla chorego. Jako że w głębi duszy, pod zewnętrzną maską przekory był wstrząśnięty nadchodzącą katastrofą. Był nieszczęśliwy i rozżalony, jak tylko może być prawowierny muzułmanin, dostrzegający niechybnie nadciągającą obcą potęgę, przy której prastary ład islamu długo się nie ostoja.

Z jego słów mimo woli biła maskowana rozpacz.

Na wszystkie obelgi Karamanlii odpowiadał niemal żałośnie:

- Cóż ty sobie myślisz, efendi, że mnie łatwo czekać, by tu na swojej ziemi ujrzeć Szwaba? Może my nie widzimy, co się święci i jakie czasy nadchodzą? Dobrze wiemy, co nas boli i co tracimy, dobrze wiemy. Jeśli chodzi tylko o to, żeby nam to wyjaśnić, szkoda było zachodu tu wracać, nie miałeś potrzeby ruszać się z Plewlija. Tych spraw, jak widzę, ty nie pojmujesz.

Gdybyś je rozumiał, nie uczyniłbyś tego, co zrobiłeś, ani nie gadałbyś tego, co mówisz. Gorsza to męka, efendi, niż sobie wyobrażasz; nie znam ja leku na nią, ale wiem, że nie w tym on jest, co ty nam doradzasz.

Ale Osman efendi głuchy był na wszystko, co nie sprzyjało jego głębokiej i szczodrej chęci stawiania oporu, toteż nienawidził tego hodźy tyle, co Szwabów, na których się porwał.

Tak to zawsze w obliczu przeważających sił wroga i wielkich klęsk występuje w każdym skazanym na zagładę społeczeństwie bratobójcza nienawiść i wzajemne spory. Próżno szukając innych obelg, wciąż nazywał Alihodźę zdrajcą i z przekąsem radził mu przechrzcić się, zanim wkroczą Szwaby.

- Moi dziadowie nie przechrzcili się, to i ja się nie przechrzczę. Ja, mój efendi, nie chcę ani ze Szwabem się chrzcić, ani z głupcem porywać się z motyką na słońce - odparł spokojnie hodźa.

Wszyscy co znamienitsi Turcy wyszegradzcy myśleli tak samo jak Alihodźa, lecz nie uważali za stosowne głośno wypowiadać swych poglądów, osobliwie nie tak ostro i bez osłonek. Bali się nadchodzących Austriaków, ale bali się także Karamanlii, który ze swoim oddziałem opanował kasabę. Dlatego zamykali się po domach i uchodzili na folwarki za miasto, a gdy nie dało się uniknąć spotkania z Karamanliją i jego ludźmi, wtedy spuszczały oczy i szukali zręcznej wymówki i jak najpewniejszego sposobu wykręcenia się.

Na placu przed ruinami karawan-seraju Karamanlija nieustannie wicował od rana do wieczora. Wiecznie uwijali się tu jego ludzie, przypadkowi przybysze, interesanci, przychodzili prosić o coś nowego pana kasaby, a także przechodnie prawie przemocą sprowadzeni przez powstańców, aby wysłuchali ich dowódcy. A Karamanlija gadał bez przerwy. Nawet gdy zwracał się do jednego człowieka, krzyczał, jakby miał przed sobą stu.

Był jeszcze bledszy, toczył oczami o wyraźnie pożółkłych białkach, a w kącikach ust pojawiała się biała piana. Jakiś mieszkaniec kasaby przypomniał mu muzułmańską legendę o szeh-Turhanii, który miał tu niegdyś zginąć, broniąc przeprawy na Drinie przed niewiernymi, a teraz spoczywa w mogile na przeciwnym brzegu powyżej mostu, ale niewątpliwie zmartwychwstanie w chwili, gdy pierwszy żołnierz gjaurski stanie na moście. Karamanlija kurczowo i namiętnie uczeplił się od razu tej klechdy, przytaczając ją jako niespodziewaną i rzeczowistą pomoc.

- Bracia, most ten jest puścizną wezyra. Napisano, iż potęga giaurów nigdy go nie przekroczy. Albowiem nie bronimy go my sami, lecz także ów „wybraniec”, którego kule się nie imają. Gdy nadciągnie nieprzyjaciół, powstanie ze swego grobu, stanie na środku mostu i rozłoży ręce, a Szwabom na jego widok drzeć poczną kolana i ze struchlałymi sercami nie będą mogli ruszyć się z miejsca. Bracia, Turcy, nie rozchodźcie się, ale wszyscy społem za mną na most!

Tak wykrzykiwał Karamanlija do zgromadzonych ludzi.

Sztywny, w czarnym, wytartym mintanie, rozkładając ramiona i pokazując jak to „wybraniec” będzie stał, podobny był do wyniosłego czarnego, wąskiego krzyża z zatkniętym na szczycie turbanem.

Wyszegradzcy Turcy znali legendę nawet lepiej niż Karamanlija, jako że każdy z nich tyle razy ją słyszał i sam opowiadał w dzieciństwie, ale nie okazywali najmniejszej chęci do utożsamiania życia z baśniami ani do liczenia na pomoc umarłych tam, gdzie żywi nie są w stanie pomóc. Alihodża, który nie opuszczał swego sklepu, ale któremu ludzie opowiadali, co się dzieje i mówi przed Kamiennym Zajazdem, smutnie i ze współczuciem tylko machnął ręką.

- Wiedziałem, że ten głupiec nie zostawi w spokoju ani żywych, ani umarłych! Allah selamet olsun!³⁶

A Karamanlija, bezsilny wobec prawdziwego wroga, wyładowywał swą wściekłość na hodży. Groził, krzyczał i zaklinał się, że zanim będzie zmuszony opuścić kasabę, przykuje upartego hodżę do kapii jak borsuka, aby tym sposobem przywitał Szwabów, z którymi sam nie chciał walczyć ani innym nie dał.

Spór ten przerwali Austriacy, pojawiając się na szczytach Lijeski. Wtedy okazało się, że istotnie nie można bronić kasaby. Jako ostatni opuścił miasto Karamanlija, zostawiwszy na placu przed karawan-serajem oba moździerze, które dotychczas stale włókł za sobą. Ale zanim się wycofał, spełnił swą groźbę. Rozkazał ordynansowi, z zawodu kowalowi, człowiekowi olbrzymiego wzrostu i ptasiego mózgu, związać Alihodżę i tak skrepowanego przykuć za ucho do owej dębowej belki, która została z dawnej strażnicy między dwoma kamiennymi stopniami na kapii.

W ogólnym zamieszaniu i trwodze, jaka zapanowała na rynku i wokół mostu, wszyscy słyszeli głośny rozkaz, ale nikt nie brał go dosłownie. Bo czegoż się nie mówi, jakich wielkich słów i ordynarnych przekleństw się nie słyszy w takich okolicznościach? Tak było i teraz. Najpierw rozkaz wydawał się zupełnie nieprawdopodobny. Raczej mógł być pogróżką, obelgą, czymś w tym rodzaju. Alihodża też nie traktował tego poważnie. Sam kowal, któremu kazano

³⁶ Pomóż nam, Boże! (tur.).

wykonać rozkaz, a który był zajęty zagważdzeniem mózdzierzy, jakby się wahał i zastanawiał. Ale rzucono myśl przykucia hodży do kapii, teraz więc ci podnieceni i rozgoryczeni ludzie rozważali widoki i możliwości dokonania lub niedokonania takiej zbrodni. Tak czy nie? Najpierw większości sprawa wydawała się taką, jaką była, bzdurną, ohydną, niemożliwą. Lecz w owych chwilach powszechnego zamętu trzeba było coś zrobić, coś wielkiego, niezwykłego, a tylko na to jedno można było się zdobyć.

A więc tak czy nie? Możliwość ta jakby coraz bardziej narastała i z minuty na minutę, z każdym gestem stawała się coraz bardziej prawdopodobna i naturalna. Dlaczegożby nie? Dwóch już trzyma hodżę, który nawet nie bardzo się broni. Wiązą mu ręce na plecach. Wszystko jest jeszcze dalekie od straszliwej i szalonej rzeczywistości. Ale też coraz jej bliższe. Kował, jakby nagle zawstydził się swej słabości i chwiejności, porwał za młot, którym przed chwilą zagważdzał armaty. Na myśl, że Szwabi są właściwie tuż-tuż, na pół godziny marszu od miasta, zdobył się na decyzję, gotów wykonać rzecz do końca. Z tej samej bolesnej myśli hodża czerpał swą przekorną obojętność na wszystko, a więc i na niezasłużoną, szaloną, haniebną karę.

Tym sposobem w ciągu kilku chwil stało się to, co w każdej z osobna wydawało się niemożliwe i nieprawdopodobne.

Nie było nikogo, kto by uważał tę rzecz za godziwą i możliwą, a jednak każdy po trochu przyczynił się do kaźni hodży, przykutego za prawe ucho do belki na kapii. A gdy wszyscy rozpierchli się przed wkraczającymi do kasaby Szwabami, hodża pozostał w tej przedziwnej, żalostnej i śmiesznej pozycji, skazany na nieruchome klęczenie, gdyż każdy, nawet najmniejszy ruch sprawiał mu ból i groził rozerwaniem ucha, które wydawało mu się ciężkie i wielkie jak góra. Krzyczał, ale nie było nikogo, kto mógłby go uwolnić, jako że wszystko, co żyje, pochowało się po domach albo rozbiegło po wsiach, w tej samej mierze bojąc się nadciągających Szwabów, co i wycofujących się powstańców. Miasto wyglądało jak wymarłe, a most był pusty, jakby śmierć wszystko na nim wymiotła. Nie ma żywych ani umarłych, by stanęli w jego obronie, tylko na kapii przykucnął nieruchomy Alihodża z głową przywartą do belki, jęcząc z bólu i w tej pozycji kując nowe dowody przeciwko Karamanlii.

Austriacy nadciągali powoli. Ich strażę przednie dostrzegły z przeciwległego brzegu przed karawan-serajem obok mostu dwa mózdzierze i natychmiast zatrzymały się, żeby poczekać na swoje działa górskie. Koło południa z zagajnika jęli ostrzeliwać opuszczony karawan-seraj, uszkodzili zajazd, i tak już nadgryziony zębem czasu, oraz porozbijali owe niezwykle piękne kraty w oknach, wykrojone z litego, miękkiego kamienia. Dopiero gdy obalili tureckie mózdzierze i przekonali się, że są porzucone i że nikt nie odpowiada, zaprzestali ognia i poczęli ostrożnie

podchodzić do mostu i kasaby. Wolnym krokiem, z karabinami gotowymi do strzału wkroczyli na kapiję węgierscy honwedzi.

Stanęli niepewnie przed skurczonym hodżą, który ze strachu przed kulami, ze świstem i hukiem przelatującymi nad jego głową, zapomniał na chwilę o bólu. Na widok nienawistnych żołnierzy z wymierzonymi karabinami począł jęczeć boleśnie, przeciągle, w nadziei, iż jest to język zrozumiały dla każdego.

To go uratowało. Podczas gdy jedni szli przez most naprzód krok za krokiem, inni pozostali przy nim, przyglądając mu się z bliska, nie mogąc zrozumieć jego położenia. Dopiero gdy nadszedł jakiś sanitariusz, znalazły się kleszcze, ostrożnie wyjęto gwóźdź, jeden z tych, jakimi się podkuwa konie, i uwolniono Alihodżę. Tak był zdrętwiały i zmęczony, że osunął się na kamienne stopnie, wciąż jęcząc i stękając. Sanitariusz posmarował mu ucho jakimś piekącym płynem. Przez łzy, jak w niezwykłym śnie przyglądał się hodża białej, szerokiej opasce na lewym ramieniu żołnierza, z dużym krzyżem z czerwonego płótna. Jedyne w gorączce zwidują się takie okropne i straszne wizje. Krzyż ten drgał i rozmazywał się we łzach i jak olbrzymia zjawia przesłaniał mu widok. Potem żołnierz założył mu opatrunek, a na bandażu wsadził turban. Z tak okręconą głową, zupełnie złamany, hodża wstał i trwał jakiś czas wsparty o kamienną poręcz. Z trudem się uspokajał i przychodził do siebie.

Naprzeciw po drugiej stronie kapii, tuż pod wyrytym w kamieniu tureckim napisem, jakiś żołnierz przyklepał białą płachtę papieru. Choć głowa pękała mu z bólu, nie mógł opanować wrodzonej ciekawości, aby nie rzucić okiem na plakat. Była to napisana w języku serbskim i tureckim odezwa generała Filipowicia do ludności Bośni i Hercegowiny z okazji wkroczenia wojsk austriackich do Bośni. Ze zmrużonym prawym okiem Alihodża sylabizował tylko tłoczone tłustym drukiem zdania tekstu tureckiego:

Mieszkańcy Bośni i Hercegowiny!

Wojsko Cesarza Austrii i Króla Węgier zamierza przekroczyć granice Waszego kraju.

Nie przychodzi ono jako nieprzyjaciel gwałtem kraj ten opanować. Przychodzi jak przyjaciel, aby położyć koniec złemu, które od wielu lat niepokoi nie tylko Bośnię i Hercegowinę, lecz także sąsiednie kraje Austro-Węgier.

Cesarz i Król nie mógł dłużej na to patrzeć, jak gwałty i niepokoje panowały w pobliżu Jego prowincyj, jak bieda i nędza pukać zaczęły do Jego państw.

Zwrócił więc uwagę państw europejskich na Wasze położenie i na Radzie narodów uchwalono jednomyślnie, aby Austro-Węgry powróciły Wam spokój i pomyślność, których już tak dawno nie używacie.

Jego Ces. Mość Sultan, ożywiony pragnieniem Waszego dobra, widział się zmuszonym powierzyć Was opiece swego potężnego przyjaciela, Cesarza i Króla.

Cesarz i Król rozkazuje, aby wszyscy synowie tego kraju równego na mocy ustaw używali prawa; aby broniono ich życia, wyznania i mienia.

Mieszkańcy Bośni i Hercegowiny!

Z ufnością udajcie się pod pełne chwały chorągwie Austro-Węgier.

Przyjmijcie naszych żołnierzy jako przyjaciół - bądźcie posłuszni władzy, podejmijcie na powrót Wasze zatrudnienie, a owoce Waszej pracy znajdą ochronę.

Hodża czytał urywkami, zdanie po zdaniu; nie każde słowo rozumiał, ale każde sprawiało mu ból, i to jakiś osobliwy, zupełnie inny niż ten, jaki odczuwał w zranionym uchu, w głowie, w krzyżu. Dopiero teraz, pod wpływem tych słów, „słów cesarskich”, nagle uświadomił sobie, że skończył się, że skończyli się wszyscy mu bliscy i wszystko, co jest ich, skończyło się raz na zawsze, lecz w jakiś dziwny sposób: oczy patrzą, usta mówią, człowiek żyje, ale życia, prawdziwego życia już nie ma.

Obcy cesarz położył na nich swoją rękę i obca wiara zapanowała. Wynika to wyraźnie z tych wielkich słów i mętnych zaleceń, a jeszcze wyraźniej z ołowianego bólu w piersiach, który jest gorszy i cięższy niż wszelki ludzki ból, jaki można sobie wyobrazić. I nawet tysiące takich półgłówków, jak ów Osman Karamanlija, nie są w stanie nic tu poradzić ani zmienić. (Tak to wciąż hodża spór wie dzie w duchu). „Wszyscy zginiemy!”, „A więc gińmy!”. Co wart cały ten hałas skoro ot, nadszedł czas, kiedy człowiek ni zginąć nie może do szczętu, ni żyć, ale gnije jak pał w ziemi i każdy mu przewodzi, tylko nie on sam sobie. Oto prawdziwa, wielka bieda, której różni Karamanlije nie dostrzegają i nie pojmują, a swoim brakiem zrozumienia pogłębiają ją tylko i czynią bardziej upokarzającą.

Pograżony w takich myślach zstępuje Alihodża wolno z mostu. Nawet nie spostrzega, że towarzyszy mu ów sanitariusz.

Nie tyle dolega mu ucho, ile owa ołowiana, pełna goryczy kula, co nagle po przeczytaniu „słów cesarskich” zapadła w serce.

Idzie wolno, a zda się mu, że już nigdy nie stanie na przeciwległym brzegu, że ten most - będący chlubą kasaby i od początku swego istnienia ściśle związany z jego rodem - na którym wyrósł i w cieniu którego żywo wie, niespodziewanie został zerwany pośrodku, tam przy kapii; że ta biała płachta szwabskiej odezwy przecięła go na pół jak bezgłośna eksplozja i rozwarła się w tym miejscu przepaść; że stoją jeszcze poszczególne filary po lewej i po prawej stronie tego wyłomu, ale nie ma przejścia, bo most nie łączy już dwóch brzegów; każdy więc musi zostać po wieczne czasy po tej stronie, po której w danej chwili się znalazł.

Wolno posuwa się Alihodża pogrążony w swych gorączkowych przywidzeniach i zachowuje się jak ciężko ranny, a oczy wciąż zachodzą mu łzami. Wlecze się, ociągając, niby chory żebrak, który po raz pierwszy przechodzi przez most i wkracza do obcego, nieznanego miasta. Ocknął się na dźwięk głosów. Mijali go jacyś żołnierze. Pośród nich dostrzegł pyzată, dobroduszną, drwiącą gębę tego z czerwonym krzyżem na ramieniu, który go odbił. Uśmiechając się wciąż, żołnierz pokazywał jego bandażę i pytał coś w niezrozumiałym języku.

Hodża pomyślał, że ofiarowuje mu jeszcze jakąś pomoc, nastroszył się i sposepniał.

- Nie trzeba, nie trzeba. Nic mi nie trzeba.

I raźniejszym, zwawszym krokiem ruszył do domu.

X

Uroczyście i oficjalnie wojska austriackie wkroczyły do miasta dopiero nazajutrz.

Nikt nie pamiętał jeszcze takiej ciszy w kasabie. Sklepów nie otwierano. Drzwi i okna pozamykane na cztery spusty, chociaż dzień sierpniowy był ciepły i słoneczny. Ulice puste, podwórza i ogrody jakby wymarłe. W domach tureckich przygnębienie i trwoga, w chrześcijańskich nieufność i czujność, ale wszędzie i we wszystkich sercach panuje strach.

Wkraczający boją się zasadzki. Turcy boją się Szwabów, a Serbowie Szwabów i Turków. Żydzi boją się wszystkiego i wszystkich, jako że osobiwie podczas wojny każdy jest silniejszy od nich. Wszyscy mają jeszcze pełne uszy wczorajszej strzelaniny. I gdyby ludzie słuchali tylko głosu swego strachu, nikt nie wychyliłby nosa z domu. Ale człowiek ma także innych panów nad sobą. Oddział austriacki, który wczoraj zajął kasabę, odnalazł mulazima i strażników. Dowódca tego oddziału pozostawił mulazimowi szpadę i rozkazał nadal pełnić służbę i utrzymywać porządek w mieście. Oświadczone mu, że pojutrze o pierwszej w południe przybędzie komendant-pułkownik oraz że u wejścia do miasta mają go powitać najznakomitsi ludzie kasaby, i to przedstawiciele wszystkich trzech wyznań. Siwy, zrezygnowany komendant policji wezwał natychmiast mułłę Ibrahima, muderisa Huseinagę, popa Nikołę oraz rabina Dawida Lewiego, oświadczył im, że oni „jako dostojnicy duchowni” mają nazajutrz w południe powitać na kapii w imieniu mieszkańców austriackiego komendanta i wprowadzić do miasta.

Na długo przed wyznaczoną godziną czterech „dostojników” spotkało się na opustoszałym rynku i wolnym krokiem ruszyło ku kapii. Tu już zastępca mulazima Salko Hedo z jakimś strażnikiem rozkładał duży, barwny dywan, pokrywając nim stopnie i środek kamiennej ławy, na której miał zasiąść dowódca. Postali tu jakiś czas, uroczyści i milczący, a widząc, że na białym gościńcu z Okolizta nie ma ani śladu komendanta, popatrzyli na siebie i, jakby się zmówili,

usiedli na nie zasłanej części ławy. Pop Nikola dobył skórzanego kapciucha i jął częstować współtowarzyszy.

Siedzieli więc na sofie jak za dawnych lat, gdy byli młodzi i beztroscy i gdy jak reszta młodzieży spędzali czas na kapii.

Tylko że teraz wszyscy czterej byli już dużo starsi. Pop Nikola i muła Ibrahim są starzy, a muderis i rabin to mężczyźni w sile wieku, odświętnie ubrani i zatroskani - każdy o siebie i o swoich. Patrzyli na się przeciągle; z bliska, w blasku letniego słońca, wydawali się sobie znacznie starszymi, niż byli w istocie, i zbyt wyniszczonymi. Przypominali sobie, jak każdy z nich wyglądał za młodu i w dzieciństwie, jak rośli koło tego mostu, każdy ze swoim pokoleniem, niby zielone drzewo, które nie wiadomo jak wybuja.

Ćmili fajki, co innego mówiąc, a co innego myśląc, spoglądali co chwila w stronę Okolizta, skąd miał przybyć komendant, od którego zależy teraz wszystko i z ręki którego może przyjść i dla nich, i dla ich ludzi, i dla całej kasaby dobro i zło, spokój i nowe niebezpieczeństwo.

Pop Nikola ze wszystkich czterech był niewątpliwie najspokojniejszy i najbardziej opanowany, przynajmniej tak się wydawało. Był to starzec przeszło siedemdziesięcioletni, ale czerstwy i krzepki. Syn to był słynnego popa Mihaila, którego Turcy zasiekli na tym samym moście; miał burzliwą młodość. Kilkakrotnie przekradał się do Serbii, uciekając przed nienawiścią i zemstą niektórych Turków. Jego nieokiełznany temperament i buta budziły w nich złość i żądzę odwetu. Ale gdy minęły niespokojne lata, syn popa Mihaila objął ojcowską parafię, ożenił się i ustatkował. Były to stare, zapomniane już dzieje. („Od dawna poszedłem po rozum do głowy, a i nasi Turcy pofolgowali” - zwykł mawiać pop Nikola żartobliwie).

Swoją rozległą, rozproszoną i uciążliwą parafią na granicy pop Nikola pięćdziesiąt już lat kieruje spokojnie, mądrze, bez innych większych wstrząsów i kłopotów prócz tych, jakie życie samo przez się przynosi, z oddaniem sługi i godnością władcy, zawsze prawy i jednakowy w stosunku do Turków, ludu i starszyny.

Ani przedtem, ani potem żadne środowisko i żadne wyznanie nie miało człowieka cieszącego się tak ogólnym szacunkiem i wywierającego taki wpływ na wszystkich mieszkańców kasaby bez względu na wyznanie, płeć i wiek, jak ów pop, którego z dawien dawna wszyscy nazywali Dziadkiem. Dla całej kasaby i dla całego powiatu był uosobieniem serbskiej Cerkwi i wszystkiego, co naród nazywa i uważa za chrześcijaństwo. Co więcej, ludzie widzą w nim wzór kapłana i w ogóle takiego zwierzchnika, jakiego w tej kasabie i w takich warunkach sobie wyobrażają.

Był to starzec wysokiego wzrostu i niezwyklej siły, niedużego wykształcenia, ale wielkiego serca, zdrowego rozumu, pogodnego i niezależnego ducha. Uśmiech jego rozbraja, koi, dodaje

otuchy; jest to nieopisany i bezcenny uśmiech krzepkiego, szlachetnego człowieka, będącego w zgodzie z samym sobą i otaczającym go światem; jego duże, zielone źrenice zwięzają się wtedy w wąską, ciemną szparkę, z której strzelają złociste iskierki. Takim pozostał do późnej starości. W swej długiej lisiej szubie, z dużą ryżą brodą, którą z biegiem lat czas posrebrzył, a która zasłania mu całą pierś, w ogromnej kamilawce na bujnych włosach splecionych na karku w gruby warkocz wsunięty pod nią, przechodził przez miasto, jakby był kapłanem tej kasaby przy moście i całej tej górzystej krainy, i to nie dopiero od pięćdziesięciu lat i nie tylko w swej cerkwi, ale od prawieków, od zamierzchłych czasów, kiedy ludzie nie byli jeszcze rozdarci pomiędzy dzisiejsze religie i Kościoły. Ze sklepów po obu stronach ulicy witają go kupcy bez względu na wyznanie. Kobiety usuwają się i, stojąc z pochylonymi głowami, czekają, aż Dziadek przejdzie. Dzieci (nawet żydowskie) zaprzestają zabaw i krzyków, a starsze spośród nich uroczyście i lękliwie podchodzą do ogromnej, ciężkiej prawicy Dziadka, by na chwilę odczuć, jak na ich ostrzyżone główki i zarumienione policzki spływa niby błoga, przyjemna rosa jego silny, wesoły głos:

- Bywaj! Bywaj! Bywaj, synku!

Ów akt hołdu dla Dziadka należał do powszechnego, z dawna uznanego ceremoniału, z którym przychodziły na świat pokolenia mieszkańców kasaby.

Ale życie popa Nikoli nie było pozbawione ciemnej strony.

Małżeństwo jego pozostało bezdzielne. Niewątpliwie była to przykra sprawa, ale nikt nie pamięta, aby z ust jego lub popadii padło słowo skargi albo by dostrzegł żal w ich oku. Zawsze mieli u siebie po dwoje przybranych dzieci ze wsi, z jego lub jej rodziny. Dzieci te przebywały pod ich dachem do zamęścia albo ożenku, a potem znów przyjmowali inne.

Obok popa Nikoli siedział mułła Ibrahim. Wysoki, szczupły, zwawy staruszek o rzadkiej bródce i obwisłych wąsach, niewiele młodszy od popa Nikoli, miał liczną rodzinę i piękny mająteczek odziedziczony po ojcu, ale był tak nieporządny, chudy i bojaźliwy, o dziecinnie niebieskich i bystrych oczkach, że wyglądał raczej na jakiegoś ascetę i pobożnego ubogiego pątnika niż wyszegradzkiego hodżę i potomka zacnego rodu. Mułła Ibrahim miał jedną wadę: jąkał się długo i nieprzyjemnie.

(„Trzeba mieć sporo wolnego czasu, żeby wdawać się w rozmowę z mułłą Ibrahimem” - żartowali mieszkańcy kasaby). Ale mułła Ibrahim szeroko słynął ze swej dobroci i uczciwości. Cała jego postawa tchnęła łagodnością i pogodą, a przy pierwszym zetknięciu z nim każdy zapominał i o jego powierzchowności, i o jakananiu. Lgnęli do niego chorzy, biedni, strapieni. Z najbardziej odległych wsi ściągali doń ludzie po radę. Przed jego domem zawsze ktoś na niego czekał. Mężczyźni albo kobiety potrzebujący rady lub pomocy zatrzymywali się często na ulicy. Nigdy nikogo nie odprowadzał z kwitkiem, ale też nie dawał obyczajem innych hodżów drogich

amuletów i talizmanów. Zaraz siadał opodal w najbliższym cieniu albo na najbliższym kamieniu, a każdy szeptem zwierzał mu się ze swych trosk; mułła Ibrahim, wysłuchawszy go uważnie i ze współczuciem, powiadał kilka serdecznych słów, zawsze znajdując możliwie najlepszą radę, albo sięgnawszy chudą ręką do głębokiej kieszeni swego dzube³⁷ i oglądając się, czy kto nie widzi, wsuwał mu pieniądz do garści.

Nie istniały dlań rzeczy trudne, odrażające, niemożliwe, gdy chodziło o udzielenie pomocy jakiemuś muzułmaninowi. Na to zawsze umiał znaleźć czas i pieniądze. Nawet jąkanie nie przeszkadzało mu, gdyż szepcząc ze swym wyznawcą o kłopotach, zapominał o jąkaniu. Od niego odchodził każdy, jeśli nie zupełnie pocieszony, to przynajmniej chwilowo pokrzepiony, wiedząc, iż jego mękę ktoś odczuł i zrozumiał jak swoją własną.

Wiecznie w kręgu cudzych zmartwień i potrzeb, nigdy nie myśląc o sobie, spędził swe życie - przynajmniej tak mu się zdawało - w zdrowiu, szczęściu i dobrobycie.

Wyszegradzki muderis Husein efendi był niskim, zażywnym, młodym jeszcze, dobrze ubranym i wypielęgnowanym mężczyzną. Czarną, krótką bródkę wokół białej, rumianej twarzy o okrągłych, czarnych oczkach miał starannie przyciętą.

Wykształcony, umiał dużo, uchodził za znawcę wielu rzeczy, ale sam uważał, że umie jeszcze więcej. Lubi mówić, a także lubił, żeby go słuchano. Wyobrażał sobie, że jest krasomówcą, i przeświadczenie to sprawiało, iż przemawiał często i chętnie.

Wyrażenia dobierał starannie, z lubością, w miarę posługiwał się gestem, trzymając obie białe, delikatne ręce o różowych paznokciach, porośnięte gęstymi, krótkimi czarnymi włoskami, z lekka wzniesione na tę samą wysokość. Krygował się jak przed lustrem. Miał największą bibliotekę w kasabie - okuty i zamknięty na cztery spusty kufer pełen książek, które na łożu śmierci pozostawił mu w spadku jego nauczyciel, słynny Arabhodża, a których on nie tylko pilnie strzegł przed kurzem i molami, ale sam z rzadka i skąpo je czytał. Jednakże sama świadomość, że jest posiadaczem tylu i tak cennych ksiąg, podnosiła jego znaczenie w oczach ludzi, którzy nie wiedzą, co to jest książka, a także podnosiła jego wartość we własnych oczach. Powszechnie było wiadome, iż pisze kronikę najważniejszych wydarzeń w kasabie. Fakt ten uroił mu reputację uczonego i niezwykłego człowieka, gdyż uważano, że jakimś sposobem ma w ręku opinię całej kasaby i każdego z osobna.

W gruncie rzeczy kronika ta nie była ani obszerna, ani groźna.

Od pięciu czy sześciu lat, odkąd muderis ją spisuje, zajęła zaledwie cztery stroniczki niedużego zeszytu. Większość bowiem wydarzeń w kasabie muderis nie uważał za dostatecznie

³⁷ Dżube - długa wierzchnia szata.

ważne ani godne jego kroniki, nie dziw więc, że pozostała pusta, czcza i sucha jak zarozumiała stara panna.

Czwartym spośród „dostojników” był Dawid Lewi, wyszegradzki rabin, wnuk słynnego starego rabina Hadzi Liaczy, który zostawił mu w puściznie imię, pozycję i mienie, ale ani odrobiny ze swego ducha i swej pogody.

Był to młody, drobny, blady mężczyzna o brązowych, aksamitnych, smutnych oczach, nad wyraz lękliwy i małowówny.

Rabinem został dopiero niedawno, niedawno też się ożenił.

Pielęgnował brodę i wąsy, a dla przydania sobie znaczenia i powagi nosił obszerny, bogaty ubiór z ciężkiego, pięknego sukna, ale pod tym odzieniem wyczuwało się mdłe ciało zmarzlaka, a pod czarną rzadką brodą dostrzec można było chorowity, młodzieńczy owal twarzy. Ilekroć przychodziło mu występować wobec ludzi oraz uczestniczyć w rozmowach i decyzjach, okropnie cierpiał, wciąż czując się małym, słabym i niedorośłym.

Teraz siedzieli na słońcu i pocili się wszyscy czterej w odświętnych ubraniach, przejęci i zatroskani bardziej, niż to chcieli pokazać.

- Zapalmy jeszcze po jednym cybuchu! Mamy czas, jak babcię kocham, przecie nie jest ptakiem, żeby sfrunął na kapiję - odezwał się pop Nikola jak ktoś, kto od dawna nauczył się żartem przysłać troski i prawdziwe myśli, własne i cudze.

Wszyscy popatrzyli w stronę Okolizta i sięgnęli po tytoń.

Rozmowa wlokła się wolno i ostrożnie, wciąż kręcąc się wokół powitania komendanta. Wszystko sprowadzało się do tego, że pop Nikola powinien wystąpić z mową powitalną.

Z zsuniętymi brwiami i zmrużonymi powiekami, tak że oczy tworzyły ciemną szparkę, strzelającą złocistymi iskierkami, jakby w uśmiechu, pop przyglądał się swym współtowarzyszom długo, uważnie i w milczeniu.

Młody rabin umierał ze strachu. Nie miał siły wydmuchiwać daleko kłębow dymu, toteż snuł się długo wokół jego wąsów i brody. Muderis nie był ani trochę mniej przerażony.

Dzisiejszego rana opuściła go niespodziewanie cała wymowa i godność uczonego. Nawet w przybliżeniu nie zdawał sobie sprawy ze swego zdenerwowania i przestraszenia, jako że wysokie mniemanie, jakie miał o sobie, nie pozwalało mu uwierzyć w coś podobnego. Usiłował wygłosić jedną ze swych kwiecistych mów z towarzyszeniem miarowych, wymownych gestów, ale jego piękne ręce same opadały na kolana, a słowa plątały się i rwały. Sam nie mógł się nadziwić, gdzie się podziało jego dawne poczucie godności, i cały czas męczył się, daremnie szukając go jak rzeczy, do której od dawna przywykł, a którą teraz, kiedy najbardziej była mu potrzebna, gdzieś zapodział.

Muła Ibrahim był nieco bledszy niż zwykle, ale spokojny i opanowany. Od czasu do czasu spoglądali na siebie z popem Nikołą porozumiewawczo. Z młodzieńczych lat dobrze się znali i przyjaźnili, o ile w owych czasach można było mówić o przyjaźni między Turkiem i Serbem. Gdy pop Nikola w młodości miewał owe swoje „zadziory” z wyszegradzkimi Turkami, musiał ukrywać się i uciekać, oddał mu wtedy jakąś przysługę muła Ibrahim, którego ojciec był bardzo wpływowym człowiekiem. Później, kiedy nastąpiły spokojniejsze czasy dla kasaby, a stosunki między obu wyznaniem ułożyły się znośniej, obaj byli w wieku dojrzałym, zaprzyjaźnili się i żartobliwie nazywali się „sąsiadami”, chociaż domy ich stały w dwóch przeciwległych krańcach kasaby. Czasu suszy, powodzi albo innych klęsk, jakie nawiedzały kasabę, zawsze byli na posterunku, każdy wśród swego ludu. Ilekroć spotykali się na Mejdanie albo w Okolisztu, witali się serdecznie, jak nigdzie pod słońcem nie wita się pop z hodzą. Wtedy pop Nikola często zwykł wskazywać cybuchem na kasabę leżącą w dole nad rzeką i mawiać pół żartem, pół serio:

- To wszystko, co tam dyszy i pełza, a ludzkim głosem gada, ty i ja mamy na sumieniu.

- Ano tak, sąsiedzie - przytakiwał muła Ibrahim - zaiste mamy na sumieniu!

(A mieszkańcy kasaby, którzy umieją wszystko i wszystkich wyśmiać, powiadają o zaprzyjaźnionych ludziach: „Żyją jak pop z hodzą”. Było to przysłowiowe powiedzonko).

Obecnie też dobrze się rozumieli, chociaż nie zamienili ani słowa ze sobą. Pop Nikola wiedział, jak ciężko jest mulle Ibrahimowi, a muła Ibrahim, że popu Nikoli nie jest łatwo.

I spoglądali na siebie, jak tyle razy w życiu, w tylu przeróżnych okazjach; jak dwaj ludzie, którzy dźwigają na swym sumieniu losy wszystkich dwunożnych stworzeń w kasabie, jeden z tych, co żegnają się znakiem krzyża, a drugi tych, co pokłony biją.

Wtem rozległ się tętent. Przygalopował żandarm na małym koniku. Zdyszany i przestraszony, z daleka wołał jak herold:

- Jedzie pan komendant! Jedzie na białym koniu!

Znalazł się też tu zaraz mulazim, jednako spokojny, jednako uprzejmy i małomówny.

Na drodze wiodącej z Okolisztu wzbijały się tumany kurzu.

Ci ludzie, zrodzeni i wyrosli w tym zapadłym kącie Turcji, i to chylącej się do upadku Turcji dziewiętnastowiecznej, nigdy nie mieli - rzecz prosta - okazji poznać prawdziwego, silnego i dobrze zorganizowanego wojska jakiegoś mocarstwa. Dotąd widywali zdekompletowane, źle odżywione i marnie wyposażone, nieregularnie opłacane jednostki armii sułtańskiej albo - co gorsza - przemocą pozbierane oddziały bośniackich baszybuzuków bez dyscypliny i zapału. Teraz po raz pierwszy zjawiała się przed nimi najprawdziwsza „potęga i orda” imperium, zwycięska, lśniąca i pewna siebie. Widok takiego wojska musiał ich oślepić i po prostu oszołomić. Już od pierwszego rzutu oka po uprząży i każdym guziku żołnierza można było wyczuć za tymi

paradnymi huzarami i strzelcami głębokie i zasobne zaplecze, siłę, ład i dobrobyt jakiegoś innego świata. Wrażenie i zdumienie było ogromne.

Na przedzie jechali dwaj trębacze na spasionych bułankach, dalej oddział huzarów na karych koniach. Konie lśniły czystością i przebiegały nogami drobno a powściągliwie jak panny.

Huzarzy w czerwonych czakach i z złotym szamerunkiem na piersiach, rumiani i opaleni młodzieńcy z podkreślonymi wąsikami, wyglądali zdrowo i świeżo, jakby wyszli prosto z koszar.

Za nimi jechało sześciu oficerów z pułkownikiem na czele.

Oczy wszystkich były zwrócone ku niemu. Jego srokacz o niezmiernie długiej, wygiętej szyi był wyższy od pozostałych koni.

W pewnej odległości za oficerami postępowała kompania piechoty, strzelców w zielonych mundurach z piórami na skórzanych czakach i białych, skrzyżowanych na piersiach pasach.

Zamykali pochód i wyglądali jak ruchomy las. Trębacze i huzarzy przejechali obok kapłanów i mulazima, zatrzymali się na rynku i ustawili po bokach.

Błdzi i zdenerwowani ludzie na kapii stanęli pośrodku mostu, zwróceni twarzami do nadjeżdżających szarzy. Jeden z młodszych oficerów podjechał do pułkownika i coś mu powiedział. Wszyscy przeszli w stępa. Na kilka kroków przed „dostojnikami” pułkownik nagle zatrzymał konia, zsiadł, to samo jak na komendę uczynili oficerowie. Podbiegli żołnierze, ujęli konie za uzdy i odprowadzili kilka kroków do tyłu.

Komendant, ledwo dotknął ziemi stopami, zmienił się nie do poznania. Był mały, niepokazny, zmordowany, odpychający i groźny. Jakby tylko on jeden i za wszystkich wojował.

Dopiero teraz było widać, jak w odróżnieniu od swoich białoliczych i opiętych oficerów jest skromnie ubrany, zaniedbany i opuszczony. Uosobienie zaharowanego człowieka, który sam się zżera. Twarz ogorzała, zarośnięta, oczy mętne i rozbiegane, a wysoka czapka wsadzona z lekka na bakier. Mundur wymięty, za obszerny na jego chudą postać. Na nogach miał buty o niskich, miękkich cholewach bez połysku. Szeroko rozstawiając nogi i wywijając szpicrutą, podszedł bliżej. Jakiś oficer raportował, wskazując na stojących przed nim ludzi.

Pułkownik obrzucił ich krótkim, ostrym, gniewnym spojrzeniem człowieka wiecznie zapracowanego i narażonego na niebezpieczeństwo. Od razu rzuciło się w oczy, iż on nawet nie umie inaczej patrzeć.

W tej chwili przemówił pop Nikola spokojnym, głębokim głosem. Pułkownik podniósł głowę i zatrzymał wzrok na twarzy rosłego starca w czarnej sutannie. To szerokie spokojne oblicze biblijnego patriarchy przykuło na chwilę jego uwagę.

Można było nie rozumieć czy nie dosłyszeć słów starca, ale nie sposób było nie zapamiętać jego twarzy. A pop Nikola mówił płynnie, naturalnie, zwracając się raczej do młodego oficera,

który miał tłumaczyć jego słowa, niż do pułkownika. W imieniu obecnych kapłanów wszystkich wyznań zapewniał dowódcę o gotowości podporządkowania się wraz z narodem wkraczającemu wojsku i uczynienia wszystkiego, co jest w ich mocy, dla zachowania wymaganego przez nowe władze ładu i spokoju. Ze swej strony prosił, aby wojsko wzięło ich oraz ich rodziny pod swoją opiekę, umożliwiając spokojny żywot i uczciwą pracę.

Pop Nikola mówił krótko i nagle skończył. Gwałtowny pułkownik nie zdążył stracić cierpliwości. Mimo to nie wysłuchał do końca tłumaczenia młodego oficera. Machnąwszy szpicrutą, przerwał mu ostrym, podniesionym głosem:

- Dobrze! Dobrze! Opiekę znajdzie każdy, kto się odpowiednio ustosunkuje. A ład i spokój muszą wszędzie zachowywać. Inaczej nie mogą, nawet gdyby chcieli.

I skinąwszy głową, ruszył naprzód, bez słowa pożegnania, nie rzuciwszy na nich okiem. Kapłani usunęli się na bok.

Mimo nich przeszedł pułkownik, za nim oficerowie, a na końcu żołnierze z końmi. Nikt nie zwracał uwagi na „dostojników”, którzy pozostali sami na kapii.

Wszyscy byli rozczarowani, jako że z rana i ubiegłej nocy, kiedy żaden z nich nie mógł oka zmrużyć, po sto razy zastanawiali się, jak będzie wyglądać powitanie komendanta wojsk cesarskich. Wyobrażali je sobie przeróżnie, w zależności od rozumu i usposobienia, a byli przygotowani na najgorsze. Jeden widział już siebie w drodze na wygnanie do dalekich Niemiec, przekonany, że nigdy już nie ujrzy rodzinnego domu i kasaby. Inny przypominał sobie opowieści o Hajrudinie, który niegdyś ścinał głowy na tejże kapii.

Przeróżnie sobie wyobrażali, tylko nie tak, jak postąpił ten drobny, ale ostry i opryskliwy oficer, który na wojnie czuje się w swoim żywiole, nie myśli o sobie i nie troszczy się o innych, wszystkich ludzi i ziemię wokół siebie widzi tylko jako przedmiot albo środek do prowadzenia wojny i toczenia walk i zachowuje się tak, jakby wyłącznie we własnym interesie i imieniu wojował.

Stali, spoglądając po sobie niepewnie. W źrenicach ich można było wyczytać nieme pytania: „Czyżbyśmy zostali żywi i czyżby naprawdę minęło najgorsze? Co też nas jeszcze czeka i co czynić wypada?”.

Pierwsi ochłonęli mulazim i pop Nikola. Doszli do wniosku, że spełnili swój obowiązek i nie pozostaje im nic innego, jak rozejść się do domów i przekonać ludzi, że nie mają się co bać i uciekać, ale by dobrze uważali, co robią. Pozostali, bez kropli krwi w twarzach i z pustką w głowach, przyjęli ten wniosek tak samo, jakby przyjęli każdy inny, jako że sami nie byli w stanie nic innego wymyślić.

Mulazim, którego nic nie mogło wytrącić ze zwykłego spokoju, udał się do swoich zajęć. Strażnik zwijał długi barwny dywan, któremu nie było sędzone, aby siedział na nim komendant. Obok niego stał Salko Hedo, zimny i obojętny jak Przeznaczenie. Tymczasem „dostojnicy” rozchodzili się, każdy w swoją stronę i na swój sposób. Rabin spieszył drobnym kroczkiem, pragnąc jak najprędzej dostać się do domu, zażyć ciepła i zacisza ogniska domowego, w którym przebywa jego matka i żona. Muderis podążał nieco wolniej, w głębokiej zadumie. Teraz, gdy wszystko skończyło się nadspodziewanie łatwo i gładko, choć dość nieprzyjemnie, uświadomił sobie całkiem jasno, że nie było potrzeby obawiać się, i zdawało mu się, że on w gruncie rzeczy nigdy niczego się nie bał. Zastanawiał się tylko, jakie znaczenie może mieć owo wydarzenie dla jego kroniki oraz ile miejsca powinien mu poświęcić. Wystarczy ze dwadzieścia linijek. Może piętnaście, a może nawet mniej. Im bardziej przybliżał się do domu, tym bardziej zmniejszał liczbę wierszy.

I za każdym zaoszczędzonym wierszem zdawało mu się, że lekceważy i pomniejsza wszystko wokół siebie, a on sam rośnie i wywyższa się we własnych oczach.

Muła Ibrahim i pop Nikola szli razem aż do podnóża Mejdanu. Obaj milczeli, zaskoczeni i porażeni wyglądem i zachowaniem cesarskiego pułkownika. Obaj spieszyli, aby jak najprędzej dostać się do domów i zobaczyć ze swoimi ludźmi.

Na rozstaju dróg przystanęli na chwilę i spojrzeli na siebie bez słowa. Muła Ibrahim łyskał oczami i poruszał wargami, jakby wciąż mełł jedno jedyne słowo, którego nie mógł wymówić.

Pop Nikola, przywoławszy znów swój ze złocistych iskierek utkany uśmiech, którym dodawał otuchy i sobie, i hodży, głośno wypowiedział własną i jego myśl:

- Krwawa robota to wojsko, mułlo Ibrahimie!

- Mmmasz rację, kkkkrkwawa - jąkał się muła, podnosząc obie ręce, żegnając się z popem ruchem głowy i wyrazem twarzy.

Pop Nikola ciężkim, wolnym krokiem zaszedł do swego domu opodal cerkwi. Przywitała go popadia, o nic nie pytając.

Od razu zzuł buty, zdjął sutannę i kamilawkę z gęstego, mokrego od potu warkocza rudosiwych włosów. Usiadł na małej, niskiej sofie. Na drewnianym oparciu stała już szklanka wody i kostka cukru. Orzeźwiwszy się i zapaliwszy papierosa, przymknął znużone powieki. Ale przed oczami jego wyobraźni wciąż jeszcze miotał się porywczy pułkownik jak oślepiająca i wypełniająca całe pole widzenia błyskawica, tak że tylko ją się widzi, a jednak nie sposób jej rozeznąć. Wraz z westchnieniem puścił kłąb dymu, mówiąc cicho, sam do siebie:

- A to hultaj, jak babcię Kocham!

Z miasta doleciał odgłos bębna, a potem przenikliwe, wesołe granie trąbki oddziału strzelców na nową, niezwykłą nutę.

XI

Tym sposobem nastąpiła wielka zmiana w życiu kasaby koło mostu, bez innych ofiar prócz Alihodzy. Już po kilku dniach życie płynęło po staremu i, zdało się, właściwie niezmienione. Alihodza też przyszedł do siebie i otworzył, podobnie jak pozostali kupcy, swój sklep w pobliżu mostu, tylko turban odtąd nosił bardziej przekrzywiony na prawą stronę, żeby nie było widać blizny na uchu. Ta „łowiana kula”, która zapadła mu w serce na widok czerwonego krzyża na rękawie austriackiego żołnierza, kiedy przez łyzy odczytywał „słowa cesarskie”, wprawdzie nie zniknęła, ale zrobiła się malutka jak ziarnko różańca, tak że można było z nią żyć. Zresztą nie on jeden ją nosił.

Tak to nastąpiły nowe czasy pod okupacją, którą ludzie, nie mogąc jej udaremnić, uważali w głębi duszy za tymczasową.

Co też nie przewaliło się przez most w ciągu pierwszych lat okupacji! Długie szeregi żółto malowanych furgonów z turkotem zwoziły żywność, odzież, sprzęty, niespotykane dotąd narzędzia i urządzenia.

Z początku widać było tylko wojsko. Jak woda z ziemi wytryska, tak zza każdego rogu i zza każdego krzaka pojawiali się żołnierze. Pełno ich w centrum miasta, ale nie brak także w pozostałych dzielnicach kasaby. Co chwila rozlega się krzyk jakiejś przerażonej kobiety, która nagle natknęła się na żołnierza w sadzie albo na podwórzu. W modrych mundurach, ogorzali podczas dwumiesięcznych marszów i potyczek, szczęśliwi, że żyją, spragnieni wypoczynku i użycia rozpierzchli się po mieście i okolicy. Na moście można ich zastać o każdej porze dnia.

Rzadko kto z mieszkańców kasaby idzie na kapiję, bo zawsze pełno tam wojaków. Siedzą tu, śpiewają różnojęzyczne pieśni, dowcipkują, kupują owoce i wsypują je do swych modrych czapek ze skórzanymi daszkami i bączkiem z żółtej blachy, na którym widnieją inicjały cesarza: FJI.

Ale jesienią wojsko jęło odchodzić. Stopniowo i niepostrzeżenie było go coraz mniej i mniej. Pozostały tylko oddziały żandarmerii. Zajmowali mieszkania i przygotowywali się na stały pobyt. Jednocześnie poczęli napływać niżsi i wyżsi urzędnicy z rodzinami i służbą, a za nimi rzemieślnicy i specjaliści, jakich dotąd u nas nie było. Przybywali Czesi, Polacy, Chorwaci, Węgrzy i Niemcy.

Z początku wydawało się, że przyjeżdżają przypadkowo, jakby podmuchem wichru przywiani i jakby zjeżdżali na tymczasowy pobyt, by wieść mniej więcej ten sam tryb życia, jaki z dawien dawna myśmy wiedli, jakby władze cywilne miały przedłużyć jeszcze na jakiś czas

okupację rozpoczętą przez wojsko. Tymczasem z każdym miesiącem rośnie liczba tych cudzoziemców. Ale co najbardziej zaskakuje ludzi w kasabie, zdumiewa i budzi nieufność, to nie tyle ich ilość, ile niezbadane i dalekosiężne plany, niestrudzona pracowitość i wytrwałość, z jaką zabierają się do różnych robót. Owi cudzoziemcy sami nie spoczną i nikomu nie dają spokoju; zda się, że postanowili swoją niewidoczną, ale coraz bardziej dotkliwą siecią ustaw, rozporządzeń i przepisów ogarnąć samo życie wraz z ludźmi, żywym i martwym inwentarzem oraz zmienić i przestawić wszystko wokół siebie: zarówno zewnętrzny wygląd kasaby, jak i nawyki i naturę ludzi od kołyski po grób. A robią to spokojnie, bez wielu słów, bez przemocy i prowokacji, tak że nie ma czemu się sprzeciwiać. Jeśli spotkają się z brakiem zrozumienia albo oporem, od razu zatrzymują się, gdzieś niepostrzeżenie porozumiewają, zmieniają kierunek i styl swej pracy, lecz realizują do końca to, co zamierzeli. Każde rozpoczęte przez nich przedsięwzięcie wydaje się niewinne, nawet niedorzeczne. Mierzą jakieś puste ugory, znaczą drzewa w lesie, przeprowadzają inspekcję wychodków i ścieków, zaglądają koniom i krowom w zęby, sprawdzają miary i wagi, wypytują o choroby, o nazwy drzewek owocowych, o gatunki owiec albo drobiu. (Wydaje się, jakby się bawili. Tak niepojęte, nierealne i błahe są w oczach tych ludzi te wszystkie ich poczynania). A potem wszystko, co robili tak uważnie i pilnie, przepada gdzieś bez echa i śladu, jakby na zawsze. Ale po kilku miesiącach, często po roku, gdy zdążono o wszystkim całkowicie zapomnieć, niespodzianie okazuje się sens tego na pozór nonsensownego i dawno zarzuconego posunięcia: wzywa się wójtów poszczególnych dzielnic do Konaku i podaje im do wiadomości nowe rozporządzenie o wyrębie lasu, zwalczaniu tyfusu, sposobie sprzedawania owoców i słodyczy albo o paszportyzacji bydła. I tak to każdy dzień przynosi nowe zarządzenie. Każde zaś ogranicza poszczególnych ludzi albo nakłada na nich nowe obowiązki, rozszerza, gmatwa, rozdrabnia życie w mieście czy na wsi, a także życie wszystkich mieszkańców razem.

Ale w domach, i to nie tylko tureckich, lecz także w serbskich, nic się nie zmieniło. Tutaj żyło się, pracowało i bawiło jak za dawnych lat. Chleb zagniatano w nieckach, kawę palono w kominie, bieliznę gotowano w cebrach i prano w ługu, nagryzającym i kaleczącym ręce kobiet; tkano się na domowych warsztatach i haftowało na tamborkach. Przestrzegano w całej pełni starych obyczajów na sławach, na uroczystościach świątecznych i weselach, o nowych zaś, które cudzoziemcy ze sobą przynosili, tylko tu i ówdzie szeptano, i to jak o czymś nieprawdopodobnym i dalekim. Krótko mówiąc, pracowało się i żyło po dawnemu, jak w większości domów jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat po okupacji będzie się żyć i pracować.

Za to wygląd zewnętrzny kasaby zmieniał się widocznie i szybko. Ci sami ludzie, którzy we własnych domach zachowywali dawny ład i nie zamierzali go przeinaczać, godzili się zazwyczaj łatwo z tymi zmianami w mieście i przyjmowali je po krótszym albo dłuższym dziwowaniu się i

zrządzeniu. Oczywiście, i tutaj, jak to bywa zawsze i wszędzie w podobnych okolicznościach, nowe życie oznaczało mieszanie starego i nowego. Stare poglądy i stare wartości ścierały się z nowymi, przenikały wzajemnie albo istniały obok siebie, jakby czekając, kto kogo przeżyje. Obliczało się w forintach i grajcarach, ale także w piastrach i parach, mierzyło się na arszyny, oki i dramy, ale także metrem, kilogramami i gramami, wyznaczało się terminy opłat i dostaw według nowego kalendarza, ale jeszcze częściej starym zwyczajem: na św. Jerzego i na św. Dymitra. Zgodnie z prawem natury ludzie opierali się wszystkiemu, co nowe, ale nie byli w tym krańcowi, jako że dla większości samo życie jest ważniejsze i istotniejsze niż formy, w jakie jest ujęte. Tylko w sercach wyjątkowych jednostek rozgrywał się głębszy, prawdziwy dramat walki starego z nowym. Dla nich styl życia był nierozdzielnie i bezwarunkowo związany z samym życiem.

Takim był Szemsibej Brankowić z Crnczy, jeden z najzamożniejszych i najbardziej poważanych ludzi w kasabie. Miał sześciu synów, z których czterej byli już żonaci. Domy ich stanowiły prawdziwe nieduże osiedle otoczone polami, sadami i gajami. Szemsibej był małomównym, bezwzględny i surowy naczelnikiem tej wielkiej wspólnoty. Wysoki, pochylony wiekiem, w dużym, białym, złotem szytym turbanie, tylko w piątce schodził do czarszii na wspólne modły do meczetu.

Od pierwszego dnia okupacji nie zatrzymuje się w mieście, z nikim słowa nie zamienia i nie rozgląda się dokoła. Pod dach Brankowicia nie śmie wtargnąć nawet strzępek nowych strojów albo obuwia, nowe narzędzie czy nowy wyraz. Synom nie pozwala mieć się żadnej roboty związanej z nowymi władzami, a wnukom chodzić do szkoły. Cierpi na tym cała ich wspólnota; synowie sarkają na upór starca, ale żaden nie śmie i nie umie sprzeciwić się słowem ani nawet spojrzeniem. Turcy w czarszii, którzy pracują i kontaktują się z nowymi ludźmi, witają Szemsibeja, gdy idzie przez miasto, z niemym szacunkiem; ogarnia ich wtedy strach zmieszany z podziwem i wyrzutami sumienia. Najstarsi i najpoważniejsi Turcy z miasta często wybierają się do Crnczy jakby na pielgrzymkę, aby posiedzieć i pogwarzyć z nim. Tutaj odbywają się spotkania tych, którzy niezłomnie postanowili wytrwać do końca w oporze, nie chcą za żadne skarby świata w niczym ulec rzeczywistości. Są to właściwie długie przesiadywania bez wielu słów i bez istotnych wniosków.

Szemsibej siedzi na czerwonym dywanie i ćmi długi cybuch, opatulony i pozapinany jednakowo w lecie i w zimie, a goście wokół niego. Rozmowa toczy się zwykle na temat jakiegoś nowego niezrozumiałego i nienawistnego posunięcia władz okupacyjnych albo o Turkach, którzy coraz bardziej dostosowują się do nowych porządków. Wszyscy czują potrzebę, by z tym stanowczym i dostojnym starcem podzielić się swymi troskami, obawami i niepewnością. I każda rozmowa kończy się pytaniem: dokąd to wszystko prowadzi i gdzie się zatrzyma?

Kim są i czego chcą ci przybysze, którym, zda się, obcy jest spoczynek, wytchnienie, umiar i ograniczenie? Z jakimiż planami przybyli, skąd się u nich bierze tyle potrzeb, jakby jedna wypływała z drugiej, na co im to wszystko, jaki niepokój niby przekleństwo prześlada ich i popycha do coraz nowych zajęć i poczynań, których końca nie widać?

A Szemsibej tylko na nich spogląda i zazwyczaj milczy.

Twarz ma smagłą, ale nieopaloną słońcem, lecz trawioną zgryzotą. Spojrzenie twarde, dalekie i nieprzytomne. Źrenice zmacone, a czarne oczy podkrążone sinymi kołami jak u starego orła.

Wielkie usta zaciśnięte tak, że nie widać warg, poruszają się z wolna, jakby wciąż mełły to samo słowo, nie wymawiając go.

A jednak ludzie wychodzą od niego z uczuciem ulgi, wprowadzie nie pocieszeni ani uspokojeni, ale wzruszeni i zachwyceni jego przykładem twardej i beznadziejnej nieustępliwości.

A gdy Szemsibej w następny piątek zjawia się w czarszii, znów czeka go jakaś zmiana u ludzi albo na domach, której w zeszłym tygodniu jeszcze nie było. Aby nie patrzeć na te zmiany, spuszcza wzrok ku ziemi, ale tu w zaschłych koleinach widzi ślady kopyt końskich i spostrzega, jak obok tureckich okrągłych blaszek coraz częściej występują szwabskie wygięte, ostro zakończone podkowy. Tak więc i tutaj, w błocie, wyczytuje ten sam niemiłosierny wyrok, wyciśnięty na twarzach i rzeczach wokół siebie, wyrok czasu, którego nie sposób zatrzymać.

Widząc, że nawet oczu nie ma gdzie podziać, Szemsibej w ogóle przestał wypuszczać się do miasta. Zamknął się w swojej Crncy i tu przesiadywał jak milczący, ale surowy i nieubłagany gospodarz, przykry dla wszystkich, a najbardziej dla samego siebie. Po dawnemu pielgrzymowali doń starsi i znaczniejsi Turcy z kasaby jakby do świętego. (Osobliwie Alihodża Mutewelić). A w trzecim roku okupacji zmarło się Szemsibejowi.

Wcale nie chorował, odszedł, nie wymówiwszy owego gorzkiego słowa, które wiecznie mełł w starczych ustach, i nie postawszy więcej nogą w kasabie, gdzie życie płynęło nowym nurtem.

I zaprawdę, kasaba ciągle zmienia wygląd, jako że cudzoziemcy ścinają drzewa, sadzą nowe w innych miejscach, naprawiają drogi, wytyczają nowe, kopią kanały, wnoszą nowe budowle. W ciągu kilku pierwszych lat zburzono w czarszii wystające sklepy, które prawdę powiedziawszy, dotąd nikomu nie zawadzały. Na miejscu starych kramów z drewnianymi liepenkami³⁸ zbudowano nowe, murowane sklepy, o dachach krytych dachówką albo blachą i z żelaznymi roletami. (Ofiarą tych posunięć miał paść także sklep Alihodży, ale hodża energicznie się

³⁸ liepenki - rodzaj drewnianych okiennic, otwieranych nie na boki, lecz w górę i w dół.

sprzeciwiał, procesował i wszelkimi sposobami wykręcał, tak że postawił na swoim i sklep jego pozostał na dawnym miejscu takim, jakim był). Rozszerzono i wyrównano rynek. Wzniesiono nowy Konak, duży budynek, w którym mieści się sąd i starostwo. A wojsko poczyniło sobie na własną rękę, jeszcze sprawniej i bardziej bezwzględnie niż władze cywilne. Budowali baraki, karczowali i sadzili, zmieniali wygląd całych wzgórz.

Starzy mieszkańcy kasaby nie mogą się nadziwić i rozeznąć w tym wszystkim. Akurat gdy im się wydawało, że nadszedł kres owej niepojętej pracowitości, przybysze zaczęli jakąś nową, jeszcze mniej zrozumiałą robotę. Mieszkańcy kasaby przystają i przyglądają się im, ale nie jak dzieci, które lubią przypatrywać się pracy starszych, lecz odwrotnie, jak dorośli, którzy przystają na chwilę przy bawiących się dzieciach. Jako że tej wiecznej potrzeby budowania i burzenia, kopania i murowania, przeinaczania, tej wiecznej chęci odgadnięcia działania sił natury, unikania ich lub wykorzystania nikt tu nie pojmuje ani nie ceni. Wprost przeciwnie, wszyscy mieszkańcy kasaby, a zwłaszcza ludzie starzy, widzą w tym coś niezdrowego i zły znak. Gdyby zależało to od nich, kasaba wyglądałaby jak wszystkie wschodnie miasteczka. Szpary byłyby załatane; wybrzuszenia podparte; ale przedtem i bez tego nikt by bez potrzeby, planowo i przewidująco nie wynajdywał sobie zajęcia, nie ruszał fundamentów i nie zmieniał odwiecznego wyglądu miasta.

Obcy zaś nadal przeprowadzali swoje roboty jedną za drugą, szybko, konsekwentnie, zgodnie z nieznanymi, lecz dobrze obmyślanymi planami, ku coraz większemu zdumieniu mieszkańców kasaby. Tym sposobem zupełnie niespodziewanie dla naszych ludzi przyszła kolej na podupadły i zapuszczony karawan-seraj, który nawet w takim stanie stanowił całość z mostem, podobnie jak przed trzystu laty. Co prawda to, co zwało się Kamiennym Zajazdem, od dawna już było kompletną ruiną.

Brama zbutwiała, owe koronkowe kraty z miękkiego kamienia w oknach były połamane, dach zapadł się w głąb budynku, a pośrodku niego wyrastała duża akacja i kępa bezimiennych krzaków i chwastów, ale mury zewnętrzne były jeszcze całe; prosty, harmonijny czworokąt z białego kamienia stał mocno.

W oczach wszystkich mieszkańców kasaby od urodzenia do śmierci nie była to zwykła ruina, lecz końcowa partia mostu, część składowa kasaby, jak ich własne domy, toteż nigdy nikomu nawet się nie śniło, że można by tknąć stary zajazd i cokolwiek w nim zmieniać, czego czas i natura sama nie zmieniły. Ale pewnego dnia przyszła kolej i na to. Najpierw inżynierowie długo mierzyli wokół ruin, a potem przyszli robotnicy i wyrobnicy i poczęli zdejmować kamień po kamieniu, płoszyć i rozpędzać gnieźdzące się tu przeróżne ptaki i zwierzątka. Wkrótce placyk nad rynkiem obok mostu zrobił się jakiś kusy i łysy, a z zajazdu pozostała sterta pierwszorzędnego budulca. Po roku z okładem miast dawnego karawan-seraju z białego kamienia zbudowano

wysokie, ciężkie, jednopiętrowe koszary, pomalowane na jasnoniebieski kolor, pokryte siwą blachą, ze strzelnicami po rogach. Na poszerzonym placu całymi dniami odbywała się musztra żołnierzy, którzy przy wtórze gromkich okrzyków kapralów prężyli nogi i padali plackiem na ziemię. A wieczorem z licznych okien tego ohydneho budynku rozlegały się niezrozumiałe śpiewki wojskowe z towarzyszeniem ustnych harmonijek. Aż przeraźliwy dźwięk trąbki wojskowej swoją żalną melodią, pobudzającą miejskie psy do wycia, gasił odgłosy i ostatnie światła w oknach. Tym sposobem zniknęła piękna puścizna wezyra, a koszary, które naród wierny swym tradycjom nazwał Kamiennym Zajazdem, rozpoczęły swe życie na placu przy moście w całkowitej dysharmonii z otoczeniem.

Most pozostał teraz zupełnie odosobniony i osamotniony.

I na nim działy się rzeczy, w których stałe i niezmiennie zwyczaje tutejszych ludzi ścierały się z nowinami, jakie przynosili cudzoziemcy i ich ład, a w tych konfliktach wszystko, co stare i rodzime, było z reguły skazane na ustępstwa i przystosowanie się.

Gdyby to zależało od naszych ludzi, życie na kapii płynęłoby bez zmian. Spostrzeżono jednak, że teraz na kapiję przychodzą coraz śmielej, coraz liczniej i o każdej porze dnia Serbowie i Żydzi, nie przejmując się jak dawniej Turkami ani ich przyzwyczajeniami i prawami. Poza tym wszystko było po staremu.

Za dnia siedzieli tu przekupnie, ludzie interesu, którzy wyczekiwali na chłopki i skupowali wełnę, drób albo jaja, a obok nich próżniacy, co ze słońcem przenoszą się z jednego krańca kasaby na drugi. O zmierzchu schodzili się tutaj także pozostali mieszkańcy, ludzie pracy i interesów, aby pogwarzyć albo w milczeniu popatrzeć na wielką, zieloną topiel obrosłą wikliną, nakrapianą piaszczystymi mieliznami. A noc należała do młodzieńców i birbantów. Nigdy, a więc i obecnie nie znali, co to ograniczenie czasu i postępów.

W nocnym życiu zaszły, przynajmniej z początku, duże zmiany i nieporozumienia. Nowe władze zaprowadziły stałe oświetlenie miasta. Zaraz w pierwszych latach postawiono na głównych ulicach i skrzyżowaniach zielone słupy z latarniami, w których były umieszczone lampy naftowe. (Latarnie te czyścił i zapalał długi Ferhat, biedak z kupą dzieci, który dotychczas posługiwał w starostwie, strzelał na Ramazan z moździerza, pełniąc podobne funkcje bez stałej i pewnej płacy). Tym sposobem oświetlono także most w kilku miejscach, a więc i kapiję.

Słup latarni przybito do dębowej belki, pozostałej z dawnej strażnicy. Latarnia na kapii długo musiała borykać się z nawykami amatorów ciemności, lubiącymi w mroku śpiewać, palić albo gawędzić, a także z niszczycielskimi instynktami młodzieńców, którym uderza do głowy namiętność, nuda i alkohol.

Drażniło ich to mrugające światełko, tak że niezliczoną ilość razy latarnia i lampa były rozbijane. Wiele zapadło wyroków i nałożono grzywien za tę latarnię. Jakiś czas specjalny stróż magistracki pilnował światła. Tym sposobem nocni bywalcy kapii mieli teraz żywego świadka, który był dla nich jeszcze bardziej nieprzyjemny niż sama latarnia. Ale czas robił swoje i nowe pokolenia z wolna przyzwyczały się i pogodziły z tym, że nocne wrażenia wypada przeżywać przy świetle magistrackiej latarni, nie rzucając za każdym razem kamieniem, kijem ani żadnym twardym przedmiotem, jaki nawinie się pod rękę. Było to o tyle łatwiejsze, że w księżycowe noce, kiedy kapija tonęła w poświacie, latarni w ogóle nie zapalano.

Raz tylko w roku most był iluminowany. W godzinach popołudniowych osiemnastego sierpnia każdego roku, w dniu urodzin cesarza władze ozdobiły most zielonymi wieńcami i szpalerem młodych choinek, a z nastaniem zmroku zapalano mnóstwo latarek i lampek: setki blaszanych puszek z konserw żołnierskich wypełnionych łojem i stearyną płonęły na poręczy mostu. Oświetlały one tylko wierzch mostu, podczas gdy końce, a także filary, na których spoczywał, pogrążone były w ciemności, wydawało się więc, że oświetlona część wisi w powietrzu.

Ale każde światło wypala się, a każda uroczystość mija. Toteż nazajutrz most znów był sobą. Tylko dzieci z tego pokolenia zachowały w pamięci nowy, niezwykle obraz mostu w krótkotrwałej dekoracji świateł, żywy i plastyczny, ale chwilowy i przemijający jak senne marzenie.

Prócz oświetlenia nowe władze zaprowadziły czystość na kapii, a właściwie osobiwy, odpowiadający ich pojęciom rodzaj czystości. Skórki z owoców, pestki z arbuźów, łupinki z orzechów laskowych i włoskich nie walały się teraz całymi dniami na płytach, czekając, aż deszcze je spluczą albo wiatry zmiotą. Obecnie co rano sprzątał i czyścił to wszystko specjalny zamiatacz magistracki. Ostatecznie nikomu to zbytnio nie przeszkadzało, jako że ludzie potrafią pogodzić się z czystością nawet wówczas, gdy nie wypływa ona z ich przyzwyczajzeń i potrzeb; oczywiście pod warunkiem, że sami nie muszą jej utrzymywać.

Była jeszcze jedna nowość, którą przyniosła okupacja i nowi ludzie: na kapiję zaczęły po raz pierwszy, odkąd istnieje, przychodzić kobiety. Żony i córki urzędników, służące i niańki schodziły się tu pogwarzyć albo przy święcie posiedzieć w towarzystwie swych wojskowych lub cywilnych fatygantów. Nie zdarzało się to często, psuło jednak nastrój starszym, którzy pragnęli w spokoju i ciszy wypalić tu nad rzeką swój cybuch, a krępowało i podniecało młodszych.

Istniała oczywiście z dawien dawna pewna łączność między kapiją a kobietami w kasabie, ale tylko wtedy, gdy mężczyźni przychodzili, aby pod adresem spieszących przez most dziewcząt rzucić jakieś miłe słówko albo tu na kapii podzielić się swymi zachwyty, wypłakać żale i

kłopoty, których przyczyną były kobiety. Niejeden samotnik spędził tu wiele godzin i dni na cichym nuceniu („tylko sobie a muzom”), w kłębach dymu albo po prostu w niemym podziwieniu dla wartkiego nurtu, splacając daninę pięknu, któremu wszyscy mamy wiele do zawdzięczenia, a od którego rzadko kto może się uwolnić. Niejeden zatarg pomiędzy rywalami tutaj przetrząsano i wyjaśniano, niejedna miłosna plotka została tu ukuta. Wiele na moście rozprawiano, wiele marzeń wysnuto o kobietach i miłości, wiele namiętności tu się zrodziło i wiele zgasło. Dużo tego było, ale kobiety nigdy się tu nie zatrzymywały i nie przesiadywały na kapii, ani chrześcijańskie, ani tym bardziej muzułmanki. Teraz to się zmieniło.

W niedzielę i święta widywano na kapii kucharki, wysznurowane w pasie, rumiane, z kipiącym sadłem pod i nad gorsetami, zapierającymi dech w piersiach. Asystują im sierżanci w wyczyszczonych mundurach z lśniącymi metalowymi guzikami, czerwonymi sznurami i zaszczytnymi pomponami na piersiach - odznaką wyborowych strzelców. A w dzień powszedni o zmroku spacerują tu urzędnicy i oficerowie z żonami, przystają na kapii, rozmawiają w swym niezrozumiałym języku, śmieją się donośnie i zachowują swobodnie.

Te uśmiechnięte, nie mające co robić kobiety bodły oczy wszystkim, jednym mniej, innym bardziej. Ludzie nadziwić się nie mogli i gorszyli czas jakiś, a potem jęli przyzwyczajać się do tego widoku, podobnie jak przywykli do tylu innych innowacji, chociaż sami ich nie przyjmowali.

W ogóle rzecz można, iż te wszystkie zmiany na moście były nieznaczne, powierzchowne i krótkotrwałe. Liczne i poważniejsze zmiany w umysłach i nawykach mieszkańców oraz wyglądzie zewnętrznym miasta jakby omijały most, nie tknąwszy go.

Wydawało się, że biały, prastary most, który przetrwał stulecia bez skazy i zmazy, pozostanie „pod nowym cesarzem” niezmienny, przetrzyma powódź nowin i zmian, podobnie jak zawsze dzielnie stawiał czoło największym nawet wylewom i z rozszalałych odmetów wylaniał się jakby odrodzony, nieskażony i biały.

XII

Tak to życie na kapii stawało się coraz żywsze i barwniejsze.

Teraz całymi dniami, a także późną nocą przewijali się przez kapiję niezliczeni i różnorodni ludzie, nasi i obcy, młodzi i starzy. Wszyscy byli zajęci sobą i własnymi myślami, kaprysami albo namiętnościami, które ich tutaj sprowadziły.

Nie dziw więc, że nie zwracali uwagi na przechodniów, którzy zaprzątnięci innymi myślami i troskami przechodzili przez most, zwiesiwszy głowy, z nieobecny spojrzeniem, nie rozglądając się i nie zwracając uwagi na siedzących na sofie.

Do takich przechodniów zaliczał się także gospodarz Milan Glasinczanin z Okolisza. Wysoki, chudy, blady i pochylony.

Cała jego postać wydawała się przeźroczysta i pozbawiona ciężaru, a jakby na ołowianych nogach. Dlatego idąc, kołysze się i schyla niby drzewce chorągwi w rękach dzieci na procesji.

Włosy i wąsy posiwiały mu jak starcowi, oczy ma spuszczone.

Przechodzi krokiem lunatyka, nie spostrzega żadnych zmian na kapii ani na świecie, sam prawie niedostrzegany przez ludzi, którym tutaj czas upływa na marzeniach, pieśniach, handlu, gawędach lub po prostu na zbijaniu bąków. Starsi zapominają o nim, młodzież nie zwraca na niego uwagi, a cudzoziemcy wcale nie znają. A jednak los jego ściśle jest związany z kapiją, sądząc przynajmniej po tym, co jeszcze jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu mówiono albo szeptano o nim w kasabie.

Ojciec Milana, gospodarz Nikola Glasinczanin, sprowadził się do kasaby jakoś w owych czasach, kiedy powstanie w Serbii było u szczytu. Nabył piękne gospodarstwo na Okoliszu.

Nieustępliwie utrzymywało się mniemanie, iż uciekł on skądś z grubymi, lecz nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi. Nikt nie miał na to dowodów, nikt nie był całkowicie przekonany, ale też nikt zupełnie tego nie odrzucał. Dwa razy się żenił, nie miał jednak szczęścia do dzieci. Dochował się tylko tego syna Milana i jemu zostawił w puściźnie całe jawne i ukryte mienie.

Milan też miał jedynaka - Petara. Optywałby w dostatki, gdyby nie jeden, lecz przepotężny nałóg - karty.

Rodowity mieszkaniec kasaby z natury nie jest karciarzem.

Jak już widzieliśmy, ich namiętności są zgoła inne: kobiety, wino, śpiew, włóczęga albo rojenia nad rodzinną rzeką. Jednakże zdolności ludzkie są we wszystkim ograniczone, przeto i w tym. Nie dziw więc, że upodobania w sercach ścierają się, zwalczają i często jedna pasja ruguje inną. Nie oznacza to, że w kasabie nie było karciarzy, ale w gruncie rzeczy liczba nałogowych graczy zawsze tu była niższa w porównaniu z innymi miastami, a w większości wypadków byli to ludzie obcy albo osiedleńcy. W każdym razie Milan Glasinczanin był jednym z nich. Od najwcześniejszych lat młodości łupił w karty. Gdy nie mógł w kasabie znaleźć kompanów do gry, wybierał się nawet do innych powiatów, skąd wracał albo z wypchanym trzosem niczym kupiec z jarmarku, albo z pustymi kieszeniami, bez zegarka i łańcuszka, bez tabakierki i pierścienia, zawsze blady i niewyspany jakby po chorobie.

Jego stałą siedzibą był właściwie zajazd Ustamujicia w głębi wyszegradzkiej czarszii. Znajdował się tu ciasny pokoik bez okna, z palącą się nawet we dnie świecą, gdzie zawsze przebywało po kilku, poza kartami świata niewidzących ludzi.

Tutaj, w dymie i zaduchu, z przekrwionymi oczami, zaschłymi ustami i drżącymi rękami tkwią od świtu do nocy jako ofiary swego nałogu. W izdebce tej Milan spędził część młodości, tracąc niemało sił i mienia.

Ledwo przekroczył trzydziestkę, gdy zaszła w nim nagła, dla ludzi niepojęta zmiana, która raz na zawsze wyleczyła go z nałogu, ale jednocześnie zmieniła jego życie, całkowicie je przeobrażając.

Pewnej jesieni, będzie ze czternaście lat temu, przybył do zajazdu jakiś obcy człowiek. Nie był ani stary, ani młody, ani szpetny, ani dorosły, w średnim wieku i średniego wzrostu, małowówny, uśmiechający się jeno oczami. Człowiek interesu, cały pochłonięty sprawami, które go tu sprowadziły. Stał w zajeździe, a o zmierzchu zaszedł do izdebki, w której już od południa siedzieli karciarze. Przyjęli go nieufnie, jednakże zachowywał się tak cicho i skromnie, że nawet się nie spostrzegli, kiedy jął stawiać nieduże sumy. Raczej przegrywał, niż wygrywał, krzywił się w zakłopotaniu i niepewną dłonią wyjmował srebrne monety z wewnętrznych kieszeni. Ponieważ sporo przegrał, musieli przystać aby i on rozdawał karty. Dawał je najpierw wolno i oględnie, potem coraz żywiej i śmielej. Grał, nie podniecając się, ale odważnie i do końca. Stos srebra rósł przed nim. Partnerom zaczęło brakować gotówki. Jeden postawił złoty łańcuszek na kartę, lecz przybysz zimno odmówił, oświadczając, iż gra tylko o pieniądze.

Późno w nocy przerwali grę, jako że wszyscy splukali się do szczętu. Milan Glasinczanin był ostatni, ale wreszcie i on musiał się wycofać. Nieznajomy pożegnał się uprzejmie i poszedł do swej izby.

Nazajutrz grali znowu. I znowu przybysz ze zmiennym szczęściem to przegrywał, to wygrywał, zawsze jednak więcej wygrywając niż tracąc, tak że znów ograł mieszkańców kasaby.

Patrzyli mu na palce i rękawy, oglądali ze wszystkich stron, przynosili nowe karty i zmieniali miejsca na ławach nakrytych kilimem, nic jednak nie pomagało. Grali w pospolitą, osławioną grę otuz bił (trzydzieści jeden), którą wszyscy znali z dzieciństwa, nie mogli jednak połapać się w systemie obcego partnera. Raz ciągnął przy dwudziestu dziewięciu, a nawet przy trzydziestu, to znów pasował przy dwudziestu pięciu.

Przyjmował każdą stawkę, zarówno najmniejszą, jak i najwyższą, udawał, że nie dostrzega drobnych krętaństw poszczególnych graczy, ale większe szacherki demaskował bez wielu słów, na zimno.

Milana Glasinczanina męczyła i drażniła obecność tego przybysza w zajeździe. Tym bardziej że w tych dniach czuł się złamany i rozgorączkowany. Zarzekał się, że kart nie weźmie do ręki, ale znów przychodził, zgrywał się do ostatniego grosza i wracał do domu zły i upokorzony. Na czwarty czy piąty wieczór udało mu się opanować i został w domu. Przygotował

nawet pieniądze i ubrał się, lecz się przemógł i wytrwał przy pierwotnej decyzji. Głowę miał ciężką i oddech nierówny.

Kolację zjadł szybko, nie patrząc, co bierze do ust. Potem kilka razy wychodził przed dom, palił, przechadzał się i patrzył na leżącą w dole u jego stóp uśpioną w jasnej jesiennej nocy kasabę.

Długo tak spacerował, aż nagle dostrzegł na drodze jakąś niewyraźną postać, która skręciła i zatrzymała się przed jego ogrodzeniem.

- Dobry wieczór, sąsiedzie! - zawołał nieznajomy.

Poznał go po głosie: był to ów przybysz z zajazdu. Przyszedł najwyraźniej do niego i chciał porozmawiać. Milan zbliżył się do ogrodzenia.

- Nie przyszedłeś dziś wieczór do zajazdu? - spytał obcy spokojnie i obojętnie, jakby od niechcienia.

- Ano, coś nie jestem dziś w sosie. Są tam inni.

- Nie ma już nikogo. Wszyscy rozeszli się przedwcześnie. Może byśmy tak zagrali we dwóch.

- Późno już, a i nie ma gdzie.

- Usiądźmy sobie na kapii. Tylko patrzeć księżycu.

- Ależ, o tej porze - broni się Milan, lecz usta ma niby z drewna, a słowa jakby nie były jego.

Nieznajomy nie ustępował, stał, czekając, jakby nie wyobrażał sobie, że ktoś może mu się sprzeciwić.

Rzeczywiście Milan otworzył furtkę od ogrodu i ruszył za nim, chociaż słowem, myślą i ostatnim wysiłkiem woli opierał się sile, która go ciągnęła, a której nie potrafił pokonać, chociaż to go upokarzało, budziło w nim sprzeciw i odrazę do obcego.

Zeszli żwawym krokiem z Okolizta. Wielki, już trochę szczerbaty księżyc wychylił się zza Staniszewca. Most wyglądał bezkresny i nierealny, gdyż końce jego zatracaly się w mlecznej mgle, a filary tonęły w ciemnościach; jedna strona każdego filara i łuku była jasno oświetlona, a druga pogrążona w całkowitym cieniu; te oświetlone i ciemne płaszczyzny załamują się i przecinają pod ostrymi kątami, tak że cały most przypomina przedziwną arabeskę powstałą z przelotnej gry światła i cieni.

Na kapii nie było żywego ducha. Usiedli. Nieznajomy wyjął karty. Milan raz jeszcze usiłował powiedzieć, że tu niewygodnie, że nie sposób rozeznaczyć się w kartach i pieniądzach, lecz partner nie zwracał nań żadnej uwagi. Rozpoczęła się gra.

Z początku zamieniali jeszcze po kilka słów, w miarę jednak jak czas upływał, zupełnie umilkli. Skręcali tylko papierosy i zapalali bez przerwy jeden od drugiego. Karty kilka razy przechodziły z rąk do rąk, ale w końcu obcy trzymał bank.

Pieniądze sypały się bezgłośnie na kamień, na którym osiadała lekka rosa. Nadchodziła dobrze Milanowi znana chwila, kiedy przybysz ciągnie na dwadzieścia dziewięć dwójkę, a na trzydziestkę asa. Zaszło mu w gardle i mgłą zaszyły oczy. A twarz nieznajomego w blasku księżycy jest bardziej spokojna niż zwykle. W niecałą godzinę Milan stracił wszystko. Partner zaproponował mu, żeby poszedł do domu po pieniądze, on zaś mu będzie towarzyszył. Poszli, wrócili i grali dalej. Milan jak niemy i ślepy; zgadywał kartę i gestem pokazywał, co chce.

W ogóle zdawało się, że karty pomiędzy nimi mają drugorzędne znaczenie i są tylko pretekstem do rozpaczliwych zmagania bez wytchnienia. Gdy po raz drugi splukał się do nitki, przybysz kazał mu iść po pieniądze do domu, a sam został na kapii i palił. Nie widział potrzeby towarzyszyć Milanowi, jako że nie sposób było sobie wyobrazić, aby Milan wyłamał się, skrewił i został w domu. Milan posłusznie, bez szemrania poszedł i pokornie wrócił. Wtedy szczęście nagle uśmiechnęło się do niego. Odegrał się. Z podniecenia jeszcze bardziej dławilo go w gardle. Nieznajomy począł podwajać stawkę, a nawet potrajać. Tempo gry było coraz szybsze i coraz ostrzejsze. Karty spadały ze świstem, rósł stos srebra i złota. Obaj milczeli.

W jasną księżycową noc Milan pośpiesznie oddychał, pocił się i marzył na przemian. Grał, rozdawał karty, stawiał, ale nie dlatego, że miał ochotę, lecz że musiał. Czuł, iż ten obcy człowiek wyciąga z niego nie tylko pieniądze, dukat za dukatem, ale wysysa szpik z kości i krew z żył, kroplę po kropli, a on traci siły i wolę z każdą nową przegraną. Od czasu do czasu patrzył spod oka na swego partnera. Spodziewał się ujrzeć gębę szatana z wyszczerzonymi zębami i ślepiami jak żarzące się węgle, ale wprost przeciwnie - stale miał przed sobą pospolitą, skupioną twarz człowieka wykonującego swą codzienną pracę, któremu pilno skończyć zaczęta robotę, a wcale nie jest łatwo ani przyjemnie.

Wkrótce Milan znów przegrał całą gotówkę. Wtedy nieznajomy zaproponował, żeby grali o dobytek, o ziemię i gospodarstwo.

- Stawiam cztery dukaty, a ty kasztanka z rzędem. Zgoda?

Tym sposobem przegrał wierzchowca, a potem jeszcze dwa konie pociągowe, krowy i cielęta. Niby sumienny i trzeźwy kupiec przybysz wyliczał po imieniu każdą sztukę bydła z obory Milana i trafnie oceniał każdy ogon, jakby urodził się i wyrósł w jego domu.

- Oto jedenaście dukatów za twoje pole zwane Salkuszowym! Słowo?

- Słowo!

Przybysz rozdał karty. W pięciu kartach Milan miał dwadzieścia osiem.

- Jeszcze? - spytał spokojnie obcy.

- Jedną - odrzekł Milan ledwo dosłyszalnym szeptem, a wszystka krew spłynęła mu do serca.

Nieznajomy bez pośpiechu odwrócił kartę. Była to dwójka, zbawcza karta. Milan obojętnie wycedził przez zęby.

- Dość!

Kurczowo ścisnął i chował karty. Starął się przybrać obojętną minę, aby przeciwnik nie zgadł, co ma w ręku.

Wtedy przybysz jął ciągnąć dla siebie. Czynił to jawnie.

Doszedłszy do dwudziestu siedmiu zatrzymał się, spojrzał spokojnie Milanowi w oczy, ale ten spuścił wzrok. Odwrócił więc jeszcze jedną kartę. Była dwójka. Westchnął krótko i ledwo dosłyszalnie. Wydawało się, że poprzestanie na dwudziestu dziewięciu, Milanowi już uderzyła krew do głowy w przeczuciu zwycięstwa. Ale wtedy partner zachnął się, wyprostował i odrzucił głowę do tyłu, tak że w blasku księżyca zaślnęły jego oczy i czoło i wyciągnął jeszcze jedną kartę. Znow dwójkę. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, by trzy dwójki szły prawie pod rząd, jednakże tak było. Na odkrytej karcie Milan ujrział swe pole, zaorane i zbronowane, jakie bywa na wiosnę, kiedy jest najładniejsze. Niby w gorączce zawirowały bruzdy wokół niego, ale oprzytomniał na dźwięk spokojnego głosu:

- Otuz bir! Pole jest moje.

Przyszła potem kolej na inne pola, na oba domy, a wreszcie i na dąbrowę w Osojnicy. W ocenie zwykle się zgadzali.

Niekiedy Milan wygrywał i zgarniał dukaty. Nadzieja wtedy błyskała jak złoto, ale po dwóch czy trzech nieszczęsnych „furach” znow zostawał bez grosza przy duszy i znow stawiał majątek.

Gdy gra niby powódź wszystko zabrała, obaj gracze zatrzymali się na chwilę - nie dla zaczerpnięcia tchu, gdyż tego, zdaje się, obaj się obawiali, lecz dla zastanowienia się, o co mogliby jeszcze grać. Przybysz był opanowany, wyglądał jak spracowany wyrobnik, odpoczywający po pierwszej połowie wykonanej pracy, któremu jednak pilno do dalszej roboty. Milan zdrętwiał, zimno mu się zrobiło; w uszach mu szumi, a kamienna ława pod nim rośnie i zapada się. Wtedy obcy rzekł swym monotonnym, nudnym głosem, z lekka przez nos:

- Wiesz co, przyjacielu? Zagrajmy jeszcze jedną partię, ale o wszystko. Ja stawiam wszystko, co dzisiaj wygrałem, a ty życie. Jeśli wygrasz, wszystko znow będzie twoje, jak było, pieniądze, dobytek, ziemia. Jeśli przegrasz, skoczysz z kapii do Driny.

Słowa te wymawiał tak samo sucho i oficjalnie jak i inne, jakby chodziło o najzwyczajsze porozumienie się dwóch zapalonych karciarzy.

A więc nadszedł czas, kiedy trzeba ratować duszę lub zginąć, pomyślał Milan, usiłując wstać, wyrwać się z tego niepojętego wiru, który wszystko pochłonął, a teraz wciąga go z niepohamowaną siłą, ale ów człowiek jednym jedynym spojrzeniem osadził go na miejscu. I jakby grali w karczmie o stugroszową stawkę, pochylił głowę i wyciągnął rękę. Obaj przełożyli karty. Przybysz wyłożył czwórkę, a Milan dziesiątkę. On miał rozdawać. To mu dodało otuchy. Rozdawał karty, a nieznajomy wciąż żądał nowych.

- Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!

Obcy wziął pięć kart i dopiero wtedy rzekł:

- Dość!

- Z kolei Milan ciągnął dla siebie. Gdy doszedł do dwudziestu ośmiu, zatrzymał się na mgnienie oka, spojrzął na karty przeciwnika i na jego zagadkową twarz. Nie sposób było się nawet domyślić, na ilu się zatrzymał, ale bardzo prawdopodobne, że ma więcej niż dwadzieścia osiem; po pierwsze dlatego, że on dziś wieczór nie poprzestał na niskich liczbach, a po drugie, że ma pięć kart. Była czwórka. A więc: trzydzieści dwa, czyli fura.

Patrzył, własnym oczom nie wierząc. Wydawało mu się rzeczą niemożliwą, żeby naraz wszystko stracił. Od stóp do głowy przeszło go ogniste mrowie. Nagle wszystko sobie uświadomił: i sens życia, i wartość człowieka, i swoją przeklętą, niepojętą pasję igrania ze swoimi i z obcymi, z samym sobą i z wszystkim dokoła. Wszystko stało się jasne i oczywiste, jakby nastął dzień i jakby śnił, że grał i przegrał, a jednocześnie wszystko było prawdziwe, nieodwołalne i nie do naprawienia.

Chciał coś powiedzieć, jęknąć, przywołać kogoś na ratunek, przynajmniej westchnąć, ale nie miał nawet tyle siły.

Obok niego czekał nieznajomy.

Wtem zapiał kur gdzieś na brzegu, cienko i rozgłośnie, a zaraz potem ozwał się inny. Tak blisko, że słyhać było trzepotanie skrzydeł. W tym momencie rozleciały się karty jakby porwane wichrem, rozsypały się pieniądze, zatrzęsła kapija w posadach. Milan przymknął oczy ze strachu, myśląc, że nadeszła ostatnia chwila. Gdy otworzył oczy, spostrzegł, że jest sam. Jego partner zniknął jak bańka mydlana, a wraz z nim zniknęły karty i pieniądze z kamiennej płyty.

Szczerbaty, purpurowy księżyc płynął po nieboskłonie. Jął dąć zimny wiatr. Głośniejszemu zaszemrała rzeka w dole. Milan ostrożnie obmacał kamień, na którym siedział, starając się przyjąć do siebie i rozeznać, gdzie jest i co się z nim dzieje, a potem ciężko się podniósł i jakby na nie swoich nogach ruszył do Okolizta.

Jęcząc i potykając się, ledwo przywłókł się przed dom, tu zwałił się jak ranny, głucho uderzywszy o drzwi ciałem. Zbudzeni domownicy wnieśli go do izby.

Dwa miesiące przeleżał w gorączce i malignie. Zdawało się, że nie przetrzyma. Pop Nikola przychodził doń z ostatnim namaszczeniem. Jednakże odzyskał siły, ale jakby nie ten sam.

Teraz był to człowiek przedwcześnie postarzały, dziwak, żyjący w odosobnieniu, mruk, z ludźmi nie przestawał dłużej, niż musiał. Na twarzy, która nie wie, co to uśmiech, zastygł mu wyraz bolesnej, wytężonej uwagi. Patrzy tylko swego domu i swoich spraw, jakby nigdy nie miał do czynienia z wesołą kompanią i kartami.

Już podczas choroby opowiedział popu Nikoli o swojej nocnej przygodzie na kapii, a potem zwierzył się jeszcze dwom dobrym przyjaciołom, gdyż czuł, że nie potrafiłby żyć z tą tajemnicą w sercu. Do ludzi doszło coś niecoś i, jakby mało było tego, co się naprawdę zdarzyło, dodali jeszcze i upiększyli całą historię, a potem, jak to zwykle bywa, uwagę ich zaprzętnęły losy kogoś innego i zapomnieli o Milanie i jego przygodzie. Tym sposobem cień dawnego Milana Glasinczanina żyje, pracuje i porusza się pośród mieszkańców kasaby. Młodsze pokolenie zna go tylko takim, jakim jest teraz, i nawet się nie domyśla, że niegdyś był zupełnie inny. A nawet zda się, że i on sam puścił wszystko w niepamięć. Gdy w drodze do kasaby przechodzi przez most ciężkim, wolnym krokiem lunatyka, mija kapiję bez najmniejszego wzruszenia, bez wspomnienia. Do głowy mu nawet nie przychodzi, że sofa z białymi kamiennymi ławami i beztroskimi ludźmi mogła mieć kiedykolwiek związek z tym strasznym miejscem gdzieś na końcu świata, gdzie on pewnej nocy rozegrał swą ostatnią partię, stawiając na zmienną kartę całe mienie, nawet życie na tym i na tamtym świecie.

W ogóle Milan często zastanawiał się, czy owa nocna przygoda na kapii nie była tylko snem, który zwidział mu się, gdy nieprzytomny leżał na progu domu, czy nie była jedynie skutkiem, a nie przyczyną jego choroby. Prawdę powiedziawszy, i pop Nikola, i dwaj przyjaciele, którym się zwierzył, byli skłonni raczej uważać całą opowieść Milana za złudzenie, wytwór wyobraźni, przywidzenie w chorobie. Jako że właściwie żaden z nich nie wierzy, aby diabeł grał w otuz bir i sprowadzał na kapiję tego, na kogo zagiął parol. Ale nasze przeżycia często są tak skomplikowane i przykre, że nie dziw, iż ludzie tłumaczą je udziałem samego Szatana, starając się tym sposobem je wyjaśnić albo przynajmniej uczynić bardziej znośnymi.

Jakkolwiek było, z diabłem czy bez jego pomocy, we śnie czy na jawie, to pewna, że Milan Glasinczanin, który w ciągu jednej nocy stracił zdrowie, młodość i olbrzymią fortunę, jakby cudem pozbył się raz na zawsze swej namiętności. I nie tylko to. Z opowieścią Milana Glasinczanina wiąże się jeszcze jedna historia, która również wątek bierze na kapii.

Nazajutrz po owej nocy, kiedy to Glasinczanin (we śnie czy na jawie) rozegrał ową straszną, ostatnią partię na kapii, wstał słoneczny jesienny dzień. Była sobota. Jak zwykle w sobotę, na kapii gromadzili się wyszegradzcy Żydzi, kupcy, z nieletnimi synami. Odświętni i uroczyści, w atłasowych spodniach, sukiennych kamizelkach i wiśniowych fezach, pilnie przestrzegali święta, przechadzając się nad rzeką, jakby kogoś w niej szukając. Przeważnie jednak siedzieli na kapii i toczyli głośne, ożywione rozmowy po hiszpańsku, jedynie klnąc po serbsku.

Jako jeden z pierwszych tego dnia przybył na kapiję Bukus Gaon, najstarszy syn pobożnego, zanego i biednego cyrulika Awrama Gaona. Miał szesnaście lat, a jeszcze nie znalazł sobie stałego zajęcia ani określonego zawodu. Wyrodny syn Gaonów był lekkomyślny, co mu nie pozwalało opamiętać się i poprzestać na jednym rzemiośle, lecz ponosiło go, tak że wszędzie i we wszystkim dążył do czegoś lepszego i piękniejszego. Właśnie zamierzał usiąść, przedtem jednak sprawdził, czy kamienna ława jest czysta. Wtem w szparze pomiędzy dwoma płytami ujrzał cienką smuzkę o złotym połysku. Był to blask tak miłego dla ludzkiego oka złota. Przyjrzał się lepiej. Nie ulegało wątpliwości: musiał wpaść tu jakiś dukat. Wyrostek obejrzał się, czy mu się kto nie przygląda, szukając, czym mógłby wydłubać dukat śmiejący się doń ze szpary. Ale zaraz przypomniał sobie, że jest sobota i byłoby grzechem i hańbą cokolwiek robić.

Podniecony i zmieszany usiadł na tym miejscu i nie ruszył się do południa. Gdy nadeszła pora obiadu i wszyscy Żydzi, starzy i młodzi, rozeszli się do domów, znalazł grubą słomkę i niepomny grzechu i święta ostrożnie wygrzebał dukat ze szpary. Był to prawdziwy dukat, cienki i prawie bez ciężaru jak drobny, suchy listek. Spóźnił się na obiad. Gdy usiadł za skromnym stołem, który otaczało ich trzynaścioro (jedenaścioro dzieci, ojciec i matka), nawet nie słuchał, jak ojciec go łaje, nazywając nicponiem i wałkoniem, co nawet na gotowy obiad nie może przyjść w porę. W uszach mu szumiało, a w oczach mieniło się.

Otwierały się przed nim dni niebywałych wspaniałości, o jakich zawsze śnił. Zdawało mu się, że ma słońce w kieszeni.

Nazajutrz niewiele myśląc, wybrał się Bukus z tym dukatem do zajazdu Ustamujicia, wsunął się do izdebki, gdzie niemal o każdej porze dnia i nocy łupią w karty. Zawsze o tym marzył, ale nigdy nie miał tyle pieniędzy, by wejść tam i popróbować szczęścia. Teraz mógł ziszczyć swe marzenia.

Spędził tu kilka bolesnych i podniecających godzin. Najpierw wszyscy przywitali go pogardliwie i nieufnie. Kiedy zobaczyli, że zmienia dukat, od razu pomyśleli, że kogoś okradł, ale zgodzili się przyjąć jego stawkę. (Bo gdyby gracze zastanawiali się nad pochodzeniem pieniędzy wszystkich partnerów, nigdy by nie mogli grać). Wtedy dla początkującego karciarza zaczęły się

nowe cierpienia. Gdy wygrywał, krew uderzała mu do głowy z gorąca, a oczy zalewał pot. Gdy zaś przegrywał większą sumę, zdawało mu się, że tchu mu brak i serce zamiera.

Ale po tych wszystkich mękach, z których każda wydawała mu się bezkresna, opuścił tego wieczoru zajazd z czterema dukatami w kieszeni. Chociaż z emocji cały był połamany i zgrzany, jakby wysmagano go płonącymi różgami, szedł prosto i dumnie.

Przed pałającym wzrokiem otwierały się dalekie, olśniewające widoki, które przyćmiewały jego rodzinną nędzę i całą kasabę zmiatały z powierzchni ziemi. Szedł jak pijany, uroczystym krokiem. Po raz pierwszy poczuł nie tylko blask i dźwięk, lecz także ciężar złota.

Tejże jeszcze jesieni Bukus, choć złotodziób, został włóczęgą i karciarzem zawodowym, porzuciwszy rodzinny dom.

Stary Gaon nikł w oczach ze wstydu i żalu za pierworodnym synem, a cała gmina żydowska odczuwała to nieszczęście jako własne. Potem opuścił kasabę i poszedł w świat za swoją złą karciarską dolą. Nigdy już nikt o nim nie słyszał, choć upłynęło czternaście lat od tego czasu. Sprawił to, jak powiadają, „ów czarci dukat”, który znalazł na kapii i wydłubał w dzień szabasu.

XIII

Nadchodził czwarty rok okupacji. Zdawało się, że wszystko jako tako uspokoiło się i „dotarło”. Jeśli nie wraca utracony „błogi spokój” czasów tureckich, przynajmniej zaczyna się ustalać ład wedle nowych pojęć. Ale wtedy znów nastał zamęt w kraju, niespodzianie przybyło nowe wojsko do kasaby i znów pojawiły się straże na kapii. A było to tak:

Nowe władze ogłosiły w tym roku pobór rekruta na terenie Bośni i Hercegowiny. Fakt ten wywołał trwogę w narodzie, osobliwie wśród Turków. Pięćdziesiąt lat temu, gdy sułtan zaprowadził pierwszy nizam, regularne wojsko na modłę europejską umundurowane, wyćwiczone i wyposażone, wzniecił powstanie i toczyli istne krwawe potyczki, jako że nie chcieli włożyć uniformów giaurskich i pasów, które krzyżowały się na piersiach, tworząc nienawistny symbol krzyża. A teraz musieli włożyć to samo znienawidzone „ciasne ubranie”, i to w służbie obcego cesarza innej wiary.

Od pierwszego roku okupacji, gdy władze jęły wprowadzać numerowanie domów i spis ludności, wśród muzułmanów poczynania te wywołały nieufność i wzbudziły nieokreślone, ale głębokie obawy.

Jak zwykle w takich okolicznościach, najwybitniejsi i najuczeńsi spośród Turków zebrali się niepostrzeżenie, aby naradzić się nad znaczeniem tych posunięć władz oraz nad postawą, jaką wypada wobec nich zająć. Pewnego majowego dnia spotkali się na kapii jakby przypadkowo owi „pierwsi ludzie” z kasaby i zasiedli na sofie. Popijając spokojnie kawę i patrząc przed siebie,

rozmawiali szeptem o nowych, podejrzanych poczynaniach władz. Wszyscy byli z nich niezadowoleni. Z natury rzeczy były one sprzeczne z wszystkimi ich poglądami i nawykami, jako że każdy z nich uważał za zbędne i niepojęte poniżenie wtrącanie się władz w osobiste sprawy i życie rodzinne. Ale nikt nie umiał wytłumaczyć prawdziwego znaczenia tych zarządzeń ani nie potrafił wskazać, w jaki sposób można by stawić opór. Pośród nich zasiadał także Alihodża, który zresztą rzadko wybierał się na kapiję, jako że zawsze boleśnie zaczynało go świerzbić ucho na sam widok kamiennych stopni wiodących na sofę.

Wyszegradzki muderis Huseinaga, człowiek pióra i gaduła, wyjaśniał jako najbardziej kompetentny, co miałyby oznaczać owo opatrywanie liczbami domów oraz spis dzieci i dorosłych.

- Jest to gjaurski zwyczaj, jak mi się zdaje, od niepamiętnych czasów. Ze trzydzieści lat temu, jeśli nie więcej, żył w Trawniku wezyr Tahirpasza Stambolija. Był to poturczeniec, ale nieszczery i obłudnik pierwszej wody, w głębi duszy został Wlanem. Opowiadali ludzie, że miał zawsze przy sobie dzwonek, a gdy chciał przywołać któregoś z pacholków, dzwonił jak wlaszski pop, póki sługa się nie stawił. Otóż ten Tahirpasza pierwszy zaczął liczyć domy w Trawniku i na każdym przybijać tahtę z numerem. (Stąd jego przezwisko „Tahtar”). Ale lud zbuntował się, pozrywał wszystkie deski z domów, zniósł je na jedno miejsce i spalił. O mało krew się nie połała za to. Na szczęście wieść o tym poszła do Stambułu i odwołano go z Bośni. Wszelki ślad po nim zaginął! A teraz też jest coś w tym rodzaju. Szwaby chcą mieć rejestr wszystkiego, a więc i naszych głów.

Wszyscy spoglądali przed siebie, słuchając słów muderisa, który słynął z tego, że wołał długo i szeroko rozwodzić się o cudzych wspomnieniach, aniżeli jasno i krótko powiedzieć swoje zdanie o tym, co się dzieje.

Jak zwykle Alihodża pierwszy stracił cierpliwość.

- Nie chodzi tu Szwabom o wiarę, muderis efendi, lecz o rachunki. Nie bawią się i nie tracą czasu nawet we śnie, ale wciąż mają na oku swój profit. Teraz jeszcze nie wiadomo, o co chodzi, ale za kilka miesięcy albo za rok sprawa ta wypłynie.

Świętą rację bowiem miał zmarły Szemsibej Branković, który mawiał: „Podkopy Szwabów obliczone są na długie lonty!”

Owo liczenie domów i ludzi, moim zdaniem, albo jest im potrzebne do nałożenia jakiegoś nowego podatku, albo też zamierzają spędzać ludzi na szarwark i do wojska. A może i jedno, i drugie im w głowie. I jeżeli mnie zapytacie, co robić wypada, ja tak myślę: żadne z nas wojsko, żeby zaraz robić powstanie. Sam Bóg to widzi i ludzie wiedzą. Ale nie musimy ich we wszystkim słuchać. Nikt nie musi pamiętać numerów ani mówić dat, niech sami zgadują, kto kiedy się

urodził. A jeśli dobrać się do naszych domowników i czci, nie damy, bronić się będziemy, niech się dzieje wola boska.

Długo jeszcze rozprawiali o tych nieprzyjemnych posunięciach władz. Stało na tym, co Alihodża zalecał: bierny opór.

Ludzie więc ukrywali daty urodzenia albo podawali fałszywe dane, usprawiedliwiając się nieumiejętnością czytania i pisania. O kobiety nikt nawet nie śmiał pytać, jako że uchodziło to za śmiertelną obrazę. Tablice z numerami domów przybijali wbrew wskazówkom i groźbom władz na niewidocznych miejscach albo do góry nogami. Albo też brali się do bielienia domów i jakby przypadkowo zamazywali wapnem numery. Widząc, że opór ten jest głęboki i szczery, chociaż utajony, władze patrzyły na to przez palce, unikały bezwzględnego trzymania się litery prawa ze wszystkimi następstwami oraz konfliktów, które by niewątpliwie powstały.

Od tego czasu upłynęły dwa lata. Poszedł w niepamięć ów niepokój wywołany spisem, kiedy rozpoczął się pobór rekruta bez względu na wyznanie i stan. We wschodniej Hercegowinie wybuchło wtedy otwarte powstanie, w którym tym razem obok Turków brali udział także i Serbowie. Przywódcy powstańców starali się nawiązać kontakty z zagranicą, zwłaszcza z Turcją, twierdząc, że władze okupacyjne przekroczyły uprawnienia wypływające z postanowień Kongresu Berlińskiego, jako że nie mają prawa rekrutować żołnierzy na terenach okupowanych, które wciąż podlegają zwierzchnictwu tureckiemu. W Bośni nie było wprawdzie zorganizowanego oporu, ale przez Focze i Gorazdę powstanie sięgało powiatu wyszegradzkiego. Poszczególne buntownicy lub mniejsze grupy rozbitych oddziałów starali się schronić w Sandzaku albo w Serbii, przechodząc przez most wyszegradzki. Jak zwykle w takich okolicznościach, obok powstańców grasowali rozbójnicy.

Wówczas po tylu latach znów postawiono warty na kapii.

Chociaż była zima i napadało dużo śniegu, na kapii w dzień i w nocy stali na straży dwaj żandarmi. Zatrzymywali nieznajomych i podejrzanych przechodniów, badali ich i rewidowali.

Po dwóch tygodniach przybyły do kasaby oddział sztrajfkoru z luzował żandarmów na kapii. „Streifkorps” został zorganizowany w odpowiedzi na zataczające coraz szersze kręgi powstanie w Hercegowinie. Były to szturmowe, lotne oddziały doborowe, wyposażone do akcji w trudnym terenie, a składające się z dobrze płatnych ochotników. W oddziałach tych służyli ludzie przybyli tu jako żołnierze najstarszego rocznika z wojskami okupacyjnymi; nie chcieli oni wracać w swoje strony, lecz zostali w szeregach sztrajfkoru. Byli też i tacy, którzy zostali odkomenderowani z żandarmerii do nowego oddziału lotnego.

Wreszcie była też pewna liczba autochtonów - służyli w tym oddziale jako ludzie zaufani i przewodnicy.

Przez całą zimę, która nie była ani lekka, ani krótka, warta składająca się z dwóch sztrajfkorów pilnowała kapii. Zwykle jeden był cudzoziemcem, a drugi tubylcem. Nie wybudowano strażnicy, jak niegdyś zrobili to Turcy podczas powstania Karadziordzia w Serbii. Nie zabijano ani nie ścinano głów.

A jednak i tym razem, jak zwykle gdy kapiję zamykano, zaszły niezwykle wydarzenia, które pozostawiły ślad w kasabie. Jako że ciężkie czasy nie mogą obejść się bez czyjś nieszczęścia.

Pośród sztrajfkorów, na zmianę pełniących służbę na kapii, był pewien młody człowiek, Rusin ze Wschodniej Galicji nazwiskiem Hrehor Fedun. Ów dwudziestotrzyletni młodzieniec odznaczał się olbrzymim wzrostem, ale serce miał dziecka, silny był jak niedźwiedź, a wstydlivy jak panna. Odsługiwał wojsko w chwili, gdy pułk jego został wysłany do Bośni. Brał udział w bitwach pod Malajem i na Miglancu. Następnie półtora roku spędził w różnych garnizonach stacjonujących we wschodniej Bośni. A gdy nadszedł czas zwolnienia, niełatwo mu przyszło wrócić do rodzinnego galicyjskiego miasteczka Kołomyi i ojcowskiej chaty pełnej dzieci i niedostatku. Był już w Peszcie, w swoim Malajem macierzystym, gdy ogłoszono zaciąg ochotników do sztrajfkoru. Jako żołnierz znający Bośnię z kilkumiesięcznych potyczek, Fedun od razu został przyjęty.

Szczerze się ucieszył na myśl, że znów ujrzy bośniackie wzgórza i miasteczka, gdzie spędził ciężkie i przyjemne dni i do których przywiązał się wspomnieniami; we wspomnieniach owe ciężkie dni piękniej i żywiej jaśniały niż wesołe. Rozpływał się z radości i rósł z dumy, wyobrażając sobie miny rodziców, braci i sióstr, kiedy otrzymają pierwsze srebrne forinty, jakie im pośle z wysokiego żołdu. Prócz tego miał szczęście, że nie został wysłany do wschodniej Hercegowiny, gdzie walki z powstańcami były uciążliwe, często nawet bardzo niebezpieczne, lecz do kasaby nad Driną, gdzie służba polegała na patrolowaniu i wartowaniu.

Tutaj spędził zimę, często godzinami drepcząc na kapii i chuchając w palce podczas mroźnych, pogodnych nocy, kiedy kamień pęka z zimna, niebo blednie nad kasabą, a gwiazdy jesienne zamieniają się w maleńkie złe świeczki. Tu doczekał wiosny i spostrzegł pierwsze jej oznaki: owo głucho pęknięcie lodów na Drinie, które człowiek odczuwa aż gdzieś w głębi swej istoty, i pomruk jakiegoś nowego wichru, całymi nocami hulającego pośród ogołoconych lasów i spiętrzonych gór nad mostem.

Gdy przychodziła na niego kolej pełnienia straży, młodzieniec czuł, jak wiosna nurtująca ziemię i wodę z wolna go przenika, zalewa i podnieca zmysły, rozpala i płacze myśli. Pilnował kapii, nucąc sobie małoruskie dumki, jakie śpiewają w jego stronach. Przy pieśni z każdym wiosennym dniem coraz bardziej zdawało mu się, że na kogoś czeka na tym nie osłoniętym, wietrznym miejscu.

Z początkiem marca komenda ostrzegła oddział, aby ze zdwojoną uwagą pilnował mostu, jako że według niezawodnych informacji osławiony hajduk Jaków Czekrlija przerzucił się z Hercegowiny do Bośni i ukrywa gdzieś w okolicy Wyszegradu, skąd najprawdopodobniej będzie usiłował dostać się do serbskiej albo tureckiej granicy. Sztrajfkorowie, pełniący wartę, otrzymali rysopis Czekrlii z ostrzeżeniem, że chodzi tu o hajduka drobnej i niepozornej postawy, ale silnego, odważnego i niezmiernie chytrego, któremu już kilka razy udało się wywieść w pole osaczający go patrol i uciec.

Na apelu Fedun słyszał ostrzeżenie i jak wszystkie oficjalne komunikaty potraktował je poważnie. Co prawda wydawało mu się nieco przesadzone, gdyż nie umiał wyobrazić sobie, by ktoś mógł przejść niepostrzeżenie przez most. Spokojnie i beztrąsko spędzał kilka dziennych i nocnych godzin na kapii. Uwagę istotnie podwoił, nie zaprzętał sobie jednak głowy osobą tego Jakowa, o którym nie było ani słyhu, ani widu, lecz wszystkimi niezliczonymi oznakami i zjawiskami zwiastującymi nadejście wiosny.

Niełatwa to rzecz skoncentrować uwagę tylko na jednym jedynym przedmiocie, gdy ma się dwadzieścia trzy lata, gdy człowieka rozpierają siły żywotne, a wokół wszystko aż szumi, lśni, pachnie wiosną. Śnieg topnieje po załomach skalnych, rzeka wartko toczy swe mętne jak zadymione szkiełko wody, północno-zachodni wiatr przynosi z gór tchnienie śniegów i pierwszych pąków z dolin. To wszystko podnieca i rozprasza Feduna, kiedy przemierza przestrzeń od jednego tarasu do drugiego, albo - jeśli służba wypadnie w nocy - wsparty o mur śpiewa przy wótrze wiatru swe dumki rodzinne. Ani w dzień, ani w nocy nie opuszcza go uczucie, że czeka na kogoś, uczucie męczące a rozkoszne, jakby znajdujące potwierdzenie we wszystkim, co dzieje się na wodzie, ziemi i niebie.

Pewnego dnia, jakoś w porze obiadowej, przeszła obok warty turecka dziewczyna. Była w tym wieku, kiedy młode Turczynki jeszcze nie noszą zasłon, ale nie chodzą też całkiem odsłonięte; otulają się w cienkie, olbrzymie chusty, które kryją ich kształty, ręce i włosy, podbródek i czoło, zostawiają jednak dostępną dla oka część twarzy: oczy, nos, usta i policzki. Jest to krótki okres między dzieciństwem a panieństwem, kiedy muzułmanka skromnie i radośnie pokazuje wdzięk jeszcze dziecinnej, a już kobiecej twarzyczki, którą może jutro feredża przysłoni na zawsze.

Na kapii nie było żywej duszy. Z Fedunem pełnił służbę jakiś chłop z Praczy, imieniem Stefan. Ów człowiek, już niemłody, lubiący zaglądać do kieliszka, drzemał, siedząc mimo zakazu na kamiennej sofie.

Kedun ostrożnie i nieśmiało popatrzył na dziewczynę. Barwna chusta otulała jej postać, falując i mieniając się w słońcu jak żywe srebro za każdym podmuchem wiatru i w rytm kroków.

Spokojna, piękna twarzyczka była obramowana mocno przylegającą chustą, oczy spuszczone, ale rozbiegane. Przeszła obok niego i zniknęła za mostem w czarszii.

Młodzieniec zwawiej jął krążyć od tarasu do tarasu, wciąż pozierając w stronę rynku. Teraz zdawało mu się, że naprawdę na kogoś czeka. Po półgodzinie - na moście panował jeszcze południowy spokój - wróciła z miasta młoda Turczynka i znów przeszła obok zmieszanego żołnierza. Tym razem popatrzył na nią przeciągle, śmieiej, a co najważniejsze, ona odpowiedziała mu krótkim, lecz wymownym wejrzeniem, zerknęła filuternie spod oka, z przebiegłością, z jaką dzieci prześcigają się w zabawie. I znów odpłynęła z wolna, oddalając się w tysiącnych załamaniach i falowaniach obszernej chusty, otulającej całą jej młodą, lecz już dorodną postać. Orientalne wzory i jaskrawe barwy chusty długo jeszcze migotały pośród domów na przeciwległym brzegu.

Młodzieniec dopiero teraz się ocknął. Stał na tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej zastała go przechodząca dziewczyna. Drgnął, chwycił za karabin, obejrzał się wokół z uczuciem, jakby coś przeoczył. Na zdradliwym słońcu marcowym drzemał Stefan. Młodemu żołnierzowi wydawało się, że obaj popełnili jakieś przestępstwo i że cała kompania mogłaby śmiało przejść obok nich w tym czasie, którego sam nie potrafiłby określić ani co do długości trwania, ani co do znaczenia, jakie miał dla niego i dla pozostałych ludzi. Zawstydzony, z przesadną gorliwością obudził Stefana i razem już czekali na zmianę warty.

Przez cały ten dzień, w godzinach odpoczynku i podczas służby, młoda Turczynka jak zjawia przechodziła niezliczoną ilość razy w jego wyobraźni. A nazajutrz koło południa, gdy na moście i na rynku jest najmniejszy ruch, ona znów naprawdę przeszła przez most. Niby w jakiejś zabawie, której prawidła znał tylko częściowo, Fedun znowu spojrzął na twarzyczkę obramowaną kolorową tkaniną. Wszystko odbyło się jak poprzedniego dnia.

Tylko spojrzenia były bardziej powłóczyście, uśmiechy szersze i śmielsze. Stefan, jakby na swój sposób uczestniczył w grze, znów drzemał na kamiennej ławie; potem jak zwykle będzie się zaklinał, że nie spał, że nawet w nocy na posłaniu oka nie może zmrudzić. W drodze powrotnej dziewczyna niemal przystanęła, patrząc prosto w oczy sztrajfkorowi, a on rzucił jej kilka słów niejasnych i bez znaczenia, czując przy tym, że nogi uginają się pod nim ze wzruszenia, i zapominając zupełnie, gdzie się znajduje. Jest to zuchwalstwo, na które potrafimy zdobyć się tylko we śnie. Gdy dziewczyna znów zniknęła na przeciwległym brzegu, młodzieniec zadrzał ze strachu. Było rzeczą nieprawdopodobną, aby młoda Turczynka ważyła się spojrzeć na szwabskiego żołnierza. Taka niesłychana i niepamiętna rzecz może zdarzyć się tylko we śnie, w marzeniu sennym albo wiosną na kapii. Zresztą on dobrze wiedział, że nic w tym kraju i w jego

położeniu nie jest tak haniebne i niebezpieczne, jak zaczepianie muzułmanki. O tym mówiono im w wojsku i w sztrajfkorze.

Kary za takie zuchwalstwo były nader ciężkie. A byli i tacy, którzy gardłem je przypłacili, ginąc z ręki rozwścieczonych, obrażonych Turków. O tym wszystkim Hrehor wiedział doskonale i z całego serca pragnął spełniać rozkazy, a jednak robił wręcz odwrotnie.

Tragedia nieszczęśliwych ludzi polega właśnie na tym, że rzeczy niemożliwe i zakazane stają się dla nich na chwilę łatwo osiągalne albo przynajmniej takimi się wydają, a gdy raz przekształcą się w pragnienie, pokazują się znów tym, czym są: nieosiągalne i zakazane, ze wszystkimi skutkami dla tych, którzy jednak wąż się po nie sięgnąć.

Trzeciego dnia koło południa dziewczyna znów nadeszła.

Jak we śnie wszystko układa się podług woli, jako jedynej rzeczywistości, która podporządkowuje sobie wszystko pozostałe, Stefan i tym razem drzemał, sam przekonany i zawsze gotów przekonywać innych, że nawet oka nie zmrużył; na kapii nie było ani jednego przechodnia. Młodzieniec teraz też coś powiedział, wybąkał kilka słów, a Turczynka zwołniała kroku i odparła coś niejasno i bojaźliwie.

Ta niebezpieczna i nieprawdopodobna gra ciągnęła się dalej.

Na czwarty dzień dziewczyna wypatrzyła chwilę, kiedy na kapii nie było nikogo, i przechodząc, zapytała szeptem podnieconego młodego żołnierza, w jakiej porze ma następną wartę.

Powiedział, że znów tu będzie z nastaniem pierwszego zmroku, koło akszamu.

- Zaprowadzę swoją starą matkę do czarszii na nocleg, a wrócę sama - szepnęła dziewczyna, nie zatrzymując się i nie odwracając głowy, ale spoglądając wymownie z ukosa. A w każdym z tych zwykłych słów czaiła się ukryta radość na myśl o nowym z nim spotkaniu.

W sześć godzin później Fedun znów był na kapii ze swym towarzyszem - śpiochem. Po deszczu zapadł świeży, jak mu się zdawało, wiele obiecujący zmierzch. Coraz mniej było przechodniów. Wtedy na osojnickiej drodze pojawiła się młoda dziewczyna otulona w swoją chustę, której barwy zgasił zmrok. Obok niej dreptała stara, zgarbiona Turczynka w ciężkiej czarnej feredży. Człapała niemal na czworakach, wspierając się prawą ręką na kiju, a lewą na ramieniu dziewczyny.

Tym sposobem przeszły obok Feduna. Dziewczyna szła wolno, dostosowując swój krok do powolnego kroku staruszki. Oczy powiększone cieniami wieczoru wlepiła teraz już śmiało i prosto w oczy młodzieńca, jakby nie mogąc się od nich oderwać. Gdy znalazły się już w czarszii, Feduna przeszło mrowie, jał przemierzać szybkim krokiem kapiję od tarasu do tarasu, jakby chcąc

nadrobić stracony czas. Ze wzruszeniem graniczącym z obawą czekał teraz na powrót dziewczyny.

Stefan drzemał.

„Co też mi powie w drodze powrotnej? - dumał młody wojak. - A co ja odpowiem? Może zechce spotkać się gdzieś ze mną wieczorem w ukryciu?” Zadrżał z rozkoszy i podniecającego niebezpieczeństwa, tkwiącego w tej myśli.

Minęła godzina na czekaniu, minęło półtorej, a dziewczyny jak nie ma, tak nie ma. Ale nawet w tym oczekiwaniu była rozkosz, rosnąca wraz z gęstniejącym mrokiem. Wreszcie zamiast młodej Turczynki przyszła zmiana warty. Tym razem jednak nadeszli nie tylko dwaj sztrajfkorowie, którzy mieli zostać na straży, ale wraz z nimi przybył wachmistrz Drazenowić we własnej osobie. Surowy człowiek o czarnej krótkiej bródce rozkazał jakimś złym, ostrym głosem Fedunowi i Stefanowi, aby natychmiast po przybyciu do koszar udali się do sypialni i nie opuszczali jej do dalszych rozkazów. Fedunowi krew uderzyła do głowy na myśl o jakiejś niejasnej przewinie.

Duża, zimna sala o dwunastu równo ustawionych pryczach świeciła pustkami. Ludzie byli na kolacji albo w mieście. Fedun i Stefan czekali zmieszani i niecierpliwi, zastanawiając się i daremnie w głowę zachodząc, za co ich wachmistrz tak surowo i niespodzianie zatrzymał. Po godzinie, gdy jęli nadchodzić pierwsi żołnierze na nocleg, wpadł nasrożony kapral, głośno i ostro rozkazując im iść z sobą. Wszystko wokół wskazywało, że surowość wobec nich narasta; nie wróżyło to nic dobrego.

I ledwo zostali wyprowadzeni, rozdzielono ich i zaczęto przeszłuchiwać każdego z osobna.

Mijała noc. Nadchodziła pora, kiedy ostatnie światełka zgasły w kasabie, ale okna w koszarach wciąż były oświetlone.

Od czasu do czasu słychać było dzwonek u bramy, pobrzękiwanie kluczy i trzaskanie ciężkich wierzei. Ordynansi przychodzili i odchodzili, krążyli po zaspanym, w ciemnościach pogrążonym mieście między koszarami a Konakiem, gdzie na pierwszym piętrze paliły się lampy. Już po tych zewnętrznych oznakach można było domyślić się, że w kasabie dzieje się coś niezwykłego.

Gdy koło godziny jedenastej wprowadzono Feduna do kancelarii rotmistrza, zdawało mu się, że minęły dni i tygodnie od tego na kapii. Na stole paliła się mosiężna lampa naftowa z zielonym porcelanowym kloszem. Przy niej siedział rotmistrz Kreczmar. Ręce miał oświetlone po łokcie, a górna część korpusu i głowa tonęły w cieniu zielonego klosza. Młodzieniec znał tę bladą, pyzată, prawie kobiecą twarz bez zarostu, o niemal niewidocznych małych wąsikach i ciemno podkrążonych szarych oczach. Tego rosłego i opanowanego oficera, małomównego, o ciężkich

ruchach bali się sztrajkorowie jak ognia. Niewielu było ludzi, którzy mogli długo wytrzymać spojrzenie dużych szarych oczu i nie jękali się, odpowiadając na jego pytania; w pytaniach tych każde słowo było wypowiedziane cicho, ale krótko, energicznie i wyraźnie, od pierwszej do ostatniej głoski, jak w szkole albo w teatrze. Opodal stał wachmistrz Drazenowić. Jego cała górna część ciała także tonęła w cieniu, tylko opuszczone, włochate ręce miał jasno oświetlone; na jednej lśniła gruba złota obrączka.

Pytania zadawał Drazenowić.

- Powiedzcie nam, jak spędziliście czas od piątej do siódmej, kiedy to z żołnierzem posiłkowym sztrajkoru Stefanem Kalacaniem pełniliście służbę na kapii?

Fedunowi krew uderzyła do głowy. Każdy spędza czas jak najlepiej może i umie, ale nikomu nie przychodzi do głowy, że będzie musiał potem odpowiadać przed jakimś surowym sądem i składać sprawozdanie ze wszystkich czynności aż do najdrobniejszych szczegółów, do najskrytszych myśli i co do minuty.

Nikt o tym nie myśli, osobliwie gdy ma dwadzieścia trzy lata i na kapii jest wiosna. Cóż odpowiedzieć? Na warcie te dwie godziny upłynęły jak zawsze, jak wczoraj i przedwczoraj. Ale w tej chwili nie potrafi sobie przypomnieć nic zwykłego i codziennego, co mógłby powiedzieć. W jego pamięci pojawiają się tylko rzeczy uboczne i niedozwolone, które każdemu się zdarzają, ale których nie opowiada się przełożonym: że Stefan swoim zwyczajem drzemał; że on, Fedun, zamienił kilka słów z nieznaną młodą Turczynką; że potem o zmierzchu nucił w rozmarzeniu swoje ojczyste śpiewki, czekając na powrót dziewczyny, a wraz z nią na coś wzruszającego i niezwykłego. Ach, jakże trudno odpowiadać, nie sposób wszystko wyznać, a niedobrze przemilczeć! Trzeba się spieszyć, bo czas ucieka i tylko powiększa zakłopotanie i nieprzyjemną sytuację. Jak długo już trwa to jego milczenie?

- No? - mruknął rotmistrz. Wszyscy znają to jego „no”, wyraźne, gładkie, potężne, jak dźwięk jakiegoś silnego, skomplikowanego i dobrze naoliwionego mechanizmu.

Na samym początku Fedun zaczął jąkać się i płątać niby przestępca.

Noc upływała, ale lampy nie gasły ani w koszarach, ani w Konaku. Ciągnęły się przesłuchania, protokoły, konfrontacje. Przesłuchiowano także i innych, którzy tego dnia pełnili służbę na kapii. Odnaleziono też i sprowadzono niektórych przechodniów. Ale było rzeczą oczywistą, iż krąg zacieśniał się wokół Feduna i Stefana, a w przesłuchiowaniu ich dokoła starej turczynki, którą przeprowadziła jakaś dziewczyna.

Młodzieńcowi zdawało się, że spadła nań mroczna, niepojęta odpowiedzialność z marzeń sennych. O świcie skonfrontowano go ze Stefanem. Chłop chytrze mrużył oczy i mówił sztucznie,

jakimś piskliwym dyszkantem, wciąż powołując się na to, że on jest niepiśmiennym wieśniakiem i we wszystkim zasłaniając się „panem Fedunem”, jak ciągle nazywał swego współtowarzysza.

„Tak trzeba odpowiadać” - myślał młody żołnierz, któremu z głodu burczało w brzuchu; drżał z przejęcia, chociaż wciąż jeszcze nie rozumiał, o co chodzi i na czym właściwie polega jego niedopatrzenie albo wina. Ale rano przyniósł całkowite wyjaśnienie. Całą noc kręciło się to nieprawdopodobne koło; pośrodku znajdował się rotmistrz, zimny, nieubłagany; nieruchomy i niemy, nikomu nie dawał spokoju i nie pozwalał milczeć.

Zachowaniem swym i wyglądem nie przypominał człowieka, lecz wydawał się uosobieniem obowiązku, strasliwym kapłanem sprawiedliwości, niedostępnym słabościom i uczuciom, obdarzonym niezmierną siłą, pozbawionym ludzkich potrzeb przyjmowania pokarmu, snu i wypoczynku. Nad ranem po raz drugi przyprowadzono Feduna przed rotmistrza. W kancelarii poza rotmistrzem i Drazenowiciem znajdował się zbrojny żandarm i jakaś kobieta, która w pierwszej chwili wydała się młodzieńcowi nierzeczywista. Lampa już się nie paliła. Pokój wychodzący na północ zimny był i mroczny. Zdumiewało go, że skomplikowany nocny sen trwa dalej i nie chce nawet w świetle dnia zblednąć i zniknąć.

- Czy to ten był na warcie? - pytał Drazenowic kobietę.

Z ogromnym wysiłkiem, sprawiającym mu ból, Fedun dopiero teraz przyjrzał się jej lepiej. Była to owa muzułmańska dziewczyna z dnia wczorajszego, tylko bez chusty, z gołą głową otoczoną ciemnymi grubymi warkoczami. Miała na sobie barwne szarawary, ale pozostałe części odzieży - pas i serdak - takie, jakie noszą Serbki po wsiach na wysokich równinach nad kasabą.

Bez chusty wyglądała na starszą i tęższą. Twarz jej była zmieniona, usta duże, złe, powieki zaczerwienione, a oczy błyszczące i jasne, jakby uleciał z nich wczorajszy cień.

- Tak - odparła kobieta obojętnie, twardym głosem, który dla Feduna tak samo był nowy i niezwykły, jak i cały jej teraźniejszy wygląd.

Drazenowic badał dalej, jak i ile razy przeszła przez most, co powiedziała Fedunowi, a co on jej. Ona mówiła przeważnie prawdę, ale niedbale i przekornie.

- Dobrze, Jelenka, a co ci powiedział, kiedyś przeszła ostatni raz?

- Coś powiedział, ale dobrze nie wiem co, bo nie słuchałam, wciąż zastanawiałam się, jak przeprowadzić Jakowa.

- O tym myślałaś?

- Tak - odparła niechętnie kobieta, najwyraźniej zmęczona, nie chcąc mówić więcej, niż musi.

Ale wachmistrz był wytrwały. Głosem, w którym brzmiała groźba, zdradzającym, że przywykł do absolutnego posłuszeństwa, żądał, aby powtórzyła słowo w słowo, co zeznała na pierwszym przesłuchaniu w Konaku.

Kobieta broniła się, skracała i przeskakiwała niektóre szczegóły z poprzedniego zeznania, ale on zawsze ją powstrzymywał i zwracał ostrym, zręcznym pytaniem.

Powoli wychodziła na jaw cała prawda. A więc nazywała się Jelenka i była z domu Tasiciów z Górnej Lijeski. Zeszłej jesieni przybył w te strony hajduk Jaków Czekrlija i zimował ukryty w szałasie powyżej ich wsi. Z jej domu dostarczali mu żywność i bieliznę. Najczęściej zanosila ona. Przypadli sobie do serca i pokochali się. A gdy śnieg jął topnieć i coraz częstsze były pościgi sztrajfkorów, Jaków postanowił za wszelką cenę przedostać się do Serbii. O tej porze roku trudna jest przeprawa przez Drinę, gdyby nawet nie była strzeżona, na moście zaś stały warty. Wybrał most i ułożył plan oszukania wartowników. Ona poszła z nim, gotowa mu pomagać nawet za cenę życia. Najpierw zeszli na Lijeskę, a potem ukryli się w pieczarze powyżej Okoliszta. Przedtem jeszcze na Glasincu Jaków kupił od jakichś Cyganów kobiece szaty tureckie: feredżę, szarawary i chustę. A potem ona, podług jego wskazówek, jęła przechodzić przez most w porze, gdy nie ma na nim wielu Turków, aby nikt nie wypytywał się, co to za jedna nieznajoma dziewczyna, a także aby strażę przywykły do niej. Przechodziła tak przez trzy dni pod rząd, aż wreszcie postanowiła przeprowadzić Jakowa.

- A czemu przeprowadziłaś go akurat wtedy, gdy ten żołnierz był na warcie?

- Bo wydawał mi się jakiś najłagodniejszy.

- Dlatego?

- Dlatego.

Pod naciskiem wachmistrza kobieta ciągnęła dalej. Gdy wszystko było już gotowe, Jaków opatulił się feredżą, a ona w zmroku przeprowadziła go jako swoją starą matkę obok warty, która nic nie spostrzegła, ten młodzieniec bowiem wpatrywał się w nią, a nie zwracał uwagi na staruszkę, tamten zaś starszy siedział na sofie, jakby drzemiąc.

Kiedy przybyli na rynek, przez ostrożność nie szli prosto główną ulicą, ale skręcili w boczne zaułki. To ich zgubiło.

Zabłądzili w nieznanym mieście i zamiast wyjść na mostek na Rzawie i tym sposobem znaleźć się na szosie wiodącej ku jednej i drugiej granicy, natrafili na jakąś turecką gospodę, skąd właśnie wychodzili ludzie. Pośród nich był żandarm, Turek, rodem z kasaby. Owa opatulona starucha z dziewczyną, której dotąd nigdy nie widywał, wydały mu się podejrzane, ruszył więc za nimi. Śledził je aż do Rzawu. Tu podszedł i zapytał, kim są i dokąd się wybierają. Jaków, który przez zasłonę uważnie obserwował jego ruchy, uznał, iż nadeszła pora ucieczki. Zrzucił feredżę i

pchnął Jelenkę na żandarma tak silnie, że oboje stracili równowagę („bo on jest drobny, niski, ale silny jak ziemia, a serce ma inne niż wszyscy ludzie!”). Ona sama, jak spokojnie przyznała, podcięła żandarmowi nogi. Zanim ten zdołał się uwolnić od Jelenki, Jaków wskoczył do Rzawu jakby w kałużę, chociaż woda sięgała mu po pas, i przepadł bez śladu w wiklinie na przeciwległym brzegu. Zaprowadzili ją potem do Konaku, bili i grozili, ale ona nie ma już nic do powiedzenia i nic nie powie.

Na próżno wachmistrz usiłował okrężnymi pytaniami, pochlebstwem i groźbą wyciągnąć coś więcej z dziewczyny, dowiedzieć się nazwisk współników i pomocników, a także o dalszych zamiarach Jakowa. Na niej to nie wywierało najmniejszego wrażenia. O tym, co chciała, paplała aż za dużo, ale z tego, czego nie zamierzała powiedzieć, nie wymogli na niej ani jednego słowa mimo wysiłków Drazenowicia.

- Lepiej powiedz nam wszystko od razu, co wiesz, niż mielibyśmy badać i męczyć Jakowa, którego z pewnością złapali już na granicy.

- Kogo? Jego? Też coś!

Tu dziewczyna spojrzała na wachmistrza z politowaniem, jak na człowieka, który nie wie, co mówi, a jej górna warga uniosła się wzgardliwie do góry. (W ogóle grymas jej górnej wargi, która wyglądała jak skręcona pijawka, wyrażał uczucia gniewu, pogardy albo przekory, ilekroć przewyższały one jej zasób słów. Ten skurcz nadawał pięknej zresztą i regularnej twarzy przykry, nieprzyjemny wyraz). Z jakimś całkiem dziecinnym rozmarzeniem, zupełnie sprzecznym z owym nieładnym grymasem górnej wargi, spojrzała przez okno. Tak chłop patrzy na pole, gdy chce zobaczyć, jaka pogoda.

- Bóg z wami! Oto świta! Od wczorajszego wieczoru on mógł całą Bośnię obtańcować dokolusienka, a nie tylko przekroczyć granicę o godzinę albo dwie marszu stąd. Wiem ja coś o tym. Mnie możecie bić i zabić za to, że poszłam z nim, ale jego już nie zobaczycie. Wybijcie to sobie z głowy! Ot co!

Jej górna warga znowu skrzywiła się i uniosła z prawej strony, cała twarz zaś nagle postarzała, zrobiła się bardziej doświadczonej, wyzywająca i brzydka. A gdy ta warga opadła, znowu przybrała dziecinnie wyraz jakiejś miłej, nieświadomej śmiałości.

Nie wiedząc, co robić, wachmistrz Drazenowić spojrzał na rotmistrza; ten dał znak, żeby wyprowadzić dziewczynę.

I znowu rozpoczęło się badanie Feduna. Nie mogło już być ani uciążliwe, ani długie. Młodzieniec przyznał się do wszystkiego, nic nie potrafiwszy przytoczyć na swoją obronę, nawet tego, co mu sam Drazenowić w pytaniach umyślnie podsuwał.

Nawet słowa rotmistrza, zawierające nieodwołalne i bezwzględne potępienie, chociaż przebijają z nich tajone ubolewanie nad tym faktem, nie mogło wyrwać młodzieńca z martwoty.

- Ja was, Fedun - mówił po niemiecku Krczmar - uważałem za poważnego młodzieńca, świadomego swych obowiązków i swego życiowego celu; myślałem, że pewnego dnia będzie z was doskonały żołnierz, chluba naszego oddziału.

A wyście stracili głowę dla pierwszej lepszej dziewczuchy, która wam przeszła przed nosem. Zachowaliście się jak słabeusz, jak człowiek, któremu nie można powierzyć poważnej roboty.

Muszę was oddać pod sąd. Ale jakikolwiek zapadnie wyrok, dla was będzie największą karą fakt, że okazaliście się niegodnym pokładanego w was zaufania i we właściwej chwili nie potrafiliście zachować się jak na mężczyznę i żołnierza przystało. A teraz idźcie.

Nawet te ciężkie, urywane, skandowane słowa nie były w stanie wnieść nic nowego do świadomości młodzieńca. To wszystko już tkwiło w jego sercu. Postać i słowa tej kobiety, miłośnicy hajduka, zachowanie Stefana i cały przebieg krótkiego dochodzenia ukazały mu nagle we właściwym świetle jego lekkomyślną, niewinną i niewybaczalną wiosenną zabawę na kapii. Słowa rotmistrza stanowiły jakby tylko oficjalne przypieczętowanie tego wszystkiego; były one raczej potrzebne samemu rotmistrzowi, aby mógł zadośćuczynić jakimś niepisany, lecz odwiecznym wymogom prawa i porządku, niż Fedunowi. Jakby doznał objawienia, młodzieniec uświadomił sobie nagle znaczenie kilku chwil zapomnienia w nieodpowiednim momencie i w niebezpiecznym miejscu. Gdyby te przeżyte na kapii chwile pozostały nieznanne, nic by nie znaczyły. Oto jeszcze jedna młodzieńcza pustota, o której później opowiada się kolegom podczas nudnych patroli nocnych. Ale sprowadzone na grunt konkretnej odpowiedzialności oznaczają wszystko. Więcej nawet niż śmierć: koniec wszystkiego, w dodatku niepożądany, haniebny koniec. Nigdy już nie będzie można rzetelnie i całkowicie tego wyjaśnić sobie samemu ani innym. Nigdy już nie będzie listów z Kołomyi ani fotografii rodzinnych, ani przekazów pocztowych, które z taką dumą posyłał do domu. Koniec człowieka, który się pomylił i pozwolił wywieść w pole.

Dlatego nie znalazł ani jednego słowa odpowiedzi.

Nadzór nad Fedunem nie był szczególnie surowy. Dali mu śniadanie, które zjadł jakby nie swoimi ustami, potem kazali spakować rzeczy, oddać broń i rzeczy służbowe, a o godzinie dziesiątej miał wyruszyć dylizansem pod eskortą żandarma do Sarajewa, gdzie zostanie przekazany sądowi garnizonowemu.

Podczas gdy młodzieniec zbierał swoje rzeczy z półki nad posłaniem, kilku kolegów, przebywających jeszcze w sypialni, wymknęło się na palcach, zamykając ostrożnie i bezszelestnie drzwi za sobą. Wokół Feduna rósł krąg samotności i przygnębiającej ciszy, który zawsze

wytwarza się wokół człowieka dotkniętego nieszczęściem, jak wokół chorego zwierzęcia. Najpierw zdjął czarną tabliczkę, na której farbą olejną było wypisane po niemiecku jego nazwisko, stopień, numer jego oddziału i jednostki, położył ją na kolanie, odwracając zapisaną stronę.

Na przeciwnej, czarnej stronie nagryzmolił szybko kawałeczkiem kredy drobnym pismem: „Wszystko, co zostanie po mnie, odesłać memu ojcu do Kołomyi. Żegnam wszystkich kolegów, a przełożonych proszę o przebaczenie. H. Fedun”. Potem jeszcze raz wyjrzał przez okno i dostrzegł tyle tylko, ile w ciągu sekundy można zobaczyć przez ten wąski otwór. Następnie zdjął swój karabin, nabił ciężkim, jedynym, lepkiem od smarów nabojem. Zdjąwszy but, scyzorykiem rozpruł skarpetę na palcu prawej nogi, położył się na pryczy, objął karabin rękami i kolanami, tak że lufa wpiła mu się w podbródek, ułożył nogę w ten sposób, że wycięciem w skarpetce zaczepił o spust i szarpnął.

Rozległ się strzał.

Po wielkiej decyzji wszystko staje się łatwe i proste. Przybył lekarz. Odbyła się wizja lokalna, a protokół z niej został załączony w odpisie do akt z przesłuchania Feduna.

Wtedy wyłoniła się kwestia pogrzebu. Drazenowiciowi polecono udać się do popa Nikoli i rozstrzygnąć z nim sprawę: czy można pochować Feduna na cmentarzu, mimo że sam odebrał sobie życie, i czy pop zgadza się odprawić nabożeństwo żałobne za duszę nieboszczyka, który był unitą.

W ostatnim roku pop Nikola nagle postarzał się i nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, dlatego wziął sobie do tak dużej parafii pomocnika, popa Josa. Był to człowiek małomówny i niespokojny, chudy i czarny jak ziemia. W ciągu ostatnich miesięcy pełnił prawie wszystkie obowiązki i obrzędy po mieście i wsiach, a pop Nikola, który z trudem się poruszał, przeważnie tylko te, jakie mógł pełnić w domu albo w stojącej tuż przy domu cerkwi.

Z rozkazu rotmistrza Drazenowic udał się do domu popa Nikoli. Dziadek przyjął go, leżąc na otomanie; obok niego stał pop Joso. Gdy Drazenowic wyłożył mu sprawę śmierci Feduna i pogrzebu, obaj kapłani milczeli przez chwilę. Widząc, że pop Nikola nic nie mówi, pop Joso zabrał głos pierwszy, niejasno i bojaźliwie: że sprawa jest wyjątkowa i niezwykła, że są przeszkody tak w przepisach kościelnych, jak w obyczajach i że można to zrobić tylko wtedy, jeśli się udowodni, iż samobójca nie był przy zdrowych zmysłach. Ale wtedy ze swego twardego, wąskiego posłania, nakrytego starym, wypłowiałym kilimem, uniósł się pop Nikola. Ciało jego przybrało posągowy kształt, jaki miało zawsze, ilekroć przechodził przez śródmieście, gdzie witano go z lewej i prawej strony ulicy. Pierwsze słowo, jakie wymówił, rozjaśniło jego szeroką twarz, zawsze jeszcze rumianą, z sumiastymi wąsami łączącymi się z brodą, o rudych, prawie

białych, gęstych i szczeciniastych brwiach, twarz człowieka, który od urodzenia nauczył się samodzielnie myśleć, a myśl swoją szczerze wypowiadać i dobrze jej bronić.

Bez ociągania się i wielkich słów odpowiedział bezpośrednio i popu, i wachmistrzowi:

- Teraz, gdy stało się to nieszczęście, nie ma co tu dowodzić. Kto przy zdrowych zmysłach podniesie rękę na siebie?

A któż by znów ważył się wziąć na swoje sumienie, aby pochować go gdzieś pod płotem i bez kapłana? Ty, panie, każ przysposobić nieboszczyka, a my go czym prędzej pochowamy i to na cmentarzu, ma się rozumieć! Ja sam zaśpiewam mu nad grobem! A potem, jeśli kiedy zawita tu jakiś pop jego wyznania, niech doda i poprawi, jeśli uzna, że coś nie było, jak trzeba.

A gdy Drażenowić wyszedł, zwrócił się jeszcze raz do popa Josa, który stał zawstydzony i zaskoczony:

- Jakże nie wpuścić na cmentarz chrześcijanina? I czemu miałbym nie odprawić nabożeństwa? Czyż mało mu tego, że nie miał szczęścia za życia? A tam niech go pytają o grzechy ci, co także nas wszystkich pytać będą o nasze.

Tym sposobem młody człowiek, który popełnił błąd na kapii, pozostał na zawsze w kasabie. Pochowano go nazajutrz przy wtórze starczych pień żałobnych papa Nikoli i kościelnego Dimitrija.

Kolejno podchodzili do grobu sztrajfkorowie i rzucali po grudce ziemi. Podczas gdy dwóch grabarzy szybko się uwijało, oni stali jeszcze kilka chwil nad grobem, jakby czekając na komendę, patrząc na przeciwległy brzeg, gdzie obok koszar wznosił się w niebo prosty słup dymu. To na owej zielonej polanie nad koszarami palono zbroszoną krwią słomę z siennika Feduna.

Tragiczna śmierć młodego sztrajfkorowca, którego imienia nikt już nie znał, a który życiem przypłacił kilka wiosennych chwil nieuwagi i marzeń na kapii, należała do wydarzeń, dla jakich ludzie w kasabie mają dużo zrozumienia, długo je pamiętają i opowiadają. Pamięć o wrażliwym, nieszczęśliwym młodzieńcu przetrwała znacznie dłużej niż warty na kapii.

Już następnej jesieni powstanie w Hercegowinie wygasło.

Kilku wybitnych przywódców, muzułmanów i Serbów, zbiegło do Czarnogóry albo do Turcji. Pozostało jeszcze w tych stronach kilku hajduków, którzy właściwie nie mieli nic wspólnego z powstaniem, będącym odpowiedzią na pobór rekruta, a rzemiosło hajducze uprawiali na własną rękę. Ale i oni zostali wyłapani albo rozproszeni. Hercegowina się uspokoiła. Bośnia dała rekruta bez oporu. Jednakże wymarsz pierwszych poborowych z kasaby nie przeszedł ani łatwo, ani prosto.

Z całego powiatu nie wzięto więcej niż stu młodzieńców, lecz tego dnia, gdy zebrali się przed Konakiem chłopci ze swymi torbami i nieliczni mieszczanie z drewnianymi kuferkami,

wydawało się, że na kasabę spadła zaraza i blady strach. Wielu rekrutów piło na umór od świtu co popadło. Chłopi byli w czystych, białych koszulach. Rzadko kto nie pił, siedząc obok swoich rzeczy pod ścianą i drzemiąc. Większość była podniecona, zarumieniona od alkoholu i spocona z gorąca. Po kilku chłopaków z tej samej wioski, objawszy się, dotykają się głowami, kołyszą niby żywy las i zawodzą przeciągle basem, jakby sami byli na świecie:

Oj, dzieeewczyno! Oooj!

O wiele większy zamęt niż rekruci robiły kobiety - matki, siostry i krewniaczki owych młodzieńców; przybyły z odległych wsi, aby ich odprowadzić, napatrzeć się, wypłakać nad ich dolą i nalamentować, aby obdarzyć ich jeszcze na pożegnanie ostatnim drobiazgiem i ostatnią pieśczęcią. Rynek przy moście pełen był kobiet. Siedziały skamieniałe, jakby czekając na wyrok, gwarzyły i od czasu do czasu ocierały łzy końcem chustki. Na próżno przedtem tłumaczono po wsiach, że młodzieńcy nie idą na wojnę ani do więzienia, że w Wiedniu będą służyć cesarzowi, syci, odziani i obuci, że po dwóch latach wrócą do domów, że młodzieńcy ze wszystkich innych ziem cesarstwa służą w wojsku, i to po trzy lata. Wszystko to było jak rzucanie grochu o ścianę, obce i nie trafiało do przekonania. Słuchały tylko swego instynktu i tylko nim umiały się kierować. A ten odwieczny, atawistyczny instynkt wyciskał im łzy z oczu i dobywał jęk z gardła, sprawiał, że uparcie szły, póki sił starczyło, i ostatnim spojrzeniem towarzyszyły ukochanemu nad życie, którego nieznany cesarz uprowadzał do obcej ziemi na roboty, wystawiając na nieznane pokusy. Na próżno i teraz krążyli pośród nich żandarmi i urzędnicy z Konaku, przekonywali, że nie ma powodów do tak przesadnej żalości, i perswadowali, aby nie tamowały przejścia, nie biegły za rekrutami, nie wytwarzały zamętu i nie robiły nieporządku, gdyż wszyscy powrócą zdrowi i żywi. Wszystko daremnie. Kobiety słuchały, potakiwały im tępo i uniżenie, ale zaraz potem wybuchały płaczem i zawodziły.

Zdawało się, że upodobały sobie łzy i jęki tyleż, co i tego, którego tak oplakują.

Gdy nadeszła pora wymarszu i poborowi, ustawiwszy się, jak trzeba, czwórkami ruszyli przez most, powstało takie zamieszanie i bieganina, że nawet najbardziej opanowani żandarmi ledwo dawali sobie radę.

Kobiety biegły na wyścigi, aby być obok swoich bliskich, popychały się i przewracały. Jęki ich mieszały się z nawoływaniem, zakłęciami i ostatnimi poleceniami. Niektóre wybiegały nawet przed rekrutów, prowadzonych przez czterech żandarmów, rzucały im się do nóg, bijąc się w rozchelstane piersi i wołając:

- Po moim trupie! Tylko po moim trupie!

Żandarmi z trudem podnosili je, ostrożnie wysuwając buty i ostrogi z ich rozwianych i splątanych spódnic.

Niektórzy zawstydzeni rekruci gniewnymi ruchami nakazywali kobietom wracać do domów. Sami młodzieńcy przeważnie śpiewali albo pokrzykiwali, co jeszcze bardziej powiększało ogólne zamieszanie. Kilku młodych ludzi z kasaby, bladych ze wzruszenia, śpiewało zgodnie, z miejska:

Sarajewo i Bośnia,

Każda matka żalosna,

Która śle w rekruty syna

Carowi do Wiednia.

Pieśń pobudzała do jeszcze większej rozpacz.

Gdy w końcu jakoś przeszli most, gdzie cały pochód ugrzązł, i ruszyli sarajewskim traktem, czekał na nich szpaler mieszczan, którzy wyszli pożegnać poborowych i oplakać, jakby prowadzono ich na stracenie. Tutaj także było dużo kobiet, a wszystkie bez wyjątku zalewały się łzami, chociaż nie miały nikogo bliskiego pośród rekrutów. Każda bowiem zawsze ma jakiś powód do płaczu, a najłatwiej roni się łzy nad cudzą żalobą.

Ale stopniowo szeregi ludzi po obu stronach drogi się przeredzały. Niektóre chłopki też pozostawały w tyle. Najwytrwalsze były matki, biegły za rekrutami, jakby miały piętnaście lat, przeskakiwały rowy przydrożne, usiłując zwieść żandarmów i jak najbardziej zbliżyć się do swego dziecka. Widząc to, sami młodzieńcy, bladzi ze wzruszenia i skrępowania, odwracali się, pokrzykując:

- Wracaj do domu, jak ci mówię!

Ale matki szły jeszcze długo, ślepe na wszystko, prócz uprowadzanego syna, i głuche na wszystko, prócz własnego płaczu.

Jednakże i te wstrząsające dni minęły. Rozeszli się ludzie po wsiach i uspokoili w kasabie. A gdy jęły nadchodzić listy i pierwsze fotografie od rekrutów z Wiednia, życie stało się łatwiejsze i znośniejsze. Kobiety długo pochlipowały i nad zdjęciami, ale rzewliwie i cicho.

Sztrajfkor został rozwiązany i opuścił kasabę. Na kapii od dawna już nie ma warty i ludzie po dawnemu na niej przesiadują.

Szybko minęły dwa lata. A tej jesieni naprawdę wrócili pierwsi rekruci: schludni, ostrzyżeni i dobrze odżywieni. Ludzie cisnęli się wokół nich, oni zaś opowiadali o życiu żołnierskim i wielkości miast, które widzieli, wtrącając niezwykle nazwy i obce wyrazy. Przy poborze następnego rocznika mniej już było łez i zamieszania.

W ogóle wszystko stawało się łatwiejsze i prostsze. Dorastali młodzieńcy, którzy nie mają już jasnych i żywych wspomnień z czasów tureckich, a pod wieloma względami przyswoili sobie nowy styl życia. Ale na kapii życie płynęło według dawnych zwyczajów kasaby. Mimo nowej mody, nowych godności i zajęć, tutaj wszyscy pozostali mieszkańcami kasaby, takimi, jakimi byli

od niepamiętnych czasów w rozmowach, które dla nich zawsze stanowiły rzeczywistą potrzebę serca i wyobraźni. Rekruci odchodzą bez zamieszania i buntów. Hajduków wspominają tylko starsi w swych opowieściach. O sztrajkorze zapomniano, podobnie jak o dawnej warcie tureckiej, kiedy to strażnica stała na kapii.

XIV

Życie w kasabie koło mostu stawało się coraz bardziej ruchliwe, wydawało się coraz szczęśliwsze i bogatsze, a płynęło spokojnie, zdobywając nieznaną dotąd równowagę, ową równowagę stabilizacji, do której zawsze i wszędzie dąży, a osiąga tylko rzadko, częściowo i przemijająco.

W dalekich i nieznanym nam miastach, w których teraz królowało się i skąd się rządziło również i tym krajem, panował wówczas - w ostatniej ćwierci XIX wieku - właśnie taki okres spokoju, jeden z rzadkich i krótkich w stosunkach i dziejach społeczeństwa ludzkiego. Coś niecoś z tego dawało się odczuć i tu, na zapadłej prowincji, jak wielka cisza morską daje się odczuć nawet w najbardziej odległych dolinach.

Były to trzy dziesięciolecia względnego dobrobytu i pozornego spokoju za panowania Franciszka Józefa, kiedy to niejeden Europejczyk wyobrażał sobie, iż wykrył bezbłędną formułkę na urzeczywistnienie stuletnich marzeń o pełnym, szczęśliwym rozwoju jednostki w ogólnej wolności i postępie, kiedy to wiek XIX rozpościerał przed oczami milionów ludzi swoje różnorodne, złudne dobrodziejstwa, stwarzając iluzję komfortu, bezpieczeństwa i szczęśliwości dla wszystkich i dla każdego z osobna po przystępnych cenach i na raty. A do zabitej deskami bosmańskiej kasaby dochodziły tylko okruchy tego dziewiętnastowiecznego życia, i to w takiej mierze i formie, w jakiej to zacofane, orientalne środowisko mogło je przyjąć, na swój sposób przetrwać i przystosować.

Ponieważ minęły pierwsze lata nieufności, bezwładu, dezorientacji i uczucia tymczasowości, kasaba poczęła znajdować sobie miejsce w nowym układzie rzeczy. Naród otrzymał porządek, zarobek i bezpieczeństwo. A to wystarczyło, aby życie, zewnętrzne życie ruszyło „torem doskonalenia i postępu”. Resztę spychano w pomrokę podświadomości, gdzie żyją i nurtują zasadnicze uczucia i niezniszczalne wierzenia poszczególnych ludów, wyznań i kast, i na pozór martwe i pogrzebane sposobią się dla późniejszych, odległych czasów nieprzewidziane przemiany i katastrofy, bez których narody, zda się, nie mogą istnieć, osobliwie ten kraj.

Nowe rządy po pierwszych nieporozumieniach i konfliktach robiły wrażenie mocnych i trwałych. (One same miały to złudzenie, bez którego nie istnieje stała i silna władza). Były bezosobowe, pośrednie i choćby dlatego łatwiejsze do zniesienia niż dawna władza turecka.

Wszystko, co było okrutnego i grabieżczego, pokrywał majestat, blask i uświęcone formy. Ludzie bali się władzy, ale tak, jak się boi choroby i śmierci, a nie tak, jak się drży przed złośliwością, nędzą i gwałtem. Dla większości przedstawicieli nowej władzy, tak wojskowych, jak cywilnych, kraj ten był obcy, a o narodzie nie mieli pojęcia; sami mało znaczący, ale na każdym kroku czuło się, iż są drobną cząstką wielkiego mechanizmu i że za każdym z nich stoją w długich szeregach i na niezliczonych szczeblach potężniejsi ludzie i wyższe urzędy. To dodawało im powagi, która znacznie przewyższała ich osobowość, i wywierało magiczny wpływ, któremu łatwo się ulegało. Swymi wiadomościami - tutaj wydawały się one duże - swym spokojem i europejskimi manierami budzili zaufanie i respekt w narodzie, od którego tak bardzo się różnili, nie wywołując zawiści ani rzeczywistej krytyki, chociaż wcale nie byli mili ani lubiani.

Z drugiej zaś strony po jakimś czasie nawet ci cudzoziemcy nie mogli całkowicie oprzeć się wpływom niezwyklego, orientalnego środowiska, w którym przyszło im żyć. Dzieci ich przynosiły miejscowym rówieśnikom obce wyrazy i imiona, zaprowadzały pod mostem nowe gry i pokazywały nowe zabawki, ale równie szybko przyjmowały od tutejszych dzieci nasze pieśni, powiedzonka, zaklęcia i starodawne gry w andżaiz, klis i szudę.

Podobnie rzecz się miała z dorosłymi. Przybysze wprowadzali niezwykle wyrazy, nowe zwyczaje i obyczaje, ale jednocześnie sami z każdym dniem przejmowali coś z mowy albo stylu życia tubylców. Co prawda nasi ludzie, zwłaszcza chrześcijanie i Żydzi, jeśli w ubiorze i sposobie bycia coraz bardziej upodabniać się do cudzoziemców, ale i obcy nie zostawali niezmienni i nietknięci przez środowisko, w którym wypadło im żywot spędzić.

Niejeden z owych urzędników, ognisty Węgier albo zarozumiały Polak, przeszedł przez most z obawą, wstępując z odrazą do kasaby, gdzie z początku odbijał od wszystkich jak kropla oliwy od wody, po której pływa. A już w kilka lat później godzinami przesiadywał na kapii, palił, trzymając w ustach grubą bursztynową cygarniczkę i niby rodowity mieszkaniec kasaby śledził wzrokiem dym snujący się i znikający pod jasnym niebem w nieruchomym powietrzu o zmierzchu. Albo też wieczorem wraz z naszymi gospodarzami i bejami spędzał czas na jakiejś zielonej polance z gałązką bazyliki w ręku, lekko i beztrosko gawędził, wolno popijając wino i z rzadka zagryzając, jak to potrafią tylko ludzie z kasaby. A byli także i tacy pośród tych cudzoziemców, urzędników albo rzemieślników, którzy ożenili się w kasabie, zdecydowani pozostać tu na zawsze.

Ani jednemu mieszkańcowi kasaby nowe życie nie przyniosło ziszczenia tego, co we krwi nosili i czego od niepamiętnych czasów całą duszą pragnęli; wprost przeciwnie - wszyscy, tak muzułmanie, jak chrześcijanie wkraczali w nie z różnorodnymi wątpliwościami, ale rezerwa ta była ukryta i tajemna, a życie jawne i przemożne z nowymi i pozornie wielkimi szansami.

Większość więc po dłuższym lub krótszym wahaniu płynęła z nowym prądem, pracowała, dorabiała się i żyła na nową modłę, podług nowych obyczajów, które wносиły większy rozmach i dawały więcej możliwości jednostkom.

Nowe bytowanie wcale nie było mniej ograniczane i skrępowane niż za dawnych czasów tureckich, tylko lżejsze i bardziej ludzkie, a więzy i warunki były teraz daleko i zręcznie ustawione, tak że nikt ich bezpośrednio nie odczuwał. Stąd każdemu wydawało się, iż dokoła niego zrobiło się nagle przestronniej, swobodniej, barwniej i zasobniej.

Nowe państwo ze swoim dobrym aparatem administracyjnym umiało bezboleśnie, bez gwałtów i wstrząsów wydobywać z narodu podatki i daniny, które rządy tureckie wyciskały zeń nieracjonalnymi, surowymi metodami albo po prostu rabunkiem; i to wydobywało tyleż, a nawet więcej, lecz szybciej i pewniej.

Podobnie jak w swoim czasie za wojskiem nadciągnęła żandarmeria, a za nią urzędnicy, tak teraz za urzędnikami przybyli kupcy. Zaczął się wyrąb lasów, a więc zjawili się obcy przedsiębiorcy, inżynierowie i robotnicy, najprzeróżniejsze zarobki dla szarych ludzi i kupców, nowe zwyczaje i nowa moda w ubiorze i mowie. Wybudowano pierwszy hotel. (O nim będzie jeszcze mowa). Wyrastały jak grzyby po deszczu kantyny i sklepy, o jakich dotąd nikt nie miał pojęcia. Prócz Żydów hiszpańskich, sefardów, którzy tu mieszkają od setek lat, jako że przywędrowali jakoś w tym samym czasie, gdy budowano most na Drinie, teraz przybyli Żydzi galicyjscy, aszkenazi.

Niby świeża krew jał krążyć po kraju pieniądź w dotąd niespotykanych ilościach i co najważniejsze jawnie, śmiało, otwarcie. Przy tym podniecającym obiegu złota, srebra i papierów wartościowych każdemu coś wpadło do ręki albo przynajmniej można było nacieszyć oczy, gdyż nawet najbiedniejszy miał złudzenie, że jego bieda jest chwilowa, a zatem łatwiejsza do zniesienia.

Wprawdzie dawniej też nie brakło pieniędzy i bogaczy, ale byli to nieliczni ludzie, pieniądze ukrywali jak „żmija nogi”, a wielkopańskie fupy potrzebne im były jako siła i obrona, przykra dla nich samych i wszystkich dokoła. A teraz bogactwo albo to, co za nie uchodziło i czemu takie miano dawano, było jawne i coraz bardziej wyrażało się w formie użycia i zaspokojenia zachcianek; nie dziw więc, iż wielu ludziom mogło się dostać coś niecoś z jego blasku albo z jego okruchów.

Tak było ze wszystkim. Wszelkie przyjemności, które dotąd kradło się i ukrywało, teraz można było kupić i otwarcie pokazywać, co zwiększało ich powab i liczbę ich amatorów. Co dawniej było nieosiągalne, odległe, drogie, zakazane prawem albo wszechmocnym konwenansem, obecnie w wielu wypadkach stawało się możliwe i dostępne dla każdego, kto ma pieniądze albo

umie je zdobyć. Wiele namiętności, apetytów i zachcianek, które dotąd nurtowały najskrytsze tajniki duszy albo w ogóle zostawały niezaspokojone, teraz mogły i śmiały jawnie domagać się pełnego albo przynajmniej częściowego zaspokojenia. W gruncie rzeczy teraz też było sporo zakazów, przepisów i prawnych przeszkód; za występki karano, a za przyjemności trzeba było płacić, ciężiej i drożej niż dawniej, tylko prawo i metody były inne, stwarzały iluzję, że w tym, jak i we wszystkim innym życie stało się nagle przestronniejsze, przyjemniejsze i swobodniejsze.

Niewiele więcej było rzeczywistych uciech i szczęścia niż dawniej, ale niewątpliwie łatwiej można było osiągnąć zadowolenie i wydawało się, że wszędzie jest dość miejsca dla szczęścia każdego. Stara, wrodzona skłonność wyszegradzian do beztroskiego życia i użycia znajdowała bodźce i szansę zaspokojenia w nowych zwyczajach i nowych formach handlu i zarobkowania przyniesionych przez cudzoziemców. Napływowi polscy Żydzi z licznymi rodzinami czerpali z tego zyski.

Schreiber prowadził to, co zwało się „handlem mieszanym” albo „szpecerajem”³⁹. Gutenplan otworzył kantynę dla wojska, Zahler hotel, Sperliengowie założyli fabrykę wody sodowej i „atelier” fotograficzne, Zwecher zakład zegarmistrzowski i jubilerski.

Za koszarami, które zastąpiły Kamienny Zajazd, wzniesiono z pozostałych po nim kamieni Konak i umieszczono tutaj starostwo i sąd. Obok nich największym budynkiem w kasabie był hotel Zahlera. Stał nad rzeką tuż przy moście. Prawy brzeg Driny był umocniony starym murem, który zabezpieczał go po obu stronach mostu, a został zbudowany w tym samym czasie, co most. Tym sposobem z lewej i prawej strony mostu rozciągały się dwa placyki, jakby dwa tarasy nad wodą. Na tych placach, które lud nazywał musale⁴⁰, z pokolenia na pokolenie bawiły się miejscowe dzieci. Obecnie lewy plac przejęły władze powiatowe, ogrodziły go, zasadziły drzewa owocowe i krzewy, czyniąc zeń swego rodzaju sad. A na prawym wybudowano hotel. Dotychczas pierwszym domem u wejścia do śródmieścia była gospoda Zarijego. Stała w dobrym punkcie, jako że utrudzony i spragniony podróżny, zstępując z mostu do miasta musiał na nią się natknąć. Obecnie całkowicie ją zaćmił nowy hotel; niska, stara karczma wydaje się z każdym dniem coraz mniejsza i skulona, jakby się pod ziemię zapadała.

Oficjalnie nowy hotel otrzymał nazwę mostu, przy którym stał. Ale lud wszystkim daje nazwy podług własnego rozumienia i rzeczywistego znaczenia, jakie dla niego mają. Nad wejściem do hotelu Zahlera szybko zblakł napis „Hotel zur Brucke”, który jakiś żołnierz, mistrz w swoim rzemiośle, wymalował dużymi literami lichą farbą. Ludzie hotel ten nazwali „Hotelem

³⁹ Szpeceraj (wł. Spezićra) - handel korzenny.

⁴⁰ Musala - błonie.

Lotiki” i nazwa ta przylgnęła do niego na zawsze. Wprawdzie hotel prowadził gruby, flegmatyczny żyd Zahler, który miał chorowitą żonę Deborę i dwie córki, Minę i Irene, ale rzeczywistym gospodarzem i duszą przedsiębiorstwa była szwagierka właściciela, Lotika, młoda, piękna wdowa, o obrotnym języku i tęgiej głowie.

Na piętrze znajdowało się sześć schludnych, przyzwoitych pokoi gościnnych, a na parterze dwie sale, duża i mała. Do dużej przychodzili skromniejsi goście, przeciętni mieszczanie, podoficerowie i rzemieślnicy. Mała sala była oddzielona od dużej drzwiami o matowych szybach, na których na jednym skrzydle było wypisane Extra - a na drugim - Zimmer.

Tutaj skupiało się życie towarzyskie urzędników, oficerów i miejscowych bogaczy. U Lotiki piło się i grało w karty, śpiewało i tańczyło, toczyło się poważne dysputy i załatwiano interesy, dobrze jadło i wygodnie spało. Nieraz się zdarzało, że towarzystwo bejów, kupców i urzędników zasiedzi się u Lotiki do świtu, przesiaduje dalej, póki ich nie zwali z nóg alkohol i sen oraz nie zaniewidzą od ślęczenia nad kartami. (Teraz już nie gra się w karty ukradkiem i potajemnie w brudnej, dusznej izdebce w karczmie Ustamujicia). A Lotika pozbywszy się gości, którzy za dużo wypili albo wszystko przegrali, przyjmowała nowych, trzeźwych, żądnych trunków i hazardu. Nikt nie wiedział ani nikt się nie zastanawiał, kiedy ta kobieta odpoczywa, kiedy śpi i je, kiedy znajduje czas, aby ubrać się i upiększyć.

Jako że zawsze tu była (przynajmniej tak się zdawało), do dyspozycji każdego, wobec wszystkich jednakowo uprzejma oraz jednakowo śmiała i obrotna. Ta wysoka, o pełnych kształtach, matowobiałej cerze, kruczonych włosach i ognistych oczach kobieta miała niezawodny sposób postępowania z gośćmi, którzy hojnie szastali pieniędzmi, ale zamroczeni alkoholem często bywali natrętni i zuchwali. Ze wszystkimi rozmawiała ujmująco, śmiało, dowcipnie, ostro, przymilnie, łagodząco. (Głos jej chrapliwy i nierówny, chwilami przechodził w głęboki i pieszczotliwy szczebiot. Mówiła niepoprawnie, jako że nigdy dobrze nie opanowała serbskiego, swym soczystym, dosadnym językiem, w którym przypadki wiecznie się ze sobą kłóciły, a rodzaj rzeczowników nigdy nie był właściwy, ale który tonem i sensem zupełnie odpowiadał duchowi języka, jakim mówi lud). Każdy miał w wolnej chwili za swoje pieniądze jej obecność i podniecie dla swych pragnień. Jedynie te dwie rzeczy były stałe i pewne.

Wszystko inne wydawało się jakby rzeczywiste i nierzeczywiste.

Dla dwóch pokoleń utracjuszy z gospodarskich i bejowskich rodzin w kasabie Lotika była ponętną, kosztowną i chłodną, grającą na ich zmysłach fatamorganą. Do legendy przeszli nieliczni, którzy podobno coś jej mieli zawdzięczać, ale oni sami nie umieli powiedzieć, co ani ile.

Nie było rzeczą łatwą ani prostą radzić sobie z bogatymi, wstawionymi mieszkańcami kasaby, w których często odzywały się niespodzianie zapędy awanturnicze. Ale niestrudzona

Lotika, kobieta sprytna, zimna, bystra i o męskim usposobieniu, hamowała wszelkie wybryki, uśmierzała wszelkie zachcianki nieprzytomnych ludzi niepojętą grą swych wspaniałych kształtów, swą niebywałą przebiegłością i nie mniejszą odwagą, tak że zawsze udawało jej się, i to z każdym, zachować pomiędzy natrętami a sobą odpowiedni dystans, który tylko jeszcze bardziej roznamiętniał ich żądzę i podnosił jej wartość. Ona igrała z rozwydrzonymi mężczyznami w ich najbardziej ordynarnych i niebezpiecznych chwilach pijaństwa i szaleństw jak toreador z bykiem, jako że szybko poznała się na tych ludziach, łatwo znalazła klucz do na pozór skomplikowanych zachcianek i wszystkich słabych stron tych okrutnych, zmysłowych uczuciowców. Ofiarowywała im wszystko, obiecywała wiele, a dawała mało albo lepiej powiedziawszy - nic, gdyż pragnienia ich były takiej natury, że nie sposób ich niczym zaspokoić, nie dziw więc, że w końcu musieli poprzestać na małym. Z większością swych gości postępowała jak z chorymi, którzy od czasu do czasu miewają napady i zamroczenia. Wreszcie rzecz można, iż pomijając jej proceder, oczywista ani piękny, ani zbyt zaszczytny, była rozumną kobietą o czułym sercu i dobrym charakterze, umiała pocieszyć i pomóc temu, kto przepił więcej, niż trzeba, albo przegrał więcej, niż mógł. Wszyscy za nią szaleli, jako że urodzili się szalonymi, zwodziła ich, jako że chcieli być zwodzeni, a w końcu brała od nich tylko tyle, ile i tak sami przeznaczili na hulankę. Co prawda zarabiała dużo, chodziła koło swoich interesów, tak że już w pierwszych latach nagromadziła spory majątek, ale potrafiła także wspaniałomyślnie i bez słowa „skreślić dług” lub zapomnieć o stracie. Żebraków i chorych nie odprawiała z kwitkiem, a nader dyskretnie, delikatnie i niepostrzeżenie wspierała będące w tarapatkach zamożne rodziny, wdowy i sieroty z lepszych domów, całą gromadę „ambitnych nędzarzy”, nie umiejących wyciągać ręki i wstydzących się przyjąć jałmużnę. A czyniła to z taką samą zręcznością, z jaką prowadziła hotel i trzymała na wodzy spitych, roznamiętnionych i natarczywych gości, zabierając im wszystko, co się dało, w zamian nie dając nic, ale nigdy nie odtrącając ich na stałe i całkowicie.

Ludzie znający świat i dzieje często myśleli, że szkoda, iż takiej kobiecie los wyznaczył tak mały i pośledni zakres pracy.

Gdyby nie była tym, czym jest, i na tym miejscu, kto wie, czym zostałyby i co dałaby z siebie ta mądra i ludzka kobieta, która nigdy nie myśląc o sobie, chciwa i ofiarna, piękna i uwodzicielska, a zarazem cnotliwa i chłodna, prowadziła małomiasteczkowy hotel i opróżniała kieszenie kochliwych mieszkańców kasaby. Może byłaby jedną z owych słynnych kobiet, o których mówi historia, a które decydowały o losach wielkich rodów, dworów albo państw, zawsze obracając wszystko na lepsze.

W owych czasach, około 1885 roku, kiedy to Lotika była w pełni sił, zdarzali się synalkowie bogatych rodzin, co dnie i noce spędzali w hotelu, w tym specjalnym pokoju o drzwiach z

mlecznymi, matowymi szybami. Tu o zmierzchu drzemali za piecem senni i zamroczeni jeszcze po poprzedniej nocy, zapominając ze zmęczenia i senności, gdzie są, po co tu siedzą i na kogo czekają. Korzystając z tych chwil spokoju Lotika wymykała się do małego pokoiku na pierwszym piętrze, przeznaczonego dla służby, gdzie urządziła sobie „kancelarię” i dokąd nikt nie miał wstępu. Ta mała izdebka zastawiona była przeróżnymi gratami, fotografiami i kryształami, przedmiotami ze złota i srebra. Tutaj stała ukryta za firanką zielona pancerna kasa Lotiki i jej biureczko, zavalone papierami, wezwaniami, pokwitowaniami, gazetami niemieckimi, biuletynami giełdowymi i tabelami loterii klasowej.

W tym wąskim, przeładowanym i dusznym pokoiku, skąd jedyne okienko, mniejsze od pozostałych, wychodziło bezpośrednio na najbliższy, najwyższy łuk mostu, Lotika spędzała wolne chwile i trawiła drugą, intymną, do niej wyłącznie należącą część swego życia.

Tutaj w chwilach kradzionej wolności pochłaniała biuletyny giełdowe i zgłębiała prospekty, porządkowała rachunki, odpowiadała na listy banków, podejmowała decyzje, wydawała zlecenia, dysponowała wkładami i przekazywała nowe udziały. Tu była nieznana tym na dole i wszystkim innym ludziom strona pracy Lotiki, niewidoczna a istotna część jej życia. Tutaj odrzucała uśmiechniętą maskę, twarz jej stawała się twarda, a spojrzenie ostre i ponure. W tym pokoiku korespondowała z liczną rodziną Apfelmajarów w Tarnowie, zamężnymi siostrami, żonatymi braćmi oraz z przeróżnymi bliższymi i dalszymi krewnymi, samą żydowską biedotą z Małopolski Wschodniej, rozproszoną po Galicji, Austrii i Węgrzech. Kierowała losami blisko tuzina rodzin żydowskich, do najdrobniejszych szczegółów wnikała w ich życie, decydowała o zamęściach i ożenkach, wysyłała dzieci do szkół albo do rzemiosła, chorych do wód, napominała i strofowała wałkoniów i rozrzutników, a chwaliła oszczędnych i przedsiębiorczych. Rozstrzygała ich spory rodzinne, radziła w razie nieporozumień i niepewności; wszystkim wskazywała rozsądniejsze, lepsze i godniejsze życie, jednocześnie je umożliwiając i ułatwiając, jako że w ślad za każdym listem szedł przekaz pocztowy z pewną kwotą, która miała sprawić, że rady jej się posłucha, a polecenie wykona, że jakieś moralne czy fizyczne potrzeby zostaną zaspokojone albo bieda zażegnana. (W pomaganiu całej rodzinie i stawianiu na nogi każdego jej członka znajdowała jedyną przyjemność i nagrodę za wszystkie kłopoty i wyrzeczenia. Z każdym żeńskim albo męskim członkiem rodziny Apfelmajarów, który wzniósł się choćby o jeden stopień na drabinie społecznej, podnosiła się i Lotika, znajdując w tym wynagrodzenie za ciężką pracę i siły do dalszych trudów).

Niekiedy przychodziła z Extra-Zimmeru tak zmęczona albo przejęta odrazą, że nie miała sił pisać ani czytać listów i rachunków, lecz po prostu podchodziła do okienka, aby odetchnąć

świeżym powietrzem nadrzecznym, innym powietrzem niż tam na dole. Wzrok jej wtedy spoczywał na wartkiej wodzie i trwałym, smukłym kamiennym łuku mostu, zamykającym widok.

W słońcu, o zmierzchu, w zimowej poświacie księżyca czy w łagodnym blasku gwiazd zawsze był niezmienny. Jego oba krańce wyginały się ku sobie, łączyły na ostrym szczycie i podtrzymywały wzajemnie w doskonałej i niezachwianej równowadze. W ciągu lat był to jej jedyny bliski widok, niemy świadek; do niego zwracała się ta Żydówka o dwóch obliczach w chwilach wytchnienia, spragniona orzeźwienia, bądź też wówczas, kiedy w swych handlowych i rodzinnych kłopotach, które zawsze rozstrzygała sama, znajdowała się w martwym punkcie albo w sytuacji bez wyjścia.

Ale chwile te nigdy nie trwały długo, jako że zwykle przerywały je krzyki z restauracji. Już to nowi goście domagają się jej obecności, już to jakiś pijak, ocknąwszy się i wytrzeźwiawszy, dopomina się o nowy napój, światło, muzykę i Lotikę. Opuszczała więc swoją kryjówkę i zamknąwszy ją starannie specjalnym kluczem, schodziła przywitać gościa albo uśmiechem i swoim osobliwie łamanym językiem uspokoić pijaka niby rozbudzone dziecko i posadzić go za stołem, przy którym na nowo zacznie się wieczorna zabawa, pijatyka, gawędy, pieśni i trwonienie pieniędzy.

Na dole bowiem podczas jej nieobecności wszystko się popsuło. Goście się pokłócili. Pewien bej z Craczy, młody, blady, o tępym wyrazie oczu, wylewa każdy napój, jaki mu podają, ze wszystkiego niezadowolony, i szuka sprzeczek z domownikami albo z gośćmi. Z małymi przerwami od świtu do nocy pije w hotelu, wzdycha do Lotiki, ale tyle pije i tak wzdycha, że widać, iż trapi go jakiś głębszy, znacznie większy i jemu samemu nieznany ból niż ta nieodwzajemniona miłość i głupia zazdrość o piękną Żydówkę z Tarnowa.

Lotika podchodzi do niego bez obawy, lekko i swobodnie.

- No co, Ejub? Ty, zmartwienie moje, czemu krzyczysz?

- Gdzie byłaś? Chcę wiedzieć, gdzie byłaś? - bełkocze pijany przyciszonym głosem i mrugając powiekami, wpatruje się w nią jak w zjawę. - Jakąś trucizną mnie poją. Trują mnie, a nie wiedzą, że ja... gdybym ja...

- Cicho, cicho, siedź spokojnie - uśmierza go kobieta, gestykulując białymi pachnącymi rękami tuż przed jego twarzą - usiądź, dla ciebie ja znajdę nawet ptasiego mleka, jeśli trzeba, ja już znajdę dla ciebie.

Przywołuje kelnera i mówi coś po niemiecku.

- Nie mów, czego ja nie rozumiem, nie pleć: fircen-furcen, bo ja... ty mnie znasz.

- Znam, znam, Ejub; nie umiem inaczej, a ciebie...

- Hm! Z kim byłaś, mów!

I rozmowa pijanego mężczyzny z trzeźwą kobietą ciągnie się bez końca, bez sensu i wyniku przy butelce jakiegoś drogiego wina i dwóch szklanicach: jednej Lotiki, która zawsze jest pełna, i drugiej Ejuba, którą on nieustannie napełnia i wychyla.

Podczas gdy młody bejowski darmożjad plecie trzy po trzy obrzękłym językiem o miłości, śmierci, o nieuleczalnej tęsknocie i podobnych rzeczach, co Lotika zna na pamięć, jako że każdy tutejszy pijak mówi to samo i podobnymi słowami, ona wstaje, podchodzi do innych stołów, gdzie siedzą stali bywalcy, zbierający się zwykle w hotelu przed wieczorem.

Przy jednym stole zasiedli młodzi gospodarze, którzy dopiero zaczynają bywać w świecie i pić, tutejsi snobi; znudziła im się zbyt prosta gospoda Zarijego, a w hotelu czują się jeszcze nieswojo. Przy innym stole są urzędnicy, cudzoziemcy z jakimś oficerem, który tego dnia zdradził oficerskie kasyno i zniżył się do cywilnego hotelu, jako że zamierza zwrócić się do Lotiki o pilną pożyczkę. Przy trzecim siedzą inżynierowie, budujący leśną kolejkę do wywozu drzewa.

W sam kąt zaszył się i oblicza coś Pawle Rankowić, jeden z młodszych, ale zamożniejszych gospodarzy, wraz z jakimś Austriakiem, przedsiębiorcą kolejowym. Gospodarz Pawle ubrany jest po turecku, w czerwonym fezie, którego nie zdejmuje w restauracji; ma małe oczki, wyglądające jak dwie czarne, skośne szparki w dużej bladej twarzy; oczy te potrafią niezwykle się rozszerzać i wtedy są duże, lśniące, a w wyjątkowych, rzadkich chwilach radości i zwycięstwa filuternie uśmiechnięte. Przedsiębiorca ma na sobie szare sportowe ubranie i żółte, sznurowane, sięgające kolan buty. Pisze złotym ołówkiem na srebrnym łańcuszku, a gospodarz Pawle grubym, krótkim ołówkiem, który z pięć lat temu zostawił u niego w sklepie jakiś drwal, majster wojskowy, kiedy kupował gwoździe i zawiasy. Umawiają się w sprawie wyżywienia robotników na kolei. Całkowicie pochłonięci interesem mnożą, dzielą i sumują; wypisują kolumny cyfr, jedne widoczne na papierze, którymi mają przekonać i oszukać się wzajemnie, a drugie niewidoczne, w głowie - przy pomocy tych sprawnie i z wytężeniem obliczają, każdy dla siebie, ukryte szansę i zyski.

Dla każdego z gości Lotika umie znaleźć odpowiednie słowo, promienny uśmiech albo tylko nieme, pełne zrozumienia spojrzenie. Potem wraca do młodego beja, który znowu zaczyna być niespokojny i natarczywy.

A w nocy, podczas hulanki ze wszystkimi burzliwymi, namiętymi, płaczliwymi albo ordynarnymi, tak dobrze jej znanymi fazami, znów znajdzie się kilka chwil spokoju, kiedy będzie mogła wrócić do siebie i przy mlecznym świetle porcelanowej lampy dokończyć korespondencji albo odpoczywać, póki znowu coś nie zajdzie i nie odwoła jej na dół.

Nazajutrz jest inny dzień, inny albo ten sam bejowski kapryśny, pijany utracjusz, a dla Lotiki te same troski, które trzeba znosić z uśmiechem, to samo zajęcie, wydające się łatwą, wyuzdaną zabawą.

Jest rzeczą niepojętą i niezrozumiałą, jak Lotika dawała sobie radę i wychodziła obronną ręką z tylu różnorodnych spraw, które jej wypełniały dnie i noce, a wymagały więcej sprytu, niż ma kobieta, i więcej sił, niż potrafi wykrzesać z siebie mężczyzna. A jednak umiała wszystko załatwić, nigdy się nie skarżąc, nigdy nikomu nic nie wyjaśniając, nigdy nie mówiąc w trakcie załatwiania bieżących interesów o uprzednich albo o przyszłych. Ponadto potrafiła znaleźć w nawale codziennej pracy przynajmniej godzinkę dla Alibeja Paszicia. Jest to jedyny mężczyzna, który podobno zdołał rzeczywiście pozyskać sobie przychyłność Lotiki, niezależnie od wszelkich rachunków. Ale jest to jednocześnie najbardziej skromny i małomówny człowiek w kasabie. Najstarszy z czterech braci Pasziców pozostał w kawalerskim stanie (w kasabie uważano, że to przez Lotikę), nie wdawał się w żadne interesy ani nie brał udziału w publicznym życiu kasaby. Nie upija się i nie wałęsa z rówieśnikami.

Zawsze jest w jednakowym nastroju, jednakowo spokojny i powściągliwy wobec wszystkich bez różnicy. Cichy i zamknięty w sobie, nie stroni od towarzystwa ani pogawędki, a jednak nikt nie pamięta żadnej jego wypowiedzi ani nikt nie powtarza jego zdania. Wystarcza sam sobie i zupełnie jest zadowolony ze swej pozycji i znaczenia. Nie ma potrzeby ani być, ani wydawać się czymś innym, niż jest, nikt też od niego tego nie wymaga i nie oczekuje. Jest to jeden z tych ludzi, dla których wielkopańskie maniere są uciążliwym i szlachetnym zajęciem, całkowicie wypełniającym im życie; wrodzona wielka i majestatyczna pańskość jako taka, której nie sposób wyjaśnić, zaprzeczyć ani naśladować.

Z gośćmi w wielkiej sali Lotika nie ma wiele kłopotu. To rzecz kelnerki Malczyki i „zahlkelnera” Gustawa. Malczyka jest znaną w całym mieście sprytną Węgierką o wygładzie żony poskramiacza dzikich zwierząt, a Gustaw ryżym, niskim czeskim Niemcem o porywczym usposobieniu, przekrwionych oczach i krzywych płatfusowatych nogach. Znają wszystkich gości i w ogóle wszystkich mieszkańców kasaby, ich stan majątkowy i kaprysy, wiedzą, kogo trzeba przyjąć chłodno, kogo serdecznie, a kogo w ogóle nie należy wpuścić, bo „nie nadaje się do hotelu”.

Ich głowa w tym, aby pito dużo i płacono solidnie, ale żeby wszystko kończyło się gładko i cicho, gdyż zasadą Lotiki jest: Nurkein Skandal⁴¹. A jeżeli niekiedy wyjątkowo ktoś pod dobrą datą wyprawia brewerie albo upiwszy się w innych knajpach, przemocą wdziera się do hotelu,

⁴¹ Tylko bez żadnego skandalu! (niem.).

wtedy zjawia się służący Milan, rosły, barczysty, kościsty Liczanin o sile olbrzyma, człowiek, który mało mówi, a wykonuje wszelkie roboty. Zawsze jest przepisowo ubrany w hotelową liberię (jako że Lotika dba o wszystko). Zawsze bez marynarki, w czarnej kamizelce i białej koszuli, przepasany długim fartuchem z zielonego sukna, w zimie i w lecie z zakasnymi po łokcie rękawami, tak że widać jego ogromne, czarne i włochate niczym szczotki ręce. Podkręcone wąsiki i czarna czupryna, wysmarowana mocno pachnącą żołnierską pomadą. Milan jest tym, który każdą burdę tłumi w zarodku.

Istnieje dawno przyjęta i uświęcona taktyka w tej nieprzyjemnej i niepożądanego operacji. Gustaw zagaduje czupurnego, pijanego gościa, podczas gdy Milan zachodzi go z tyłu; wtedy „zahlkelner” nagle się odsuwa na bok, a Liczanin chwyta pijaka jedną ręką za kark, drugą zaś za kołnierz, i to tak zręcznie i błyskawicznie, że nikt nigdy nie mógł się połapać, na czym polega „chwyt” Milana. Wtedy nawet najsilniejszy zawadiaka z kasaby wylatuje jak gałgankowa lalka za drzwi, które Lotika otworzyła w samą porę, a prosto na ulicę. Gustaw jednocześnie rzuca za nim czapkę, laskę albo cokolwiek, co mu zostało w garści z jego rzeczy, a Milan podnosi się na palce i całym ciężarem ciała spuszcza z hukiem żaluzję. Wszystko odbywa się w mgnieniu oka, sprawnie i gładko, a gdy się goście opamiętają, już niepożądany przybysz znajduje się na ulicy i może sobie, jeśli całkiem oszalał, walić nożem albo kamieniem w żaluzję, jak to świadczą ślady na niej, ale to już nie jest skandal w hotelu, lecz na ulicy, to zaś sprawa policji, która i tak zawsze znajduje się w pobliżu. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się Milanowi, jak to bywało w innych lokalach, żeby gość, którego się wyrzuca, włókł za sobą i przewracał stoły i krzesła albo wparł się nogami i rękami w drzwi, tak że nawet parą wołów nie można go ruszyć. Nigdy Milan nie wnosił do tej roboty przesadnej gorliwości i złości, bojowej namiętności ani pychy; dlatego też uwijał się z nią tak sprawnie i szybko. W minutę po zajściu już był na swym miejscu w kuchni albo w bufecie, jakby nigdy nic. A Gustaw tylko przejdzie niby przypadkowo przez Extra-Zimmer i spojrzawszy na Lotikę, siedzącą przy którymś stole z lepszymi gośćmi, mruży oczy, co oznacza, że coś zaszło, lecz już wszystko w porządku.

Wtedy Lotika, nie przerywając rozmowy i wciąż z uśmiechem na twarzy, tak samo błyskawicznie i niepostrzeżenie mruga oczami.

Oznacza to: dobrze, dziękuję i uważajcie do końca.

Pozostaje jeszcze kwestia tego, co wypił lub rozbił wyrzucony gość; tę sumę Lotika potrąci Gustawowi przy obrachunku dziennego utargu, który odbywa się późno w nocy za czerwonym parawanem.

XV

Jeśli ów niespokojny i tak zręcznie wyrzucony gość nie zostanie od razu sprzed hotelu odprowadzony do aresztu, wówczas może wytrzeźwieć i przyjść do siebie po tych przykrościach kilkoma sposobami. A więc może chwiejnym krokiem powlec się na kapiję i tutaj orzeźwić się chłodem wiejącym od wody i gór okolicznych. Może także przejść do karczmy Zarijego, stojącej nieco dalej na targowisku, i tu swobodnie i bez przeszkód zgrzytać zębami, grozić i pomstować na niewidzialną rękę, która go tak zdradziecko i bezwzględnie wyrzuciła z hotelu. O pierwszym zmierzchu, kiedy gospodarze i ludzie pracy przychodzą „na jednego” i na pogawędkę z równymi sobie, nie ma tu i nie może być skandali, jako że każdy pije, ile chce i za ile go stać, a także robi i mówi, co mu się żywnie podoba. Tutaj bowiem nie żądają od gości, aby szastali pieniędzmi i upijali się, a zachowywali się jak trzeźwi. Ostatecznie jeśli ktoś przeholuje, jest pod ręką małomówny Zarije, który swą ponurą, złą miną rozbraja i poskramia nawet największych pijaków i zabijaków. Uspokaja ich powolnym gestem ciężkiej ręki i głębokim basem:

- No, dość tego! Nie rób głupstw!

Ale i w tej starej karczmie, gdzie nie ma osobnych pomieszczeń ani kelnerów, jako że zawsze posługuje jakiś chłopak z Sandzaku w wiejskim ubiorze, dziwnie mieszają się teraz nowe zwyczaje ze starymi.

Zaszyci w najdalsze kąty milczą sławetni i wytrawni opoje.

Lubią oni cień i ciszę, gdzie mogą przesiadywać nad wódką jak nad świętością, a nienawidzą gwaru i hałasu. O przepalonych żołądkach, chorych wątrobach, starganych nerwach, zarośnięci i zaniedbani, obojętni na wszystko w świecie, wstrętnei sami sobie, siedzą tak i żłopią wódkę czekając aż im w głowach zaświta owo czarodziejskie światło, którego alkohol użycza tym, co oddają mu się bez reszty, dla którego nie żal cierpieć, ginąć i umierać, a które niestety z biegiem lat pojawia się coraz rzadziej i jaśniej coraz słabiej.

Rozgadani i bardziej hałaśliwi są początkujący, osobliwie synowie gospodarzy, młodzieńcy w niebezpiecznym wieku, którzy stawiają pierwsze kroki na złej drodze, splacając tym samym haracz nałogom pijaństwa i lenistwa, jeden krócej, drugi dłużej. Ale większość z nich długo nie kroczy tą drogą, lecz zawraca, zakłada rodzinę, pracuje i dorabia się, pędzi mieszczański żywot okiełzanych nałogów i umiarkowanych namiętności.

Jedynie znikoma mniejszość przeklętych i z góry skazanych kontynuuje tę drogę i wybrawszy miast życia alkohol, najkrótszą i najbardziej zdradliwą iluzję w tym krótkim i złudnym bytowaniu, dla niego żyją i przezeń się spalają, póki nie staną się szarzy, oteźpiali i opuchnięci jak ci, co siedzą po mrocznych kątach.

Odkąd nastały nowe czasy bez skrępowania i względów, czasy ożywionego handlu i lepszych zarobków, prócz Cygana Sumba, który na zurli⁴² towarzyszy wszystkim hulankom kasaby już trzydzieści lat, przychodzi teraz często Franz Furlan ze swą harmonią. Jest to szczupły, rudowłosy mężczyzna ze złotym kolczykiem w prawym uchu, z zawodu drwał, ale wielki miłośnik muzyki i wina. Lubią słuchać go żołnierze i cudzoziemscy robotnicy.

Nieraz trafi się jakiś gęślarz, zazwyczaj Czarnogórzec, ascetycznie chudy, nędznie odziany, ale wyniosłej postawy i jasnego wejrzenia, wygłodniały, ale wstydlivy, dumny, ale skazany na jałmużnę. Jakiś czas siedzi w kącie, rażąco skromnie, nic nie zamawia, wzrok utkwiał gdzieś przed siebie z miną obojętnego naiwniaka, a jednak widać, że ma zgoła inne myśli i zamiary, niż to na pierwszy rzut oka wygląda. W sercu jego niewidocznie zмага się wiele sprzecznych i nieustępliwych uczuć, osobliwie wielkość tego, co w duszy nosi, i bieda tudzież nieudolność tego, co potrafi wyrazić i pokazać innym. Stąd zawsze jest trochę zakłopotany i nieśmiały wobec ludzi. Dumnie i cierpliwie czeka, aż ktoś poprosi o pieśń, a nawet wtedy ociągając się, wyjmując gęśle z torby, dmucha w nie, sprawdza, czy nie zmókł mu smyczek, stroi strunę, starając się przy tym najwyraźniej, by jak najmniejszą zwracano uwagę na te jego techniczne przygotowania. Gdy pierwszy raz przejedzie smykem po strunie, jest to jeszcze dźwięk drżący, nierówny jak wyboisty gościniec. Ale w miarę wodzenia smyczkiem, zaczyna z zamkniętymi ustami, przez nos nucić sobie przy wtórze gęśli, głosem je uzupełniać i wyrównywać. A gdy gęśle i głos zupełnie się zleją w żałosny, miarowy dźwięk, który snuje ciemną kanwę dla pieśni, wtedy ów biedak zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: znika przykra wstydlivość, wewnętrzne sprzeczności gasną i uśmierzają się, zapomina o wszelkich kłopotach. Gęślarz nagle podnosi głowę, jak ktoś, kto odrzuca maskę skromności nie mając już potrzeby ukrywać się, i rozpoczyna nadspodziewanie mocnym głosem, właściwie raczej wykrzykując wstępne strofy:

Zapłakana drobna bazylika:

Cicha roso, wczesna roso,

Czemu na mnie ty nie spadasz, roso?

Goście, którzy dotąd też udawali, że niczego się nie domyślają, i gawędzili, nagle milkną. Przy pierwszych słowach zarówno Turków, jak chrześcijan przechodzi to samo drzenie nieokreślonego pragnienia i tęsknoty do tej samej rosy, która żyje w pieśni, a także w nich wszystkich bez różnicy. Ale gdy gęślarz ciągnie ciszej:

To nie była drobna bazylika...

⁴² Zurła - drewniany dęty instrument, podobny do oboju.

i uchylając zasłony ze swego porównania poczyna wyliczać tureckie albo serbskie rzeczywiste pragnienia i losy, kryjące się za przenośnią o rosie i bazylijce, uczucia słuchaczy dzielą się od razu i rozchodzą w przeciwnych kierunkach, zależnie od tego, czym są, co w sercu tają, czego pragną i w co wierzą. A jednak wedle jakiegoś niepisanego prawa wszyscy spokojnie słuchają pieśni do końca, cierpliwie i powściągliwie, niczym nie zdradzając swego nastroju; wpatrują się tylko w kieliszek przed sobą, gdzie na lśniącej powierzchni trunku mającą upragnione zwycięstwa, boje i junacy, sława i blask, jakich nigdzie nie ma na świecie.

Najgwarniej jest w karczmie, kiedy upiją się młodszy gospodarze oraz synowie gospodarzy. Wtedy pełne ręce roboty ma i Sumbo, i Franz Furlan, i Ciorkan, i Szaha.

Szaha jest zezowatą Cyganką; bezczelną, istny chłop w spódnicy, pije z każdym, kto stawia, ale nigdy się nie upija.

Bez niej i jej niewybrednych kawałów nie sposób wyobrazić sobie żadnej pijatyki.

Zmieniają się ludzie, którzy się z nimi bawią, ale Ciorkan, Sumbo i Szaha zawsze pozostają. Oni żyją z muzyki, zabaw i wódki. Ich praca to uprzyjemnianie innym wolnych chwil, ich zarobki pochodzą z marnotrawstwa innych, a prawdziwe życie wiodą w nocy, w tych niezwykłych chwilach, kiedy zdrowi i szczęśliwi ludzie śpią, kiedy alkohol i dotąd hamowane instynkty wytwarzają burzliwe i wspaniałe nastroje i niespodziewane zachwyty, które zawsze są te same, a zawsze wydają się inne i niepowtarzalne. Są oni milczącymi, płatnymi świadkami, przed którymi każdy może być sobą, może „puścić farbę”, nie musząc potem ani żałować, ani się wstydzić; z nimi i przy nich można robić wszystko, co wobec innych uchodziłoby za kompromitację, a we własnym domu za grzeszne i niemożliwe.

Pod ich firmą i na ich konto mogą ci wszyscy zamożni, poważni ojcowie i synowie dobrych rodzin zapomnieć się na chwilę - być takimi, jakimi nie mieliby odwagi się pokazać, a jakimi są w głębi duszy, przynajmniej chwilami i przynajmniej jakąś częścią swej istoty. Okrutni mogą ich wyśmiewać, albo bić, bojaźliwi przezywać, szczodrzy obdarowywać; próżni kupują ich pochlebstwa, ponuracy i dziwacy ich żarty i wybryki, rozpustnicy ich zuchwałe postęпки albo usługi. Są oni wieczną, choć nieuznaną potrzebą ludzi kasaby, których życie duchowe jest zdławione i wypaczone. Są oni czymś w rodzaju artystów w środowisku, w którym sztuka jest nieznana. Tacy ludzie, mężczyźni i kobiety, śpiewacy, wesołkowie, dziwacy i figlarze zawsze znajdują się w kasabie. Gdy jedno z nich wykończy się i umrze, zastępuje go kto inny, jako że pod bokiem znanych i słynnych rozwijają się i dorastają nowi, którzy będą uprzyjemniać czas następnym pokoleniom i rozweselać je. Ale dużo wody upłynie, zanim zjawi się ktoś taki, jak Salko Ciorkan.

Gdy po okupacji przybył do kasaby pierwszy cyrk, Ciorkan zakochał się w tancerce na linie i dla niej popełnił tyle głupstw i wybryków, że siedział w areszcie i obrywał lanie, i swawolni gospodarze, którzy go podjudzali i zachęcali, płacili wysokie grzywny.

Od tego czasu upłynęło sporo lat, ludzie przywykli do wielu rzeczy, tak że przyjazd obcych muzykantów, akrobatów i magików nie wywołuje już takiej powszechnej i zaraźliwej sensacji, jak to było z pierwszym cyrkiem, ale wciąż jeszcze wspomina się miłość Ciorkana do cyrkówki.

Salko od dawna się tak zdziera, służąc we dnie wszystkim i mając się każdej roboty, a w nocy jest rozrywką i przedmiotem pośmiewiska gospodarzy przy kieliszku. I to z pokolenia na pokolenie. Gdy jedni wyszumiają się i wrócą do swoich pieleszy, ożenią się i odmieniają, dorastają inni, młodszy, którzy też muszą się wyżyć. Teraz Ciorkan jest już znużony i przedwcześnie postarzały; więcej czasu spędza w gospodzie niż przy robocie i żyje nie tyle z pracy rąk, ile z datków i poczęstunku gości.

W słotne jesienne wieczory goście w karczmie Zarijego nudzą się śmiertelnie. Przy jednym stole siedzi kilku gospodarzy. Myśli ospale krążą wokół smutnych, niemiłych rzeczy; ciężkie słowa są puste i zaczepne; twarze chłodne, obojętne, nieufne. Nawet wódka nie może ożywić i poprawić nastroju. W kącie na ławie drzemie Ciorkan, morzy go sen, duszne powietrze i pierwszy kieliszek; przemókł dziś do nitki, dźwigając jakieś rzeczy aż na Okoliszte.

Wtem któryś z owych posępnych gości przy stole gospodarzy wspomniawszy niby od niechcenia tancerkę i dawną nieszczęśliwą miłość Ciorkana. Spojrzenia wszystkich kierują się w kąt, ale Ciorkan tkwi nieruchomo i udaje, że drzemie. A niech gadają, co im się żywnie podoba. On postanowił niezłomnie, i to akurat dziś rano, kiedy męczył go ciężki kacenjamer, że na ich zaczepki i drwiny nie będzie odpowiadał i nie pozwoli, aby tak niemilosierdzie z niego kpiono, jak to wczoraj wieczór robili gospodarze w tejże gospodzie.

- Ja myślę, że oni teraz też korespondują ze sobą - powiada jeden.

- A to szelma, jednej głowę zawraca na odległość, a drugą ma przy boku! - dodaje inny.

Ciorkan sili się na spokój, ale rozmowa ta irytuje go i drażni, jakby słońce łaskotało go po twarzy; usiłuje otworzyć jedyne oko, a mięśnie twarzy rozciągają się w błogi uśmiech. Nie może dłużej trwać w bezruchu i milczeniu. Najpierw macha niby niedbale i obojętnie ręką, potem jednak woła:

- Skończone, to już skończone!

- Skończone, powiadasz? Oj, ludzie, co za dziwny łajdak z tego Ciorkana. Jedna usycha z żalu gdzieś w dalekim świecie, a druga tutaj wariuje za nim. Skończyło się tamto, skończy się i to, przyjdzie jeszcze coś innego. Jak masz serce, nieszczęsny, zawracać głowę każdej po kolei?

Ciorkan już wstał i podchodzi do ich stołu. Zapomniał o śnie, o zmęczeniu i swej porannej decyzji, że nie da się wciągnąć do rozmowy. Z ręką na sercu zapewnia gospodarzy, że to nie jego wina, że wcale nie jest tak romansowym gachem, jakim go przedstawiają. Odzienie jeszcze na nim mokre, zabrudzoną twarz - bo jego tani czerwony fez farbuje - opromienia błogi uśmiech. Przysiada się do gospodarzy.

- Rum dla Ciorkana! - woła Santo Pappo, otyły, dziarski Żyd, syn Menta, a wnuk Morda Papy, znanych kupców wyrobów żelaznych.

Ostatnio Ciorkan pije rum zamiast wódki, kiedy tylko nadarzy się okazja. Ten nowy trunk jakby był stworzony dla takich jak on; jest mocniejszy, szybciej działa i innego rodzaju przyjemność sprawia niż wódka. Sprzedaje się go w małych, dwustugramowych buteleczkach, obrazek na etykiecie przedstawia młodą Mulatkę o pełnych ustach i ognistych oczach, w szerokim słomianym kapeluszu i dużych złotych kolczykach, a pod nim widnieje napis: Jamaica. (Tę egzotykę dla Bośniaków w ostatnim stadium pijaństwa, tuż przed delirium, wyrabia w Sławonskim Brodzie firma Eisler, Sirowatka & Co). Na sam widok Mulatki Ciorkan czuje żar i woń nowego napoju i zaraz mu przychodzi do głowy, że tego nektaru nigdy by nie poznał, gdyby umarł choćby przed rokiem. „A ileż jest takich cudów na świecie!”. Rozrzewnił się na tę myśl i trwał tak w zadumie jakiś czas, zanim otworzył butelkę. Uczucie błogości, wywołane samą tą myślą, zastępuje rozkosz picia.

Trzyma więc smukłą flaszkę przed oczami, jakby mówił do niej pieszczotliwie. A ten, któremu udało się wciągnąć do rozmowy, pyta surowo:

- Cóż ty sobie myślisz, człowiecze! Weźmiesz tę dziewczynę, czy tylko bawisz się nią jak innymi?

Chodzi o niejaką Paszę z Duszcza. Jest to najładniejsza dziewczyna w kasabie, biedna hafciarka, podobnie jak jej matka.

Na niezliczonych wycieczkach i hulankach zeszłego roku młodzieńcy dużo mówili i śpiewali o Paszy i jej niedostępnej urodzie. Stopniowo i niepostrzeżenie zachwycał się wraz z nimi i Ciorkan, sam nie wiedząc jak ani po co. Jęli żarty sobie z niego stroić. Pewnego piątku zabrali go ze sobą na zaloty do dzielnicy, gdzie zza bram i krat dolatywały przytłumione chichoty i szepty niewidocznych dziewcząt. Z jakiegoś podwórka, gdzie była Pasza z rówieśnikami, rzucono gałązkę szaławii do stóp Ciorkana.

Staął zmieszany, żeby nie nadepnąć kwiatu, nie śmiał jednak po niego się schylić. Towarzyszący mu młodzieńcy poczęli poklepywać go po ramieniu i gratulować, że spośród tylu zalotników Pasza właśnie jego wybrała i okazała rzekome względy, jakich nikt od niej nie mógł się spodziewać.

Tego wieczoru na Meزالinie nad rzeką pito aż do świtu pod orzechami. Ciorkan siedział przy ognisku, wyprostowany i uroczysty, to rozmarzony i rozśpiewany, to znów zafrasowany i zadumany. Tej nocy nie pozwolili mu usługiwać ani krzątać się przy kawie i posiłku.

- Wiesz ty, nieszczęsny, co oznacza szalwia rzucona rączką dziewczyny? - pytał jeden. - Te słowa Pasza ci śle: „Usycham za tobą jak ten zerwany kwiat! A ty ani się starasz o mnie, ani dajesz innemu!”. To mówi kwiat.

Wszyscy opowiadają mu o białej, niewinnej Paszy, jedynaczce, która wychyla się zza ogrodzenia niby dojrzała kiść winogrona, czekając na dłoń, co ją zerwie, a ten, kogo wypatruje, to nikt inny tylko Ciorkan we własnej osobie.

Gospodarze niby to sarkają i głośno narzekają: jakże to, żeby akurat on jej wpadł w oko? Inni stają w jego obronie.

A Ciorkan pije. Już to wierzy w ten cud, już to odrzuca jako niemożliwy. Broni się przed drwinami gospodarzy, zapewnia, że to nie dla niego, że jest biedny, stary i niepozorny, ale w chwilach zadumy sam roi o Paszy, o jej urodzie i rozkoszy, bez względu na to, czy ona dla niego, czy nie. A w tę uroczą letnią noc, którą wódka, pieśń i buzujący na trawie ogień zamieniają w nieskończoność, wszystko jest możliwe; nic nie jest rzeczywiste, ale nic też nie jest nieprawdopodobne ani zupełnie wykluczone. Żarty stroją i szydzą zeń gospodarze, on wie o tym; panowie nie mogą żyć bez śmiechu, muszą kogoś zaczepiać i z kogoś się wyśmiewać; zawsze tak było, a więc i teraz. Ale chociaż to wszystko tylko żarty, żartem nie jest jego marzenie o cudnej kobiecie i niedościgłej miłości, o której zawsze roił, a więc i dzisiaj, nie są żartem owe pieśni, w których miłość jest tak samo rzeczywista i nierzeczywista, a kobieta tak samo bliska i niedościgła, jak w jego wyobraźni. Dla gospodarzy wszystko, więc i to jest tylko żartem, ale dla niego to szczerza prawda i świętość, którą zawsze w sercu nosi, a która istnieje rzeczywiście i niewątpliwie, niezależnie od zabawy gospodarzy, od napojów i pieśni, niezależnie od wszystkiego, a więc i od samej Paszy.

Z tego wszystkiego doskonale zdaje sobie sprawę, a jednak o wszystkim łatwo zapomina. Bo serce jego mięknie jak wosk i rozum rozplywa się jak woda.

Tym sposobem Ciorkan w trzy lata po swej wielkiej miłości i skandalu ze Szwabką tańczącą na linie, ponownie zakochał się na zabój, a bogaci ludzie w wolnych chwilach wynaleźli nową zabawę, dość okrutną i podniecającą, aby pobudzała ich do śmiechu miesiącami i latami.

Działo się to w połowie lata. Minęła jesień i nadeszła zima, naigrawanie się dla zabicia czasu z miłości Ciorkana do nadobnej Paszy wypełniało wieczory ludzi z czarsziii. Ciorkana nie nazywają inaczej, jak narzeczonym i kochankiem. We dnie, gdy zamroczony i niewyspany załatwia drobne i poważne sprawy po sklepach, pracuje i roznosi rzeczy, Ciorkan wzruszając

ramionami i dziwi się, i gniewa za te epitety, ale jak tylko zapadnie noc, zapłoną lampy w gospodzie Zarijego, ktoś zawoła: „Rum dla Ciorkana!”, ktoś inny zanuci przypadkowo:

Wieczór już, zaszło słońko...

Na twym liczku nie lśni już wtedy wszystko nagle się zmienia. Nie ma już ciężarów ani wzruszania ramionami, nie ma kasaby ani karczmy, ani Ciorkana takiego, jakim jest, zziębniętego, zarośniętego, w łachmanach i strzępach cudzego przydzwiewku. Jest tylko jakiś wysoki ganek skąpany w blaskach zachodzącego słońca, opleciony winem, i dziewczyna, która wypatruje i czeka, komu rzucić chryzantemę. Jest co prawda też gromki śmiech wokół niego i docinki wszelakie, i drwiny ordynarne, ale to wszystko gdzieś daleko, jakby we mgle, śpiewak zaś blisko, tuż nad uchem:

Oby ciepła zaznać

Przy tobie na słońku!

I na tym słońcu, które dawno zaszło, odczuwa ciepło, jakiego nigdy nie doznał na prawdziwym, co nad kasabą codziennie wschodzi i zachodzi.

- Rum dla Ciorkana!

Tym sposobem mijały zimowe wieczory. Pod koniec zimy odbyło się wesele Paszy. Biedna hafciarka z Duszcza wniosła swą urodę i dziewiętnastoletnią młodość Hadzi Omerowi z Podzamcza, poważnemu pięćdziesięciopięcioletniemu bogaczowi, i to jako druga żona.

Hadzi Omer był żonaty przeszło trzydzieści lat. Żona jego pochodzi z licznej rodziny, a słynie ze sprytu i mądrości.

Posiadłości ich za Zamkiem to istny przysiółek, dostatni i zasobny, to solidne sklepy w mieście, to zapewniony duży dochód. A wszystko jest nie tyle zasługą spokojnego i niemrawego Hadzi Omera, który tylko dwa razy dziennie udaje się z Podzamcza do miasta i z powrotem, ile energicznej i roztropnej, zawsze uśmiechniętej Hadzi Omerowej. Dla wszystkich Turczynek w kasabie i okolicy jej zdanie jest najważniejszym i ostatnim słowem w wielu kwestiach.

Jest to pod każdym względem najznamienitsza i najlepsza rodzina, ale tych dwoje już niemłodych ludzi nie ma dzieci.

Długo łudzili się nadzieją. Hadzi Omer odbył pielgrzymkę do Mekki, żona jego nie szczędziła jałmużny dla biednych i zapisów dla klasztorów, lecz lata mijały, wszystko im się darzyło, tylko w najważniejszym nie było błogosławieństwa.

Rozsądnie i z gorliwością znosił swą dolę Hadzi Omer i jego mądra hanuma, ale stracili już wszelką nadzieję. Hadzi Omerowa skończyła czterdzieści pięć lat.

Chodziło o olbrzymi majątek, jaki miał zostawić po sobie Hadzi Omer. Tą sprawą zaprzętało sobie głowę nie tylko liczni krewniacy Omera i jego żony, lecz po trochu całe miasto. Jedni

chcieli, aby małżeństwo to do końca pozostało bezdzietne, inni znów uważali, że szkoda, żeby taki człowiek zszedł do grobu bez dziedzica, a mienie podzielili i rozwlekli jacyś krewni, dlatego też namawiali go, żeby wziął drugą, młodszą żonę, póki czas, póki są widoki na potomstwo. W tej materii tutejsi Turcy podzielili się na dwa obozy. Rozwiązała sprawę sama żona Hadzi Omera. Otwarcie, stanowczo i szczerze, jak zawsze to czyniła, oświadczyła swemu chwiejnemu mężowi:

- Niczego nam dobry Allach nie poskąpił, chwała mu i sława, ani zgody i zdrowia, ani bogactwa, jeno tego, co ma każdy nędzarz: pociechy z własnych dzieci. Nie wiemy, komu zostawimy mienie. Taki to już mój los. Ale jeśli ja, z woli nieba, muszę go znosić, nie musisz ty. Widzę, że cała czarszija nie ma nic innego do roboty, jak tylko swatać cię i wtrącać się do naszych spraw. No, skoro oni chcą ciebie ożenić, to wolę już ja to zrobić, jako że nie masz lepszego przyjaciela ode mnie. Tu żona wyłożyła mu swój plan: ponieważ nie ma żadnych widoków, aby mogli mieć potomstwo, musi wziąć sobie prócz niej drugą żonę młodszą, która obdarzy go dzieckiem. Prawo pozwala na to. A ona oczywiście zostanie w domu jako „stara hadziowa” i czuwać będzie, aby wszystko było w porządku.

Hadzi Omer wzbraniał się, twierdząc, że lepszej towarzyszki od niej nie szuka, że nie potrzebuje innej, młodszej żony, ona jednak nie tylko obstawała przy swoim pomysle, ale powiedziała też, kogo upatrzyła mu na żonę. Skoro musi się już żenić, aby mieć spadkobiercę, najlepiej będzie, jeśli weźmie młodą, zdrową i piękną, ale biedną dziewczynę, która obdarzy go zdrowymi dziećmi i póki życia będzie wdzięczna za szczęśliwy los. Wybór jej padł na urodziwą Paszę, córkę rzeczonoj hafciarki z Duszcza.

Tak się też stało. Zgodnie z życzeniem swej starszej żony i z jej pomocą Hadzi Omer ożenił się z piękną Paszą. A po jedenastu miesiącach Pasza urodziła zdrowego chłopczyka.

Tym sposobem została rozstrzygnięta sprawa dziedzica Hadzi Omera, rozwiały się nadzieje wielu krewniaków, a czarszii zamknęto usta. Pasza była szczęśliwa, a „stara hadziowa” zadowolona i żyły w domu Hadzi Omera zgodnie jak matka z córką.

To szczęśliwe zakończenie kwestii dziedzictwa Hadzi

Omera było początkiem wielkich cierpień Ciorkana. Tej zimy główną zabawą bywalców karczmy Zarijego była rozpacz Ciorkana z powodu małżeństwa Paszy. Niedoszły kochanek pił na umór jak nigdy dotąd; gospodarze stawiali mu, tak że za swoje pieniądze każdy zaśmiewał się do łez. Dowcipnisie przekazywali mu zmyślane słowa od Paszy, zapewniali, że łzami się zalewa dniami i nocami, że usycha za nim, nie mówiąc nikomu o prawdziwej przyczynie swej rozpacz. A Ciorkan szalał, śpiewał, płakał, odpowiadał serio i obszernie na wszystkie pytania, biadał nad swym losem, który go stworzył w tak marnej posturze i biedakiem.

- Dobrze, Ciorkan, o ile lat jesteś młodszy od Hadzi Omera? - wszczynął rozmowę jakiś gospodarz.

- A bo ja wiem! Co mi z tego przyjdzie, że jestem młodszy? - mówił gorzko Ciorkan.

- Ech, gdyby tak wziąć pod uwagę serce i młodość, nie miałby teraz Hadzi Omer tego, co ma, a nasz Ciorkan nie siedziałby, gdzie siedzi - wtrąca ktoś z boku.

Ciorkanowi nie trzeba dużo, żeby się rozczulił i wzruszył.

Stawiają mu rum za rumem, zapewniając, że on nie tylko jest młodszy, urodziwszy i bardziej „w guście” Paszy, ale ostatecznie nie jest takim biedakiem, jak sądzi i wygląda. Ci próżnujący ludzie ukuli w długie wieczory przy kieliszku całą historię: jak to jego ojciec, nieznany oficer turecki, którego nigdy nie widział na oczy, zostawił gdzieś w Anatolii ogromny majątek swemu nieślubnemu dziecku z Wyszegradu, jako jedynemu spadkobiercy, ale tamtejsi krewni sprzeciwili się wykonaniu testamentu, a teraz wystarczyłoby, aby Ciorkan zjawił się w dalekim, pięknym mieście Brusie, żeby położyć kres intrygom i szalbierstwom owych fałszywych dziedziców i odebrać, co mu się należy. Wtedy mógłby za same swoje otręby kupić i Hadzi Omera, i całe jego rzekome bogactwo.

Ciorkan słucha, pije i tylko wzdycha. To wszystko go boli, ale i miło mu, toteż czuje się i zachowuje jak ktoś, kogo oszukano i ograbiono zarówno tu w kasabie, jak też w odległej, przecudnej krainie, skąd pochodzi jego nieznany ojciec. A ci dokoła podobno szykują jego podróż do Brusy.

Żarty są rozwlekłe, złośliwe, wycyzelowane w najdrobniejszych szczegółach. Pewnego wieczoru przynieśli paszport Ciorkanowi, wyprowadzili go na środek gospody, tu go obracają, oglądają i wpisują jego rysopis, przy wtórce niewybrednych dowcipów i gromkich wybuchów śmiechu. Innym razem obliczają potrzebną sumę na podróż do Brusy; wytyczają marszrutę i noclegi. Tym sposobem spędzają znaczną część długiej nocy. Póki Ciorkan jest trzeźwy, broni się; i wierzy, i nie wierzy w to wszystko, co oni mówią; raczej nie wierzy. Właściwie póki jest przytomny, w nic nie wierzy, ale jak tylko sobie podpije, zachowuje się tak, jakby wierzył. Bo zamroczony alkoholem nie zastanawia się, co jest prawdą, a co drwiną i kłamstwem.

Prawdą jest, że po drugiej butelczynie czuje wonny powiew wiatru stamtąd, z dalekiej, niedosiężnej Brusy i widzi, wyraźnie widzi jej zielone ogrody i białe budowle. Faktem jest, że został oszukany, że jest nieszczęśliwy od urodzenia, upośledzony pod każdym względem, nie ma rodziny, majątku, miłości; wyrządzono mu krzywdę, taką krzywdę, że Bóg i ludzie są jego dłużnikami. Wiadomo, że on nie jest hetką pętelką, za jakiego ludzie go mają. I za każdym kieliszkiem coraz bardziej go męczy potrzeba rozpowiadania wszystkim dokoła, chociaż sam dobrze czuje, jak trudno udowodnić prawdę, która podług niego jest prosta i jasna, ale przeciwko

której przemawia wszystko, co jest na nim i wokół niego. A jednak już po pierwszym rumie wyjaśnia to każdemu, przez całą noc, urywanymi słowami, groteskowymi ruchami, roniąc pijackie łzy. Im dłużej i energiczniej wyjaśnia, tym bardziej się zaśmiewają i drwią.

Pokładają się ze śmiechu, który jest zaraźliwy, niepohamowany i miłszy niż jadło i trunki. Śmiejąc się zapominają o nudzie zimowego wieczoru i wraz z Ciorkanem piją na umór.

- Zabij się! - podszeptuje Mehaga Rymarz, który swym chłodnym, pozornie spokojnym tonem najlepiej umie rozdrażnić i podbechtać Ciorkana.

- Skoro nie umiałeś odbić Paszy temu łamadze Hadzi Omerowi, nie powinieneś żyć. Zabij się! Oto moja rada, Ciorkan!

- Ech, „zabij się, zabij się!” - labidzi Ciorkan. - Myślisz, że nie przychodziło mi to do głowy? Sto razy szedłem, żeby z kapii skoczyć do Driny, i sto razy coś mnie zawracało.

- Co? Strach. Pełne portki, Ciorkan!

- O nie! Nie strach, broń Boże, nie strach!

Pośród ogólnego śmiechu i rozgwaru Ciorkan zrywa się, bije w piersi, ułamuje kawałek leżącego przed nim chleba i podtyka spokojnemu i zimnemu Mehadze pod nos.

- Widzisz? Na ten chleb, nie strach, tylko...

Wtem ktoś zaśpiewał cienkim głosem, niespodzianie:

Na twym liczku nie łśni już.

Wszyscy podchwytną piosenkę i przekrzykują Mehagę, ryczącego do Ciorkana:

- Zabij się!

Śpiewając, sami wpadają w trans, w który chcieli wprawić tego biedaka, az w końcu wszystko zamienia się w orgię.

Pewnej lutowej nocy w takim stanie doczekali świtu, szalejąc wraz ze swą ofiarą Ciorkanem, sami będąc ofiarami swego szaleństwa. Już się rozwidniło, gdy całą paczką wyszli z karczmy, i tacy zgrzani, podnieceni, o nabrzmiątych z przepicia tętnicach poszli na most, prawie pusty i pokryty gołoledzią.

Hałaśliwie, wybuchając raz po raz śmiechem, nie zwracając uwagi na rzadkich przechodniów, zakładali się, kto przejdzie przez most, ale po wąskiej, kamiennej, pokrytej lśniącym lodem poręczą.

- Ciorkan! - woła jakiś pijak.

- Nie! Co znowu! Ciorkan się nie odważy!

- Kto się nie odważy? Ja? A właśnie, że przejdę! Zrobię to, czego nikt nie dokáže! - wykrzykuje Ciorkan, bijąc się w piersi - Akurat! Założmy się!

- Właśnie, że przejdę! Walahi!

- Przejdzie, Ciorkan! Przejdzie!

- Gdzieżby! Łże!

Tak przekrzykiwali się i licytowali pijacy, chociaż na szerokim moście sami ledwo trzymali się na nogach, zataczali się, potykali i obejmowali wzajemnie.

Ani się spostrzegli, jak Ciorkan wdrapał się na kamienną poręcz. Nagle ujrzeni, że chwieje się nad nimi i, pijany i bez pasa, usiłuje utrzymać równowagę, posuwając się po krawędzi.

Poręcz jest szeroka ledwo na dwie dobre stopy. Ciorkan chwieje się to w lewo, to w prawo. Z lewej strony jest most, a na moście, u jego stóp, gromada pijaków, którzy krok w krok idą za nim i wykrzykują jakieś słowa, ledwo docierające do jego świadomości, i to jako bełkot. Z prawej jest przepaść, a w tej przepaści gdzieś głęboko w dole szumi niewidoczna rzeka; bucha z niej gęsta para i jak biały dym unosi się w chłodnym ranku.

Nieliczni przechodnie przystają przerażeni, z szeroko otwartymi oczami, gapią się na pijaka, który miast po moście idzie po wąskiej, śliskiej poręczy, nachylony nad topielą, rozpaczliwie wymachując rękami dla zachowania równowagi. Pośród pijanej kompanii niektórzy trzeźwiejsi i przytomniejsi stanęli jakby zbudzeni ze snu i pobladłszy ze strachu, przyglądają się niebezpiecznej zabawie. Inni, nie zdając sobie sprawy z grozy położenia, idą obok poręczy i okrzykami dopingują pijanego człowieka, który kołysząc się i chybcząc, podryguje nad przepaścią.

Swoim ryzykownym wyczynem Ciorkan nagle się wybił i niby jakiś potworny olbrzym jest teraz wysoko nad nimi.

Pierwsze kroki stawia ostrożnie i sztywno. Jego ciężkie buciska co chwila ślizgają się po oblodzonych płytach. Wydaje mu się, że nogi uciekają od niego, że głębina nieubłaganie go ciągnie, że musi się oderwać i runąć, że już spada. Ale to niezwykle położenie i groźba wielkiego niebezpieczeństwa dodawały mu nowych sił i nieznaney mocy. Starając się utrzymać równowagę, coraz szybciej podrygiwał i coraz bardziej przechylał się w pasie i ugiął w kolanach. Zamiast iść normalnie, sam nie wie, kiedy poczał tańczyć drobnym beztróskim kroczkiem, jakby na jakiejś przestronnej polanie, a nie na wąskiej oblodzonej poręczy.

I nagle stał się lekki i zręczny, jak to bywa niekiedy we śnie.

Jego niezgrabne, wycieńczone ciało straciło teraz wszelką wagę.

Pijany Ciorkan podrygiwał i chwiał się nad przepaścią, jakby miał skrzydła u ramion. Czuje, że wraz z muzyką, w której takt płąsa, promieniuje zeń radosna siła, utrzymująca go w równowadze i przydająca pewności siebie. Taniec wiódł go tam, dokąd nogi nie byłyby w stanie zaprowadzić. I nie myśląc już o niebezpieczeństwie i grożącym nieszczęściu, przytupywał i śpiewał z rozpostartymi rękami, jakby sam sobie akompaniował na szargii:

- Tiridam, tiridam, tiridiridiridiridam, tiridam... haj, haj, hajhaj!

Śpiewa Ciorkan i sam sobie wybija takt, krokiem tanecznym przebywa swą niebezpieczną drogę. Nogi ugina w kolanach, a głowę przechyla to w lewo, to w prawo.

- Tiridam, tiridam... hajhaj!

W tej wyjątkowej i niebezpiecznej pozycji, wyniesiony ponad wszystkich, nie jest już owym wesołkiem Ciorkanem z czarsziii i karczmy; nie znajduje się też pod nim śliska i wąska poręcz znanego mostu, gdzie tysiąc razy żuł swój chleb i, myśląc o kojącej śmierci w nurtach rzeki, zasypiał w cieniu kapii. Jest to owa daleka i nierealna podróż, o której mu co wieczór prawią w gospodzie, szydząc i drwiąc niemiłosiernie, a w którą wreszcie się wybrał. Jest to jasna, wymarzona droga wielkich czynów, hen daleko, u jej kresu znajduje się sułtańskie miasto Brusa z prawdziwymi skarbami i prawowitym spadkiem, tam gdzieś jest także słońce, co zaszło, i piękna Pasza z malcem - jego żona z jego synem.

Tańcząc tak w zachwyceniu, przeszedł też po wychylonej części poręczy otaczającej sofę, a potem drugą połowę mostu.

Gdy dobrnął do końca, zeskoczył na ziemię i rozejrzał się zmieszany dokoła, dziwiąc się, że wszystko już się skończyło na bitym, dobrze znanym wyszegradzkim gościńcu. Kompania, która dotąd zachęcała go okrzykami i żartami, powitała go gromko. Podbiegli doń i ci, co zdjęci grozą zamarli w miejscu.

Zaczęli go ścisnąć, poklepywać po ramionach i wyblakłym fezie. Wszyscy krzyczeli jednocześnie:

- Aferom⁴³! Ciorkan, sokoliku!

- Aferim, zuch!

- Rum dla Ciorkana! - wydiera się Santo Papo zachrypniętym głosem, z hiszpańskim akcentem, myśląc, że jest w gospodzie, i rozkładając ręce, jakby go mieli ukrzyżować.

W ogólnym zamieszaniu i hałasie ktoś zaproponował, żeby się nie rozchodzić do domów, lecz dalej pić na cześć wyczynu Ciorkana.

Dzieci, mające wtedy osiem - dziewięć lat, które tego ranka spieszyły oblodzonym mostem do odległej szkoły, przystawały i gapiły się. Ze zdumienia rozdziawiały buzie, z których buchała biała para. Drobne, opatulone, z tabliczkami i książczynami pod pachą, nie mogły pojąć tej zabawy dorosłych, ale na całe życie wraz z sylwetką rodzinnego mostu wryła im się w pamięć znajoma postać Ciorkana, jak odmieniony i lekki, pływając śmiało i radośnie, niby urzeczony sunął tamtędy, którego nie wolno chodzić i gdzie nikt się nie kwapi.

⁴³ Brawo, (tur.).

XVI

Minęło dwadzieścia lat od chwili, gdy pierwsze austriackie żółto malowane furgony przejechały przez most.

Dwadzieścia lat okupacji to długie pasmo dni i miesięcy.

Każdy dzień z osobna i każdy miesiąc wydaje się niepewny i tymczasowy, ale wszystkie razem stanowią od niepamiętnych czasów stosunkowo najdłuższy okres spokoju i materialnego dobrobytu dla kasaby, główną część życia tego pokolenia, które w momencie rozpoczęcia okupacji było pełnoletnie.

Były to owe lata pozornego dobrobytu i pewnych, chociaż niedużych zarobków, kiedy matka, mówiąc o swym synu, dodawała: „Bodaj był żywy i zdrowy, bodaj Bóg dał mu lekki chleb!”; kiedy żona długiego Ferhata, wiecznego nędzarza, miejskiego latarnika, który za zapalanie lamp otrzymywał 12 forintów miesięcznie, mówiła z dumą: „Szuciur⁴⁴ Najwyższemu, skoro i mój Ferhat - urzędnikiem!”.

Tak oto mijały ostatnie lata XIX wieku, lata bez wzruszeń i wielkich wydarzeń, płynące tak, jak spokojnie i rozlewnie płynie rzeka przed nieznanym ujściem. Sądząc po tych latach, wydawało się, że znikają tragiczne akcenty w życiu narodów europejskich, a więc także i w życiu kasaby koło mostu. A jeśli nawet niekiedy zjawiały się gdzieś na szerokim świecie, nie docierały do nas albo były odległe i niezrozumiałe.

Pewnego letniego dnia, po tylu latach, na kapii znowu pojawiło się białe urzędowe ogłoszenie. Było krótkie, tym razem obrzeżone grubą, czarną obwódką i donosiło, że Jej Cesarska Mość Elżbieta padła w Genewie ofiarą ohydneho zamachu z ręki włoskiego anarchisty, Luccheniego. Wyrażało dalej oburzenie i głęboki żal wszystkich ludów wielkiej Monarchii Austro-Węgierskiej oraz wzywało je do wiernopoddańczej uległości wobec domu panującego, co będzie najlepszą pociechą dla ciężko przez los doświadczonego władcy.

Obwieszczenie przylepiono poniżej białej tablicy z napisem, podobnie jak niegdyś manifest generała Filipowicia o okupacji kraju, a ludzie czytali wzburzeni, jako że chodziło tu o cesarzową, o kobietę, ale bez właściwego zrozumienia i głębszego współczucia.

Przez kilka wieczorów nie rozlegały się pieśni ani hałaśliwe rozmowy na kapii, gdyż tak zarządziły władze.

W kasabie był tylko jeden człowiek, który na własnej skórze odczuł skutki tej wiadomości. Był to Pietro Sola, jedyny Włoch w mieście, przedsiębiorca i murarz, kamieniarz i malarz; krótko mówiąc spec od wszystkiego w naszej miejscinie. Mistrz Pero, jak go nazywała cała kasaba,

⁴⁴ Chwała (Bogu) (tur.).

przybył jeszcze na początku okupacji, osiedlił się tu, ożeniwszy się z niejaką Staną, biedną dziewczyną o nie najlepszej reputacji. Ruda, rosła, dwa razy wyższa od niego, uchodziła za kobietę o ostrym języku i ciężkiej ręce, lepiej więc było z taką niewiastą nie zaczynać. A mistrz Pero był drobnym, pochylonym, dobrodusznym człowieczkiem o niebieskich, łagodnych oczach i obwisłych wąsach. Pracował solidnie i nieźle zarabiał. Z czasem został prawdziwym mieszkańcem kasaby, tylko języka i wymowy nigdy nie potrafił porządnie opanować, podobnie jak Lotika. Cała kasaba go lubiła dla jego złotych rąk i pogodnego usposobienia, a atletyczna połowica wiodła go przez życie surowo i po macierzyńsku jak dziecko.

Gdy wracając z pracy, cały szary od kamiennego pyłu i powalany farbą, mistrz Pero przeczytał obwieszczenie na kapii, nacisnął kapelusz na oczy i kurczowo przygryzł cienką fajeczkę, którą stale trzymał w zębach. Na kogokolwiek natknął się ze znaczniejszych i znamienitszych ludzi, usiłował udowodnić, że on, chociaż Włoch, nie ma nic wspólnego z owym Lucchenim i jego potworną zbrodnią. Ludzie słuchali, uspokajali go i zapewniali, że mu wierzą, że nigdy nie nasuwały się im podobne podejrzenia; ale on nie przestawał tłumaczyć, że ze wstydu najchętniej zapadłby się pod ziemię i że w życiu swoim nie zabił kury, a coś dopiero człowieka, w dodatku kobiety i tak wysokiej osobistości. W końcu obawa jego zamieniła się w istną manię.

Mieszkańcy kasaby jęli pokpiwać z kłopotów i gorliwości mistrza Pera i jego zbędnych zapewnień, że nie ma nic wspólnego z mordercami i anarchistami. A urwisy miejscowe od razu wymyśliły okrutną zabawę. Ukryci za węglem wołali za mistrzem Perem: „Luccheni!”. Biedny człowiek opędział się przed tymi okrzykami jak przed niewidocznymi osami, wciskał kapelusz na oczy i biegł do domu wyżalić się i wypłakać na rozłożystym łonie swej połowicy.

- Wstydę się, wstydę - łkał drobny człowieczek - nikomu nie śmiem spojrzeć w oczy!

- Dajże spokój, głuptasie, czego się masz wstydzić? Że Włoch zamordował cesarżową? Niech się wstydzi król włoski!

Kim ty jesteś, żebyś się miał wstydzić?!

- Ot, wstydę się, że żyję - skarżył się mistrz Pero przed żoną, która potrzasała nim, starając się dodać mu otuchy i siły, a także nauczyć, jak ma iść przez miasto: z podniesioną głową, przed nikim nie spuszczać wzroku.

Tymczasem na kapii siedzieli starsi ludzie i z nieruchomymi twarzami i wzrokiem wbitym w ziemię słuchali wiadomości z gazet o zamachu na cesarżową austriacką. Wiadomości te były pretekstem do rozmów na ogólne tematy o losie głów koronowanych i wielkich ludzi. Grupie poważanych, ciekawych i ograniczonych Turków miejscowych wyszegradzki muderis Husein efendi wyjaśniał, co to za jedni ci anarchiści.

Muderis jest tak samo uroczysty i sztywny, lśniący czystością i wypielęgowany, jak był niegdyś, przed dwudziestu laty, kiedy na tej samej kapii witał pierwszych Szwabów wraz z mułłą Ibrahimem i popem Nikołą, którzy od dawna już spoczywają każdy na swoim cmentarzu. Brodę ma siwą, ale tak samo starannie przyciętą i zaokrągloną; twarz spokojną i gładką, jako że ludzie o ciasnej głowie i twardym sercu powoli się starzeją.

Wysokie mniemanie, jakie miał zawsze o sobie, wzrosło w ciągu tych dwudziestu lat. Nawiasem mówiąc, ten kuferek ksiązek, który przyczynił się do wyrobienia muderisowi opinii uczonego męża, wciąż jest niewyczerpany i nietknięty, a jego kronice naszej kasaby przybyły w ciągu tego czasu zaledwie cztery dalsze stroniczki, jako że muderis z biegiem lat coraz bardziej ceni siebie i swoją kronikę, a coraz mniej wydarzenia wokół siebie. Mówił więc cicho i powoli, jakby odczytywał jakiś niewyraźny rękopis, a majestatycznie, uroczyście i surowo biorąc los gjaurskiej cesarzowej tylko za pretekst, w żadnym wypadku nie mieszając go z właściwym sensem swych wyjaśnień. Jego zdaniem (a zdanie to nie jest całkiem jego, ile że znalazł je w dobrych, starych księgach, odziedziczonych po dawnym nauczycielu, słynnym Arabie hodży), ci, co dzisiaj zwą się anarchistami, jak świat światem zawsze byli i będą. Tak to już życie ludzkie jest urządzone - i sam Stwórca Jedyny tak chciał - że każdy łut dobra jest zaprawiony dwoma łutami zła, że na tym padole nie ma dobroci bez nienawiści ani wielkości bez zawiści, podobnie jak nie ma nawet najmniejszego przedmiotu, by nie rzucał cienia.

Dotyczy to osobiwie wielkich, bogobojnych i sławnych mężów.

Pod bokiem każdego z nich rośnie równoległe z ich sławą ich kat, który tylko czyha na okazję, by niekiedy wcześniej, niekiedy później z niej skorzystać.

- Ot, na przykład ów nasz rodak Mehmedpasza, który od dawna jest mieszkańcem rajy - powiada muderis, wskazując kamienną tablicę nad obwieszczeniem - służył trzem sułtanom i był mędrszy od Asafa; ten kamień, gdzie siedzimy, swoją potęgą i pobożnością wzniosł, a też zginął od sztyletu.

Mimo całej swej siły i mądrości nie mógł tego uniknąć. Ci, dla których wielki wezyr stanowił przeszkodę w ich zamysłach, a było to duże i silne stronnictwo, znaleźli sposób uzbrojenia i podjudzenia pewnego szalonego derwisza, aby go zgładził, i to w chwili, gdy szedł do meczetu na nabożeństwo. W wytartej opończy na grzbiecie i z różańcem w ręku nędzny derwisz zastąpił drogę świecie wezyra, obłudnie i pokornie poprosił o jałmużnę, a gdy wezyr chciał sięgnąć po kiesę, utopił w nim sztylet. Tym sposobem Mehmedpasza poniósł śmierć męczeńską.

Ludzie słuchają i puszczając kłęby dymu, spoglądają to na kamienną tablicę z tarihem, to na białe ogłoszenie obrzeżone czarną obwódka. Słuchają uważnie, chociaż nie każdy i nie wszystkie wyrazy rozumie z wyjaśnień muderisa. Ale biegnąc wzrokiem w dal za smugą dymu swych

papierosów, ponad tariahem i plakatem, przeczuwają hen, gdzieś w świecie, jakiś inny, odmienny żywot, żywot wielkich wzlotów i głębokich upadków, w którym wielkość splata się z tragizmem, a który jakimś sposobem utrzymuje równowagę ich spokojnego i jednostajnego bytowania na kapii.

Ale i te dni minęły. Na kapiję powróciły dawne zwyczaje z hałaśliwymi, pospolitymi gawędami, żartami i pieśniami.

Skończyły się rozmowy o anarchistach. A obwieszczenie o zgonie mało ludziom znanej i obcej cesarzowej zmieniało się pod wpływem słońca, deszczu i kurzu, aż wreszcie wiatr podarł je na strzępy, rzucił na wodę i rozniósł po dolinie.

Jeszcze jakiś czas niesforni chłopcy wykrzykiwali za mistrzem Perem: „Luccheni!”, sami nie wiedząc, co to oznacza ani dlaczego to robią, lecz po prostu z dziecinnej potrzeby drażnienia i znęcania się nad słabymi i wrażliwymi istotami.

Wołali, aż przestali, jako że znaleźli inną zabawę. Przyczyniła się do tego niemało Stana z Mejdanu, kiedy zbiła na kwaśne jabłko dwóch małych krzykaczy.

A po miesiącu-dwóch nikt już nie wspominał o śmierci cesarzowej ani o anarchistach. Życie pod koniec stulecia, które wydawało się okiełznane i poskromione na zawsze, zatapiało swym szerokim i jednostajnym nurtem wszystko, sprawiając wrażenie, że rozpoczyna się wiek spokojnej pracy aż po daleką, nieskończoną przyszłość.

Ta ustawiczna i nieustanna aktywność, na którą zda się, cudzoziemskie rządy były skazane i do której nasi ludzie z trudem przywykali, chociaż właśnie jej zawdzięczali swoje zarobki i dostatki, zmieniła w ciągu dwudziestu lat niejedno w zewnętrznym wyglądzie kasaby, w strojach i zwyczajach mieszkańców. Było rzeczą naturalną, że nic jej nie powstrzyma, a więc i stary most o niezmiennej sylwetce.

Nadchodził rok 1900, koniec szczęśliwego stulecia i początek nowego, które - wedle przeczuć i zdaniem wielu ludzi - miało być jeszcze szczęśliwsze. Kiedy zjechali nowi inżynierowie i jęli krążyć wokół mostu. Ludzie już przywykli do nich; nawet dzieci wiedziały, co oznacza, gdy przybysze w skórzanych kurtkach, z zewnętrznymi kieszeniami pełnymi kolorowych ołówków poczynają kręcić się dokoła jakiegoś wzgórza lub budynku. Będą coś burzyć, budować, przekopywać albo zmieniać. Tylko nikt nie potrafił się domyślić, co mogliby robić z mostem, który dla wszystkich w kasabie był rzeczą wieczną i niezmienną jak ziemia pod stopami i niebo nad głowami. A więc oglądali inżynierowie, przemierzali i notowali, a potem się wynieśli i wszystko poszło w niepamięć. Ale w połowie lata, kiedy stan wody był najniższy, przybyli nagle przedsiębiorcy i robotnicy i poczęli w pobliżu mostu wznosić prowizoryczne baraki na narzędzia. Ledwo rozeszła się pogłoska, że most będą reperować, a już opleciono filary rusztowaniami, na

samym zaś moście ustawiono dźwigi z kołowrotem; przy ich pomocy robotnicy na ruchomym rusztowaniu, niby na wąskim drewnianym balkonie, spuszczaali się wzdłuż filarów, podnosili i zatrzymywali się przy miejscach, gdzie były pęknięcia lub gdzie ze szczelin wyrastały kępki trawy.

Trawę wyrwano, każdy otwór zalepiono, z ptasich gniazd oczyszczono. Potem przystąpiono do naprawy podmytych fundamentów. Zatomowano i zmieniono bieg wody, tak że widać było szerniałe, wyszczerbione głązy i wbite z rzadka bale dębowe, zlizane, lecz skamieniałe w wodzie, w której złożono je przed z górą trzystu laty. Niestrudzone dźwigi spuszczały cement i żwir, skrzynię za skrzynią, a trzy środkowe filary, najbardziej narażone na działanie rwącego nurtu i najbardziej podmyte, zostały u podstawy zaplombowane jak zepsute zęby przy korzeniu.

Tego lata nie było mowy o przesiadywaniu na kapii ani zwykłego życia wokół mostu. Wszystko zatarasowały konie i fury zwożące cement i piasek. Zewsząd rozlegały się nawoływania robotników i rozkazy majstrów. Na samej kapii zbito barak z desek.

Przyglądają się mieszkańcy kasaby robotom na dużym moście, dziwiają się i nadziwić nie mogą, ktoś rzuci dowcip, ktoś inny machnie ręką i idzie dalej, a wszystkim się zdaje, że cudzoziemcy robią to, podobnie jak wszystko inne, byleby coś zrobić, bo to im potrzebne, bo inaczej nie potrafiliby żyć. Nikt tego nie mówi głośno, ale wszyscy tak czują.

Ci, którzy przywykli spędzać czas na kapii, siedzą teraz przed hotelem Lotiki, gospodą Zarijiego lub na ciepenkach sklepów położonych bliżej mostu. Tu popijają kawę i gawędzą, czekając, aż kapija będzie wolna i minie najazd na most, podobnie jak trzeba przeczekać ulewę lub inną niepogodę.

Przed sklepem Alihodży, wciśniętym między Kamienny Zajazd i gospodę Zarijiego, skąd widać most w skośnej perspektywie, siedzą już od wczesnego ranka dwaj Turcy, dwaj miejscowi próżniacy, i gwarzą o wszystkim po trochu, a najwięcej o moście.

Alihodża słucha w milczeniu, niechętnie spoglądając w zadumie na most, gdzie jak mrówki uwijają się robotnicy.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat żenił się trzy razy. Teraz ma żonę znacznie młodszą od siebie, a złośliwcy powiadają, że przez to do południa zawsze jest w złym humorze. Z rzeczonymi trzema żonami spłodził czternaścioro dzieci. Nie dziw, że dom jego pełen jest gwaru i wrzawy od świtu do nocy, a w czarszii kpią, że hodża nawet nie zna imion swych dzieci.

Co więcej, wymyślili historię, jakoby jedno z jego licznych potomstwa spotkało go na ulicy i pochyliło się do jego ręki, a hodża pogłaskał je po główce i rzekł: „Bywaj, bywaj zdrów!

A czyj jesteś?”.

Na pierwszy rzut oka hodża niewiele się zmienił. Tylko się zaokrąglił i nie jest już tak rumiany. Nie rusza się tak żwawo i nieco wolniej podąża pod górę do domu na Mejdanie, jako że od jakiegoś czasu serce go męczy nawet we śnie. Chodził do lekarza powiatowego, doktora Marowskiego, jedyne przybysza, którego uznaje i poważa. Dostał od niego jakieś kropelki, które nie leczą choroby, ale pomagają ją znosić, od niego też nauczył się łacińskiej nazwy swej dolegliwości: angina pectoris.

Jest jednym z nielicznych tutejszych Turków, który nie przyjął nic z innowacji i zmian zaprowadzonych przez cudzoziemców, ani w ubiorze, ani w poglądach, ani w mowie, ani w sposobie załatwiania interesów i prowadzenia handlu. Z tym samym zapałem i uporem, z jakim niegdyś występował przeciwko beznadziejnemu oporowi, latami całymi przeciwstawiał się wszystkiemu, co szwabskie i obce, a co coraz bardziej pienilo się wokół niego. Kiedyś popadał przez to w konflikty z ludźmi i płacił mandaty karne. Teraz jest już nieco zmęczony i rozczarowany. W gruncie rzeczy charakter jego nie uległ zmianie, jest taki sam, jakim był wówczas, gdy z Karamanliją toczył dysputy na kapii: człowiekiem samowolnym, posiadającym własne zdanie zawsze i we wszystkim. Tylko że jego przysłowiowa prawdomówność zamieniła się w złośliwość, a wojowniczość w ponure rozgoryczenie, którego nie są w stanie wyrazić najdosadniejsze określenia, a które gaśnie i uśmierza się w ciszy i samotności.

Z biegiem czasu hodża coraz bardziej pogrąża się w jakiejś spokojnej zadumie, kiedy nikogo nie potrzebuje, a wprost przeciwnie: wszyscy go mierzą i wciąż drażnią, zarówno próżniacy z czarszii, jak klienci, młoda żona i chmara dzieci, napełniających dom wrzaskiem. Skoro świt ucieka z domu do sklepu i otwiera go przed wszystkimi innymi kupcami. Tu odmawia sabah⁴⁵. Tutaj przynoszą mu obiad. A gdy w ciągu dnia znudzą go rozmowy, przechodnie i interesy, przymyka ciepenki i kryje się w izdebce za sklepem, którą nazywa tabut⁴⁶. Jest to zaciszne pomieszczenie, wąskie, niskie i mroczne, które hodża wypełnia swym ciałem prawie całe, gdy się w nim zaszyje. Stoi tu mała sofa, na której może spocząć z podwiniętymi nogami, kilka półek zastawionych pustymi pudełkami, starymi odważnikami i najprzeróżniejszymi gratami, nie mieszczącymi się w sklepie. Z tego mrocznego, ciasnego pomieszczenia hodża wsłuchuje się poprzez cienką ścianę w gwar miasta, tętent koni i nawoływania sprzedawców. Wszystko to dociera doń jakby z innego świata. Słyszy też poszczególnych przechodniów, którzy przystają przed przymkniętym sklepem i złośliwie drwią i śmieją się z niego. Ale on słucha ich spokojnie, jako że podług niego ludzie ci są umarłymi, którzy jeszcze nie zaznali spokoju; słyszy ich i w tejże

⁴⁵ Sabah - pierwsza modlitwa poranna u muzułmanów.

⁴⁶ Tabut - trumna.

chwili zapomina o nich. Ukryty bowiem pośród tych kilku desek jest całkowicie chroniony własnymi myślami przed wszystkim, co niesie życie, które jego zdaniem od dawna wykoślawiło się i zeszło na manowce. Tu hodźa odnajduje siebie i wątek swych myśli o losach świata i przebiegu spraw ludzkich, a jednocześnie zapomina o wszystkim innym: o czarszii, dłużnikach i złych dzierżawcach, o swojej zbyt młodej żonie, której młodość i uroda nagle zamieniają się w głupią, piekielną zrzędnosc, o czeredzie dzieci, która nawet dla szkatuły sułtańskiej byłaby uciążliwa, a o której myśli tylko ze zgrozą.

Gdy tu nieco odetchnie i przyjdzie do siebie, znów spuszcza ciepenki i otwiera sklep, jakby dopiero skądś wrócił.

Tak więc i teraz słucha czezej gadaniny dwóch sąsiadów.

- Widzisz, co znaczy wola Boża i czas; kamień nadgryzie, jak nie przymierzając buciska skarpety. Ale Szwab nie czeka, jeno od razu łąta pęknięcia - mędrkuje pierwszy, znany nierób, siorbając kawę Alihodży.

- No, no, przyjacielu, jak Drina Driną most był mostem; nawet gdyby go nie tknęli, stałby póty, póki mu pisane. Na darmo tylko taki koszt i zamieszanie - powiada drugi gość, uprawiający to samo zajęcie, co pierwszy.

Rozwodziliby się długo i szeroko, gdyby im Alihodźa nie przerwał.

- A ja wam powiadam, niedobrze się dzieje, że ruszają most; nie wyjdzie na dobre ta naprawa, zobaczycie; tak jak dziś go reperują, jutro burzyć go będą. Prawił mi nieboszczyk mułła Ibrahim, że w księgach było napisane, iż to wielki grzech ruszać żywą wodę, zawracać ją i zmieniać jej bieg, choćby tylko na dzień albo godzinę. Ale Szwab nie czuje, że żyje, póki gdzieś nie stuka i nie dłubie. Nawet w oko palec by wsadził! Ziemię przewróciłiby do góry nogami, gdyby tylko mogli.

Pierwszy rozmówca dowodzi, iż ostatecznie nie jest tak źle, że Szwaby naprawiają most. W każdym razie, jeśli nie przedłużą mu żywota, to nic mu się nie stanie.

- A skąd ty wiesz, że nic mu nie będzie? - wtrąca się gniewnie hodźa. - Kto ci to powiedział? Czy ty wiesz, że nawet jedno słowo potrafi zburzyć całe miasto, a cóż dopiero taki hałas.

Na słowach opiera się ten Boży świat. Gdybyś był piśmienny i oświecony, tak jak nie jesteś, wiedziałbyś, że nie jest to pospolita budowla, jak tyle innych, lecz jedna z tych, które dla chwały i z woli Bożej się wznosi; w swoim czasie ludzie budują, by w innych czasach inni burzyli. Wiesz, co starzy ludzie opowiadali, jaki był Kamienny Zajazd? Równego mu nie było w całym państwie; a kto go zburzył? Gdyby chodziło jeno o budulec i kunszt, przetrwałby tysiące lat; a jednak stopniał, jakby był z wosku, a teraz na tym miejscu, gdzie stał, wieprze chrząkają i szwabska trąba gra.

- Ależ ja tylko tak, niby liczę... - broni się tamten.

- Źle liczysz - przerywa mu hodża. - Gdyby wszystko było na twój rozum, niczego by się nie budowało ani nie burzyło. Nie mieści się to w twojej mózgowicy. Tylko ja wam powiadam, że to wszystko nic dobrego nie wróży, ani dla mostu, ani dla kasaby, ani dla nas, którzy na to patrzymy.

- Tak, tak! Hodża wie lepiej, co to jest most - dodaje tamten, złośliwie przypominając dawną przygodę Alihodży na kapii.

- Nie myślcie, że nie wiem - mówi przekonywająco i już zupełnie uspokojony zaczyna opowiadać jedną ze swoich historii, z których ludzie lubią żartować, a mimo to chętnie słuchają nawet po kilka razy.

- Kiedyś mój nieboszczyk ojciec słyszał od Azeh Dedii i mnie jako małemu chłopcu opowiedział: skąd się biorą mosty na świecie i jak powstał pierwszy most. Gdy Allah wszechmocny stworzył ten świat, ziemia była równa i gładka jak grawerowana misa. Nie było to w smak szejtanowi, który zazdrościł człowiekowi tego daru Bożego. Toteż gdy ziemia była jeszcze wciąż taka, jaka wyszła z ręki Bożej, mokra i miękka niczym niewypalony garnek, zakradł się i zrył pazurami oblicze ziemi, jak mógł najwięcej i najgłębiej. Tym sposobem więc, jak wieść niesie, powstały rzeki głębokie i przepaście, co dzielą kraje i ludziom utrudniają podróże po ziemi, którą Bóg im dał, by ich karmiła i żywiła. Żał się Allahowi zrobiło, gdy ujrzał, co zrobił ten przeklętnik, ale ponieważ nie godziło mu się imać powtórnie roboty, którą szejtan swoją łapą spaskudził, posłał aniołów, aby pomagały i ułatwiały życie ludziom. Aniołowie widząc, że biedni ludziska nie umieją się przeprawiać przez przepaście i jary ani nie mogą załatwiać swoich interesów, tylko się męczą, daremnie wyglądając i nawołując z brzegu na brzeg, rozpostarły skrzydła nad tymi miejscami, tak że ludzie po nich jęli przechodzić. Tym sposobem nauczyli się od aniołów Bożych budować mosty. Dlatego też największy dobry uczynek poza wybudowaniem studni to wzniesienie mostu, a największy grzech ruszać go, jako że każdy most, od kładki na górskim potoku po budowlę Mehmedpaszy, ma swego anioła stróża, który go pilnuje, póki Bóg tak chce.

- Och, jarabi, jarabil⁴⁷ - dziwią się uprzejmie obaj rozmówcy.

Tak to czas im schodzi na rozmowach, a dzień mija za dniem i coraz bardziej posuwają się roboty na moście, skąd dociera do nich turkot wózków i huk mieszarek.

Jak zawsze, tak i w tej sprzeczce hodża miał ostatnie słowo, jako że nikt nie miał ochoty ani nie mógł spierać się z nim do końca, osobliwie ci dwaj bezmyślni próżniacy, którzy spijają jego kawę i wiedzą, że jutro też przyjdzie im spędzić część swego długiego dnia przed jego sklepem.

⁴⁷ O Boże! (tur.).

Tak to Alihodża prawil każdemu, kogo interes sprowadzał albo kto po drodze wstępował do jego sklepu. Wszyscy słuchali go z drwiącą ciekawością i pozorną uwagą, ale nikt w kasabie nie podzielał jego zdania ani nie miał zrozumienia dla jego pesymizmu i złych przeczuć, których nawet on sam nie potrafił wyjaśnić i poprzeć dowodami. Zresztą od dawna ludzie przyzwyczaili się uważać hodżę za uparciucha i dziwaka, który teraz na stare lata pod wpływem ciężkiej sytuacji i młodej żony wszystko widzi w czarnych kolorach i wszystkiemu nadaje mistyczne i złowieszcze znaczenie.

Większości ludzi w kasabie były obojętne roboty na moście, podobnie jak wszystko, co cudzoziemcy od lat już robią w mieście i w jego okolicy. Niejeden ciągnął zyski ze zwózki piasku i drzewa oraz z dowozu żywności dla robotników. Jedynie dzieci były rozczarowane, widząc, że robotnicy po drewnianych rusztowaniach schodzą przez ów czarny otwór do środkowego filaru, do „komnaty”, w której według ich powszechnego wierzenia przebywa Arab. Stąd wynosili i wyrzucali do rzeki nieprzeliczone kosze ptasich odchodów. I to było wszystko.

Arab się nie pokazał. A chłopcy na próżno spóźniali się do szkoły, godzinami wyczekując na brzegu, kiedy czarny człowiek wyjdzie ze swej mrocznej komnaty i pierwszego robotnika, który mu się nawinie pod rękę, uderzy w piersi tak potężnie, że ten, zatoczywszy wielki łuk, spadnie z ruchomego rusztowania do rzeki. Żli, że to się nie stało, niektórzy malcy próbowali opowiadać, jakoby to się wydarzyło naprawdę, ale historie te nie brzmiały przekonująco. Chłopcy wysmiewali ich. Nawet przysięgi nie pomagały.

Ledwo skończyła się naprawa mostu, zaczęły się roboty wodociągowe. W kasabie były dotychczas drewniane studnie, z których tylko dwie na Mejdanie miały czystą, źródlaną wodę, pozostałe w dolinie wodę zaskórną; mąciły się, jak tylko Drina albo Rzaw wzbierały, a wysychały podczas letnich upałów, kiedy rzeki opadały. Obecnie inżynierowie odkryli, że woda w mieście jest niezdrowa. Nową wodę doprowadzano aż z gór, znad Kabernika, z drugiej strony Driny, tak że rury wodociągowe musiano przeprowadzić przez most do miasta.

I znów na moście wszczął się gwar i stukot. Zrywano płyty i kopano rowy na rury. Płonęły ogniska, na których gotowano dziegieć i topiono ołów. Przędzono konopie. Swoim zwyczajem ludzie znów jęli przyglądać się robotom nieufnie i z zaciekawieniem. Alihodża krzywił się od dymu snującego się poprzez rynek do jego sklepu i z pogardą wyrażał się o nowej, „nieczystej” wodzie, która płynie w żelaznych rurach, tak że nie nadaje się ani do picia, ani na awdest⁴⁸; nawet

⁴⁸ Awdest - u muzułmanów rytualne obmywanie się przed każdą z pięciu dziennych modlitw.

konie by jej nie piły, gdyby jak dawniej istniały jeszcze konie dobrej starej rasy. Szydził z Lotiki, że zainstalowała wodociąg w hotelu.

I każdemu, kto okazywał chęć słuchania, dowodził, że wodociąg jest tylko jednym ze znamion nieprzewidzianego zła, jakie prędzej czy później spadnie na kasabę.

Tymczasem w lecie następnego roku wodociąg został założony, podobnie jak zrealizowano i zakończono wszystkie poprzednie roboty. Czysta woda, która nie zależała już ani od suszy, ani od powodzi, płynęła obficie z nowych żelaznych pomp. Wielu zainstalowało je na podwórzach, niektórzy doprowadzili wodę aż do mieszkań.

Tegoż roku na jesieni przystąpiono do budowy linii kolejowej.

Było to znacznie dłuższe i ważniejsze przedsięwzięcie. Wprawdzie na pierwszy rzut oka nie miało nic wspólnego z mostem. Ale tylko na pozór.

Jest to ta wąskotorowa linia kolejowa, która w artykułach prasowych i oficjalnej korespondencji nazywała się „koleją wschodnią”. Ma łączyć Sarajewo z granicą Serbii pod Wardisztem i z granicą tureckiego Nowopazarskiego Sandżaku pod Uwcem. Przebiega przez kasabę, która jest najważniejszą stacją na jej trasie.

W świecie dużo pisało się i mówiło o politycznym i strategicznym znaczeniu tej linii kolejowej, o projektowanej aneksji Bośni i Hercegowiny, o dalszym wypadzie Austro-Węgieł poprzez Sandżak na Saloniki i o wszystkich skomplikowanych kwestiach z tym związanych. Ale tutaj w kasabie wszystko to występowało w formie zupełnie niewinnej, nawet ponętnej.

Nowi przedsiębiorcy, nowe tłumy robotników, dla wielu nowe źródła zarobków.

Tym razem wszystko było robione z wielkim rozmachem.

Cztery lata trwała budowa linii kolejowej długości stu sześćdziesięciu sześciu kilometrów, na której trasie było blisko sto mostów i wiaduktów, bez mała sto trzydzieści tuneli, a która kosztowała państwo siedemdziesiąt cztery miliony koron. Ludzie wymawiali tę zawrotną sumę, patrząc gdzieś w dal, jakby daremnie usiłując ogarnąć wzrokiem tę górę pieniędzy, wymykającą się wszelkim obrachunkom i kontroli. „Siedemdziesiąt cztery miliony!” - powtarzał niejeden mieszkaniec kasaby ze znanstwem i pewnością, jakby to jemu samemu wyliczono na rękę tę sumę. Bo nawet w tej zabitej deskami kasabie, gdzie życie w dwóch trzecich swych przejawów było zupełnie orientalne, ludzie stawali się niewolnikami cyfr i poczynali wierzyć w statystykę. „Siedemdziesiąt cztery miliony!”, „Nieco mniej niż pół miliona, właściwie 445 782 korony i 12 halerzy od kilometra”. Tak to ludzie wycierali sobie usta zawrotnymi cyframi, choć nie przybywało im z tego ani rozumu, ani fortuny.

Podczas budowy kolei ludzie po raz pierwszy odczuli, że to już nie jest ów lekki, pewny i beztroski zarobek z pierwszego okresu okupacji. W ciągu kilku ostatnich lat skaczą ceny towarów

i artykułów codziennej potrzeby. Skaczą, a nigdy nie wracają do dawnego poziomu, lecz po krótszym lub dłuższym czasie znowu skaczą. Co prawda nie brak zarobków, a dniówki są wysokie, ale zawsze przynajmniej o dwadzieścia procent niższe od rzeczywistych potrzeb. Jest to jakaś szalona i zmyślna zabawa, która coraz większej ilości ludzi coraz częściej zatruwa życie, ale na którą nie ma sposobu, bo przybywa skądś z daleka, z tych samych niezbadanych i nieznanych źródeł, skąd przychodził dobrobyt pierwszych lat. Wielu gospodarzy, którzy wzbogacili się zaraz po okupacji, przed piętnastu - dwudziestu laty, teraz biedę klepie, a synowie ich pracują u innych. Wprawdzie pewna liczba nowych ludzi dorobiła się, ale pieniądz w ich rękach jest jak żywe srebro, niby jakieś czary, tak że łatwo można znaleźć się z pustymi rękami i splamionym honorem.

Coraz bardziej rzuca się w oczy, że zarobki i lżejsze życie, jakie one przynoszą, mają odwrotną stronę medalu, że zarówno pieniądz, jak i jego posiadacz są tylko uczestnikami jakiejś ogromnej, kapryśnej gry, której wszystkich prawideł nikt nie zna ani nie może przewidzieć wyników. Mimo woli wszyscy w tej grze bierzemy udział, jeden w mniejszej, inny w większej mierze, ale wszyscy ze stałym ryzykiem.

W lecie czwartego roku przeszedł przez kasabę pierwszy pociąg, ozdobiony zielenią i chorągiewkami. Odbyła się wielka zabawa ludowa. Robotników podejmowano obiadem i beczkami piwa. Inżynierowie fotografowali się przy pierwszej lokomotywie. Jazda w tym dniu była bezpłatna. („Jeden dzień za darmo, a do śmierci za moniaki” - drwił Alihodża z tych, którzy nie mogli oprzeć się pokusie).

Dopiero teraz, gdy kolej żelazna została zbudowana i pociągi jęły kursować, pokazało się, czym jest dla mostu, dla jego roli w życiu kasaby i w ogóle dla jego losów. Linia kolejowa biegła wzdłuż Driny ową pochyłością pod Mejdaniem, wrzynając się w dolinę za ostatnimi domami, nad brzegiem Rzawu. Tutaj stał dworzec. Cały ruch towarowy i pasażerski z Sarajewa i przez Sarajewo z Zachodem odbywał się na prawym brzegu Driny.

Lewy brzeg, a wraz z nim i most zupełnie zamarły. Przez most przechodzili tylko chłopcy z lewobrzeżnych wsi ze swymi małymi objuczonymi końmi i wozami zaprzężonymi w woły albo zaprzęgi końskie zwoziły z odległych lasów drzewo na stację.

Trakt, który od mostu wspinał się poprzez Lijeskę na Semeć i dalej wiódł przez Glasinac i Romanie do Sarajewa, gdzie niegdyś rozlegały się śpiewki furmanów i pobrzękiwanie uprzęży, począł zarastać trawą i owym drobnym, zielonym mchem - towarzyszem powolnego zamierania dróg i budowli.

Nikt nie wybierał się w podróż ani nie odprowadzał nikogo przez most, nikt na kapii z nikim się nie żegnał, nie dosiadał konia ani nie wychylał strzemiennego.

Kiridzije⁴⁹, konie, koślawe dylizanse i staromodne maki fiakry, którymi dawniej podróżowano do Sarajewa, stały beczynnne. Podróż nie trwała jak dotychczas dwie doby z noclegiem w Rogaticy, lecz raptem cztery godziny. To były właśnie te cyfry przyprawiające o zawrót głowy, o których ludzie nie przestają w ferworze rozprawiać, obliczając wszystkie zyski i oszczędności płynące z szybkości. Jak dziwo oglądano pierwszych podróżnych, którzy tego dnia pojechali do Sarajewa, pozałatwiali interesy i wieczorem wrócili do domu.

Wyjątek stanowił Alihodża, nieufny, uparty, prawdomówny i jak zawsze tak i teraz przekorny. Tym, którzy chwalili szybkość, z jaką obecnie załatwiają interesy, i obliczali zaoszczędzony czas, siły i pieniądze, odpowiadał gniewnie, że nieważne, ile zaoszczędzi się czasu, lecz co się z nim zrobi; jeśli go się źle użyje, to lepiej wcale nie mieć. Dowodził, że nie jest najważniejszą rzeczą, czy idzie się szybko, lecz dokąd i jaki cel przyświeca, a więc szybkość nie zawsze jest przewagą.

- Jeśli wybierasz się do piekła, lepiej ci iść powoli - mówił złośliwie do pewnego młodego kramarza - kiep z ciebie, jeśli myślisz, że Szwaby wydali pieniądze i przeprowadzili kolej po to, żebyś ty mógł szybciej podróżować i załatwiać swoje interesy. Widzisz tylko tyle, że jedziesz, a nie zastanawiasz się, co maszyna wywozi i przywozi prócz ciebie i takich jak ty. No, ale to w twojej mózgowicy nijak się nie mieści. Jeźdź ty sobie, niech ci wyjdzie na zdrowie, jeźdź sobie, ile dusza tylko zapragnie, ale wciąż mnie się zdaje, że pewnego pięknego dnia cała ta jazda bokiem ci wylezie. Przyjdzie czas, że Szwaby będą cię wozić tam, gdzie nie będziesz miał ochoty i dokąd nigdy nie miałeś zamiaru się wybrać.

Ilekróć dolatywał go gwizd lokomotywy, wspinającej się serpentyną nad Kamiennym Zajazdem, Alihodża marszczył czoło, usta wykrzywiały mu się w niezrozumiałym mamrotaniu i patrząc ze swego sklepu na kamienny most, zawsze w tej samej skośnej perspektywie, dalej snuł swą myśl: że nawet największe budowle uzależnione są od jednego słowa, a być może od jednego gwizdu spokój i egzystencja całych miast i ich mieszkańców. A może tak się tylko wydaje słabemu człowiekowi, który dużo przeżył i nagle poczyna się starzeć.

Ale i w tym, jak we wszystkim, Alihodża był osamotniony jako dziwak i przekora. Prawdę powiedziawszy, chłopci również niełatwo przyzwyczajali się do kolei. Korzystali z niej, ale nie mogli się z nią zżyć i połapać w jej kapryсах i nawykach. Skoro świt schodzili z gór, wraz ze słońcem wstępowali do kasaby i zaraz przy pierwszych kramach wypytywali w zdenerwowaniu każdego, kogo napotkali:

- Odeszła maszyna?

⁴⁹ Kiridzija - trudniący się przewożeniem towarów.

- Bodajbyś był żywy i zdrowy, bratku, dawno już odeszła - lżą jak z nut sklepikarze.

- Na Boga, nie może być!

- Jutro będzie inna.

Dopytują się w pośpiechu, nie przystając i pokrzykując na wlokącą się w tyle żonę i dzieci.

Wpadają na stację. Tutaj jakiś kolejarz ich uspokaja i powiada, że zostali oszukani, bo mają jeszcze trzy dobre godziny do odejścia pociągu. Wtedy odetchnawszy, rozsiadają się pod ścianami, wyładowują torby, posilają się, gwarzą lub drzemią, ale wciąż czujni, tak że ledwo rozlegnie się gdzieś gwizd jakiejś ciężarowej lokomotywy, zrywają się i zbierają manatki, wołając:

- Wstawajta! Oto maszyna!

Kolejarz na peronie krzyczy i wypycha ich z powrotem.

- Toć mówiłem wam, że jeszcze trzy godziny z hakiem do odejścia pociągu! Gdzie się pchacie? Czyście poszaleli?

Wracają więc na dawne miejsca, znowu siadają, ale nie mogą wyzbyć się podejrzliwości i nieufności. Za lada gwizdem albo podejrzanym łoskotem znowu zrywają się na równe nogi i wysypują na peron, skąd ich znów zawrócą, żeby cierpliwie czekali, pilnie nasłuchując. Bo żeby nie wiedzieć co im mówić i jak przekonywać, w głębi duszy nie mogą tej „maszyny” pojąć inaczej, tylko w postaci jakiegoś szybkiego, zagadkowego i podstępnego szwabskiego krętactwa, które nieopatrznemu człowiekowi wymknie się w mgnieniu oka i tylko na to czeka, by okpić podróżującego chłopca i odjechać bez niego.

Jeno że to wszystko były drobiazgi: i chłopskie gapiostwo, i zrzędenie oraz krzywienie się Alihodzy. Ludzie się wyśmiewali z tego, a jednocześnie szybko przyzwyczaili się do kolei, jak i do wszystkich innych rzeczy, nowszych, łatwiejszych i przyjemniejszych. Teraz też wychodzili na most i przesiadywali na kapii, podobnie jak to czynili od niepamiętnych czasów, przemierzali go w swych codziennych sprawach, ale podróżowali sposobem i w kierunku wskazywanym przez nowe czasy. Szybko i łatwo pogodzili się z myślą, że droga przez most nie wiedzie już w szeroki świat i że most już nie jest tym, czym był niegdyś: spójnią łączącą Wschód z Zachodem.

Właściwie ludzie przeważnie nie myśleli o tym.

A most wciąż stał niewzruszony w swej odwiecznej, młodzieńczej krasie świetnego pomysłu i dobrych, wielkich czynów ludzkich, którym obca jest starość i zmienność, a które - przynajmniej tak się wydaje - nie dzielą losu przemijających rzeczy tego świata.

XVII

Ale w tej kasabie przy moście, z którą go losy związały, dojrzewały owoce nowych czasów. Nadszedł rok 1908, a wraz z nim wielki niepokój i jakaś utajona groźba, która dotąd nie przestawała nękać kasaby.

W istocie zaczęło się to znacznie wcześniej, jakoś razem z budową kolei i w pierwszych latach nowego stulecia. Jednocześnie ze zwyżką cen i z ową niepojętą, lecz dotkliwą igraszką zwyżki i spadku papierów wartościowych, dywidend i walut, zaczęto coraz więcej mówić o polityce.

Dotąd mieszkańcy kasaby zajmowali się wyłącznie tym, co było im bliskie i znane, a więc swoimi zarobkami, rozrywkami, głównie zaś sprawami swojej rodziny i dzielnicy, miasta albo gminy wyznaniowej, ale zawsze bezpośrednio i w sposób ograniczony, nie wybiegając wzrokiem zbyt naprzód ani nie sięgając pamięcią wstecz. Obecnie zaś coraz częściej wyłaniały się w rozmowach kwestie leżące gdzieś poza tym kręgiem. W Sarajewie powstawały wyznaniowe i narodowościowe stronnictwa i organizacje serbskie i muzułmańskie, a zaraz potem zakładano ich filie w kasabie. Do kasaby nadchodziły nowe gazety drukowane w Sarajewie. Zakładano czytelnie i stowarzyszenia śpiewacze. Najpierw serbskie, potem muzułmańskie, wreszcie żydowskie. Uczniowie gimnazjalni i studenci uniwersytetów w Wiedniu i Pradze, wracając do domów na wakacje, przywozili nowe książki, broszury i nowy sposób wysławiania się. Swym przykładem pokazywali młodszym mieszkańcom kasaby, że języka nie trzeba wiecznie trzymać za zębami i że słowa niekoniecznie zawsze muszą pozostawać w tyle za myślą, jak to starsi stale utrzymywali i o czym byli przekonani. Pojawiły się nazwy nowych organizacji, wyznaniowych i narodowościowych, opartych na nowych zasadach, o śmielszych celach. Po raz pierwszy wtedy usłyszano w kasabie wyraz „strajk”. Młodszy czeladnicy spoważnieli. Wieczorami na kapii wiedli między sobą długie, niezrozumiałe dla obcych dysputy i wypożyczali sobie broszurki bez okładek o takich tytułach, jak Co to jest socjalizm? Osiem godzin pracy, osiem godzin wypoczynku, osiem godzin nauki, Cele i drogi międzynarodowego proletariatu.

Chłopom mówiono o kwestii agrarnej, o dzierżawach, o posiadłościach bejów. Słuchali, patrząc w bok, poruszając ledwo dostrzegalnie wąsami, marszcząc czoła, jakby usiłowali wszystko zapamiętać, żeby potem móc pomyśleć o tym na osobności albo pogwarzyć ze swoimi.

Było, oczywista, sporo mieszkańców, którzy po dawnemu przezornie milczeli albo zaprzeczali takim nowinkom, zuchwałym myślom i wypowiedziom. Ale znacznie więcej było tych, zwłaszcza spośród młodszych, biedniejszych i mających więcej wolnego czasu, którzy to wszystko brali za radosne oznaki, odpowiadające ich dławionym dotąd potrzebom wewnętrznym,

a wnoszące w życie coś wielkiego i wzruszającego, czego dotąd im brakowało. W trakcie czytania przemówień i artykułów, protestów i memoriałów organizacji wyznaniowych czy politycznych, każdy miał wrażenie, że coś w nim się zrywa, że rozszerzają się przed nim horyzonty, wyzwają myśli, a siły łączą z innymi, oddalonymi ludźmi i innymi siłami, o których dotąd nie myślał. Teraz mieszkańcy kasaby poczuli spoglądać na siebie inaczej, jak nigdy dotąd. Słowem, zdawało im się, że życie staje się rozleglejsze, bogatsze, że granice niedopuszczalnego i niemożliwego rozszerzają się, otwierając niebywałe dotąd widoki i możliwości nawet przed tymi, którzy ich dotąd nie mieli.

Właściwie teraz też nic nowego nie zyskali ani nic lepiej nie widzieli, ale mogli wznieść wzrok ponad rzeczywistość swojej kasaby, mieć podniecające iluzje przestrzeni i siły. Nawyki ich nie uległy zmianie, życie i formy wzajemnego obcowania były te same, tylko do starodawnego rytuału spędzania wolnego czasu przy kawie, tytoniu i kieliszku zakradły się ideologiczne spory, zuchwałe słowa i nowy styl rozmów. Ludzie poczuli dzielić się, gromadzić, odpychać i przyciągać na zasadzie nowych kryteriów i na nowych podstawach, a z siłą dawnych namiętności i prastarych instynktów.

Teraz znajdowały oddźwięk w kasabie wydarzenia rozgrywające się daleko poza nią. W roku 1903 doszło do zmiany na tronie Serbii, a potem nastąpiła zmiana rządu w Turcji. Kasaba, leżąca na pograniczu Serbii, a w pobliżu tureckiej granicy, głębokimi i niewidocznymi więzami złączona z tym albo z tamtym krajem, odczuwała te zmiany, przeżywała je i tłumaczyła sobie na swój sposób, chociaż jawnie nie mówiono o nich ani otwarcie nie zdradzano swych myśli i uczuć.

Dawała się odczuć żywsza działalność i nacisk władz, najpierw cywilnych, a potem wojskowych. W dodatku w całkiem nowej formie: dawniej obserwowano, co kto robi i jak się prowadzi, a teraz wypytywano, co kto myśli i jak się wyraża.

Coraz bardziej rosła liczba żandarmów po okolicznych wsiach nadgranicznych. Do komendy miasta został przydzielony specjalny oficer wywiadowczy, Liczanin. Policja aresztowała i nakładała mandaty karne na młodzież za niebaczne wypowiedzi lub śpiewanie zakazanych pieśni serbskich. Podejrzanych przybyszy wydalano. Między samymi mieszkańcami dochodziło do zatargów i bójek wywołanych różnicą poglądów.

Wraz z zaprowadzeniem komunikacji kolejowej nie tylko podróż została skrócona i ułatwiony transport towarów; jakoś jednocześnie wydarzenia przyspieszały swój bieg. Dla mieszkańców kasaby działało to nawet niepostrzeżenie, jako że tempo rosło stopniowo i wszyscy byli w nie wciągnięci. Ludzie przyzwyczajali się do sensacji; podniecające wiadomości nie należały już do rzadkości i wyjątków, lecz były codziennym zjawiskiem i prawdziwą potrzebą. Całe życie jęło gdzieś pędzić, toczyć się w przyspieszonym tempie, podobnie jak wody potoku przyspieszają bieg, zanim spadając po stromych skałkach, zmieniają się w wodospad. Za ledwie

cztery lata upłynęły od chwili, gdy pierwszy pociąg przemknął przez kasabę, kiedy pewnego październikowego przedpołudnia rozlepiono na kapii tuż pod tablicą z tureckim napisem ogromny biały plakat. Przylepił go woźny starostwa Drago. Najpierw zbiegły się dzieci i mający wolny czas ludzie, a potem jęli nadciągać i inni. Jedni czytali na głos, sylabizując i potykając się o obce wyrazy i niezwykle nowotwory językowe. Pozostali słuchali w milczeniu i ze spuszczonego wzrokiem, a postawszy nieco i podumawszy, odchodzili, nie podnosząc oczu, muskając wąsy i brody, jakby ścierali słowo, które o mało im się nie wymknęło.

I Gdy muezin nawoływał do południowej modlitwy, nadszedł Alihodża, zaparłszy sztabą drzwi swego sklepu na znak, że jest zamknięty. Tym razem odezwa nie była napisana w języku tureckim, tak że nie umiał przeczytać. Jakiś młodzik dukał głośno, zupełnie mechanicznie, jak w szkole:

PROKLAMACYA do ludu Bośni i Hercegowiny My Franciszek Józef I, cesarz Austrii, król Czech itd. i apostolski król Węgier, do mieszkańców Bośni i Hercegowiny.

Gdy przed wiekiem ludzkim Nasze wojska przekroczyły granice krajów Waszych...

Alihodża poczuł, że nagle zaczęło go swędzić prawe ucho pod białym zwojem i, jakby to było wczoraj, uprzytomnił sobie spór z Karamanliją, ów gwałt, jakiego dopuszczono się na nim, czerwony krzyż majaczący w przesłoniętych łzami oczach, podczas gdy szwabski żołnierz ostrożnie go uwalniał, oraz biały plakat z ówczesną proklamacją.

Chłopak czytał dalej:

... za-zapewniono Was, że przychodzą nie jako wrogowie, tylko jako przyjaciele, z silną wolą usunięcia złego, od którego Wasza ojczyzna od lat wielu tak ciężko cierpiała.

Słowa te, wypowiedziane w po-poważnej chwili-chwili...

Wszyscy zakrzyczeli niezdarne go lektora, który zmieszany i zaczerwieniony zniknął w tłumie, a jego miejsce zajął jakiś nieznany człowiek w skórzanej kurtce, jakby tylko na to czekał, i zaczął czytać szybko i płynnie niczym modlitwę od dawna wyuczoną na pamięć.

Słowa te, wypowiedziane w poważnej chwili, zostały dotrzymane. Ciągłem było staraniem Naszego rządu, kraj w spokojnej legalności przez skrzętną twórczość doprowadzić do szczęśliwej przyszłości.

Ku Naszej wielkiej radości możemy powiedzieć: Ziarno wówczas rzucone we wzburzoną ziemię bogaty wydało plon.

Wy sami musicie to czuć jako dobrodziejstwo, że w miejsce gwałtu i ucisku nastął porządek i bezpieczeństwo, że ruch i handel nieustannie się rozwijają, że zaznaczył się wpływ umoralniający wyższej oświaty i że pod ochroną uporządkowanej administracji mogliście się cieszyć owocami swej pracy. Kroczyć tą drogą niestrudzenie naprzód jest obowiązkiem nas

wszystkich. Mając ten cel przed oczami, uważam chwilę za stosowną, aby mieszkańcom obu krajów dać nowy dowód naszego zaufania do ich dojrzałości politycznej.

Aby Bośnię i Hercegowinę podnieść na wyższy stopień życia politycznego, postanowiliśmy obu krajom dać urzędnictwo konstytucyjne, które czynią zadość ich stosunkom i ogólnym interesom, i w ten sposób stworzyć ustawodawczą podstawę do reprezentacji ich życzeń i potrzeb. Macie zabierać głos, gdy będzie decydowaniem w przyszłości o sprawach Waszej ojczyzny, która tak, jak dotąd, ma mieć osobną administrację.

Dla zaprowadzenia tej konstytucji krajowej jest jednakże nieodzownym warunkiem stworzenie jasnego i niedwuznacznego stanowiska prawnego obu krajów. Z tego powodu, jako też pomny węzłów, jakie w dawnych czasach istniały między Naszymi sławnymi przodkami na tronie węgierskim a tymi krajami, rozszerzamy prawa Naszej zwierzchności na Bośnię i Hercegowinę i chcemy, aby także prawa dziedzictwa Naszego Domu znalazły zastosowanie w tych krajach. Mieszkańcy obu krajów otrzymują tem samem wszystkie dobrodziejstwa, które trwale wzmocnią dotychczasowe połączenie. Nowy porządek będzie gwarancją, że kultura i dobrobyt w Waszej ojczyźnie znajdą stałą siedzibę.

Mieszkańcy Bośni i Hercegowiny! Wśród wielu trosk, które nasz tron otaczają, troska o Wasze dobro materialne i duchowe w przyszłości nie będzie ostatnią. Wyższa myśl równego prawa dla wszystkich wobec prawa, udział w ustawodawstwie i administracji spraw krajowych, równa ochrona wszystkich wyznań, języka i narodowych właściwości - wszystkie te wyższe dobra macie otrzymać w pełnej mierze. Wolność każdego poszczególnego i dobro całości - to będzie gwiazdą przewodnią naszego rządu dla dobra kraju.

Z rozchylonymi z lekka ustami i przekrzywioną głową Alihodża słuchał tych przeważnie niezwykłych albo nieznanych słów, a i te, które same w sobie nie były mu obce, brzmiały w tym układzie jakoś dziwnie i niezrozumiale: „Ziarno... wówczas rzucone we wzburzoną ziemię”, „nieodzowny warunek zaprowadzenia tej konstytucji krajowej”, „jasne i niedwuznaczne stworzenie stanowiska prawnego”, „gwiazda przewodnia naszego rządu...”. O tak, znów są to „słowa cesarskie”!

A po każdym z tych słów przed oczami wyobraźni hodży bądź to otwiera się jakiś odległy, niezwykły i niebezpieczny widok, bądź to opada zasłona czarna, ołowiana tuż przed jego zrenicami. I tak na przemian: albo nie widzi nic, albo widzi coś, czego nie rozumie i co nie wróży nic dobrego. Na tym świecie nic nie jest wykluczone i wszelkie dziwy są możliwe. Oto jak człek może pilnie słuchać, nic z tego osobno nie rozumieć, wszystko razem zaś doskonale pojmować i właściwie oceniać! To ziarno, ta gwiazda, te troski tronu, to wszystko mogłoby być wyrażone w obcym języku, a hodża, zda mu się, potrafiłby zrozumieć, co się chce przez to powiedzieć i

osiągnąć. Oto cesarze już trzydzieści lat wygrażają sobie ponad krajami, miastami i ponad głowami swych ludów. A każde słowo we wszystkich odezwach wszystkich cesarzy ma ciężar ołowiu. Krainy rozbijają, głowy spadają pod ich ciężarem. Tak się to mówi: „ziarno... gwiazda... troski tronu”, aby nie nazywać po imieniu tego, co jest, i by nie mówić: że krajami i prowincjami, a wraz z nimi i żywymi ludźmi oraz ich siedzibami frymarczy się i że przechodzą z rąk do rąk jak drobna moneta, prawowierny zaś i poczciwy człowiek nie może zaznać spokoju na ziemi nawet tyle, ile mu w jego krótkim życiu potrzeba, a jego stan i mienie zmieniają się niezależnie od niego i wbrew jego woli i najlepszym chęciom.

Alihodża słucha i wciąż mu się zdaje, że są to te same słowa sprzed trzydziestu lat, ten sam ciężar ołowiu na sercu, to samo ostrzeżenie, że ich czasy się skończyły, że „świeca turecka dogorywa”, jeno że trzeba im to powtarzać, bo nie chcą tego pojąć ani zobaczyć, tylko sami się tumanią i udają naiwnych.

Z pewnością okażecie się godni zaufania przez przywiązanie i tego pokładanego w Was wierność do Nas i do Naszego Domu. I tak spodziewamy się, że szlachetna harmonia między księciem a ludem, ta najcenniejsza rękojmia wszelkiego postępu państwowego, zawsze towarzyszyć nam będzie na wspólnej drodze.

Dan w naszym królewskim stołecznym mieście Buda-Peszcie.

Franciszek Józef I m.p.

Mężczyzna w skórzanej kurtce skończył czytać i niespodziewanie wykrzyknął:

Niech żyje Jego Cesarska Mość!

- Niech żyjeee! - zawołał jakby na zamówienie długi Ferhat, magistracki latarnik.

Pozostali w milczeniu rozeszli się w tejże chwili do domów.

Jeszcze zmrok nie zapadł, gdy wielka biała płachta odezwę została zdarta i wrzucona do Driny. Nazajutrz aresztowano kilku serbskich młodzieńców podejrzanych o to przestępstwo, a na kapii ponownie przyklejono biały plakat i postawiono przy nim woźnego magistrackiego.

Skoro jakiś rząd odczuwa potrzebę zapewniania swym obywatelom za pośrednictwem plakatów pokoju i dobrobytu, wypada mieć się na baczności i spodziewać czegoś wręcz przeciwnego.

Już pod koniec października zaczęło napływać wojsko, i to nie tylko pociągami, lecz także starym, zapuszczonym gościńcem. Tak samo jak trzydzieści lat temu zstępowali ze sprzętem i taborem stromym traktem od Sarajewa i przez most wkraczali do kasaby. Prócz kawalerii były reprezentowane wszystkie inne rodzaje broni. Koszary były przepełnione. Obozowano w namiotach. Nieustannie przybywały nowe jednostki, popasały kilka dni w mieście, a następnie rozlokowywano je po wsiach nad granicą serbską. Żołnierze byli przeważnie rezerwistami

różnych narodowości, przy pieniądzech. Kupowali drobiazgi w sklepach, a owoce i słodycze na rogach ulic. Ceny skakały. Siano i owies zupełnie zniknęły. Po górach wokół miasta zaczęto budować umocnienia.

A na samym moście rozpoczęła się dziwna robota. Tuż za kapiją, idąc na lewy brzeg Driny, na samym środku mostu jęli specjalnie sprowadzeni robotnicy wiercić w jednym filarze kwadratowy otwór. Miejsce, gdzie pracowano, było zasłonięte zielonym namiotem, spod którego stale dolatywał stukot z coraz większej głębokości. Wydobyte kamienie rzucano przez poręcz do rzeki.

Chociaż roboty osłaniano tajemnicą, kasaba wiedziała, że podminowuje się most, to jest drażny się głęboki otwór w filarze aż do fundamentów, gdzie założony zostanie dynamit na wypadek wojny i konieczności wysadzenia mostu. W otwór wpuszczono długą żelazną drabinę, a gdy wszystko było gotowe, zamknięto go żelazną pokrywą. A już po kilku dniach płyta ta upodobniła się do kamienia i ziemi, toczyły się po niej wozy, jechały konie i spieszili przechodnie za swymi interesami, niepomni miny i dynamitu. Tylko chłopcy, zdążając do szkoły, przystawali w tym miejscu, stukali ciekawie w żelazne drzwiczki, zgadywali, co też się kryje za nimi, roili o jakimś nowym ukrytym w moście Arabie, rozprawiali o materiałach wybuchowych i o ich sile, zastanawiając się, czy w ogóle można zburzyć taką budowlę.

Ze starszych jedynie Alihodża Mutewelić jeszcze w trakcie robót obchodził i ponuro, podejrzliwie oglądał zielony namiot, a potem żelazną pokrywę pozostawioną na moście. Słuchał, co mówiono i szeptano: że w tym filarze wydłubano otwór głęboki jak studnia, że założono w nim dynamit, który jest połączony drutem elektrycznym z brzegiem, tak że dowódca może o każdej porze dnia i nocy rozwalić most pośrodku, jakby był z cukru, a nie z kamienia. Słuchał hodża, kręcił głową, rozmyślał o tym we dnie, kiedy zaszywał się w swojej izdebce za sklepem, i w nocy na posłaniu, kiedy pora spać; to dawał plotkom ucha, to znów odrzucał taką możliwość jako zbyt szaloną i bezbożną, ale nieustannie nad tym medytował, tak że we śnie jęli zjawiać się mu przodkowie - dawni mutewelije posiadłości Mehmedpaszy - i pytać surowo: co to ma znaczyć, co się tam dzieje na moście.

Sam też łamał sobie nad tym głowę. Nie chciał nikogo w czarszii pytać, uważając, że mądry człowiek w tej kasabie od dawna już nie ma kogo się poradzić ani z kim po ludzku pogadać, jako że wszyscy albo stracili ambicję i rozum, albo sami są w rozterce i rozgoryczeni tak jak on.

Mimo to pewnego dnia nadarzyła mu się okazja zasięgnięcia języka. Jeden z bejów Brankowiciów z Crnczy imieniem Muhamed służył w wojsku w Wiedniu, został tam jako

Langediener⁵⁰ i dochrapał się stopnia feldfebla. (Był to wnuk owego Szemsibeja, co po okupacji zamknął się w swojej Crnczy i umarł ze zgryzoty, a którego po dziś dzień wspominają starzy Turcy jako niedościgły wzór moralnej wielkości i niezłomnych zasad).

Muhamed bej w tym roku przyjechał na urlop. Był ryży, rosły i tęgi, w ciemnobłękitnym eleganckim mundurze z żółtym szamerunkiem, czerwonymi chwastami, srebrnymi gwiazdkami pod szyją, w białych jak kwiat skórkowych rękawiczkach i czerwonym fezie. Wymuskany, uśmiechnięty, nieskazitelnie czysty i strojny paradował po czarszii, dyskretnie pobrzękując długą szablą o bruk, i każdemu salutował uprzejmie, z pewną siebie miną, jak ktoś, kto jest na cesarskim żołdzie i nie ma wątpliwości co do własnej osoby ani nie boi się innych.

Gdy rzeczony Muhamedbej zaszedł do sklepu hodży, zapytał o zdrowie i usiadł, by wypić kawę, Alihodża skorzystał z okazji, żeby od niego, jako od mieszkającego z dala od kasaby cesarskiego człowieka otrzymać wyjaśnienie sprawy nękającej go jak zmora. Wyłuszczył mu, o co chodzi, opowiedział, co się działo na moście, a także, co kasaba mówi i spytał: czy to [możliwe, żeby planowo przygotowywano zburzenie takiej fundacji będącej dobrem ogólnym.

Gdy tylko feldfebel usłyszał, o co chodzi, od razu spoważniał. Znikł jowialny uśmiech, a jego różowa, wygolona twarz przybrała drewniany wyraz jak na paradzie w momencie, gdy pada komenda: baczność! Chwilę milczał jakby zmieszany, a potem dziwnie przyciszonym głosem rzekł:

- We wszystkim jest odrobina prawdy. Ale, jeśli chcesz, powiem ci: najlepiej nie dopytywać się i nie mówić o tym, bo to należy do przygotowań wojennych, tajemnic wojskowych i tak dalej, i tak dalej.

Hodża nienawidził wszystkich nowych wyrażeń, a zwłaszcza owego „i tak dalej”. Nie tylko dlatego, że raziło mu uszy, ale także dlatego, że czuł, iż zwrot ten w ustach cudzoziemca zastępuje przemilczaną prawdę, jak również i to, że wszystko, co powiedziano uprzednio, funta kłaków niewarte.

- Ależ zostaw to ich „i tak dalej, i tak dalej”, tylko powiedz mi i wyjaśnij, jeśli możesz, co też wyprawiają z mostem.

To nie może być tajemnicą. Zresztą cóż to mi za tajemnica, którą znają nawet dzieci szkolne? - przerywa gniewnie hodża.

- I cóż ma wspólnego, bój się Boga, most z ich wojowaniem?

- Ma, Alihodża, ma! I to jak jeszcze! - odpowiada Branković teraz znowu z uśmiechem.

⁵⁰ Podoficer zawodowy (niem.).

Tłumaczy mu uprzejmie i nieco pobłażliwie, jak się zwykle mawiać do dzieci, że to wszystko jest przewidziane w regulaminie wojskowym, że istnieją do tego celu pionierzy i saperzy, że w wojsku cesarskim każdy ma swoją robotę i nie ma się o co martwić ani po co mieszać do cudzej „branży”.

Słucha go nasz hodża, słucha i patrzy, ale nie bardzo rozumie i nie może długo wytrzymać.

- Wszystko to pięknie, bratku, ale czy oni nie wiedzą, że to jest puścizna po wezyrze, że dla zbawienia duszy i dla chwały Bożej została wzniesiona i że grzech to wielki choćby kamień z mostu odłupać?

Feldfebel tylko rozłożył ręce, wzruszył ramionami, zacisnął wargi i przymknął oczy, tak że miał jakąś chytrą i uprzejmą minę, twarz ślepą i głuchą, sztywną, nieruchomą, jaką można osiągnąć przez długoletnią pracę w starych i strupieszających administracjach, w których dyskrecja od dawna wyrodziła się w bezdusność, a posłuszeństwo w tchórzostwo. Karta białego, nie zapisanego papieru jest bardziej wymowna niż niema ostrożność tej twarzy. Zaraz potem człowiek cesarski otworzył oczy, opuścił ręce, wygładził twarz i przybrał znów dawny wyraz owej pewnej siebie, uśmiechniętej pogody, w której wiedeńska dobroduszość i turecka uprzejmość łączą się i mieszają jak wody dwóch rzek.

Zmieniwszy temat rozmowy i chwając wyszukanymi słowami zdrowie hodży i jego młodzieńczy wygląd, Muhamedbej pożegnał się z tą samą niewyczerpaną uprzejmością, z jaką przyszedł.

A hodża pozostał w rozterce, ze swymi wątpliwościami, ani trochę mniej zatroskany niż przedtem. Pogrążony we frasobliwych rozmyślaniach spoglądał ze swego sklepu na olśniewające piękno pierwszego dnia marcowego. Przed nim w skośnej perspektywie stał odwieczny i wiecznie jednakowy most; poprzez jego białe łuki widać było zielone, połyskujące, niespokojne wody Driny, tak że wyglądał jak niezwykle, dwubarwny, mieniący się w słońcu naszyjnik.

XVIII

Nastąpiło nagle odprężenie sytuacji, którą w świecie nazywano „kryzysem aneksyjnym”, a która rzuciła swój złowieszczy cień na most i koło niego położoną kasabę. Tam gdzieś w korespondencji i rokowaniach pomiędzy zainteresowanymi stolicami znaleziono pokojowe rozwiązanie.

Granica, ta z dawien dawna łatwo zapalna granica, tym razem nie stanie w ogniu. Wojska, które w takiej ilości załazy miasto i pograniczne wsie, jęły w pierwszych dniach wiosny odpływać i się zmniejszać. Ale, jak to zwykle bywa, wywołane kryzysem zmiany pozostały. Garnizon w mieście jest znacznie większy niż dawniej. Most nadal jest zaminowany. Ale o tym nikt już nie

myśli prócz Alihodży Mutewelicia. Plac na lewym wzgórku koło mostu powyżej starych murów, gdzie znajduje się ogród miejski, przejęły teraz władze wojskowe. Pośrodku ogrodu wycięto drzewa i na tym miejscu wybudowano piękny jednopiętrowy budynek. Jest to nowe kasyno oficerskie, gdyż dotychczasowe, mieszczące się w małym parterowym domu w górze na Bikawcu, okazało się za małe dla zwiększonej liczby oficerów. Tym sposobem po prawej stronie mostu znajdował się hotel Lotiki, a po lewej kasyno oficerskie, dwa białe, prawie jednakowe budynki, pomiędzy nimi. rynek otoczony sklepami, a powyżej niego na niedużym wzniesieniu ogromne koszary, nazywane przez lud Kamiennym Zajazdem na pamiątkę karawan-seraju Mehmedpaszy, który niegdyś stał na tym miejscu i zniknął bez śladu.

Ceny, które zeszłej jesieni skoczyły wskutek obecności takiej ilości wojska, utrzymały się bez zmiany, z widokami raczej dalszej zwyżki niż powrotu do dawnego stanu. Tego roku założono dwa banki, serbski i muzułmański. Ludzie posługują się wekslem jak lekarstwem. Teraz każdy łatwiej zaciąga pożyczki. Ale im więcej jest pieniędzy w obiegu, tym większa daje się odczuwać ich potrzeba. Tylko tym, którzy lekkomyślnie wydają więcej, niż zarabiają, życie zdaje się jeszcze łatwe i piękne. Ale kupcy i ludzie interesu są zatroskani. Kredytów udziela się na coraz krótsze terminy spłat. Dobrzy i solidni klienci należą coraz częściej do rzadkości. Coraz więcej pojawia się wyrobów, których cena przewyższa siłę nabywczą większości ludzi. Handluje się detalicznie, a i tak coraz bardziej poszukiwany jest towar tańszy. Obfite zakupy czynią jeszcze tylko wątpliwi płatnicy. Jedynym pewnym i dobrym interesem są dostawy dla wojska albo jakiejś instytucji państwowej, ale to gratka nie dla każdego. Podatki państwowe i opłaty magistrackie są coraz większe i liczniejsze, rośnie srogość przy poborze akcyzy. Na odległość dają się odczuć niezdrowe wahania na giełdach. Zyski stąd płynące znikają w niewidocznych rękach, a straty sięgają najbardziej nawet odległych zakątków monarchii i obciążają drobny handel z przekupniem i konsumentem włącznie.

Ogólny nastrój w kasabie nie jest weselszy ani spokojniejszy. Nagłe odprężenie nie przyniosło prawdziwego uspokojenia umysłów ani Serbów, ani muzułmanów; pozostawiło jedynie utajone rozczarowanie u jednych, a osad nieufności i lęku przed przyszłością u drugich. Wyczekiwanie wielkich wydarzeń znów poczyna rosnać, bez widomych przyczyn i bezpośrednich powodów. Naród żywi jakąś nadzieję i czegoś się obawia (właściwie jedni mają nadzieję, a drudzy się obawiają), wszystko przyjmuje i obserwuje wyłącznie pod tym kątem i w związku z tym. Po prostu jakiś niepokój opanował serca ludzi, nawet nieuczonych i prostych, osobliwie młodszych, tak że nikomu już nie wystarcza jednostajny tryb życia, jaki całymi latami wiedli dotąd. Każdy ma wyższe aspiracje, szuka czegoś lepszego albo trawi go lęk przed gorszym. Starzy wspominają z żalem „ową błogą ciszę”, która za czasów tureckich uchodziła za cel ostateczny i

najdoskonalszą formę publicznego i prywatnego żywota, a panowała jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat rządów austriackich. Ale takich jest niewielu. Reszta goni za hałaśliwym, niespokojnym, pełnym wrażeń i podniet życiem. Pragnie własnych lub okruchów cudzych przeżyć albo przynajmniej urozmaicenia, gwaru i uciech, które stwarzają iluzję przeżyć. A to zmienia nie tylko nastroje, lecz także sam wygląd zewnętrzny miasta.

Nawet ów odwieczny, utarty tryb życia na kapii, ciche rozmowy i spokojne dumanie, pogodne żarty i namiętne pieśni pomiędzy wodą, niebem i górami zaczynają ulegać zmianie.

Sprzedawca kawy nabył gramofon, niezgrabne drewniane pudełko z wielką blaszaną tubą w kształcie modrego kwiatu.

Syn jego zmienia płyty i igły, nieustannie nakręca ten krzykliwy grat, od którego na kapii aż uszy puchną i echo niesie się daleko po obu brzegach. Musiał go kupić, żeby dotrzymać kroku innym, jako że gramofony grają nie tylko po stowarzyszeniach i czytelnich, ale nawet w najskromniejszych karczmach, gdzie dawniej siedziło się pod lipą, na trawie albo na ganku i gwarzyło półgłosem i półgębkiem. Wszędzie gramofony zgrzytliwie skrzeczą - stosownie do upodobań gości - marsze tureckie, serbskie pieśni patriotyczne albo arie z wiedeńskich operetek. Bo gdzie nie ma gwaru, blichtru i ruchu, tam ludzie nie zachodzą i nie ma zarobków. Gazety czyta się chciwie i dużo, ale powierzchownie i na chybcika; każdy wybiera tylko te, które na pierwszej stronie zamieszczają wiadomości sensacyjne wypisane tłustym drukiem. Artykuły pisane drobną czcionką mało kto czyta. Wszystkiemu, co się dzieje, towarzyszy hałas i patos wielkich słów. Młodzi ludzie uważają dzień za stracony, jeśli nie kładą się wieczorem z uszami pełnymi huku a oczami pełnymi blasku.

Na kapiję przychodzą tutejsi agowie i efendiowie, poważni i na pozór obojętni, aby posłuchać komunikatów prasowych o wojnie turecko-włoskiej w Trypolisie. Pożądliwie słuchają, co piszą gazety o młodym, dzielnym majorze tureckim Enwer paszy, który bije Włochów i broni ziemi sułtańskiej, jakby był potomkiem Sokolowicia albo Ciuprilicia. Krzywią się na hałaśliwy gramofon, który przeszkadza im myśleć, i skrycie, ale głęboko i szczerze drżą o losy dalekiej prowincji tureckiej w Afryce.

Zdarzy się, że wracając z pracy, przejdzie przez most ów Włoch Piotr, majster Pero, w swym drelichowym ubraniu białym od kamiennego pyłu i powalany farbami i terpentyną. Postarzał się i jeszcze bardziej pochylił, skromny jest i nieśmiały. Podobnie jak po zamachu Luccheniego na cesarzową, zgodnie z jakąś dla niego niepojętą logiką, znów jest winien temu, co gdzieś w świecie zbroili jego rodacy Włosi, z którymi już od dawna nie ma nic wspólnego. Zawsze któryś z młodych Turków krzyknie:

- Trypolisu zachciało ci się, kurwo? Naści!

I wołając za nim, robią nieprzyzwoite gesty.

A majster Pero, zmęczony i przygarbiony, z narzędziami pod pachą, wbija tylko kapelusz mocniej na oczy, kurczowo ściska fajkę w zębach i spieszy do swego domu na Mejdanie.

Tu czeka nań jego Stana, która też zestarzała się i przywiedła, ale wciąż jest obrotna w języku. On gorzko jej się żali na młodzież turecką. Mówią nieprzyzwoite rzeczy i żądają od niego Trypolisu, o którego istnieniu do niedawna w ogóle nie miał pojęcia. A Stana, jak to Stana, nie chce go zrozumieć i współczuć mu, lecz jeszcze utrzymuje, że sam sobie winien i że zasłużył na te wszystkie głupie docinki.

Gdybyś był mężczyzną, a nie fujarą, huknąłbyś jednego z drugim tym dłutem albo młotkiem po łbie, a wtedy tureckim chamom nie przyszłoby do głowy zaczepiać ciebie, ale na sam twój widok zrywaliby się na równe nogi.

- Ty, Stana, Stana - wzdycha dobrodusznie, nieco żałośnie majster Pero - jakże może człowiek człowieka huknąć młotkiem po łbie?

Tak więc lata te schodziły na małych i wielkich wzruszeniach i stałej pogoni za nimi. I oto nadeszła jesień 1912 roku, a potem rok 1913 z wojnami bałkańskimi i zwycięstwami serbskimi-
Jakimś dziwnym zrządzeniem losu właśnie to, co miało takie znaczenie dla mostu, kasaby i zamieszkałych w niej ludzi, przyszło cicho, prawie niepostrzeżenie.

Rumiane o świtanu i zmierzchu, a złociste w południe październikowe dni minęły nad kasabą czekającą na sprzęt kukurydzy i nową gorzałkę. W południe można było jeszcze wygrzewać się na kapii. Czas, zda się, wstrzymał oddech nad kasabą. I właśnie wtedy to się stało.

Zanim piśmienni zdolali połapać się w sprzecznych wiadomościach prasowych, wybuchła wojna Turcji z czterema państwami bałkańskimi, tocząc się na odwiecznych pobojuwiskach Bałkanów. A zanim ludzie zdążyli uchwycić właściwy sens i zasięg wojny, zakończyła się ona zwycięstwem serbskiego i chrześcijańskiego oręża. Wszystko to rozegrało się daleko, bez ogni na granicy, bez huku dział i bez ściętych głów na kapii.

Podobnie jak w sprawach finansowych i handlowych, tak samo i w tych bardzo ważnych rzeczach wszystko działo się gdzieś daleko i niesamowicie szybko. Tam gdzieś w świecie toczy się gra lub bój i tam rozstrzygają się losy każdego z nas.

Ale jeśli wygląd zewnętrzny kasaby był spokojny i niezmieniony, w umysłach wydarzenia te wywoływały istne burze największych uniesień i najgłębszego przygnębienia. Jak wszystko, co się działo na świecie w ciągu ostatnich lat, tak samo i to Serbowie i muzułmanie w kasabie przyjęli ze sprzecznymi uczuciami; jedynie siła i losy ich uczuć były może jednakowe.

Wydarzenia przeszły wszelkie oczekiwania jednych, a wszelkie obawy drugich wydawały się uzasadnione. Pragnienia, które przez setki lat wyprzedzały powolnie kroczącą historię, nie

mogły teraz nadażyć za jej fantastycznym lotem ku najśmielszym urzeczywistnieniom. Wszystko, co kasaba mogła zobaczyć i czego bezpośrednio mogła doznać z tej doniosłej wojny, rozegrało się z błyskawiczną szybkością i bardzo zwyczajnie.

Nad Uwcem, gdzie granica austro-węgiersko-turecka przebiega tą rzeczką, a drewniany most oddziela austriackie koszary żandarmerii od strażnicy tureckiej, przeszedł turecki oficer wraz z niedużą załogą na stronę austriacką. Tutaj teatralnym gestem złamał swoją szpadę o poręcz mostu i oddał się w ręce żandarmów austriackich. W tej chwili z gór jęła zstępować szara piechota serbska. Zająła miejsce przestarzałych wojsk tureckich wzdłuż całego pogranicza między Bośnią a Sandżakiem. Zniknął trójkąt graniczny pomiędzy Austrią, Turcją i Serbią. Granica turecka, która nie dalej jeszcze jak wczoraj przebiegała w odległości piętnastu kilometrów od kasaby, przesunęła się nagle o przeszło tysiąc kilometrów stąd, aż gdzieś za Adrianopol.

Tyle zmian, i to tak ważnych, w tak krótkim czasie wstrząsnęło posadami kasaby.

Dla mostu na Drinie przemiany te miały decydujące znaczenie. Komunikacja kolejowa z Sarajewem sparaliżowała, jak widzieliśmy, wszystkie jego kontakty z Zachodem, a teraz przerwała się nagle łączność ze Wschodem. Właściwie ten Wschód, który go stworzył i onegdaj był jeszcze tutaj, wprawdzie zachwiany i poszczerbiony, ale stały i rzeczywisty jak niebo i ziemia, teraz znikł nagle niby senna zjawa, a most obecnie istotnie nie łączy nic innego, tylko dwie części kasaby i kilkanaście wsi po obu brzegach Driny.

Wielki kamienny most, który według pomysłu i pobożnych życzeń wezyra z Sokoliwici miał łączyć, jako jedno z ogniwi imperium, dwie prowincje państwa otomańskiego i „ku chwale Bożej” ułatwić przejście z Zachodu na Wschód i na odwrót, był teraz właściwie odcięty i od Wschodu, i od Zachodu, pozostawiony sam sobie jak osiadły na mieliźnie okręt albo opuszczona świątynia. Przetrwał trzy stulecia i przeżył wszystko niezmienny, wiernie służąc, ale zmieniły się ludzkie potrzeby i niejedno na świecie: teraz jego zadanie zawiodło. Po tym trwałym i pięknym kolosie mogłyby przechodzić wojska i karawany przeciągać stuleciami całymi, ale oto na skutek odwiecznej i nieprzewidzianej igraszki ludzkich stosunków wezyrowa puścizna została nagle odrzucona i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazła się poza głównym nurtem życia. Teraźniejsza rola mostu ani rusz nie pokrywała się z jego wiecznie młodym wyglądem i olbrzymimi, lecz proporcjonalnymi rozmiarami. Ale on wciąż stał taki, jakim go widział wielki wezyr oczami wyobraźni i jakim go stworzył jego budowniczy: ogromny, piękny i trwały, niedostępny wszelkim zmianom.

Trzeba było czasu, trzeba było trudu nie lada, aby ludzie w kasabie pojęli to wszystko, co tu w paru wierszach zawarto, a co w rzeczywistości odbyło się w ciągu kilku miesięcy. Nawet we snach nie przesuwa się granic tak szybko i tak daleko.

Wszystko, co tkwiło uśpione w sercach tych ludzi, prastare jak ten most, nieme i nieruchome jak on, teraz niepostrzeżenie ożyło i jęło oddziaływać na codzienny żywot, na ogólne nastroje i osobiste losy każdego z osobna.

Pierwsze dni lata 1913 były deszczowe i ciepłe. Na kapii przesiadują za dnia zgnębieni wyszegradzcy muzułmanie, starsi ludzie, po kilkunastu wokół jednego młodszego, który czyta im gazety, wyjaśnia obce wyrazy, niezwykle nazwy i pokazuje na mapie. Wszyscy spokojnie palą i nieruchomo wpatrują się przed siebie, ale nie potrafią całkiem ukryć, że są zatroskani i wstrząśnięci. Tając wzruszenie, nachylają się nad mapą, na której oznaczono przyszły podział Półwyspu Bałkańskiego. Wpatrują się w papier i nic nie mogą dojrzeć pośród tych krzywych linii, ale wiedzą i rozumieją wszystko, bo oni mają swoją geografję we krwi i biologicznie odczuwają obraz świata.

- Komu przypadłby Usziur? - pyta jakiś starzec, na pozór obojętnie, czytającego młodzieńca.

- Serbii.

- Och!

- A czyj jest Selanik?

- Grecki.

- Och! Och!

- A Adrianopol? - pyta ktoś inny z cicha.

- Prawdopodobnie bułgarski.

- Och! Och! Och!

Nie są to głośne ani żalodne westchnienia, jakie zwykły wydawać kobiety czy słabeusze, lecz głuche, głębokie jęki, które przedzierają się poprzez sumiaste wąsy i znikają wraz z dymem fajczanym w letnim powietrzu. Wielu z tych starców jest już po siedemdziesiątce, za czasów ich dzieciństwa władza turecka sięgała od Liki i Kordunu aż po Sztambuł, a od Sztambułu hen po niezmierzone granice pustyni dalekiego i nieprzebytego Arabistanu. (A „władza turecka” to ogromna, niepodzielna i niezniszczalna wspólnota wyznania Mahometa, cała ta część kuli ziemskiej, „gdzie rozlega się głos muezina”).

Oni to dobrze pamiętają, ale pamiętają także i to, jak potem, za ich życia, władza turecka cofała się z Serbii do Bośni, a z Bośni do Sandżaku. Teraz znów doczekali, że ta władza niby jakiś fantastyczny morski odpływ nagle opadła i odpłynęła gdzieś w dal, a oni zostali tu jak trawa morska na brzegu, oszukani i zagrożeni, pozostawieni sami sobie i swemu złemu losowi. Wszystko jest w ręku Boga i wszystko, niewątpliwie, leży w Bożych zamiarach, ale trudno to człowiekowi pojąć; dech zapiera i myśl mu się mąci, wciąż czuje jak spod jego stóp podstępnie

wydzierają ziemię niby kilim i jak granice, które powinny być trwałe i mocne, stają się płynne i zmienne, przesuwają się, oddalają i giną niby kapryśne wiosenne potoki.

Snując takie myśli i wspomnienia, siedzą starcy na kapii i z roztargnieniem jednym uchem słuchają, co piszą gazety.

Słuchają w milczeniu, chociaż słowa, jakimi się mówi w gazetach o cesarzach i państwach, wydają im się zuchwałe, szalone i niewłaściwe, a cały sposób pisania czymś bezbożnym, sprzecznym z odwiecznymi prawami i sensem życia, czymś, co „nie wyjdzie na dobre” i z czym człowiek uczciwy i rozumny nie może się pogodzić. Nad głowami ich snuje się dym tytoniowy.

Po niebie wysoko żeglują białe postrzępione obłoki deszczowego lata, a po ziemi suną ich szybkie, duże cienie.

A w nocy do późnych godzin przesiadują na tej samej kapii młodzieńcy z rodzin serbskich śpiewając głośno, buńczucznie pieśni o serbskim mózdzierzu; nikt grzywny nie nakłada ani ich nie karze. Wśród nich często znajdują się studenci i uczniowie szkół średnich. Są to przeważnie bladzi, chudzi chłopcy o bujnych czuprynach, w czarnych, płtykich kapeluszach z szerokimi rondami. Tej jesieni bardzo często schodzą się tutaj, chociaż rok szkolny już się zaczął. Przyjeżdżają pociągiem z Sarajewa z poleceniami i hasłami, wieczorem siedzą na kapii, ale nie doczekują świtu w kasabie, gdyż młodź wyszegradzka przerzuca ich utartymi kanałami do Serbii.

A z nastaniem lata, gdy nadejdzie okres wakacji, ożywiają miasto i kapiję uczniacy i studenci, którzy stąd są rodem i zjeżdżają do domów. Wtedy oni oddziałują na całe życie kasaby.

W końcu czerwca przybywa gromada sarajewskich gimnazjalistów, a w połowie lipca jeden student za drugim: prawnicy, medycy, filozofowie z uniwersytetów w Wiedniu, Pradze i Zagrzebiu. Wraz z ich przybyciem zmienia się nawet zewnętrzny wygląd kasaby. W czarszii i na kapii widać ich młode postacie, odmienne i obce, wyróżniające się zachowaniem, mową i ubiorem od ustalonych nawyków i wiecznie tego samego przyodziewku ludzi kasaby. Są ubrani w ciemne garnitury najnowszego kroju. Jest to ów Glockenfasson⁵¹, który w całej środkowej Europie uchodzi za ostatni krzyk mody i szczyt dobrego smaku. Noszą kapelusze z miękkiej panamy, ze spuszczonej rondami z bordiurą w sześciu dyskretnych kolorach. Buty mają amerykańskie o szerokich i zadartych nosach. Większość ma laski bambusowe niebywalej grubości. W kłapie marynarki tkwi metalowa odznaka Sokoła albo jakiegoś innego akademickiego stowarzyszenia.

Studenci przywożą ze sobą nowe słowa i dowcipy, nowe piosenki, nowe tańce z zimowych balów, a zwłaszcza nowe książki i broszury, serbskie, czeskie i niemieckie.

⁵¹ Krój w kształcie dzwonu (niem.).

Dawniej także, w pierwszym dwudziestoleciu austriackiej okupacji, zdarzało się, że młodzieńcy z kasaby wyjeżdżali na studia, ale nie tak licznie i nie byli tak przepojeni nowym duchem. Kilku w owym dwudziestoleciu skończyło seminarium nauczycielskie w Sarajewie, a dwóch czy trzech prawo lub filozofię w Wiedniu, ale należeli oni jeszcze do rzadkich wyjątków, byli skromnymi młodzieńcami, którzy bez rozgłosu i niepostrzeżenia składali egzaminy, a po ukończeniu studiów tonęli w szarej, nieprzeliczonej armii urzędników państwowych. Ale od jakiegoś czasu liczba studentów w kasabie nagle wzrosła.

Obecnie przy pomocy narodowych towarzystw oświatowych wyjeżdżają na studia także synowie chłopów i drobnych rzemieślników. Jeszcze bardziej zmienił się duch i charakter samych studentów.

Nie są to już owi dawni studenci z pierwszych lat okupacji, skromni i niewinni młodzieńcy, oddani swym studiom w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie są także zwykłymi utracjuszami ani dawnymi złotymi młodzieńcami, przyszlými gospodarzami i członkami cechów, którzy w swoim czasie wyładowywali nadmiar sił i młodości na kapii, a o których mawiano w rodzinie: „Ożeń go, żeby przestał śpiewać!”. Teraz są to nowi ludzie, kształcący się i wychowujący w różnych miastach i krajach, pod różnymi wpływami. Z wielkich miast, z uniwersytetów i gimnazjów młodzież ta przybywa pełna buty, którą napelniają pierwsze zetknięcie z wiedzą, a porwana ideami o prawie narodu do wolności oraz człowieka do godności i szczęścia. Co wakacje przywożą ze sobą liberalne poglądy na kwestie społeczne i wyznaniowe oraz zapal odrodzonego nacjonalizmu, który w ostatnich czasach, osobliwie po zwycięstwach serbskich w wojnach bałkańskich, wybujał do rozmiarów ogólnej wiary, a u wielu młodzieńców do fanatycznej żądy czynu i poświęcenia.

Kapija jest głównym miejscem ich spotkań. Tutaj zbierają się po kolacji. W ciemności pod gwiazdami albo przy księżycu w cichą noc nad rozhukaną rzeką rozlegają się ich pieśni, żarty, głośne rozmowy i nieskończone dysputy, nowe, śmiałe, naiwne, szczerze i bezkompromisowe.

Ze studentami i uczniami przebywają tu zwykle i ich koledzy z dzieciennych lat, którzy wraz z nimi chodzili do szkoły powszechnej, a potem zostali w kasabie jako terminatorzy, sprzedawcy sklepowi, pisarze magistracy albo drobni urzędnicy różnych przedsiębiorstw. Są to dwa rodzaje ludzi. Jedni zadowoleni ze swego losu i życia w kasabie, w której zostaną na zawsze. Ci z zaciekawieniem i sympatią przyglądają się swym wykształconym kolegom, podziwiają ich, nigdy nie równając się z nimi; bez cienia zawiści uczestniczą w ich rozwoju i postępach. Drudzy nie mogą pogodzić się z wegetacją w kasabie, na którą skazały ich okoliczności, żądni czegoś innego, co uważają za lepsze i doskonalsze, a co ich ominęło i z każdym dniem staje się bardziej odległe i niedosiężne. Chociaż nadal przyjaźnią się ze swymi kolegami z ławy szkolnej, młodzieńcy ci

zazwyczaj odbijają od swych wykształconych rówieśników zjadliwą ironią bądź nieprzyjemnym milczeniem. Nie mogą na równi uczestniczyć we wszystkich rozmowach. Stąd, wiecznie przeżywając kompleksy niższości, to przesadnie i nieszczerze podkreślają swoje nieuctwo i prostactwo w porównaniu ze szczęśliwymi kolegami, to znów złośliwie drwią ze wszystkiego z wyżyn swej niewiedzy. Tak w jednym, jak w drugim wypadku zawiść bije z nich niemal jak namacalna i konkretna siła. Ale młodość łatwo znosi nawet najgorsze instynkty, żyje i porusza się pośród nich swobodnie i beztrąsko.

Były i będą gwiazdziste noce nad kasabą, przepyszne konstelacje i księżycowa poświata, ale nie było, i Bóg wie, czy kiedykolwiek jeszcze będą młodzieńcy, którzy na takich rozmowach, tak myśląc i czując będą trawić czas na kapii. Jest to pokolenie zbuntowanych aniołów w tej krótkiej chwili, kiedy mają jeszcze moc i prawa aniołów oraz płomienną duszę buntowników. Ci synowie chłopów, kupców i rzemieślników z zabitej deski bośniackiej kasaby otrzymali od losu bez własnego specjalnego wysiłku otwarte okno na świat i wielką iluzję wolności. Z wrodzonymi zaletami i wadami mieszkańców kasaby szli w życie, mniej więcej sami wybierali podług zdolności, przelotnych upodobań albo zgoła przypadkowo przedmiot swych studiów, rodzaj rozrywek i krąg znajomych i przyjaciół.

Przeważnie nie umieli i nie mogli opanować i przejąć wiele z tego, co widzieli, ale nie było ani jednego, który by nie czuł, że może sięgnąć, po co tylko zechce, i że wszystko, co zdoła ogarnąć, jest jego. Życie (wyraz ten często powtarzał się w ich rozmowach, jak również w literaturze i polityce owych czasów, kiedy to pisało się go dużą literą), a więc życie leżało przed nimi jak obiekt, jak arena dla ich wyzwolonych zmysłów, dla ich głodu wiedzy i nie znających ograniczeń sentymentalnych wyczynów. Wszystkie drogi stanęły nagle otworem przed nimi, hen aż w nieskończoność; na większość z nich nigdy nawet nie wstąpią, a jednak upajająca rozkosz życia polegała na tym, że mogli (przynajmniej w teorii) swobodnie wybierać, którą tylko zechcą, i wolno im było potknąwszy się na jednej wstąpić na drugą. Co inni ludzie innej rasy, w innych krajach i czasach osiągnęli i zdobyli w ciągu pokoleń, w toku wiekowych wysiłków za cenę życia albo wyrzeczeń i ofiar, większych i droższych niż życie, to leżało przed nimi jakby przypadkowa puścizna i niebezpieczny dar przeznaczenia. Wydawało się to fantastyczne i nieprawdopodobne, a jednak było prawdziwe: mogli czynić ze swoją młodością, co im się żywnie podoba na tym świecie, gdzie zasady społecznej i osobistej etyki aż po odległe krańce zbrodni przeżywały właśnie w owych latach kryzys, były dowolnie interpretowane, przyjmowane lub odrzucane przez wszystkie skupiska ludzkie i każdego z osobna; mogli myśleć, co im przyjdzie do głowy, sądzić o wszystkim swobodnie i bez ograniczeń; mieli odwagę mówić, co ślina na język przyniosła, i dla wielu z nich słowa te były tym samym co czyny, zaspokajały ich atawistyczny pęd do bohaterstwa

i sławy, gwałtownych wybuchów i niszczenia, a nie pociągały za sobą konieczności działania ani żadnej namacalnej odpowiedzialności za słowa. Najzdolniejsi pośród nich gardzili tym, czego mieli się uczyć, a także lekceważyli to, co mogli zrobić, chlubili się natomiast tym, czego nie znali, i zachwycali się tym, co przekraczało ich siły. Trudno wyobrazić sobie bardziej niebezpieczny sposób wchodzenia w życie i pewniejszą drogę do wyjątkowych czynów albo do kompletnego krachu. Tylko najlepsi i najsilniejsi pośród nich rzucali się do czynu z fanatyzmem derwiszów i spalali się jak muszki, aby rówieśnicy mogli od razu sławić ich jako męczenników i świętych (nie ma bowiem pokolenia, które by nie miało swoich świętych) i stawiać na piedestale niedościgłych wzorów.

Każde pokolenie ma swoje złudzenia co do cywilizacji, jedni wierzą, że współdziałają w jej rozwoju, a inni, że są świadkami jej upadku. W gruncie rzeczy ona zawsze płonie, tli się i gaśnie niezależnie od tego, skąd i pod jakim kątem na nią się patrzy. To pokolenie, które teraz nad wodą roztrząsa pod gwiazdami zagadnienia filozoficzne, społeczne i polityczne, bogatsze jest tylko w iluzje; poza tym podobne do innych. Ono ma także wrażenie, iż zapala pierwsze pochodnie nowej cywilizacji, gasząc ostatnie płomienie starej, dogorywającej. Co można by o nich powiedzieć szczególnie, to że dawno nie było pokolenia, które by więcej i śmielej marzyło i mówiło o życiu, szczęściu i wolności, a które by mniej zaznało życia, bardziej się nacierpiało, w większej było niewoli i liczniej ginęło, niż to będzie cierpieć, dźwigać okowy i ginąć. Ale w owe letnie dni 1913 roku wszystko jeszcze obracało się w sferze zuchwałych, choć nieokreślonych przeczuć.

Wszystko wydawało się porywającą i nową zabawą na tym prastarym moście, który w poświęceniu lipcowych nocy bielił się jasny, młodzieńczy i niezmienny a skończenie piękny i potężny, silniejszy niż wszystko, co czas może przynieść, a ludzie wymyślić i zdziałać.

XIX

Jak jedna noc sierpniowa podobna jest do drugiej, tak samo rozmowy uczniów i studentów z kasaby zawsze są takie same albo podobne do siebie.

Zaraz po smakowitej, w pośpiechu spożytej kolacji (jako że dzień zszedł na opalaniu się i kąpeli), ściągają kolejno na kapiję. A więc syn krawca z Mejdanu Janko Stiković, który już dwa lata studiuje nauki przyrodnicze w Grazu. Jest to szczupły młodzieniec o ostrym profilu i gładkich czarnych włosach, zarozumiały, wrażliwy, niezadowolony z siebie, a jeszcze bardziej z otaczającego go świata. Czyta dużo i pod znanym już pseudonimem pisuje artykuły do rewolucyjnych pism młodzieżowych, wychodzących w Pradze i Zagrzebiu. Pisuje także wiersze i publikuje je pod innym pseudonimem. Przygotował nawet zbiór, który ma ukazać się w wydaniu „Zory” („Wydawnictwo Edycji Narodowych”). Ponadto jest niezłym mówcą i zapalonym

dyskutantem na zebraniach uczniowskich. Welimir Stefanović, zdrowy, rosły młody człowiek, przybrany syn niewiadomego pochodzenia; ironiczny, oszczędny i pracowity realista; kończy medycynę w Pradze. Dalej - Jaków Herak, syn dobrodusznego i popularnego wyszegradzkiego listonosza, śniady, drobny, wygadany prawnik o bystrym spojrzeniu, socjalista, natura polemiczna, wstydzi się swego dobrego serca i kryje się z wszelkimi uczuciami. Ranko Mihajlović, małomówny, poczciwy młodzieniec, który studiuje prawo w Zagrzebiu, już teraz marzy o karierze urzędniczej, bierze słaby i nijaki udział w sporach i rozprawach o miłości, polityce i poglądach na życie i ustrój społeczny. Po kądzieli jest prawnikiem owego popa Mihaila, którego głowa z papierosem w ustach zatknięta na palu była wystawiona na widok publiczny na tejże kapii.

Bywa tu także kilku sarajewskich gimnazjalistów. Chciwie słuchają starszych kolegów, chłonąc ich opowieści o wielkomijskim życiu, a fantazja rozbudzona chłopcę zarozumiałością i skrytymi pragnieniami sprawia, że wyobrażają sobie wszystko jeszcze większym i piękniejszym, niż jest i być może. Znajduje się tu także Nikola Glasinczanin, blady, sztywny młodzieniec, który wskutek ubóstwa, słabego zdrowia i nikłych wyników w nauce musiał zakończyć edukację na czterech klasach gimnazjum, wrócić do kasaby i przyjąć posadę kancelisty w niemieckiej firmie eksportującej drzewo. Pochodzi on ze zubożałej rodziny gospodarzy z Okoliszta. Jego dziadek Milan Glasinczanin zmarł jakoś na początku okupacji w sarajewskim domu wariatów, przegrawszy za młodu w karty znaczną fortunę.

Tegoż roku zakończył życie i jego ojciec, gospodarz Petar, człek chorowity, bez woli, siły i znaczenia. Teraz Nikola spędza całe dni nad rzeką przy robotnikach, którzy przetaczają i na tratwach zwożą bale sosnowe, odnotowuje kubiki przemierzonego drzewa, a potem w kancelarii podsumowuje je i sporządza specyfikacje. Tę jednostajną pracę - pośród prostych ludzi bez polotu i szerszych perspektyw - uważa za mękę i poniżenie, a brak najmniejszych widoków na zmianę swej pozycji społecznej albo na awans sprawił, iż ten wrażliwy młody człowiek przedwcześnie dojrzał, stał się zgryźliwy i milczący. W wolnych chwilach czyta dużo, ale lektura nie dodaje mu sił ani nie podnosi na duchu, gdyż to wszystko w nim się dusi. Jego smutna dola, osamotnienie i cierpienie otworzyły mu oczy i wyostrzyły zmysł spostrzegawczości, ale nawet najlepsze myśli i najcenniejsze doznania tylko jeszcze bardziej go przygnębiają i przepajają goryczą, jako że jeszcze wyraźniej ukazują mu jego niepowodzenie i beznadziejność bytowania w kasabie.

Jest tu wreszcie Wlado Marić, z zawodu ślusarz, wesolek o złotym sercu, którego koledzy z wyższych uczelni lubią i zapraszają, zarówno ze względu na jego piękny, silny baryton, jak również dla jego dobroci i szczerości. Ten krzepki młodzian w robociarskim kaszkiecie należy do owych skromnych ludzi, którzy są zadowoleni z siebie, z nikim się nie mierzą i nie równają,

wdzięcznie i spokojnie przyjmują, co im życie daje, a także w sposób prosty dają z siebie wszystko, co mają i dać mogą.

Są także dwie tutejsze nauczycielki: Zorka i Zagorka, obie rodem z kasaby. O względy ich zabiegają wszyscy młodzieńcy, czyniąc je przedmiotem swych miłosnych zapędów, naiwnych, skomplikowanych, olśniewających i pełnych udręki. W ich obecności toczą dyskusje niby turnieje przed damami dawnych stuleci; przez nie przesiadują potem na kapii i samotnie palą w ciemności albo śpiewają z kolegami, którzy tymczasem gdzieś popili; przez nie nurtuje przyjaciół tajona zawiść, niezręcznie skrywana zazdrość i powstają otwarte konflikty. Koło dziesiątej dziewczęta odchodzą. Młodzieńcy zostają jeszcze długo, ale nastrój na kapii przygasa, zapal bojowy słabnie.

Stikowić, który zwykle rej wodzi, dzisiejszego wieczoru pali w milczeniu. Jest zły i wytrącony z równowagi, ale tai to, podobnie jak wszystkie swoje prawdziwe uczucia, chociaż nigdy nie udaje mu się zupełnie ich ukryć. Dzisiejszego popołudnia miał pierwszą randkę z nauczycielką Zorką, interesującą dziewczyną o pełnych kształtach, bladej twarzy i ognistych oczach.

Na usilne nalegania Stikowicia udało im się najtrudniejsza rzecz w kasabie: spotkanie chłopca z dziewczyną w ukryciu, tak aby nikt nie widział i nie dowiedział się o tym. Spotkali się w jej szkole, która obecnie w czasie wakacji świeci pustkami. On wszedł od tyłu przez ogród, a ona od frontu, głównym wejściem. Znaleźli się w na pół mrocznej, zakurzonej izbie, do sufitu zastawionej szkolnymi ławkami. Tak to często miłość zmuszona jest szukać sobie odległych i brzydkich zakątków.

Nie mogli ani usiąść, ani się położyć. Oboje byli zakłopotani i niezręczni. Zbyt spragnieni i podnieceni ściskali się i tulili do siebie na jednej z owych zniszczonych ławek, które ona tak dobrze знаła, choć nie patrzyła i nic nie widziała wokół siebie.

On pierwszy oprzytomniał. Niedelikatnie, bez pieszczoty, jak to zwykli czynić młodzi ludzie, jął poprawiać ubranie i żegnać się.

Dziewczyna się rozpląkała. Rozczarowanie było obustronne.

Gdy udało mu się o tyle, o ile ją uspokoić, wymknął się tylnym wyjściem; niemal uciekł.

Koło domu spotkał listonosza, który doręczył mu czasopismo młodzieżowe z jego artykułem *Balkany, Serbia a Bośnia i Hercegowina*. Ponowne zagłębienie się we własny artykuł odwróciło jego myśli od niedawnego przeżycia. Ale i w tym znajdował powód do niezadowolenia. Artykuł roił się od błędów drukarskich, niektóre zdania wydawały mu się śmieszne; teraz, gdy już nic nie dało się zmienić, osądził, że wiele rzeczy można by powiedzieć ładniej, wyraźniej i zwięźlej.

A obecnie, ot, cały wieczór siedzą na kapii i dyskutują nad jego artykułem przed tą samą Zorką. Głównym jego przeciwnikiem jest gadatliwy i czupurny Herak, który wszystko obserwuje i krytykuje ze stanowiska ortodoksyjnego socjalisty.

Pozostali biorą udział w dyskusji tylko od czasu do czasu.

Obie nauczycielki milczą i szykują zwycięzcy niewidzialny wieniec laurowy. Stikowić słabo się broni, po pierwsze dlatego, że teraz nagle sam spostrzegł wiele braków i niedociągnięć w swym artykule, chociaż za żadne skarby świata nie przyznałby się do tego wobec innych; po drugie dlatego, że męczy go wspomnienie dzisiejszego popołudnia w brudnej i dusznej klasie, scen, które teraz wydają mu się śmieszne i odrażające, a które długo były przedmiotem jego najgorętszych pragnień i wytężonych zabiegów wokół pięknej nauczycielki. Ona siedzi teraz obok w letniej ciemności i przygląda mu się lśniącymi oczami. Czuje się jak dłużnik i winowajca, dałby wiele, żeby nie był dzisiaj w szkole ani ona tutaj. W takim nastroju Herak przypomina mu natrętą osę, od której trudno się opędzić. Zdaje mu się, że ponosi odpowiedzialność nie tylko za swój artykuł, lecz także za dzisiejsze wydarzenie w szkole.

Chciałby być teraz gdzieś daleko stąd i spokojnie w samotności rozmyślać o czymś, co nie wiąże się ani z artykułem, ani z dziewczyną. Ale miłość własna nakazywała mu się bronić.

Stikowić cytował Cwijicia i Strossmayera, a Herak Kautskiego i Bebla.

- Mieszcacie groch z kapustą! - wykrzyknął Herak, analizując artykuł Stikowicia. - Nie można z chłopem bałkańskim, pogrążonym w nędzy i ubóstwie, nigdy i w żadnym wypadku stworzyć trwałego i dobrego organizmu państwowego. Jedyne uprzednie ekonomiczne wyzwolenie klas wyzyskiwanych, chłopów i robotników, a zatem olbrzymiej większości narodu, może stworzyć warunki do powstania samodzielnych państw. Jest to naturalny proces i droga, którą należy kroczyć, a nie odwrotnie.

Dlatego też wyzwolenie narodowe i zjednoczenie musi dokonać się w duchu wyzwolenia społecznego i odrodzenia. W przeciwnym razie chłop, robotnik i szary człowiek wniosą do nowego państwa jak śmiertelny zarazek swój pauperyzm i swoją naturę niewolnika, a nieliczni wyzyskiwacze swą pasożytniczą, reakcyjną mentalność i wszystkie swoje instynkty społeczne. A z tego nie może powstać ani trwałe państwo, ani dobre społeczeństwo.

- To wszystko jest obcą, cudzą, książkową mądrością, mój drogi - odrzekł Stikowić - która niknie wobec żywiołowego rozmachu odrodzonych sił narodowych, przede wszystkim Serbów, a następnie Chorwatów i Słoweńców, dążących do jednego celu. Sprawy nie rozwijają się w myśl przewidywań teoretyków niemieckich, lecz całkowicie zgadzają się z głębokim sensem naszych dziejów i naszej misji. Począwszy od hasła Karadziordzicia: „Niech każdy zabije swego subaszę!”, kwestie socjalne rozstrzyga się na Bałkanach drogą ruchów i wojen narodowyzwoleńczych.

Wszystko rozwija się skończenie logicznie: od mniejszego ku większemu, od dzielnicy i plemienia do narodu i państwa. Czyż nasze zwycięstwa pod Kumanowem i nad Bregalnicą nie są jednocześnie największym zwycięstwem myśli postępowej i sprawiedliwości społecznej?

- To się jeszcze okaże - przerwał Herak.

- Kto teraz nie widzi, ten nigdy nie zobaczy. My wierzymy...

- Wy wierzycie, a my w nic nie wierzymy, lecz chcemy przekonać się na rzeczywistych dowodach i faktach - odparł Herak.

- Czyż upadek Turcji i osłabienie Austro-Węgier jako pierwszy krok do ich likwidacji nie są w gruncie rzeczy zwycięstwem małych, demokratycznych narodów i ujarzmionych klas, dążących do zajęcia należnego im miejsca pod słońcem? - rozwijał swą myśl Stikowić.

- Gdyby realizacja dążeń narodowych przynosiła jednocześnie urzeczywistnienie hasła sprawiedliwości społecznej, wówczas w państwach zachodniej Europy, które przeważnie ziszczyły swoje tęsknoty narodowe i pod tym względem są zadowolone, nie powinny istnieć żadne problemy społeczne, żadne ruchy ani konflikty. A my widzimy, że tak nie jest. Wręcz przeciwnie.

- A ja ci jeszcze raz powiadam - oznajmił nieco znużony Stikowić - że bez tworzenia niezależnych państw na bazie jedności narodowej i współczesnych pojęć o wolności osobistej i społecznej nie ma mowy o „wyzwoleniu społecznym”. Bo, jak to powiedział pewien Francuz, polityka ma pierwszeństwo...

- Żołądek, żołądek ma pierwszeństwo - wtrącił Herak.

Tu skoczyli pozostali. Naiwna dyskusja studencka zamieniła się w młodzieńczą kłótnię, w której wszyscy mówili jeden przez drugiego i przekrzykiwali się, a która przy lada dowcipie rozchodziła się po kościach w śmiechu i dogadywaniach.

Stikowić skorzystał z tego, aby przerwać dysputę i umilknąć, ale tak, żeby nie wyglądało to na porażkę i rejteradę.

Po Zorce i Zagorce, które około dziesiątej poszły do domu w towarzystwie Welimira i Ranka, reszta też jęła się rozchodzić. W końcu pozostał tylko Stikowić i Nikola Glasinczanin.

Są rówieśnikami. Kiedyś razem uczęszczali do gimnazjum i razem mieszkali w Sarajewie. Znają się jak łyse konie i właśnie dlatego nie umieją odpowiednio się cenić ani nie mogą szczerze się lubić. Z biegiem lat dystans pomiędzy nimi stawał się oczywista coraz większy i coraz przykrzejszy. Co wakacje spotykają się tutaj w kasabie, mierzą się wzrokiem i obserwują jak nierozdzielni towarzysze-wrogowie. Na dobitkę stanęła teraz między nimi owa piękna, niepokojąca nauczycielka Zorka.

Jako że podczas długich miesięcy zeszłej zimy przebywała w towarzystwie Glasinczanina, który nie ukrywał ani nie umiał ukryć, jak bardzo jest w niej zakochany. Oddał się tej miłości z

całym zapalem, jaki potrafią wносить w te sprawy tylko ludzie nieszczęśliwi i rozgoryczeni. Ale z nastaniem lata i przyjazdem studentów nie uszło uwagi wrażliwego Glasinczanina zainteresowanie jej Stikowiciem. Nie dziw więc, że w ostatnich czasach wzrosło zadawnione i wobec innych zawsze ukrywane napięcie pomiędzy nimi. Podczas tegorocznych ferii ani razu nie spotkali się na osobności.

Obecnie, kiedy przypadkowo zostali sami, pierwszą myślą zarówno jednego, jak i drugiego było: rozstać się jak najprędzej bez rozmowy, która mogła być tylko nieprzyjemna.

Ale jakieś głupie skrupuły, znane tylko młodości, nie pozwalały im tego uczynić. Z tej przykrew sytuacji wyratował ich przypadek, przynajmniej na chwilę przerywając przygniatające milczenie. W ciemności rozległy się głosy dwóch spacerowiczów, którzy wybrali się na przechadzkę, szli powoli i przystanęli tuż przy kapii, za rogiem, tak że Stikowić i Glasinczanin ze swych miejsc nie mogli tamtych widzieć ani oni ich. Ale słyszeli każde słowo, a głosy od razu poznali. Byli to ich dwaj nieco młodszy koledzy: Toma Galus i Fehim Bahtijarewić.

Obaj trzymali się nieco na uboczu od grupy, w której przeważają uczniowie i studenci, co wieczór zbierający się na kapii wokół Stikowicia i Heraka, gdyż - chociaż młodszy - Galus i jako poeta, i jako mówca nacjonalistyczny był rywalem Stikowicia, którego nie lubił i nie cenił, a Bahtijarewić to straszny mruk, dumny i jednocześnie skromny, jak na wnuka prawdziwych bejów przystało.

Toma Galus jest wysokim młodzieńcem o rumianej cerze i jasnych oczach. Jego ojciec Alban Galus (Alban von Gallus), ostatni potomek starego rodu z Burgenlandu, przybył do kasaby jako urzędnik zaraz na początku okupacji. Był tutaj dwadzieścia lat dyrektorem lasów, a po przejściu na emeryturę zamieszkał w kasabie. Wkrótce po swym przybyciu ożenił się z córką jednego z tutejszych najzamożniejszych gospodarzy Hadzi Tomy Stankowicia, panną nie pierwszej młodości, rosłą brunetką o silnej woli. Miał z nią dwie córki i jedyne syna; dzieci zostały ochrzczone w serbskiej cerkwi i wyrosły na prawdziwe dzieci kasaby i wnuków Hadzi Tomy. Stary Galus, wysoki, niegdyś przystojny mężczyzna o ujmującym uśmiechu i bujnej, całkiem białej czuprynie, od dawna stał się nieodrodnym mieszkańcem kasaby, „panem Albo”, a młodszymi pokoleniami nie przychodzi nawet do głowy myśl, że mógłby być przybyszem - cudzoziemcem. Pasjonują go dwie rzeczy, które nikomu nie przeszkadzają, a mianowicie łowy i fajka. W całym powiecie ma starych, wypróbowanych przyjaciół pośród chłopów, zarówno Serbów, jak i muzułmanów, z którymi łączy go żyłka myśliwska. Jakby urodził się i wyrósł wśród nich, tak dalece przyswoił sobie wiele ich cech charakteru, zwłaszcza owo pogodne milczenie i spokojny ton rozmowy, tak typowe dla namiętnych palaczy i myśliwych, miłośników lasu i życia na wolnym powietrzu.

Młody Galus w tym roku zdał maturę w Sarajewie i na jesieni miał wyjechać na studia do Wiednia. Co do kierunku jego studiów zdania w rodzinie są podzielone. Ojciec chciałby, aby jednak studiował technikę albo leśnictwo, a syn pragnie zapisać się na filozofię. Bowiem Toma Galus tylko wyglądem zewnętrznym przypomina ojca, jego wrodzone zainteresowania idą w zgoła przeciwnym kierunku. Jest on jednym z owych dobrych, skromnych i wzorowych pod każdym względem uczniów, którzy z niebywałą łatwością i jakby mimochodem uczą się wszystkich przedmiotów, a całe swoje szczere i rzeczywiste zainteresowanie skierowują na nieco dziwne i nieokreślone skłonności poza szkołą i jej urzędowym programem. Jest to typ uczniów o pogodnych, prostych sercach, ale o niespokojnym i dociekliwym umyśle. Prawie są im nieznane ciężkie i niebezpieczne kryzysy życia zmysłowego i uczuciowego, jakie przechodzi tylu młodzieńców w ich wieku, ale z trudem znajdują ukojenie swych duchowych niepokojów i bardzo często zostają przez całe życie omnibusami, oryginałami bez stałego zajęcia i w ogóle bez określonego zainteresowania. Ponieważ każdy młody człowiek musi nie tylko zaspokoić odwieczne naturalne popędy młodości i okresu dojrzewania, ale prócz tego spłacić daninę współczesnym prądom, a także modzie oraz nawykom swych czasów, chwilowo panującym w kołach młodzieżowych, Galus też pisywał wiersze i był czynnym członkiem rewolucyjnych nacjonalistycznych organizacji uczniowskich. Ponadto od pięciu lat uczył się francuskiego jako przedmiotu nadobowiązkowego, zajmował się literaturą, a zwłaszcza filozofią. Był niestrudżonym i namiętym molem książkowym. Obcą lekturę ówczesnych młodych ludzi w sarajewskim gimnazjum stanowiły przede wszystkim edycje znanego wielkiego wydawnictwa niemieckiego „Reclam's Universal Bibliothek”. Te nieduże, tanie broszurki w żółtej okładce i o niezwykle drobnym druku były główną strawą duchową dostępną uczniom w owych czasach; dzięki nim mogli zapoznać się nie tylko z literaturą niemiecką, lecz również z wszystkimi poważniejszymi dziełami literatury światowej w przekładach niemieckich. Z nich też Galus czerpał swe wiadomości o współczesnych niemieckich filozofach, zwłaszcza o Nietzschem i Stirnerze, tocząc o nich na spacerach nad Miljacką nieskończone dysputy z jakąś chłodną, pogodną namiętnością, nie łącząc bynajmniej swych wiadomości z osobistym życiem, jak to często młodzieńcy zwykli czynić. Typ takiego przedwcześnie dojrzałego, a rozmaitymi nieskonkretyzowanymi wiadomościami przeciążonego maturanta nie należał do rzadkości pośród ówczesnych gimnazjalistów. Skromny młodzieniec i dobry uczeń Galus znał swawolę i wybryki młodości jedynie jako swobodę myśli i nadużywanie lektury.

Fehim Bahtijarewić tylko po matce był mieszkańcem kasaby. Ojciec jego pochodził z Rogaticy i obecnie był tam kadim, ale matka była latoroślą wielkiej tutejszej rodziny Osmanagiców. Od najmłodszych lat część wakacji letnich spędzał z matką u jej rodziny w

kasabie. Jest to smukły młodzieniec pełen gracji, o drobnych, ale silnych kościach. Cały jest jakiś powściągliwy, zgaszony, przytłumiony. Delikatny owal twarzy jakby z majoliki, cera ciemna, śniada, o lekko sinym odcieniu, gesty krótkie, oszczędne; czarne oczy o niemal niebieskich białkach; spojrzenie gorące, ale bez blasku; mocne, zrośnięte brwi, cienki, czarny sypiący się wąsik nad wywinętymi wargami. Takie twarze spotyka się na miniaturach perskich. On również w tym roku złożył maturę i teraz czekał na stypendium państwowe, które by umożliwiło mu studiowanie języków wschodnich w Wiedniu.

Ci dwaj młodzieńcy kontynuują jakąś uprzednio rozpoczętą dyskusję. Mowa jest o kierunku studiów Bahtijarewicia.

Galus mu dowodzi, że popełni błąd, jeśli zapisze się na orientalistykę. W ogóle Galus mówi znacznie więcej i z większym ożywieniem, gdyż przywykł, by go słuchano, i lubi wygłaszać mowy, podczas gdy Bahtijarewicz mówi krótko i mało, jak ktoś, kto ma swoje własne przekonania, i nie ma potrzeby przekonywać innych. Galus mówi jak większość młodych, odczytanych ludzi, rozkoszując się własnymi słowami, malowniczymi zwrotami i porównaniami z zacięciem do uogólnień, a Bahtijarewicz sucho, krótko, prawie niedbale.

Ukryci w cieniu i rozparci na kamiennych ławach Stikowicz i Glasinczanin milczą, jakby się bez słów porozumieli, żeby niepostrzeżenie przysłuchać się rozmowie kolegów na moście.

Kończąc tę dyskusję o studiach, Galus perorował:

- Pod tym względem wy, muzułmanie, bejowscy synowie, często się mylicie. Skonsternowani nowymi czasami, właściwie zupełnie nie wyczuwacie, gdzie jest wasze miejsce w świecie.

Wasze umiłowanie wszystkiego, co orientalne, jest tylko współczesnym wyrazem waszej „żądzy władzy”; dla was wschodni styl życia i myślenia najściślej wiąże się ze społecznym i prawnym ustrojem, który był podstawą waszego wiekowego panowania. I to jest zrozumiałe. Ale wcale to nie oznacza, że macie zdolności do orientalistyki jako do nauki. Wy jesteście ludźmi Wschodu, ale mylicie się, sądząc, że jesteście predestynowani na orientalistów. Wy w ogóle nie macie powołania ani prawdziwego pociągu do nauki.

- Czyżby!

- Nie, nie macie. Skoro to twierdzę, nie mam na myśli nic obraźliwego ni nieprzychylnego. Wprost przeciwnie. Wy jesteście jedynymi panami w tym kraju albo przynajmniej nimi byliście; wyście poprzez stulecia szerzyli, umacniali lub bronili swego panowania mieczem i „świętą księgą”, za pomocą prawa, religii, wojska, stworzyło to z was typ wojownika, władcy, właściciela, a ta klasa ludzi nigdzie na świecie nie pielęgnuje nauk abstrakcyjnych, pozostawia je tym, którzy nic innego nie mają albo nic innego nie potrafią robić. Dla was są studia prawnicze i

ekonomiczne, jak że należycie do ludzi o ścisłym umyśle. Tacy są zawsze i wszędzie ludzie zaliczający się do klasy panującej.

- Czyli mamy tkwić w ciemności.

- Nie, wcale to nie znaczy. Musicie pozostać tym, czym jesteście, lub, jeśli chcesz, tym, czym byliście; musicie, gdyż niepodobna być sobą i przeciwieństwem siebie.

- Ależ dzisiaj my nie jesteśmy klasą panującą. Dziś wszyscy jesteśmy równi - wtrąca znów Bahtijarewicz z lekką ironią, zaprawioną szczyptą goryczy i dumy.

- Oczywiście, nie jesteście. Okoliczności, które niegdyś uczyniły was tym, czym byliście, zmieniły się od dawna, ale nie oznacza to, że i wy możecie zmieniać się w tym samym tempie. Nie jest to ani pierwszy, ani ostatni wypadek, że jakaś klasa społeczna traci swą bazę, a sama pozostaje niezmieniona. Warunki życia się zmieniają, a jakaś klasa ludzi pozostaje, czym była, gdyż tylko jako taka może istnieć i jako taka ginie.

Rozmowa dwóch niewidocznych młodzieńców urwała się na chwilę, zgaszona milczeniem Bahtijarewicza.

Na sierpniowym pogodnym niebie, ponad czarnymi szczytami gór w głębi widnokrzęgu pojawił się półksiężyc. Biała płyta z tureckim napisem zaśniła nagle niby słabo oświetlone w sinym mroku okno.

Bahtijarewicz mówił coś teraz, ale tak cicho, że tylko poszczególne słowa bez związku docierały do Stikowicza i Glasinczanina. Rozmowa, jak to zwykle bywa w młodzieńczych dysputach, w których asocjacje są śmiałe i szybkie, przeszła już na inny temat. Ze studiów języków wschodnich przeskoczyli na napis na białej tablicy przed nimi, wspomnieli także most i tego, co go wznieść kazał.

Głos Galusa był znacznie silniejszy i wyraźniejszy. Nawiązując do pochwały Bahtijarewicza na cześć Mehmedpaszy Sokolowicza i ówczesnej władzy tureckiej, która wznosiła takie budowle, z ożywieniem jął rozwijać teraz swoje nacjonalistyczne poglądy o przeszłości i przyszłości narodu, jego kultury i cywilizacji. (Jako że w tych uczniowskich rozmowach każdy podąża za swoją myślą). I imieniem.

- Masz rację - zgodził się Galus - musiał to być genialny człowiek. Nie jest on ani pierwszym, ani ostatnim mężem naszej krwi, który wybił się, służąc innemu państwu. Daliśmy Konstantynopolowi, Rzymowi i Wiedniowi setki takich ludzi: mężów stanu, wodzów i artystów. Sens naszego zjednoczenia narodowego w jednym wielkim i potężnym nowoczesnym państwie narodowym polega właśnie na tym, że wtedy nasze siły zostaną w kraju, tu będą się rozwijały i wносиły swój wkład do ogólnej kultury pod naszym własnym, a nie obcych ośrodków - A ty

wyobrażasz sobie, że te „ośrodki” powstały przypadkowo i że można stwarzać nowe na zawołanie, gdzie i kiedy komu przyjdzie ochota?

- Przypadkowo czy nie, dzisiaj to już nie jest problemem; nie to jest ważne, jak one powstały, lecz to, że dziś znikają, że przekwitły i zdegenerowały się i że muszą ustąpić miejsca innym, nowym ośrodkom, w których będą mogły wypowiadać się bezpośrednio młode wolne narody, wstępujące na arenę dziejów.

- Sądziś więc, że gdyby Mehmedpasza Sokolowić pozostał jako syn chłopca w tym swoim Sokolowici, byłby tym, czym był, i wzniosłby między innymi ten most, na którym rozprawiamy teraz?

- W owych czasach, oczywiście, że nie. Ale ostatecznie Konstantynopolowi nietrudno było wznosić takie budowle, skoro nam, podobnie jak i tylu innym podbitym narodom, zabierał nie tylko mienie i dochody, ale także najlepsze siły i najlepszą krew.

Jeśli uprzytomnimy sobie, co i ile w ciągu stuleci nam zabierano, te wszystkie budowle są tylko nędznymi okruchami. Ale gdy raz odzyskamy swą niepodległość narodową i niezależny byt państwowy, wtedy nasz pieniądz i nasza krew będzie tylko dla nas i pozostanie wśród nas. Wszystko będzie jedynie i wyłącznie przeznaczone na rozwój kultury narodowej, która będzie nosiła nasze znamię i nasze imię, a na względzie będzie miała szczęście i dobrobyt najszerzych warstw naszego narodu.

Bahtijarewić milczał i milczenie to niby najżywszy i najwymowniejszy opór irytowało Galusa i podniecało, tak że podniósł głos. Z wrodzonym zapałem, używając słów powszechnie wtedy przyjętych w młodzieżowej literaturze nacjonalistycznej, jął przedstawiać program i zadania młodzieży rewolucyjnej. Wszystkie żywotne siły narodu odrodzą się i uaktywnią. Pod ich ciosami rozleci się monarchia Austro-Węgierska, to więzienie narodów, podobnie jak rozpadła się Turcja europejska. Wszystkie siły antynarodowe i reakcyjne, które dzisiaj hamują, dzielą i usypiają nasze siły narodowe, zostaną zwyciężone i zlikwidowane. Będzie można dokonać tego wszystkiego, gdyż duch czasów, w których żyjemy, jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem, gdyż są za nami wysiłki wszystkich innych małych podbitych narodów.

Współczesny nacjonalizm zatriumfuje nad różnicami wyznaniowymi i przestarzałymi przesądami, wyzwoli naród spod obcych, i nienarodowych wpływów i obcej eksploatacji. A wtedy powstanie państwo narodowe. Z kolei Galus przedstawił piękno i wyższość tego nowego państwa narodowego, które na wzór Piemontu skupi wokół Serbii wszystkich Słowian południowych na zasadzie całkowitej równości plemiennej, tolerancji religijnej i równości społecznej. W jego mowie mieszały się śmiało słowa o mętnym znaczeniu z wyrazami dokładnie oceniającymi wymogi współczesnego życia; najgorętsze pragnienia narodu, którym najczęściej

sądzone, aby na zawsze pozostały w sferze życzeń, ze słusznymi i osiągalnymi potrzebami codziennej rzeczywistości; wielkie prawdy dojrzewają w ciągu pokoleń, ale tylko młodzież potrafi je naprzód odczuć i ma odwagę je wypowiedzieć z wiecznymi, nigdy niegasnącymi, ale też nigdy niezrealizowanymi iluzjami, gdyż jedno pokolenie młodzieży przekazuje je następnemu jak mityczną pochodnię. W słowach młodzieńca było, oczywiście, dużo twierdzeń, nie mogących wytrzymać krytyki rzeczywistości, i wiele przesłanek, które pewnie nie wytrzymałyby próby doświadczeń, ale było w nich świeże tchnienie, bezcenne soki, ożywiający i odmładzający drzewo ludzkości.

Bahtijarewić milczał.

- Zobaczysz, Fehimie - z zapalem przekonywał Galus kolegę, jakby to była kwestia tej nocy lub jutrzejszego dnia - zobaczysz, stworzymy państwo, które będzie najcenniejszym wkładem w postęp ludzkości, w którym każdy wysiłek ludzki będzie błogosławiony, każda ofiara święta, każda myśl samorodna, wyrażona w naszej mowie, i każde dzieło opatrzone naszym imieniem. Wtedy będziemy tworzyć rzeczy będące owocem naszej swobodnej pracy i wyrazem naszego geniuszu narodowego, dzieła, w porównaniu z którymi to, co zrobiono w czasie stuletnich obcych rządów, będzie wyglądało jak marne zabawki.

Przerzucimy mosty ponad wielkimi rzekami i przepaściami.

Zbudujemy nowe, większe i lepsze mosty, i to nie po to, żeby łączyły obce centra z podbitymi prowincjami, lecz aby łączyły nasze dzielnice między sobą, a nasze państwo z całym światem.

Nie ulega już bowiem wątpliwości, iż sądzone nam jest zrealizować tęsknoty wszystkich pokoleń poprzednich: stworzyć państwo zrodzone w wolności, a oparte na sprawiedliwości, jako część myśli Bożej urzeczywistnionej na ziemi.

Bahtijarewić milczał. A i Galus zniżył głos. W miarę jak jego słowa nabierały znaczenia, głos cichł, zachrypnięty przechodził w silny, namiętny szept, aż wreszcie rozpląnął się w ogromnej ciszy nocnej. Teraz milczeli obaj. A jednak w tę noc odosobnione uporczywe milczenie Bahtijarewicza przygniatało, narastało w ciemności dotkliwie i realnie jak mur nie do przebycia, samym swym ciężarem kategorycznie zaprzeczało wszystkiemu, co tamten mówił, i objawiało swój niemy, wyraźny i niezmienny sens:

„Fundamenty świata oraz podstawy życia i stosunków międzyludzkich ustalone zostały po wieczne czasy. Nie oznacza to, że są one niezmiennie, ale mierzone wiekiem ludzkiego życia wydają się wieczne. Stosunek ich trwania do wieku ludzkiego jest taki sam, jak stosunek niespokojnej ruchliwej powierzchni wartkiej rzeki do jej stałego, trwałego dna, które ulega zmianom wolno i niepostrzeżenie. Nawet sama myśl o zmianie tych ośrodków jest niezdrowa i

niewykonalna. To tak samo, jakby ktoś chciał zmienić i przenieść źródła wielkich rzek i podnóże gór. Pragnienia nagłych zmian i myśl o przeprowadzeniu ich za pomocą gwałtu i przemocy często pojawiają się wśród ludzi jak choroba i nabierają rozmachu przeważnie w młodzieńczych głowach; tylko głowy te nie myślą jak należy, w końcu nic nie osiągają i zwykle nie ostają się długo na karku. Bo nie ludzkie pragnienia rządzą i kierują sprawami tego świata. Pragnienie jest jak wiatr, przenosi pył z miejsca na miejsce, przesłania nim niekiedy cały widok, ale ostatecznie uspokaja się, opada, zostawiając po sobie stare, odwieczne oblicze świata. Trwałe dzieła na ziemi powstają z woli Bożej, a człowiek jest tylko jej ślepym i pokornym narzędziem. Dzieło, które rodzi się z pragnienia, z pragnienia człowieka, albo nie doczeka się realizacji, albo nie jest trwałe; w każdym razie nie jest dobre. Te wszystkie wybujałe dążenia i zuchwałe słowa rzucane pod nocnym niebem na kapii zasadniczo nic nie zmieniają; przeminą ponad wielką i niewzruszoną rzeczywistością świata i znikną tam, gdzie uspokajają się wszelkie tęsknoty i burze. A prawdziwie wielcy ludzie, jak i wielkie budowle, pojawiają się i będą pojawiać się tam, gdzie Opatrzność Boska wyznaczyła im miejsce, niezależnie od jałowych, przemijających pragnień i pychy ludzkiej”.

Ale Bahtijarewicz nie wypowiedział ani jednego z tych słów.

Ci, którzy jak ten młody muzułmanin mają swoją filozofię we krwi, żyją i umierają zgodnie z nią, nie potrafią ani nie czują potrzeby, aby przyoblec ją w słowa. Po dłuższej pauzie Stikowicz i Glasinczanin spostrzegli, że któryś z tych dwóch niewidocznych kolegów rzucił za poręcz niedopałek papierosa; niby błędny ogień, zataczając łuk wpadł do Driny. Jednocześnie usłyszeli, że w milczeniu i wolno oddalają się w stronę rynku.

Wraz z nimi szybko cichły odgłosy ich kroków.

Stikowicz i Glasinczanin znów zostali sami, ocknęli się i spojrzeli na siebie, jakby dopiero teraz tu się spotkali.

Twarze ich w mdłym blasku księżyca, to oświetlone, to ukryte w cieniu, zarysowują się ostro i załamują, wyglądają znacznie starzej. Ogień ich papierosów łśni fosforyzująco.

Obaj są zgnębieni. Przyczyny są całkiem różne, ale uczucie to samo. Obaj mają tę samą ochotę: wstać i pójść do domu. Ale siedzą jak przykuci na kamiennych ławach, jeszcze ciepłych po upalnym dniu. Rozmowa dwóch młodszych kolegów, której przysłuchiwali się przypadkowo i niepostrzeżenie, była im na rękę jako zwłoka w ich rozmowie i wzajemnych wyjaśnieniach.

Ale teraz było to już nieuniknione.

- Słyszałeś Heraka i jego argumenty? - zaczął Stikowicz pierwszy, nawiązując do wieczornej dyskusji, i od razu wyczuł w tym pewną swoją słabość.

Glasinczanin zaś, który odczuwał chwilową wyższość jako sędzia, nie od razu odpowiedział.

- Proszę cię! - ciągnął niecierpliwie Stikowić. - Dzisiaj mówić o walce klasowej i zalecać mrówczą pracę, gdy nawet najnędnniejszy nasz obywatel zdaje sobie sprawę, że zjednoczenie i wyzwolenie narodowe dokonane za pomocą środków rewolucyjnych jest najpilniejszym zadaniem społeczeństwa!

Przecież to śmieszne!

W głosie Stikowicia wyczuwało się i pytanie, i wyzwanie do dyskusji. Ale Glasinczanin tym razem też się nie odezwał.

W ciszę tego mściwego, złośliwego milczenia wmieszała się teraz muzyka dolatująca z kasyna oficerskiego nad rzeką. Szeroko otwarte okna na parterze były oświetlone. Łkały skrzypce przy akompaniamencie fortepianu. To gra lekarz wojskowy, Regimentarz dr Balasz, a towarzyszy mu żona pułkownika Bauera, dowódcy garnizonu. (Ćwiczą drugą część sonatiny Schuberta na fortepian i skrzypce. Zaczynają dobrze i zgodnie, ale zanim dojdą do połowy, fortepian wyprzedza. Skrzypce milkną. Po krótkiej przerwie, kiedy zapewne rozmawiają o spornym miejscu, zaczynają od początku). Prawie stale ćwiczą tak i muzykują do którejś tam w nocy, podczas gdy pułkownik w sąsiednim pokoju gra swoje nieskończone partie preferansa albo po prostu drzemie nad mostarskim winem, ze szwabskim cygarem w ustach, a młodzi oficerowie opowiadają sobie kawały na temat zakochanej pary.

Między panią Bauer i młodym lekarzem istotnie już od miesięcy snuje się coś skomplikowanego i trudnego. Stosunku ich nie umieją określić nawet najbystrzejsi oficerowie. Jedni twierdzą, że związek ten jest czysto platoniczny (i oczywista śmieją się z tego), a inni utrzymują, że w tym wszystkim i ciało ma należny mu udział. Dość, że ci dwoje są nierozłączni z całkowitym ojcowskim przyzwoleniem pułkownika, który jest pocziwcem kompletnie otepiałym na skutek służby, lat, wina i tytoniu.

Cała kasaba знаła tę parę. Poza tym oficerskie towarzystwo wiodło życie ekskluzywne, bez najmniejszych kontaktów nie tylko z ludem i mieszczanami, ale i z urzędnikami przybyszami. U wejścia do ich parków, pełnych okrągłych i gwiazdzistych klombów porośniętych niezwykłymi gatunkami kwiatów, na tabliczce widniał napis zabraniający wprowadzania psów i wstępu cywilom. Ich zabawy i zajęcia były niedostępne dla tych, którzy nie nosili munduru. Całe ich życie było istotnie życiem ogromnej, zamkniętej hermetycznie kasty, która pielęgnuje swoją ekskluzywność jako najważniejszą część swej siły, a pod olśniewającą, zastygłą glazurą kryje w sobie wszystko, co pozostałym ludziom życie udziela z wielkości i biedy, z rozkoszy i goryczy.

Ale są sprawy, które z natury rzeczy nie mogą pozostać utajone, przebijają każdy, nawet najtwardszy pancierz i wykraczają poza każdą, nawet najpilniej strzeżoną granicę. („Są trzy rzeczy, których nie podobna ukryć - mawiali Turcy - a mianowicie: miłość, kaszel i nędza”).

Podobnie rzecz miała się z tą parą zakochanych. Nie było w kasabie starca ani dziecka, kobiety ani mężczyzny, który by nie natknął się na nich na jakimś spacerze, kiedy zatopieni w rozmowie, ślepi i głusi na wszystko dokoła, wędrowali samotnymi ścieżkami wokół kasaby. Pasterze przywykli do nich jak do owadów, które w maju widać na liściach drzew przydrożnych, parami przytulone do siebie. Spotykano ich wszędzie: nad Driną i Rzawem, u stóp ruin starego zamczyska, na trakcie za miastem, koło Strażiszta.

O każdej porze dnia. Jako że dla zakochanych czas zawsze jest krótki, a żadna ścieżka nie dość długa. Jeździli konno, wybierali się na przejażdżki wolantem, ale najczęściej spacerowali - i to krokiem, jakim chodzi dwoje ludzi istniejących tylko dla siebie, krokiem charakterystycznym, świadczącym, że dla nich wszystko na świecie jest obojętne prócz tego, co mają sobie wzajemnie do powiedzenia.

On jest zmadziaryzowanym Słowakiem z urzędniczej rodziny, biedakiem kształconym na koszt państwa; młody, bardzo muzykalny, ambitny, osobliwie przeczulony na punkcie swego pochodzenia, które mu nie pozwala uważać się za równego oficerom Niemcom albo Węgrom ze znamienitszych i bogatszych rodzin. Ona ma czterdzieści lat, o osiem więcej od niego.

Jest wysoką blondynką, nieco już przywędłą, ale o cerze biało-różowej, dużych, lśniących, błękitnych oczach, wyglądem i postawą przypomina królowe z portretów, w zachwyty wprawiające młode dziewczęta.

Każde z tych dwojga ludzi ma swoje własne, rzeczywiste czy urojone, ale głębokie przyczyny do niezadowolenia z życia.

Prócz tego jeszcze jeden ogromny wspólny powód: oboje czują się nieszczęśliwi i jakby na wygnaniu w tej kasabie i w towarzystwie oficerów, przeważnie pustogłowych i ograniczonych ludzi.

Nie dziw więc, że trzymają się kurczowo siebie jak rozbitkowie.

Zatracają się, giną i zapominają o bożym świecie w długich rozmowach albo jak teraz w muzyce.

Taka była niewidoczna para, której gra wypełniała przykre milczenie obu młodzieńców.

W pewnej chwili muzyka, rozplywająca się w spokojnej nocy, znów się poplątała i urwała na pewien czas. W ciszy tej Glasinczanin odezwał się jakimś drewnianym głosem, nawiązując do ostatnich słów Stikowicia:

- Śmieszne?! Przecież, prawdę powiedziawszy, niejedno jest śmieszne w tej dyskusji.

Stikowić wyjął nagle papierosa z ust, a Glasinczanin ciągnął wolno, ale stanowczo swą myśl, która widać nie od dzisiaj, lecz od dawna nie dawała mu spokoju.

- Uważnie przysłuchuję się wszystkim dyskusjom: i waszym, i innych wykształconych ludzi w kasabie; czytuję także gazety i czasopisma. Ale im dłużej was słucham, tym bardziej upewniam się, że większość tych dyskusji i polemik nie ma nic wspólnego z życiem oraz jego rzeczywistymi wymogami i problemami. Bo życie, prawdziwe życie obserwuję z bardzo bliska, widzę je u innych i czuję w sobie. Być może, że się mylę, a także nie umiem należycie się wysłowić, ale często nasuwa mi się myśl, że postęp techniczny i względny spokój na świecie stworzyły rodzaj zacisza, szczególną atmosferę, sztuczną i nierealną, w której jedna klasa ludzi, inteligencja, może swobodnie oddawać się próżniaczkiej i ciekawej zabawie w idee i „poglądy na świat i życie”. Jest to rodzaj duchowej oranżerii ze sztucznym klimatem i egzotyczną florą, a bez najmniejszej łączności z ziemią, rzeczywistą i twardą ziemią, po której chodzą masy żywych ludzi. Wyobrażacie sobie, że rozprawiacie o losach tych mas oraz o użyciu ich w walce o wyższe cele, które przed nimi stawiacie, a w rzeczywistości kółka obracające się w waszych mózgowicach nie mają nic wspólnego z życiem mas ani z życiem w ogóle. Tu wasza zabawa staje się niebezpieczna albo przynajmniej może być niebezpieczna i dla innych, i dla was samych.

Glasinczanin urwał. Stikowić tak bardzo był zaskoczony tym długim i przemyślanym wywodem, że nie przychodziło mu do głowy przerywać albo odpowiadać. Dopiero na dźwięk wyrazu „niebezpieczna” machnął ironicznie ręką. Gest ten rozdrażnił Glasinczanina, ciągnął więc ze wzrastającym ożywieniem.

- Oczywiście, kiedy was się słucha, można by pomyśleć, iż wszystkie zagadnienia zostały szczęśliwie rozwiązane, wszystkie niebezpieczeństwa raz na zawsze usunięte, wszystkie drogi wyrównane i otwarte, tak że nie pozostaje nic innego, tylko nimi kroczyć. Podczas gdy w życiu nic nie zostało rozwiązane ani wcale tak łatwo się nie rozwiązuje, lecz wszystko jest trudne i skomplikowane, drogie i związane z nieproporcjonalnie wielkim ryzykiem; nigdzie nie ma ani śladu śmiałych nadziei Heraka czy twoich wspaniałych perspektyw. Człowiek męczy się całe życie i nigdy nie ma tego, czego potrzebuje, a cóż dopiero tego, czego pragnie. Teoriami zaś, takimi jak wasze, zaspokajają tylko odwieczną ludzką potrzebę zabawy, schlebia swojej pysze, bałamuci tylko siebie i innych. Tak wygląda naga prawda, przynajmniej tak mnie się wydaje.

- O nie! Wystarczy porównać różne epoki, aby dostrzec postęp i sens walk ludzkich, a tym samym i „teorii”, które nadają im kierunek.

Glasinczaninowi od razu nasunęło się, że jest to aluzja do jego przerwanej nauki i, jak zawsze w takich wypadkach, zachnął się w duchu.

- Ja nie studiuje historii - zaczął.

- No widzisz, a gdybyś studiował, przekonałbyś się...

- Przecież i ty jej nie studiujesz.

- Jak to? To jest... tego, ależ naturalnie, ja studiuje.

- Oprócz nauk przyrodniczych?

W głosie jego zdrzała nutka ironii. Stikowić zmieszał się na chwilę, a potem odrzekł martwym głosem:

- A więc skoro koniecznie chcesz wiedzieć, tak. Oprócz nauk przyrodniczych zajmuję się polityką, historią i kwestiami społecznymi.

- Całe szczęście, że nadążasz. Bo, o ile mi wiadomo, poza tym jesteś mówcą i agitatorem, poetą i kochankiem.

Stikowić uśmiechnął się z przymusem. Jak odległa, przykra rzecz mignęło mu w pamięci dzisiejsze popołudnie w pustej klasie i dopiero teraz przypomniał sobie, że Glasinczanin i Zorka mieli się ku sobie do jego przyjazdu do kasaby. Kto nie kocha, nie umie ocenić wielkości cudzego uczucia ani potęgi zazdrości, ani utajonej w niej groźby.

Tu rozmowa dwóch młodzieńców zamieniła się od razu w złośliwą osobistą sprzeczkę, która od początku wisiała w powietrzu między nimi. A młodzi ludzie nie unikają kłótni, podobnie jak młode zwierzęta łatwo wszczynają zażarte i niebezpieczne igraszki.

- Kim jestem i czym się zajmuję, to ostatecznie nikogo nic a nic nie obchodzi. Przecież ja nie pytam ciebie o twoje kubiki i bale.

Skurcz, zawsze ściskający serce Glasinczanina na wspomnienie jego pozycji, targnął nim szczególnie dotkliwie.

- Daj spokój moim kubikom. Ja z tego żyję, ale nikomu nie mydlę nimi oczu, nie łudzę, nikogo nie bałamucę.

- Kogóż to ja bałamucę? - zdradził się Stikowić.

- Każdego albo każdą, która da się zbałamucić.

- Nieprawda!

- A właśnie, że prawda! Sam wiesz najlepiej. A skoro już mnie ciągniesz za język, to ci wszystko wygarnę.

- Nie jestem ciekaw.

- Ale ja chcę, gdyż kręcąc się całymi dniami pośród bali, można niejedno dostrzec, nauczyć się, wymyślić i odczuć.

Chcę ci powiedzieć, co myślę o twych licznych zajęciach, zainteresowaniach i śmiałych teoriach, a także o twoich wierszach i miłostkach.

Stikowić uczynił ruch, jakby chciał wstać, ale pozostał na miejscu. Fortepian i skrzypce od dawna grały w kasynie (trzecią, wesołą, żywszą część sonatiny), a melodia gubiła się w nocnym szumie rzeki.

- Dziękuję, słyszałem od innych, mądrzejszych od ciebie.

- O nie, nie. Inni albo ciebie nie znają, albo okłamują, albo myślą tak samo jak ja, tylko milczą. Wszystkie twoje teorie, wszystkie twoje liczne zainteresowania, podobnie jak i twoje miłości i przyjaźnie wypływają z twej ambicji, a twoja ambicja jest fałszywa i niezdrowa, gdyż pochodzi z pychy, jedynie i wyłącznie z pychy.

- Cha, cha!

- A właśnie, że tak. I ta nacjonalistyczna idea, którą z takim zapalem głosisz, nawet ona jest specyficzną formą twojej pychy.

Bo ty nie umiesz kochać ani swojej matki, ani siostry, ani rodzzonego brata, a cóż dopiero jakąś ideę. Ty tylko z pychy mógłbyś być dobrym, szczodrym, ofiarnym. Bo twoja zarozumiałość jest główną siłą dodającą ci bodźca, twoją jedyną świętością, jedyną rzeczą, którą bardziej uwielbiasz niż siebie samego. Kto cię nie zna, łatwo mógłby się pomylić, widząc twoją pracowitość i bojowość, twoje oddanie idei nacjonalistycznej, nauce, poezji lub jakiemukolwiek innemu wyższemu celowi nie liczącemu się z jednostką. Ale ty nie potrafisz w niczym ani z nikim długo wytrwać, bo na to ci nie pozwala pycha. A z chwilą, gdy nie będzie wchodziła w grę twoja miłość własna, wszystko to stanie się dla ciebie obcą i daleką sprawą, dla której nie będziesz chciał ani mógł palcem kiwnąć. Samego siebie zdradzisz przez nią, bo ty sam jesteś niewolnikiem swojej pychy. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś zarozumiały. Znam cię na wylot i tylko ja wiem, jaki z ciebie zarozumialec.

Stikowić nic nie odpowiedział. Z początku był zaskoczony przemyślanym i namiętym potokiem słów kolegi, który nagle wystąpił przed nim w nieoczekiwanej roli i w nowym świetle.

Potem te uszczypliwe, monotonne słowa, z początku obrażające i prowokujące, zaczęły go ciekawić, prawie sprawiać przyjemność.

Poszczególne wyrazy wprawdzie kąsały i bolały, ale wszystko razem - ta ostra i wnikliwa analiza jego charakteru - schlebiała mu i w jakiś osobliwy sposób dogadzała. Bo powiedzieć młodemu jak on człowiekowi, że jest potworem, to tyle, co połechtać jego przekorę i egoizm. W gruncie rzeczy pragnął, aby Glasinczanin dalej przeprowadzał tę okrutną wiwisekcję jego duszy, to jaskrawe demaskowanie jego utajonej osobowości, gdyż znajdował w tym jeszcze jeden dowód swej niezwykłości i wyższości.

Nieruchomy wzrok utkwiał w białej płycie naprzeciwko, jaśniejącej na tle czerwonego kamienia w poświacie księżyca. Bez zmrużenia powiek wpatrywał się w niezrozumiały napis turecki, jakby z niego czytał i odgadywał głębszy, prawdziwy sens ostrych, starannie dobranych słów siedzącego obok złośliwego kolegi.

- Na niczym ci nie zależy, ty właściwie ani nie kochasz, ani nie nienawidzisz, bo tak w jednym, jak i w drugim wypadku trzeba na chwilę choćby wyjść poza swoje „ja”, narazić się na coś, zapomnieć się, przewyciężyć siebie i swoją pychę. A ty na to nie umiesz się zdobyć; zresztą nie ma rzeczy, dla której byś to zrobił, nawet gdybyś potrafił. Ciebie cudzy ból nie może nawet wzruszyć, a cóż dopiero zabołec; nawet swego własnego nie odczuwasz, jeśli tylko schlebia twojej pysze. Ty niczego nie pragniesz ani z niczego się nie cieszysz. Ty nawet nie jesteś zawistny, ale nie z dobroci serca, lecz z bezgranicznego egoizmu, bo nie dostrzegasz ani cudzego szczęścia, ani nieszczęścia.

Ciebie nic nie może wzruszyć ani poruszyć. Nie cofasz się przed niczym, nie dlatego, że jesteś odważny, lecz dlatego, że skarłały w tobie wszystkie zdrowe instynkty, bo poza twą pychą nie istnieją dla ciebie ani więzy pokrewieństwa, ani naturalne względy, ani Bóg, ani ludzie, ani rodzina, ani przyjaciel. Ty nie cenisz nawet swoich własnych wrodzonych zdolności. Zamiast wyrzutów sumienia może cię tylko boleć obrażona ambicja, gdyż tylko ona zawsze i we wszystkim z ciebie przemawia i dyktuje ci postępowanie.

- Czy to z powodu Zorki? - rzucił nagle Stikowić.

- Ano, jeśli wola, możemy pomówić i o tym. Tak jest, także z powodu Zorki. Na niej też ci nie zależy, nawet tyle, o!

To też jest tylko twoja słabość, niemożność zatrzymania się i pohamowania przed czymkolwiek, co ci się przypadkowo i chwilowo ofiaruje, a co schlebia twojej ambicji. Tak, podbijasz serca biednych, nieśmiałych i niedoświadczonych nauczycielek, tak samo jak piszesz artykuły i wiersze, wygłaszasz mowy i referaty. Nie zdobyłeś ich jeszcze całkowicie, a już masz dość, to twoja ambicja otwiera paszczę i chciwie szuka dalej. Ale to jest także twoim przekleństwem, że na niczym nie możesz poprzestać, niczym nasycić się i zadowolić. Podporządkowujesz wszystko swojej ambicji, ale sam jesteś jej pierwszym niewolnikiem i największym męczennikiem. Być może, że doczekasz się wielkiej sławy, osiągniesz sukcesy znacznie większe niż słabość zakochanych kobiet, lecz nic ci nie da zadowolenia, bo twoja ambicja będzie cię popychać dalej, bo ona pochłania wszystko (nawet największe osiągnięcia, i natychmiast o nich zapomina, ale każde, nawet najmniejsze niepowodzenie i urazę pamięta do grobowej deski. A gdy wszystko obędzie, połamie, splugawi, poniży, rozpędzi lub zniweczy wokół ciebie, wtedy na tej pustyni zostaniesz sam oko w oko ze swoją ambicją i nic nie będziesz mógł jej dać, wtedy będziesz się gryzł, ale to na nic się nie przyda, bo twoja pycha, przywykła do lepszych kąsków, wzgardzi tobą i odrzuci. Takim ty jesteś, chociaż inaczej wyglądasz w oczach większości, choć sam myślisz o sobie inaczej. Ale ja ciebie znam.

Tu Glasinczanin nagle umilkł.

Na kapii już od dłuższego czasu dawał się im we znaki ziąb nocy i rosła cisza przy wtórze odwiecznego plusku fal.

Nawet nie spostrzegli, kiedy umilkła muzyka na brzegu. Obaj młodzieńcy, uniesieni własnymi myślami, zupełnie zapomnieli, gdzie są i co robią, jak tylko młodość potrafi się zapomnieć.

Zazdrosny i nieszczęśliwy „kubikarz” mówił o tym, o czym tyle razy namiętnie, głęboko i żywo rozmyślał, a czego nigdy nie potrafił przyoblec w odpowiednie słowa i określenia, mówił teraz łatwo i ze swadą, gorzko i z zapalem. A Stikowić słuchał, nieruchomy, wpatrzony jak w ekran w białą tablicę z napisem. Obrażało go każde słowo, czuł każdą szpileczkę, ale w tym wszystkim, co mówił doń niewidoczny kolega przy jego boku, nie dopatrywał się obrazy ani nie widział niebezpieczeństwa. Wprost przeciwnie, zdawało mu się, że z każdym słowem Glasinczanina rośnie i na niewidzialnych skrzydłach leci cicho, a szybko, śmiało i górnio, leci wysoko ponad wszystkimi ludźmi na ziemi i ich więzami, prawami i uczuciami, sam dumny, wielki i szczęśliwy albo prawie szczęśliwy.

Szybuje ponad wszystkim. A głos i słowa przeciwnika to szum wody i szmer niewidocznego, niższego świata, gdzieś głęboko w dole, na którym mu nie zależy, jakim jest, co myśli i mówi, bo on szybuje w przestworzach jak ptak.

Chwila milczenia jakby oprzytomniła obu. Nie śmieli spojrzeć na siebie. Bóg raczy wiedzieć, jaki charakter przybrałaby sprzeczka, gdyby na moście od strony miasta nie pojawili się rozśpiewani, hałaśliwie pokrzykujący pijacy. Przekrzykiwał ich jakiś tenor, zbyt wysoko biorący starą pieśń:

Aleś mądra, aleś śliczna, Nadobna Fato Awdagi!

Po głosach poznali kilku młodszych kupców i synów gospodarzy. Jedni szli prosto i wolno, inni zataczali się i potykali.

Głośne dowcipy wskazywały, że idą z domu „Pod Topolami”.

W trakcie poprzedniej gawędy zapomnieliśmy powiedzieć o jeszcze jednej nowości kasaby. (Zapewne spostrzeżliście sami, że człek łatwo zapomina o tym, o czym nie lubi mówić).

Piętnaście lat temu z okładem, zanim jeszcze przystąpiono do budowy kolei, sprowadził się do kasaby pewien Węgier z żoną. Zwał się Terdik, a żona jego Julka mówiła po serbsku, jako że była rodem z Nowego Sadu. Od razu rozeszła się wieść, że przybyli z zamiarem otwarcia w kasabie zakładu, dla którego ludzie nie mieli nazwy. Otworzyli go na skraju miasta, pod wysokimi topolami u stóp Strażiszta, w gruntownie przebudowanym starym bejowskim domu.

Był to wstydlivy punkt kasaby. W tym domu okna zasłonięte są całymi dniami i nocami. A od zmierzchu przez całą noc pali się nad wejściem biała karbidowa lampa. Z parteru rozlegają się

pieśni i dźwięki automatycznego pianina. Młodzieńcy i starzy rozpustnicy opowiadali sobie o dziewczętach, które Terdik sprowadził do swego zakładu. Z początku były cztery:

Irma, Ilona, Frida i Aranka.

Co piątek można było zobaczyć „dziewczęta Julki” w dwóch fiakrach jadące do szpitala na tygodniowe badanie. Były wypudrowane i umalowane, z kwiatami na kapeluszach, długimi parasolkami, na których powiewały koronkowe falbany. Na te fiakry kobiety z kasaby nie pozwalały patrzeć swoim córkom i odwracały głowy ze zmieszanimi uczuciami odrazy, wstydu i współczucia.

Gdy zaczęły się roboty przy linii kolejowej i wzmógł się przypływ pieniędzy i robotników, liczba dziewcząt wzrosła.

Terdik wybudował obok starego domu tureckiego nowy budynek „według planu”, z krytym czerwoną dachówką, z daleka widocznym dachem. Tutaj były trzy sale. „Extra-Zimmer” i „Offizierssalon”. W każdej z nich były inne ceny i inni goście.

Tutaj, „Pod Topolami”, jak mówiono w kasabie, teraz mogli zostawić swoje odziedziczone lub zarobione pieniądze synowie i wnukowie tych, którzy niegdyś pili w gospodzie Zarijego albo później u Lotiki. Tutaj urządzano największe hulanki i dochodziło do osławionych bójek, tu działy się szalone orgie i rozgrywały sentymentalne dramaty. Tutaj tkwiło źródło wielu osobistych i rodzinnych tragedii w kasabie.

Zainteresowanie tego pijanego towarzystwa, które część nocy spędziło „Pod Topolami”, a teraz dla ochłody przyszło na kapiję, skupiało się na niejakim pocziwcu Nikoli Pecikozie, głupim młodzieńcu, którego synalkowie gospodarzy upijają, żeby sobie z niego żarty stroić.

Zanim dobrnęli do kapii, przystanęli koło poręczy. Słysząc było krzykliwą pijacką sprzeczkę. Nikola Pecikoza zakładał się o dwa litry wina, że przejdzie po poręczy do końca mostu.

Przecieli dłonie, młodzian wdrapał się na ogrodzenie i ruszył z rozpostartymi ramionami, ostrożnie stawiając nogę przed nogę jak lunatyk. Doszedłszy do kapii, spostrzegł dwóch spóźnionych gości, ale bez słowa, nucąc coś pod nosem, szedł dalej, podchmielony, niebezpieczną drogą, podczas gdy rozbawione towarzystwo podążało za nim. Jego ogromny cień w bladej poświacie igrał na moście i załamywał się po przeciwnej stronie na poręcz.

Przeszli pijacy, przebrzmiały ich rozwydrzone okrzyki i głupie uwagi. Obaj młodzieńcy wstali i bez pożegnania ruszyli do domu, każdy w swoją stronę.

Glasinczanin zanurzył się w ciemność na lewym brzegu Driny, gdzie wiodła droga do jego domu na Okolisztu, Stikowić ruszył wolnym krokiem w przeciwnym kierunku na rynek.

Szedł powoli i niepewnie. Nie chciało mu się opuścić tego miejsca, gdzie było widniej i chłodniej niż w mieście. Stał przy poręczy mostu. Musiał oprzeć się o coś, musiał czegoś się uchwycić.

Księżyc już schował się za Widową Górą. Młodzieniec, wsparty o kamienną balustradę na samym końcu mostu, długo śledził wzrokiem duże cienie i rzadkie światła swego rodzinnego miasta, jakby teraz ujrzał je po raz pierwszy. W kasynie świeciło się tylko w dwóch oknach. Muzyka umilkła. Pewnie nieszczęśliwa para, lekarz i pułkownikowa, wiodła tam swe rozmowy o muzyce i miłości albo o swoich własnych losach, które, rozdzielone, nie dają pełni szczęścia, a których nie sposób połączyć ze sobą.

Z miejsca, gdzie teraz stał Stikowić, widać było także jeszcze jedno oświetlone okno w hotelu Lotiki. Młody człowiek wpatrywał się w jaśniejące okna po obu stronach mostu, jakby czegoś spodziewając się od nich. Był znużony i smutny. Karkołomny spacer tego szaleńca Pecikozy przypominał mu nagle wczesne lata dzieciństwa, kiedy idąc do szkoły, przyglądał się w mglisty zimowy ranek roztańczonemu na tej samej poręczy niedźwiedziowatemu Ciorkanowi. A każde wspomnienie dzieciństwa budziło w nim smutek i jakieś przykre uczucie. Natomiast uczucie fatalnej, zawrotnej wielkości i lotu w wszechświat ponad wszystkim i wszystkimi, wzbudzone przez namiętne, twarde słowa Glasinczanina, zniknęło teraz zupełnie. Wydawało mu się, że nagle opadł i z trudem pełza po ciemnej ziemi jak wszyscy inni. Męczy go także wspomnienie przygody z nauczycielką, do której nie powinno było dojść (jakby ktoś inny był na jego miejscu!), wspomnienie artykułu w czasopiśmie, który wydawał mu się słaby i pełen błędów (jakby ktoś inny go napisał, wbrew jego woli, a pod jego nazwiskiem opublikował!), długiej rozmowy z Glasinczaninem, która teraz wydawała mu się nagle pełna złości i nienawiści, śmiertelnych kalumni i rzeczywistych niebezpieczeństw.

Wtem zadrzał pod wpływem wewnętrznego dreszczu i ziąbu ciągnącego od rzeki. Jakby dopiero teraz się ocknął, spostrzegł, że oba okna w kasynie zgasły. Z budynku wychodzili ostatni goście. Po ciemnym rynku pobrzękiwały ich długie szable i rozległa się głośna, nienaturalna rozmowa. Wreszcie z trudem oderwał się od poręczy i rzuciwszy okiem jeszcze raz na oświetlone okno w hotelu - ostatnie światło w zmarłej kasynie, powłókł się do swojego ubogiego domu na Mejdanie.

XX

Jedynym oknem w hotelu, które pozostało oświetlone tej nocy jako ostatni znak czuwającego życia w kasynie, było małe okienko na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się pokój Lotiki. Dzisiejszego wieczoru siedzi ona przy swym zawalonym papierami biurku, podobnie

jak niegdyś, przed z górą dwudziestu laty, kiedy wpadała do tej izdebki, żeby przynajmniej na chwilę odetchnąć od wrzawy i natłoku hotelowych gości. Tylko że teraz na dole jest cicho i ciemno.

Okolo dziesiątej Lotika poszła już do siebie i przygotowała się do spania. Ale zanim się położyła, podeszła do okna, żeby jeszcze raz odetchnąć świeżym powietrzem płynącym z wody i rzucić okiem na ostatni łuk mostu w bladym świetle księżyca, będący jedynym, niezmiennym widokiem z jej pokoju. Wtem przypomniała sobie o jakimś starym rachunku i zabrała się do szukania.

Wystarczyło, że raz zaczęła przeglądać rachunki - wpadła w trans i zapomniała o śnie, przeszło dwie godziny spędzając przy biurku.

Północ dawno minęła, a Lotika czuwa i pochłonięta pracą wypisuje cyfry pod cyframi, przewraca kartkę za kartką.

Lotika jest zmęczona. W ciągu dnia, załatwiając interesy i prowadząc rozmowy, wciąż jeszcze jest ożywiona, ruchliwa i elokwentna, ale w nocy, gdy zostanie sama, czuje brzemień lat i trudów. Lotika podupadła. Z jej dawnej piękności pozostały tylko ślady. Jest chuda, twarz ma woskową, włosy przeredzone na ciemieniu i bez połysku, a zęby, jej śliczne, jak perły równe i zdrowe zęby wyszczerbiły się i pożółkły. Spojrzenie czarnych, zawsze jeszcze ognistych oczu jest twarde, chwilami smutne.

Lotika czuje się zmęczona, ale nie jest to owo błogosławione i rozkoszne zmęczenie z nadmiaru pracy i ogromu zysków, które niegdyś sprawiało, że w tym pokoiku szukała wypoczynku i wytchnienia. Nadeszła starość i złe czasy.

Nie potrafiłaby tego wyrazić słowami ani sama sobie nie umie dobrze wyjaśnić, ale czuje na każdym kroku, że czasy się zepsuły, przynajmniej dla ludzi, którzy mają przed oczami tylko swoje zarobki i swoją rodzinę. Gdy przed trzydziestu laty przybyła do Bośni i zaczęła pracować, życie wydawało się jak jednolita bryła. Wszyscy dążyli w tym samym kierunku, co ona: za interesami i za rodziną. Każdy był na swoim miejscu i dla każdego było dość miejsca. A wszyscy ujęci w karby jednego ładu i jednego prawa, twardego ładu i surowego prawa. Takim wtedy wydawał się świat Lotice. A teraz wszystko się zmieniło i wywróciło do góry nogami. Ludzie dzielą się i izolują, i to, jak jej się wydaje, bez ładu i składu. Prawo zysku i straty, cudowne prawo zawsze kierujące postępowaniem ludzi, jakby przestało obowiązywać, gdyż tylu robi, mówi i pisze rzeczy, w których ona nie umie się dopatrzeć celu ani sensu, a które mogą przynieść im tylko przykrość i straty. Życie się rwie, kruszy i osypuje. W ogóle zda się, iż obecnemu pokoleniu zależy raczej na pojęciach o życiu niż na nim samym. Wydaje się to głupie, a dla niej kompletnie

niezrozumiałe, ale tak jest. Dlatego życie traci na wartości i sprowadza się do czernej gadaniny. Lotika wyraźnie to dostrzega i odczuwa na każdym kroku.

Interesy, igrające niegdyś przed jej oczami jak stado rozbrykanych jagniąt, leżą teraz martwe i ciężkie niby nagrobki na kirkucie. Już od dziesięciu lat hotel słabo prosperuje. Lasy wokół kasaby zostały wycięte, wyrąb oddala się coraz dalej i dalej, a wraz z nim najlepsi goście i zarobki. Ten zuchwały i bezwstydnny cham Terdik otworzył swój „dom” pod topolami i przyciągnął wielu gości Lotiki, dając im łatwo i bezpośrednio to, czego w jej hotelu nigdy i za żadne pieniądze nie mogli dostać. Lotika długo protestowała przeciwko tej niełojalnej i haniebnej konkurencji, utrzymując, że wybiła godzina, kiedy nie ma prawa, ni ładu, ni składu, ani możliwości uczciwego zarobku. Rozgoryczona, jeszcze na samym początku nazwała Terdika „kuplerem”. Zaskarżył ją do sądu i została skazana na grzywnę za obrazę czci. Ale ona po dziś dzień nie nazywa go inaczej; tylko uważa, z kim mówi. Nowe kasyno oficerskie ma własną restaurację, własną piwnicę pełną przednich napojów i własne pokoje hotelowe, gdzie stają znakomici cudzoziemcy.

Gustaw, ten ponury i chytry, ale kuty i pewny Gustaw, po tylu latach opuścił jej hotel, otworzył w najruchliwszym punkcie miasta gospodę i ze współpracownika przedzierzgnął się w bezwzględny konkurenta. Stowarzyszenia śpiewacze i różne czytelnie, które - jak widzieliśmy - powstały w ostatnich latach w kasabie, mają własne kawiarnie i przyciągają wielu gości.

Nie ma już dawnego życia ani w wielkiej sali, ani zwłaszcza w Extra-Zimmerze. Tutaj stołują się nieżonaci urzędnicy, czytają gazety i piją kawę. Codziennie po południu wstępuje Alibej Paszić, małomówny, nieodstępny towarzysz młodości Lotiki. Jest po dawnemu opanowany w gestach i dyskretny w słowach, schludny i starannie ubrany, ale siwiuteńki i ociężały. Ze względu na zaawansowaną cukrzycę, na którą cierpi od lat, podają mu kawę z sacharyną. Spokojnie pali i swoim zwyczajem w milczeniu słucha opowiadań Lotiki. A o właściwej porze wstaje tak samo spokojnie, bez słowa, i udaje się do swego domu w Crnczy.

Codziennym gościem jest także sąsiad Lotiki gospodarz Pawle Ranković. Od dawna nie nosi stroju ludowego, lecz obcisłe, miejskie ubranie, zachował tylko płytki czerwony fez. Zawsze ma na sobie koszulę z wykrochmalonym przodem, sztywnym kołnierzykiem i okrągłymi mankietami, na których zapisuje sobie cyfry i tymczasowe rachunki. Dawno już udało mu się zająć pierwsze miejsce wśród wyszegradzkich ludzi interesu. Jego pozycja jest teraz ustalona i zabezpieczona, ale on też nie jest wolny od trosk i kłopotów. Jak wszystkich starszych i zamożniejszych ludzi, jego również zaskakują nowe czasy i burzliwy zalew nowych idei i nowego stylu życia, poglądów i słów. Dla niego to wszystko sprowadza się do jednego słowa: „polityka”.

Ta „polityka” jest właśnie tym, co wprawia go w zakłopotanie, gniewa i zatruwa mu lata, które powinny być latami spokoju i zadowolenia po tyloletniej pracy, oszczędzaniu i wyrzeczeniach.

Bo za żadne skarby świata nie chciałby oddalić się od większości swych ziomków albo stać się obcym, ale jednocześnie nie ma ochoty popaść w konflikt z władzami, z którymi zawsze pragnie żyć w zgodzie i przynajmniej formalnie być w porządku. A to jest trudne, prawie niemożliwe do osiągnięcia. Nawet z rodzonymi synami nie może znaleźć wspólnego języka. Są dla niego, jak zresztą cała młodzież, po prostu niezrozumiali i lekkomyślni.

(Za młodzieżą jednak idzie wielu starszych - albo z musu, albo przez słabość). Przez swoje zachowanie, postawę i postęпки młodzi ludzie wydają mu się odstępcami, którzy nie myślą, że w tym ustroju wypadnie im żyć i umrzeć, lecz sądzą, że uda im się, niby zbójnikom, wieść życie w górach. Ci młodzi nie zważają, co mówią, nie patrzą, co robią, nie liczą, ile wydają, najmniej zajmują się swymi osobistymi sprawami, jedzą chleb, nie zastanawiając się, skąd go biorą, i gadają, gadają, gadają, „na gwiazdy szczekają”, jak mawiał gospodarz Pawle podczas swych sprzeczek z synami.

Ten sposób myślenia bez ograniczeń, to nieskończone gadulstwo, to życie nieobliczalne i lekkomyślne, jego - który całe życie pracował z ołówkiem w ręku - doprowadza do wściekłości i rozpacz. Kiedy słucha i patrzy na nich, strach go ogarnia, zdaje mu się, że nierozważnie porywają się na same podstawy życia, na to, co dlań jest najdroższe i najświętsze. A gdy żąda od nich wyjaśnień, które mogłyby go przekonać i uspokoić, odpowiadają mu pogardliwie, z góry, patetycznie i mętnie: wolność, przyszłość, historia, nauka, sława, wielkość. A jemu aż skóra cierpi na dźwięk abstrakcyjnych pojęć. Dlatego woli posiedzieć z Lotiką przy kawie, gdyż z nią można pogwarzyć o interesach i wydarzeniach, i to w myśl ustalonego, uznanego rachunku, z dala od „polityki” i niebezpiecznych wielkich słów, które wszystko stawiają pod znakiem zapytania, a nic nie wyjaśniają ani nie ustalają. W trakcie pogawędki często sięga po swój ołówek - nie jest to już ów gruby ołówek sprzed dwudziestu pięciu lat, ale tak samo odrapany ogryzek - i to, co mówią, wystawia na bezbłędną i nieubłaganą próbę cyfr. W pogawędce ożyją jeszcze jakieś dawne wydarzenia albo żarty, których uczestnicy przeważnie już zmarli, a potem gospodarz Pawle zafrasowany i zgarbiony wraca do swego sklepu w rynku.

Lotika zostaje sama ze swymi troskami i rachunkami.

Ani trochę lepiej od zarobków hotelowych nie wyglądają sprawy spekulacji Lotiki. W pierwszych latach okupacji wystarczyło kupić byle jakie akcje któregośkolwiek przedsiębiorstwa, a było się pewnym, że znalazło się dobrą lokatę kapitału i że kwestią jest tylko wysokość zysku. Ale

wtedy hotel dopiero co został otwarty, a Lotika nie dysponowała odpowiednimi sumami ani nie miała kredytów, jakie później udało jej się zdobyć.

Kiedy zaś doszła do kapitału i kredytów, sytuacja na rynku już się zmieniła. Jeden z największych cyklicznych kryzysów ogarnął Austro-Węgry na przełomie XIX i XX wieku. Akcje Lotiki poczęły skakać. Płakała z wściekłości, czytając co niedzielę ostatnie biuletyny giełdowe w wiedeńskim „Merkurym”.

Cały dochód z hotelu, nieźle wtedy jeszcze prosperującego, nie wystarczał na zatkanie wszystkich dziur wynikłych z powszechnego spadku wszelkich wartości. Podówczas przeżyła ciężki wstrząs nerwowy, który trwał pełne dwa lata. Była nieprzytomna ze zgryzoty. Rozmawia z ludźmi, a nie słucha, co mówią, ani nie myśli, co sama mówi. Patrzy im prosto w oczy, ale nie dostrzega ich, tylko drobne kolumny „Merkurego”, które mają przynieść jej szczęście albo katastrofę. Wówczas zaczęła grać na loterii. Skoro i tak wszystko jest tylko trafem i przypadkiem, niech będzie do końca. W tym czasie kupowała wszystkie możliwe losy wszystkich krajów. Udało jej się nabyć ćwiartkę wielkiej loterii hiszpańskiej wypuszczanej zawsze przed Bożym Narodzeniem, której główna wygrana wynosiła piętnaście milionów pesetów. Drżała przed każdym ciągnięciem i gorzkie łzy roniła nad tabelami. Modliła się o cud, aby na jej los padła główna wygrana. Ale nigdy nic nie wygrała.

Przed siedmiu laty szwagier Lotiki Zahler zawarł spółkę z dwoma zamożnymi emerytami i założyli w kasabie „Nowoczesną Spółdzielnię Mleczarską”. Trzy piąte kapitału zakładowego włożyła Lotika. Interes był pomyślany na szeroką skalę.

Liczono, że pierwsze sukcesy, co do których nie mieli wątpliwości, zwrócą na spółdzielnię uwagę kapitałów spoza kasaby, a nawet spoza Bośni. Tymczasem właśnie wtedy, gdy przedsiębiorstwo znalazło się chwilowo w krytycznym stadium, nadszedł kryzys aneksyjny. Zniweczył on wszelkie nadzieje na uzyskanie nowego kapitału. Te pograniczne tereny były tak niepewne, że nawet zainwestowane pieniądze zaczęto wycofywać. Spółdzielnia została zlikwidowana po dwóch latach, z całkowitą stratą włożonego kapitału. Lotika, aby pokryć straty, musiała pozbyć się najlepszych i najpewniejszych papierów wartościowych, takich jak akcje Browaru Sarajewskiego oraz Fabryki Sody Solway w Tuzli.

W parze z tymi finansowymi niepowodzeniami szły kłopoty rodzinne i rozczarowania. Wprawdzie jedna z córek Zahlera Irena wyszła za mąż niespodziewanie dobrze. (Lotika dała jej posag). Ale starsza córka Mina została w domu. Rozżalona z powodu zameścia młodszej siostry, nieszczęśliwa w wyborze narzeczonych, przedwcześnie zmieniła się w zgryźliwą, zgorzkniałą starą pannę, która utrudniała życie w domu i pracę w hotelu, czyniąc je bardziej nieznośnymi, niż były. Zahler, nigdy nie odznaczający się energią ani sprytem, stał się jeszcze bardziej ociężały i

niezdecydowany, a przebywał w domu niby niemy, dobroduszny gość, co to ani korzyści nie przynosi, ani straty. Żona Zahlera, Debora, mimo choroby i nie pierwszej młodości, wydała na świat syna, ale niedorozwiniętego kalekę.

Chłopiec, choć ma obecnie dziesięć lat, nie mówi i nie może utrzymać się na nogach, lecz wydaje jakieś nieartykułowane dźwięki i pełza na czworakach po domu. A takie to dobre i miłe biedactwo, tak kurczowo trzyma się ciotki, którą bardzo kocha, znacznie bardziej niż rodzoną matkę, że Lotika mimo wszystkich trosk i zajęć dba o niego, karmi, ubiera, usypia. Mając stale przed oczami tego potworka, martwi się, że interesy nie idą lepiej i nie ma już pieniędzy na wysłanie go do sławnych lekarzy, do jakiejś kliniki wiedeńskiej, albo że nie dzieją się cuda i kaleki nie mogą odzyskać zdrowia z Bożej woli dzięki dobrym uczynom ludzi i ich modłom.

Galicjyjscy podopieczni Lotiki, których wykształciła lub powydawała za mąż w tamtych dobrych latach, przysparzali jej także niemało kłopotów, zaprawiając goryczą życie. Byli pośród nich i tacy, którzy założyli własne rodziny, prowadzili własne interesy i dorobili się. Regularnie otrzymywała od nich życzenia, listy pełne szacunku i wdzięczności oraz stałe wieści o sytuacji w rodzinie. Ale ci Apfelmajerowie, których Lotika postawiła na nogi, edukowała i którym stworzyła ogniska domowe, nie pomagali i nie wspierali nowych ubogich krewnych rodzących się i dorastających w Galicji, lecz osiadłszy w obcych miastach, troszczyli się wyłącznie o siebie i o swoje dzieci. Uważali za swój największy sukces życiowy jak najprędzej, całkowicie i raz na zawsze zapomnieć o Tarnowie i ciasnym, nędznym środowisku, z którego się wywodzą i z którego szczęśliwie udało im się wydostać. Sama Lotika nie mogła już po dawnemu oszczędzać i wprowadzać w życie tarnowskich biedaków. Nigdy nie kładła się ani nie wstawiała, nie pomyślawszy z bólem, że tam w Tarnowie ktoś z jej rodziny tonie beznadziejnie i na zawsze w ciemnocie i brudzie, w okropnej nędzy, którą ona dobrze знаła i z którą borykała się całe życie.

Ale nawet wśród tych wyprowadzonych przez nią na ludzi byli tacy, co sprawiali ból i wywoływali niezadowolenie. Właściwie najlepsi spośród nich zeszli na manowce albo powinęła się im noga po pierwszych sukcesach rokujących piękne nadzieje. Jedna siostrzenica, utalentowana pianistka, która dzięki pomocy Lotiki i jej staraniom ukończyła konserwatorium wiedeńskie, otruła się kilka lat temu w okresie swych pierwszych wspaniałych sukcesów; nikt nie znał przyczyny.

Jeden z bratanków - Albert, nadzieja rodziny i chluba Lotiki, skończył gimnazjum oraz studia uniwersyteckie z bardzo dobrym wynikiem, ale z powodu swego żydowskiego pochodzenia nie otrzymał promocji sub auspiciis regis⁵² ani cesarskiego pierścienia, co było skrytym

⁵² Pod opieką (władzą) monarszą (łac); nazwa egzaminu uniwersyteckiego.

marzeniem Lotiki. Mimo to Lotika wyobrażała go sobie jako wybitnego adwokata w Wiedniu albo we Lwowie, skoro jako żyd nie mógł zajmować wysokiego stanowiska w hierarchii urzędniczej, co najbardziej odpowiadałoby jej ambicjom. W tym też widziała nagrodę za swój trud i wyrzeczenia związane z jego edukacją. Ale i tutaj spotkał ją przykry zawód. Młody doktor praw ją parać się publicystyką i został członkiem partii socjalistycznej, w dodatku jej skrajnego skrzydła, które wyróżniło się podczas wiedeńskiego strajku generalnego w 1906 roku. Lotika musiała własnymi oczami wyczytać w gazetach stołecznych, że „podczas akcji oczyszczania Wiednia z obcych wywrotowych elementów, po odsiedzeniu dwudziestodniowej kary więzienia został wydalony znany krzykacz żydowski dr Albert Apfelmajer”. Mówiąc językiem kasaby, było to równoznaczne z ogłoszeniem go zbójnikiem. Po kilku miesiącach Lotika otrzymała od swego ukochanego Alberta list z Buenos Aires, dokąd wyemigrował.

W owych dniach nawet w swojej izdebce nie mogła zaznać spokoju. Z listem w ręku szła do siostry i szwagra, zrozpaczona i nieprzytomna zaglądała w oczy umiejającej tylko popłakiwać Deborze, wykrzykując gniewnie:

- Co z nas będzie? Pytam, co z nas będzie, skoro nikt nie umie dźwignąć się ani iść o własnych siłach? Jeśli kogoś nie trzyma się za rękę, zaraz upada. Co z nas będzie? Przekłęci jesteśmy, ot co!

- Gott, Gott, Gott - wzdychała biedna Debora, wylewając gorzkie łzy, ale oczywiście nie umiając dać odpowiedzi Lotice.

Sama Lotika nie znajdowała odpowiedzi, ale załamywała ręce i wznosiła oczy ku niebu nie płacząc i z lękiem jak jej poczciwa siostra, lecz gniewnie, z rozpaczą.

- Socjalistą został! So-cja-li-stą! Nie dość, że jesteśmy Żydami, jeszcze i to! O, wielki, jedyny Boże, cóżem zawiniła, że tak mnie doświadczasz? Socjalista!

Oplakała Alberta jak nieboszczyka i już więcej o nim nie było mowy.

W trzy lata później inna jej bratanica, siostra tegoż Alberta, wyszła bardzo dobrze za mąż w Budapeszcie. Lotika dała jej wyprawę i doprowadziła do małżeństwa, które wywołało moralny kryzys w wielkiej rodzinie tarnowskich Apfelmajerów, bogatych tylko w dzieci i nieskalaną tradycję ortodoksyjną. Mężczyzna, którego ta bratanica miała poślubić, był bogatym giełdźiarzem, ale chrześcijaninem, kalwinem, i jako warunek postawił, że panna ma przejść na jego wyznanie. Rodzice sprzeciwiali się, ale Lotika, wciąż mając na oku interes całej rodziny, utrzymywała, że trudno pływać z taką załogą bez lawirowania, i dla ratowania reszty trzeba nieco balastu wrzucić do morza. Stała po stronie bratanicy. Ostatecznie jej słowo przeważyło. Dziewczyna wychrzciała się i wyszła za mąż. Lotika miała nadzieję z pomocą tego szwagra wprowadzić do budapeszteńskiej finansjery któregoś z dorastających siostrzeńców czy bratanków. Ale pech

chciał, że bogaty peszteński giełdziarz umarł w pierwszym roku małżeństwa. Młoda żona z rozpaczy dostała pomieszania zmysłów. Upływały miesiące, a jej depresja nie ustępowała. Mija już czwarty rok, jak młoda wdowa mieszka w Budapeszcie pogrążona w swej nienaturalnej rozpaczy, która jest jednoznaczna z nieszkodliwym wariactwem. Duże, bogato urządzone mieszkanie obita czarnym sukniem. Codziennie chodzi na cmentarz, przesiaduje nad mężowskim grobem, gdzie cicho i z oddaniem czyta mu od deski do deski bieżące biuletyny giełdowe. Na wszystkie próby otrząśnięcia jej i wydobycia z letargu odpowiada łagodnie, że nieboszczyk lubił to ponad wszystko na świecie i że to było dla niego najmiłszą, znaną mu muzyką.

Tak więc wiele różnych losów natłoczyło się w tej małej izdebce. Wiele rachunków, wiele wątpliwości, wiele na zawsze skreślonych i wymazanych pozycji w dużej i rozgałęzionej buchalterii Lotiki. Jednakże zasada pracy została ta sama. Lotika jest zmęczona, ale nie upada na duchu. Po każdej stracie i niepowodzeniu zbiera siły, zaciska zęby i broni się dalej. Mimo że cała jej praca w ostatnich latach sprowadza się do defensywy, ona broni się, mając ten sam cel przed oczami i z tym samym uporem, z jakim dawniej dorabiała się i porastała w pierze.

W hotelu ona jest „męską głową”, a dla całej kasaby „ciotką Lotiką”. Dość jest jeszcze tutaj i na świecie ludzi, którzy czekają na jej pomoc, radę lub przynajmniej dobre słowo i nic ich nie obchodzi, że Lotika jest zmęczona. A ona naprawdę jest zmęczona; bardziej, niż ktokolwiek przypuszcza; bardziej, niż sama zdaje sobie z tego sprawę.

Mały staroświecki zegar ścienny wybija pierwszą po północy. Trzymając się za krzyż, Lotika z trudem się podnosi. Gasi starannie dużą zieloną lampę na drewnianej podstawie i drobnym starczym kroczeniem, jakim zwykła dreptać będąc sama u siebie i tylko przed spoczynkiem, idzie się położyć.

Pogrążoną we śnie kasabę zalega głęboki mrok.

XXI

Nadszedł wreszcie rok 1914, ostatni rok opowieści o moście na Drinie. Nadszedł podobnie jak poprzednie lata spokojnym krokiem ziemskiego czasu, ale w takt coraz nowych głuchych pomruków i coraz bardziej niezwykłych, piętrzących się niby fale wydarzeń.

Tyle lat Pańskich upłynęło w kasabie przy moście i tyle jeszcze upłynie. Były i będą przeróżne, ale rok 1914 po wsze czasy zostanie pamiętny. Tak przynajmniej wydaje się tym, którzy go przeżyli. Zda się im, iż nigdy, żeby nie wiedzieć ile mówić i pisać, nie zdoła się albo odwagi nie stanie, by wypowiedzieć wszystko, co wtedy ujrano na dnie ludzkiej doli, poza czasem i pod pokrywką wydarzeń. Któż zdoła w słowa przyoblec i na papier przelać (tak oni myślą!) owe wspólne wstrząsy, które nagle zakołysały ludami i z żywych istot jęły udzielać się

rzeczom martwym, przenosić na krainy i budowle? Jakże opisać owo falowanie uczuć ludzkich, od niemego, dzikiego strachu po samobójczy zachwyt, od najniższych instynktów krwiożerczych i podstępnej grabieży po najwyższe zrywy świętej ofiarności, w której człowiek przechodzi sam siebie i na chwilę sięga sfer zaświatów, gdzie inne rządzą prawa? Nigdy nie zdoła się tego wysłowić, jako że kto doczeka i przeżyje, ten zaniemówi, a martwi i tak mówić nie mogą. Są to bowiem rzeczy, których się nie opowiada, lecz zapomina o nich. Bo gdyby nie zapomniano, jakżeby mogły się powtarzać?

Owego lata 1914 roku, gdy władcy tego świata sprowadzili ludzkość Europy z boiska powszechnego prawa głosu na uprzednio przygotowaną arenę powszechnej służby wojskowej, kasaba stanowiła mały, ale wymowny przykład pierwszych objawów choroby, która z czasem stanie się europejską i w ogóle światową. Były to czasy z pogranicza dwóch epok dziejów ludzkości, gdy lepiej był widoczny kres jednej, kończącej się ery, niż początek nowej, dopiero świtającej. Wtedy szukano jeszcze usprawiedliwienia dla gwałtów, a dla bestialstwa wynajdywano jakąś nazwę, zapożyczoną z duchowej skarbnicy minionego stulecia. Wszystko, co się działo, miało jeszcze pozory godności, i urok nowości, ów straszliwy, krótkotrwały, niewysłowny urok, który później tak kompletnie zanikł, że nawet ci, co go wówczas tak żywo odczuwali, nie potrafili odtworzyć go sobie we wspomnieniach.

Ale są to rzeczy, które tylko mimochodem wspominamy; poeci i uczeni przyszłych epok będą je badać, tłumaczyć i wskrzeszać środkami i metodami, o jakich nam się nawet nie śniło, z pogodą, swobodą i śmiałością ducha, znacznie przewyższającą naszą. Prawdopodobnie uda im się wyjaśnić tajemnicę tego dziwnego roku, a także określić właściwe jego miejsce w dziejach świata i rozwoju ludzkości. Tutaj jest on dla nas jedynie i przede wszystkim rokiem fatalnym dla mostu na Drinie.

Lato 1914 roku pozostanie we wspomnieniach tych, którzy je tutaj przeżyli, jako najmiłsze, najpiękniejsze i najbardziej pamiętne, gdyż w świadomości ich jaśnieje i płonie na całym olbrzymim, ponurym, ciągnącym się w nieskończoność horyzoncie cierpień i tragedii.

A zapowiadało się wyjątkowo dobrze, lepiej niż tyle minionych. Śliwy obrodziły jak nigdy i zboża wybujały. Po dziesięciu latach zaburzeń i wstrząsów ludzie wyglądają skądś ciszy i urodzaju, który by pod każdym względem wyrównywał straty i niepowodzenia poprzedniego okresu. (Najgorszą i najtragiczniejszą ze wszystkich słabości ludzkich jest niewątpliwie kompletny brak umiejętności przewidywania, będący w rażącej sprzeczności z tyloma talentami, zdolnościami i wiadomościami człowieka).

Nadszedł taki wyjątkowy rok ze szczególnie szczęśliwym i sprzyjającym wzajemnym oddziaływaniem słonecznego ciepła i wilgoci ziemi, kiedy wyszegradzka rozległa dolina aż drżała

od nadmiaru siły i powszechnej potrzeby rodzenia. Ziemia nabrzmiwa, a wszystko, co żyje - kielkuje, pęcznieje, listowiem i kwieciami się okrywa, wydając plon stokrotny. Widać wyraźnie, jak tchnienie płodności drży niby ciepła sina mgiełka nad każdą bruzdą i nad każdym krzaczkiem. Krowy i kozy idą ociężale, szeroko rozstawiając tylne nogi z nadmiaru mleka w nabrzmiąłych wymionach. Płatki, co roku z początkiem lata napływające w ogromnych ławicach na tarło przy ujściu Rzawu, pojawiły się w takich ilościach, że dzieci zgarniają je na płycznach w skopki i wyrzucają na brzeg. Porowaty kamień mostu nabrzmiął niby żywy i zjedrniał jakąś energią i bijącą z ziemi obfitością unoszącą się nad całą kasabą niczym radosne ciepło, w którym wszystko szybciej oddycha i bujniej rośnie.

Do rzadkości należy takie lato w wyszegradzkiej dolinie. Ale gdy się zdarzy, wtedy ludzie zapominają o minionej biedzie i nie zastanawiają się nad tym, co może jeszcze nadejść, żyją intensywnym życiem doliny, na którą zstąpiło błogosławieństwo urodzaju, sami uczestnicząc w tej grze wilgoci, ciepła i nabrzmiąłych soków.

Nawet chłopci, którzy zawsze znajdują powód do biadolenia, musieli przyznać, że rok zapowiada się dobrze, tylko po każdej pochwie nie omieszkali dodać: „Jeśli się tak utrzyma.”. Roznamiętnieni kupcy rzucili się w wir interesów jak pszczoły i osy do kwiatnych kielichów. Rozbiegali się po okolicznych wsiach, skupować żyto na pniu i śliwki jeszcze zielone. Chłop skonsternowany tym najazdem przebiegłych klientów, jak również niezwykłym urodzajem, staje pod uginającymi się od owoców drzewami lub wśród falujących łąnów i nie potrafi zdobyć się na należyta czujność i powściągliwość wobec mieszcza, który nie pożałował zachodu, by wybrać się aż do niego. A ta czujność i powściągliwość nadają jego twarzy wyraz skupiony i zatroskany, bliźniaczo podobny do żalnej miny, jaką miewa w latach nieurodzaju.

Do większych i możniejszych kupców chłopci przychodzą sami. Sklep Pawła Rankowicia w dzień targowy pełen jest wieśniaków potrzebujących pieniędzy. Podobnie i skład Santa Papy, który od dawna należy do pierwszych wyszegradzkich Żydów. (Chociaż od wielu lat istnieją banki i możliwości zdobycia kredytów na hipotekę, chłopci - osobliwie starsi - wolą zaciągać pożyczki prastarym sposobem u miejskich bogaczy, u których zaopatrują się w towary i u których zaciągali długi ich ojcowie).

Skład Santa jest jednym z największych i naj solidniejszych w śródmieściu Wyszegradu. Wzniesiony z twardego kamienia, o grubych murach i kamiennej posadzce. Ciężkie drzwi i okiennice są z kutego żelaza, a wysokie wąskie okna zasłania gruba, gęsta krata.

Sklep urządzony jest w przedniej części składu. Wokół ścian stoją głębokie, drewniane półki pełne emaliowanych naczyń. U niezmiernie wysokiego, ginącego w ciemności sufitu wiszą lżejsze towary: lampy różnej wielkości, dżezwy do kawy, klatki dla ptaków, łapki na myszy i inne

wyroby z drutu. To wszystko wisi związane w duże pęczki. Przy długiej ladzie stoją skrzynie z gwoździami, worki, z cementem, gipsem i różnymi farbami; motyki, łopaty i kilofy bez trzonków nawleczone są na sznury na kształt ciężkich naszyjników. Po kątach stoją duże blaszane kadzie z naftą, lakiem, terpentyną i politurą. Tu nawet w upalne lato jest chłodno, a w biały dzień panuje półmrok.

Ale większość towarów znajduje się w pomieszczeniach za sklepem, dokąd prowadzą niskie żelazne drzwi. Tu zgromadzono ciężkie rzeczy: żelazne piecyki, szyny, sztaby, lemiesze, oskardy i inne narzędzia. A wszystko złożone na wysokie sterty tak, że pomiędzy towarami biegną wąskie ścieżki jak między wysokimi murami. Tutaj panuje wieczny mrok i nie wchodzi się bez latarni.

Z grubych ścian, z kamiennej posadzki i stosu żelastwa bije zimne, ostre tchnienie kamienia i metalu, którego nic nie jest w stanie rozproszyć ani ogrzać. Tchnienie to w ciągu kilku lat zamienia rumianych, zwawych terminatorów w milczących, białych i opuchniętych, ale zręcznych, oszczędnych i długowiecznych czeladników. Jest ono niewątpliwie przykre i szkodliwe dla zdrowia pokoleń właścicieli, ale jednocześnie błogie i miłe, jako że daje poczucie własności i myśl o zarobkach i źródle bogactwa.

Człowiek, który siedzi teraz w przednim pomieszczeniu tego zimnego i mrocznego składu przy małym stoliku obok ogromnej stalowej kasy ogniotrwałej marki „Wertheim”, ani trochę nie przypomina owego rosłego, energicznego Santa, który niegdyś, trzydzieści lat temu, potrafił tak dobitnie krzyknąć: „Rum dla Ciorkana!”. Zmieniły go lata i praca w sklepie. Roztył się i pożółkł, a ciemne koła pod oczami sięgają policzków; wzrok mu osłabł, jego czarne, wylupiające oczy za grubymi szklami okularów w metalowej oprawie mają jakiś surowy i przestraszony wyraz. Zawsze jeszcze nosi wiśniowy fez jako jedyną pozostałość po dawnym stroju tureckim. Jego ojciec, Mento Papo, drobny, siwiuteńki osiemdziesięcioletni staruszek, jeszcze dość dobrze się trzyma, tylko niedowidzi. Zagląda do składu w słoneczne dni. Załzawionymi oczami, które zza grubych szkieł wyglądają, jakby się zaraz miały rozpuścić, spogląda na syna przy kasie i wnuka za ladą, wchłania tchnienie magazynu i wraca wolnym krokiem do domu, wspierając się prawą ręką o ramię dziesięcioletniego prawnuka.

Santo ma sześć córek i pięciu synów, z których większość powychodziła za mąż i pożeniła się. Najstarszy jego syn Rafo ma już dorosłe dzieci i pomaga ojcu w sklepie. Jeden z synów Rafa, imiennik dziadka, uczęszcza do gimnazjum w Sarajewie. Jest to błydy, szczupły krótkowidz, który od ósmego roku życia wspaniale deklamuje wiersze Zmaja⁵³ na szkolnych imprezach, poza tym

⁵³ Zmaj (1833–1904) – wybitny poeta serbski.

jest złym uczniem, nie lubi chodzić do synagogi ani pomagać w czasie wakacji w dziadkowym sklepie, a opowiada, że zostanie artystą albo kimś w tym rodzaju - sławnym i niezwykłym.

Siedzi więc Santo pochylony nad wielką, dobrze już wyświechtaną i zatłuszczoną księgą z rejestrem alfabetycznym, a opodal niego na pustej skrzyni po gwoździach przysiadł chłop Ibro Ciemalović z Uzawnicy. Santo oblicza, ile Ibro jest mu winien i w związku z tym ile i na jakich warunkach będzie mógł mu pożyczyć teraz na poczet nowych zbiorów.

- Cincuenta, cincuenta y ocho... cincuenta y ocho, sesenta y tres...⁵⁴ - szepce po hiszpańsku Santo.

A chłop wpatruje się w niego wyczekująco, zatroskany, jakby chodziło o wyrocznię, a nie o rachunki, które on co do grosza zna na pamięć, nawet we śnie. Gdy Santo zliczył i wymienił dług wraz z procentem, chłop wolno wycedził przez zęby: „Czyżby tyle?” - tylko po to, aby zyskać na czasie i w pamięci porównać swoje obliczenia z obliczeniami Santa.

- Tak, Ibrago, ani rusz inaczej - odpowiada Santo stereotypową w takich wypadkach formułką.

Po uzgodnieniu wysokości dotychczasowego długu, chłop ma zwrócić się o nową pożyczkę, a Santo wypowiedzieć się co do ich możliwości i ustalić warunki. Tylko że to nie jest sprawa ani łatwa, ani szybka. Pomędzy nimi potoczy się teraz rozmowa, która w najdrobniejszych szczegółach przypominać będzie rozmowy, jakie przed pięćdziesięciu laty tak samo na przednówku prowadził w tym miejscu ojciec owego Ibra z Uzawnicy z ojcem Jovan Javanović Santa - Mentem. Istotny i zasadniczy temat wyłoni się w potoku słów, które same w sobie nic nie znaczą, a wydają się zupełnie zbędne, prawie bezsensowne. Niewtajemniczony, który by się im przyglądał i przysłuchiwał z boku, pomyślałby, że rozmowa ta nie dotyczy pożyczki i pieniędzy. Tak przynajmniej chwilami się wydaje.

- Obrodziły u nas w tym roku śliwy i inne drzewa owocowe, jak w żadnym powiecie - powiada Santo - będzie rok, jakiego dawno nie było.

- Po prawdzie, obrodziło dość dobrze, dzięki Bogu. Jeśli da Allach i pogoda utrzyma się, będzie i owoców, i chleba, a jakże! Tylko kto może przewidzieć cenę - frasuje się chłop, skrobiąc palcem po szwie portek z grubego, zielonego sukna i spoglądając spod oka na Santa.

- Teraz nie wiadomo, jaka będzie cena, ale gdy przyniesiesz wszystko do Wyszegradu, ustali się. Wiesz, jak to się mówi: „Cena jest w ręku właściciela”.

- Ano, niby tak. Jeśli tylko Bóg da i dojrzeje - znów zastrzega chłop.

⁵⁴ Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt i osiem... pięćdziesiąt i osiem, sześćdziesiąt i trzy... (hiszp.).

- Toć bez Bożej woli istotnie nikt nie zbiera ani nie żnie. żeby nie wiedzieć jak człowiek chodził koło zasiewów, na nic mu się to zda, jeżeli nie będzie błogosławieństwa Bożego - wtrąca Santo, wskazując dłonią w górę, skąd powinno spłynąć rzeczony błogosławieństwo; gdzieś nad tej wysokiej i czarnej powały obwieszanej wiejskimi blaszanymi lampami wszelkich rozmiarów oraz wiązkami innych drobnych towarów.

- Święta prawda! - wzdycha Ibro. - Posadzi człek i posieje, a Bóg wielki i jedyny mi świadkiem, jakby z wodą puścił; okopujesz i plewisz, i podcinasz, i trzebisz. Jeśli nie jest pisane, żadnej nie będziesz miał z tego pociechy. Jok! Wszelako jak Bóg da, a rok będzie urodzajny, nikt nie wyjdzie ze stratą, długi będzie można spłacić i zaciągnąć nowe. Bodajby tylko zdrowie dopisało.

- Aaa tak, grunt to zdrowie! Nic się nie da porównać ze zdrowiem. Taka to już ta głupia ludzka natura: wszystko daj człowiekowi, a pozbaw go zdrowia, to tak, jakbyś mu nic nie dał - zapewnia Santo, kierując rozmowę w zupełnie innym kierunku.

Z kolei chłop wyłuszcza swoje poglądy na zdrowie, które są tak samo ogólnie znane, jak i Santa. Przez chwilę wydaje się, że cała rozmowa zejdzie na błahostki i ogólniki. Ale w odpowiedniej chwili, zgodnie z odwiecznym ceremoniałem, wraca jednak do punktu wyjściowego. Dopiero teraz dochodzi do pertraktacji w sprawie nowej pożyczki, wysokości sumy, procentu, terminu i sposobu spłaty. Umawiają się długo, to żywo, to cicho i frasobliwie, ale w końcu porozumiewają się i dobijają targu. Wtedy Santo wstaje, wyjmując z kieszeni pęk kluczy na łańcuszku i nie zdejmując ich, otwiera kasę, która zgrzytnąwszy, rozsuwa się wolno, uroczyście i, jak wszystkie kasy, zamyka się z owym delikatnym metalowym szmerem przypominającym westchnienie. Odlicza chłopu pieniądze co do miedzianego halerza, a wszystkie jednakowo starannie i uważnie, jakby ze smutkiem.

Ale potem woła, ale znacznie żywiej, zmienionym głosem:

- No co, zadowolonyś, Ibrago? Po twojej myśli?

- Ano, widzi mi się... - odpowiada chłop cicho, w zamyśleniu.

- Da Bóg, będzie szczęśliwie i pomyślnie! Bywaj zdrów i obyśmy w przyjaźni znów się spotkali - rzecze Santo już całkiem żywo i wesoło. Posyła wnuka naprzeciwko po dwie kawy, „jedną gorzką i jedną słodsza”.

Inny wieśniak tymczasem już wyczekuje przed sklepem na swoją kolej w tym samym interesie i dla podobnych rachunków.

Wraz z tymi chłopami i ich liczeniem na przyszłe żniwa i zbiory przenika w głąb mrocznego składu Santa ciepłe, ciężkie tchnienie nad podziw urodzajnego roku. Aż zapociła się stalowa

zielona kasa, a Santo poprawia wskazującym palcem kołnierzyk dokoła grubej, żółtej, pulchnej szyi i przeciera chusteczką zamglone szkła.

Tak to było na progu lata.

A jednak na sam początek owego błogosławionego roku padł krótki cień strachu i żaloby. Wczesną wiosną wybuchła w Uwcu, małej miejscinie nad dawną turecko-austriacką, a teraz serbsko-austriacką granicą, epidemia tyfusu brzuszego.

Ponieważ miejscowość była pograniczna, a dwa wypadki tyfusu zdarzyły się w koszarach żandarmerii, wyszegradzki lekarz wojskowy dr Balasz wyruszył z sanitariuszem i lekarstwami do Uwca. Natychmiast zręcznie i stanowczo poczynił niezbędne kroki dla odizolowania chorych, sam czuwał nad nimi. Dzięki temu na piętnastu zmarło tylko dwóch, a zaraza została zlokalizowana we wsi Uwac i stłumiona w zarodku. Ostatnią ofiarą epidemii był sam dr Balasz. Zagadkowy sposób zakażenia, krótki przebieg choroby, niespodziewane komplikacje i nagły zgon - to wszystko złożyło się na tę wyjątkową tragedię.

Wobec groźby zawleczenia zarazy musiano pochować młodego lekarza w Uwcu. Pani Bauer z mężem i kilkoma oficerami była na pogrzebie. Kazała na grobie lekarza wznieść pomnik z grubo ciosanego kamienia. A zaraz potem opuściła kasabę i męża. Po mieście krążyła pogłoska, że wyjechała do jakiegoś sanatorium w okolicy Wiednia. Właściwie tak szeptały między sobą dziewczęta, bo starsi ludzie, ledwo minęło niebezpieczeństwo i zniesione zostały wszelkie środki ostrożności, zapomnieli i o lekarzu, i o pułkownikowej. Proste i nieuczone nasze dziewczęta nie wiedziały dokładnie, co oznacza wyraz sanatorium, ale dobrze rozumiały, co to znaczy, gdy dwoje ludzi tak chadza po ścieżkach i górach, jak do niedawna czynili to lekarz i żona pułkownika. Wymawiając ten obcy wyraz w swych poufnych dziewczęcych rozmowach o nieszczęśliwej parze, lubiły wyobrazić sobie to, co nosi nazwę sanatorium, jako jakieś tajemnicze, dalekie i smutne miejsce, gdzie piękne a grzeszne kobiety pokutują za niedozwoloną miłość.

A wyjątkowo bujne i wspaniałe lato rosło i dojrzewało na polach i wzgórzach wokół kasaby. Wieczorem okna kasyna oficerskiego nad rzeką opodal mostu oświetlone są i otwarte na oścież podobnie jak w zeszłym roku, tylko już nie dolatuje z nich łkanie skrzypiec i dźwięki fortepianu. W gronie kilku starszych oficerów rezyduje przy swoim stole pułkownik Bauer, dobroduszny, spocony pod wpływem upału i czerwonego wina.

Na kapii siedzą w ciepłą noc i śpiewają młodzieńcy. Zbliżał się koniec czerwca i jak co roku oczekiwano uczniów i studentów. W taką noc na kapii wydaje się, że czas stoi w miejscu, a życie płynie szumne, nieskończone, bogate i lekkie, tak że nie sposób dojrzeć, jak długo tak będzie trwać i płynąć.

Główne ulice są o tej porze nocy oświetlone, gdyż od wiosny kasaba ma światło elektryczne. Przed rokiem wybudowano nad rzeką, dwa kilometry za miastem, tartak elektryczny, a obok niego fabrykę przeróbki odpadków świerkowych; wydobywa się z nich terpentynę i wyrabia jednocześnie kalafonię. Fabryka zawarła umowę z magistratem, na mocy której jej centrala dostarcza prądu do oświetlania ulic. Tym sposobem zniknęły zielone latarnie z naftowymi lampami, a także długi Ferhat, który je czyścił i zapalał. Główna ulica, biegnąca przez całe miasto od mostu do nowej dzielnicy, oświetlona jest dużymi lampami z białego, mlecznego szkła, a boczne ulice, rozchodzące się od niej w lewo i prawo i serpentyną oplatające Bikawac albo wspinające się na Mejdan i Okolizte - małymi zwykłymi żarówkami. Pośród tych paciorków jednakowych świateł rozciągają się mroczne, nierówne plamy. Są to podwórza albo przestronne sady uczone wzgórz.

W jednym z tych ciemnych sadów siedzi nauczycielka Zorka i Nikola Glasinczanin.

Rozdźwięk, jaki powstał między nimi w zeszłym roku, kiedy to zjawił się w czasie letnich wakacji Stiković, trwał długo, aż do początku nowego roku. Wtedy zaczęły się w Domu Serbskim, jak każdej zimy, przygotowania do obchodu św. Sawy połączonego z zabawą, koncertem i przedstawieniem teatralnym. Brali w nich udział również Zorka i Glasinczanin, a wracając z prób do domu, jeśli znów rozmawiać ze sobą po raz pierwszy od ubiegłego lata. Rozmowy te były z początku lakoniczne, powściągliwe, przekorne. Ale nie przestawali się widywać i gawędzić, gdyż młodzi ludzie wolą miłosne sprzeczki, nawet najzawziętsze i najbardziej beznadziejne, od samotności i nudy bez gry miłosnej i marzeń. Jakoś w czasie tych niekończących się sprzeczek pogodzili się, nawet nie spostrzegłszy kiedy i jak. Teraz już, w ciepłe letnie wieczory spotykają się codziennie. Czasami jeszcze zamajaczy między nimi postać nieobecnego Stikowicia i z nową siłą wybucha cały spór bez rozwiązania, ale nie oddala ich i nie rozdziela, gdyż każde godzenie się jeszcze bardziej ich zbliża.

Siedząc teraz w ciepłym mroku na starym, ściętym pniu orzecha i idąc każde za swoimi myślami, wpatrują się w duże i małe światełka miasta nad monotonię w dole szumiącą rzeką. Glasinczanin, który długo mówił, umilkł na chwilę.

Cały wieczór Zorka milczała, jak tylko kobiety potrafią, kiedy w duszy chcą rozwikłać swoją miłosną rozterkę, która dla nich jest ważniejsza i pilniejsza niż wszystko na świecie.

W zeszłym roku, gdy pojawił się Stiković, myślała, że otwiera się przed nią bezgraniczny raj szczęścia po wsze czasy, w którym całkowite pokrewieństwo uczuć i zgodność pragnień i myśli mają rozkosz pocałunku, a długość ludzkiego wieku. Lecz złudzenie to nie trwało długo. Żeby nie wiedzieć jak bardzo była naiwna i upojona, nie mogła nie spostrzec, że człowiek ten

nagle się zapala, ale tak samo nagle gaśnie, i to według jakichś jemu właściwych prawideł, nie licząc się z nią i bez związku z tym, co ona uważała za większe i ważniejsze od siebie i od niego.

Wyjechał niemal bez pożegnania. Została w okropnej rozterce, która nękała ją jak ukryta rana. List, który otrzymała od niego, był świetnie wystylizowany, istne małe arcydzieło kunsztu pisarskiego, ale wykoncypowany jak orzeczenie adwokata, a jasny i przejrzysty niby puste naczynie szklane. Była w nim mowa i o ich miłości, ale tak, jakby oboje już od stu lat spoczywali w grobie, każdy w swoim, jako sławni nieboszczycy. Na jej serdeczny list, który mu posłała w odpowiedzi, nadeszła karta.

W pracy i troskach, które mnie rozrywają i gnębią, myślę o tobie jak o spokojnej nocy wyszeogradzkiej, pełnej szmeru rzeki i woni niewidocznych traw.

I to wszystko. Na próżno usiłowała sobie przypomnieć, kiedy słyszała ten szmer rzeki i czuła woń niewidocznych traw. To istnieje tylko w jego kartce. W każdym razie ona nie przypomina sobie tego, tak samo jak on zdaje się nie pamiętać, co zaszło między nimi. Ogarniała ją rozpacz na myśl, że się pomyliła i została oszukana, to znów pocieszała się czymś, czego sama nie знаła i co było mniej prawdopodobne niż cud. „Niezrozumiały - myślała sobie - obcy i zimny, egoista, kapryśny i wyrachowany, ale może wszyscy wyjątkowi mężczyźni są tacy?”. W każdym razie przypomina to raczej mękę niż miłość. Po tym, jak cierpiała i łamała się z sobą w głębi duszy, wyczuwała, że cały ciężar miłości, rozbudzonej przez Stikowicia, spoczywa na niej, a on znika gdzieś we mgle i dali, której ona nie śmie nadać właściwej nazwy. Bo kobieta zakochana, nawet wówczas gdy się rozczaruje, uwielbia swą miłość jak nieurodzone a upragnione dziecko. Serce ścisnęło jej się z bólu, ale nie odpowiedziała na tę kartkę. Po dłuższym, dwumiesięcznym milczeniu znów nadeszła kartka. Pisał z jakiegoś wysokiego szczytu w Alpach.

Na wysokości dwóch tysięcy metrów, otoczony wielojęzycznym tłumem różnych narodowości wpatruję się w niezmierzoną dal, myśląc o Tobie i minionym lecie.

Jak na jej wiek i małe doświadczenie - wystarczyło. Gdyby to były słowa: „Nie kochałem cię, nie Kocham ani nigdy nie pokocham”, nie byłyby dla niej bardziej zrozumiałe i bardziej bolesne. Bo ostatecznie chodzi o miłość, a nie o odległe wspomnienia ani o to, z jakiej wysokości nad poziomem morza ktoś pisze, jacy ludzie są dokoła i jakimi językami mówią. A miłości nie ma!

Sierota bez ojca i matki, Zorka wychowała się w domu krewnych. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Sarajewie otrzymała posadę w Wyszegradzie i wróciła do tego domu zamożnych, lecz prostych ludzi, z którymi nic ją nie łączyło.

Zorka przybladła i schudła, zamknęła się w sobie, ale nikomu się nie zwierzała ani też nie odpowiedziała na życzenia świąteczne Stikowicia z okazji Bożego Narodzenia, tak samo krótkie,

oschle, stylistycznie bez zarzutu. Chciała sama przetrwać swoją pomyłkę i wstyd, bez niczyjej pomocy i pociechy, ale słaba, pokonana, młoda, niedoświadczona plątała się coraz bardziej w tej niepojętej gmatwaninie rzeczywistych przeżyć i ogromnych pragnień, swych myśli i jego niezrozumiałych, nieludzkich postępów. Gdyby mogła kogoś zapytać albo się poradzić, niewątpliwie byłoby jej lżej, lecz wstyd nie pozwalał na to. I tak często miała wrażenie, że cała kasaba wie o jej rozczarowaniu i że kiedy przechodzi przez miasto, świdrują ją złośliwe, drwiące spojrzenia. Nigdzie wyjaśnienia, ani u ludzi, ani w książkach. A sama nic nie potrafi sobie wytłumaczyć. Jeżeli jej naprawdę nie kochał, po cóż ta cała komedia namiętych słów i zaklęć w czasie wakacji? Po co ta scena na ławce szkolnej, którą jedynie miłością można usprawiedliwić i obronić, a bez niej nurza się w bagnie nieznośnego poniżenia? Czyżby było możliwe, że są ludzie, którzy tak mało cenią siebie i innych, że z taką łatwością wdają się w tę zabawę?

Co pcha do niej, jeśli nie miłość? Czym wobec tego były jego ogniste spojrzenia, jego gorący, urywany oddech i namiętne pocałunki? Co to jest, jeśli nie miłość? A jednak to nie była miłość! Widzi to lepiej i wyraźniej, niżby chciała. Ale z tym znów nie może szczerze i raz na zawsze się pogodzić. (Czyż kto kiedykolwiek całkiem z tym się pogodził?). Naturalnym zakończeniem owych wszystkich wstrząsów wewnętrznych była myśl o śmierci, która zawsze czyha u kresu naszych snów o szczęściu. Umrzeć, myślała Zorka, rzucić się z kapii do rzeki niby przypadkowo, bez słowa pożegnania, bez wyznań i poniżenia.

Umrzeć! - myślała w ostatniej chwili przed zaśnięciem i w pierwszym odruchu przebudzenia, w trakcie ożywionej rozmowy i pod maską każdego uśmiechu. Wszystko w niej mówi i powtarza wciąż to samo - umrzeć! umrzeć! - ale nie umiera się, lecz żyje z tym nieznośnym pragnieniem w duszy.

Ulga przyszła z najmniej spodziewanej strony. Jakoś w czasie zimowych ferii Bożego Narodzenia jej utajona męka osiągnęła punkt kulminacyjny. Takie myśli i takie pytania bez odpowiedzi gnębią człowieka i trawią bardziej niż choroba.

Wszyscy spostrzegli, że zmizerniała, wszyscy martwili się o nią i radzili, by się leczyła, zarówno krewni, jak i jej kierownik, pogodny człowiek obdarzony liczną rodziną, a także koleżanki.

Szczęśliwy przypadek zrządził, że właśnie wtedy zaczęły się próby i po kilku miesiącach po raz pierwszy zaczęła rozmawiać z Glasinczaninem. Dotąd unikał spotkań i rozmów z nią. Ale przyjemna atmosfera, jaka zwykle panuje w czasie tych naiwnych, lecz z entuzjazmem przygotowywanych teatralnych i muzycznych imprez w małych miasteczkach, następnie jasne, mroźne noce, kiedy wracali do domu, wszystko to sprawiło, że dwoje młodych, skłóconych ludzi

zbliżyło się do siebie. Ją skłoniła do tego wewnętrzna potrzeba ulżenia swej męce, a jego - miłość szczerą i głęboką, łatwo przebaczącą i zapominającą.

Pierwsze słowa były oczywiście chłodne, przekorne, dwuznaczne, pierwsze rozmowy długie, a wyjaśnienia zagmatwane. Ale i to przynosiło ulgę Zorce. Po raz pierwszy mogła teraz rozmawiać z żywym człowiekiem o swojej wewnętrznej, wstydlivej rozterce, nie musząc przyznawać się do najbardziej intymnych i najboleśniejszych szczegółów. Glasinczanin mówił o tym długo, z ożywieniem, ale ostrożnie i serdecznie, oszczędzając jej dumę. O Stikowiciu też nie wyrażał się ostrzej, niż to było konieczne. Wyjaśnienie jego było takie, jakie usłyszeliśmy owej nocy na kapii. Krótkie, pewne i bezwzględne.

Stikowic jest urodzonym egoistą i potworem, człowiekiem, który nie potrafi nikogo kochać i który póki życia, sam trapiiony i niezadowolony, będzie męczył wszystkich, co ulegną jego czarowi i zbliżą się doń. O swojej miłości Glasinczanin nie mówił dużo, ale ona wyczierała z jego każdego słowa, spojrzenia, gestu.

Dziewczyna słuchała go przeważnie w milczeniu. Wszystko jej dogadzało. Po każdej takiej pogawędce czuła, że robi się jej raźniej na duszy i odzyskuje spokój. Po raz pierwszy od tylu miesięcy przeżywała chwile wytchnienia po swej wewnętrznej burzy i po raz pierwszy udało się jej nie patrzeć na siebie jak na istotę niegodną. Bo słowa młodzieńca pełne miłości i szacunku wskazywały, że nie jest bezpowrotnie zgubiona, a jej rozpacz jest tylko złudą, podobnie jak złudą był jej letni sen o miłości.

Odciągały ją od ponurego świata, w którym zaczęła już się zatracać, i przywracały do żywej, ludzkiej rzeczywistości, gdzie na wszystko albo prawie na wszystko znajdzie się lek i ratunek.

Rozmowy te ciągnęły się i po uroczystościach św. Sawy.

Minęła zima, a po niej i wiosna. Widywali się codziennie.

Z czasem dziewczyna się otrząsnęła, odzyskała siły, wyzdrowiała i przeobraziła się szybko i naturalnie, jak tylko młodość potrafi. Nadeszło owo urodzajne, niespokojne lato. Ludzie już się przyzwyczaili uważać Zorkę i Glasinczanina za mającą się ku sobie parę.

Wprawdzie teraz rozwlekłe opowiadania Glasinczanina, których dawniej słuchała uważnie, chłonąc jak lekarstwo, były mniej zajmujące. Chwilami odczuwała jako ciężar tę potrzebę wzajemnego wywnętrzania się i zwierzenia. Z lękiem i szczerym zdumieniem zastanawiała się, skąd ta zażyłość pomiędzy nimi, ale wtedy przypominała sobie, że w zimie „uratował jej duszę”, i opanowując nudę, słuchała go jak solidny dłużnik, w miarę możliwości najuważniej.

W letnią noc położył rękę na jej dłoni. (Był to szczyt jego niewinnej śmiałości). Pod wpływem tego dotknięcia przeniknęło go ciepłe bogactwo tej nocy. W takich chwilach wyraźnie uświadamiał sobie, jaki skarb kryje się w tej kobiecie, a jednocześnie odczuwał, że gorycz i

niedosyt jego wegetacji zamieniają się w siły żywotne, zdolne poprowadzić dwoje ludzi do najodleglejszego celu, jeśli tylko miłość ich złączy i podtrzyma.

Przepojony tymi uczuciami Glasinczanin w mroku nie jest zwykłym Glasinczaninem, drobnym, skromnym urzędnikiem wielkiego przedsiębiorstwa w Wyszegradzie, lecz jakimś innym człowiekiem - pewnym i silnym, który kieruje swym życiem swobodnie i przewidująco. Przed człowiekiem bowiem całkowicie opanowanym przez prawdziwą, wielką, ofiarną miłość, choćby nawet jednostronną, otwierają się perspektywy, ukazują możliwości i drogi, które dla wielu sprytnych, ambitnych i samolubnych ludzi są nieznanne i na zawsze zamknięte.

Mówił do siedzącej obok kobiety:

- Myślę, że się nie mylę. Jeśli nie z innego powodu, to dlatego, że ciebie nie potrafiłbym oszukać. Podczas gdy jedni gadają i bredzą, a inni robią interesy i dorabiają się fortuny, ja wszystko śledzę, obserwuję i coraz wyraźniej dostrzegam, że tu nie ma życia. Jeszcze długo tu nie będzie spokoju, ładu ani pożytecznej pracy. Ani Stikowiciowie, ani Heracy ich nie stworzą. Przeciwnie, będzie coraz gorzej. Trzeba stąd uciekać, jak z walącego się domu. Ci liczni i skonsternowani zbawcy, którzy wyrastają na każdym kroku, są najlepszym symptomem, że wychodzimy katastrofie na spotkanie. Skoro nie można pomóc, trzeba się przynajmniej ratować.

Dziewczyna milczała.

- Nigdy nie mówiłem ci o tym, ale często zastanawiałem się i coś niecoś działałem. Wiesz, że mój kolega z Okolizta Bogdan Dziurawić już trzy lata przebywa w Ameryce. Od zeszłego roku koresponduję z nim. Pokazywałem ci także jego zdjęcie. Zaprasza mnie i obiecuje pewną pracę i niezłe zarobki. Wiem, że niełatwa to rzecz ani prosta, ale myślę, że nie jest niemożliwa.

Przemyślałem wszystko i wszystko obliczyłem. Sprzedałbym ojcowiznę. Gdybyś ty się zgodziła, musielibyśmy jak najprędzej pobrać się i nic nikomu nie mówiąc, wyjechać do Zagrzebia. Tam znajduje się Kompania, która załatwia wyjazd emigrantów do Ameryki. Zaczekalibyśmy miesiąc - dwa na affidavit⁵⁵ od Bogdana. A tymczasem uczylibyśmy się angielskiego. Gdyby się nie udało tutaj, ze względu na mój obowiązek służby wojskowej, wtedy przedostalibyśmy się do Serbii i stamtąd wyjechali.

Zrobiłbym wszystko, żeby ci było jak najlepiej. A w Ameryce oboje pracowalibyśmy. Są tam nasze szkoły, potrzebujące nauczycielek. Ja też znalazłbym pracę, gdyż tam wszystkie zawody są dostępne i stoją otworem przed każdym. Bylibyśmy wolni i szczęśliwi. Wszystko bym zrobił, gdybyś tylko ty zechciała... gdybyś się zgodziła.

⁵⁵ Zaprzysiężone poręczenie pisemne (ang.).

Tu młodzieniec urwał. Zamiast odpowiedzi położyła obie dłonie na jego rękach. Wyczuł w tym geście wyraz wielkiej wdzięczności. Ale nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Dziękowała mu za tyle troskliwości i starań, za bezgraniczną dobroć i w imię tej dobroci prosiła o miesiąc do namysłu, zanim da ostateczną odpowiedź: do końca roku szkolnego.

- Dziękuję ci, Nikola! Dziękuję! Jesteś dobry - szeptała, ściskając jego ręce.

Z dołu z kapii dolatywały do nich pieśni uczniowskie. To chłopcy wyszegradzcy, a może uczniowie sarajewscy. Za kilkanaście dni zjadą także studenci. Przedtem nie potrafiłaby zdobyć się na żadną decyzję. Boli ją wszystko, a najbardziej dobroć tego młodzieńca, ale w tej chwili nie mogłaby powiedzieć: tak, choćby ją mieli krajać na kawałki. Niczego się nie spodziewa, ale jeszcze raz musi zobaczyć „człowieka, który nie potrafi nikogo kochać”. Jeszcze raz, a potem niech będzie, co chce.

Nikola zaczeka, to pewne.

Wstali i trzymając się za ręce, jeśli z wolna zstępować stromą ścieżką w dół w stronę mostu, na spotkanie pieśni.

XXII

Widowdan⁵⁶ serbskie towarzystwa urządziły dorocznym zwyczajem wycieczkę na Mezalin. Tutaj u zbiegu obu rzek - Driny i Rzawu - na zielonym wyniosłym brzegu w cieniu rozłożystych orzechów ustawiono budy z napojami i obracającymi się przed nimi na roznach jagniętami. Pod drzewami rozsiadły się rodziny, które wybrały się na Mezalin z własnymi zapasami. W altance osłoniętej świeżą zielenią grała huczna muzyka. Na ubitym placu już od rana tańczą kolo. Puścili się w tany tylko najmłodszy i ludzie mniej zajęci, którzy zaraz po nabożeństwie prosto z cerkwi ruszyli na Mezalin. Właściwa ogólna zabawa rozpocznie się dopiero po południu. Ale kolo jest już roztańczone, ładniejsze i żywsze, niż będzie później, kiedy zrobi się tłoczno, gdy puszcza się w tany i męzatki, i szukający rozrywek wdowcy, i małe dzieci, gdy wszystko zamieni się w wesoły i długi, ale nie spleciony i nieskładny korowód. To niewielkie roztańczone kolo, w którym przeważają młodzieńcy nad dziewczętami, drga i leci niby sznur koralu. Wszystko dokoła jest w ruchu, wszystko faluje: powietrze w rytm muzyki, rozłożyste korony drzew, białe letnie obłoczki, wartka woda obu rzek. Ziemia umyka spod stóp i kręci się wokół nich, a oni starają się jeno ruchami ciał dostosować do tego ogólnego falowania. Młodzieńcy z daleka już biegną, żeby przyłączyć się do koła, a dziewczęta, opanowawszy się, stoją jakiś czas, przyglądając się tańcom,

⁵⁶ Widowdan - 28 czerwca; Serbowie obchodzą ten dzień w rocznicę porażki na Kosowym Polu (1389 r.) (w wyniku której Serbia utraciła niepodległość i na pięć wieków dostała się pod panowanie tureckie).

jakby licząc takty i czekając na wewnętrzny tajemny znak, aby nagle rzucić się w wir tańca, na z lekka ugiętych nogach i ze spuszczoneymi głowami, jakby skakały spragnione do zimnej wody. Potężny prąd przenikał z ciepłej ziemi do ich płasających nóg i przebiegał poprzez łańcuch rozgrzanych rąk; na tym łańcuchu trzęsło się koło niby jedna istota ożywiona tą samą krwią, niesiona tym samym rytmem. Młodzieńcy tańczyli z odrzuconymi do tyłu głowami, bladzi, o rozdętych nozdrzach, a dziewczęta z wypiekami na twarzach, ze wstydliwie spuszczoneymi oczyma w obawie, żeby spojrzeniem się nie zdradzić, jaką rozkoszą napawa je taniec.

W chwili gdy zabawa dopiero się zaczynała, na skraju mezalińskiej równiny pojawili się żandarmi, czerniejący sukmem mundurów i połyskujący bronią w blasku słońca. Było ich więcej, niż zwykle bywa w jednym patrolu podczas obchodu jarmarków i zabaw ludowych. Szli prosto ku altance z kapelą.

Kolejno milkły niezgodne tony instrumentów. Koło zakołysało się i stanęło. Rozległy się protesty młodzieży. Wszyscy trzymali się jeszcze za ręce. Niektórzy byli tak rozbawieni i pełni rytmu, że płasali w miejscu, czekając, aż muzyka znów się odezwie.

Muzykanci tymczasem nagle wstali i jęli chować swoje trąby i skrzypki do futerałów. A żandarmi szli dalej do bud i rozłożonych na trawie rodzin. Wszędzie sierżant wymawiał swoje ciche, lecz groźne słowa i jakby jakimś zaklęciem gasił radość, wstrzymywał taniec, ucinał rozmowę. Do kogokolwiek podeszli, każdy opuszczał swoje dotychczasowe miejsce, rzucał wszystko i starał się jak najprędzej pozbierać manatki i wynieść się stąd. Ostatnie rozproszyło się koło młodzieńców i dziewcząt. Nie mieli ochoty zaprzestać tańców na łonie natury, w żaden sposób nie mieściło im się w głowach, że z zabawy i wesela naprawdę nic już nie będzie. Ale na widok pobladłej twarzy i przekrwionych oczu żandarma ulegli nawet najwytrwalsi.

Rozczarowani i wciąż jeszcze nic nierozumiejący wracali ludzie z Mezalina białym, szerokim gościńcem, a im bardziej zbliżali się do miasta, tym częściej spotykali się z nieokreślonym, trwożnym szeptem o zamachu, którego dzisiaj rano dokonano w Sarajewie, o zabójstwie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony, o rychłych prześladowaniach Serbów. Przed Konakiem natknęli się na pierwszych aresztowanych, wśród których był młody pop Milan; żandarmi prowadzili ich do więzienia.

Tak więc drugą część owego letniego dnia, który miał zejść na świętowanie i weselu, przepoiła konsternacja, smutek albo bojaźliwe wyczekiwanie.

Na kapii, miast świątecznego nastroju i gwaru wypoczywających ludzi, panuje martwa cisza. Tu już wystawiono wartę.

Żołnierz w nowiułkim ekwipunku przechadza się wolnym krokiem tam i z powrotem od sofy do tego miejsca, gdzie żelazna pokrywa zasłania wejście do zaminowanego filaru, a za każdym razem, gdy się odwraca, niby sygnał błyska w słońcu jego bagnet.

Nazajutrz pojawiło się na murze pod tablicą z tureckim napisem białe, urzędowe ogłoszenie w czarnej obwódce, drukowane dużymi literami. Podawało do wiadomości o zamachu dokonanym w Sarajewie na osobę następcy tronu i wyrażało oburzenie z powodu tej zbrodni. Ale nikt nie zatrzymuje się i nie czyta, lecz wszyscy co tchu przechodzą ze spuszczoneymi głowami mimo obwieszczenia i warty.

Od tego dnia straż została na moście. W jednej chwili całe życie kasaby zostało przerwane i sparaliżowane, jak kolo na Mezalinie i cały ów czerwcowy letni dzień, który miał być odświętny i wesoły.

Teraz upływały dziwne dni w niemym, pełnym napięcia czytaniu gazet, w szeptach, przekorze i lęku, w aresztowaniach Serbów i podejrzanych podróżnych, w umacnianiu na gwałt pogranicza. Mijały letnie wieczory, ale bez pieśni, bez młodzieńców przesiadujących na kapii, bez szeptów zakochanych par w ciemności. W mieście widuje się przeważnie żołnierzy.

A gdy o dziewiątej wieczorem trębacze w barakach na Bikawcu i w dużych koszarach przy moście odegrają smętną melodię austriackiego capstrzyku, ulice wyludniają się prawie doszczętnie. Złe czasy nastały dla zakochanych, pragnących spotkać się i porozmawiać z dala od oczu ludzkich. Co dzień o zmierzchu Glasinczanin zjawiał się pod oknami Zorki. Siedziała w otwartym oknie wysokiego parteru. Zamienia tylko kilka słów, bo on spieszy, aby przed zmrokiem przejść przez most i wrócić do Okoliszta.

Zjawił się też dzisiejszego wieczoru. Błady, z kapeluszem w rękę, poprosił dziewczynę, żeby wyszła, bo ma jej coś ważnego do powiedzenia na osobności. Ociągając się, zeszła na dół. Stojąc w furtce, była tego samego wzrostu, co młodzieniec, który mówił wzruszonym, ledwo dosłyszalnym szepem.

- Postanowiliśmy uciekać. Dziś wieczór. Wlodo Marić z jeszcze dwoma. Myślę, że wszystko jest zapewnione i uda nam się przedostać. Ale gdyby się to nie... gdyby coś się stało. Zorka!

Szept zamarł. W jej rozszerzonych źrenicach wyczytał strach i zmieszanie. Sam był zmieszany, jakby żałował, że w ogóle jej mówił i przyszedł się pożegnać.

- Myślałem, że lepiej ci powiedzieć.

- Dziękuję! A więc nic z naszej... nic z naszej Ameryki!

- O nie! Nie „nic”. Gdybyś się zgodziła, kiedy ci to miesiąc temu proponowałem, może teraz bylibyśmy już daleko stąd. Chociaż może lepiej, że się tak stało. Widzisz teraz, co się dzieje. Ja muszę z kolegami. Wojna za pasem, a miejsce nas wszystkich jest w Serbii. Trzeba, Zorka, trzeba,

taki już obowiązek. A jeżeli cało z tego wyjdę, jeżeli uzyskamy wolność, może wcale nie trzeba będzie jeździć za ocean, bo może tutaj będziemy mieć swoją własną Amerykę, kraj, w którym dużo i uczciwie będzie się pracować, a także dobrze i swobodnie żyć. Znajdzie się tu i dla nas dwojga miejsce do życia, jeśli ty zechcesz. Tylko od ciebie będzie zależało. Ja będę... myślał o tobie, a ty... czasami...

Tu młodzieniec, któremu zabrakło słów, podniósł nagle rękę i szybkim ruchem przesunął po jej bujnych kasztanowatych włosach. Z dawna było to jego największym pragnieniem, które teraz wolno mu, jak skazańcowi, urzeczywistnić. Dziewczyna cofnęła się przestraszona, a on pozostał z ręką zawieszoną w powietrzu. Furtka zamknęła się bezszelestnie i już w następnej chwili Zorka pojawiła się w oknie, blada, z szeroko otwartymi oczami, kurczowo splatając palce. Glasinczanin przeszedł tuż pod oknem, podniósł głowę, pokazując uśmiechniętą beztrosko, prawie ładną twarz. Jakby w obawie przed dalszym rozwojem wydarzeń, dziewczyna zaszyła się w głąb ciemnego pokoju. Usiadła na sofie, zwiesiła głowę i zalała się łzami.

Najpierw łkała z cicha, a potem płakała coraz głośniejszymi wzdychami, pod każdym względem ciężkiej i bez wyjścia. Im bardziej zanosiła się płaczem, tym więcej znajdowała powodów do łez i wszystko dokoła wyglądało coraz bardziej beznadziejnie. Nigdy nie będzie wyjścia ani rozwiązania: nigdy szczerze, tak jak on na to zasługuje, nie pokocha tego dobrego, porządnego Nikoli, który odchodzi; nigdy nie doczeka się, by ten drugi, który nie jest w stanie nikogo kochać, pokochał właśnie ją; nigdy już nie wrócą piękne, pogodne dni, jakie jeszcze zeszłego roku wstawały nad kasabą; nigdy już nikt z nas nie zdoła wyrwać się z tego kręgu szarych gór ani nie ujrzy Ameryki, ani też nie stworzy tu kraju, w którym - jak powiadają - dużo się pracuje, ale dobrze i swobodnie żyje. Nigdy!

Nazajutrz gruchnęła wieść, że Włodo Marić i Glasinczanin wraz z kilkoma jeszcze młodzieńcami uciekli do Serbii.

Reszta Serbów z rodzinami i mieniem została w tej kipiącej kotlinie jak w pułapce. Z każdym dniem gęstniała nad kasabą niebezpieczna, groźna atmosfera. Aż któregoś z ostatnich dni lipca zerwała się tuż nad granicą burza, która z czasem ogarnęła cały świat i zaciążyła nad losami tylu krajów i miast, jak też i mostu na Drinie.

Dopiero teraz rozpoczęła się w kasabie istna nagonka na Serbów i wszystko, co było z nimi związane. Ludzie podzielili się na ściganych i ścigających. Wyzwolił się drzemający w człowieku dziki zwierz, który nie śmie się pokazać, póki nie runą bariery dobrych obyczajów i praw. Znak został dany, bariery runęły.

Podobnie w dziejach ludzkości często się zdarza, że prawo pozwala na gwałty, rabunek i grabież, a nawet na mord, pod warunkiem, aby dopuszczano się tego wszystkiego w imię

wyższych celów, pod ustalonymi hasłami, nad ograniczoną liczbą ludzi określonego stopnia zamożności i przekonań. Ówczesnie żyjący człowiek o czystym sumieniu i otwartych oczach mógł być świadkiem, jak niby cudem całe społeczeństwo przeobraża się w ciągu jednego dnia. W kilka chwil zmieciona została opierająca się na odwiecznych tradycjach czarszija, którą zawsze nurtowała utajona zawiść, zazdrość i fanatyzm religijny, ale i godność, wspaniałomyślność, poczucie ładu i porządku, uczucia, co wszystkie złe instynkty i przywary utrzymywały w znośnych ryzach i ostatecznie łagodziły i podporządkowywały ogólnym interesom wspólnego bytowania. Ludzie, od czterdziestu lat rej wodzący w czarszii, zniknęli w ciągu nocy, jakby nagle wymarli wraz ze wszystkimi swymi nałogami, zapatrywaniem i instytucjami, których byli uosobieniem.

Od razu na drugi dzień po wypowiedzeniu wojny Serbii, jął krążyć po mieście oddział szuckoru. Oddział ten, uzbrojony naprędce, mający pomagać władzom w prześladowaniu Serbów, składał się z Cyganów, pijaków i najrozmaitszych nierobów, przeważnie ludzi, którzy od dawna mieli na pieńku z porządnym społeczeństwem i popadli w konflikt z prawem. Pewien Cygan, przezwiskiem Huso Kokoszkarcz, człek bez czci i określonego zawodu, któremu wstydliva choroba we wczesnej młodości wyżarła nos, stał na czele kilkunastu hołszy uzbrojonych w przestarzałe strzelby marki Werndl z długimi bagnetami i trząśł czarszija.

Wobec tej groźby gospodarz Pawle Rankowić, jako przewodniczący serbskiej gminy cerkiewno-szkolnej, wybrał się wraz z czterema radnymi do starosty Sabljaka. Był to otyły, blade mężczyzna, łysy jak kolano, rodem z Chorwacji, od niedawna na nowym stanowisku w Wyszegradzie. Teraz był zirytowany i niewyspany; powieki miał zaczerwienione, a wargi bezkrwiste i suche. Nosił buty z cholewami, w klapę zielonej myśliwskiej kurtki zatknął jakąś dwubarwną czarno-żółtą odznakę. Przyjął ich stojąc i nawet nie poprosił, by usiedli.

Gospodarz Pawle, blade jak wosk, o oczach tworzących dwie czarne skośne szparki, przemówił głuchym, nieswoim głosem:

- Panie starosto, widzi pan, co się dzieje i na co się zanoszą, a także wiadomo panu, że my, obywatele wyszegradzcy, Serbowie, ani trochę nie byliśmy zwolennikami...

- Ja o niczym nie wiem - przerwał mu niecierpliwie starosta - i o niczym nie chcę wiedzieć. Teraz mam inne, ważniejsze sprawy na głowie niż wysłuchiwanie pańskich przemówień. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Panie starosto - podjął znów gospodarz Pawle spokojnie, jakby swój spokój chciał przenieść na tego złego, zdenerwowanego człowieka - przyszliśmy ofiarować panu swoje usługi i zapewnić...

- Nie potrzebuję waszych usług i nie macie potrzeby mnie zapewniać. W Sarajewie pokazaliście, co potraficie.

- Panie starosto - nalegał gospodarz Pawle tym samym tonem, coraz natarczywiej - chcielibyśmy, aby w granicach prawa...

- Tak, teraz przypomnieliście sobie o prawie! Na jakie prawa śmiecie się powoływać?

- Państwowe, panie starosto, obowiązujące wszystkich.

Starosta nagle spoważniał i jakby nieco się uspokoił. Gospodarz Pawle natychmiast skorzystał z chwilowego opanowania się tego zdenerwowanego człowieka.

- Panie starosto, pozwalamy sobie zapytać pana, czy możemy być pewni, my i nasze rodziny, życia i mienia, a jeśli nie, co nam czynić wypada?

Wtedy starosta rozłożył ręce, dłońmi zwróconymi w stronę gospodarza Pawle, wzruszył ramionami, przymknął oczy i kurczowo zacisnął blade, cienkie wargi.

Pawle Ranković dobrze znał ten charakterystyczny wyraz, bezwzględny, ślepo-głuchoniemy, który przedstawiciele władz państwowych często przybierają w ważnych chwilach, i pojął od razu, że dalsza rozmowa jest bezcelowa. A starosta, opuściwszy ramiona, otworzył oczy, podniósł głowę i rzekł nieco łagodniej:

- Władze wojskowe zarządzają, co kto ma robić.

Z kolei gospodarz Pawle rozłożył ręce, przymknął oczy, wzruszył ramionami i powiedział głębokim, zmienionym głosem:

- Dziękuję panu, panie starosto!

Czterech radnych skłoniło się sztywno i niezgrabnie. Wyszli jak skazańcy.

Czarszija pełna była niepokoju i cichych szeptów.

W sklepie Alihodży siedzi kilku wybitnych miejscowych Turków: Nailbej Turković, Osmanaga Szabanović, Suljaga Mezildzić. Błdzi i zatroskani, z zasepionymi, poważnymi minami, jakie zwykli przybierać ludzie mający wiele do stracenia znalazłszy się w obliczu niespodziewanych wydarzeń i wielkich przemian. Ich również wezwały władze, by stanęli na czele szuckoru. Teraz niby to przypadkowo spotkali się tutaj, żeby porozumieć się, co robić. Jedni są za podporządkowaniem się rozkazowi, inni za powściągliwością. Alihodża, poruszony, z wypiekami na twarzy i dawnym ogniem w oczach, stanowczo odrzuca wszelką myśl o jakimkolwiek udziale w szuckorze.

Szczególnie uwziął się na Nailbeja, który opowiada się za tym, aby przyjęli broń i jako ludzie poważni stanęli zamiast Cyganów na czele muzułmańskich oddziałów ochotniczych.

- Póki żyję, nie będę się mieszał do takich rzeczy. A gdybyś i ty miał rozum, też nie rwałbyś się do tego. Czyż nie widzisz, że Wlahy biją się między sobą, a w końcu wszystko skrupi się na nas?

I z tą samą elokwencją, z jaką niegdyś zwalczał na kapii Osman efendiego Karamanliję, dowodzi, że dla Turków nie ma nic dobrego ani po jednej, ani po drugiej stronie, a każde wtrącanie się może tylko przynieść im szkody.

- Od dawna już nikt nas o nic nie pyta i z nami się nie liczy.

Wkroczyli Szwaby do Bośni, a ni sułtan, ni cesarz nie pytali nas: czy można, bejowie i panowie tureccy? Podniosła głowę Serbia i Czarnogóra, wczorajsza raja, i zagarnęły połowę Imperium Otomańskiego, a na nas nikt nawet nie spojrzał.

Teraz napadł cesarz na Serbię, a nas znów nikt o nic nie pyta, tylko wciskają nam w garść jakieś strzelby i pludry, żebyśmy byli naganiaczami i napędzali Szwabom Serbów, żeby sami nie musieli świecić tyłkiem po Szarganie. Jakże to, człowiecze! Nie przychodzi ci do głowy, że jeżeli przez tyle lat w tak ważnych sprawach nic sobie z nas nie robiono, to skąd nagle tyle łaski, co bokiem wyłazi? Powiadam ci, to są poważne rzeczy i najlepiej wyjdzie ten, kto nie będzie się mieszał więcej, niż musi. Tutaj na granicy zaczęło wszystko trzeszczeć, ale kto wie, jak się to skończy. Ktoś musi stać za Serbią. Inaczej nie może być. Tylko że u siebie w Nezuke góry masz przed oknem, nie dziw więc, że dalej swego nosa nie widzisz. Lepiej daj spokój temu, coś zaczął; ani nie wstępuj do szuckoru, ani nie namawiaj innych.

Lepiej ci dość tych kilkunastu dzierżawców, póki ci jeszcze zostali i coś niecoś płacą.

Wszyscy milczeli, poważni, zastygli w bezruchu. Milczy także Nailbej, najwyraźniej dotknięty, chociaż to ukrywa, i blade jak trup rozgryza jakąś decyzję. Prócz Nailbeja, Alihodża zachwiał i ostudził wszystkich. Pałą i bez słowa przyglądają się sunącemu po moście nieprzerwanemu łańcuchowi furgonów i jucznych koni. Potem kolejno wstają i żegnają się. Ostatni podniósł się Nailbej. Na jego ponure słowa pożegnania Alihodża raz jeszcze zajrzał mu w oczy i rzekł prawie ze smutkiem:

- Widzę, że się zdecydowałeś. Tobie też pilno do grobu!

Boisz się, żeby Cyganie cię nie wyprzedzili. Ale zapamiętaj, co starzy ludzie dawno już powiedzieli: „Nie czas ginąć, ale pora przekonać się, z kim ma się do czynienia”. Takie właśnie czasy nastają.

Rynek, dzielący sklep Alihodży od mostu, zatarasowany jest wozami, końmi, żołnierzami wszystkich rodzajów broni, zgłaszającymi się rezerwistami. Od czasu do czasu żandarmi przeprowadzają grupę zakutych w kajdany chłopów lub mieszczan-Serbów. W powietrzu pełno kurzu. Wszyscy mówią głośniej i poruszają się szybciej, niż wymagają tego ich słowa i czyny.

Twarze są spocone i zaczerwienione, rozlegają się przekleństwa we wszystkich językach. Oczy lśnią od alkoholu, z niewyspania i przykrego niepokoju, jaki zawsze ludzi ogarnia w obliczu niebezpieczeństwa i krwawych wydarzeń.

Pośrodku rynku na wprost mostu węgierscy rezerwiści w nowych mundurach ociosują jakieś bierwiona. Pośpiesznie stukają młoty i tnie piła. Po rynku niesie się szept: budują szubienicę. Dokoła gromadzą się dzieci. Alihodża przygląda się ze swego kramu; ustawili najpierw dwie belki, a potem wdrapał się jakiś wąsal i połączył je u góry trzecią - poprzeczną. Gapie cisną się, jakby chałwę rozdawano, i ciasnym kołem otaczają szubienicę. Najwięcej jest tu żołnierzy, ale zmieszali się z wiejską biedotą turecką i miejscowymi Cyganami. W pewnej chwili rozstąpili się i skądś przytaszczono stół i dwa stołki dla oficera i jego pisarza, a potem szuckorzy przyprowadzili najpierw dwóch chłopów, później zaś jakiegoś mieszczanina. Chłopi są dzierżawcami z pogranicznych wsi Pozdierzica i Kamenicy, a mieszczanin to niejaki Wajo, Liczanin, który od dawna osiadł w kasabie jako przedsiębiorca i tu się ożenił. Wszyscy trzej skrępowani, przerażeni i zakurzeni. Dobosz jął mocno walić w bęben. W powszechnej wrzawie i zamieszaniu warczenie bębna rozlegało się jak odległy grzmot. Cisza zaległa pod szubienicą.

Oficer, porucznik rezerwy, Węgier, odczytywał ostrym głosem po niemiecku wyroki sądu doraźnego, które następnie tłumaczył jakiś sierżant. Wszyscy trzej zostali skazani na karę śmierci, gdyż naoczni świadkowie zeznali pod przysięgą, że w nocy wysyłali sygnały świetlne w stronę granicy serbskiej. Egzekucja miała być wykonana publicznie na rynku przy moście. Chłopi milczeli, mrugając oczami jakby niepewnie. Wajo Liczanin ocierał pot z twarzy, drżącym żalonym głosem zapewniał o swojej niewinności i wielkimi, jakby oszalałymi oczami szukał dokoła siebie, komu mógłby jeszcze to powiedzieć.

Zabierano się już do wykonania wyroku, gdy poprzez ciżbę jął przeciskać się jakiś żołnierz, ryży, niski, o iksowatych nogach. Był to Gustaw, dawny zahlkelner w hotelu Lotiki, a obecnie właściciel knajpy w dolnej czarszii. Był w nowym mundurze z naszywkami kaprała, czerwony jak rak, o przekrwionych bardziej niż zwykle oczach. Wszczęło się zamieszanie. Sierżant usiłował go oddalić, ale wojowniczy restaurator nie ustępował.

- Od piętnastu lat pełnię tutaj służbę informacyjną, jestem zaufanym najwyższych władz wojskowych - wykrzykiwał po niemiecku, zapijaczonym głosem - mnie jeszcze dwa lata temu obiecano w Wiedniu, że jak przyjdzie czas, będę mógł własnoręcznie powiesić dwóch Serbów. Wy nie wiecie, z kim macie do czynienia. Ja mam prawo do tego. A wy teraz mnie...

W tłumie rozległy się głosy i szepty. Sierżant stał skonsternowany. Gustaw był coraz bardziej natarczywy, żądając za wszelką cenę wydania mu dwóch skazańców, aby mógł ich osobiście powiesić. Wtedy wstał ów oficer, chudy, posępny mężczyzna o pańskim wyglądzie,

zrozpaczony, jakby to on sam był skazany, bez kropli krwi w twarzy. Mimo że wstawiony, Gustaw wyprężył się na bacność, ale jego cienkie rude wąsiki drżały i toczył błędnie oczami. Oficer podszedł całkiem blisko, zajrzał w tę czerwoną gębę, jakby chciał w nią splunąć.

- Jeśli w tej chwili nie wyniesiesz się stąd, każę cię zakuć w kajdany i zamknąć! Jutro stawisz się do raportu. Zrozumiano? A teraz w tył zwrot! Marsz!

Porucznik mówił po niemiecku z akcentem węgierskim i zupełnie cicho, ale tak stanowczo i z takim oburzeniem, że pijany restaurator nagle skurczył się i przepadł w tłumie, wciąż salutując i bąkając niezrozumiałe słowa przeprosin.

Dopiero teraz ogólna uwaga zwróciła się na skazańców.

Dwaj chłopci zachowywali się identycznie. Mrugali oczami i krzywili się na gorąc i zaduch bijący z cizby, jakby to było wszystko, co im dokucza. A Wajo słabym, płaczącym głosem zapewniał o swej niewinności, że to jego konkurent zawziął się na niego, a on sam nigdy w wojsku nie służył ani też nigdy w życiu nie słyszał, żeby za pomocą światła można było sygnalizować. Umiał piąte przez dziesiąte po niemiecku i rozpaczliwie bąkał słowo po słowie, usiłując znaleźć przekonujący argument, którym by zdołał zatamować ów szalony prąd, co niesie go od wczoraj i grozi, że mimo niewinności zmiecie z powierzchni ziemi.

- Herr Leutnant! Herr Leutnant, um Gottes willen... Ich, unschuldiger Mensch... viele Kinder... Unschuldig! Itige! Alles Liige!⁵⁷ - dobierał słów Wajo, jakby szukając najwłaściwszego, zbawczego wyrazu.

Żołnierze podeszli już do pierwszego chłopca. Ten zdjął czapę baranią, zwrócił się w stronę Mejdanu, gdzie stała cerkiew, i przeżegnał się dwa razy. Oficer spojrzeniem nakazał, żeby najpierw skończyli z Wajem. Odchodzący od zmysłów Liczanin, widząc, że na niego kolej, wznosił ręce do nieba, począł zaklinać i krzyczeć:

- Nein! Nein! Nicht, um Gottes willen! Herr Leutnant, Sie wissen... alles ist Liige... Gott... alles Liige!⁵⁸ - darł się Wajo, lecz żołnierze już schwycili go za nogi, objęli wespół i postawili na stołku pod stryczkiem.

Z zamartym tchem ludzie przyglądali się temu, niby jakiejś zabawie nieszczęsnego przedsiębiorcy z porucznikiem, drżąc z ciekawości, kto zwycięży, a kto przegra.

⁵⁷ Panie podporuczniku! Panie podporuczniku, na miłość Boską... Ja, niewinny człowiek... dużo dzieci... Niewinny! Kłamstwo! Wszystko kłamstwo! (niem.).

⁵⁸ Nie! Nie! Nie, na miłość Boską! Panie podporuczniku, pan wie... Wszystko jest kłamstwem... Boże... Wszystko kłamstwo! (mem.).

Alihodża, który dotąd wsłuchiwał się w niezrozumiałe głosy i nawet się nie domyślał, co się dzieje w kole stłoczonej gawiedzi, ujrzał nagle wykrzywioną niesamowicie twarz Waja ponad głowami wszystkich; zerwał się natychmiast i jął zamykać sklep, chociaż było wyraźne rozporządzenie władz wojskowych o obowiązku otwierania wszystkich sklepów.

Ściągały do kasaby coraz nowe oddziały wojska, a wraz z nimi amunicja, prowiant, sprzęt, i to nie tylko koleją, która była przeciążona, lecz także starym gościńcem na Rogatkę.

Dniem i nocą przeciągały przez most wozy i konie; pierwszym widokiem u wejścia do miasta byli trzej wisielcy na rynku.

Ponieważ czoło kolumny zwykle utykało w przepelnionych ulicach, każda kolumna musiała odczekać na moście albo na rynku pod szubienicą, póki nie rozładował się korek. Pokryci kurzem, zaczerwienieni, ochrypli od krzyku i wściekłości sierżanci na koniach przejeżdżali pomiędzy furgonami i objuczonymi końmi, dawali rozpaczliwe znaki rękami, klęli na czym świat stoi we wszystkich językach monarchii Austro-Węgierskiej, mieszając z błotem wszystkie świętości oficjalnych wyznań.

Czwartego czy piątego dnia o świcie, kiedy most znów był zawalony wolno przepływającymi przez ciasną ulicę czarszii taborami, rozległ się ostry, niezwykle świst nad kasabą i tuż przed kapiją uderzył granat w kamienną poręcz. Odłamki żelaza i kamienie posypały się na konie i ludzi, powstał zamęt, konie jęły stawać dęba i wszyscy rzucili się do ucieczki. Jedni biegli przed siebie do czarszii, inni zawracali, skąd przybyli.

Spadły jeszcze kolejno trzy granaty, dwa w wodę, a jeden znów na most w cizbę ludzi i koni. W mgnieniu oka most był jakby wymieciony; na pustej przestrzeni widniały ciemne plamy przewróconych furmanek, zabitych koni i ludzi. Z Butkowych Turni odezwała się austriacka artyleria polowa i jęła szukać serbskiej baterii górskiej, która poczęła zasypywać szrapnelami rozpierzchłe tabory po obu stronach mostu.

Odtąd owa bateria górska z Panosu ostrzeliwała stale most i koszary obok niego. Po kilku dniach pewnego ranka znów rozległ się huk gdzieś we wschodniej stronie od Golesza.

Grzmot armat był bardziej odległy i głębszy, a granaty dudniły nad kasabą. Były to haubice; tylko dwie. Pierwsze granaty wpadły do Driny, potem na plac przed mostem, gdzie uszkodziły okoliczne domy, hotel Lotiki i kasyno oficerskie, a potem regularnie biły tylko w most i koszary. Już po godzinie koszary stały w ogniu. Żołnierzy, usiłujących gasić pożar, ostrzeliwała góraska bateria z Panosu. W końcu zostawili koszary własnemu losowi. W upalny dzień paliło się wszystko, co było z drewna, a w zgliszcza wpadały od czasu do czasu pociski, niszcząc wnętrza budynków. Tym sposobem po raz drugi został zburzony Kamienny Zajazd i znowu obrócony w stos kamieni.

Dwie haubice z Golesza ostrzeliwały bez przerwy, regularnie most i to zwłaszcza środkowy filar. Granaty wpadały do rzeki po obu stronach mostu, to rozrywały się na masywnych, kamiennych filarach, to znów rozpryskiwały się na samym moście, ale ani jeden nie trafił w żelazną pokrywę, zamykającą otwór wiodący w głąb środkowego filaru, wypełnionego dynamitem.

W ciągu tego dziesięciodniowego bombardowania most w istocie niewiele ucierpiał. Granaty bębniły po gładkich filarach i łukowatych sklepieniach, odskakiwały od nich i rozrywały się w powietrzu, nie zostawiając na kamiennym murze innych śladów, prócz lekkich, białych, ledwo dostrzegalnych zadraśnień.

A odłamki szrapneli odbijały się od gładkich, twardych murów niby grad. Jedyne pociski trafiające w jezdnię na moście tworzyły w ubitym żwirze płytkie dziury i szpary, ale nie sposób było to dostrzec, póki się nie stanęło na moście. Tak to w tej nowej nawałnicy, która przeszła nad kasabą, wrywając z korzeniami i obalając prastare nawyki, żywych ludzi i martwe rzeczy, most stał niezmiennie biały, trwały i nietknięty jak za dawnych lat.

XXIII

Z powodu ustawicznego bombardowania wstrzymano w ciągu dnia wszelki większy ruch na moście; cywile przechodzą bezpiecznie, żołnierzom też udaje się przebiec w pojedynkę, ale jak tylko pojawi się większa grupa, ostrzeliwują ich z Panosu. Po kilku dniach utarł się pewien zwyczaj. Ludzie spostrzegli, kiedy strzelanina bywa żywsza, kiedy słabsza, a kiedy zupełnie zamiera i stosownie do tego poruszali się i załatwiali najpilniejsze interesy, o ile nie przeszkadzały im patrole austriackie.

Górska bateria na Panosie strzela tylko w dzień, ale haubice zza Golesza odzywają się także w nocy, usiłując uniemożliwić translokację wojsk i taborów z jednej strony mostu na drugą.

Mieszczanie posiadający domy w centrum miasta, w pobliżu mostu i szosy, uciekając przed bombardowaniem, przenieśli się z rodzinami do krewnych i znajomych na Mejdán lub do innych dalszych, osłoniętych dzielnic. Te wędrówki z dziećmi i najniezbędniejszymi rzeczami przypominają owe straszne noce, kiedy wielka powódź nawiedzała kasabę. Tylko że tym razem ludzie różnych wyznań nie są zmieszani ze sobą ani złączeni poczuciem solidarności i wspólnego nieszczęścia, nie siedzą razem - jak niegdyś - szukając w rozmowie ratunku i ulgi. Turcy rozlokowali się po domach tureckich, a Serbowie, jakby zapowietrzeni, po serbskich. Mimo że rozdzieleni, mniej więcej jednakże wiodą życie. Stłoczeni w cudzych domach, nie wiedząc, co począć z nadmiarem czasu ani ze swymi niespokojnymi, ponurymi myślami, siedzą beczynnie

jak pogorzelnicy, niepewni życia ani mienia, targani sprzecznymi nadziejami i pragnieniami, które oczywista kryją i jedni, i drudzy.

Jak niegdyś, czasu wielkich powodzi, i u jednych, i u drugich starzy ludzie usiłują rozweselić wszystkich dokoła żartami i opowieściami, wymuszonym spokojem i sztuczną pogodą. Ale wydaje się, że na tego rodzaju nieszczęście nie pomagają stare dykteryjki ani maskowanie, jakby wszystkie dawne historie zbladły, wszystkie dowcipy straciły smak i sens, a nowe tworzą się z trudem i powoli.

W nocy wszyscy udają, że śpią, chociaż naprawdę nikt nie może oka zmrużyć. Rozmawiają szeptem, mimo że sami nie wiedzą, na co ta ostrożność, kiedy i tak co chwilę rozlega się huk działa już to serbskiego, już to austriackiego. W ludzi wstąpił strach przed „dawaniem znaków nieprzyjacielowi”, chociaż nikt nie ma pojęcia o sygnalizacji świetlnej ani nie wie, co to właściwie oznacza. Ale strach jest tak przemożny, że nikt nie śmie zapalić nawet zapalki. Ognia się nie roznieca. Mężczyźni, mający ochotę palić, zamykają się w dusznych izdebkach bez okien albo naciągają kołdry na głowy. Upał przytłacza i dusi. Wszyscy ociekają potem, ale wszystkie drzwi i okna są pozamykane, a okna na dobitkę zasłonięte. Kasaba wygląda jak nieszczęsna ofiara, która nie mogąc się obronić przed ciosami, zasłania oczy rękami.

Wszystkie domy są jak wymarłe. Bo kto chce wynieść głowę cało, musi udawać trupa; chociaż i to nie zawsze pomaga.

W domach muzułmańskich jest nieco żywiej i swobodniej.

Ocknęło się tu sporo dawnych nawyków wojowniczych, ale zbudzonych nie w porę, chaotycznych i pozbawionych mózgu w owym pojedynku prześcigających się nad ich głowami dwóch artylerii, obu chrześcijańskich. Ale są również i troski wielkie, utajone, są tragedie bez wyjścia i widocznego rozwiązania.

W domu Alihodży u stóp Zamku istna szkółka. Do pokaźnej gromadki jego własnych dzieci przybyło jeszcze dziewięcioro dzieci Mujagi Mutapdzicia; z tego troje tylko starszych, a reszta drobne, jedno mniejsze od drugiego. Aby nie trzeba było ich pilnować i co chwilę przywoływać z podwórza, zamknięto je wraz z dziećmi Alihodży w chłodnej, obszernej parterowej izbie; tutaj matki i starsze siostry użerają się z nimi w wiecznej, ogólnej wrzawie i pisku.

Rieczony Mujaga Mutapdzic, zwany Użiczaniem, nie jest rodowitym mieszkańcem kasaby. (Zaraz dowiemy się dlaczego).

Jest to rosły, całkiem siwy pięćdziesięcioletni mężczyzna, o orlim nosie i twarzy pooranej bruzdami; głos ma głęboki, ruchy energiczne, żołnierskie. Wydaje się starszy od Alihodży, mimo że jest młodszy od niego o jakieś dziesięć lat. Siedzi z Alihodżą w domu, bez przerwy pali, z rzadka się odzywa, mówiąc niewiele, pograżony w myślach, których waga odbija się na twarzy i

w każdym goście. Nie może usiedzieć na miejscu. Co chwilę wstaje, wychodzi przed dom i z ogrodu obserwuje okoliczne góry po obu brzegach rzeki. Stoi tak z zadartą głową i śledzi badawczo niebo, jakby zanosilo się na niepogodę. Alihodża, który nie odstępował go ani na chwilę, wciąż usiłując wciągnąć w rozmowę i uspokoić, wychodzi za nim.

W ogrodzie, nieco stromo położonym, ale dużym i pięknym, panuje spokój i dojrzałość letnich dni. Cebula jest już pozaginana; słoneczniki w całej krasie, wokół ich czarnych, ociążałych głów brzęczą roje pszczół i bąków. Zagony okalają drobne, przekwitające kwiaty. Z tej wyniosłości widać jak na dłoni rozsiadłą wokół piaszczystego ujścia kasabę jakby ujętą w kleszcze dwóch rzek - Driny i Rzawu, a osadzoną w wieńcu nierównych gór rozmaitej wysokości i kształtów. W dolinie wokół kasaby i po stromych zboczach rozpościera się szachownica płachetek i zagonów dojrzałego jęczmienia i łąnów zielonej kukurydzy. Lśnią białe domy i czernią się lasami pokryte szczyty.

Umiarkowana obustronna strzelanina wydaje się stąd uroczystą i niewinną, taki jest bezmiar ziemi i nieba nad nią w pogodny, dopiero wstający letni dzień.

Tu zafrasowanemu Mujadze rozwiązuje się język. Odpowiada Alihodży na jego życzliwe słowa i mówi o swoim życiu, nie dlatego, żeby hodża go nie znał, lecz że tu na słońcu musi jakoś pofolgować sobie i rozluźnić ów węzeł, który go ściska i dławi, a także ponieważ los jego rozstrzyga się właśnie tu i teraz w każdej chwili tego letniego dnia, z każdym hukem dział z jednej lub drugiej strony.

Miał niecałe pięć lat, gdy Turcy musieli opuścić miasta rozsiane po Serbii. Osmanowie wrócili do Turcji, ale jego ojciec Suljaga Mutapdżić, ogólnie szanowany, choć jeszcze młody człowiek, jeden z pierwszych Turków w Użicach, postanowił przenieść się do Bośni, skąd wywodził się jego ród. Zabrał dzieci i z pieniędzmi, jakie dało się w tych okolicznościach wydobyć z ziemi i domów, na zawsze wyniósł się z Użic. Wraz z kilkuset wychodźcami użickimi przesiedlił się do Bośni, gdzie wciąż jeszcze panowali Turcy, osiadł z rodziną w tej kasabie, gdzie z dawien dawna mieszkała jedna odnoga rodu Mutapdżićów - Użiczanie. Tutaj przeżył bez mała dziewięć lat i właśnie jął zdobywać pozycję w czarskiej, gdy przyszła okupacja austriacka. Surowy i nieprzejednany uważał, że nie ma sensu uciekać przed jedną władzą chrześcijańską, aby żyć pod inną. W rok po wkroczeniu Austriaków znów z całą rodziną oraz z kilkoma innymi, nie chcącymi żyć w kraju, „gdzie dzwony dzwonią”, opuścił Bośnię i przeniósł się do Nowej Waroszy w Sandzaku.

(Nasz Mujaga był wtedy piętnastoletnim wyrostkiem). Tutaj Suljaga Mutapdżić został kupcem, tutaj przyszły na świat młodsze jego dzieci. Ale nigdy nie mógł przeboleć tego, co zostawił w Użicach, żyć z nowymi ludźmi ani dostosować do innych warunków bytowania w

Sandzaku. W tym tkwiła przyczyna jego przedwczesnej śmierci. Córki, wszystkie urodziwe i cieszące się dobrą reputacją, nieźle powychodziły za mąż.

Synowie objęli i powiększyli puściznę po ojcu. I właśnie kiedy się pożenili i zaczęli głębiej wrastać w nowe środowisko, wybuchła wojna bałkańska 1912 roku. W bojach, jakie wojska tureckie toczyły pod Nową Waroszą z armią serbską i czarnogórską, brał udział także Mujaga. Opór był krótki i nie można powiedzieć, aby był słaby czy bezskuteczny, a jednak, niby jakimś cudem, losy wojny i tylu tysięcy ludzi nie rozstrzygały się tu, lecz gdzieś daleko, niezależnie od wszelkiego oporu silniejszego czy słabszego, wojska tureckie opuściły więc Sandzak. Nie chcąc czekać na przeciwnika, przed którym jako dziecko uciekał z Użic, a teraz daremnie stawiał opór, nie mając gdzie się podziać, Mujaga postanowił wrócić do Bośni, pod to samo panowanie, przed którym uciekał jego ojciec.

Tym sposobem jako uciekinier po raz trzeci znalazł się wraz z rodziną w tej kasabie, gdzie spędził dziecinne lata.

Z niedużą gotówką i przy pomocy wyszegradzkich Turków, pośród których miał także krewnych, w ciągu tych dwóch lat usiłował stworzyć sobie jakąś egzystencję. Ale nie było to rzeczą łatwą, gdyż - jak widzieliśmy - czasy były ciężkie i niepewne, a zarobki trudne nawet dla tych, co od dawna zapuścili tu korzenie. Czekając na lepsze i spokojniejsze czasy, żył głównie z gotówki. A teraz, po dwóch latach ciężkiego bytowania na wychodźstwie w kasabie, nadeszła nawałnica, wobec której on już jest bezradny; jedyne, co mu pozostało, to śledzić frasobliwym okiem jej przebieg, drząc przed jej wynikiem i końcem.

Gwarzą teraz o tym cicho, urywanymi zdaniami bez ładu i składu, podobnie jak się rozmawia o rzeczach aż nadto dobrze znanych, które można rozpatrywać od końca, od początku, czy też z jakiegokolwiek punktu w środku. Alihodża, który niezmiernie lubi i ceni Mujagę, usiłuje znaleźć jakieś słowo pociechy i uspokojenia, nie dlatego, żeby sam wierzył, iż może coś pomóc, ale ponieważ czuje potrzebę i obowiązek uczestniczenia jakimś sposobem w niedoli tego porządnego, nieszczęśliwego człowieka a szczerego muzułmanina. Mujaga siedzi i pali; istne uosobienie rozpaczy. Na czoło i skronie występują mu duże krople potu, jakiś czas perlą się, aż napęcznieją, wtedy lśnią w słońcu i spływają strużkami po pomarszczonej twarzy. Ale Mujaga nie czuje ich ani nie ściera. Mętny wzrok utkwiał w trawie przed sobą i pogrążony w myślach wsłuchuje się w to, co się dzieje w nim samym, a co jest silniejsze i głośniejsze od wszelkich słów pociechy, od najdonośniejszej kanonady. Od czasu do czasu macha tylko z lekka ręką i rzuca jakieś słowo, będące raczej częścią wewnętrznego dialogu niż odpowiedzią na to, co się do niego mówi lub dzieje wokół.

- Ano, mój Alihodžo, przyszły czasy, że nie ma gdzie się ruszać. Bóg jeden widzi, żeśmy, zarówno mój nieboszczyk ojciec, jak i ja, czynili wszystko, by zachować wiarę i pozostać dobrymi Turkami. Dziad mój spoczywa na cmentarzu w Uzicach; dzisiaj prawdopodobnie nie ma śladu jego grobu. Ojca pochowałem w Nowej Waroszy i nie wiem, czyjego mogiły nie stratowało właszkie bydło. Myślałem, że przynajmniej ja dokonam żywota tutaj, gdzie jeszcze muezin nawołuje do modlitwy, ale wciąż mi się zdaje, że napisano, aby nasienie nasze zginęło, a grobu naszego nikt nie znał. Czyżby taka była wola Boża, czy co? Widzę tylko, że nie ma już wyjścia. Przyszły czasy, o których powiadają, że przed prawowitą wiarą nie będzie innej drogi prócz jednej: śmierci. Bo co mi pozostało? Iść z Nailbejem i szuckorem, zginąć ze szwabskim karabinem w ręku, zhańbiony wobec tego i tamtego świata, albo siedzieć tak z założonymi rękami i czekać, aż Serbia tu przyjdzie, doczekać się tego, przed czym uciekaliśmy pięćdziesiąt lat temu, tułając się z miejsca na miejsce?

Alihodża właśnie zamierzał powiedzieć coś dla dodania i wzbudzenia odrobiny nadziei, gdy przerwała mu salwa baterii austriackiej z Butkowych Turni, na którą zaraz odpowiedziały działa z Panosu. Odezwały się także i tamte zza Golesza.

Szrapnele przelatywały akurat nad ich głowami, i to dość nisko, tak że tuż nad nimi przetaczały się w obu kierunkach pociski różnych kalibrów z owym głuchym dudnieniem targającym trzewiami i wywołującym bolesny skurcz naczyń krwionośnych.

Alihodża wstał i zaproponował, by schronili się przynajmniej pod okapem, a Mujaga ruszył za nim jak lunatyk.

W domach serbskich, rozsiadłych wokół cerkwi na Mejdanie, nie ma ani narzekań na przeszłość, ani lęku przed przyszłością; jest tylko trwoga i męka różnej szóści. Tu panuje jakieś szczególne, nieme przerażenie, które zawsze ogarnia serca ludzkie po pierwszych ciosach wielkiego terroru, aresztowaniach i chaotycznych rzeziach bez sądu. Ale pod tym przerażeniem wszystko jest takie samo, jak dawniej, jak zawsze: to samo utajone nasłuchiwanie, jak niegdyś, przed z górą stu laty, kiedy na Panosie płonęły ognie powstańcze, ta sama nadzieja, ta sama czujność i ta sama wola przetrwania wszystkiego, jeśli już nie może być inaczej, i ta sama wiara w dobre ostateczne zakończenie.

Wnukowie i prawnukowie tych, którzy na tymże wzgórzu, tak samo zamknięci po domach, zatroskani i przerażeni, ale wstrząśnięci do głębi wytężali słuch, czy nie dojdzie ich uszu słaby pogłos armaty Karadziordzia z góry od Weletowa, wsłuchują się teraz w ciepłą noc w dudnienie nad głowami i grzmot haubic, zgadują po dźwięku, która jest serbska, a która szwabska, błogosławią je lub przeklinają, nadają im nazwy i przydomki. Tak czynili, póki pociski szły górą i rozrywały się po okolicy, ale gdy strzelanina dosięgła mostu i miasta, nagle umilkli, zamarli im

słowa na ustach, bo zdaje im się, ba - przysięgliby, że w tej kompletnej ciszy, na takiej przestrzeni obie strony celują tylko w nich i w dom, w którym się znajdują.

A gdy przebrzmi echo eksplozji, odzywają się nie swoimi głosami i zapewniają się wzajemnie, że granat upadł gdzieś zupełnie blisko i jest specjalnego kalibru, gorszego niż pozostałe.

W domu Risticia, tuż powyżej plebanii, większym i okazalszym od niej, a ukrytym i osłoniętym z obu stron przed ogniem dział sadami śliwowymi położonymi na stromym zboczu, znalazło schronienie najwięcej ludzi z czarszii. Mężczyzn jest niewiele, ale sporo kobiet, których mężowie zostali aresztowani lub uprowadzeni jako zakładnicy, a Ristić je przygarnął z dziećmi.

Dom jest obszerny i zasobny; zajmuje go tylko gospodarz Mihailo Ristić z żoną i synową, wdową, która nie chciała ani powtórnie wyjść za męża, ani wrócić do rodziców, lecz została tutaj, aby wychowywać dzieci przy boku tych staruszków. Jej najstarszy syn dwa lata temu uciekł do Serbii i poległ jako ochotnik nad Bregalnicą. Liczył wtedy osiemnaście lat.

Stary gospodarz Mihailo, jego żona i synowa podejmują tych niezwykłych gości jak czasu sławy. Szczególnie niestrudzony jest pan domu - z gołą głową, co jest rzeczą niezwykłą, bo nigdy nie zdejmuje czerwonego fezu, z gęstą siwą czupryną opadającą na uszy i czoło i srebrnymi sumiastymi wąsami, których końce pożółkły od tytoniu, okalającymi usta niby nieustanny uśmiech. Ledwo spostrzeże, że ktoś jest zdjęty strachem lub zasmucony bardziej niż inni, podchodzi doń, zagaduje i częstuje wódką, kawą i tytoniem.

- Nie mogę, kumie Mihailo, dziękuję ci jak ojcu, nie mogę, o, tu mnie dusi - broni się jakaś młoda jeszcze kobieta, wskazując na białą toczoną szyję.

Jest to żona Petara Gatali z Okoliszta. Kilka dni temu Petar wybrał się za interesami do Sarajewa. Tam zaskoczyła go wojna i odtąd przepadł bez wieści. Wojsko wypędziło ich z domu i teraz ona z dziećmi schroniła się u gospodarza Mihaila, z którym łączy ją pokrewieństwo ze strony męża. Gnębi ją troska o męża i opuszczony dom. Załamuje ręce, wzdycha i jęczy na przemian.

Gospodarz Mihailo nie spuszcza jej z oczu i wciąż kręci się koło niej. Dziś rano dowiedział się, że Petar w drodze powrotnej z Sarajewa został wywleczony z pociągu jako zakładnik, zaprowadzony do Wardiszta i tam, wskutek fałszywego alarmu, przez pomyłkę rozstrzelany. Ukrywają to jeszcze przed nią, a gospodarz Mihailo pilnuje, żeby jej ktoś nagle, nieoględnie nie powiedział. Kobieta co chwila zrywa się, chce wyjść na podwórze i popatrzeć na Okolisztę, ale gospodarz Mihailo powstrzymuje ją i zagaduje wszelkimi sposobami, bo dobrze wie, że dom Gatalowicia w Okoliszcie już stoi w ogniu, chce więc nieszczęśliwej kobiecie oszczędzić przynajmniej tego widoku. Żartuje, uśmiecha się i częstuje niestrudzenie.

- No, no, kumo Stanojko, no, no, gołabeczko. Kieliszeczek tylko. To nie wódka, a istny lek i zapomnienie.

Kobieta pokornie wychyla kieliszek. Gospodarz Mihailo częstuje wszystkich po kolei i swą zniewalającą, niezmordowaną serdecznością skłania każdego, żeby się pokrzepił. I znów wraca do żony Petara Gatali. Jej istotnie rozluźnił się ów bolesny węzeł w gardle. Jest teraz spokojniejsza, tylko patrzy zamyślonym wzrokiem przed siebie. Gospodarz Mihailo nie opuszcza jej, pociesza jak małe dziecko, że i to minie, że jej Petar przyjedzie z Sarajewa zdrowy i cały i wróć do swego domu w Okolisztu.

- Znam ja Petara - byłem na jego chrzcinach. O tym chrzcie długo potem gadano. Pamiętam, jakby to było dziś: akurat byłem już wtedy kawalerem do żeniaczki, kiedy z nieboszczykiem ojcem, który był kumem dzieci gospodarza Janka, wybrałem się na Okolisztę, żeby trzymać do chrztu tego twojego Petara.

I opowiada historię o chrzcinach Petara Gatali; wszyscy ją dobrze znają, ale o tej niezwyklej nocnej godzinie wydaje się nowa.

Mężczyźni i kobiety podchodzą, słuchają, a słuchając zapominają o niebezpieczeństwie i nie zwracają uwagi na ogień armatni, gospodarz Mihailo zaś prawi:

- W dobrych i spokojnych czasach, kiedy słynny pop Nikola był parochem w kasabie, urodził się Jankowi Gatali z Okoliszta po tylu latach i tylu córkach syn. W najbliższą niedzielę wybrano się niemowlę ochrzcić, prócz szczęśliwego taty i ojca chrzestnego poszli też jacyś krewni i sąsiedzi. Zstępując z Okoliszta, często przystawali i z ogromnej manierki pociągali mocną wódkę. A gdy przybyli na kapiję, usiedli, żeby odsapnąć i raz jeszcze zaglądnąć do manierki. Był chłodny dzień późnej jesieni, na kapii nie siedział już sprzedawca kawy ani miejscowi Turcy nie przychodzili na kawę i wypoczynek.

Nasi okolisztanie rozsiedli się więc jak u siebie w domu, otworzyli sakwy zjadłem i nową manierką. Przypijając do siebie wymownie i szczerze, zapomnieli z kretesem o dziecku i popie, mającym je ochrzcić po nabożeństwie. Podówczas - w latach siedemdziesiątych XIX wieku - nie było jeszcze ani nie pozwalano zawieszać dzwonów na cerkwi, więc podochoceni ludzie ani się spostrzegli, że czas mijał i nabożeństwo dawno się skończyło.

W rozmowach ich, w których śmiało i szeroko przeplatała się przyszłość dziecka z przeszłością rodziców, czas nie miał znaczenia ani miary. Kilka razy sumienie ruszyło kuma, który przypominał, że pora iść, ale pozostali zaraz zamykali mu usta.

- Ależ ludzie, chodźmy, skończmy, co jest prawem i obyczajem chrześcijańskim - bąka ojciec chrzestny.

- E, nie piłuj! Bój się Boga, nikt jeszcze w naszej parafii nie został bez chrztu - odpowiadają inni i częstują go, każdy ze swej manierki.

Jakiś czas i ojciec naglił, ale w końcu wódka uciszyła wszystkich i zjednoczyła. Kobieta, która dotąd trzymała niemowlę w zgrabiących z zimna, sinych rękach, położyła je na kamiennej ławie i opatuliła, a ono leżało cichutko jak w kołysce, to spało, to znów otwierało ciekawie oczki, jakby biorąc udział w ogólnej zabawie. („Widać, że jest to wyszegradzianin prawdziwy - powiada ojciec chrzestny - lubi towarzystwo i miejsce zabawy”).

- Bywaj zdrów, Janko - woła jakiś sąsiad. - Oby syn twój był szczęśliwy i długo żył; bodaj był twoją chlubą pośród gospodarzy i Serbów, cieszył się szacunkiem i żył w pomyślności i dobrobycie. Bodaj...

- Ale, ale, może byśmy już skończyli z tym chrztem - przerywa ojciec.

- Chrzest to fraszka! - wołają wszyscy naraz i kolejno pociągają z manierki.

- Ragib efendi Borować też niechrzczony, a jaki duży! Koń pod nim się ugina! - zawołał któryś sąsiad, wywołując ogólny śmiech.

Chociaż ludzie na kapii stracili poczucie czasu, nie stracił go pop Nikola, który czekał dość długo przed cerkwią, a potem zniecierpliwiał się, zarzucił na siebie lisiurę i zszedł z Mejdanu do miasta. Tu mu ktoś powiedział, że całe bractwo wraz z dzieckiem jest na kapii. Udał się tam, żeby ich obrugać po swojemu, ale oni przywitali go tak serdecznie i szczerze, tak solennie przeprasząc, tyle życzeń mu składając, że pop Nikola, który był ostrym i surowym człowiekiem, ale w głębi duszy mieszkańcem kasaby z krwi i kości, pofolgował i przyjął poczęstunek. Nachylił się nad malcem, zaklął z czułości, a dziecko spokojnie wpatrywało się w jego szeroką twarz, duże niebieskie oczy i rozłożystą rudą brodę.

Nieprawdą jest, co opowiadano, jakoby mały został ochrzczony na kapii, ale to prawda, że tu zagadali się przy wódce, wznosząc liczne toasty. Dopiero późno po południu całe towarzystwo wdrapało się na Mejdan, otwarto cerkiew, gdzie ojciec chrzestny, bełkocząc i czkając, wyrzekł się diabła w imieniu nowo narodzonego mieszkańca kasaby.

- Tym sposobem ochrzciliśmy kuma Petara i ot, bodaj by! Żywy i cały, skończył czterdziestkę i nic mu nie brakuje - kończy swą opowieść kum Mihailo.

Wszyscy raczą się jeszcze raz wódką i kawą, zapominając o rzeczywistości, i aby móc ją znieść, coraz łatwiej i swobodniej mówią, tak że jakoś uświadamiają sobie, że są też inne rzeczy w życiu, bardziej ludzkie i weselsze niż ta noc strachu i morderczej strzelaniny.

Tak schodzi noc, a wraz z nią mija życie pełne niebezpieczeństw i cierpień, ale jasne, niezłomne i sprawiedliwe w swej istocie. Kierowani prastarymi, atawistycznymi instynktami oni dzielą to życie na przelotne wrażenia i bezpośrednie potrzeby, zupełnie się w nich zatracając.

Gdyż jedynie żyjąc chwilą bieżącą, nie patrząc naprzód ani nie oglądając się w tył, można znieść wszystko i przetrwać do lepszych dni.

Wreszcie świta. Oznacza to, że ogień artyleryjski przybiera na sile, a w blasku dnia dalej toczy się niezrozumiała, niekończąca się zabawa w wojnę. Bo dni jako takie nie mają już nazwy ani sensu, czas stracił znaczenie i wartość. Ludzie umieją tylko czekać i drżeć ze strachu. Zresztą myślą, krzątają się, rozmawiają i poruszają jak automaty.

Tak więc lub w podobny sposób żyje lud po stromych przedmieściach u stóp Zamku i na Mejdanie.

Na dole w samej czarszii niewielu ludzi zostało. Od razu pierwszego dnia wojny wyszło rozporządzenie, że sklepy mają być otwarte, aby przeciągające wojska mogły zaopatrywać się w drobiazgi, ale jeszcze bardziej chodziło o to, aby pokazać ludności, że wróg jest daleko i żadne niebezpieczeństwo kasabie nie grozi. Rozporządzenie obowiązuje nawet teraz w czasie bombardowania, ale każdy stara się pod lada pretekstem mieć sklep zamknięty przez większą część dnia. Sklepy tuż przy moście oraz w pobliżu Kamiennego Zajazdu, jak na przykład Pawła Rankowicia i Alihodży, zamknięte są całymi dniami, gdyż zanadto są narażone na bombardowanie. Podobnie wyludnił się zamknięty na cztery spusty hotel Lotiki; dach ma uszkodzony pociskiem i ściany pokiereszowane odłamkami szrapneli.

Alihodża raz tylko czy dwa razy w ciągu dnia schodzi ze swego wzgórza, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale zaraz wraca do domu.

Lotika z całą rodziną opuściła hotel od razu pierwszego dnia, kiedy zaczęło się bombardowanie mostu. Przeszli na lewy brzeg Driny, znajdując schronienie w nowym, obszernym domu tureckim. Dom stał z daleka od gościńca, wtulony w dolinę i gęsty sad, z którego wyzierał tylko czerwony dach.

Właściciel wraz z rodziną przebywał na wsi.

Opuścili hotel z nastaniem zmroku, kiedy zwykle panował spokój. Ze służby został im tylko wierny, niezmienny Milan, stary kawaler, ale zawsze wymuskany fircyk, który od dawna nie miał już kogo wyrzucać z hotelu; reszta, jak to często bywa w takich okolicznościach, rozbiegła się, gdy tylko rozległ się pierwszy huk dział nad kasabą. Jak zawsze i we wszystkim, tak i podczas tej wędrówki Lotika kierowała i wydawała rozkazy.

Kategorycznie, nie dopuszczając sprzeciwu. Ona ustalała, co trzeba z najniezbędniejszych i najwartościowszych rzeczy zabrać, a co zostawić; kto co włoży, kto będzie wiózł niedorozwiniętego kalekę - syna Debory, kto prowadził samą Deborę, ślamazarną i chorą, a kto nieprzytomną ze strachu, otyłą starą pannę Minę.

Tak to pod osłoną ciemnej, parnej nocy letniej przeszli most z tobołami i chorym chłopcem na wózku, z walizkami i węzełkami w ręku: Lotika, Zahler, Debora i Mina. Po trzydziestu latach hotel po raz pierwszy został zamknięty na cztery spusty, wymarły.

Posępny, poszczerbiony pierwszymi pociskami wyglądał już jak stara ruina. A oni od razu po pierwszych krokach postawionych na moście, starzy i słabi, kalecy, otyli, krzywonodzy i nie nawykli do chodzenia, nagle upodobnili się do żydowskiej biedoty, nieszczęsnych, od wieków wędrujących po świecie tułaczy.

Przedostali się więc na drugi brzeg i przybyli do obszernego domu tureckiego na nocleg. Tutaj Lotika umieściła toboły i rozlokowała całą rodzinę. Ale gdy przyszło jej samej się położyć w na pół pustej cudzej izbie, bez sprzętów i papierów, z którymi całe życie spędziła, załamała się i po raz pierwszy, odkąd sięga pamięcią, opuściły ją siły z kretesem. W pustym domu tureckim rozległ się jej jęk; coś, czego nikt nigdy nie widział ani nie słyszał, ani nie przypuszczał, że może zaistnieć; płacz Lotiki, straszny, przejmujący, przytłumiony niby szloch męski, a jednocześnie niehamowany i nie dający się pohamować. Wśród rodziny zapadło przerażające, prawie nabożne milczenie, a potem rozległy się lamenty i narzekania. Dla nich załamanie się ciotki było większym ciosem niż wojna, niż ucieczka, utrata domu i domowego ogniska, gdyż wraz z nią można było wszystko znieść i przewartościwić, a bez niej nie można sobie nic wyobrazić ani zrobić.

Gdy nazajutrz wstał piękny, letni dzień, pełen świergotu ptaków, rumianych obłoczków i obfitej rosy, miast dawnej Lotiki, do wczoraj kierującej losami wszystkich swoich krewnych, zastał zwiniętą w kłębek na ziemi starą, bezradną Żydówkę, która nie mogła i nie potrafiła troszczyć się o samą siebie, dygoczącą w panicznym strachu i łkającą jak dziecko, nieumiejącą powiedzieć, czego się boi ani co jej dolega. Wtedy zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Ów stary, ocieężały, niemrawy Zahler, który nawet za młodu nie miał własnej woli ani własnego zdania, lecz pozwalał, by jego i całą rodzinę prowadziła Lotika, który właściwie nigdy nie był młody, teraz nagle pokazał się prawdziwą głową rodziny, ze sporą dozą rozsądnej stanowczości, z umiejętnością decydowania i z dostateczną siłą wprowadzenia w czyn swoich postanowień. Pocieszał i pielęgnował szwagierkę niby chore dziecko i troszczył się o wszystkich, jak to ona czyniła do wczoraj. Podczas ciszy szedł do miasta i przynosił z hotelu żywność, sprzęty i ubrania. Znalazł gdzieś lekarza i sprowadził do chorej. Stwierdził on u przemęczonej i zestarzałej kobiety silny wstrząs nerwowy, zalecał, aby ją jak najprędzej usunąć z terenu działań wojennych, zapisał jakieś kropelki i odjechał z transportem rannych. Zahler wszystko załatwił z władzami wojskowymi, miał dostać wóz i całą rodzinę wywieźć najpierw do Rogaticy, a potem do Sarajewa.

Trzeba było tylko poczekać kilka dni, aż Lotika na tyle przyjdzie do siebie, że będzie mogła znieść podróż. Lotika tymczasem leży jak kłoda. Głośno zawodzi i swym soczystym, mieszanym językiem bełkoce bez związku wyrazy ostatecznej rozpacz, strachu i wstrętu. Wokół niej pełza po podłodze nieszczęsny syn Debory, zagląda ciekawie w twarz ciotki i woła ją swymi nieartykułowanymi, konwulsyjnymi okrzykami, które Lotika tak dobrze rozumiała, a na które teraz nie reaguje. Nic nie chce wziąć do ust i nie może na nikogo patrzeć. Cierpienia czysto fizyczne opanowują jej wyobraźnię. Raz wydaje się jej, że podłoga rozstępuje się nagle pod nią niby ukryta pułapka, a ona leci w nieznaną przepaść, nie mając prócz swego krzyku nic, czym mogłaby się obronić i co by ją uratowało. To znów wydaje się sama sobie jakaś ogromna a lekka i silna, jakby wyrosły jej olbrzymie nogi i potężne skrzydła, tak że pędzi podobna do strusia siedmiomilowymi krokami. Pod jej stopami szumią rzeki i morza niby małe kałuże, rozpryskują się miasta i osiedla, jakby były ze szkła i żwiru. Przyprawiają to o palpitacje serca i brak tchu w piersiach. Nie wie, gdzie się zatrzyma ani dokąd wiedzie ten skrzydlaty pęd, ale wie, że się wyzwala i ratuje przed tymi złudnymi, nikczemnie ustawionymi deskami, które wymykają się spod stóp z szybkością błyskawicy. Wie, że stąpa po ziemi, zostawiając ją za sobą, jako że nie jest dobrze zatrzymywać się, obchodzi brudne kałuże osiedli i wielkich miast, gdzie ludzie oszukują się i okłamują słowami i cyframi, a gdy słowa tracą na wartości, a cyfry się popłaczą, nagle zmieniają grę, jak magik odwracają scenę i, wbrew temu, co się mówi i oblicza, wytaczają armaty i karabiny, wysuwają jakichś innych, nowych ludzi o przekrwionych oczach, z którymi nie sposób dogadać się, targować ani porozumieć. Wobec tego najazdu nagle przestaje być silnym, olbrzymim pędzącym ptakiem, a znowu jest słabą, powaloną biedną staruszką na twardej podłodze. A ludzie ci roją się - są ich tysiące, miliony; strzelają, rzną, dławią wszystkich po kolei, mordują bez pardonu. Jeden z nich nachyla się nad nią; nie widzi jego twarzy, ale czuje, że przyciska jej ostrze bagnetu do przepony, w miejscu, gdzie żebra, się rozstępują, gdzie ciało ludzkie jest najbardziej miękkie.

- Ach! Aaaach! Nie, nie dajcie! Nie dajcie! - z wrzaskiem budzi się Lotika, szarpiąc frędzle lekkiego szala, którym ją przykryto.

Siostrzeniec-kretynek przykucnął pod ścianą i gapi się na nią czarnymi oczami, w których więcej jest ciekawości niż lęku czy współczucia. Z sąsiedniego pokoju wpada Mina, uspokaja Lotikę, ociera jej zimny pot z twarzy i podaje szklankę wody, do której uprzednio ostrożnie wpuściła krople waleriany.

A długi, letni dzień nad zieloną doliną wydaje się jak wieczność, tak że człowiek niepomny, kiedy zaświtało, nie myśli, iż kiedykolwiek zmierzchnie zapadnie. Tu też jest ciepło, ale nie czuć upału. W domu rozlegają się kroki. Nadciągają także inni uciekinierzy z miasta. Zabłąka się

czasem jakiś żołnierz czy oficer. Żywności i owoców jest pod dostatkiem. Milan bez przerwy pali kawę. Wszystko mogłoby robić wrażenie jakiegoś świątecznego, dłuższego pobytu na wsi, gdyby od czasu do czasu nie rozlegał się rozpaczliwy jęk Lotiki i gdyby nie dolatywał do tej kotliny głuchy pomruk przypominający gniewne warczenie, zdradzający, że coś na świecie jest nie w porządku, a powszechna i osobista katastrofa znacznie bliższa i większa, niż to po wspaniałej, niewinnej pogodzie tego dnia może się wydawać.

Oto co zrobiła wojna z hotelu Lotiki i jego mieszkańców.

Sklep Pawła Rankowicia także był zamknięty. Gospodarz Pawle został wzięty od razu drugiego dnia wojny jako zakładnik wraz z kilkoma wybitniejszymi Serbami. Jedni są na stacji, gdzie swoim życiem gwarantują porządek i ład oraz regularny ruch kolejowy, a inni w pobliżu mostu w głębi rynku, w małym drewnianym baraku, w którym w dni targowe umieszcza się wagę magistracką i pobiera akcyzę. Ci zakładnicy gwarantują, że nikt nie zniszczy ani nie uszkodzi mostu.

Tutaj więc na jakimś stołku siedzi gospodarz Pawle. Z rękami złożonymi na kolanach i ze zwieszoną głową przypomina człowieka, który kompletnie wyczerpany po jakimś ogromnym wysiłku spoczął na chwilę, ale nie zmieniając pozycji, tkwi tak nieruchomo już całe godziny. Przy drzwiach na stercie próżnych worków siedzą dwaj żołnierze - rezerwiści. Drzwi są zamknięte, w baraku panuje półmrok i przykry zaduch. Gdy z Panosu albo Golesza toczy się pocisk, Pawle przełyka ślinę i nasłuchuje, gdzie padł. On wie, że most od dawna jest zaminowany, wciąż myśli o tym i zastanawia się, czy w razie celnego strzału jeden taki granat może zapalić dynamit. Przy każdej zmianie warty słyszy podoficera udzielającego wskazówek żołnierzom. Za każdym razem instrukcje te kończą się słowami: „Przy lada próbie uszkodzenia mostu albo w razie jakichkolwiek podejrzanych oznak świadczących, że na coś takiego się zanosi, tego człowieka należy zabić na miejscu”.

Gospodarz Pawle już przywykł słuchać tych słów spokojnie, jakby nie dotyczyły jego. Bardziej niepokoją go granaty i pociski wybuchające czasami tak blisko baraku, że poderwany żwir i odłamki żelaza bębnią po deskach. Ale najbardziej go męczy nieskończenie długo wlokący się czas i niespokojne myśli.

Rozmyśla gospodarz Pawle, co też się stało z nim, z jego domem i ogromnym majątkiem. Im bardziej się zastanawia, tym bardziej to wszystko przypomina koszmarny sen. Bo jakżeż inaczej wyjaśnić sobie to wszystko, co na niego i jego najbliższych spadło w ciągu tych kilku ostatnich dni. Dwóch synów, studentów, uprowadzili żandarmi zaraz pierwszego dnia. W domu została żona z córkami. Duża gorzelnia w Osojnicy spłonęła w jego oczach. Dzierżawcy z okolicznych wsi, prawdopodobnie spaleni, rozproszyli się. Tyle pieniędzy rozpozyczonych po

całym powiecie przepadło. Sklep, najładniejszy w kasabie, o kilka kroków stąd, zamknięty, prawdopodobnie zostanie obrabowany albo zajmie się od pocisku. A on sam siedzi w owym mrocznym baraku jako zakładnik, gardłem odpowiada za coś, co żadnym sposobem nie zależy od niego: za losy mostu.

Kłębią się jak nigdy dotąd, bez ładu i składu, myśli w jego głowie, krzyżują i gasną. Cóż on ma wspólnego z mostem, on, który całe życie zabiegał tylko o swoje interesy i swój dom?

Przecież on go nie zaminował ani nie bombarduje. Nawet wtedy, gdy był czeladnikiem i kawalerem, nigdy nie przesiadywał na kapii ani nie spędzał czasu na śpiewaniu i czcnych żartach wzorem młodzieńców wyszegradzkich. Całe życie staje mu przed oczyma ze wszystkimi szczegółami, które dawno uleciały z pamięci.

Przypomina sobie, jak przybył z Sandzaku: czternastoletni chłopak w podartych kierpcach i z pustym brzuchem. Zgodził się na służbę do gospodarza Petara za przyodziewek, wikt i dwie pary kierpców rocznie.

Niańczył dzieci, pomagał w sklepie, nosił wodę, czyścił konie.

Sypiał pod schodami w ciasnej, mrocznej komórce bez okna, gdzie nie mógł nawet wyciągnąć się na długość ciała. Wytrzymał te ciężkie warunki, a w osiemnastym roku życia przeszedł zupełnie do sklepu, „na pensję”, na jego miejsce zaś przyjęto innego wiejskiego chłopczynę z Sandzaku. Wtedy poznał i pojął wielkie znaczenie oszczędności, poczuł gorzką a cudowną rozkosz oraz potęgę, jaką ona daje. Pięć lat sypiał w małej izdebce za sklepem. W ciągu tych pięciu lat ani razu nie napalił w piecu, ani razu nie położył się przy świecy. Miał dwadzieścia trzy lata, kiedy sam pryncypał ożenił go z porządną, zamożną dziewczyną z Czajnicza. Ona także pochodziła z rodziny kupieckiej. Teraz oszczędzali we dwoje. Przyszła okupacja, a wraz z nią żywszy handel i łatwiejsze zarobki, ale i łatwiejsze wydatki. Wykorzystywał zarobki, unikał wydatków. Tym sposobem doszedł do własnego sklepu i zaczął się dorabiać. Wtedy było to nietrudne.

Podówczas wielu ludzi łatwo się dorabiało, a jeszcze łatwiej wszystko traciło. Dorobku z trudem trzeba było bronić. On go bronił, codziennie na nowo się dorabiając. A gdy nadeszły ostatnie lata, a wraz z nim niepokój i „polityka”, chociaż już w podeszłym wieku, usiłował zrozumieć nowe czasy, chcąc się im oprzeć i przystosować do nich, aby wyjść obronną ręką i bez kompromitacji. Był wiceburmistrzem, przewodniczącym gminy cerkiewnej, prezesem serbskiego towarzystwa śpiewaczego „Zgoda”, głównym akcjonariuszem Banku Serbskiego, członkiem zarządu Banku Krajowego. Robił wszystko, żeby podług przyjętych w czarskiej zasad roztropnie i uczciwie lawirować pomiędzy sprzecznościami, które z każdym dniem piętrzyły się i narastały, aby z tych trudności wynieść nienaruszone swoje interesy, nie narażając się władzom i nie

dyskredytując się w oczach własnego narodu. Mieszkańcy kasaby uważali go za niedościgły wzór pracowitości, sprytu i ostrożności.

Tak więc przeszło pół wieku życia ludzkiego pracował, ciulał, zabiegał i krzątał się, bacząc, by nawet mrówki nie zdeptać, ustępował każdemu, patrzył tylko przed siebie, w milczeniu dorabiał się, idąc swoją drogą. Oto dokąd go ta droga zawiodła: siedzi teraz pośród dwóch żołnierzy jak ostatni zbój, czekając, kiedy pocisk albo jakaś inna machina piekielna uszkodzi most, a za to czeka go pchnięcie bagnetem albo kula w łeb.

Przychodzi mu na myśl (i to go najbardziej boli), że na próżno męczył się i harował, że w ogóle był na błędnej drodze, że jego synowie i pozostała „młódź” mają rację, że istotnie nadchodzą czasy nieobliczalne, a raczej o jakichś nowych miarach i obliczeniach; w każdym razie jego rachuby okazały się błędne, a miary za krótkie.

„Tak to, tak - powiada sobie w duchu gospodarz Pawle - tak to, tak: uczą cię, każą pracować i ciulać, nakazuje ci to Cerkiew i władze, i twój wrodzony rozsądek. Słuchasz, ostrożnie postępujesz i sprawiedliwie żyjesz, a właściwie nie żyjesz, ale harujesz, składasz grosz do grosza i trapisz się, tak że całe życie na tym ci schodzi. Aż nagle wszystko wywraca się do góry nogami: przychodzą czasy, gdy ludzie drwią z rozsądku, zamknięta cerkiew milknie, a miejsce praworządności zajmuje pospolita przemoc, tracą ci co uczciwie i krwawo się dorabiali, a próżniacy i gwałciciele zbijają fortuny. I nikt nie uznaje twych wysiłków ani nie ma kto pomóc ci i poradzić, jak bronić swojej krwawicy. Jakże to? Czy to możliwe?” - zastanawia się gospodarz Pawle nieustannie, a nie znajdując odpowiedzi, znów wraca do swej początkowej myśli o całkowitym krachu.

Żeby nie wiedzieć jak usiłował zaprzątnąć myśl czym innym, nie udaje mu się. Uporczywie wraca ta sama myśl.

A czas mija zabójczo powoli. I zdaje mu się, że ten most, przez który tysiące razy przechodził, ale któremu nigdy nawet dobrze się nie przyjrzał, jak niepojęta, fatalna tajemnica legł teraz całym ciężarem na jego karku, jak zmorena senna, ale we śnie bez przebudzenia.

Dlatego gospodarz Pawle siedzi taki zgnębiony, ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami. Czuje, jak poci się pod twardą, wykrochmaloną koszulą, kołnierzykiem i mankietami.

Spod fezu spływa mu pot strumieniem. Nie ociera go, pozwalając, żeby kapał ciężkimi kroplami na podłogę, i zdaje mu się, że to samo życie uchodzi i wycieka z niego.

Dwaj żołnierze, chłopci węgierscy, ludzie w podeszłym wieku, jedzą w milczeniu chleb ze słoniną posypaną papryką; jedzą wolno, krojąc scyzorykiem to kęs chleba, to kawałek szperki, jakby byli w polu. Pociągnęli łyk wina z blaszanej manierki i zapalili krótkie fajeczki. Pykając, jeden z nich rzecze z cicha:

- Ojej, nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się ktoś tak pocił.

I w grobowej ciszy palili dalej.

Ale nie tylko gospodarz Pawle oblewał się krwawym potem, zatracając się we śnie, z którego nie ma przebudzenia. W owe letnie dni, na tym skrawku zieleni między Driną a granicą, w kasabie, po wsiach, na drogach i pośród lasów - wszędzie ludzie w pocie czoła szukali śmierci, swojej i cudzej, jednocześnie uciekali i bronili się przed nią wszelkimi sposobami i ze wszystkich sił. Ta przedziwna ludzka zabawa, która zwie się wojną, coraz bardziej nabierała rozmachu, szerzyła się, podporządkowując swej władzy żywe istoty i martwe rzeczy.

Opodal owego baraku magistrackiego biwakował tego ranka oddział niezwyklego wojska. Żołnierze nosili białe mundury i białe, tropikalne kaski. Było to wojsko niemieckie, tak zwany Oddział Skadarski. Przed wojną posłano ich do Skadaru, gdzie mieli wraz z oddziałami armii innych państw jako armia międzynarodowa utrzymywać ład i spokój. Z chwilą wybuchu wojny otrzymali rozkaz opuszczenia Skadaru i stawienia się do dyspozycji najbliższej komendy wojsk austriackich na granicy serbskiej. Przybyli wczorajszej nocy, a teraz odpoczywają w owym zaułku, pomiędzy rynkiem a czarsziją.

Tu, w ślepej uliczce, czekają na rozkaz do ataku. Jest ich około stu dwudziestu. Ich kapitan, ryży, otyły mężczyzna, z trudem znosi upał, właśnie beszta sierżanta żandarmerii Danila Repaca, klnie tak, jak tylko przełożeni w wojsku niemieckim potrafią to czynić: głośno, bezwzględnie, pedantycznie.

Kapitan narzeka, że on i jego ludzie umierają z pragnienia, nie mają najniezbędniejszych rzeczy, podczas gdy wokół są pozamykane sklepy, prawdopodobnie pełne towarów, chociaż jest rozporządzenie, żeby były otwarte.

- Czym wy tu jesteście? Żandarmami czy kukłami? Mnie tu przyjdzie zdechnąć wraz z moimi ludźmi! A może mam rozbijać sklepy jak bandyta? Natychmiast znaleźć mi właścicieli i zapewnić nam potrzebne produkty i zdrowe napoje!

Natychmiast! Rozumiecie, co to znaczy: natychmiast?

Za każdym słowem krew uderza kapitanowi do głowy.

W białym mundurze, purpurowy jak mak, ostrzyżony do gołej skóry, wybucha gniewem niby fajerwerk.

Sierżant Repac, wyprężony jak struna, mruga oczami i tylko powtarza:

- Rozkaz, panie kapitanie! Natychmiast! Rozkaz. Natychmiast.

I wpadłszy nagle z kataleptycznego bezwładu w jakąś szaloną ruchliwość, odwrócił się na pięcie i pognął do czarsziji.

Wydawało się, jakby zbliżywszy się zanadto do zionącego gniewem kapitana, nagle zajął się tym ogniem, który sprawia, że biegnie, klnie, grozi i bije wszystkich wokół siebie.

Pierwszą żywą istotą, na którą się natknął, był Alihodża.

Właśnie zszedł z Mejdanu, żeby zajrzeć do sklepu. Spostrzegłszy dobrego znajomego, „wachmistrza” Repaca, jak zmieniony nie do poznania pędzi mu naprzeciw, zaskoczony hodża jął zastanawiać się, czy ten dziki, wzburzony człowiek jest naprawdę tym samym „wachmistrzem”, którego od lat widywał spokojnie, dostojnie i grzecznie przechodzącego koło jego sklepu. Teraz ponury, kościsty Repac świdruje go jakimś nowym wzrokiem, nie poznaje nikogo i nie widzi nic prócz swego własnego strachu. Sierżant od razu począł krzyczeć, jakby powtarzając, co przed chwilą słyszał od niemieckiego kapitana.

- Wywieszać was trzeba, wszystkich, co do jednego! Do kroćset! Był rozkaz, żeby sklepy były otwarte?! Ja mam przez was...

Zanim zmieszany hodża zdołał otworzyć usta, wyciął mu policzek, tak że turban przekrzywił mu się z prawego na lewe ucho.

A nieprzytomny sierżant pocwałował dalej otwierać inne sklepy. Hodża poprawił zawój, opuścił ciepenak i usiadł na nim, wciąż jeszcze nie mogąc przyjść do siebie ze zdumienia.

Dokoła sklepu poczęli cisnąć się obco wyglądający żołnierze w białych mundurach, jakich nigdy nie widział. To wszystko wydaje się hodży snem. Ale on już niczemu się nie dziwi w tych czasach, kiedy policzki spadają z jasnego nieba.

Tak to upłynął cały miesiąc na nieregularnym bombardowaniu mostu i ostrzeliwaniu okolicznych gór, na cierpieniach i gwałtach wszelkiego rodzaju, a w oczekiwaniu gorszych przejść. Zaraz w pierwszych dniach większość mieszkańców kasaby opuściła wzięte pomiędzy dwa ognie miasto. A w końcu września rozpoczęła się ewakuacja kasaby. W nocy wycofano ostatnich urzędników i to gościńcem przez most, bo linia kolejowa była już przerwana. Potem stopniowo wycofywano wojsko z prawego brzegu Driny. Pozostały tylko nieznaczące straże, mniejsze oddziały saperów i rozproszone patrole żandarmerii. Aż przyszła kolej i na nich.

Most stał jak skazaniec, ale wciąż jeszcze nietknięty i cały, pośród dwóch skłóconych ze sobą światów.

XXIV

W nocy niebo zasnęło się chmurami, jak jesienią; czepiały się szczytów, kłębiąc się na niebie. Austriacy skorzystali, by pod osłoną nocy wycofać ostatnie oddziały. Nad ranem wszyscy byli nie tylko po drugiej stronie Driny, lecz już w górach za ljeskim zboczem, poza polem widzenia i zasięgiem artylerii serbskiej.

O świcie począł mżyć drobny, jakby jesienny deszczyk. W tę słotę ostatnie patrole sprawdzały w pobliżu mostu, czy nie został ktoś w domach i sklepach. Wszystko było jakby wymarłe: kasyno oficerskie, hotel Lotiki, zburzone koszary i kilka sklepów u wejścia do czarszii. Tylko przed sklepem Alihodży zastali właściciela - właśnie przybył z domu i otwierał ciepenki.

Żandarmi, którzy znali hodżę jako dziwaka, przykazali mu bardzo ostro, żeby natychmiast zamknął sklep i opuścił rynek, gdyż jest najsurowiej zakazane i „grozi śmiercią” wszelkie dalsze przebywanie w okolicy mostu. Hodża przyglądał się im jak pijanym, którzy nie wiedzą, co bredzą, i już miał na końcu języka odpowiedź, że życie tutaj od dawna jest zagrożone, a wszyscy i tak jesteśmy śmiertelni, tylko po kolei schodzimy do grobu, ale rozmyślił się, nauczony przykrym doświadczeniem ostatnich dni, i rzekł spokojnie i naturalnie, że wpadł tylko po coś do sklepu i zaraz wraca do domu. Żandarmi, którym najwyraźniej śpieszyło się, jeszcze raz zwrócili mu uwagę, żeby jak najprędzej oddalił się z tej dzielnicy, i ruszyli przez rynek na most. Alihodża spoglądał za nimi, jak idą bezszelestnie po kurzu, który pierwszy deszcz zamienił w mokry, gruby dywan. Patrzył jeszcze, gdy skryło ich kamienne ogrodzenie mostu, tak że widać było tylko ramiona, głowy i długie bagnety na karabinach. Na szczytach Butkowych Turni pojawił się odblask słońca.

Wszystkie ich rozporządzenia są takie surowe, ważne, a w gruncie rzeczy bezsensowne, myślał Alihodża, uśmiechając się pod wąsem jak dziecko, któremu udało się wywieść w pole nauczyciela. Podniósł ciepenak na tyle, ile mu było potrzeba, żeby się wsunąć do środka, a potem tylko go przymknął, tak że z zewnątrz sklep wyglądał na zamknięty. Znalazłszy się w ciemności, wszedł do owej izdebki w głębi, gdzie tyle razy chował się przed natrętami, przed przykrymi, męczącymi rozmowami, przed rodziną i swymi własnymi troskami. Usiadł z podwiniętymi nogami na twardej, krótkiej sofie i odsapnął. Jeszcze dygotał pod wpływem zewnętrznych wrażeń, a potem opanował się i znieruchomiał jak dobra waga. Ciasne pomieszczenie wnet wypełniło się ciepłem hodży; jął rozkoszować się samotnością, ciszą i zapomnieniem, które małą, mroczną, zakurzoną izdebkę zamieniają w nieprzejrane rajskie ogrody nad zielonymi brzegami niewidzialnych, cicho szmerzących wód.

W pomroce i ciasnocie tej wąskiej izdebki czuć było świeżość deszczowego poranka o świtaniu. Na dworze także panowała niezwykła cisza, której - o dziwo! - nie mącił żaden huk, głos ani tupot nóg. Alihodżę przejmowało błogie uczucie szczęścia i wdzięczności. Ot, myślał sobie, wystarczy kilka takich desek, żeby z pomocą Bożą osłonić prawowiernego i ocalić go jak cudowny okręt przed złą dolą i dopustem, przed kłopotami bez wyjścia i przelatującymi pociskami dwóch wrogów, co biją się nad jego głową - obaj niewierni, a jeden gorszy od drugiego. Od wybuchu wojny nie było takiej ciszy, snuł swoje pogodne myśli hodża, a wokół panuje błogi

spokój, wraca więc przynajmniej na chwilę coś z prawdziwego, ludzkiego życia, które było coraz rzadsze, a zupełnie zniknęło w huku gjaurskich armat. Cisza usposabia do modlitwy; sama też jest jak modlitwa.

Wtem hodża poczuł, że sofa poderwała się pod nim i wyrzuciła go w górę jak zabawkę; jego „błoga” ciszę przerwał grzmot, tak że zamieniła się nagle w dudnienie i niesamowity łoskot, który wypełnił powietrze, poraził słuch i stał się powszechnym, nie dającym się ogarnąć uchem; półki po przeciwnej stronie jęły trzeszczeć, a wszystko z nich lecieć na niego, on zaś ku nim.

- Ach! - jęknął hodża. Właściwie w duchu jęknął, bo nie mógł już głosu dobyć ani nic nie słyszał, podobnie jak nie było dla niego miejsca na ziemi. Wszystko było zagłuszone, z korzeniami powyrywane i wirowało wraz z nim. Wydaje się najbardziej prawdopodobne, że ten cypel między dwoma rzekami, gdzie leży kasaba, został wyrwany z ziemi z nieopisanym wyciem i wyrzucony w przestwór, w którym wciąż jeszcze leci; obie rzeki, wypadły ze swych koryt i zwrócone ku niebu, wałę się teraz w próżnię całym ciężarem wód niby dwa wodospady, które jeszcze się nie zatrzymały ani nie rozsypały. Czyżby to miał być Sądny Dzień, o którym prawią księgi i uczeni, kiedy ten kłamiwy świat spłonie w mgnieniu oka jak iskra? Ale na cóż taki huk Allahowi, który samym spojrzeniem zapala i gasi światy? Nie jest to dzieło Boże. Zatem skąd ręka ludzka czerpie taką siłę? Jak na to znaleźć odpowiedź, skoro jest zaskoczony, oszukany, porażony tym strasznym uderzeniem, które wali, łamie i zagłusza wszystko, wszystko, nawet myśli. Nie wie, co go porywa, nie wie dokąd leci ani gdzie się zatrzyma, ale wie, że on, Alihodża, miał zawsze i we wszystkim rację. - Ach! - jęknął jeszcze raz hodża i to boleśnie, gdyż siła, która go uniosła, strąciła go z powrotem, ale nie na dawne miejsce, lecz na podłogę między ścianą a przewróconą sofę. Poczuł tępe uderzenie w głowę i ból pod kolanami i w krzyżu. Mógł tylko rozeznac słuchem, jakby odrębny dźwięk w powszechnym huku, że coś ciężkiego uderzyło w dach i z brzękiem i trzaskiem zlatują za przepierzeniem metalowe i drewniane przedmioty, jakby wszystkie sprzęty w sklepie ożyły, poczęły fruwać i zderzać się w locie. Po tym uderzeniu posypał się grad drobnych kamieni na dach i bruk. Ale hodża stracił już przytomność i leżał bez życia w swej izdebce.

Na dworze zrobiło się zupełnie widno.

Nie potrafiłby nawet w przybliżeniu określić, jak długo tak leżał. Jednocześnie jakaś jasność i jakieś głosy wyrwały go z głębokiego omdlenia. Z trudem odzyskał przytomność. Dobrze wiedział, że siedział tu w kompletnej ciemności, a teraz przez wąską szparę przenika światło ze sklepu. Przypomina sobie, że świat był pełen łoskotu i ogłuszającego trzasku, od którego pękają bębrenki i serce zamiera w człowieku. A teraz jest cisza, ale wcale niepodobna do owej ciszy, jaką się rozkoszował przed grzmotem, który go powalił, lecz jakaś inna, jakby jej zła siostra. Głębię tej

ciszy najlepiej czuje po jakimś słabym głosie, który - zda się - z niezmierzonej dali nawołuje go po imieniu.

Uświadomiwszy sobie, że żyje i wciąż jeszcze znajduje się w swojej izdebce, hodża wygramolił się spod przygniatających go rupieci, podniósł się, stękając i powtarzając swoje bolesne: „Ach!”. Teraz wyraźnie słyszał jakieś głosy i nawoływania z ulicy. Pochylił się i wsunął w niski otwór wiodący do sklepu.

Tutaj wszystko było zavalone porozbijanymi rzeczami i stało w pełnym świetle dnia. Sklep był otwarty na oścież, gdyż przymknięty ciepenak spadł pod wpływem wstrząsu.

Pośród bezładnie rozrzuconych towarów i powywracanych przedmiotów leżał na środku sklepu ciężki głaz wielkości ludzkiej głowy. Hodża podniósł oczy. Z góry przenikało również światło dzienne. Najwyraźniej kamień wpadł do wnętrza, przebiwszy słaby dach i drewnianą powałę. Potem znów spojrzął na kamień - biały, porowaty, z dwóch stron gładki i ociosany, poza tym kanciasty i ostro odłupany. - Ach, most! - pomyślał hodża, ale ów głos z ulicy przywoływał go coraz głośniejszym i surowiejszym, nie pozwalając zebrać myśli.

Potłuczony i na pół przytomny hodża znalazł się przed grupą pięciu czy sześciu młodych ludzi, nieogolonych i zakurzonych, w szarych mundurach, furażerkach i kierpcach. Wszyscy byli uzbrojeni i przepasani skrzyżowanymi na piersiach ładownicami, pełnymi drobnymi, lśniącego naboju. Pośród nich był Włodo Marić, ślusarz, ale bez swego robociarskiego kaszkietu, w czapie baraniej, z patrontaszem na piersiach. Jeden z tych ludzi, najwyraźniej dowódca, młody człowiek o czarnych cienkich wąsikach, regularnych, ostrych rysach i płonących oczach, natychmiast zwrócił się do hodży. Karabin nosił po myśliwsku, a w prawej ręce miał cienki leszczynowy pręt. Zaklął siarczyście i z miejsca podniósł głos:

- Hej, ty! Czy tak zostawiasz sklep, otwarty na oścież?

A potem, jak co zginie, powiesz, że to moi żołnierze cię okradli. Może ja mam pilnować twojego towaru?

Twarz tego człowieka była spokojna, prawie nieruchoma, ale głos gniewny, a pręt w jego ręku podnosił się groźnie.

Wtem podszedł doń Włodo Marić i coś szepnął.

- Pięknie, pięknie, niech sobie będzie dobry i uczciwy, ale jeżeli jeszcze raz zastanę jego sklep otwarty i bez dozoru, nie ujdzie mu na sucho.

I uzbrojeni ludzie ruszyli dalej.

„To są ci drudzy - pomyślał hodża, patrząc za nimi. - Kiedy zdążyli wkroczyć i na mnie się natknąć? Ech, że też żadna zmiana w kasabie nie może się odbyć bez tego, bym ja nie oberwał!”.

Stał tak przy swoim rozbitym sklepie, przerażony, z ciężką głową i cały potłuczony. Przed nim leżał rynek, który w pierwszych blaskach porannego słońca wyglądał jak pobojowisko: pełno było drobnych i dużych kamieni, dachówek i kawałków połamanych drzew. Przeniósł wzrok na most. Kapija stała na swoim miejscu, ale tuż za nią most był przerwany. Brakowało siódmego filaru; pomiędzy szóstym i ósmym ziała próżnia, w dole w skośnej perspektywie majaczyła zielona woda. Od ósmego filaru most ciągnął się dalej do drugiego brzegu gładki, kształtny, biały, jakim był wczoraj i od wieków.

Hodża zamrugał kilka razy z niedowierzaniem, a nawet przymknął powieki. Oczami wyobraźni ujrzał żołnierzy, majstrujących coś kilka lat temu pod zielonym namiotem przy tym właśnie filarze, przypomniała mu się owa żelazna pokrywa, która później latami całymi zasłaniała wejście do zaminowanego wnętrza filaru, a zaraz potem zagadkowa, lecz wymowna twarz feldfebla Brankowicia, głucha, ślepa i niema. Ocknął się i otworzył oczy, ale w polu widzenia wszystko pozostało takie samo: rynek, pełen dużych i małych kamieni, oraz most bez jednego filara, a pośród dwóch straszliwie przełamanych łuków - pustka.

Tylko we śnie można przeżyć i ujrzeć takie rzeczy. Tylko we śnie. Ale gdy odwrócił się od nieprawdopodobnego widoku, zobaczył swój własny sklep z dużym kamieniem, częścią siódmego filaru, pośród rozrzuconych towarów. Jeśli to sen, to wszystko jest w nim pogrążone.

W czarszii rozlegały się jakieś nawoływania, głośna serbska komenda i spieszne, zbliżające się kroki. Alihodża czym prędzej zamknął ciepenki, założył na skobel ogromną kłódkę i ruszył do domu.

Dawniej też się zdarzało, że gdy wspinał się pod górę, brakło mu tchu i czuł bicie serca nie na właściwym miejscu.

Od dawna już, od pięćdziesiątego roku życia, jego rodzinne wzgórze staje się jakoś coraz bardziej strome, a droga do domu coraz dłuższa. Ale nigdy jeszcze tak, jak dzisiaj, kiedy chciałby jak najszybciej opuścić czarsziję i znaleźć się w domu.

Serce bije nieswojo, tchu brak, musi przystanąć.

Tam w dole, zdaje się, śpiewają. Tam w dole jest też zerwany most, barbarzyńsko przecięty na pół. Nie trzeba odwracać się (nie odwróciłby się za żadne skarby świata), żeby objąć wzrokiem cały widok: filar gładko odcięty u samego dołu jak olbrzymi pień i rozniesiony w tysiące kawałeczków po okolicy, a łuki z lewej i z prawej strony brutalnie przerwane.

Między nimi zionie piętnastometrowa próżnia. Rozerwane części łuków żałośnie wyciągają ku sobie ramiona.

Nie, za nic na świecie nie odwróciłby się! Ale nie może też iść naprzód pod górę, gdyż coraz bardziej dławi go serce i nogi odmawiają posłuszeństwa. Jął wciągać powietrze - głęboko, wolno,

miarowo - za każdym razem coraz głębiej. Dawniej zawsze to pomagało. Pomaga i teraz. W piersiach robi się jakoś przestronnie. Pomiędzy jednym głębokim wdechem a uderzeniem serca wytwarza się równowaga. Znowu rusza w drogę, a myśl o domu i posłaniu dodaje mu sił.

Idzie z trudem i powoli, mając przed oczami jakby poruszający się wraz z nim obraz zburzonego mostu. Nie wystarczy odwrócić się tyłem do czegoś, aby przestało nas prześladować i dręczyć. Gdyby nawet zamknął oczy, widziałby to samo.

Tak - myśli intensywniej hodża, już nieco swobodniej oddychając - teraz widać, czym była i czemu rzeczywiście służyła cała ta ich wygoda i te urządzenia, cały ten pośpiech i pracowitość. (On zawsze miał rację, zawsze, we wszystkim i wbrew wszystkim. Ale teraz nawet to stwierdzenie nie sprawia mu przyjemności. Po raz pierwszy nie zależy mu na tym. Aż za bardzo miał rację!). Przez tyle lat patrzył, jak rąk nie zdejmowali z mostu: czyścili go, muskali, umacniali fundamenty, wodociągi przez most przeprowadzili, światło elektryczne na nim zapalili, aż pewnego dnia wszystko wysadzili w powietrze, jakby to była skała w górach, a nie pożyteczna i piękna fundacja. Teraz widać, co to za jedni i do czego dążą. On od dawna o tym wiedział, ale teraz, teraz dostrzec to może byle głupiec. Porwali się na najmocniejsze i najtrwalsze, samemu Bogu zabierają! I kto wie, gdzie się zatrzymają. Ot, nawet most wezryra zaczyna rozsypywać się jak sznur pereł; a gdy raz zacznie się rwać, nikt nie zdoła tego zahamować.

Hodża znów przystanął. Brakło mu tchu i wzniesienie nagle jęło wyrastać przed nim. Znowu musiał głębokim oddechem uspokajać serce. I znów udało mu się wyrównać oddech, ruszył raźniej i żwawiej.

A niech tam, myślał sobie, jeśli tu się wali, gdzieś się przecież buduje. Pewnie są jeszcze gdzieś spokojne kraje i rozumni ludzie, którym nieobca miłość Boża. Jeśli nawet Bóg opuścił tę nieszczęsną kasabę nad Driną, to chyba nie cały świat i wszystkie ziemie pod słońcem? Przecież i oni nie będą wiecznie triumfować. Choć kto wie? (Och, gdybym mógł trochę więcej i trochę głębiej zaczerpnąć powietrza!) Kto wie? Może ta ohydna religia, co wszystko porządkuje, czyści, przerabia i upiększa, żeby zaraz potem pożreć i zburzyć, rozszerzy się po całym świecie; może cały Boży świat zamieni w pustkowie, aby móc bezsensownie budować i krwiożerczo burzyć, w pastwisko dla swego nienasyconego głodu i niepojętych zachcianek? Wszystko jest możliwe. Ale jedno nie może być, nie może być, żeby całkowicie i na zawsze zniknęli wielcy i mądrzy a bogobojni ludzie, którzy dla chwały Bożej wznosić będą trwałe budowle, pragnąc, by ziemia była piękniejsza, a człowiek na niej żył łatwiej i lepiej. Gdyby zabrakło takich ludzi, oznaczałoby to, że miłość Boża zgaśnie i zniknie ze świata. A to nie może być.

Pograżony w tych myślach hodża z coraz większym trudem i coraz wolniej wspina się pod górę.

Teraz wyraźnie dolatują pieśni z czarszii. Gdyby tylko mógł więcej zaczerpnąć powietrza, gdyby droga była mniej stroma i gdyby mógł dostać się do domu, położyć w swej pościeli, ujrzeć i usłyszeć kogoś ze swoich. Jest to jedyne jego pragnienie.

Ale nie może. Nie potrafi zachować już równowagi pomiędzy płucami a sercem; serce zupełnie zdławiło oddech, jak to nieraz we śnie się zdarza. Tylko że tu nie ma zbawczego przebudzenia.

Otworzył szeroko usta i poczuł, że oczy wychodzą mu z orbit.

Dotąd nieustannie rosnąca stromizna przysunęła się całkiem do jego twarzy. Pole widzenia wypełnił twardy, pochyły goścień, który zamieniał się w ciemności i obejmował go całego.

Na wiodącym na Mejdanie wzniesieniu Alihodża w konwulsyjnych drgawkach wyzionął ducha.

Belgrad, lipiec 1942 - grudzień 1943

Wydawca: TMM Polska/Planeta Marketing www.tmm.pl www.planetamarketing.com
Printed in EU Wszelkie prawa zastrzeżone Ivo Andrić (1892-1975)

Urodzony w Bośni. Po jej zajęciu przez Austro-Węgry - jak wielu młodych ludzi jego pokolenia - związał się z organizacją polityczną walczącą o odzyskanie niepodległości kraju.

Wywodził się z niej również zamachowiec, który uśmiercił w Sarajewie księcia Ferdynanda.

Andrić internowano wraz z innymi. Przerwane studia (m.in. w Krakowie) ukończył po I wojnie światowej. Pracował jako dyplomata jugosłowiański w wielu europejskich miastach.

Podczas II wojny światowej odmówił współpracy z okupantem. Zaangażował się wtedy w próbę uwolnienia krakowskich profesorów, osadzonych przez hitlerowców w obozach koncentracyjnych.

W czasie wojny powstały jego najsłynniejsze powieści, m.in. *Most na Drinie* (1945 r.). Tytułowy most łączy brzegi rzeki Driny, przepływającej przez miasto dzieciństwa pisarza - Wyszegrad. Wokół niego toczy się, pokazane na przestrzeni wieków, życie lokalnej społeczności.

W 1961 r. twórczość pisarza uhonorowano Nagrodą Nobla. Uniwersytet Jagielloński nadał mu doktorat honoris causa.